



7.542.403 / 1

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001008704892

TŁOCZONO W DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU
NA PAPIERZE Z WŁASNEJ FABRYKI PAPIERU „MALTA”.
WINIETA OKŁADKOWA MOLLY BUKOWSKIEJ WYKONANA
W ZAKŁADACH WŁASNYCH TECHNIKĄ OFSETOWĄ.

KAROLINA BRONTĚ.

Sieroctwo objęło Karolinę BrontĚ bardzo wczesnie. W piątym roku jej życia (1821) odumarała ją matka; w cztery lata potem dziewięcioletnia dziewczynka po śmierci — w ciągu kilku tygodni — dwóch starszych sióstr zostaje głową małej rodziny, złożonej z czworga bardzo zdolnych dzieci. Ojciec wprawdzie żyje, ale jako pięćdziesięcioletni prawie człowiek nie może być bliskim towarzyszem tego drobiazgu; zresztą zajmują go mocno sprawy polityczne i religijne, którym poświęca swoje pióro, i absorbuje ciężka zawodowa praca duszpasterska w parafji Haworth. Opiekuje się wprawdzie domem ciotka Karoliny, siostra matki, ale przeniesiona z jasnego południa Anglii w mroczną podgóorską okolicę, czuje się w tej atmosferze nieswojo mimo całej dobroci, jaką w stosunek do dzieci wkłada. Dzieci chowają się razem — trzy siostry i jeden brat; w pokoju, którego okna wychodzą na cmentarz, oddzielony tylko kawałkiem trawnika od domu, — na cmentarz, gdzie wkrótce wszyscy z wyjątkiem jednej tylko Anny spoczną, — spędzają razem cały dzień, jedzą i uczą się, bawią się bez żadnego towarzysztwa z okolicy i przedewszystkiem marzą. Z okien sypialnych rektorówki, wznoszącej się tuż przy kościele na samym szczycie stromego pagórka, dzieci widzą szereg pagórków okrągłych, t. zw. *m o o r s*, porośniętych bujnemi trawami wiosną i latem, pełnych złotego żarnowca na wiosnę i fioletowych wrzosów na jesień, z licznymi źródłkami, tryskającymi z pod spotykanych tu i ówdzie skał. Ostry wiatr górski przynosił z sobą zapach bezmiernej swobody i szorstkiej prawdy natury, która znalazła odbicie w obrazach natury Karoliny BrontĚ, ale przedewszystkiem najpełniej wyraziła się w mistycznym, żywiołowym ujęciu

w rysunku tła *Wuthering Heights*, powieści Emilji, siostry Karoliny. Dzieci przywiązały się niezmiernie do tego krajobrazu swobody, samotności, tajemnicy, a wydaliwszy się stąd, cierpiały, zapadały na nostalgię — musiały wracać do domu. Życie wszystkich czworga było krótkie. Troje z nich umarło w ciągu niespełna roku (1848—49): brat, Branwell, doskonale zapowiadający się poeta, w 31-ym roku życia; Emilja, autorka jedynej dochowanej, wyżej wspomnianej powieści, bodaj że największej powieści kobiecej angielskiej w XIX wieku, ledwie skończywszy lat trzydzieści; Anna, najmłodsza, mając lat niespełna dwadzieścia ośm, zostawiając po sobie dwie słabsze powieści, choć z pewnością rozwinęłyby się bujniej. Karolina przeżyła ich o lat siedm: umarła w 1855 roku, dobiegłszy ledwo lat 39. W tych krótkich żywotach było miejsce niemal tylko na naukę i na początki wykonywania zawodu nauczycielskiego, do którego sposobić się musiały córki niezamożnego duchownego. To też ten motyw nauki, szkoły, pensji, pracy nauczycielki, przeplatany z motywem nostalgii, wypełnia prawie zupełnie tak życie jak twórczość czworga zdolnych dzieci pastora z Haworth.

Pierwsze silniejsze wrażenie z życia Karoliny to szkoła w Cowan Bridge. Przebywała ona tam krótko, ale przecierpiała wiele i swoim własnym cierpieniem i widokiem cierpienia starszych dwóch sióstr, które przypląciły śmiercią pobyt w tym zakładzie wychowawczym dla córek niezamożnych duchownych. Myśl fundatora zakładu, w zasadzie dobra, jego ofiara niewątpliwie szczerą, została spaczona przez zbytne doktrynerstwo: w dziewczynkach, przeznaczonych do późniejszej roli guwernantek, starano się wyrabiać zdolność do wyrzekania się wszelkich wygod świeckich i przyjemności. Przy nieumiejętnej kontroli ze strony fundatora i złej woli jednej z nauczycielek Cowan Bridge w okresie pobytu tam czterech córek pastora Brontë było bolesnem dziecięcym i n f e r n o. Tyfus, który wybuchł w zakładzie, tak nadszarpał siły małych dziewcząt, że chociaż ojciec zabrał je do domu, Elżbieta

i Marja zmarły po kilku miesiącach. Marja była podobno niezwykle zdolna — Karolina kochała ją głęboko. Zużyła jej postać i śmierć do epizodu Heleny Burns w pierwszej części *Jane Eyre*, gdyż Lowood jest to właśnie nie-szczęśne *Cowan Bridge*. Zarzucano jej przesadę w traktowaniu tego tematu. Ale czyż artysta nie ma prawa oddać przeżycia swego w całej pełni? A niezawodnie było ono tak bolesne, jak epizod szkolny w życiu Jane. Zresztą w owym czasie powstawanie podobnych dalszych zakładów nie było wykluczone i Karolina Brontë stawiała tu w obro-nie dziewcząt pokrzywdzonych w imię dobrej woli i po-żytku społecznego. Postawiła się na miejscu sieroty, nie mającej opiekuńczego domu, zrozumiała, jak ciężką mu-siała być udręka takiej duszyczki, skoro cierpiała tak wiele, ona, która przecież miała możność powrotu do własnego domu.

Teraz właśnie przyjął ją ten dom ukochany zpowro-tem. Pięć lat, do roku 1830, rodzeństwo spędza razem. Po południu urządzają przedstawienia i piszą powieści. Dochowały się kajeciki Karoliny, wypełnione drobnem pismem, zawierające całe cykle powieści, systemem Bal-zaka, który właśnie zaczynał swoją *Komedję Ludzką* (Karolina naturalnie nie wiedziała wtedy nic o nim, a nie znała go i potem), systemem niejako przez nią prze-czuwanym, toczące się koło jednych i tych samych po-staci. Po r. 1830 znowu szkoła. Jest to pensja panny Wooler w *Roe Head*. Epizod to pełen znaczenia dla twór-czości Karoliny. Krajobraz z *Roe Head* jest tłem po-wieści *Shirley*; zasadniczy motyw tej powieści, sabo-taż z 1812-13, jest bezpośrednio związany z tą okolicą; opowiadała o tem na tle swoich wspomnień *miss Wooler*. Ważniejsze od motywów literackich były przyjaźnie. Jedna z przyjaciółek, *Mary Taylor*, wprowadza Karolinę do swej rodziny i ta rodzina, pod nazwiskiem *Yorków*, znaj-dzie się w *Shirley*u jako typowa dla tamtych okolic rodzina średnio-ziemiańska, zainteresowana w uprzemy-słowieniu kraju, szczególnie dla okresu Karoliny Brontë bardzo żywotny. Druga przyjaciółka, *Ellen Nussey*,

jeszcze jest bliższa Karolinie; korespondencja z nią jest ważnym dokumentem w historii rozwoju powieściopisarki. Przyjaźni tej nie osłabił fakt odrzucenia przez Karolinę oświadczyn ze strony brata Ellen, młodego duchownego. Według wszelkich danych Henryk Nussey jest pierwowzorem Januarego Riversa z ostatniego epizodu *Jane Eyre*, jako trio pańienek z tego epizodu: Jane i siostry Rivers są wspomnieniem stosunku trzech przyjaciółek z pensji panny Wooler.

I znów po dwóch latach pensji pobyt w domu. Karolina ma lat szesnaście. Jest za młoda na nauczycielkę prywatną, doksztalca się w domu, uczy się rysować (refleksem tego są niezbyt fortunne kompozycje *Jane Eyre*) i pisze — teraz przedewszystkiem wiersze. Zwraca się z prośbą o ocenę do ówczesnego poety laureata, cenionego choć nie genialnego poety, Southeya, dobrego krytyka; odpowiedź wypada dodatnio, ale nie zachęca do dalszej pracy. W roku 1825 pierwsza posada — Karolina zastępuje swoją dawniejszą przełożoną w niewielkiej pensji w *Roe Head*. Bawi przy niej z początku Emilja (którą jednak nostalgja pcha do domu), potem Anna. W r. 1838 przychodzi chwila rozbicia domu. Emilja pozostaje w *Haworth*, Anna bierze posadę, której przeżycia opowie wkrótce w powieści *Agnes Grey*. Karolina dostaje miejsce guwernantki w domu niejakich pp. *Sidgwick*. Z czasów tej kilkumiesięcznej posady pochodzi owa sławna anegdota, jak to Karolinę uderzyło jedno z dzieci książką w czoło (reminiscencja tego zdarzenia jest w *Jane Eyre*), jak Karolina zatuszowała tę sprawę niewinnem kłamstwem i wywołała odruch wdzięczności w dziecku, które rzuciło się jej na szyję z okrzykiem: „Jak ja panią kocham!” i jak na ten naturalny odruch dziecka matka obruszyła się cierpką uwagą: „Ale, dziecko, kochać guwernantkę?” Anegdota ta, opowiadana przez samą Karolinę Elżbiecie Gaskell (współczesnej powieściopisarce, pierwszej biografce Karoliny), przedstawia symbolicznie ciężkie położenie tej masy kobiet, których jedyną alternatywą w kwestji utrzymania się przy życiu było wtedy: albo wyjść zamąż albo zostać nauczycielką

prywatną. Brak innych środków intelektualnego zarobkowania dotykał warstwę kulturalnie świeżą. Ojcowie tych panien-guwernantek pierwsi dopiero dochodzili do stanowisk intelektualnych, stanowili warstwę średniej inteligencji, na którą i wtedy i długo jeszcze potem, niemal do Wielkiej Wojny, nie było miejsca w strukturze społecznej Anglii. Dla córek tych duchownych, lekarzy, właścicieli małych zakładów naukowych, skromnych prawników, jedynie nauczycielstwo prywatne otwierało drogę samodzielnej pracy. Karolina Brontë, poświęcając tej sprawie swą twórczość, ujmowała w ten sposób cały wogóle problem pracy kobiecej danej chwili. Kwestja wiisała w powietrzu. W r. 1848 uczyni zagadnienie wychowania i wykształcenia kobiety osiã swego powaźnego poematu Tennyson, uchodzący za nauczyciela swej epoki (*The Princess*); toż zagadnienie stanowi jeden z punktów programu grupy chrześcijańsko - społecznej, prowadzonej przez Karola Kingsleya i Fryderyka Denisona Maurice'a. Maurice jest inicjatorem założenia seminarjum dla nauczycielek prywatnych. I tak powstaje pierwsze wzorowe seminarjum żeńskie w Anglii *The Queen's College for Ladies* w 1849 r., w dwa lata po ukazaniu się *Jane Eyre*.

Powieści Karoliny Brontë nie są jednak tendencyjne. Nie mogła ich zrobić takimi autorka, która sama przeżyła omawiany problem. Osobiste przeżycie nie pozwala na doktrynerstwo tendencji. Właśnie z połączenia osobistego przeżycia z ogólnym problemem powstają dzieła wielkie, a do nich należy niezaprzeczenie *Jane Eyre*. Przeżycie doli guwernantki, w którym najważniejszym był fakt świadomości, iż doli tej nie można było zmienić, bolesne poczucie niemocy, musiało z natury rzeczy być o wiele intensywniejsze w duszy autorki, niż w duszy przeciętnej ówczesnej młodej panny w takiej samej sytuacji. Poczucie marnowania czasu na szycie bielizny dziecinnej i cerowanie pończoch swych wychowańców było tak samo ciężkie dla niej jak świadomość, iż nie może zdobyć się na dobry humor, który według jej słów „należy, zdaje

się, do warunków, nabywanych za pensję guwernantki". Z tego łamania się z rzeczywistością wypływa też charakter powieści Karoliny Brontë — powieściopisarka, poruszając sprawę intelektualnej pracy kobiecej, przemienia ją w problem zmagania się z rzeczywistością ze strony kobiety młodej, impulsywnej, pragnącej samodzielności dla swego wyrazu. Problem to wieczysty i zapewnia jej powieściom, zwłaszcza *Jane Eyre*, wieczną trwałość.

Także i druga posada, o wiele lepsza pod względem serdeczności stosunków, nie mogła naturalnie zadowolić Karoliny, dążącej do samodzielności. Dla ratowania się postanowiła założyć w Haworth razem z siostrą niewielki pensjonat dla panien. Żeby zaś uzyskać moment, przyciągający panienki do planowanej szkoły, postanowiły zapewnić przyszłym uczennicom doskonałą francuszczyznę i w tym celu udały się obie z Emilją do Brukseli dla wyspecjalizowania się w tym języku. W ten sposób doszła do skutku jedyna „przygoda“ Karoliny, jej dwuletni pobyt w Brukseli. Nie trwał on bez przerwy. W końcu pierwszego roku umarła niespodziewanie ciotka, — po pogrzebie jej powróciła do Brukseli już tylko Karolina, i to nie w charakterze uczennicy, ale jako nauczycielka języka angielskiego na pensji pp. Héger.

Pobyt ten przyniósł jej bardzo wiele. Pierwszy raz żyjąc dłużej w otoczeniu odmiennem niż dotychczasowe, uzyskała możność punktów porównania, których jej dotąd brakowało. Więcej jednak jeszcze wpłynęła na nią znajomość z p. Héger, jej nauczycielem języka francuskiego, człowiekiem bardzo wykształconym, dobrym pedagogiem i literatem, o żywym umyśle gallickim, który pojął odrazu wysoką intelektualną wartość swej dziwnej uczennicy. Emanuel Paul z *Villette* jest podobno jego doskonałym portretem, jak znowu niezbyt pochlebnym portretem pani Héger jest *Mme Beck*, właścicielka pensjonatu, z tejże powieści. Na ujemny jej rysunek wpłynęła niechęć Karoliny do katolicyzmu, który wydawał się jej kierowany wyłącznie przez jezuitów, nie cieszących się uznaniem współczesnej Anglii. Trzeba sobie przy-

pomnieć, że lata pracy twórczej Karoliny Brontë to okres sporu między odradzającym się w Anglii katolicyzmem a zamierającym powoli anglikanizmem. Są to lata ruchu oksfordzkiego, obfitego przechodzenia na katolicyzm za przykładem późniejszego kardynała Newmana, byłego kapłana anglikańskiego. Polemika na tem tle dochodziła do ostrych starć (występy Kingsleya przeciw Newmanowi) i stosunek Karoliny do katolicyzmu jest zupełnie wytłumaczony nastrojem jej okresu. Nie wpłynął zaś na ujemny rysunek pani Héger, nie wpłynął na pewno, stosunek osobisty, z początku dobry, potem chłodny, nie wpłynęło uczucie niechęci za to, że była żoną nauczyciela Karoliny. Bo jednak — choć tylko nieśmiało możemy twierdzić — w sercu Karoliny obudziło się uczucie do pana Héger. Niewypowiedziane nigdy wprost, przebija ono wyrazem uległości — dziwnej u tak samodzielnej istoty, jaką była Karolina Brontë — w tonie jej kilku listów, pisanych do p. Héger po powrocie do Anglii. Uczucie to pozwoliło jej przeżyć jedno z najpotężniejszych wrażeń: cierpienie miłości, której nie wolno się spełnić. Tragedja Jane i Rochester'a tutaj ma prawdopodobnie swe źródło.

Bruksela dopełniła wykształcenia Karoliny jako nauczycielki, kobiety i powieściopisarki. Z tych trzech stron życia tylko ta ostatnia miała wkrótce osiągnąć swój szczyt. Ale jeszcze kilka lat ciężkiej wędrówki do szczytu czekało prawie trzydziestoletnią już kobietę. Pięknie wydrukowany prospekt nowej szkoły pozostał jedynie dokumentem, nie ściągnął ani jednej uczennicy. Męczące bezrobocie wypełnione jest przytępnym bolesnym widokiem rozkładu moralnego ukochanego brata. Zawody życiowe, niepohamowany temperament, zdolności wielkie, ale nieumiejętnie kierowane i nieujęte, sprowadziły Branwell'a z drogi pracy; po kilku posadach coraz to gorszych wraca on do domu, obciążony *delirium tremens*. Niezawodnie znajomość brutalnej strony życia, taka, jaką widzimy u Rochester'a, jest skutkiem obcowania Karoliny z tym tak kochanym gorąco, nieszczęśliwym bratem, ofiarą zdolności, nieopanowania i warunków życiowych.

Trzy siostry są znowu razem i razem występują na scenę poezji pod pseudonimami Currer, Ellis i Acton Bell (zachowując je i w późniejszej twórczości), jako autorzy zbiorowego tomiku poezyj w r. 1846. Krytyka przyjęła tomik przyjaźnie, publiczność nie czytała go wcale. Impreza przyniosła zamiast spodziewanego dochodu materialnego tylko straty, tak iż młode trzy poetki, mające już w biurkach gotowe powieści do druku, były zmuszone szukać na nie nakładców. Sprawa była niełatwa. Wreszcie *Wuthering Heights* Emilji i *Agnes Grey* Anny znalazły nakładcę na bardzo złych warunkach; *The Professor* Karoliny wędrował dalej od jednej firmy do drugiej. Aż zupełnie niespodziewanie z nowej wtedy firmy nakładowej Smith i Elder przyszła pełna nadziei odpowiedź: przesłany rękopis jest za krótki na gust publiczności; jeśli jednak „autor“ ma powieść trzynomową, to firma podejmie się nakładu. W ciągu kilku tygodni znalazł się rękopis *Jane Eyre*, gotowy już w chwili owej odpowiedzi prawie zupełnie, w kancelarii firmy Smith i Elder. W kolejnych trzech wieczorach przeczytali go, pochłonięci impetem nowego talentu, kierownik literacki firmy, kierownik handlowy p. Taylor (który potem oświadczył się o rękę Karoliny, ale podobnie, jak dwaj poprzednicy, nie zyskał jej uczucia) i wreszcie sam właściciel p. Jerzy Smith, który niedowierzał entuzjastycznym pochwałom swych pomocników. Powieść została zakupiona, wydana w ciągu sześciu tygodni i w ciągu następnych sześciu tygodni wyprzedana w pierwszym nakładzie całkowicie (1847).

Krytyka, uznająca wielki talent „autora“, czyniła jednak zastrzeżenia co do moralności treści. To stanowisko krytyczne jeszcze się zaostrzyło, gdy zaczęto dowiadywać się prawdy, iż powieść wyszła z pod pióra kobiety. Uważano, że Rochester, bigamista w intencji, nie został dostatecznie ukarany — nie traci bowiem kobiety, którą kochał, lecz przypadkowo nabawia się kalectwa. Ale właśnie ten zarzut stwierdza tragiczność pomysłu powieściopisarki. Nie istnieje możliwość wydania sądu bez-

sprzecznego, czy jest czy niema winy w tej sprawie. Jest to konflikt uczucia, mocniejszego niż śmierć, z układem stosunków społecznych, naogół słusznym, ale w tym indywidualnym wypadku niesłusznym; jest to walka namiętności istotnej, obejmującej całego człowieka z ciałem i duszą, z przeszkodą, tylko formalnie istotną, a jednak nie dającą się usunąć. Wina Rochester'a jest pomniejszona do możliwie szczupłych rozmiarów, jeżeli wogóle istnieje. Miłość do Jane odkupuje jego złe życie, któremu on tylko pośrednio był winien, i jego czyn ratowania żony trzeba przypisać wpływowi uczucia do małej nauczycielki. Rysunek Rochester'a i Jane — jakkolwiek mógłby być z punktu widzenia moralności społecznej traktowany — pokazuje nam głębokie wniknięcie w pasję serca ludzkiego, w namiętność mężczyzny i kobiety. Jest to owo zrozumienie pierwotności instynktów (cechujące przede wszystkim *Wuthering Heights*), wyniesione przez siostry pisarki z zasluchania się w szum wiatru górskiego, z obcowania z surową naturą rodzimych pagórków, z sieroctwa, w którym się chowały, z samotności i samorodności geniuszu. Stąd płynęła owa śmiałość w wypowiedaniu się, śmiałość, co tak przerażała, choć zachwycała zarazem pierwszych czytelników ich powieści. Z obcowania z pierwotną naturą płynie też główny motyw w zakończeniu powieści, motyw telepatji. W literaturze świata jest to jeden z nielicznych przykładów użycia tego motywu w powieści w sposób przekonywający.

Drobne niezręczności w konstrukcji powieści zasłaniała krytyce współczesnej, jak i zasłania dzisiejszemu czytelnikowi, prawda przeżycia, zawarta w poszczególnych epizodach powieści, których wewnętrzna budowa jest arcydziełem. Powodzenie też było słuszne; przyniosło jej cały szereg najlepszych i najmiłszych przyjaźni literackich, jak: wielkiego powieściopisarza Thackeraya, Elżbiety Gaskell, historyka filozofji G. H. Lewesa i inn. Powodzenie to pozwoliło jej też pracować spokojnie nad następną powieścią i przetrwać, stworzywszy dla autorki cel bytu, straszny rok 1848—49, znaczoney kolejnymi zgo-

nami trojga rodzeństwa, zakończony jej zupełnem osamotnieniem przy boku starego ojca. Ślady cierpienia i smutku widnieją bardzo wyraźnie na tej powieści, której bohaterka, Shirley, jest wyidealizowanym portretem Emilji. Po tej powieści przyszły lata względnie szczęśliwe, a przynajmniej spokojne. Odwiedziny w Londynie, Manchesterze i u znajomych przerywają od czasu do czasu samotne życie w Haworth, które zaczyna nieco dolegać powieściopisarce. Powoli powstaje trzecia powieść — *Villette*. W niej osądziła autorka samą siebie dość surowo, dając w ten sposób zadośćuczynienie za wyidealizowanie autoportretu w *Jane Eyre*. Sposobem, stosowanym dość często w autobiograficznych utworach, Karolina rozdzieliła siebie, przeciwstawiając swej prawdziwej istocie istotę własną wymarzoną. Mała Polly Home, która w naszych oczach wyrasta z poważnego dziecka na panienkę, umiejacą godzić powagę życia z głębią uczucia, jest jej ideałem — ale tego ideału nie spełnia Lucy Snowe, szukająca niespokojnie ostoi życia, w której rysunku autorka zawarła autokrytykę. Zakończenie powieści jest wbrew zasadzie, obowiązującej wtedy angielską twórczość, smutne. Emanuel Paul ma powrócić po kilkoletnim pobycie z kolonii do kraju, aby się z Lucy, czekającą na niego, ożenić, ale ginie w katastrofie okrętowej. Karolina Brontë nie umiała rozminąć się z prawdą życia i swój stosunek uczuciowy do p. Héger zakończyła akordem smutnej rezygnacji na ostatniej stronie *Villette*.

Powieść ta przyniosła jej zupełne wyzwolenie od uczucia, jeżeli ono jeszcze istniało w czasie tworzenia, i kiedy po dłużej trwającym staraniu się o jej rękę ze strony wikarego z Haworth, Artura Bell Nichollsa, i po pokonaniu oporu ojca, zawarła z p. Nichollsem ślub w czerwcu 1854, poczuła się po raz pierwszy w życiu szczęśliwa. Ale szczęście nie trwało długo. Po krótkiej chorobie, po kilkotygodniowym osłabieniu, zasnęła spokojnie w dniu 31 marca 1855 r. Widocznie spełniła już swoje zadanie wypowiedzenia bólu, zmagania się samodzielnej, pełnej pasji, duszy kobiecej z otaczającym światem. Wielki pisarz, wielki znawca życia moralnego i spo-

łecznego, wielki jej przyjaciel, Thackeray, podziwia w pośmiertnem o niej wspomnieniu „jej płomienną miłość prawdy, odwagę, prostotę, oburzenie na krzywdy, żywe współczucie, spokojną a głęboką miłość i poszanowanie, pełen pasji, jeżeli się można tak wyrazić, honor kobiety”. Kto to zawarł w swoim dziele — a zawarł naprawdę — ten wypełnił dobrze i całkowicie zadanie wielkiego artysty.

Andrzej Tretiak.



ROZDZIAŁ I.

Niepodobna było tego dnia wyjść na spacer. Rano, coprawda, snuliśmy się z godzinę po bezlistnym ogrodzie, ale po obiedzie (pani Reed, gdy nie było gości, jadła wcześniej) chłodny wiatr zimowy napędził tak ciemne chmury i deszcz tak przenikliwy, że dalsze przebywanie na świeżem powietrzu stało się niemożliwe.

Rada byłam z tego; nigdy nie lubiłam długich spacerów, zwłaszcza w chłodne popołudnia; tak się obawiałam tych powrotów do domu o zmroku ze zmarzniętymi palcami u rąk i u nóg, z sercem ściśniętem upomnieniami Elżbietki, naszej bony, i upokorzonem w poczuciu, że Eliza, Janek i Georgjana Reed o tyle zřeczniejsi i silniejsi są ode mnie.

Eliza, Janek i Georgjana skupili się teraz dokoła swej mamy w salonie. Pani Reed spoczywała na kanapce przy kominku, a mając wokoło siebie pieścuchów (którzy w tej chwili nie kłócili się, ani krzyczeli), sprawiała wrażenie zupełnie szczęśliwej. Mnie zabroniła zbliżyć się do siebie, mówiąc, że „żałuje, iż musi trzymać mnie zdaleka; lecz dopóki nie usłyszy od Elżbietki i sama nie zauważy, że naprawdę staram się wyrobić w sobie bardziej towarzyskie, odpowiedniejsze dziecku usposobienie, że staram się być naturalniejszą, żywszą i przyjemniejszą w obejściu, dopóty będzie musiała odmówić mi tych przywilejów, jakie się należą tylko zadowolonym i wesołym dzieciom“.

— O co Elżbietka skarżyła się na mnie? — zapytałam.

— Joasiu, nie znoszę chwytania za słowa i dopytywań; a przytem to doprawdy oburzające, gdy dziecko w ten sposób przemawia do starszych. Siądź sobie, gdzie ci się podoba; a skoro nie umiesz mówić grzecznie, bądź cicho.

Pokoik, gdzie jadało się śniadanie, przylegał do salonu. Tam się wsunęłam. Stała tam półka z książkami; niebawem wyciągnęłam jeden tom, starannie wybrawszy obficie ilustrowany. Wsunąwszy się na siedzenie w zagłębieniu okna, podwinęłam nogi i usiadłam po turecku, a zaciągnąwszy prawie szczelnie ponsową morową zasłonę u okna, poczułam, że jestem ukryta i odosobniona.

Fałdy ponsowej draperji zasłaniały mi widok z prawej strony; z lewej szyba szklana chroniła, choć nie odgradzała mnie od pośępnosci dnia listopadowego. W przerwach, obracając karty książki, przyglądałam się naturze. Tam daleko stała się blada pustka mgieł i chmur; bliżej widać było mokry trawnik i krzew szarpany wiatrem, oraz nieustające potoki deszczu, gwałtownie gnane wichrem.

Powróciłam do książki. Była to Berwicka *Historja ptaków brytyjskich*. O tekst drukowany mało naturalnie dbałam; jednakże były tam pewne wstępne stronice, które zajmowały mnie mimo mych lat dzieciennych. Stronice te traktowały o siedzibach i gniazdach ptaków morskich, „o samotnych skałach i przylądkach“, które tylko one zamieszkuje, i o wybrzeżach Norwegji z szeregiem wysepek biegnących od południowego krańca aż do przylądka Północnego.

Tam gdzie Arktyku wartka, chłodna fala
Tuli samotną wysepkę okala;
Tam gdzie do Hebryd wody Atlantyku
Szturm ponawiają wśród bałwanów ryku.

Nie mogłam też pominąć wzmianki o pustych wybrzeżach Laponji, Syberji, Szpicbergu, Islandji, Grenlandji z ich olbrzymią przestrzenią strefy arktycznej, straszonym bezludnym przestworem, gdzie stwardniałe pola lodowe, przez całe wieki narastając do wyżyn alpejskich, otaczają biegun polarny i są siedzibą najsroźszego zimna. O tej śmiertelnie białej krainie wytworzyłam sobie własne pojęcia: mgliste, jak wszystkie nawpół zrozumiane wyobrażenia, niejasno tworzące się w umysłach dzieci, ale dziwnie przejmujące. Tekst tych stronic wstępnych

nawiazywał do następujących dalej obrazków i nadawał znaczenie to skale, sterczącej samotnie wśród morza bałwanów i piany, to zdruzgotanej łodzi, wyrzuconej na opuszczone wybrzeża, to zimnej, widmowej twarzy księżycy, spoglądającego z za chmury, jak z poza krat, na tonący właśnie okręt.

Każdy obrazek coś opowiadał, często coś zagadkowego dla mojego dziecinnego umysłu i niedokształconych uczuć, ale zawsze głęboko zajmującego; tak jak te bajki, które nam niekiedy w zimowe wieczory opowiadała Elżbietka, gdy była w dobrym humorze. Wtedy to, przysunąwszy stół do prasowania przed kominek w dziecinnym pokoju, pozwalała nam usiąść dookoła, i prasując koronkowe falbanki pani Reed, albo rurkując brzegi jej nocnych czepków, karmiła ciekawość naszą opowiadaniem o miłości i o przygodach, zaczerpniętymi ze starych bajek o wróżkach i ze starych ballad, — lub też (jak później odkryłam) z książek Pamela i Henryk, hrabia Moreland.

Z Berwickiem na kolanach czułam się w owej chwili szczęśliwa, a przynajmniej po swojemu szczęśliwa. Bałam się tylko, żeby mi nieprzeszkadzili; niestety, stało się to aż nazbyt prędko. Otworzyły się drzwi od salonu.

— He! panno mrukliwa! — usłyszałam krzyk Janka Reed, lecz nagle umilkł; pokój widocznie wydał mu się pusty. — Gdzie u licha ona być może! — wołał dalej. — Liziu, Georgjano. — wołał na siostry — Joanny tu niema; powiedzcie mamie, że wyleciała na deszcz, niezdolna dziewczyna!

„Dobrze zrobiłam, że zaciągnęłam firankę“, pomyślałam, gorąco pragnąc, by nie odkrył mojej kryjówki. Janek Reed nie byłby jej odkrył samodzielnie; nie był on ani bystry ani pomysłowy, ale Eliza w tej chwili wsunęła głowę we drzwi i odrazu powiedziała:

— Z pewnością jest w framudze okiennej, Janku!

Ja też natychmiast wyszłam z ukrycia, gdyż drżałam na myśl, że mnie Janek stamtąd wyciągnie.

— Czego chcesz ode mnie? — zapytałam nieśmiało, bardzo zalękniona.

— Powiedz raczej „czego *pan* chce ode mnie, *panie* Reed?” — odpowiedział. — Chcę, żebyś tu przysłała!

I zasiadłszy w fotelu, wskazał mi gestem, że mam się przybliżyć i stanąć przed nim.

Janek Reed był to sztubak czternastoletni, o cztery lata starszy ode mnie, gdyż wtedy miałam lat dziesięć. Duży był i tęgi na swój wiek, o nieczystej i niezdrowej cerze, o grubych rysach na rozlanej twarzy, ciężkiej budowie i wielkich rękach i nogach. Objadał się stale przy stole, co oddziaływało mu na wątrobę i powodowało mętność oczu i obwisłość policzków. Powinien być obecnie w szkole; jednakże matka zabrała go do domu na miesiąc lub dwa „z powodu delikatnego jego zdrowia”. Pan Miles, nauczyciel, utrzymywał, że byłby najzupełniej zdrowy, gdyby mu nie przysyłano z domu tyle ciast i słodczy. Serce matki jednakże nie podzielało tak surowego sądu i pani Reed przypisywała zły wygląd Janka raczej przepracowaniu, a może tęsknocie za domem.

Janek nie był wielce przywiązany do matki i sióstr, a mnie poprostu niecierpiał. Obchodził się ze mną brutalnie i bił mnie i to nie dwa lub trzy razy na tydzień, albo raz lub dwa razy na dzień, ale stale. Bałam się go każdym nerwem, drżałam na całym ciele, gdy się do mnie zbliżał. Były chwile, gdzie wprost traciłam przytomność, takim przejmował mnie strachem, gdyż nie miałam żadną ochroną od jego gróźb i szturchańców; służba nie miała ochoty ujmować się za mną, by nie narażać się młodemu panu, a pani Reed na jego zachowanie była głucha i ślepa: nigdy nie widziała, gdy Janek mnie bił, nigdy nie słyszała, gdy mi wymyślał, choć nieraz to czynił w jej obecności, jakkolwiek częściej za jej plecami.

Jak zwykle posłuszna Jankowi zbliżyłam się do jego fotela, najpierw pokazał mi język w całej okazałości, trzymając go tak wyciągniętym przez jakie trzy minuty; wiedziałam, że za chwilę mnie uderzy, a choć lękałam się ciosu, to widząc Janka takim, nie mogłam się opędzić myśli, że jest brzydki i wstrętny. Może wyczytał myśli te z mojej twarzy, gdyż nic nie mówiąc, nagle uderzył

mnie z całej siły. Zachwiałam się, a odzyskawszy równowagę, cofnęłam się o dwa kroki.

— To za twoje zuchwałe odpowiadanie mamie — powiedział — i za twoje skradanie się i chowanie za firankami, i za to spojrzenie przed chwilą, ty szelmol!

Przyzwyczajona do besztania ze strony Janka, nie pomyślałam nawet, by mu odpowiedzieć; myślałam tylko, jak znieść szturchaniec, który z pewnością nastąpi po obeldze.

— Coś ty robiła tam za firanką? — zapytał.

— Czytałam.

— Pokaż książkę.

Poszłam do okna i przyniosłam ją stamtąd.

— Nie masz prawa brać naszych książek; mama powiedziała, że jesteś tutaj na łasce; nie masz pieniędzy; twój ojciec nic ci nie zostawił; powinnabyś zebrać, a nie mieszkać z pańskimi dziećmi, takimi jak my, jadać to samo, co my jadamy, i nosić suknie kosztem naszej mamy. A teraz ja cię nauczę, co to znaczy gospodarować w moich półkach z książkami; bo one są moje; cały dom do mnie należy, albo będzie należał za lat kilka. Idź i stań przy drzwiach, zdaleka od lustra i od okien.

Uczyniłam to, niezorientowawszy się odrazu w jego zamiarze, ale gdy zobaczyłam, że Janek podnosi, waży w rękę książkę i wstaje, chcąc nią we mnie cisnąć, instynktownie uskokzyłam w bok z okrzykiem przestachu; niedość jednak szybko; tom został rzucony, trafił mnie, a ja upadłam, uderzając o drzwi głową i rozcinając ją sobie. Rana krwawiła, ból był bardzo ostry; strach przesilił się we mnie, natomiast obudziły się inne uczucia.

— Niegodziwy, okrutny chłopcze! — zawołałam. — Nie lepszy jesteś od rozbójnika... od poganiacza niewolników... od rzymskich cesarzy!

Czytałam Goldsmitha *Historję Rzymu* i miałam wyrobione zdanie o Kaliguli, Neronie i ich następcach. Robiłam nieraz porównania w milczeniu, nigdy nie przypuszczając, że je w ten sposób wypowiem głośno.

— Co? Co? — krzyknął. — Czy ona to do mnie powiedziała? Słyszałyście, Elizko, Georgjano? Jeżeli ja tego mamie nie powiem! Ale najpierw...

Rzucił się ku mnie: poczułam, że chwyta mnie za włosy, za ramię; ale tym razem walczył ze zrozpaczonem stworzeniem. Ja rzeczywiście widziałam w nim tyrana, mordercę. Czułam, że kilka kropel krwi ścieka mi z głowy po karku, czułam ból piekący; w tej chwili strach zmienił się we mnie w wściekłość. Nie wiem dobrze, co moje ręce uczyniły, dość że Janek wrzasnął: „ty szelmo! ty szelmo!” i uderzył w głośny alarm. Zaraz też znalazł szybką pomoc: dziewczęta pobiegły po panią Reed, która była na górze; stanęła teraz wobec tego, co się działo, a za nią Elżbietka i jej panna służąca, Abbot. Rozłączono nas; usłyszałam słowa:

— Rany boskie! A cóż to za złościca, żeby tak się rzucać na pana Janka!

— Czy widział kto kiedy coś podobnego! Taką wściekłą pasję!

A pani Reed dorzuciła:

— Zabierzcie ją do czerwonego pokoju i tam ją zamknijcie!

Czworo rąk pochwyciło mnie natychmiast i zanesiono mnie na górę.

ROZDZIAŁ II.

Stawiałam opór przez całą drogę; był to objaw nowy zupełnie i wielce pogłębiający złe wyobrażenie, jakie Elżbietka i Abbot skłonne były mieć o mnie. Faktycznie straciłam panowanie nad sobą; wiedziałam, że buntem chwilowym ściągnęłam już na siebie kary, lecz jak każdy zbuntowany niewolnik, w rozpacz postanowiłam iść do końca.

— Proszę trzymać jej ręce, panno Abbot! rzuca się jak wściekła kotka.

— Wstyd! Wstyd! — wołała panna służąca. — Jakie to nieprzyzwoite zachowanie, panno Eyre, bić młodego panicza, syna swojej dobrodziejki! swojego młodego pana!

— Pana! Jakim sposobem jest on moim panem? Czyż ja jestem służącą?

— Nie; panienka jest mniej niż służąca, gdyż nic nie robi za swe utrzymanie. No, proszę usiąść i zastanowić się nad swoją niegodziwością.

Wniosły mnie tymczasem do wskazanego przez panią Reed pokoju i rzuciły na otomanę; natychmiastowym odruchem chciałam wstać jak sprężyna; dwie pary ich rąk powstrzymały mnie w tej chwili.

— Jeżeli panienka nie będzie siedzieć spokojnie, będziemy ją musiały przywiązać — rzekła Elżbietka. — Panno Abbot, niech mi panna pożyczy swoich podwiązek; moje zerwałaby odrazu.

Panna Abbot odwróciła się, by zdjąć z grubej nogi potrzebne tasiemki. To przygotowywanie więzów i dodatkowa hańba z tem złączona, uspokoiły mnie nieco.

— Proszę podwiązek nie zdejmować! — zawołałam. — Będę siedziała spokojnie.

I na poparcie słów chwyciłam się rękoma siedzenia.

— No, więc proszę pamiętać — rzekła Elżbietka; a przekonawszy się, że się rzeczywiście uspokajam, przestała mnie przytrzymywać; teraz, założywszy ręce, stały obiedwie, patrząc chmurnie i podejrzliwie w moją twarz, jakgdyby niepewne, czy jestem przy zdrowych zmysłach.

— Nic podobnego nigdy przedtem nie zrobiła — rzekła wkońcu Elżbietka, zwracając się do Abbot.

— Ale to zawsze w niej tkwiło — brzmiała odpowiedź. — Często mówiłam pani, co sędzę o tem dziecku, a pani zgadzała się ze mną. To chytre małe stworzenie; nigdy nie widziałam dziecka w jej wieku, tak bardzo skrytego.

Elżbietka nie odpowiedziała. Po chwili jednak, zwracając się do mnie, rzekła:

— Panienka powinna rozumieć, że ma obowiązki zięczności względem pani Reed: pani Reed panienkę

utrzymuje; gdyby panienkę wygnała, musiałaby panienka iść do domu pracy.

Milczałam na to, gdyż nie była to dla mnie nowina. Od czasu, jak sięgam pamięci, słyszałam już nieraz podobne napomknienia. To wymawianie mi, że jestem na łasce, obijało się o moje uszy, jak niejasna zwrotka; bardzo było przykre i upokarzające, ale tylko przez pół zrozumiało. Abbot dorzuciła:

— I nie powinna się panienka uważać za równą z pannami Reed i paniczem dlatego, że pani łaskawie pozwala, by się panienka chowała razem z nimi. Oni będą mieli dużo pieniędzy, a panienka nie będzie miała nic; panience przystoi być pokorną i starać się im podobać.

— To, co panience mówimy, to tylko dla jej dobra — dodała Elżbietka łagodniejszym głosem. — Panienka powinna starać się być pożyteczną i miłą, a wtedy może będzie panienka miała tutaj swój dom; ale jeśli panienka będzie gwałtowna i szorstka, to jestem pewna, że pani wyśle stąd panienkę.

— A przytem — wtrąciła Abbot — Pan Bóg może panienkę pokarać. Może jej zesłać nagłą śmierć w chwili, gdy wyprawiać będzie hece, a wtedy dokąd pójdzie? Wyjdźmy, Elżbietko, zostawimy ją tu. Ach, nie chciałabym za nic pomieniać się z nią na dusze! Niech się panienka modli, panno Eyre, gdy zostaniesz sama; bo, jeżeli nie będziesz żałować, to Pan Bóg może dopuścić, że „coś” spuści się kominem i porwie ciebie.

Poszły, zamknąwszy drzwi za sobą i przekręciwszy klucz w zamku.

Czerwony pokój był to pokój zapasowy, w którym bardzo rzadko sypiano, chyba że przypadkowy wielki napływ gości do Gateshead Hall zmusił do tego. A jednak był to jeden z największych i najokazalszych pokoi we dworze. Na środku stało łóżko, wsparte na masywnych mahoniowych filarach z kotarą z ciemno-ponsowego adamaszku; dwa wielkie okna z zapuszczonemi stale storami udrapowane były w festony i fałdy z podobnej materji; dywan był czerwony; stół u stóp łóżka nakryty był

karmazynowem suknem; ściany miały delikatny kolor brązowy z odcieniem różowym; szafa, toaleta, krzesła były z ciemno politurowanego starego mahoni. Na tle tych ciemnych barw wznosił się wysoko i jaśniał białością stos materaców i poduszek na łóżku, nakryty śnieżną kapą. Niemniej zwracał uwagę szeroki wyściełany fotel, stojący u wezglowia łóżka, również biały, z ustawionym przed nim podnóżkiem; pomyślałam, patrząc nań, że wygląda, jak jakiś blady tron.

W pokoju tym było chłodno, gdyż rzadko w nim palono; było cicho, gdyż leżał daleko od dziecinnego pokoju i od kuchni, uroczyście, gdyż było wiadomo, że tak rzadko doń wchodzono. Pokojówka tylko chodziła tam co sobotę zetrzeć tygodniowy kurz z luster i z mebli; sama zaś pani Reed odwiedzała go czasami, by przejrzeć zawartość pewnej tajemnej szuflady w szafie, gdzie były złożone różne pergaminy, jej szkatułka z klejnotami i minjatura jej nieboszczyka męża. Tu leży tajemnica czerwonego pokoju, tajemnica jego opuszczenia mimo okazałości.

Pan Reed nie żył już od lat dziewięciu; w tym pokoju wydał ostatnie tchnienie; tutaj leżał, wystawiony na paradnym katafalku; stąd ludzie przedsiębiorstwa pogrzebowego wynieśli jego trumnę — i od tego dnia uczucie uświęcającej grozy chroniło ten pokój od częstych odwiedzin.

Niska otomana, do której przykutą zostawiła mnie Elżbietka i złośliwa Abbot, stała blisko marmurowego kominika; łóżko wznosiło się przede mną; po prawej ręce umieszczona była wysoka ciemna szafa, której błyszcząca powierzchnia załamywała odbłaski światła; po lewej znajdowały się udrapowane okna; wielkie lustro pomiędzy oknami powtarzało ponury majestat łóżka i pokoju. Nie byłam zupełnie pewna, czy one zamknęły drzwi na klucz, i gdy odważyłam się poruszyć, wstałam i poszłam się przekonać. Niestety, tak; żadne więzienie nie mogło być pewniejsze. Wracając, musiałam przejść obok lustra; mój wzrok, jakby urzeczony spoczął na niem bezwiednie. Wszystko wyglądało w lustrze zimniejsze,

niż w rzeczywistości, a dziwna mała figurka, patrząca stamtąd na mnie, z białą twarzą i rękami białymi, jak plamy na ciemności, i z błyszczącymi, wystraszonymi oczami, poruszająca się nieśmiało tam, gdzie wszystko tonęło w nieruchomości, sprawiła na mnie wrażenie prawdziwego ducha; pomyślałam, że podobna jest do tych zjaw, co to są niby boginki a niby chochliki, które wedle wieczornych opowiadań Elżbietki wychodzą z odludnych, paprocią zarosłych zakątków wśród wzgórz i jawią się spóźnionym podróżnym. Powróciłam na swoje miejsce.

Strach zabobonny już w tej chwili zaczynał mnie ogarniać, ale nie była to jeszcze godzina jego zupełnego zwycięstwa: ciepłą krew czułam jeszcze w sobie; nastrój zbuntowanego niewolnika krzepił mnie gorzką mocą; musiałam wpierw zatamować szybki pęd myśli, bieżącej wstecz, zanimbym się ugięła przed straszną chwilą obecną.

Cała brutalna tyranja Janka Reed, dumna obojętność jego sióstr, odraza ich matki, stronniczość służby, wszystko to burzyło się w zaniepokojonej mojej duszy, jak brudny osad w zamaconej studni. Dlaczego ja mam zawsze cierpieć, zawsze być upokarzana, zawsze oskarżana, raz na zawsze potępiona? Dlaczego nie mogłam nigdy dogodzić? Dlaczego daremnie starałam się pozyskać czyjeśkolwiek względy? Elizę, która była uparta i samolubna, szanowano. Georgjanie, rozpieszczonej, kapryśnej, skwaszonej, kłótniwej i aroganckiej w obejściu, ogólnie pobłażano. Jej uroda, różowe policzki i złote loki widocznie zachwycaly każdego, kto na nią patrzył, i okupywały bezkarność. Jankowi nikt się nie sprzeciwiał, tem bardziej nikt go nie karał, chociaż ukręcał główki gołębiom, zabijał małe pawięta, szczuł owce psami, winograd w cieplarni ogałacał z owoców, obłamywał pączki najrzadszych roślin w oranżerji; nazywał też matkę „ty stara“, niekiedy urągał jej, że ma brzydką, ciemną cerę, taką, jak on sam miał; szorstko opierał się wszelkim jej życzeniom, nieraz rozdarł lub splamił jedwabną na niej suknię, a jednak był zawsze jej „najdroższym synkiem“. Ja nie ośmielałam się zawinić w niczem, usiłowa-

łam spełniać wszystkie swoje obowiązki, a jednak nazywano mnie niegrzeczną i nudną, kwaśną i skrytą od rana do południa i od południa do wieczora.

Głowa wciąż mnie jeszcze bolała i krwawiła od tego uderzenia i od upadku. Nikt nawet nie zganił Janka za to, że mnie niesłusznie uderzył, lecz gdy w obronie przed dalszym gwałtem zwróciłam się przeciw niemu, spadło na mnie ogólne potępienie.

— Co za niesprawiedliwość! Co za niesprawiedliwość! — wołał mój rozum i w myśli podnieconej krzywdą doznaną szukałam jakichś niezwykłych sposobów wydobywania się z tego nieznośnego ucisku. Przemyślałam czyby nie uciec, a gdyby to okazało się niemożliwe, żeby już ani nie jeść ani nie pić i umrzeć w ten sposób.

Jakaż rozterka targąła duszę moją tego okropnego popołudnia! Jak wrzał mózg mój zamieszaniem, a serce buntem! A jednak w jakiej ciemnicy i głębokiej niewiedomości toczyła się ta walka duchowa! Nie mogłam znaleźć odpowiedzi na wciąż powracające pytanie, dla czego ja tak cierpię; teraz z odległości tylu lat znajduję ją łatwo.

Byłam dysonansem w Gateshead Hall; do nikogo tam nie byłam podobna; nic we mnie nie układało się harmonijnie z panią Reed, jej dziećmi i z dobranymi przez nią domownikami. Jeżeli oni mnie nie kochali, to i ja również ich nie kochałam. Nie potrzebowali być przyjaźnie usposobieni do stworzenia, które nie sympatyzowało z żadnym z nich; do stworzenia tak odrębnego, przeciwnego im temperamentem, zdolnościami, skłonnościami; stworzenia niepotrzebnego, nie mogącego służyć ich interesom, przyczyniać im przyjemności; szkodliwego stworzenia, noszącego w duszy zarodki oburzenia na ich traktowanie, pogardę dla ich sądu. Wiem, że gdybym była dzieckiem zwawem, wesołem, niedbałem, wymagającym, ładnym, rozpuszczonym, choć równie zależnym i równie bez przyjaciół, pani Reed chętniej znosiłaby moją obecność, dzieci jej okazywałyby więcej serdeczności koleżeńskich uczuć, a służba mniej byłaby skłonna robić ze mnie kozła ofiarnego w dziecinny pokój.

Światło dzienne w czerwonym pokoju zaczynało zanikać. Było już po czwartej, a chmurne popołudnie chyliło się ku posepnemu zmrokowi. Słyszałam, jak krople deszczu bezustannie biły w okna, jak wiatr wył pośród klombów za domem; czułam, że stopniowo ziębnę na kość, a wtedy opuściła mnie odwaga. Zwykły mój nastrój upokorzenia, zwątpienia o sobie, smutnej depresji opadł jak mgła wilgotna na dogasające ognisko mojego gniewu. Wszyscy mówią, że jestem zła, a może rzeczywiście to prawda? Jakaż to myśl miałam przed chwilą? zagłodzić się na śmierć? Przecież to z pewnością była zbrodnia; a czy jestem przygotowana na śmierć? A czy krypta pod amboną w kościele w Gateshead jest ponętym schronieniem? Mówiono mi, że w takiej krypcie pochowano pana Reed. Ta myśl przywiodła mi go na pamięć; z coraz większym lękiem rozmyślałam teraz o nim. Nie mogłam go pamiętać, ale wiedziałam, że był moim rodzonym wujem, bratem mojej matki, że wziął mnie do swojego domu, gdy byłam małym dzieckiem, sierotą zupełną; że na łożu śmierci wymógł od pani Reed obietnicę, że będzie mnie chowała i utrzymywała jakby swoje dziecko. Pani Reed prawdopodobnie uważała, że dotrzymuje obietnicy; i dotrzymywała jej niezawodnie o tyle, o ile pozwalała na to jej natura; ale w istocie jakże mogła lubić narzucone sobie dziecko nie z jej rodu, nie związane z nią po śmierci męża żadnym węzłem? Musiało jej być bardzo ciężko czuć się zniewoloną wymuszonym przyrzeczeniem do zastępowania matki dziwnemu dziecku, którego kochać nie mogła, i widzieć to tak odmiennie, obce stworzenie stałym uczestnikiem jej rodzinnego kółka.

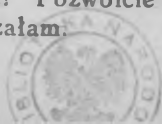
Szczególniejsza myśl zaczęła we mnie świtać. Nie wątpiłam, tak, nie wątpiłam nigdy, że pan Reed obchodziłby się ze mną dobrotliwie; a teraz, gdym tak siedziałam, patrząc na białe łóżko i ciemniejące ściany — raz po raz, jak urzeczona, spoglądając ku niejasno połyskującemu zwierciadłu, zaczęłam sobie przypominać, co słyszałam o umarłych, niepokojonych w grobach pogwałceniem ich ostatnich życzeń, i odwiedzających ten świat, ażeby uka-

rać wiarołomnych i pomścić uciśnionych. Pomyślałam, że duch pana Reed, dręczony krzywdą dziecka jego siostry, mógłby opuścić swoją siedzibę, czyto w krypcie kościelnej, czy gdzieś w nieznanym świecie umarłych — i stanąć przede mną w tym oto pokoju. Otarłam łzy i powstrzymałam łkanie w obawie, by ten objaw gwałtownego żalu nie zbudził jakiegoś nadnaturalnego głosu ku memu pocieszeniu, albo nie wywołał z cienia twarzy w aureoli, schylającej się nade mną dziwnie litośnie. Czułam, że przypuszczenie to, pocieszające teoretycznie, gdyby się ziściło, byłoby straszne; całą mocą starałam się je odegnać, starałam się być odważną. Odgarnawszy włosy z oczu, podniosłam głowę i usiłowałam śmiało rozejrzeć się po ciemnym pokoju. W tej chwili jakieś światło zaświeciło na ścianie. „Czy to promień księżyca, zadałam sobie pytanie, przedziera się przez szparę w storze?” Nie; światło księżyca byłoby nieruchome, a to się porusza; gdym na nie patrzyła, przesunęło się na sufit i zadrżało nad moją głową. Łatwo dziś mogę wymiarować, że ta smuga światła najprawdopodobniej pochodziła z latarni, niesionej przez kogoś, kto przechodził pod oknami; wtedy jednak tak byłam nastrojona oczekiwaniem rzeczy strasznych, tak nerwy moje były rozbite, że wyobraziłam sobie, iż ten nagły błysk światła to zwiastun nadciągającej zjawy z drugiego świata. Serce zabiło we mnie mocno, krew uderzyła mi do głowy, w uszach uczułam szum, który wzięłam za szum skrzydeł; wydało mi się, że coś się do mnie zbliża; uczułam duszność; tchu nie mogłam złapać; nie starczyło mi wytrzymałości; rzuciłam się do drzwi i zaczęłam rozpaczliwym wysiłkiem szarpać klamkę. Wzdłuż korytarza usłyszałam kroki; obrócono klucz w zamku i Elżbietka oraz Abbot weszły.

— Panno Eyre, czy panienka chora? — zapytała Elżbietka.

— Co za straszny hałas! Aż mną zatrzęsł! — zawołała Abbot.

— Wypuście mnie! Pozwólcie mi pójść do dziecinnego pokoju! — krzyczałam.



— Dlaczego? Czy się panience co stało? Czy panienka co zobaczyła? — znowu zapytała Elżbietka.

— Ach! zobaczyłam światło i myślałam, że to duch przychodzi! — Chwyciłam teraz rękę Elżbietki, której mi nie cofnęła.

— Ona umyślnie wrzeszczała — oświadczyła, krzywiąc się, Abbot. — A co to był za wrzask! Gdyby ją coś bardzo bolało, możnaby to jeszcze darować, ale ona tylko chciała ściągnąć nas wszystkich tutaj; już ja znam jej miłe sztuczki!

— Co się tutaj dzieje? — zapytał inny głos rozkazujący; to pani Reed nadeszła korytarzem w rozwianym czepeczku, groźnie szumiąc jedwabiami. — Abbot, Elżbietko, zdaje się, że wydałam rozkaz, że Joanna ma być pozostawiona w czerwonym pokoju, dopóki ja sama do niej nie przyjdę.

— Panna Joanna krzyczała tak głośno, proszę pani — tłumaczyła Elżbietka.

— Puść ją — brzmiała odpowiedź. — Puść rękę Elżbietki, dziecko; nie uda ci się wydostać się stąd tym sposobem, bądź pewna. Nie znoszę chytryści, zwłaszcza u dzieci. Mam obowiązek pokazać ci, że podstępne sztuczki na nic się nie zdadzą; zostaniesz tu teraz o godzinę dłużej, i wtedy uwolnię cię, gdy przyobiecasz, że będziesz uległa i cicha.

— O wujenku, miej litość! Przebacz mi! Ja nie mogę tego znieść! Ukarz mnie jakim innym sposobem! Mnie to zabije, jeżeli...

— Cicho bądź! Co za wstrętna gwałtowność!

Wujenka rzeczywiście tak czuła; była w jej oczach przedwczesną komedjantką; szczerze widziała we mnie mieszaninę złośliwych namiętności, niskiego charakteru i niebezpiecznej obłudy.

Elżbietka i Abbot usunęły się, a pani Reed, zniecierpliwiona nowym moim gwałtownym wybuchem męki i rozpaczliwego szlochania, wtrąciła mnie zpowrotem do pokoju i zamknęła drzwi na klucz bez dalszego gadania.

Słyszałam, jak odchodzi. Wkrótce po jej odejściu — przypuszczam — musiałam dostać jakiegoś ataku. Straciłam przytomność.

ROZDZIAŁ III.

Przypominam sobie, że potem obudziłam się z uczuciem, jakby straszna zmora dręczyła mnie w śnie. Widziałam przed sobą okropny żar czerwony za grubą czarną kratą; słyszałam głosy głucho brzmiące, stłumione płynącą wodą albo wiatrem: wzburzenie, niepewność i nad wszystkim górujące przerażenie wprowadzało zamęt w moje pojęcia. Niebawem poczułam, że ktoś mnie dotyka, że mnie podnosi i podtrzymuje w pozycji siedzącej, i to delikatniej, niż kiedykolwiek to czyniono ze mną. Oparłam głowę o jakiś filar czy czyjeś ramię i poczułam, że mi lżej.

Po pięciu minutach chmura otumanienia rozviała się; wyraźnie zdałam sobie sprawę, że znajduję się we własnym łóżku i że ten żar czerwony to ogień na kominku w pokoju dzieciennym. Był późny wieczór; świeca paliła się na stole; Elżbietka stała w nogach łóżka z miednicą w rękach, a jakiś pan siedział w krześle koło mojej poduszki, nachylając się nade mną.

Uczułam niewymowną ulgę, uspokajające poczucie opieki i bezpieczeństwa, gdy się przekonałam, że obcy człowiek jest w pokoju, ktoś, kto nie należy do Gateshead, ani nie jest krewnym pani Reed. Odwróciwszy się od Elżbietki, (choć jej obecność nie była mi tak niemiłą, jak byłaby naprzykład obecność Abbot) przyjrzałam się twarzy tego pana. Poznałam go; był to pan Lloyd, aptekarz, wzywany niekiedy przez panią Reed, gdy chorował ktoś ze służby; do siebie i do dzieci wzywała doktora.

— No, proszę, kto ja jestem? — zapytał.

Wymówiłam jego nazwisko i równocześnie podałam mu rękę. Wziął ją uśmiechając się i powiedział:

— Pomaleńku, skrzepimy się.

Poczem ułożył mnie zpowrotem i zapowiedział Elżbietce, żeby uważała, bym miała zupełny spokój w nocy. Dawszy jeszcze kilka dalszych wskazówek i zapowiedziawszy, że zajrzy nazajutrz, odszedł ku mojemu zmartwieniu; dopóki siedział przy mojem łóżku, czułam się bezpiecznie pod tą opieką — a gdy zamknął drzwi za sobą, cały pokój pociemniał i serce się we mnie ścisnęło: osiadł w niem niewymowny smutek.

— Czy panienka czuje, że będzie mogła zasnąć? — zapytała Elżbietka wcale łagodnie.

Zaledwie śmiałam jej odpowiedzieć, tak się bałam, że następne zdanie będzie brzmiało szorstko.

— Spróbuję.

— Czy nie chciałaby panienka napić się czego? A możeby panienka co zjadła?

— Nie, Elżbietko, dziękuję.

— Jeżeli tak, to możebym ja się już położyła, bo to już po dwunastej; ale może mnie panienka zawołać, gdyby potrzebowała czego w nocy.

Co za zadziwiająca uprzejmość! Ośmieliło mnie to, więc zapytałam:

— Elżbietko, co się to ze mną dzieje? Czy ja jestem chora?

— Zasłabła panienka, zdaje się, w czerwonym pokoju od płaczu; ale wkrótce z pewnością panienka wydobrzeje.

Elżbietka weszła do pokoju pokojówki, który znajdował się obok. Słyszałam jak mówiła:

— Saro, przyjdź i śpij ze mną w pokoju dziecinnym; za nic w świecie nie chciałabym być sama z tem biednem dzieckiem dziś w nocy; a nużby umarła? To taka dziwna rzecz, że miała ten atak; ciekawa jestem, czy ona co zobaczyła? Pani była za surowa.

Elżbietka wróciła z Sarą; położyły się; szeptały ze sobą przed zaśnięciem dobre pół godziny. Z urywków ich rozmowy, które mnie dolatywały aż nadto wyraźnie, dorozumieć się mogłam, o czem mówią.

— Coś koło niej przeszło, całe białe ubrane, i znikło... Wielki czarny pies szedł za niem... Trzy głośne

stuknięcia do drzwi pokoju... Światło na cmentarzu wprost nad jego grobem... i t. p., i t. p.

Nakoniec obie zasnęły. Wygasł ogień na kominku, zagasła świeca; długą dla mnie była ta noc strasznej bezsenności; oczy, uszy, umysł — strach wyostrzał — taki strach, jaki dzieci tylko odczuwać umieją.

Żadna poważna dłuższa choroba nie nastąpiła po tym wypadku w czerwonym pokoju; uległam tylko wtedy wstrząsowi nerwowemu, którego ślady odczuwam do dziś dnia. Tak, pani Reed, tobie zawdzięczam niektóre straszne męki duchowe, ale powinnabym ci wybaczyć, gdyż nie wiedziałaś, co czynisz; szarpiąc struny me serdeczne, sądziłaś, że tylko wykorzeniasz we mnie złe skłonności.

Nazajutrz w południe, wstawszy i ubrawszy się, usiadłam otulona w szal przy kominku w pokoju dziecinnym. Fizycznie czułam się słaba i wyczerpana; ale więcej dokuczało mi to, że czułam się tak niewypowiedzianie nieszczęśliwa; tak nieszczęśliwa, że mi to łzy milczące wyciskało z oczu; ledwie jedną słoną kroplę otarłam z policzka, płynęła za nią druga. A jednak, myślałam, powinnabym się czuć dobrze, gdyż żadnej z moich kuchni nie było w pobliżu. Wyjechali wszyscy powozem z matką. I Abbot szła w innym pokoju, a Elżbietka, krzątając się tu i tam, zbierając zabawki i porządkując w szufladach, przemawiała do mnie raz po raz niezwykle dobrotliwie. Taki stan rzeczy powinien być być dla mnie rajem, dla mnie, przyzwyczajonej do ciągłej besztaniny, do ciągłego komenderowania mną; w rzeczywistości rozstrojone nerwy moje były w takim stanie, że żaden spokój nie mógł ich ułagodzić, żadna przyjemność mile ich podniecić.

Elżbietka zeszła do kuchni i przyniosła mi kawałek ciasta na pewnym, żywemi barwami malowanym talerzu porcelanowym. To malowidło na porcelanie, przedstawiające rajskiego ptaka, otoczonego girlandą pączków różanych, było zawsze przedmiotem mojego najgorętszego podziwu. Często prosiłam, żeby mi pozwolono wziąć ten talerz do ręki, by się dokładniej przyjrzeć malowaniu — nigdy jednak nie uważano mnie za godną tego przywileju. Ten cenny przedmiot umieszczono mi teraz

na kolanach i zapraszano serdecznie, żebym zjadła delikatne ciasteczko. Daremna łaska! przychodziła, jak wiele innych łask upragnionych, a długo odwiekanych, za późno. Nie mogłam zjeść ciastka, a upierzenie ptaka, barwy kwiatów wydały mi się dziwnie wyblakłe; odsunęłam talerz i ciastko. Elżbietka zapytała, czy podać mi można jaką książkę: słowo książka pobudziło mnie narazie, poprosiłam ją, żeby mi z biblioteki przyniosła *Podróż Gulliwera*. Książkę tę odczytywałam zawsze z rozkoszą. Uważałam ją za opowieść, czerpaną z rzeczywistości, i więcej mnie ona zajmowała, niż bajki o wrózkach i krasnoludkach. Co się tyczy krasnoludków, to ponieważ szukałam ich napróżno pod liśćmi łopianu i dzwonek, pod grzybami i pod cieniem bluszczów, osłaniających stare zakątki murów, pogodziłam się w końcu z tą smutną prawdą, że wszystkie one musiały opuścić Anglię i przenieść się gdzieś do dzikiego kraju, gdzie lasy są większe i gęstsze, a ludność nie tak liczna. Natomiast wierzyłam w istnienie krainy Lilliput i Brobdignag i nie wątpiłam, że kiedyś, odbywszy długą podróż, zobaczę na własne oczy te małe pólka, domki i drzewka, tych malusieńkich ludzi, krowy, owce i ptaki tego jednego królestwa, — i zboża, wysokie jak lasy, olbrzymie psy, potworne koty, mężczyźni i kobiety jak wieże, tego drugiego państwa. Jednakże, gdy ten ulubiony tom dostałam teraz do rąk, gdy zaczęłam obracać jego karty, szukając w przedziwnych obrazkach tego uroku, który tam dotychczas zawsze znajdowałam — wszystko to wydało mi się niesamowite i straszne; olbrzymami były jakieś ogromne upiory, pigmejczykami — złośliwe chochliki, zaś Gulliwerm był nieszczęsny wędrowiec w strasznych i niebezpiecznych krainach.

Zamknęłam książkę, której nie śmiałam już dłużej oglądać, i położyłam ją na stole obok nietkniętego ciastka.

Elżbieta skończyła tymczasem ścierać kurze i porządkować w pokoju. Umywszy ręce, otworzyła małą szufladę, pełną wspaniałych resztek jedwabiu i atlasów, i zaczęła fabrykować nowy kapelusz dla lalki Georgjany.

Przy robocie śpiewała. Była to piosenka, która się zaczynała:

„Kiedy poszl śmv na wędrówkę
Dawno temu...”

Ile razy dawniej słyszałam tę piosenkę, zawsze odczuwałam żywą przyjemność, gdyż Elżbietka miała miły głos, przynajmniej mnie się takim wydawał. Ale tym razem, chociaż głos jej miły był zawsze, odczułam w tej melodji niewysłowiony smutek. Chwilami, zajęta swoją robotą, śpiewała końcowy refren ciszej, mocno zwalniając. „Dawno temu” brzmiało jak najsmutniejszy refren żałobnego hymnu.

— No proszę, panno Joasiu, proszę nie płakać — powiedziała Elżbietka, skończywszy. Mogła była równie dobrze powiedzieć ogniowi „nie pal się”. Lecz skądże ona mogła odgadnąć we mnie chorobliwe cierpienie. Przed południem przyszedł znowu pan Lloyd.

— Jakto? wstaliśmy już? — zapytał, wchodząc. — Jakże, panno Elżbieto, jak się ona miewa?

Elżbietka odpowiedziała, że mam się bardzo dobrze.

— W takim razie powinnyby mieć weselszą minkę. Proszę tu przyjść, panno Joasiu; panience na imię Joanna, nieprawdaż?

— Tak, proszę pana, Joanna Eyre.

— Otóż panienska płakała; czy może mi panienska powiedzieć, dlaczego? Czy panienkę co boli?

— Nie, panie.

— Ach! ja myślę, że ona płacze, ponieważ nie mogła wyjechać z panią powozem — wtrąciła Elżbietka.

— Z pewnością nie dlatego. Za duża jest na takie dzieciństwo.

I ja to samo myślałam, a dotknięta w miłości własnej tym niesłusznym zarzutem, odpowiedziałam czem prędzej:

— Nigdy w życiu dla czegoś podobnego nie płakałam; niecierpię jeździć powozem. Płaczę, bo jestem nie-szczęśliwa.

— O, mogłaby się panienska wstydzić! — rzekła Elżbietka.

Pocziwy aptekarz zdawał się trochę zdziwiony. Stałam przed nim; przyglądał mi się długo; miał małe, siwe oczy, niebardzo jasne, ale dziś nazwałabym je bystremi; twarz jego o grubych rysach miała wyraz pocziwości. Przypatrzywszy mi się dowoli, powiedział:

— Wskutek czego to panienka wczoraj zachorowała?

— Upadła — rzekła Elżbietka, znów wtrącając swoje słowo.

— Upadła! To znowu jak małe dzieciątko! Czy to ona nie umie chodzić w tym wieku? Musi mieć chyba z ośm albo dziewięć lat.

— Upadłam, bo mnie uderzono — dałam proste wyjaśnienie, które wyrwała ze mnie znów boleśnie dotknięta duma. — Ale to nie od tego zachorowałam — dodałam, podczas gdy pan Lloyd zażywał niuch tabaki.

W chwili gdy wkładał tabakierkę zpowrotem do kieszeni, odezwał się głośny dzwonek, wzywający służbę na obiad. Pan Lloyd wiedział, co to znaczy.

— To na pannę — rzekł. — Proszę spokojnie iść na dół; ja tu tymczasem pannie Joasi dam burę.

Elżbietka byłaby wołała zostać, ale musiała pójść, gdyż punktualności w porze jedzeń surowo pilnowano w Gateshead Hall.

— Więc nie upadek spowodował zasłabnięcie panienki, co zatem? — dopytywał pan Lloyd dalej po odejściu Elżbietki.

— Zamknięto mnie w pokoju, gdzie duch pokutuje, choć już było ciemno.

Ujrzałam, że pan Lloyd uśmiecha się i równocześnie marszczy.

— Duch! No co! dzieciak z panienki koniec końcem. Boi się panienka duchów?

— Ducha pana Reed boję się; umarł w tym pokoju, tam go wystawiono po śmierci; i to było okrutnie zamykać mnie tam samą bez świecy, — to było tak okrutnie, że myślę, iż tego nigdy nie zapomnę.

— Co znowu? I to dlatego tak się panienka czuje nieszczęśliwą? Boi się panienka teraz, za dnia?

— Nie; ale noc znów niedługo przyjdzie; a przytem... ja jestem nieszczęśliwa... bardzo nieszczęśliwa z innego powodu.

— Z innego powodu? Czy może mi panienka powiedzieć, z jakiego?

Jak bardzo pragnęłam odpowiedzieć wyczerpująco na to pytanie! Jak trudno mi było ułożyć odpowiedź! Dzieci umieją czuć, ale nie umieją analizować swoich uczuć; a jeżeli nawet dokonają częściowo analizy w myśli, nie umieją rezultatu wyrazić słowami. Obawiając się jednak stracić tę pierwszą i jedyną sposobność ulżenia zmartwieniu swemu przez wypowiedzenie go, zdołałam, po kłopotliwym milczeniu, ująć je w szczupłą, ale ostatecznie w pewnej mierze trafną, bo szczerą odpowiedź.

— Przedewszystkiem nie mam ani ojca ani matki, ani siostr, ani braci.

— Ma panienka dobrą wujenkę i kuzynków.

Milczałam znowu, a potem wybuchnęłam:

— Ale to Janek Reed tak mnie uderzył, że upadłam, a wujenka zamknęła mnie w czerwonym pokoju.

Pan Lloyd po raz drugi wyciągnął tabakierkę.

— Czy nie uważa panna Joasia, że Gateshead Hall to bardzo piękny dom? — zapytał. — Czy nie jest panienka z tego rada, że w tak pięknej miejscowości może mieszkać?

— To nie mój dom, panie; a Abbot powiada, że mam mniej prawa być tutaj, niż służąca.

— Co tam! Panna Joasia chyba nie jest tak nierozsądna, żeby pragnąć taki wspaniały dom porzucić?

— Gdybym miała dokąd się udać, opuściłabym go chętnie; ale ja nigdy nie będę mogła wy dostać się z Gateshead, dopóki nie będę — dorosłą kobietą.

— A możeby panienka mogła, kto wie? Czy ma panienka jakich krewnych oprócz pani Reed?

— Zdaje mi się, że nie, proszę pana.

— Żadnych ze strony ojca?

— Nie wiem. Pytałam raz wujenki, odpowiedziała, że może i mam jakichś biednych, niskiej kondycji krewnych, nazwiskiem Eyre, ale ona nic o nich nie wie.

— A gdyby panienska miała takich krewnych, czy chciałaby panienska udać się do nich?

Namyślałam się. Bieda ma pozór straszny dla ludzi dorosłych, dla dzieci tem bardziej; nie mają one pojęcia o pracowitej, pilnej, przyzwoitej niezamożności; dla nich z wyrazem „bieda” wiąże się pojęcie ubrania w łachmanach, głodu, pieca bez ognia, szorstkiego obejścia i niskich nałogów; dla mnie „bieda” oznaczała poniżenie.

— Nie; nie chciałabym należeć do ludzi biednych — odpowiedziałam.

— Nawet gdyby byli dobrzy dla ciebie, panienko?

Potrząsnęłam głową; nie mogłam zrozumieć, jakim sposobem ludzie biedni mogą być dobrzy; a potem, nauczyć się mówić tak, jak oni, nabrać ich manier, być niewykształconą, wyrosnąć na podobieństwo jednej z tych biednych kobiet, jakie widywałam niekiedy, gdy karmiły dzieci swoje albo prały swe ubrania przed drzwiami chat we wsi Gateshead; nie, nie miałam w sobie dosyć bohaterstwa, by chcieć kupić wolność za cenę wyjścia ze swojej sfery.

— Ale czyż krewni panienki są aż tak bardzo biedni? Czy to są robotnicy?

— Nie wiem; wujenka Reed powiedziała, że jeżeli mam jakich, to musi to być żebracza hołota; jabym nie chciała chodzić po żebraniu.

— Czy chciałaby panienska pójść do szkoły?

Znowu zaczęłam się namyślać: niewiele wiedziałam, czem jest szkoła. Elżbietka niekiedy mówiła o szkole, jako o miejscu, gdzie panienki za karę usadzano w dybach, gdzie im zawieszano tablice na plecach i gdzie wymagano od nich nadzwyczajnej dystynkcji i dokładności we wszystkim. Janek Reed niecierpiał swojej szkoły i wygadywał na nauczyciela; jednak gusta Janka Reed nie były dla mnie prawem, a jeżeli opowiadanie Elżbietki o rygorze w szkole (słyszała o tem od panienek tej rodziny, w której przebywała, zanim przybyła do Gateshead) wzbudzały nieco strachu, to zato szczegóły o rozmaitych umiejętnościach, nabytych przez te same panien-

ki, nęciły mnie wielce. Wychwalała piękne widoki i kwiaty, malowane przez nie, piosenki, które umiały śpiewać, i kawałki, które umiały grać; opowiadała o sakiewkach, które umiały robić szydełkiem, i francuskich książkach, które umiały tłumaczyć. Słuchając tego, miałam ochotę współzawodniczyć z niemi. A przytem szkoła — byłaby to zupełna odmiana; łączyła się z tem długa podróż, zupełne rozstanie z Gateshead, przejście do nowego życia.

— Tak, chciałabym pójść do szkoły — brzmiała odpowiedź, głośny wynik moich rozmyślań.

— No, no, niewiedomo, co się stać może — powiedział pan Lloyd, powstając. — Dziecku potrzeba zmiany powietrza i otoczenia — dodał, mówiąc do siebie — nerwy w nieszczególnym stanie.

Elżbietka powróciła teraz; równocześnie rozległ się turkot powozu po wysypanej piaskiem drodze.

— Czy to pani wasza powróciła, panno Elżbieto? — zapytał pan Lloyd. — Chciałbym pomówić z panią, zanim odejdę.

Elżbietka poprosiła p. Lloyda do jadalni i sprowadziła go nadół. W rozmowie, która nastąpiła teraz, wnosząc z tego, co zaszło później, pan aptekarz odważył się poradzić, by mnie odesłano do szkoły. Rada ta niewątpliwie była chętnie przyjęta; gdyż, jak powiedziała Abbot, omawiając tę sprawę z Elżbietą, podczas gdy szyły pewnego wieczora w dziecinnym pokoju, a ja leżałam już w łóżku i one myślały, że śpię: „pani byłaby, zdaje mi się, kontenta pozbyć się takiego nudnego, niemilego dziecka, które zdaje się zawsze wszystkich szpiegować i jakieś tam intrygi pocichu obmyślać”. Abbot widocznie poczytywała mnie za jakiegoś dziecinnego zdrajcę stanu, rewolucjonistę!...

Przy sposobności dowiedziałam się po raz pierwszy z tego, co Abbot opowiadała Elżbietce, że ojciec mój był niezamożnym duchownym; że matka moja wyszła za niego wbrew woli rodziny, która uważała tę partję za nieodpowiednią dla niej; że dziadek mój Reed tak się rozgniewał tem jej nieposłuszeństwem, że wydziedziczył ją i nie dał ani szylinga; że po roku małżeństwa ojca

mojego i mojej matki ojciec zaraził się podczas epidemji, odwiedzając biednych w wielkiem fabrycznem mieście, gdzie leżała jego parafja; że matka moja zaraziła się od niego i oboje zmarli, jedno w miesiąc po drugim.

Elżbietka, słysząc to opowiadanie, westchnęła i powiedziała:

— Biedna panna Joasia, a jednak ona godna litości. Abbot!

— Tak, zapewne — odpowiedziała Abbot — gdyby to było miłe, ładne dziecko, możnaby z jej sieroctwem współczuć; ale doprawdy, nie można lubić takiej małej ropuchy jak ona.

— Tak bardzo, to nie, przyznaję — zgodziła się Elżbietka — w każdym razie taka piękność, jak panna Georgjana, więcejby była wzruszająca w tem samym położeniu.

— Tak, ja przepadam za panną Georgjaną! — zawołała Abbot z zapałem. — Ślicznota kochana!... z długimi lokami, niebieskimi oczami i temi ślicznymi rumieńczykami — jak malowanie!... Elżbietko, miałabym ochotę na potrawkę z królika na kolację.

— I ja też — z rumianą cebulką. No, pójdźmy; zjedziemy nadół.

I poszły.

ROZDZIAŁ IV.

Rozmowa moja z panem Lloydem i to, co usłyszałam z rozmowy między Elżbietką a Abbot, dodało mi dostatecznego bodźca, by pragnąć powrotu do zdrowia; zdawało się, że nadchodzi jakaś zmiana, pragnęłam jej i oczekiwałam w milczeniu. Zwlekało się to jednak; dni i tygodnie mijały. Odzyskałam zdrowie, ale nie było żadnej wzmianki o sprawie, która mnie tak interesowała. Pani Reed przyglądała mi się czasem okiem surowem, ale rzadko do mnie przemawiała. Od czasu mojej słabości zaznaczyła silniej przedział pomiędzy mną a własnemi dziećmi. Wyznaczyła dla mnie małą komóreczkę,

gdzie sypiałam sama, kazała mi osobno jadać i przebywać stale w pokoju dziecinnym, gdy kuzynki me bawiły ciągle w salonie. Ani słowem jednak nie dotknęła sprawy posłania mnie do szkoły; pomimo to odczuwałam instynktowną pewność, że już niedługo mnie znosić będzie pod wspólnym dachem, gdyż jej spojrzenia, zwracane ku mnie, wyrażały teraz więcej niż kiedykolwiek nieopanowaną i głęboką odrazę.

Eliza i Georgjana, widocznie stosując się do rozkazów, mówiły do mnie możliwie jak najmniej; Janek pokazywał język, ile razy mnie zobaczył, a raz nawet spróbował mnie bić; ponieważ jednak natychmiast stanęłam w pozycji obronnej, poruszona tem samym uczuciem gniewu i rozpaczliwego buntu, jaki mnie był uniósł poprzednio, uważał, że lepiej dać pokój, i uciekł, wymyślając mi i zaklinając się, że mu rozbiłam nos. Istotnie w ten wystający punkt wymierzyłam cios niezgorszy, a widząc, że go poskromiłam tem uderzeniem czy też wyrazem twarzy, miałam wielką ochotę dopełnić miary zwycięstwa; on jednakże już zdążył schronić się pod skrzydła swojej mamusi. Słyszałam, jak płaczącym głosem zaczął opowiadać, że „ta szkaradna Joanna rzuciła się na niego, jak wściekła kotka...” Matka przerwała mu ostro:

— Nie mów mi o niej, Janku; powiedziałałam wam, że nie macie się do niej zbliżać; nie chcę, ażebyście się z nią wdawali, ani ty, ani twoje siostry.

Tu, przechylając się przez poręcz schodów, zawołałam nagle, wcale się nad mojemu słowami nie zastanawiając:

— To oni nie są godni wdawać się ze mną!

Pani Reed była to osoba raczej tęga, ale usłyszawszy to dziwne i zuchwałe oświadczenie, wbiegła lekko na schody, jak wicher porwała mnie i zaciągnęła do pokoju dziecinnego; rzuciwszy mnie na brzeg mego łóżka, z całym naciskiem zapowiedziała:

— Żebyś mi nie śmiała ruszyć się stąd i słowa jednego wymówić do końca dnia!

— Coby na to wuj Reed powiedział, gdyby żył? — zapytałam prawie mimowoli. Mówię, „prawie mimowoli”,

gdyż język mój wymawiał wyrazy bez zgody mojej woli: mówiło przeze mnie coś, nad czem nie panowałam.

— Co? — powiedziała pani Reed głosem ściszonej; jej zwykle spokojne, zimne siwe oczy zamąciły się, jak gdyby wyrazem lęku; puściła moje ramię i patrzyła na mnie, jakby w istocie nie wiedziała, czy ma przed sobą dziecko czy szatana. Ale ja już wzięłam na kiel.

— Wuj Reed jest w niebie i stamtąd może widzieć wszystko, co wujenka robi i myśli; i mój tatuś i moja mama też; oni widzą, że wujenka mnie całymi dniami zamyka i życzy sobie, żebym umarła.

Pani Reed opanowała się niebawem: wytrząsała mnie z całej siły, wytargała za uszy i nie mówiąc słowa, wyszła. Elżbietka następnie wygłosiła mi godzinne kazanie, w którym dowodziła niezbitcie, że jestem najniegodziwszym, najniepocziwszym dzieckiem, jakie się kiedykolwiek uchowało. Uwierzyłam jej w połowie, gdyż czułam istotnie, że tylko złe, gniewne uczucia kotłują w mej duszy.

Minął listopad, grudzień, minęła połowa stycznia. Boże Narodzenie i Nowy Rok obchodzono w Gateshead jak zwykle radośnie i uroczyście; wymieniano nawzajem podarki, wydawano obiady i przyjęcia wieczorne. Ze wszystkich tych uciech byłam, naturalnie, wyłączona i mój udział w tych wesołościach polegał na przypatrywaniu się, jak strojono Elizę i Georgjanę, jak potem schodziły do salonu, ubrane w lekkie muslinowe sukienki i szkarłatne szarfy, z włosami ufryzowanymi starannie w loki; a później na przysłuchiwaniu się płynącym zdołu dźwiękom fortepianu i harfy, na przypatrywaniu się, jak tam i napowrót krążyli lokaje; dźwięczało szkło i porcelana, gdy roznoszono zakąski, a ile razy otwierano drzwi salonu, dolatywał zmieszany gwar rozmów. Zmęczony się tym zajęciem, wracałam ze schodów do samotnego i cichego dzieciennego pokoju; tam, chociaż trochę smutna, nigdy nie czułam się nieszczęśliwą. Prawdę powiedziawszy, nie miałam najmniejszej ochoty iść pomiędzy gości, gdyż w towarzystwie rzadko na mnie zwracano uwagę; a o ileby tylko Elżbietka była dobra i towarzysko usposobiona,

uważałabym sobie za prawdziwą przyjemność spędzać z nią wieczory, zamiast spędzać je pod groźnym okiem pani Reed w salonie, pełnym pań i panów. Jednakże Elżbietka, skoro tylko swoje panienki ubrała, zwykła była przenosić się w bardziej ożywione sfery kuchni i pokoju gospodyni, zazwyczaj i świecę zabierając z sobą. Wtedy dopóki ogień nie przygasł, siedziałam z lalką na kolanach, oglądając się raz po raz dokoła, by się przekonać, czy coś gorszego ode mnie nie pokutuje w tym mrocznym pokoju; a gdy już głównie nabierały ciemnoczerwonego koloru, rozbiegałam się prędko, szarpiąc, jak umiałam, wężły i tasiemki, i chroniłam się od zimna i ciemności do łóżeczka. Do tego łóżeczka zabierałam zawsze swoją lalkę. Istota ludzka musi coś kochać, a ja w braku godniejszych kochania przedmiotów znajdowałam przyjemność w kochaniu i pieszczenu tej wyblakłej podobizny człowieka, lichej i źle ubranej, jak minjaturowy strach na wróble. Zastanawia mnie to, gdy sobie przypominam, jak niedorzecznie a szczerze rozplýwałam się nad tą zabaweczką, wyobrażając sobie, że ona żyje i zdolna jest odczuwać. Nie byłabym mogła usnąć, nie otuliwszy jej wpierw swoją nocną koszulką, a gdy leżała przy mnie bezpiecznie i ciepło, czułam się stosunkowo dobrze, wierząc, że i ona również czuje się dobrze.

Dłużyły mi się godziny oczekiwania na odjazd gości. Nadśłuchiwałam odgłosu kroków Elżbietki na schodach; Elżbietka niekiedy przychodziła to po naparstek, to po nożyczki, czasami przynosiła mi coś na kolację — jakąś bułeczkę albo ciastko z serem, wtedy siedziała na łóżku, podczas gdy jadłam, a gdy skończyłam, pocałowałwszy mnie dwa razy, mówiła: „Dobranoc, panno Joasiu”. Gdy taka była miła i łagodna, wydawała mi się najlepszą, najładniejszą, najpocziwszą w świecie istotą, i tylko jak najgoręcej pragnęłam, żeby zawsze była tak miła i dobra, a nie popychała mnie, nie burczała na mnie, nie stawiała mi nierozsądnych żądań, co aż nazbyt często robiła. Elżbietka Lee była to, sądzę, zdolna z natury dziewczyna, gdyż wszystko, co robiła, robiła składnie i ładnie i miała wybitny dar opowiadania. I ładna była przytęm, jeżeli

dobrze pamiętam jej twarz. Przypominam ją sobie jako młodą dziewczynę wiotką, o czarnych włosach, ciemnych oczach, bardzo ładnych ry ach i świeżej jasnej cerze; ale miała usposobienie kapryśne i prędkie i niezbyt gruntowne pojęcie o zasadach i sprawiedliwości; ale pomimo to wolałam ją niż wszystkich innych mieszkańców Gateshead Hall.

Działo się to piętnastego stycznia, około godziny dziewiątej rano. Elżbietka zeszła była nadół na śniadanie; kuzynek moich jeszcze nie zawołano do matki, Eliza wkładała kapelusz i ciepły płaszcz ogrodowy, by pójść nakarmić swój drób; zajęcie, za którym przepadała, niemniej przepadając za sprzedawaniem jaj gospodyni i gromadzeniem otrzymanych tą drogą pieniędzy. Miała ona żyłkę kupiecką i wybitną skłonność do oszczędzania; dowodem tego było nietylko sprzedawanie jaj i kurcząt, ale sprzedawanie ogrodnikowi za drogie pieniądze cebulek i nasion kwiatowych i ciętych kwiatów; ogrodnikowi nakazała pani Reed kupować od panienki wszelkie produktu jej ogródka, jakieby tylko sprzedać pragnęła. Eliza zaś sprzedaby włosy z głowy, gdyby tylko mogła na tem porządnie zarobić. Pieniądze chowała początkowo w rozmaitych kątach, zawinięte w gałganek albo w stare papierki od papilotów; ponieważ jednak niektóre z tych skarbów odkryła pokojowa, Eliza, w obawie, żeby kiedy nie stracić swoich cennych bogactw, zgodziła się powierzyć je matce na lichwiarski procent, jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt od sta; te procenta wyciągała co kwartał, z największą akuratnością prowadząc rachunki w książeczkę.

Georgjana siedziała na wysokiem krześle, czesząc włosy przed lustrem i przetykając loki sztucznemi kwiatami i wyblakłemi piórami, których zapas znalazła w jakiejś szufladzie na strychu. Ja ścieliłam łóżko, otrzymawszy wyraźny rozkaz od Elżbietki, bym je doprowadziła do porządku, zanim ona powróci (Elżbietka bowiem często teraz używała mnie do czynności jakby podpokojowej w pokoju dziecinnym, do porządkowania w pokoju, okurzenia krzeseł i t. p.). Złożywszy nocną bieliznę i zaście-

liwszy kapę, podeszłam do okna, chcąc ułożyć niektóre rozrzucone tam książki z obrazkami i mebelki z pokoju lalek; zatrzymał mnie nagły rozkaz Georgjany, żeby nie ruszać jej zabawek. Wtedy, nie mając nic lepszego do roboty, zaczęłam chuchać na zamarzlą w kwiaty szybę, by tym sposobem odczyścić kawałek szkła i móc wyrzeć na świat, gdzie wszystko było takie ciche i stęzałe pod wpływem silnego mrozu.

Z okna widać było łożę portjera i zajazd; właśnie też w chwili, gdy rozpuściłam tyle tych srebrnobiałych liści zasłaniających szybę, że można było wyrzeć, zobaczyłam, że otwierają bramę i jakiś powóz wjeżdża. Obojętnie przyglądałam się powozowi, podjeżdżającemu przed dom; ekwipaże często przyjeżdżały do Gateshead, ale nigdy żaden nie przywiózł gości, którzyby mnie interesowali; ten powóz zajechał przed dom i stanął; dzwonek odezwał się głośno, gość został wpuszczony.

Ponieważ to wszystko niczem było dla mnie, zwróciłam uwagę na coś ciekawszego, na małą, głodną raszkę, która nadleciała i ćwierkała na gałęziach bezlistnej czereśni, przywiązanej do muru pod oknem. Reszta mojego śniadania stała na stole; rozkruszywszy kawałek bułki, starałam się właśnie otworzyć okno, ażeby okruszyny wysypać, gdy Elżbietka, biegnąc pędem po schodach, wpadła do dziecinnego pokoju.

— Panno Joasiu, zdjąć fartuszek; co tam panienska robi? Czy twarz i ręce panienska umyła dziś rano?

Szarpnęłam oknem raz jeszcze, zanim odpowiedziałam, gdyż chciałam, żeby ptaszek dostał pożywienie; okno puściło, a ja wysypałam okruszyny trochę na kamienny parapet, a trochę na gałęzie czereśni, poczem, zamykając okno, odpowiedziałam:

— Nie, Elżbietko, ja dopiero w tej chwili skończyłam ścierać kurze.

— Nieznośne, niedbałe dziecko! A cóż to panienska robi tam teraz? Cała czerwona, z pewnością jakaś psota była tam w robocie: poco było otwierać to okno?

Nie potrzebowałam się silić na odpowiedź, gdyż Elżbietka widocznie za bardzo się spieszyła, by czekać na

wyjaśnienia; pociągnęła mnie do umywalni, niemiłosiernie, choć na szczęście prędko wyszorowała mi twarz i ręce wodą, mydłem i grubym ręcznikiem, wyszczotkowała głowę ostrą szczotką, zdjęła ze mnie fartuszek i wyprowadziwszy mnie szybko na schody, kazała natychmiast zejść nadół, i stawić się w saloniku.

Miałam ochotę zapytać, kto się ze mną chce widzieć; miałam ochotę zapytać, czy tam jest pani Reed, — ale Elżbieta już odeszła i zamknęła za sobą drzwi dziecinnego pokoju. Zwolna schodziłam ze schodów. Od trzech miesięcy prawie nie byłam nigdy wzywana przed oblicze pani Reed; dla mnie skazanej tak długo na pokój dziecinniej, stała się jadalnia oraz salon jakąś straszną dziedziną, do której bałam się wkraczać.

Stałam teraz w pustym hallu, przede mną były drzwi saloniku, a ja zatrzymałam się, onieśmielona i drżąca. Co za biednego, małego tchórza uczynił ze mnie w owych czasach strach, zrodzony z niesprawiedliwej kary! Lękałam się wracać do dziecinnego pokoju, lękałam się iść naprzód i wejść do saloniku; z dziesięć minut tak stałam, wahająca się, wzruszona; gwałtowne dzwonienie dzwonka z saloniku zdecydowało mnie; muszę wejść.

„Kto może chcieć się ze mną widzieć?” pytałam siebie w duszy, gdy oburącz naciskałam klamkę, która opierała mi się przez chwilę. „Kogo zobaczę w pokoju oprócz wujenki? mężczyznę czy kobietę?” Klamka ustąpiła, drzwi się otworzyły, a ja wszedłszy i dygnawszy nisko, podniosłam oczy i ujrzałam — czarny słup! taką przynajmniej wydała mi się na pierwsze wrażenie sztywna, wąska, czarno ubrana, wyprostowana postać, stojąca na dywanie; surowa twarz wyglądała jak rzeźbiona maska umieszczona na szczycie kolumny zamiast kapitolu.

Pani Reed siedziała na zwykłym miejscu przy kominku; skinęła na mnie, bym się przybliżyła; posłuchałam, a ona przedstawiła mnie gościowi w tych słowach:

— Oto jest ta dziewczynka, co do której zwracałam się do pana.

On — gdyż był to mężczyzna — obrócił zwolna głowę ku mnie, a przypatrując mi się badawczemi siwemi

oczami, mrugającymi pod krzaczastymi brwiami, orzekł hasem uroczyście:

— Jest małego wzrostu. W jakim jest wieku?

— Dziesięć lat.

— Aż tyle? — odpowiedział tonem powątpiewania, poczem w dalszym ciągu przez parę minut przyglądał mi się badawczo.

— Jak się nazywasz, dziewczynko? — zwrócił się wkońcu do mnie.

— Joanna Eyre, panie.

Wymawiając te słowa podniosłam na niego oczy. Ten pan wydał mi się wysoki, ale to prawda, że ja byłam bardzo mała. Rysy miał grube i wszystko w nim było surowe, wymuszone.

— No powiedz mi, Joanno Eyre, czy jesteś dobrem dzieckiem?

Niepodobna mi było odpowiedzieć na to twierdząco; moje otoczenie było przeciwnego zdania; milczałam. Pani Reed odpowiedziała za mnie wymownem potrząśnięciem głowy, dodając:

— Może lepiej o tem nie mówić, panie Brocklehurst.

— Przykro mi, doprawdy, że muszę to słyszeć! Muszę z nią trochę pogadać! — Tu, łamiąc swą prostopadłą linję, zakwaterował się w fotelu naprzeciw pani Reed. — Pójdź tutaj — rzekł.

Przeszłam przez dywan; postawił mnie prosto przed sobą. Jakaż on miał twarz, gdy zobaczyłam ją prawie na jednym poziomie z moją własną! co za wielki nos! a jakie usta! i co za ogromne wystające zęby!

— Niema smutniejszego widoku nad widok niegrzecznego dziecka — zaczął — zwłaszcza niegrzecznjej dziewczynki. Czy ty wiesz, dokąd źli idą po śmierci?

— Idą do piekła — odpowiedziałam szybko i trafnie.

— A co to jest piekło? Czy możesz mi na to odpowiedzieć?

— Piekło to otchłań, pełna ognia.

— A czy tybyś chciała wpaść do tej otchłani i smażyć się tam na wieki?

— Nie, panie.

— Więc co winnaś robić, żeby jej uniknąć?

Zastanowiłam się przez chwilę; odpowiedź moja, gdy się na nią zdobyłam, nie spodobała się:

— Muszę być zdrowa i nie umierać.

— Jak możesz być zdrowa? Dzieci młodsze od ciebie umierają codziennie. Nie dalej, jak dwa dni temu pochowałam małe dziecko pięcioletnie — dobre, grzeczne dziecko, którego duszyczka jest teraz w niebie. Lękam się, że nie możnaby tego powiedzieć o tobie, gdyby cię Pan Bóg stąd odwołał.

Nie mogąc go pod tym względem uspokoić, spuściłam tylko oczy, utkwivszy je w dwóch wielkich nogach, spoczywających na dywanie, i westchnęłam, pragnąc być stąd najdalej.

— Spodziewam się, że to było westchnienie z głębi serca i że żałujesz, iż martwiłaś twą najlepszą dobrodziejkę.

„Dobrodziejkę! dobrodziejkę!” pomyślałam: „oni wszyscy nazywają panią Reed moją dobrodziejką; jeżeli tak, to „dobrodziejka” jest czemś bardzo nieprzyjemnem”.

— Czy odmawiasz pacierz rano i wieczór? — dopytywał dalej.

— Tak, panie.

— Czytujesz biblię?

— Czasami.

— Z przyjemnością? Czy bardzo ją lubisz?

— Lubię Objawienia i księgę o Danielu i Genesis i o Samuelu, i kawałek księgi Exodus, i niektóre części Księgi Królów i o Hiobie i o Jonaszu.

— A psalmy czy ci się podobają? Sądzę, że je lubisz?

— Nie, panie.

— Nie? O to źle! Ja mam małego chłopczyka, młodszego od ciebie, który sześć psalmów umie napamięć; a gdy go zapytać, co woli — czy dostać do zjedzenia orzech osmażany czy nauczyć się wiersza jakiego psalmu, odpowiada: „O, nauczyć się wiersza jakiego psalmu! aniołowie śpiewają psalmy!” — tak on mówi i dodaje:

„A ja pragnę być aniołkiem tu na ziemi!” A wtedy dostaje dwa orzechy w nagrodę, że taki pobożny.

— Psalmi nie są zajmujące — zauważyłam.

— To dowodzi, że masz złe serce i powinnaś modlić się do Boga, ażeby ci je odmienił; ażeby dał ci nowe, czyste serce; ażeby ci odjął to serce kamienne, a dał ci serce z żywego ciała.

Już się miałam zapytać, w jaki to sposób miałyby się odbyć taka operacja zamiany mojego serca, gdy wmieszała się pani Reed, nakazując mi, bym usiadła. Zaraz też dalszą rozmowę wzięła na siebie.

— Panie Brocklehurst, zdaje mi się, że w liście pisany do pana przed trzema tygodniami, wyznałam panu, że ta dziewczynka ma charakter i usposobienie nie takie, jakieby mi się chciało w niej widzieć. Jeżeli przyjmie ją pan do szkoły w Lowood, byłabym rada, gdyby poproszono nauczycielki, by baczone na nią miały oko, a przede wszystkim, by strzegły ją od jej najgorszej wady, skłonności — do kłamstwa i obłudy. Wspominam o tem przy tobie, Joasiu, żebyś nie próbowała oszukiwać pana Brocklehursta.

Czyż mogłam się nie bać pani Reed? Rzecz prosta, że musiałam jej nie znosić, skoro w jej naturze leżała chęć zadawania mi ran okrutnych; nigdy w jej obecności nie czułam się dobrze; i chociaż starałam się być posłuszną i dogodzić jej, usiłowania moje zawsze odpychała i odpłacała zdaniem takimi, jak powyższe. Teraz to oskarżenie, wypowiedziane przed człowiekiem obcym, dotknęło mnie do głębi serca; niejasno spostrzegłam, że już mi ona zaczyna odbierać nadzieję, pokładaną w tej nowej fazie istnienia, na jaką mnie skazywała, i czułam, choć nie byłabym umiała uczucia tego wyrazić, że sieje ona wstręt i nieżyczliwość wzdłuż drogi, jaką w przyszłości iść miałam; widziałam, jak w oczach pana Brocklehursta zamieniam się w dziecko fałszywe, szkodliwe — i cóż ja mogłam uczynić, żeby tej krzywdzie zaradzić? „Nic w istocie” pomyślałam, walcząc, by powstrzymać łkanie, i szybko otarłam kilka łez, bezsilnych dowodów mojej

— Obluda, to w istocie brzydka wada w dziecku — rzekł pan Brocklehurst. — Jest ona pokrewna z fałszem, a wszyscy kłamcy dostają kary w jeziorze, płonącym ogniem i siarką. Będą jej jednak pilnować, pani Reed. Pomówię z panną Temple i z nauczycielkami.

— Pragnęłabym, żeby Joanna była wychowana w sposób odpowiedni do jej widoków w przyszłości — ciągnęła dalej moja dobrodziejka — żeby nauczyła się użyteczności i pokory. Co do wakacyj, to jeżeli pan pozwoli, będzie je zawsze spędzała w Lowood.

— Życzenia pani są najzupełniej słuszne — odpowiedział pan Brocklehurst. — Pokora jest to cnota chrześcijańska, szczególnie odpowiednia dla wychowanek Lowood; to też ja wymagam, żeby ją jak najstaranniej wpośród nich hodowano. Wystudjowałem, w jaki sposób można najlepiej w nich upokorzyć uczucia światowej pychy, i nie dalej jak parę dni temu miałem miły dowód, że mi się powiodło. Młodsza moja córka poszła z matką zwiedzić szkołę, a wróciwszy, zawołała: „O, drogi papo, jak skromnie i jak nieładnie wszystkie te dziewczęta w Lowood wyglądają, z temi włosami, szczesanemi za uszy, w tych długich fartuchach i z kieszonkami na wierzchu u sukien; wyglądają prawie, jak dzieci biednych ludzi! a przytem — dodała — przyglądały się mojej sukni i maminej, jakgdyby jedwabnej sukni nigdy dotąd nie widziały!”

— To właśnie stan rzeczy, który ja najzupełniej pochwalam — odpowiedziała pani Reed. — Gdybym przeszukała całą Anglję, nie wiem, czy byłabym znalazła system, odpowiedniejszy dla takiego dziecka, jak Joanna Eyre. Konsekwencja, mój drogi panie Brocklehurst; ja obstaje za konsekwencją we wszystkim.

— Konsekwencja, pani, jest pierwszym obowiązkiem chrześcijańskim i pilnuje się jej też we wszystkich urządzeniach, związanych z zakładem w Lowood: prosty pokarm, prosty ubiór, niewymyślne urządzenia, surowe i pracowite zwyczaje — taki jest porządek dnia w domu dla ięso mieszkanek.

— Bardzo słusznie, łaskawy panie. Czy mogę zatem liczyć na to, że to dziecko będzie przyjęte do szkoły w Lowood i tam chowane odpowiednio do swego stanowiska i przyszłych hwidoków?

— Tak, pani, niech i pani na to liczy, będzie przyjęta do tej hodowli i doborowych roślin, ni ufam, że okaże się wdzięczna za ten nieoceniony przywilej, że została wybrana.

— Pośle ją zatem możliwie najprędzej, panie Brocklehurst, gdyż zapewniam pana, iż pilno mi uwolnić się od odpowiedzialności, która zaczęła się stawać już nazbyt dokuczliwą.

— Niewątpliwie, niewątpliwie, łaskawa pani, a teraz z się pożegnaj. Powrócę do Brocklehurst Hall w ciągu tygodnia lub dwóch tygodni, mój dobry przyjaciel, archidiakon, prędzej mnie nie wypuści. Napiszę do panny Temple, że ma oczekiwać nowej dziewczynki, i tak, że nie będzie trudności z jej przyjęciem. Dówidzenia!

— Dówidzenia, panie Brocklehurst, proszę mnie przypomnieć pamięci pani Brocklehurst, jej córek i synów.

— Nie omieszka, łaskawa pani. Dziewczynko, oto masz książkę, zatytułowaną *Przewodnik Dziecka*; czytaj ją i módl się, czytaj zwłaszcza „Opowiadanie o okropnej nagłej śmierci Marty G., niedobrego dziecka, grzeszącego o fałszem i kłamstwem”.

To mówiąc, pan Brocklehurst wsunął mi w rękę cienką broszurkę, wszytą w wkładkę, i zadzwoniwszy, by podano powóz, odjechał.

Pani Reed i ja zostałyśmy same; kilka minut tupłyśmy w milczeniu, ona szyla, ja się jej przypatrywałam. Pani Reed mogła mieć wtedy ze trzydzieści sześć lub siedm lat; była to kobieta silnie zbudowana, szeroka w ramionach i chociaż zęga, nie gruba; twarz jej była nieco szeroka, gdyż z dolną szczękę miała silnie rozwiniętą, mocną; niskie miała czoło, dużą i wystającą brodę, usta i nos dśyć regularne; pod jasnymi brwiami błyszcząły oczy, pozbawione łagodności; cerę miała ciemną, włosy prawie lnianego koloru; organizm jej był zdrowy, nie znała, co to choroba; była to dokładnia mądra gospodyni;

domowników i dzierżawców trzymała krótko; dzieci niekiedy opierały się jej władzy i śmiały się z niej pogardliwie; dobrze się ubierała i miała postawę, na której strój ładnie się wydawał.

Siedząc na niskim stołeczku o parę kroków od jej fotela, przyglądałam się jej twarzy. W ręce trzymałam rozprawkę, zawierającą „Nagłą śmierć kłamczyni“, na którą, jako na odpowiednią przestrożę, zwrócono mi przed chwilą uwagę. Wszystko, co zaszło przed chwilą, co pani Reed o mnie powiedziała panu Brocklehurst, cała treść ich rozmowy — wszystko to było żywe, świeże, wszystko bolało w duszy; odczuwałam każdy wyraz tak dotkliwie, jak wyraźnie go usłyszałam, i jakaś pasja urazy wrzała teraz we mnie.

Pani Reed podniosła wzrok z nad roboty; oczy jej zatrzymały się na moich oczach, a równocześnie palce zaprzestały zręcznych ruchów.

— Wyjdź stąd, wracaj do dziecinnego pokoju — rozkazała. Moje spojrzenie lub wyraz twarzy musiały jej się wydać obraźliwe, gdyż mówiła z niezwykłym, chociaż hamowanym rozdrażnieniem. Wstałam, poszłam ku drzwiom i znowu wróciłam; podeszłam do okna, przeszłam przez pokój i stanęłam przed nią tuż blisko.

Czułam, że muszę mówić; zdeптano mnie boleśnie, muszę mieć odwet, ale jak? Gdzież ja mam siłę odeprzeć cios mojej nieprzyjaciółki? Zebrałam całą energię i wyrzuciłam z siebie te szczerze a zuchwałe słowa:

— Ja nie jestem obłudna; gdybym nią była, powiedziałabym, że panią kocham, a ja oświadczam, że nie kocham pani; nie znoszę pani tak, jak nikogo na świecie, z wyjątkiem Janka Reed; a tę książeczkę o kłamczyni może pani dać swojej córce Georgjanie, gdyż to ona kłamie, nie ja.

Ręce pani Reed wciąż jeszcze beczynn timer leżały na robocie, a lodowate jej oczy mroźno tkwiły w moich.

— Co więcej masz mi do powiedzenia? — zapytała tonem takim raczej, jakim ktoś mógłby przemawiać do dorosłego przeciwnika, niż jakim się zwykło przemawiać do dziecka.

Te jej oczy, ten głos, obudziły całą antypatję, jaką ku niej czułam. Trzęsąc się od stóp do głów, cała drżąca przemożnem wzburzeniem, mówiłam dalej:

— Cieszę się, że pani nie jest żadną moją krewną; dopóki żyję, już pani nigdy nie nazwę wujenką; nigdy pani nie odwiedzę, gdy dorosnę; a gdy mnie kto zapyta, czy panią lubię i czy pani była dla mnie dobra, powiem, że sama myśl o pani jest dla mnie jak choroba, i że obchodziła się pani ze mną nielitościwie, okrutnie.

— Jak śmiesz to twierdzić, Joanno?

— Jak ja śmiem? Jak ja śmiem? Ponieważ to jest p r a w d a. Pani myśli, że ja nie mam uczuć i że mogę się obywać bez odrobiny miłości albo dobroci; ale ja tak żyć nie mogę; a pani nie ma litości. Będę pamiętała, jak mnie pani odepchnęła — szorstko i gwałtownie odepchnęła zpowrotem... do czerwonego pokoju i zamknęła tam; będę o tem pamiętała do końca życia; chociaż byłam w takim strachu, chociaż wołałam, dusząc się od męki: „Miej litość! miej litość, wujenko!” A tę karę kazała mi pani znosić, ponieważ jej niegodziwy chłopak zbił mnie, uderzył mnie za nic, tak że upadłam. Opowiem każdemu, kto mnie będzie pytał, opowiem to dokładnie. Ludzie myślą, że pani jest dobra kobieta, ale pani jest zła, twarde ma pani serce. T o p a n i jest obłudna!

Zanim dokończyłam tej przemowy, poczułam, że dusza we mnie zaczyna rosnać, radować się najdziwniejszem poczuciem wolności i nieznanego dotąd triumfu. Wydawało mi się, jakgdyby jakieś niewidzialne węzły pękały, a ja walcząc, niespodziewanie wydostaję się na swobodę. I nie bez powodu odnosiłam to wrażenie: pani Reed zdawała się być wystraszona; robota zsunęła jej się z kolan, podniosła ręce, kołysząc się tam i zpowrotem i nawet wykrzywiając twarz, jakgdyby się jej na płacz zbierało.

— Joasiu, ty się mylisz, co się z tobą dzieje? Cemu tak drżysz gwałtownie? Nie chciałabyś napić się trochę wody?

— Nie, dziękuję pani.

— Może czego innego życzysz sobie, Joasiu? Zapewniam cię, że ci dobrze życzę.

— Nie, pani. Powiedziała pani panu Brocklehurst, że ja mam niedobry charakter, że mam kłamliwe usposobienie; a ja opowiem wszystkim w Lowood, jaką pani jest, i co pani zrobiła.

— Joasiu, ty tego nie rozumiesz: dzieci muszą być ukarane, jeżeli zawinią.

— Ja nigdy nie zawiniłam kłamstwem! — zawołałam jakimś dzikim, podniesionym głosem.

— Ale jesteś złośnica, to musisz przyznać; a teraz wracaj do dziecinnego pokoju... no, moja kochana... i połóż się trochę.

— Niech mi pani nie mówi „kochana“, bo to nie prawda! Ja nie mogę się położyć; niech mnie pani jak najprędzej pośle do szkoły, bo życie tutaj dla mnie jest nieznośne.

— Rzeczywiście, ja ją jak najprędzej wyślę do szkoły — szepnęła pani Reed, i zabrawszy robotę, wyszła nagle z pokoju.

Zostałam sama — zwycięska na polu bitwy. Pierwsza to była moja walka i pierwsze moje zwycięstwo. Stałam przez chwilę na dywanie, w miejscu gdzie przedtem stał pan Brocklehurst, i cieszyłam się zdobytą samotnością. Zrazu uśmiechałam się do siebie i czułam się podniesioną na duchu; ale ta dzika radość przygasła we mnie równie prędko, jak uspokoiło się przyspieszone bicie mego tętna. Dziecko nie może wojować z starszymi, tak jak ja to uczyniłam; nie może puszczać wodzy uczuciom wściekłości, nie odczuwając zaraz potem dręczącego wyrzutu sumienia i chłodu reakcji. Wybuch jaskrawego, żywego, gorącego, pochłaniającego płomienia byłby obrazem stanu mej duszy w chwili gdy oskarżałam panią Reed i groziłam jej; czarna, wypalona pustka z chwilą, gdy płomień zagasły, byłaby obrazem jej stanu, gdy półgodzinna cisza i zastanowienie wykazały mi szaleństwo mojego postąpienia i okropność mego stanowiska nienawidzonej i nienawidzącej.

Zemsty zakosztowałam po raz pierwszy; wydawało mi się to winem aromatycznym i krzepiacem, lecz metaliczny i gryzący posmak budził we mnie uczucia jakobym

była otruta. Chętnie byłabym teraz poszła i przeprosiła panią Reed. Wiedziałam jednak, poczęści z doświadczenia a poczęści instynktowo, że wtedy odepchnęłaby mnie z podwójną pogardą, tem samem podniecając tylko na nowo niespokojne w mej duszy popędy.

Pragnęłam czem innem zająć myśli wzburzone, znaleźć karm dla uczuć mniej wrogich, niż uczucia posępnego oburzenia. Wzięłam do ręki książkę — były to bajki arabskie; siadłam i próbowałam czytać. Nie mogłam jednak doczytać się sensu; moje własne myśli stawały pomiędzy mną a stronicami, w których zawsze znajdowałam tyle uroku. Otworzyłam szklane drzwi od ogrodu: cisza tam panowała zupełna; mróz bez słońca i bez powiewu ogarniał cały ogród. Okryłam głowę i ramiona spódnicą mojej sukni i wyszłam przejść się po ustronnej zupełnie części parku. Nie znalazłam jednakże przyjemności w widoku drzew milczących, spadających szyszek świerkowych, zmarzniętych resztek jesieni, rdzawych liści, wiatrami na kupki zmiecionych i zeszywniałych teraz. Oparłam się o bramę i wyjrzałam na puste pole, gdzie nie było pasących się owiec na krótkiej teraz, zwarzonej i zbielałej trawie. Szary to był dzień; nieprzejrzyste niebo, śnieg zapowiadające, zwisało ciemną oponą nad ziemią; spływały stamtąd od czasu do czasu śnieżne płatki i osiadały nie topniejąc na twardej ścieżce i oszroniałej trawie. Stałam tak, nieszczęśliwe dziecko, szepcząc do siebie: „Co ja pocznę?... Co ja pocznę?“

Wtem usłyszałam wołający mnie jasny głos:

— Panno Joasiu! Gdzie panienka jest? Proszę na drugie śniadanie!

To Elżbietka, wiedziałam, ale nie ruszyłam się; lekkie jej kroki biegły wzdłuż ścieżki.

— O, ta niegrzeczna osóbkal — powiedziała. — Dlaczego to panienka nie przychodzi, kiedy ją wołają?

Obecność Elżbietki w porównaniu z myślami, które mnie gnębiły, wydała mi się radosną, pomimo że jak zwykle, była trochę w złym humorze. Faktycznie, że po mojem starciu z panią Reed i po mojem zwycięstwie nie dbałam wielce o przejściowy gniew bony, a zato mia-

łam ochotę rozweselić się nieco jej młodzieńczą swobodą serca. Więc też poprostu zarzuciłam jej obie ręce na szyję i powiedziałam:

— No Elżbietko, nie gniewać się, nie besztać!

Szczerszy to był i śmielszy odruch z mej strony, niż jakikolwiek dotychczas; jakoś jej się to spodobało.

— Dziwne z panienki dziecko, panno Joasiu — rzekła, patrząc na mnie; — takie małe, rozmarzone, zamknięte w sobie stworzenie. Ma panienka pójść do szkoły, zdaje mi się.

Skinęłam głową.

— I nie żał będzie panience opuścić biedną Elżbietkę?

— Co sobie Elżbietka robi ze mnie? Zawsze tylko burczy na mnie.

— Bo z panienki takie dziwne, wystraszone, nieśmiałe stworzonko. Trzeba być śmielszą.

— Co! Żeby więcej szturchać ów oberwać?

— Głupstwo! Ale poniewierają tu panienkę trochę, to pewna. Matka moja, gdy mnie tu w przeszłym tygodniu odwiedzała, mówiła, że nie chciałaby, ażeby które z jej małych było na miejscu panienki. No, a teraz pojedziemy do domu, mam pewne dobre wiadomości dla panienki.

— Nie chce mi się wierzyć, Elżbietko!

— Dziecko! co ty przez to rozumiesz? Jakiemi smutnymi oczami patrzysz na mnie! No więc — pani, panienki i pan Janek wyjeżdżają dziś po południu na herbatę, a panienka będzie piła herbatę ze mną. Poproszę kucharki, żeby upiekła panience ciasteczek, a potem pomoże mi panienka przejrzeć swoje szuflady, gdyż mam zapakować walizkę panienki. Pani chce, żeby panienka wyjechała z Gateshead za jaki dzień albo dwa dni, i ma panienka wybrać sobie między zabawkami te, które miałyby ochotę zabrać ze sobą.

— Elżbietko, musisz mi przyrzec, że już aż do mojego wyjazdu nie będziesz się na mnie gniewała.

— Dobrze, ale proszę pamiętać, żeby panienka była bardzo grzeczną dziewczynką i nie bała się mnie. Proszę

nie skakać, gdybym przypadkiem coś ostrzej powiedziała — to tak drażni.

— Myślę, że już się ciebie nie będę więcej bała, Elżbietko, gdyż przyzwyczaiałam się do ciebie, a wkrótce będę miała innych ludzi, których się będę bała.

— Jak ich się będziesz bała, nie będą cię lubili.

— Tak, jak ty, Elżbietko?

— Ja panienki nie „nie lubię“; mnie się zdaje, że ja właśnie panienkę więcej lubię, niż wszystkich tamtych.

— Nie okazujesz tego!

— Jesteś bystrem stworzonkiem! nabyłaś zupełnie nowego sposobu mówienia. Skąd taka ryzykowna odwaga?

— No cóż, już niedługo cię odjadę, a przytem... — miałam coś powiedzieć o tem, co zaszło między mną a panią Reed, ale po namyśle osądziłam, że lepiej o tej sprawie milczeć.

— A więc cieszy się panienka, że mnie opuszcza?

— Wcale nie, Elżbietko; w tej chwili to raczej mi żal.

— W tej chwili! i raczej! Jak chłodno moja mała dama to mówi! Przypuszczam, że gdybym teraz poprosiła o buziaka, nie chciałaby mi go panienka dać.

— Pocałuję cię, i jeszcze jak chętnie! Nachyl tylko głowę!

Elżbietka nachyliła się, uściskałyśmy się wzajemnie i poszłam za nią do domu, zupełnie uspokojona. To popołudnie upłynęło w spokoju i zgodzie, a wieczorem opowiedziała mi Elżbietka jedną ze swoich najbardziej zajmujących historyj i zaśpiewała mi kilka najmilszych piosenek. Nawet dla mnie miało życie przebłyski słoneczne.

ROZDZIAŁ V.

Było to 19-go stycznia. Za ledwie wybiła piąta rano, Elżbietka wniosła świecę do mojej komórki i zastała mnie już na nogach prawie ubraną. Wstałam na pół godziny

przed jej przyjściem, wymyłam twarz i włożyłam ubranie przy świetle zachodzącego właśnie księżycy, którego promienie wpadały przez wąskie okno, bliskie mego łóżka. Miałam opuścić Gateshead tego dnia dyliżansem, przejeżdżającym obok bramy przy portjerni o szóstej rano. Elżbietka była jedyną osobą, która dotychczas wstała; rozpałała ogień w dziecinnym pokoju, a teraz zaczęła przyrządzać mi śniadanie. Rzadko kiedy potrafią dzieci jeść, gdy je podnieca myśl o czekającej podróży, i ja też jeść nie mogłam. Elżbietka, która napróżno usiłowała wmusić we mnie trochę mleka i chleba, zawinęła w papier kilka biszkoptów i wsunęła do mojej torebki; następnie pomogła mi włożyć płaszcz i kapelusz, i zawiąawszy się w szal, wyszła ze mną z dziecinnego pokoju. Przechodząc koło sypialni pani Reed, zapytała:

— Czy wejdzie panienka pożegnać się z panią?

— Nie, Elżbietko — odpowiedziałam. — Pani Reed wczoraj wieczorem przyszła do mego łóżka, podczas gdy ty byłaś na dole na kolacji, i powiedziała mi, że nie potrzebuję budzić jej rano, ani moich kuzynek, i powiedziała, że mam pamiętać, iż zawsze była moją najlepszą przyjaciółką i że odpowiednio mam mówić o niej i być jej wdzięczną.

— A panienka co na to odpowiedziała?

— Nic; zakryłam twarz kołdrą i obróciłam się od niej do ściany.

— To było źle, panno Joasiu.

— To było zupełnie słusznie, Elżbietko. Twoja pani nie była moją przyjaciółką, ona była moim wrogiem.

— O panno Joasiu! Niech panienka tego nie mówi!

— Żegnam cię, Gateshead! — zawołałam, gdy minąwszy hall, wychodziłyśmy frontowymi drzwiami.

Księżyc już zaszedł i było bardzo ciemno; światło latarni, którą Elżbietka niosła, migało po mokrych stopniach i żwirze drogi, rozmięklej w świeżej odwilży. Ostry i chłodny był ten zimowy ranek, szczykałam zębami, pospieszając drogą. Świeciło się w loży portjera: doszedłszy tam, zastaliśmy odzwierną, rozpalającą właśnie ogień; walizka moja, odniesiona poprzedniego wieczora, stała

przy drzwiach, obwiązana sznurami. Brakło tylko kilka minut do szóstej, a zaledwie godzina ta wybiła, daleki turkot kół zwiastował, że dylizans nadjeżdża; stanęłam w drzwiach i śledziłam jego latarnie, zbliżające się szybko skroś ciemności.

— Czy ona sama jedzie? — zapytała odzwierna.

— Tak jest, sama.

— A jak daleko?

— Pięćdziesiąt mil.

— Taka długa droga! Dziwię się, że pani Reed nie boi się tak daleko puścić dziecka samego.

Dylizans podjechał; oto stał przed bramą, zaprzężony w cztery konie, naładowany pasażerami; wniesiono moją walizkę, zabrano mnie z objęć Elżbietki, do której tuliłam się, obsypując ją pocałunkami.

— Niech się pan nią dobrze opiekuje — zawołała Elżbietka, gdy konduktor wsadzał mnie do środka.

— Dobrze, dobrze — odpowiedział; drzwiczki zatrzaśnięto, jakiś głos zawołał: „Wszystko w porządku!” i ruszyliśmy.

W ten sposób rozstałam się z Elżbietką i z Gateshead; w ten sposób porwana w świat nieznaną, a jak mi się wtedy wydawało, w jakieś odległe i tajemnicze światy.

Z tej podróży niewiele pamiętam; wiem tylko, że dzień ten wydał mi się nienaturalnie długi i że mi się wydawało, że jakieś setki mil przebywamy. Przejeżdżaliśmy przez kilka miast, a w jednym, bardzo dużym, dylizans się zatrzymał. Wyprzężono konie i pasażerowie wysiedli na obiad. Zaniesiono mnie do hotelu, gdzie konduktor chciał, żebym zjadła coś na obiad; ponieważ jednak nie miałam apetytu, zostawił mnie w ogromnym pokoju, gdzie w dwóch jego końcach stały dwa kominki, świecznik wisiał u sufitu, a pod ścianą biegła mała czerwona galeryjka pełna narzędzi muzycznych. W tej sali spacerowałam dłuższy czas, i było mi dziwno i straszno; śmiertelnie się bałam, że może ktoś wejść i porwać mnie, bo wierzyłam „w porywanie”, w wieczornych opowiadaniach Elżbietki przy kominku porywanie dzieci zacho-

dziło często. Nareszcie konduktor powrócił, wpakował mnie znów do dyliżansu, zajął swoje miejsce, zatrąbił, i turkocząc ruszyliśmy kamienistą drogą, prowadzącą do Lowood.

Popołudnie było wilgotne i trochę mgliste. Gdy zmierzch zaczął zapadać, ogarnęło mnie wrażenie, że Gateshead zostało rzeczywiście bardzo daleko za nami; już nie przejeżdżaliśmy przez miasta; zmienił się widok okolicy; wielkie siwe wzgórza zarysowały się na widnokręgu; gdy mrok gęstniał, zjechaliśmy w dolinę ciemną, zalesioną, a chociaż już ciemny wieczór zasłonił wszelki widok, słyszałam, jak wpośród drzew wiatr szumi.

Ukołysana tym szumem, zapadłam wkońcu w sen. Niedługo spałam, gdy mnie zbudziło nagłe ustanie ruchu; drzwiczki dyliżansu były otwarte i jakaś osoba, wyglądająca na służącą, stała przy nich; zobaczyłam jej twarz i ubranie przy świetle latarni.

— Czy jest tu mała dziewczynka, nazwiskiem Joanna Eyre? — zapytała. Odpowiedziałam „tak!” i wtedy mnie wysadzono; oddano moją walizkę i dyliżans natychmiast ruszył w dalszą drogę.

Zesztywniała byłam od długiego siedzenia i oszołomiona turkotem i ruchem dyliżansu: zbierając myśli, rozejrzałam się dokoła. Deszcz, wiatr, ciemności wypełniały powietrze; pomimo to rozpoznałam przed sobą mur i otwarte w nim drzwi; temi drzwiami weszłam za moją przewodniczką, która je za sobą zamknęła na klucz. Teraz dojrzeć mogłam dom, czy też domy, gdyż budynek rozsiadł się szeroko — o wielu oknach; niektóre z nich były oświetlone; szłyśmy po szerokiej ścieżce, chlapiącej wilgocią; przez jakieś drzwi weszłyśmy do środka, a wtedy służąca przeprowadziła mnie przez korytarz do pokoju, gdzie palił się ogień, i tam zostawiła mnie samą.

Stałam, grzejąc zgrabiące palce nad płomieniem, a potem obejrzałam się; nie było świecy, w chwiejnym świetle ognia, płonącego na kominku, migwały tapety, dywan, firanki, błyszczące meble mahoniowe. Był to salonik, nie tak obszerny ani wspaniały, jak salon w Ga-

teshead, ale wcale przyzwoity. Zastanawiałam się, chcąc zrozumieć, co przedstawiał obraz wiszący na ścianie, gdy otworzyły się drzwi i weszła do pokoju osoba, niosąca świecę, a tuż za nią druga.

Pierwszą była wysoka dama o ciemnych włosach, ciemnych oczach i bladym, szerokim czole; postać jej częściowo okrywał szal, twarz jej wyrażała powagę, trzymała się prosto.

— Dziecko takie małe, że je też wysłano samo — zauważyła, stawiając świecę na stole. Przypatrywała mi się uważnie przez dłuższą chwilę, a potem dodała: — Najlepiej byłoby położyć ją prędko do łóżka, wydaje się zmęczona. Czy jesteś zmęczona? — zapytała, kładąc mi rękę na ramieniu.

— Trochę, proszę pani.

— I głodna także zapewne; niech jej pani każe dać co do zjedzenia, zanim się położy, panno Miller. Czy po raz pierwszy opuściłaś rodziców, jadąc do szkoły, moje dziecko?

Odpowiedziałam jej, że nie mam rodziców. Zapytała, od jak dawna nie żyją, a potem ile mam lat, jak się nazywam, czy umiem czytać, pisać i szyć trochę; a wkońcu, łagodnie pogłaskawszy mnie po twarzy, powiedziała, że „spodziewa się, że będę dobrem dzieckiem”, i pożegnała mnie i pannę Miller.

Pani, którą pożegnałam, mogła mieć jakie dwadzieścia dziewięć lat; ta, która ze mną poszła, wydawała się o kilka lat młodsza; pierwsza wywarła na mnie silne wrażenie głosem, wyglądem i obejściem. Panna Miller miała powierzchowność pospolitszą, czerwonawą cerę i wyraz twarzy zatroskany; śpieszyła się, gdy chodziła czy cokolwiek robiła, jak ktoś, kto ma zawsze mnóstwo spraw do załatwienia; sprawiała wrażenie niższej nauczycielki i tem też, jak się później dowiedziałam, była. Prowadzona przez nią, przechodziłam z oddziału do oddziału, z korytarza do korytarza wielkiego i nieregularnego budynku, aż wydostawszy się z całkowitej i dość przykłej ciszy, panującej w przebytej przez nas części domu, usłyszałyśmy brzęczenie wielu głosów

i weszliśmy do obszernego, długiego pokoju; po dwa wielkie sosnowe stoły stały w każdym końcu tego pokoju; po dwie świece paliły się na każdym stole, a na ławkach dokoła nich siedziała cała gromada dziewcząt różnego wieku, od dziewięciu lub dziesięciu lat do dwudziestu. Widziane przy ciemnym świetle lichych świeczek, wydawały mi się niezliczone, chociaż w rzeczywistości nie było ich więcej niż ośmdziesiąt i były wszystkie jednakowo ubrane w brązowe wełniane suknie dziwnego fasonu i długie płócienne fartuchy. Była to godzina nauki; obkuwały jutrzejsze zadania, a brzęczenie, które słyszałam, był to łączny rezultat ich szepotanego powtarzania.

Panna Miller dała mi znak, że mam usiąść na ławce przy drzwiach, poczem, poszedłszy na front długiego pokoju, zawołała głośno:

— Dyżurne, zebrać i odłożyć książki!

Cztery wysokie dziewczynki podniosły się od stołów, zebrały książki i odłożyły je. Panna Miller znowu wygłosiła słowa komendy:

— Dyżurne, przynieście tace z kolacją!

Wysokie dziewczynki wyszły i wróciły zaraz, niosąc każda tacę z ustawionymi na nich porcjami czegoś (nie mogłam narazie rozpoznać, co to jest), dzbankiem i garnuszkciem. Porcje rozdawały dokoła; kto chciał, brał łyk wody; garnuszek był wspólny dla wszystkich. Gdy kolej przyszła na mnie, napiłam się, bo miałam pragnienie, ale nie tknęłam jedzenia; podniecenie i zmęczenie podróżą zagłuszyły mi apetyt; teraz jednak zobaczyłam, że było to jakieś cienkie owsiane ciasto, podzielone na kawałki.

Po skończonej wieczerzy panna Miller odczytała modlitwy, i klasy wyszły rzędem, parami, na górę. Wyczerpana zmęczeniem, zaledwie zauważyłam, jak wygląda sypialnia, spostrzegłam tylko, że podobnie, jak pokój szkolny, była bardzo długa. Tej nocy miałam dzielić łóżko z panną Miller; ona mi pomogła rozebrać się; leżąc już popatrzyłam na długie rzędy łóżek, w których szybko układały się dziewczęta, w każdym po dwie.

W dziesięć minut zgaszono jedyną świecę, a ja wśród milczenia i zupełnej ciemności zasnąłam.

Noc minęła szybko; zanadto byłam zmęczona, ażeby śnić. Raz się tylko obudziłam, słysząc jak wiatr szaleje wściekłymi podmuchami i deszcz strumieniami leje, poczułam też, że panna Miller zajęła miejsce przy mnie. Gdy znów otworzyłam oczy, dzwonił głośny dzwonek; dziewczęta powstawały i ubierały się; dzień jeszcze nie świtał; jedna czy dwie świece paliły się w pokoju. I ja niechętnie wstałam, gdyż okropnie było zimno; trzęsąc się cała ubrałam się, jak mogłam, i umyłam, gdy się doczekałam wolnej miednicy, co nastąpiło nieprędko, gdyż jedna miednica wypadła na sześć dziewcząt. Znowu odezwał się dzwonek i wszystkie ustawiły się rzędem, parami i w tym porządku zeszły ze schodów i weszły do zimnego, słabo oświetlonego szkolnego pokoju; tutaj panna Miller odczytała modlitwy, poczem zawołała:

— Uformować klasy!

Wielki gwar zapanował na kilka minut. Panna Miller kilkakrotnie wołała: „Cicho!“ „Do porządku!“ Gdy się uciszyło, zobaczyłam, że dziewczynki usiadły w półkola przy czterech stołach; wszystkie trzymały w ręku książki, a wielka książka, podobna do biblii, leżała na każdym stole przed pustym krzesłem. Nastąpiło teraz kilka sekund pauzy, wypełnionej szmerem półgłośnych szeptów dziewcząt; panna Miller przechodziła od klasy do klasy i uciszała te nieokreślone odgłosy.

Zdaleka odezwał się dzwonek; natychmiast weszły trzy nauczycielki, z których każda przy stole zajęła miejsce; czwarte krzesło zajęła panna Miller. Krzesło to stało najbliżej drzwi i dokoła niego zgromadziły się najmniejsze dzieci; do tego najniższego oddziału zaliczono mnie i umieszczono na końcu.

Zaczęła się teraz praca; powtarzano kolektę dnia, następnie przepowiadano pewne teksty Pisma św., poczem nastąpiło dłuższe odczytywanie rozdziałów z biblii, a wszystko to trwało godzinę. Gdy zajęcie to ukończono, już i dzień pełny nastał. Niemordowany dzwonek odezwał się po raz czwarty; dziewczęta ustawiły

się klasami i pomaszerowały do innego pokoju na śniadanie. Jakże mnie ucieszyła nadzieja, że dostanę coś do zjedzenia! Słabo mi się robiło z czczości, tak mało przecież jadłam wczoraj!

Refektarz był wielki, niski i posepny; na dwóch długich stołach dymiły miseczki czegoś gorącego, co jednak, ku memu niemiłemu zdziwieniu, wydawało woń wcale niezachęcającą. Zauważyłam ogólne objawy niezadowolenia, gdy woń potrawy uderzyła o nosy dziewcząt; od pierwszych par procesji dziewczynek z pierwszej klasy, pobiegły szeptem słowa:

— Obrzydliwość! Kasza znowu przypalona!

— Cicho! — wykrzyknął jakiś głos; nie głos panny Miller, lecz jednej z wyższych nauczycielek, małej, ciemnej osoby, elegancko ubranej, ale nieco surowego wyglądu, która zajęła miejsce na końcu stołu, podczas gdy na drugim końcu prezydowała pełniejsza i przystojniejsza osoba. Napróżno rozglądałam się za tą, którą wczoraj wieczorem zobaczyłam pierwszą; panna Miller siedziała na końcu drugiego stołu, przy którym i ja siedziałam, a naprzeciw niej dziwna, cudzoziemsko wyglądająca starsza dama, nauczycielka Francuzka, jak się później dowiedziałam. Długą modlitwę zmówiono i prześpiewano hymn; następnie służąca przyniosła herbatę dla nauczycielek i zaczęło się śniadanie.

Zgłodniała i już w tej chwili bardzo osłabiona, pochłonęłam łyżkę czy dwie swej porcji, nie zastanawiając się nad smakiem; po stępieniu jednak pierwszego głodu spostrzegłam, że dostałam jakąś wstrętą potrawę; przyswędzona kasza owsiana nie lepsza jest prawie od zgniłych kartofli, nawet głód przed nią się cofa. Łyżki poruszały się powoli: widziałam, że każda dziewczynka próbuje pożywienia i stara się je przełknąć, ale większość dawała za wygraną. Skończyło się śniadanie, a nikt nie pościadał. Po odmówieniu dziękczynnej modlitwy za to, czego nie dostałyśmy, i po odśpiewaniu drugiego hymnu opuściłyśmy refektarz i przeszłyśmy do pokoju szkolnego. Przechodząc prawie na końcu orszaku koło stołów zobaczyłam, że jedna z nauczycielek

wzięła miseczkę z kaszą i spróbowała jej; popatrzyła na drugie; wszystkie miały twarze niezadowolone, a ta tęga szepnęła:

— Wstrętne jadło! To wstyd doprawdy!

Minał kwadrans, zanim się znów lekcje rozpoczęły, a w czasie tego kwadransa zapanowała w pokoju szkolnym niesłychana wrzawa; wolno było w tym czasie głośno i swobodniej rozmawiać, to też dziewczęta korzystały z tego przywileju. Cała rozmowa toczyła się dookoła śniadania, na które wszystkie bez wyjątku wymyślały co się zowie. Biedaczki! było to ich jedyną pociechą. Panna Miller była jedyną nauczycielką, obecną w pokoju; kilka starszych dziewcząt, otaczających ją, rozprawiało z poważnymi i chmurnymi minami. Słyszałam kilka razy powtórzone nazwisko pana Brocklehursta; na to panna Miller potrząsała głową z naganą, ale nie zadawała sobie wiele trudu, by powstrzymać ogólne oburzenie; najprawdopodobniej sama je podzielała.

Zegar w pokoju szkolnym wybił dziewiątą; panna Miller opuściła swoje kółko i, stanąwszy w pośrodku pokoju, zawołała:

— Cicho! Na miejsca!

Rygor zrobił swoje: w pięć minut zmieszana gromadka rozdzieliła się w porządku i zapanowała względna cisza. Wyższe nauczycielki wróciły teraz punktualnie na swoje miejsca; wszyscy jednakże zdawali się czekać. Rzędami na ławkach w czterech rogach pokoju siedziało ośmdziesiąt dziewcząt prosto i bez ruchu; dziwnem się wydawały zbiorowiskiem, wszystkie ze szczesanemi gładko z czoła włosami, bez jednego widomego loczka, w brązowych, wysoko zapiętych sukniach z wąskimi, białymi kołnierzykami przy szyi i płóciennymi kieszonkami (kształtem podobne do góralskich sakiewek), przywiązanemi z przodu u paska, a mającemi służyć za torebki do roboty; wszystkie też nosiły wełniane pończochy i na wsi fabrykowane trzewiki, zapięte na mosiężne klamerki. Ze dwadzieścia z nich, w ten sposób ubranych, były to dziewczęta dorosłe; nieładnie

im w tem było i nawet najładniejszym nadawało wygląd dziwaczny.

Wciąż jeszcze przyglądałam się im, w przerwach także obserwowałam nauczycielki, z których żadna mi się zbytnio nie podobała; ta tęga bowiem wyglądała nieco ordynarnie, ta ciemna ostro i surowo, cudzoziemka szorstko i dziwacznie, a panna Miller, biedaczka! czerwona, z wypiekami, miała wygląd przepracowanej. Jeszcze im się przyglądałam, przesuwając wzrok od jednej twarzy do drugiej, gdy cała szkoła, jakgdyby sprężyną poruszona, podniosła się równocześnie.

Co się to stało? Nie słyszałam, by jakiś rozkaz wydano — byłam zdziwiona. Zanim się opamiętałam, klasy zasiadły zpowrotem; ale ponieważ teraz wszystkie oczy zwróciły się w jeden punkt, więc moje poszły w tym kierunku i napotkały osobę, która mnie przyjmowała wieczorem. Stała na końcu długiego pokoju przed kominkiem, w obu bowiem końcach pokoju palił się ogień i przeglądała obydwa rzędy dziewcząt milcząco i poważnie. Panna Miller przybliżyła się do niej, zapytała o coś, a dostawszy odpowiedź, wróciła na swoje miejsce i powiedziała:

— Dyżurna pierwszej klasy niech przyniesie globusy!

Podczas gdy ten rozkaz wykonywano, pani przeszła powoli przez pokój. Przypuszczam, że muszę mieć dosyć silny zmysł uwielbienia, gdyż dziś jeszcze odczuwam to wrażenie podziwu i czci, z jaką oczy moje biegly za jej krokami. Widziana teraz w jasnym świetle dnia, wydała mi się wysoka, ładna i kształtna; piwne oczy, pełne dobrotliwego wyrazu i blasku, przy długich rzęsach i pięknie zarysowanych brwiach podnosiły białość jej szerokiego czoła; włosy bardzo ciemne zwijały się na skroniach w okrągłe, krótkie pukle, według ówczesnej mody, kiedy to nie noszono ani gładkich niobów ani długich loków; suknię miała na sobie także wedle panującej mody z ponsowego sukna, przystrojoną czarnym aksamitem; złoty zegarek (zegarki nie były wtedy w tak powszechnem użyciu jak teraz) błyszczał u jej paska.

Niech czytelnik doda, dla uzupełnienia obrazu, delikatne rysy, cerę jasną, chociaż bladą, pełną godności postać i ruchy, a będzie miał o tyle dokładne, o ile słowa oddać je mogą, pojęcie o powierzchowności panny Temple, Marji Temple, jak kiedyś później wyczytałam na jej książce do nabożeństwa, którą oddała mi do niesienia, idąc do kościoła.

Przełożona szkoły w Lowood (gdyż tem była ta pani), zasiadłszy przed parą globusów, wezwała pierwszą klasę ku sobie i zaczęła z nią lekcję geografji; niższemi klasami zajęły się inne nauczycielki; przez godzinę powtarzano historję, gramatykę i t. d., następnie przyszło pisanie i arytmetyka, a niektórym starszym dziewczętom udzielała panna Temple lekcji muzyki. Zegar odmierzał czas trwania każdej lekcji; nareszcie wybiła dwunasta. Przełożona wstała.

— Mam słowo do powiedzenia uczennicom — rzekła.

Rozpoczynał się już hałas po skończonej lekcji, ale umilkł, uciszony jej głosem. Mówiła dalej:

— Dostałyście dzisiaj śniadanie, którego nie mogłyście jeść; musicie być głodne. Zarządziłam, żeby drugie śniadanie, chleb z serem, zostało podane dla wszystkich.

Nauczycielki popatrzyły na nią zdziwione.

— Kazałam to zrobić na moją odpowiedzialność — zwróciła się do nich z wyjaśnieniem, poczem natychmiast wyszła z pokoju.

Zaraz też wniesiono i rozdzielono chleb z serem ku pokrzepieniu i wielkiej radości całej szkoły. Teraz padło słowo komendy: „Do ogrodu!” Dziewczęta włożyły ordynarne słomiane kapelusze wiązane na szarfy z kolorowego perkalu i płaszcze z szarej syberyyny. Mnie ubrano podobnie, i wśląd za innemi wyszłam na świeże powietrze.

Ogród stanowiła obszerna przestrzeń zamknięta tak wysokim murem, że wykluczała wszelką możliwość wyjścia dalej; wzdłuż jednego jego boku ciągnęła się kryta weranda, a szerokie ścieżki otaczały przestrzeń środkową, rozdzieloną na cały szereg małych grządek; te

grządki wyznaczone były dla uczennic jako ogródki do uprawiania i każda grządka miała swoją właścicielkę. Latem, pełne kwiatów, musiały one niewątpliwie ładnie wyglądać, ale teraz, w drugiej połowie stycznia, wszystko było po zimowemu puste i szerniałe. Drżałam, stojąc i rozglądając się dokoła; przykry to był dzień, nie zachęcający do ruchu na świeżem powietrzu; nie był dżdżysty, lecz przyćmiony żółtą mgłą; ziemia pod stopami nasiąkała wilgocią po wczorajszej ulewie. Silniejsze dziewczęta biegały i prowadziły jakieś gry ruchowe, ale niektóre, blade i szczupłe, skupiały się w gromadki, szukając osłony i ciepła na werandzie; wśród tych, w miarę jak gęsta mgła przenikała drżące ich postacie, słyszałam częsty odgłos głuchego kaszlu.

Dotychczas jeszcze nie przemówiłam do nikogo i nikt też nie zdawał się zwracać na mnie uwagi; stałam sobie samotna na boku; do tego uczucia osamotnienia byłam przyzwyczajona; nie dokuczało mi ono wiele. Oparta o filar werandy, otulając się jak najszczelniej w fałdy płaszcza, starając się zapomnieć o zimnie i o głodzie, zajęłam się przyglądaniem i rozmyślaniami. Moje rozmyślenia zbyt były nieokreślone i niepowiązane, żeby je warto wspominać; zaledwie jeszcze wiedziałam, gdzie się znajduję; Gateshead i ubiegłe moje życie gdzieś mi odbiegły w dal; terażniejszość była niejasna i jakaś obca, a o przyszłości nie umiałam snuć domysłów. Rozglądałam się po tym jakoby klasztornym ogrodzie, a potem spojrzałam na dom, obszerny budynek, którego jedna połowa wydawała się szara i stara, druga zaś zupełnie nowa. Nowa część, obejmująca pokój szkolny i sypialnie, miała krzyżowe i zakratowane okna, co nadawało jej wygląd kościelny; kamienna tablica nad drzwiami nosiła napis:

„Zakład Lowood. — Ta część została przebudowana A. D... przez Naomi Brocklehurst z Brocklehurst Hall w tem hrabstwie. „Niech światło wasze tak świeci przed ludźmi, żeby widzieli wasze dobre uczynki i chwaili waszego Ojca, który jest w niebie“. Św. Mateusz V, 16.“

Odczytywałam raz i drugi te słowa; czułam, że potrzebują jakiegoś wyjaśnienia, gdyż nie potrafiłam znaczenia ich w pełni zrozumieć. Gdy tak nad tem rozmyślałam, odgłos czyjegoś kaszlu tuż za mną sprawił, że odwróciłam głowę. Wpobliżu na kamiennej ławce siedziała młoda dziewczyna, pochylona nad książką, którą czytała z zajęciem; z miejsca, gdzie stałam, mogłam przeczytać tytuł: *Rasselas*; imię to wydało mi się dziwne, więc tem bardziej pociągające. Obracając kartę, podniosła oczy, ja zaś zagadnęłam ją w tej chwili:

— Czy to zajmująca książka? — Już świtał we mnie zamiar poprosić, by mi ją kiedy pożyczyła.

— Mnie się podoba — odpowiedziała po chwili, przyjrzawszy mi się uważnie.

— O czem tam jest mowa? — zapytałam znowu. Nie wiem skąd mi się wzięła ta śmiałość wszczynania rozmowy z kimś obcym; taki krok przeciwny był naturze mojej i przyzwyczajeniom; myślę, że jej zajęcie dotknęło jakiejś struny sympatycznej we mnie, gdyż i ja lubiłam czytać, choć tylko rzeczy lekkie i dziecinne; nie mogłam strawić ani zrozumieć lektury poważnej.

— Możesz ją obejrzeć — odpowiedziała dziewczynka, podając mi książkę.

Przejrzałam książkę. Krótki ten przegląd wystarczył, by mnie przekonać, że zawartość jej mniej była porywająca, niż tytuł. *Rasselas*, jak na mój gust dziecinny, wydał mi się nudny; nic tam nie znalazłam o wrózkach, nic o czarodziejach, żadna barwna różnorodność nie snuła się po gęsto zadrukowanych stronicach. Oddałam jej książkę; odebrała ją spokojnie i nic nie mówiąc, pogrzyżyła się, jak poprzednio, w uważnem czytaniu; po raz wtóry odważyłam się jej przeszkodzić.

— Czy możesz mi powiedzieć, co znaczy napis na tym kamieniu nad drzwiami? Co to jest Zakład Lo-wood?

— Ten dom, do którego przybyłaś, by w nim zamieszkać.

— A dlaczego nazywają go Zakładem? Czy różni się on pod jakimś względem od innych szkół?

— Jest to częściowo szkoła dobroczynności; ty i ja i my wszystkie jesteśmy dziećmi na koszcie dobroczynności. Przypuszczam, że jesteś sierotą; czy nie straciłaś ojca albo matki?

— Oboje umarli, gdy byłam małeńka, tak że ich wcale nie pamiętam.

— Otóż wszystkie dziewczęta tutaj straciły albo jedno z rodziców, albo oboje, a ten dom nazywa się zakładem wychowawczym sierot.

— Więc my tutaj nic nie płacimy? Czy oni nas utrzymują za darmo?

— Płacimy, albo krewni nasi płacą rocznie piętnaście funtów od każdej.

— A więc dlaczego nazywają nas dziećmi na koszcie dobroczynności?

— Ponieważ piętnaście funtów nie wystarcza na utrzymanie i na naukę, a czego brakuje, dopełnia się ze składek.

— A kto się składa?

— Składają się rozmaici dobroczylni panowie i panie tu w okolicy i w Londynie.

— Kto to był Naomi Brocklehurst?

— Ta pani, która zbudowała nową część tego domu, jak o tem napisano na tablicy, i której syn dozoruje i rządzi wszystkim tutaj.

— Dlaczego?

— Ponieważ jest skarbnikiem i dyrektorem zakładu.

— Ach, więc ten dom nie należy do tej wysokiej pani, która nosi zegarek i która powiedziała, że mamy dostać chleba z serem?

— Do panny Temple? O, nie! Dobrzeby był! Ona odpowiada przed panem Brocklehurstem za wszystko, co robi. Pan Brocklehurst kupuje wszelkie nasze pożywienie i wszelkie dla nas ubranie.

— Czy on tutaj mieszka?

— Nie — dwie mile stąd, w dużym dworze.

— Czy to dobry człowiek?

— Jest duchownym i mówią, że robi wiele dobrego.

— Czy powiedziałaś, że ta wysoka pani nazywa się panna Temple?

— Tak jest.

— A tamte inne nauczycielki jak się nazywają?

— Ta, która ma rumiane policzki, nazywa się panna Smith; ona uczy robót i przykrawa, gdyż my same szyjemy sobie ubrania, płaszcze i wszystko; ta mała z czarnymi włosami, to panna Scatcherd; ona uczy historii i gramatyki i słucha lekcyj drugiej klasy; a ta, która chodzi w szalu i chustkę do nosa przywiązuje do paska żółtą wstążką, to madame Pierrot: pochodzi z Lille we Francji i uczy francuskiego.

— Czy ty lubisz nauczycielki?

— Dosyć.

— A tę małą czarną i madame...? nie umiem wymówić jej nazwiska tak, jak ty.

— Panna Scatcherd jest prędką... uważaj, żebyś jej się nie naraziła; madame Pierrot to wcale niezła osoba.

— Ale panna Temple jest najlepsza — nieprawdaż?

— Panna Temple jest bardzo dobra i bardzo mądra; ona przewyższa tamte, gdyż umie o wiele więcej niż one.

— Czy dawno jesteś tutaj?

— Od dwóch lat.

— Czy jesteś sierotą?

— Matka moja nie żyje.

— Czy czujesz się tutaj szczęśliwą?

— Trochę za wiele się pytasz. Dałam ci już dosyć odpowiedzi tymczasem; teraz chciałabym poczytać.

W tejże chwili jednak odezwał się dzwonek, wzywający nas na obiad; wróciłyśmy do domu.

Zapach, unoszący się teraz w refektarzu, nie o wiele był ponętniejszy od tego, który uraczył nosy nasze przy śniadaniu. Podano obiad w dwóch dużych bla-

szanych naczyniach, z których unosiła się para, woniejąca zjełczałym tłuszczem. Potrawa składała się z nieświeżych kartofli i dziwnych obrzynków nie pierwszej świeżości mięsa, co wszystko było wymieszane i gotowane razem. Tej papki po dość pełnym talerzu wydzielono każdej uczennicy. Jadłam, ile mogłam zjeść, zadając sobie pytanie, czy też jedzenie codziennie będzie takie.

Po obiedzie przeszliśmy natychmiast do pokoju szkolnego; lekcje rozpoczynały się znowu i trwały do godziny piątej.

Po południu zobaczyłam, i to był jedyny ważniejszy wypadek, jak dziewczynkę, z którą rozmawiałam na werandzie, panna Scatcherd odprawiła za karę z lekcji historii i kazała jej stanąć na środku wielkiego pokoju. Kara ta wydała mi się wielce zawstydzającą, zwłaszcza dla tak dużej dziewczynki, wyglądała ona na trzynaście lat co najmniej. Myślałam, że okaże, jak ją to martwi albo zawstydza, ale ku mojemu zdziwieniu ani nie płakała, ani się nie zarumieniła: spokojna, chociaż poważna, stała w oczach wszystkich. „Jak ona może tak spokojnie — tak mężnie to znosić?” zadawałam sobie pytanie: „Gdyby mnie to miało spotkać, życzyłabym sobie, żeby się ziemia pode mną rozstała. Ona zaś jakby myślała o czemś, co dalekie jest od jej kary, od tego, co się z nią dzieje, o czemś, co nie jest ani dokoła niej, ani przed nią. Słyszałam o śniących na jawie, może ona teraz śni na jawie? Oczy jej patrzą w ziemię, ale ja jestem pewna, że ziemi nie widzą, wzrok jej wydaje się skierowany nawewnątrz, gdzieś do głębi serca; patrzy, zdaje mi się, w to, co pamięta, a nie w to, co jest rzeczywiście obecne. Ciekawa jestem, co to za dziewczyna, czy dobra czy niedobra?...”

Wkrótce po piątej dostałyśmy jeszcze jedno jedzenie, składające się z małego garnuszka kawy i pół kromki ciemnego chleba. Połknęłam chleb i wypiłam kawę ze smakiem i z przyjemnością, ale byłabym rada, gdyby mi dano drugie tyle, — byłam wciąż głodna. Miałyśmy potem pół godziny rekreacji, a potem znów naukę. Na-

stępnie przyszła pora na szklankę wody i kawałek owianego ciasta, modlitwy i spoczynek. Taki był mój pierwszy dzień w Lowood.

ROZDZIAŁ VI.

Następny dzień rozpoczął się, jak poprzedni, wstawaniem i ubieraniem przy świeczce; ale tego ranka musiałyśmy zrezygnować z ceremonji mycia się, bo woda w dzbankach była zamrznięta. Poprzedniego wieczora nastąpiła zmiana; ostry północno-wschodni wiatr wiał tak przez całą noc szparami okien naszej sypialni, że trzęsłyśmy się z zimna w łózkach, a woda w dzbankach pozamarzała.

Zanim upłynęło długie półtorej godziny modlitw i czytania bibliji, myślałam, że zgine z zimna. Nadeszła wreszcie pora śniadania; tym razem kasza nie była spalona; można było ją jeść, tylko ilość jej była mała. Jak małą wydała mi się moja porcja! Wzdychałam, by mogła być podwójna.

Tego dnia zostałam przyjęta do czwartej klasy i miałam wyznaczone sobie regularne zadania i zajęcia; dotychczas byłam tylko widzem tego, co się działo w Lowood, teraz miałam wziąć w tem udział czynny. Z początku mało przyzwyczajonej do uczenia się namięć lekcje wydawały się i długie i trudne; oszałamiały mnie częste zmiany i przechodzenia od jednego zadania do drugiego; to też byłam rada, gdy około godziny trzeciej po południu panna Smith dała mi do rąk kawał muslinu wraz z igłą, naparstkiem i t. d., kazała usiąść w spokojnym kąciku szkolnego pokoju i zrobić na tem obrębek. O tej godzinie większość dziewczynek również szyla; jednakże jedna klasa stała jeszcze dokoła krzesła panny Scatcherd czytając, a że było cicho, mogłam słyszeć, jak się ich lekcja odbywała, jak każda dziewczynka odpowiadała i jakie uwagi albo pochwały dostawały im się od nauczycielki. Była to historia Anglii; wpośród czytających zauważyłam moją znajomą z werandy. Na

początku lekcji miejsce jej było na czele klasy, ale za jakiś błąd w wymowie czy nieuwagę w interpunkcji została nagle usunięta na sam koniec. Nawet tam panna Scatcherd nie przestawała mieć jej wciąż na oku; co chwila robiła jej tego rodzaju uwagi:

— Burns (tak się nazywała; dziewczęta tutaj wołało po nazwiskach, tak jak chłopców w szkole) — Burns, wykrzywasz trzewik stojąc; ustaw nogę prosto, natychmiast. Burns, czemu ty tak szkaradnie wysuwasz brodę; cofnij ją. Burns, wymagam, żebyś stała z podniesioną głową; nie mogę patrzeć na ciebie, kiedy się tak trzymasz — i t. p., i t. p.

Po dwukrotnem odczytaniu rozdziału zamykano książki i nauczycielka egzaminowała uczennice. Lekcja była poświęcona panowaniu Karola I, większość na rozmaite pytania, dotyczące tonnażu, wagi, opłat okrętowych, nie umiała odpowiedzieć; każdą jednakże trudność rozwiązywała natychmiast Burns. Pamięć jej widocznie objęła istotę całej lekcji i na każdy punkt gotowa była dać odpowiedź. Spodziewałam się, że za tyle uwagi panna Scatcherd pochwali ją, lecz zamiast tego nagle wykrzyknęła:

— Ty brudna, nieznośna dziewczyno! Nie wyczyściłaś paznokci dziś rano!

Burns nie odpowiedziała; dziwiłam się jej milczeniu.

„Dlaczego nie wytłumaczy — pomyślałam — że ani paznokci wyczyścić, ani twarzy umyć nie mogła, ponieważ woda była zamrznięta.“

Uwagę moją oderwała teraz panna Smith, dając mi do potrzymania pasmo nici; podczas gdy je nawijała, mówiła do mnie od czasu do czasu, pytając, czy już byłam kiedy w szkole, czy umiem znaczyć, haftować, robić na drutach i t. d.; dopóki mnie nie zwolniła, nie mogłam uważać na to, co robi panna Scatcherd. Gdy wracałam na swoje miejsce, pani ta właśnie wydawała rozkaz, którego znaczenia nie zrozumiałam, lecz zobaczyłam, że Burns natychmiast wyszła z klasy, poszła do małego wewnętrznego pokoiku, gdzie się chowało książki, i powróciła za chwilę, niosąc wiązkę gałązek, związanych

z jednego końca. To groźne narzędzie oddała pannie Scatcherd z pełnym szacunku ukłonem; następnie spokojnie, nie czekając na rozkaz, odpięła fartuch, a nauczycielka natychmiast ostro wymierzyła jej po karku dwanaście uderzeń tą wiązką gałązek. Ani jedna łza nie zabłysła w oczach Burns, kiedy ja przerwałam szycie, gdyż na ten widok palce zadrżały mi z próżnego, bezsilnego gniewu, ani jeden rys zamyslanej jej twarzy nie zmienił zwykłego wyrazu.

— Uparta dziewczyno! — zawołała panna Scatcherd — niczem nie mogę wykorzenić z ciebie nieporządných przyzwyczajęń; odnieś różgę.

Burns usłuchała; przyjrzałam się jej uważnie, gdy wracała; wkładała właśnie do kieszeni chustkę do nosa, a na chudym jej policzku błyszczał ślad ły.

Godzinę rekreacji uważałam za najmilszą część dnia w Lowood: ten kawałek chleba i ten łyk kawy pokrzepiał, chociaż nie sycił; długi przymus dnia zwolniał nieco; w pokoju szkolnym cieplej było, niż rano, gdyż pozwalano, ażeby się ognie paliły nieco jaśniej, ponieważ w zastępstwie świec, których jeszcze nie zapalono. Ten czerwony blask, tolerowany hałas, to zamieszanie rozmaitych głosów nieciły upragnione wrażenie wolności.

Wieczorem tego dnia, kiedy widziałam, jak panna Scatcherd wymierzała chłostę Burns, chodziłam, jak zwykle, pomiędzy ławkami, stołami i śmiejącami się gromadkami bez towarzyszki, ale nie czułam się osamotniona. Przechodząc koło okien, raz po raz uchylałam okiennicy i wyglądałam na dwór; śnieg padał gęsty, na niższych szybach już formował warstwę; przykładając ucho blisko do szyby, mogłam dosłyszeć, poza wesołym rozgwarem wewnątrz pokoju, żałosny jęk wiatru z zewnątrz.

Gdybym była niedawno opuściła miły dom i dobrych rodziców, w tej godzinie byłabym prawdopodobnie najżywiej odczuwała żal rozstania; wtedy ten wiatr byłby mi osmucił serce; ten chaos w ciemności zamaściłby mi spokój! W mojem położeniu wszystko to podniecało mnie tylko dziwnie, i zuchwała, rozgorączko-

wana, pragnęłam, ażeby wiatr wył wścieklej, ażeby zmrok zamienił się w ciemność zupełną, a gwarny zamęt w głośnie wrzawę.

Przeskakując ławki, przechodząc pod stołami, dotarłam do jednego z kominków, tam zastałam koleżankę Burns, klęczącą przed wysoką drucianą kratą. Milcząca, oderwana od wszystkiego, co się naokół działo, pochłonięta była książką, którą czytała przy niejasnem świetle węgla.

— Czy zawsze jeszcze Rasselas? — zapytałam, zachodząc ją z tyłu.

— Tak — odpowiedziała. — Właśnie go kończę.

I po pięciu minutach zamknęła książkę. Byłam z tego rada. „Teraz — pomyślałam — może wyciągnę ją na rozmowę.“ Usiadłam przy niej na ziemi.

— Jak ci na imię? — zapytałam.

— Helena.

— Czy zdaleka pochodzisz?

— Pochodzę z miejscowości, dalej na północ położonej, tuż nad granicą Szkocji.

— Czy wrócisz tam kiedy?

— Mam nadzieję; ale nikt nie może być pewny przyszłości.

— Musisz pragnąć opuścić Lowood?

— Nie! Dlaczego miałabym tego pragnąć? Przyślano mnie do Lowood, ażebym zdobyła wykształcenie, i na nicby się nie zdało wracać, dopóki nie osiągnęłabym tego celu.

— Ale ta nauczycielka, panna Scatcherd, taka okrutna dla ciebie!

— Okrutna? Bynajmniej! Jest surowa; nie znosi moich wad.

— A ja, gdybym była na twojem miejscu, jabym jej nie znosiła; opierałabym się jej. Gdyby mnie uderzyła tą różgą, jabym jej z ręki wyrwała; połamałabym ją przed jej nosem.

— Prawdopodobnie nie zrobiłabyś nic podobnego; a gdybyś to zrobiła, pan Brocklehurst wypędziłby cię ze szkoły; byłoby to wielkiem zmartwieniem dla twoich

krewnych. Daleko lepiej jest cierpliwie znosić ból, którego nikt nie odczuwa prócz ciebie, niż popełnić czyn nierozważny, którego złe następstwa rozciągnęłyby się na wszystkich twoich bliskich; zresztą biblja nakazuje nam dobrem za złe płacić.

— Ale przecież mnie się wydaje, że to wstyd być bitą albo być zmuszoną stać na środku pokoju, gdzie pełno osób; a przytem tyś taka duża dziewczyna; ja jestem o wiele młodsza od ciebie, a nie mogłabym znieść tego.

— A jednak miałabyś obowiązek znieść, gdybyś tego nie mogła uniknąć; tylko słaby i niemądry mówi, że nie może znieść tego, co los zażąda od niego, by zniósł.

Słuchałam jej, zdziwiona: nie mogłam zrozumieć tej zasady wytrzymałości w cierpieniu, a jeszcze mniej mogłam zrozumieć i podzielać jej wyrozumiałość dla swej dręczycielki. Wciąż czułam, że Helena Burns widzi rzeczy w świetle dla mnie niewidzialnem. Przypuszczałam, że może ona ma słuszość, a nie ja, ale nie chciało mi się głębiej rozważać tej sprawy; odkładałam to do sposobniejszej pory.

— Mówisz, że masz wady, Helenko; jakie wady? Mnie się wydaje, żeś ty bardzo dobra.

— Więc naucz się ode mnie nie sądzić po pozorach. Jestem, jak mówi panna Scatcherd, nieporządna, rzadko składam swoje rzeczy, a nigdy ich nie utrzymuję w porządku; jestem niedbała, zapominam reguł i przepisów; czytam, kiedy powinnam uczyć się lekcji; nie jestem systematyczna, a czasami mówię, tak jak ty, że nie mogę poddać się systematycznemu porządkowi. Wszystko to bardzo drażni pannę Scatcherd, która jest bardzo porządna, punktualna i dokładna we wszystkim.

— I zła i okrutna — dodałam; ale Helena Burns nie chciała się na to zgodzić; milczała.

— Czy panna Temple jest równie surowa względem ciebie, jak panna Scatcherd?

Na wzmiankę o pannie Temple łagodny uśmiech przebiegł po jej poważnej twarzy.

— Panna Temple jest pełna dobroci; sprawia jej przykrość być surową względem kogokolwiek, nawet względem najgorszych w szkole; ona widzi moje wady i łagodnie mnie upomina, a jeżeli czemś zasłużę na pochwałę, nie szczędzi mi jej. Najlepszym dowodem, jak zakorzenione są we mnie nieszczęsne moje wady, to to, że nawet jej upomnienia, tak łagodne a słuszne, nie mogą mnie z nich wyleczyć, a nawet jej pochwały, chociaż tak bardzo je cenię, nie mogą mnie pobudzić do stałej staranności i uwagi.

— To ciekawe — odpowiedziałam. — Przecież to tak łatwo być staranną.

— Dla ciebie, niewątpliwie. Przyglądałam ci się w twojej klasie dziś rano; widziałam, jak pilnie uważasz: widać było, że ci myśli nie uciekały, podczas gdy panna Miller tłumaczyła lekcję i wypytywała cię. Otóż moje myśli stale gdzieś się błakają; wtedy, kiedy powinienym słuchać panny Scatcherd i pilnie zważać na wszystko, co ona mówi, gubię często sam dźwięk jej głosu, wpadam w jakiś rodzaj snu. Niekiedy zdaje mi się, że znajduję się w Northumberland i że odgłosy, które słyszę dokoła, to szmer strumyczka, przepływającego przez Deepden, w pobliżu naszego domu; a wtedy, jeżeli przyjdzie na mnie kolej odpowiadać, muszę mnie budzić; a ponieważ słuchając wymarzonego strumyczka, nic nie słyszałam, co tam czytano, więc nie umiem i odpowiedzieć.

— Jednakże jak ty dobrze odpowiadałaś dziś po południu.

— To był czysty przypadek; zainteresował mnie przedmiot, o którym czytałyśmy. Dziś po południu, zamiast śnić o Deepden, dziwiłam się, jak człowiek, który pragnął działać uczciwie, mógł postępować tak niesprawiedliwie i niemądrze, jak to nieraz czynił Karol Pierwszy; i myślałam, jak to źle się stało, że przy prawości swojej i sumienności nie umiał dalej spojrzeć poza przywileje korony jedynie. Gdyby był tylko potrafił spojrzeć w dalszą przyszłość i zrozumieć, dokąd zmierzał tak

zwany „duch czasu“! A jednak ja lubię Karola — szanuję go — żałuję tego biednego ścietego króla!

Tak, nieprzyjaciele jego byli gorsi: przelali krew, której nie mieli prawa przelewać! Jak oni śmieli go zabijać!

Helenka mówiła teraz do samej siebie: zapomniała, że ja jej dobrze zrozumieć nie mogłam — że nic albo niewiele wiedziałam o tem, o czem rozprawiała. Przywołałam ją do mojego własnego poziomu.

— A gdy cię uczy panna Temple, czy i wtedy myśli twe gdzieś wędrują?

— Nie, chyba bardzo rzadko. Gdyż panna Temple ma zawsze do powiedzenia coś, co jest ciekawsze dla mnie, niż moje własne rozważania; jej sposób mówienia jest dla mnie dziwnie miły, a wiadomości, których udziela, zawierają często to właśnie, czego pragnęłam się dowiedzieć.

— A więc wobec panny Temple nie masz sobie nic do zarzucenia?

— Nie; ale to tak biernie: nie kosztuje mnie to żadnego wysiłku; kieruję się własną skłonnością. W takiej dobroci niema zasługi.

— Jest owszem, i wielka: jesteś dobra dla tych, którzy są dobrzy dla ciebie. Ja dla siebie więcej nie pragnę. Gdyby ludzie byli zawsze dobrzy i posłuszni względem tych, którzy są okrutni i niesprawiedliwi, zli ludzie byliby zawsze górą; nigdyby się nie bali, nigdyby się nie zmienili i stawaliby się coraz gorsi i gorsi. Gdy nas kto uderzy bez powodu, powinniśmy oddać bardzo mocno; jestem pewna, że powinniśmy — tak mocno, ażeby nauczyć tego, kto nas uderzył, żeby tego nigdy nie powtórzył.

— Zmienisz zdanie, mam nadzieję, gdy będziesz starszą: tymczasem jesteś jeszcze małą, niebardzo mądrą dziewczynką.

— Ale ja tak czuję, Helenko; ja nie mogę lubić tych, którzy, choćbym się nie wiem jak starała im dogodzić, nie chcą mnie polubić; muszę bronić się przed tymi, którzy karzą mnie niesprawiedliwie. To tak samo

naturalne, jak to, że kocham tych, którzy mi okazują przywiązanie, lub że poddaję się karze, gdy czuję, że na nią zasłużyłam.

— Poganie i dzikie ludy głoszą te same zasady, ale chrześcijanie i narody cywilizowane wypierają się ich.

— Jakim sposobem? Nie rozumiem.

— To nie gwałt najlepiej zwycięża nienawiść — i nie zemsta goi krzywdę najlepiej.

— A cóż innego?

— Czytaj Nowy Testament i zauważ, co Chrystus powiada i jak postępuje; niech Jego słowa będą ci prawem, a postępowanie Jego przykładem.

— A co Chrystus powiedział?

— „Kochajcie waszych nieprzyjaciół; błogosławcie tym, którzy was przeklinają; czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą i czynią wam źle.”

— W takim razie ja powinnabym kochać panią Reed, czego uczynić nie mogę, powinnabym błogosławić jej syna Janka, co jest niepodobieństwem.

Zkolei Helena Burns zapytała mnie o wytłumaczenie, a ja też zaraz zaczęłam jej po swojemu opowiadać dzieje moich cierpień i uraz. Gorzka i bezwzględna w podnieceniu, mówiłam tak jak czułam, nic nie tając, niczego nie łagodząc.

Helenka wysłuchiwała mnie cierpliwie do końca; spodziewałam się, że zrobi potem jaką uwagę, ale ona milczała.

— Więc powiedz — zapytałam niecierpliwie — czyż pani Reed to nie kobieta twardego serca, to nie zła kobieta?

— Była niedobra względem ciebie, to nie ulega wątpliwości, ponieważ, widzisz, ona nie znosi twojego charakteru, tak jak panna Scatcherd nie znosi mojego; ale, jak ty dokładnie pamiętasz wszystko, co ona ci zrobiła i co ci powiedziała! Jak dziwnie głęboko jej niesprawiedliwość wyryła się w twojem sercu! Żadne złe traktowanie tak się w mych uczuciach nie upamiętnia. Czy nie lepiejby ci było, gdybyś się starała zapomnieć o jej surowości wraz z temi gwałtownymi wzruszeniami,

które ona obudziła? Życie wydaje mi się zbyt krótkie, by spędzać je na pielęgnowaniu uraz i zapamiętywaniu krzywd. Jesteśmy i musimy być wszyscy obciążeni błędami na tym świecie; ale niebawem przyjdzie czas, kiedy, ufam w to, strząśniemy je ze siebie wraz z temi znikomemi ciałami naszemi; gdy poniżenie i grzech opadną z nas wraz z tą ciężką powłoką cielesną, a tylko dusza pozostanie.

Głowa Helenki, zawsze pochylona, opadła jeszcze niżej, gdy domawiała tych słów. Widziałam po wyrazie jej twarzy, że nie ma ochoty rozmawiać dłużej ze mną, że woli raczej rozmawiać z własnymi myślami. Niewiele dano jej czasu na rozmyślania; jedna z dyżurnych, wielka szorstka dziewczyna, zbliżyła się w tej chwili, wołając silnym prowincjonalnym akcentem:

— Heleno Burns, jeżeli w tej chwili nie pójdziesz uporządkować swej szuflady i złożyć roboty, powiem pannie Scatcherd, niech przyjdzie i zobaczy!

Helena westchnęła, budząc się z zadumy i wstawszy, bez zwłoki w milczeniu posłuchała wezwania dyżurnej.

ROZDZIAŁ VII.

Pierwszy kwartał pobytu w Lowood wydał mi się wiekiem — i to bynajmniej nie złotym wiekiem. Przykrą walkę musiałam staczać by się przyzwyczaić do nowych reguł i zadań. Obawa, że pod tym względem może mi się coś nie udać, więcej mnie dręczyła, niż — fizyczne trudy i dokuczliwości, chociaż i te były niemałe.

Przez styczeń, luty i część marca głębokie śniegi, a gdy te stopniały, nieprzebyte prawie drogi nie pozwalały nam wysunąć się poza mury ogrodu, z wyjątkiem tylko gdy musiałyśmy pójść do kościoła; w obrębie jednak tych murów musiałyśmy codziennie spędzać godzinę na świeżem powietrzu. Ubranie nasze niedostatecznie chroniło nas od ostrego zimna: nie miałyśmy wysokich bucików, śnieg wchodził w niskie trzewiki, topniejąc

w nich; ręce bez rękawiczek grabiały i odmrażały się, tak jak i nogi. Dobrze pamiętam okropne swędzenie, którego doświadczałam co wieczora, gdy się nogi zaogniły, i mękę wkładania rozpuchłych, bolących i sztywnych palców w trzewiki co rano. A potem ta szczupła ilość pożywienia była sprawą bardzo ciężką. Przy dobrych apetytach dzieci rosnących dostawałyśmy zaledwie tyle, ile mogłoby utrzymać przy życiu delikatnego chorego. Z tej szczupłości pożywienia wynikło nadużycie, które zwłaszcza młodszym uczennicom ciężko dawało się we znaki: gdzie tylko wygłodzone duże dziewczęta znalazły sposobność, prośbą lub groźbą wyłudzały od małych ich porcję. Wiele razy musiałam podzielić z dwiema starszemi drogocenny kawałek ciemnego chleba, dawany nam na podwieczorek, a dopijając odrobinę pozostawionej mi w garnuszku kawy, ocierać zaś skrycie łzy, które mi głód wyciskał!

Niedziele w zimie były straszne. Musiałyśmy dwie mile iść do kościoła w Brocklebridge, gdzie nasz patron odprawiał nabożeństwo. Wychodziłyśmy zziębnięte, przychodziłyśmy do kościoła jeszcze gorzej zziębnięte; podczas ранnego nabożeństwa drętwiałyśmy poprostu z zimna. Za daleko było, by wracać na obiad, wydzielano nam tedy, między rannem a poobiedniem nabożeństwem, jak zwykle głodowo wymierzone porcyjki z chleba z mięsem.

Po skończonem poobiedniem nabożeństwie wracałyśmy odsłoniętą pagórkowatą drogą. Ostry wiatr zimowy, ciągnący od śnieżnych szczytów północy, nieomal skórę zdierał nam z twarzy.

Przypominam sobie pannę Temple, idącą lekko i szybko wzdłuż naszych chwiejących się szeregów, w pledowym płaszczu, którym mroźny wiatr trzepotał; ściągała go ciasno dokoła siebie i szła, dodając nam odwagi, słowem i przykładem zachęcając, byśmy nie upadły na duchu i maszerowały naprzód, jak mówiła „jak dzielni żołnierze”. Inne nauczycielki, biedaczki, same zwykle bywały tak strapione, że nie próbowały nawet pocieszać innych.

Jakże wracając tęskniłyśmy do światła i ciepła buchającego na kominku ognia. Ale małym dziewczynkom i to bywało niedostępne: każdy kominek w pokoju szkolnym otaczał natychmiast podwójny rząd dużych dziewczyn, a za nimi przysiadły na ziemi gromadkami małe, otulając fartuchami przyziębłe ramiona.

Małą pociechę miałyśmy na podwieczorek, dawano nam podwójną porcję chleba: całą zamiast połowę kromki — z wybornym dodatkiem cieniutkiej warstwy masła; była to uczta, na którą cieszyłyśmy się naprzód od niedzieli do niedzieli. Mnie zazwyczaj udawało się zatrzymać dla siebie połowę tego przysmaku, ale resztę musiałam zawsze odstępować.

Wieczór niedzielny schodził na powtarzaniu z pamięci katechizmu, piątego, szóstego i siódmego rozdziału św. Mateusza i na słuchaniu długiego kazania, czytanego przez pannę Miller, której niepoohamowane ziewanie świadczyło, jak jest zmęczona. Często dywersję w tem nabożeństwie sprawiały małe dziewczynki, które zmożone snem spadały po kilka naraz z ławek na podłogę, skąd podnoszono je nawpół żywe. Zaradzało się temu przenosząc je na środek sali, zmuszając do stania do końca kazania. Zdarzało się, że nie dopisywały im nóżki i że przewracały się jedna na drugie; natenczas podpierano je wysokimi krzesłami dyżurnych.

Nie wspomniałam jeszcze o wizytacjach pana Brocklehursta. Pana tego istotnie nie było w domu przez większą część pierwszego miesiąca po mojem przybyciu; może przedłużył pobyt u przyjaciela swego archidiacona; nieobecność jego była ulgą dla mnie. Nie potrzebuję mówić, że miałam powód obawiać się jego przybycia — przybył jednakże.

Pewnego poobiedzia (byłam wtedy od trzech tygodni w Lowood), gdy z tabliczką w ręku siedziałam, zastanawiając się nad jakimś dzieleniem długiej cyfry, ujrzałam, podniósłszy przypadkiem oczy do okna, postać właśnie przechodzącą. Prawie instynktowo poznałam tę chudą figurę; a gdy w dwie minuty później cała szkoła, nie wyłączając nauczycielek, powstała en masse, nie potrze-

bowalam patrzeć, żeby się przekonać, czyje wejście w ten sposób witano. Długie kroki przemierzyły pokój szkolny i niebawem obok panny Temple, która sama także się była podniosła, stanęła ta sama czarna kolumna, która z tak złowróbnym marsem patrzyła na mnie przed kominkiem w Gateshead. Spojrzałam teraz z pod oka na ten twór architektury. Tak, miałam słuszość: to był pan Brocklehurst, w surducie, zapięty na wszystkie guziki, jakgdyby jeszcze dłuższy, węższy i sztywniejszy, niż kiedykolwiek.

Miałam powody odczuć na jego widok przykre zaniepokojenie; aż nazbyt dobrze pamiętam te przewrotne objaśnienia, jakimi pani Reed mój charakter opisywała, tę obietnicę, daną przez pana Brocklehursta, że powiadomi pannę Temple i nauczycielki o moich wadach i złych skłonnościach. Przez cały czas dotąd drżałam przed spełnieniem tej obietnicy, codziennie wyglądałam „tego, który przyjdzie...” i opowie o mojej przeszłości i o rozmowie ze mną i napiętnuje mnie, jako złe dziecko, odtąd na zawsze. A oto teraz zjawił się.

Stał obok panny Temple; mówił jej do ucha; nie wątpiłam, że odsłania przed nią moje niegodziwości i z bolesnym lękiem śledziłam jej oczy, spodziewając się, że lada chwila ciemne ich źrenice cisną na mnie spojrzenie, pełne wstrętu i pogardy. Nadśłuchiwałam także; a ponieważ przypadkiem siedziałam niezbyt daleko, pochwycałam większość tego, co mówił: treść jego słów uspokoiła bezpośredni lęk mój narazie.

— Przypuszczam, że nici, które kupiłem w Lowton, będą dobre; zauważyłem, że będą właśnie gatunku odpowiadającego do perkalowych koszul i dobrałem także odpowiednie igły. Niech pani powie panie Smith, że zapomniałem sobie zapisać igieł do cerowania, ale przyślę jej kilka paczek w przyszłym tygodniu; i żeby nigdy, pod żadnym pozorem, nie dawała uczennicom więcej, niż po jednej na raz; jeżeli dostają więcej, stają się niedbałe i gubią. Właśnie chciałbym, żeby wełnianych pończoch lepiej pilnowano!... Będąc tu ostatnim razem, zaszedłem do kuchennego ogrodu i przejrzałem bieliznę, suszącą

się na sznurach; była tam moc czarnych pończoch w bardzo złym stanie; sądząc po wielkości dziur, nie były one dobrze naprawione zawczasu.

Zamilkł.

— Zastosujemy się do pańskich wskazówek — odpowiedziała panna Temple.

— Dalej, proszę pani, mówiła mi praczka, że niektóre dziewczęta dostawały po dwa czyste kołnierzyki na tydzień; to za wiele; reguła ogranicza się do jednego.

— Zdaje mi się, że tę okoliczność mogę wytłumaczyć, proszę pana. Agnieszka i Katarzyna Johnstone były zaproszone na herbatę do znajomych w Lowton w czwartek; pozwoliłam im więc przy tej sposobności włożyć czyste kołnierzyki.

Pan Brocklehurst kiwnął głową.

— Dobrze, na ten raz; ale proszę, niech się taka sposobność zbyt często nie powtarza. I jeszcze jedna rzecz mnie zadziwiła; znalazłem, robiąc rachunki z gospodynią, że drugie śniadanie, składające się z chleba z serem, zostało dwa razy podane dziewczętom w biegu minionych dwóch tygodni. Jakże to? Przejrzałem regulamin i nie znalazłem tam żadnej wzmianki o drugich śniadaniach. Kto wprowadził tę nowość i jakim prawem?

— To ja muszę być odpowiedzialną, panie, za ten wyjątkowy przypadek — odpowiedziała panna Temple. — Śniadanie tak było źle ugotowane, że uczennice poprostu nie mogły go jeść, a ja nie śmiałam zostawić ich o głodzie aż do obiadu.

— Niech pani pozwoli. Wiadomo pani, że zamiarem moim w wychowaniu tych dziewcząt nie jest przyzwyczajenie ich do zbytków i dogadzania sobie, chcę z nich uczynić hartowne, cierpliwe, pełne zaparcia siebie istoty. O ileby przypadkowo apetyt ich doznał zawodu z powodu niedogotowanej albo przegotowanej potrawy, nie powinno się dawać w zastępstwie czegoś delikatniejszego, coby sprawiało przyjemność podniebieniu. Byłoby to dogadzaniem ciała i paczeniem zadań instytucji i przeciwnie, powinno się zdarzenie takie wyzyskać ku zbudowaniu

duchowemu uczennic, ku zachęcie, by okazały męstwo wobec chwilowego braku. Krótka przemowa w takich wypadkach byłaby na miejscu; przemowa, w której mądra nauczycielka, korzystając ze sposobności, wspomniałaby o cierpieniach chrześcijan pierwotnych, o torturach męczenników, o napomnieniach samego Pana naszego, który polecał uczniom wziąć swój krzyż i iść za Nim, o Jego naukach, że człowiek nie samym chlebem żyć winien, ale słowem Bożem — o Jego boskich pocieszeniach, że „jeżeli głód cierpicie i pragnienie dla mnie, szczęśliwi jesteście”. O pani, jeżeli pani chleb z serem zamiast przyswędzonej kaszy kładzie tym dzieciom do ust, zaiste, karmi pani ich nędzne ciała, nie myśli pani, że pani głodem morzy ich nieśmiertelne dusze!

Pan Brocklehurst znowu przerwał — może pod wpływem hamowanych uczuć. Panna Temple patrzyła w ziemię, gdy zaczynał do niej mówić; teraz jednak patrzyła prosto przed siebie, a twarz jej, z natury marmurowej bladości, zdawała się przybierać także chłód i twardość marmuru; zwłaszcza usta jej silnie zacięte i czoło przybrały stopniowo wyraz skamieniałej surowości.

Pan Brocklehurst tymczasem, stojąc przed kominem z rękoma za plecami, majestatycznie rozglądał się po całej szkole. Nagle mrugnął oczami, jakgdyby napotkał coś, co albo olśniło, albo raziło jego źrenice; odwróciwszy się, przemówił szybciej, niż dotychczas:

— Panno Temple, panno Temple, co... co to za dziewczyna, ta, która ma fryzowane włosy? Rude włosy, pani, fryzowane na całej głowie? — I wyciągnąwszy laskę, wskazał ten okropny przedmiot, a ręka trzęsła mu się, gdy to uczynił.

— To Julja Severn — odpowiedziała panna Temple bardzo spokojnie.

— Julja Severn! A dlaczego ona, albo może którakolwiek inna nosi fryzowane włosy? Dlaczego wbrew wszelkim przepisom i zasadom tego domu tak się otwarcie stosuje do światowej mody, — tu dobroczynny za-

kład — jest na zasadach ewangelji — a ona — śmie włosy nosić całe w lokach?

— Włosy Julji kręcą się z natury — odpowiedziała panna Temple jeszcze spokojniej.

— Z natury! Tak, ale my się nie mamy stosować do natury; ja pragnę, by te dzieci były dziećmi łaski; a na-cóż taka obfitość włosów? Mówiłem tyle i tyle razy, że pragnę, ażeby włosy czesano gładko, prosto. Panno Temple, włosy tej dziewczyny trzeba zupełnie obciąć; przyślę jutro golibrodę; a widzę też i inne, które mają za wiele tego niepotrzebnego... Ta wysoka dziewczyna, niech jej się pani każe odwrócić. Niech pani powie całej tej pierwszej ławce, że mają wstać i twarzami odwrócić się do ściany.

Panna Temple przesunęła chusteczką po ustach, jak gdyby ścierając uśmiech, który na nich mimowoli za-gościł; wydała jednakże rozkaz, a pierwsza klasa, skoro tylko zrozumiała, czego chcą od niej, usłuchała. Przechylając się trochę wtył na mojej ławce, mogłam widzieć spojrzenia i miny, jakimi podkreślały ten manewr; szkoda, że i pan Brocklehurst nie mógł ich widzieć; byłby się może przekonał, że cokolwiek czynił z zewnątrz-ną powłoką tych istot, ich wewnątrz było mu niedostępniejsze, niż sobie wyobrażał.

Przyglądał się odwrotnej stronie tych żyjących niedoli przez jakieś pięć minut, wreszcie wydał wyrok. Te słowa padły jak grzmot potępienia:

— Wszystkie te koki na czubku głowy muszą być obcięte.

Pana Temple widocznie perswadowała.

— Ja — mówił dalej — służę Panu, którego królestwo nie jest z tego świata; mojem posłannictwem jest umartwić w tych dziewczynach popędy cielesne; uczyć je ubierać się wstydliwie i prosto, nie w trefione włosy i kosztowne szaty. A każda z tych młodych osób przed nami ma pasmo włosów, zaplecione w warkocze, które tylko próżność uwić mogła; te, powtarzam, należy obciąć; niech pani pomyśli, ile czasu straconego, ile...

W tem miejscu przerwano panu Brocklehurstowi; weszły do pokoju trzy inne osoby, panie. Powinny były przyjść nieco wcześniej, żeby wysłuchać nauki o strojach, gdyż były wspaniale ubrane w jedwabie, aksamity i futra. Dwie młode z tej trójki (ładne panny szesnasto- i siedemnastoletnie) miały popielate filcowe kapelusze, modne naówczas, zdobne w strusie pióra, a z pod rona tych wdzięcznych kapeluszy spadała obfitość jasnych włosów, kunsztownie ufryzowanych; starsza dama otulała się w kosztowny aksamitny szal, obsyty gronostajami i miała modą francuską z fałszywych loczków upiętą grzywkę..

Panna Temple z uszanowaniem powitała te damy — panią Brocklehurst z córkami — i przeprowadziła je na miejsca poczesne. Zdaje się, że przybyły one powozem razem z szanownym rodzicem i że gospodarowały, robiąc przegląd, w pokoju na górze, podczas gdy on załatwiał interesa z gospodynią, wypytywał praczkę i dawał reprimendę przełożonej. Teraz zaczęły robić różne uwagi i zarzuty pannie Smith, pod której opieką była bielizna i nadzór nad sypialniami; nie miałam jednakże czasu słuchać tego, co mówiły; inne sprawy zaprzętnęły i przykuły moją uwagę.

Dotychczas, przysłuchując się rozmowie pana Brocklehurst z panną Temple, nie zaniedbywałam jednakże pilnować przezornie osobistego bezpieczeństwa; sądziłam, że dopnę tego, jeżeli tylko ujdę uwagi. W tym celu siedziałam głęboko wsunięta w ławkę i udając, że pilnie jestem zajęta rachunkami, trzymałam w ten sposób tabliczkę, żeby nią twarz zasłonić, i byłabym uszła uwadze, gdyby nie to, że zdradziecka tabliczka jakimś przypadkiem wysunęła mi się z ręki i upadając hałaśliwie, oczy wszystkich ściągnęła wprost na mnie. Wiedziałam, że teraz wszystko przepadło, i schylając się, by podnieść pękniętą na dwoje tabliczkę, skupiłam wszystkie siły, by wytrzymać to, co przyjdzie, najgorsze. Jakoż i przyszło.

— Niedbała dziewczyno! — powiedział pan Brocklehurst i zaraz dodał: — To ta nowa uczennica, jak

widzę! — I zanim zdążyłam odetchnąć, mówił dalej: — Nie mogę zapomnieć, że mam o niej słówko do powiedzenia.

A potem powiedział głośno, ach, jakże głośne wydały mi się jego słowa:

— Niech to dziecko, które stłukło tabliczkę, wystąpi naprzód!

O własnej mocy nie byłabym się poruszyła; byłam jak sparalizowana; ale dwie duże dziewczyny, wśród których siedziałam, postawiły mnie na nogi i popchnęły ku straszemu sędziemu, a wtedy panna Temple łagodnie poprowadziła mnie przed niego, i dosłyszałam wyszeptane jej słowa :

— Nie bój się, Joasiu, ja widziałam, że to był przypadek; nie będziesz ukarana.

Ten dobrotliwy szept zranił mi serce.

„Za chwilę ona pogardzi mną, uwierzywszy, że jestem obłudnicą!” — pomyślałam i zatrząsł mną poryw wściekłego gniewu przeciw panu Brocklehurstowi, pani Reed i im wszystkim. Nie byłam Heleną Burns.

— Przynieście to krzesło — rzekł pan Brocklehurst, wskazując na bardzo wysokie krzesło, z którego jedna z dyżurnych właśnie była wstała. Przyniesiono je.

— Postawcie to dziecko na niem.

I postawiono mnie na niem; kto mnie postawił, nie wiem; nie byłam w stanie zauważyć szczegółów; wiedziałam tylko, że zostałam podniesiona do poziomu nosa pana Brocklehursta, że znajduję się o jaki łokieć od niego, i że fala pomarańczowych i fioletowych jedwabnych okryć i obłok srebrnawych piór rozpościera się i powiewa poniżej mnie.

Pan Brocklehurst odchrząknął.

— Moje panie — przemówił, zwracając się do swojej rodziny — panno Temple, panie nauczycielki i wy, dzieci, czy widzicie tę dziewczynę?

Oczywiście, widziały mnie, gdyż czułam na sobie pałący ich wzrok.

— Widzicie, jaka jeszcze jest młoda; widzicie, że wygląda tak, jak inne dzieci; Bóg łaskawie obdarzył ją takim samym kształtem, jakim obdarzył nas wszystkich;

żadne wybitne kalectwo jej nie wyróżnia. Ktoby pomyślał, że zły duch znalazł już w niej powolną sługę i współpraczkę? A jednak z bólem powiedzieć muszę, że tak jest.

Przerwał, a ja zaczęłam opanowywać drżenie nerwowe i czuć, że już Rubikon przebyty, i że mękę, której już uniknąć nie można, mężnie należy wytrzymać.

— Moje drogie dzieci — ciągnął dalej patetycznie czarny, kamienny duchowny — bardzo to smutna i żaloszna sprawa; mam obowiązek bowiem przestrzec was, że ta dziewczyna, która mogłaby być jedną z owieczek bożych, jest małym wyrzutkiem wśród was; nie członkiem wiernej gromadki, ale przybłądą i obcą. Musicie się jej strzec i musicie unikać jej przykładu; jeśli potrzeba, stronić od jej towarzystwa, wyłączać z zabaw i wykluczać od rozmów z wami. Nauczycielki, musicie czuwać nad nią; nie spuszczać z oczu jej uczynków, ważcie dobrze jej słowa, badajcie dokładnie jej postępowanie; karćcie jej ciało, by zbawić duszę — jeżeli, istotnie, to zbawienie jest możliwe, gdyż (język mój zacina się, gdy mam to powiedzieć), ta dziewczyna, dziecko chrześcijańskiego kraju, gorsza od wielu małych pogan, co modlą się do Brahmy i klękają przed Baalem, ta dziewczyna — kłamie!

Nastąpiła teraz przerwa kilkominutowa, w czasie której ja, zupełnie już teraz przytomna, zauważyłam, że wszystkie panie Brocklehurst wyciągnęły chusteczki i przytknęły je do oczu, podczas gdy starsza pani kiwała się naprzód i wtył, a obie młodsze szeptały: „Ach, to szkaradnie!”

Pan Brocklehurst ciągnął dalej.

— Dowiedziałem się tego od jej dobrodziejki, od nabożnej i miłosiernej pani, która adoptowała ją w sieroctwie, wychowywała, jak własną córkę, a której dobroć i wspaniałomyślność ta nieszczęsna dziewczyna odpłaciła niewdzięcznością tak brzydką, tak okropną, że wkońcu szlachetna jej opiekunka widziała się zmuszona odłączyć ją od własnych dzieci w obawie, że zły jej przykład może zarazić czyste ich dusze; przysłała ją tutaj,

aby ją uzdrowić, tak jak dawni żydzi posyłali chorych do mętnej jeziora w Bethseda; a was, panie nauczycielki, pani przełożono, proszę, nie pozwólcie, żeby wody dokoła niej stanęły.

Po tem wzniosłem zakończeniu pan Brocklehurst zaplął najwyższy guzik u surduta i szepnął coś swojej rodzinie, która wstała, ukloniła się pannie Temple, poczem wszyscy ci wielcy ludzie uroczyście wypłynęli z pokoju. Odwracając się w drzwiach, mój sędzia powiedział:

— Niech ona stoi jeszcze pół godziny na tem krześle, i przez resztę dnia niech nikt się do niej nie odzywa.

Tak więc stałam tam, na wzniesieniu; ja, która mówiłam, że nie zniosłabym wstydu stania na własnych nogach na środku pokoju, wystawiona teraz byłam na widok ogólny na hańbiącym piedestale. Co czułam, tego nie opiszą żadne słowa; ale właśnie gdy uczucia moje aż oddech dusiły mi w piersiach, dławiąc i ściskając za gardło, przeszła obok mnie jedna z uczennic; przechodząc, podniosła na mnie oczy. Jakież dziwne światło jaśniało w tych oczach! Jakiem niezwykłym uczuciem ten promień światła mnie przejął! Jakże mnie to nowe uczucie podniosło! Było to tak, jakgdyby męczennik, bohater przeszedł obok niewolnika albo ofiary i w przejściu siły mu dodał. Opanowałam grożący mi wybuch nerwowego płaczu, podniosłam głowę, stanęłam silnie na stołku. Helena Burns zapytała pannę Smith o jakiś drobiazg przy swojej robocie, dostała burę, że pyta o takie drobnostki, wróciła na swoje miejsce i znowu, przechodząc, uśmiechnęła się do mnie. Co za uśmiech! Pamiętam go dobrze i wiem teraz, że był to promień pięknej duszy, prawdziwej odwagi: rozświetlił jej wybitne rysy, jej szczupłą twarz, jej zapadłe siwe oczy, jak odbłask istoty anioła. A jednak w tej chwili Helena Burns nosiła na ramieniu opaskę „nieporządna”; ledwie godzinę temu słyszałam, jak panna Scatcherd skazywała ją na obiad z chleba i wody na jutro za to, że poplamiała ścianę, przepisując je na czysto. Tak niedosko-

nałą jest natura ludzka! Takie plamy widnieją na powierzchni najjaśniejszych planet, a oczy takie, jak panny Scatcherd, mogą dojrzeć tylko te maleńkie skazy, ślepe na pełną światłość gwiazdy.

ROZDZIAŁ VIII.

Zanim upłynęło owe pół godziny, wybiła piąta; rozpuszczono szkołę i wszystkie dziewczynki poszły do refektarza na podwieczorek. Odważyłam się teraz zejść; był ciemny zmrok; poszłam do kącika i usiadłam na ziemi. Czar, który mnie dotąd podtrzymywał, zaczął się rozwiewać; następowała reakcja i niebawem tak przemożny żal mną owładnął, że upadłam twarzą do ziemi i zapłakałam. Nie było przy mnie Heleny Burns; nic mnie nie podtrzymywało; pozostawiona samej sobie, poddałam się rozżaleniu i łzy moje zwilżyły deski podłogi. Zamierzałam przecież być tak dobrą, działać tak wiele w Lowood; zyskać tyle przyjaciółek, zasłużyć na uznanie, zdobyć sympatię ludzką. Już nawet zrobiłam postęp widoczny; tegoż rana jeszcze zyskałam pierwsze miejsce w klasie. Panna Miller gorąco mnie chwaliła. Panna Temple uśmiechnęła się z uznaniem; przyrzekła, że będzie mnie uczyła rysować i że pozwoli mi się uczyć francuskiego, jeżeli przez dalsze dwa miesiące będę robiła takie postępy, jak dotąd. I moje koleżanki dobrze się do mnie odnosiły; moje rówieśniczki traktowały mnie jak równą, a żadna mi nie dokuczała; a oto teraz leżę zgębiona, zdeptana — i czyż kiedy będę mogła powstać?

„Nigdy“ myślałam i gorąco pragnęłam umrzeć. Łkając z tem życzeniem w duszy, usłyszałam, że ktoś się zbliża; zerwałam się. Przy świetle dogasającego ognia ujrzałam Helenę Burns, idącą wzdłuż długiego, prostego pokoju; niosła mi chleb i kawę.

— No, zjedz cośkolwiek — przemówiła; ale ja odsunęłam wszystko, czując, że w tej chwili każdą kroplą, każdą okruszyną musiałabym się zadławić. Helena przyglą-

dała mi się ze zdziwieniem zapewne; nie mogłam opanować wzburzenia pomimo wysiłków; w dalszym ciągu płakałam głośno. Ona usiadła na ziemi obok mnie; objęła rękoma kolana; oparła na nich głowę w tej pozycji, milczała jak indyjski derwisz. Ja przemówiłam pierwsza.

— Helenko, dlaczego ty zadajesz się z dziewczyną, którą wszyscy uważają za kłamczucha?

— Wszyscy, Joasiu? Ależ jest tutaj tylko ośmdziesiąt osób, które słyszały, że cię tak nazwano, a na świecie są przecież setki milionów.

— A co mnie obchodzą miliony? Te ośmdziesiąt, które znam, pogardzają mną!

— Joasiu, mylisz się: niema prawdopodobnie ani jednej osoby w szkole, któraby tobą pogardzała, albo nie lubiła ciebie, a wiele, jestem pewna, bardzo cię żałuje.

— Jakże mogą mnie żałować po tem, co pan Brocklehurst powiedział?

— Pan Brocklehurst to nie Pan Bóg: nie jest nawet żadnym ani wielkim ani podziwianym człowiekiem; niebardzo go tutaj lubią; nigdy nie postarał się o to, żeby go lubiano. Gdyby cię był potraktował, jako specjalną ulubienicę, znalazłabyś dokoła siebie nieprzyjaciółki jawne lub ukryte; tak jak jest, większość okazywałaby ci współczucie, gdyby tylko śmiały. Nauczycielki i uczennice popatrzą może na ciebie chłodno przez jakiś dzień, dwa dni, ale przyjazne uczucia kryją się w ich sercach; a jeżeli w dalszym ciągu będziesz się dobrze zachowywała, te uczucia niebawem ujawnią się tem widoczniej, że chwilowo są stłumione. A zresztą, Joasiu...

Tu przerwała.

— Co, Helenko? — zapytałam, ujmując jej rękę; dłońmi potarła mi palce łagodnie, ażeby je rozgrzać, i mówiła dalej:

— Gdyby cały świat cię nienawidził i wierzył, że jesteś zła, to jednak, byle własne sumienie było z tobą w zgodzie i nie uznawało w tobie winy, nie byłabyś bez przyjaciół.

— Nie; ja wiem, że miałabym o sobie dobre mniemanie, ale to niedosyć. Gdyby mnie inni nie kochali, wolałabym raczej umrzeć, niż żyć, ja nie mogę znieść osamotnienia i nienawiści, Helenko. Bo posłuchaj: dla pozyskania prawdziwego uczucia twojego, albo panny Temple, albo kogoś, kogobym naprawdę kochała, chętniebym dała sobie kość w rękę złamać, albo bykowi wziąć się na rogi, albo stanęłabym za wierzgającym koniem, ażeby jego podkowa uderzyła mnie w piersi...

— Cicho, daj pokój, Joasiu! Ty zanadto myślisz o miłości istot ludzkich; zanadto jesteś porywcza, gwałtowna. Wszzechmocna Ręka, która stworzyła twoje ciało i tchnęła w nie życie, dała ci inne skarby, wyższe od twojej słabej istoty i stworzeń, równie słabych, jak ty. Oprócz tej ziemi i oprócz rasy ludzkiej istnieje świat niewidzialny i królestwo duchów. Ten świat nas otacza, gdyż jest wszędzie, a duchy patrzą na nas, gdyż mają zleczone czuwanie nad nami. I gdybyśmy umierali w męce i wstydzie, sponiewierani pogardą, zduszeni nienawiścią, aniołowie widzieliby nasze męki, rozpoznałyby naszą niewinność. Tak jak ja wiem, że ty jesteś niewinna tego zarzutu, jaki pan Brocklehurst lekkomyślnie a patetycznie powtórzył za panią Reed, z drugiej ręki; wiem, gdyż rozpoznaję prawą naturę w gorących twoich oczach i na czystym czole, Joasiu, Pan Bóg tylko czeka na oswobodzenie duszy z ciała, ażeby ją uwieńczyć pełną nagrodą. Dlaczegoż więc mielibyśmy upadać pod ciężarem cierpienia, kiedy życie tak rychło minie, a śmierć jest tak pewnem przejściem do szczęścia i do chwały?

Milczałam; Helena uspokoiła mnie; w tym spokoju, jaki szedł od niej, była przymieszka niewypowiedzianego smutku. Odnosiłam jakieś żalosne wrażenie podczas gdy ona mówiła, ale nie umiałam zdać sobie sprawy, skąd ono płynie; gdy jednakże zauważyłam, że przestawszy mówić, oddycha szybko i raz i drugi sucho kaszle, zapomniałam natychmiast o własnych zmartwieniach. Ogarnął mnie nieokreślony niepokój o nią.

Oparłszy głowę o ramię Heleny, objęłam ją wpół, a ona przygarnęła mnie do siebie i tak odpoczywałyśmy

w milczeniu. Niedługo siedziałyśmy w ten sposób, gdy wszedł do pokoju jeszcze ktoś inny. Wiatr rozgarnął ciężkie chmury i odsłonił księżyc; światło jego padło jasno na nas obie i na zbliżającą się postać, w której odrazu poznałyśmy pannę Temple.

— Przyszłam umyślnie, żeby ciebie odszukać, Joasiu Eyre — przemówiła. — Przyjdź do mojego pokoju; a skoro Helenka Burns jest z tobą, i ona przyjść może.

Poszłyśmy. Idąc za przełożoną, musiałyśmy przejść przez kilka zawiłych korytarzy i wyjść na schody, zanim doszłyśmy do jej pokoju; palił się tam suty ogień i pokój wyglądał przytulnie. Panna Temple kazała Helenie zająć niski fotel przy kominku, sama zajęła drugi, a mnie kazała stanąć przy sobie.

— No i cóż, czy już minęło? — zapytała, przyglądając się mojej twarzy. — Czy wypłakałaś już zmartwienie?

— Ach, to się chyba nigdy nie stanie!

— Dlaczego?

— Ponieważ zostałam niesłusznie oskarżona i teraz pani i wszyscy inni będą myśleli, że ja taka zła jestem!

— Będziemy cię uważały za taką, jaką cię poznamy. Zachowuj się dalej równie dobrze, jak dotąd, a będziemy z ciebie zadowolone.

— Czy doprawdy, proszę pani?

— Z pewnością — odpowiedziała, obejmując mnie ramieniem. — A teraz powiedz mi, kto jest ta pani, którą pan Brocklehurst nazwał twoją dobrodziejką?

— Pani Reed, żona mojego wuja. Mój wuj umarł i polecił mnie jej opiece.

— Więc ona nie z własnej woli wzięła cię na wychowanie?

— Nie, proszę pani; bardzo była nierada, że musi to uczynić; ale wuj mój, jak często słyszałam od służących, wymógł na niej, zanim umarł, przyrzeczenie, że na zawsze zatrzyma mnie u siebie.

— A teraz posłuchaj, Joasiu. Ty wiesz, a jeśli nie wiesz, to ci powiem, że jeżeli zbrodniarz jest oskarżony, wolno mu zawsze mówić w swojej obronie. Ty zostałeś

oskarżona o kłamstwo; broń się przede mną, o ile możesz. Powiedz mi prawdę, tak jak ją pamiętasz, ale niczego nie dodawaj i nie przesadzaj niczego.

Postanowiłam w głębi serca mówić z całym umiarkowaniem, z całą ścisłością, a zastanowiwszy się przez parę minut, by uporządkować i powiązać, co mam do powiedzenia, opowiedziałam jej całe dzieje smutnego dzieciństwa. Wyczerpana byłam wzruszeniem, więc spokojniej mówiłam niż zazwyczaj, gdy dotykałam tego bolesnego tematu; pamiętając zaś o przestrożach Heleny, by nie poddawać się uczuciom urazy i nienawiści, mniej niż kiedykolwiek dotąd wlałam żalu i goryczy w swoje opowiadanie. Tak opanowane i uproszczone brzmiało wiarogodniej: czułam, że panna Temple wierzy mi najzupełniej.

W toku opowiadania wspomniałam o panu Lloydzie, że przyszedł mnie odwiedzić po moim ataku; nigdy bowiem zapomnieć nie mogłam o tym strasznym dla mnie epizodzie czerwonego pokoju. Opisując go, czułam, że wzburzenie moje w pewnym stopniu mnie ponosi, gdyż nic nie mogło złagodzić we wspomnieniu tego spazmu strachu i rozpacz, jaki mi serce ścisnął, gdy pani Reed odrzuciła moje oszalałe błaganie o litość i zamknęła mnie powtórnie w ciemnym pokoju, gdzie straszyló.

Skończyłam. Panna Temple popatrzyła na mnie dłuższą chwilę w milczeniu, a potem rzekła:

— Ja znam trochę pana Lloyd'a; napiszę do niego; a jeżeli odpowiedź jego potwierdzi twoje opowiadanie, zostaniesz publicznie oczyszczona od wszelkiego zarzutu; w moich oczach, Joasiu, już teraz jesteś oczyszczona.

Pocałowała mnie i wciąż jeszcze trzymając mnie przy sobie, (gdzie bardzo rada stałam, gdyż jakto dziecko miałam przyjemność w podziwianiu jej twarzy, jej ubrania, jej paru klejnotów, białego czoła, lśniących pukli włosów i promieniujących ciemnych oczu) — zwróciła się do Heleny Burns.

— Jak się dziś wieczór czujesz, Helenko? Czy dużo dzisiaj kaszlałaś?

— Zdaje mi się, że nie tak bardzo dużo, proszę pani.

— A ten ból w piersiach?

— Trochę słabszy.

Panna Temple wstała, ujęła jej rękę i zbadła puls, poczem wróciła na swoje miejsce; słyszałam, jak cicho westchnęła. Milczała, zamyślona, przez parę minut, wkońcu, jakgdyby budząc się, powiedziała wesoło:

— Ale wy obie jesteście dziś w gościnie u mnie, muszę was przeto godnie przyjąć!

Zadzwoiła.

— Barbaro — rzekła, gdy weszła służąca — nie dostałam jeszcze herbaty; przynieś tacę i postaw filiżanki i dla tych dwóch panienek także.

Wniesiono niebawem tacę. Ach, jakże ładne wydały mi się te porcelanowe filiżanki i ten imbryk błyszczący, gdy ustawiono to wszystko na okrągłym stoliku przed kominkiem! Jak wonną była para napoju, jak pachniały grzanki! tych jednakże, ku mojemu zawodowi, (gdyż zaczynałam odczuwać głód), była tylko bardzo mała porcyjka; panna Temple zauważyła to także.

— Barbaro — rzekła — czy nie mogłabyś przynieść trochę więcej chleba i masła? To nie wystarczy dla trzech osób.

Barbara poszła i zaraz też wróciła.

— Proszę pani, pani Harden powiada, że posłała zwykłą ilość.

Pani Harden, nawiasem, była to gospodyni; niewiasta zupełnie wedle serca pana Brocklehursta, sucha jak kość, twarda jak żelazo.

— O, dobrze, dobrze! — odpowiedziała panna Temple. — Więc musi nam to wystarczyć.

A gdy dziewczyna wyszła, dodała z uśmiechem:

— Na szczęście mam na ten raz możność dopełnienia braku!

Poprosiwszy Helenę i mnie do stolika i postawiwszy przed każdą z nas filiżankę herbaty z jednym wyśmie-

nitym, ale cienkim kawałkiem grzanki, wstała, otworzyła szufladę, dożyła stamtąd paczkę, zawiniętą w papier, i ukazała oczom naszym dobry kawał ciasta z makiem.

— Miałam każdej z was dać po kawałku ciasta, byście zabrały ze sobą — rzekła — ale skoro tak mało dano nam grzanek, musicie to teraz dostać. — I szczerą ręką zabrała się do krajania.

Uczta ta była dla nas czemś, jak nektar i ambrozja; a nie najmniejszą rozkoszą tego przyjęcia był uśmiech zadowolenia gospodyni, przyglądającej się, jak wyostrzone nasze apetyty syciłyśmy delikatną strawą, obficie przez nią dostarczoną.

Po wypiciu herbaty i usunięciu tacki panna Temple zaprosiła nas znowu do kominka; siedziałyśmy, mając ją w pośrodku, i teraz wywiązała się między nią a Heleną rozmowa. Przysłuchiwanie się tej rozmowie było dla mnie prawdziwą rozkoszą.

Panna Temple miała zawsze w sobie jakąś pogodę, jakąś godność wyrazu, jakąś wytworną prostotę wysłowienia, która wykluczała wpadanie w podniecanie, w gorączkowość: coś, co widzów i słuchaczy poito uczuciem czci dla niej; odczuwałam to teraz; ale w zdumieniu wprowadziła mnie Helena Burns.

Krzepiące pożywienie, płonący ogień, obecność i dobrotliwość ukochanej jej nauczycielki, a może więcej niż to wszystko, coś swoistego w wyjątkowej jej duszy rozbudziło drzemiące w niej moce. Najpierw zapłonęły żywą barwą jej policzki, tak zawsze blade i bezkrwiste, potem zaświeciły wilgotnym blaskiem oczy, które zajaśniały nagle urodą odrębną od piękności oczu panny Temple, bo pięknnością nie barwy i oprawy, lecz wyrazu. A potem dusza jej osiadła na wargach, i popłynęły słowa, z jakich źródeł, nie rozumiem. Czyż czternastoletnia dziewczę może mieć serce tak wielkie i silne, by pomieścić wezbrane źródło czystej, pełnej, gorącej wymowy? Taką ukazała mi się Helena owego pamiętnego dla mnie wieczora; zdawało się, że duch jej śpieszy przeżyć

w krótkiej chwili tyle, ile inni przeżywają w ciągu długotrwałego istnienia.

Rozmawiały o rzeczach, o których ja nigdy nie słyszałam; o narodach i czasach minionych, o dalekich krajach, o tajemnicach przyrody odkrytych, albo których się się domyślano; mówiły o książkach. Jakże ich wiele przeczytały! jakież skarby wiedzy posiadały! A potem, tak były obeznane z francuskimi autorami; ale już zdumienie moje dosięgło szczytu, gdy panna Temple zapytała Helenę, czy znajduje czasem chwilę, by przypomnieć sobie łacinę, której ją ojciec uczył i gdy, biorąc książkę z półki, dała jej do przeczytania i do przetłumaczenia stronicę Wirgiljusza; Helena usłuchała, a mój podziw rósł z każdym wierszem. Zaledwie skończyła, rozległ się dzwonek, wzywający na spoczynek! Nie można się było spóźnić; panna Temple uściskała nas obie i powiedziała, przyciskając nas do serca:

— Niech was Bóg błogosławi, moje dzieci!

Helenę trochę dłużej przytuliła, niż mnie; jeszcze niechętniej ją puszczała; Helenę oczyma odprowadziła do drzwi; za nią po raz drugi pogoniła smutnem westchnieniem, o nią się troszcząc, otarła łzę z twarzy.

Wchodząc do sypialni, usłyszałyśmy głos panny Scat-cherd; robiła przegląd szuflad; właśnie wyciągnęła szufladę Heleny i zaraz od wejścia przywitała ją ostrą burą, zapowiadając, że jutro będzie miała przypięte do ramienia pół tuzina nieporządnie złożonych kawałków.

— Moje rzeczy były istotnie porzrucane, że aż wstyd — szepnęła mi Helena do ucha. — Chciałam je poskładać, ale zapomniałam.

Nazajutrz rano panna Scat-cherd wyraźnemi literami wypisała na pasku tektury wyraz „flądra“ i przywiązała tę opaskę na szerokiem, łagodnem, inteligentnem czole Heleny. Helena nosiła ją aż do wieczora, cierpliwie, bez żalu, uważając to za zasłużoną karę. Z chwilą gdy panna Scat-cherd wyszła po skończonych poobiednych lekcjach, pobiegłam do Heleny, zdarłam jej tę przepaskę z czoła i rzuciłam ją w ogień; pasja, do

której ona była niezdolna, przez cały dzień wrzała w mojej duszy i łzy gorące wciąż spływały mi po twarzy; bowiem widok jej smutnej rezygnacji nieznośnym bólem ścisnął mi serce.

W tydzień mniej więcej po opisanych wypadkach panna Temple, która była napisała do pana Lloyda, otrzymała odpowiedź: list jego potwierdził moje opowiadanie. Panna Temple, zgromadziwszy całą szkołę, oznajmiła, że postarała się o zbadanie zarzutów podniesionych przeciwko Joasi Eyre i że cieszy się niezmiernie, że może ją ogłosić jako zupełnie niewinną. Nauczycielki wtedy, każda z osobna, podały mi rękę i ucałowały mnie, a szmer miłego zadowolenia przebiegł szeregi koleżanek.

W ten sposób, czując, że spadł mi z serca wielki ciężar, zabrałam się na nowo do pracy, z zamiarem przebiccia się przez wszystkie trudności; pracowałam usilnie, a powodzenie odpowiadało moim wysiłkom: pamięć z natury niezbyt świetna, poprawiała mi się przez ćwiczenia, systematyczna nauka rozwinęła mój umysł. Po paru tygodniach przeniesiono mnie do wyższej klasy; w niecałe dwa miesiące pozwolono mi zacząć francuski i rysunki. Nauczyłam się dwóch czasów słowa *être* i tegoż dnia narysowałam pierwszy domek, (którego ściany, nawiasem, mogły konkurować z pochyłą wieżą w Pizie). Tego wieczora, idąc spać, zapomniałam zabawiać się w myśli obrazem kolacji złożonej z gorących pieczonych kartofli lub białego chleba z świeżym mlekiem, czem zwykła byłam oszukiwać niezaspokojony głód; karmiłam się natomiast wyobrażeniem idealnych rysunków, dzieł mej własnej ręki, swobodnie wyrysowanych domów i drzew, malowniczych skał i ruin, bydła na pastwisku, ślicznie malowanych motyli, unoszących się nad nierozkwitłymi różami, ptaków, dziobiących dojrzale wiśnie, gniazd mysikrólika z jajczkami, jak perełki, w obramowaniu gałązek bluszczu. Zastanawiałam się też w myśli, czy to możliwe, żebym mogła kiedy biegle przetłumaczyć pewną małą powiastkę, którą mi dnia tego pokazywała madame Pierrot; nim rozwiązałam pytania te zadowolająco, zapadłam w słodki sen.

Dobrze powiedział Salomon — „Lepszy obiad z ziół, tam gdzie jest miłość, niż tuczny wół z przyprawą niewiści”.

Nie byłabym zamieniła Lowood z wszystkimi jego niedostatkami na Gateshead z wygodami i codziennymi zbytkami stołu.

ROZDZIAŁ IX.

Poprawiały się jednak z wolna niedostatki, a raczej surowe warunki pobytu w Lowood. Wiosna nadciągała, właściwie już nadeszła. Mrozy ustały, stopniały śniegi, złagodniały ostre wiatry. Nieszczęsne moje nogi, opuchłe, poranione mroźnym styczniowym powietrzem, zaczęły goić się i tęchnąć pod wpływem łagodnych tchnień kwietnia. Noce i ranki kanadyjską temperaturą już nam nie mroziły krwi w żyłach; znośne teraz były godziny zabaw, spędzane w ogrodzie, a niekiedy, w dzień słoneczny, bywało nawet mile i wesoło. Ciemne, brunatne grządki zaczynały zielenieć, stawały się coraz świeższe i nasuwały myśl, że nadzieja przechadza się po nich co noc, zostawiając co rano jaśniejsze ślady swoich kroków. Kwiaty wyzierały z pomiędzy liści: śnieżyczki, krokusy, aurykle, złotookie bratki. W czwartkowe popołudnia (dni rekreacji poobiedniej) odbywałyśmy dalsze spacer-y i znajdowałyśmy jeszcze miłsze kwiaty, rozkwitające nad drogami i pod płotami.

Odkryłem też źródło wielkiej przyjemności, leżące poza wysokim, szpiculcami najeżonym murem naszego ogrodu; tem źródłem radości był widok na malownicze szczyty, okalające wielką dolinę górską, bogatą w zieleność i w cień i jasny strumień, pełen ciemnych kamieni i iskrzących wirów. Jakże inaczej przedstawiał się ten widok, gdy oglądałam go pod ołowianem niebem zimy, gdy zeszywniały był mrozem, zatulony w śniegi... gdy śmiertelnie chłodne mgły, gnane wschodnim wiatrem, tłukły się wśród tych szczytów i opadały do ich stóp, łącząc się z chłodnym strumieniem. Ten sam strumień był

wtedy mętym, rwącym potokiem; wrywał się z lasu, śląc w powietrze szalony łoskot, często wzmożony szumem ulewy; a las nad jego brzegami wyglądał jak szereg szkieletów.

Kwiecień minął, przyszedł maj, jasny i pogodny maj. Dni były słoneczne, niebios błękitne, powiewy zachodnie lub południowe, łagodne. Teraz roślinność dojrzała pośpiesznie; Lowood rozpuściło warkocze, zaziele niło się, rozkwieciło całe; wielkie jego szkielety jesio nów, klonów i dębów przywdziały znów majestatyczną szatę życia; leśne rośliny jawiły się obficie w zacisznym cieniu lasu, niezliczone odmiany mchów wypełniały jego zakątki, a dzikie prymulki stały się wśród trawy jak pla my słoneczne. Wszystkiem tem radowałam się często i w całej pełni, wolna, nie pilnowana i nieledwie sama. O przyczynie tej niezwykłej wolności teraz mówić mi wypada.

Czy nie opisałam miłego miejsca zamieszkania, mó wiąc, że położone było wśród wzgórz i lasu, wznosząc się nad brzegiem strumienia? Istotnie, miłe ono było, ale czy zdrowe, to inna sprawa.

Ta leśna dolinka, w której leżało Lowood, była ko lebką mgły i z mgły rodzącej się epidemji; zarazki jej, wiosną rozwinięte, wdarty się do schroniska sierot; ty fus zagnieździł się w przeludnionym pokoju szkolnym i sypialni, i zanim nadszedł maj, zakład zamienił się w szpital.

Niedożywianie oraz zaniedbane przeziębienia i ka tary osłabiły odporność dziewcząt. Z ośmdziesięciu czterdzieści pięć leżało równocześnie. Rozpuszczono klasy, wszelkie reguły zwolniały. Nielicznym zdrowym dano prawie nieograniczoną swobodę, raz, że doktor za lecał konieczność ruchu i przebywania na świeżem po wietrzu dla podtrzymania zdrowia, a potem, że gdyby nawet nie to, nikt nie miał czasu pilnować ich i czuwać nad niemi. Całą uwagę panny Temple pochłaniały pa cjentki; żyła w pokoju chorych, nie opuszczając go wca le, chyba nocą, by parę godzin snu ukraść. Nauczyciel ki miały dość do roboty z pakowaniem i wyprawianiem

tych dziewcząt, które na szczęście dzięki przyjaciom lub krewnym mogły i chciały wydobyć się z siedziby zarazy. Wielu już dotkniętych chorobą pojechało do domu po to tylko, by tam umrzeć; niektórzy umarli w szkole, szybko i cicho je pochowano.

Podczas gdy w ten sposób zaraza rozpanoszyła się w Lowood, a śmierć stała się tam częstym gościem; podczas gdy mrok i lęk panował w jego murach, gdy w pokojach i na korytarzach unosiły się wonie szpitalne (gdyż kadzidła i pastylki daremnie walczyły z wyziewami choroby), ten słoneczny maj siał blaski na strome wzgórza i piękną lesistą krainę. I sam ogród zapłonął barwami kwiatów: malwy wystrzeliły wysoko jak drzewa, rozwijały się lilje, kwitły tulipany i róże; obwódki małych grządek wesoło różowiły się gwoździkami i ponsowemi podwójnemi stokrociami; polne różyczki wydawały rankami i wieczorami woń słodką, zalatując jabłkiem i korzeniami. A wszystkie te wonne skarby bezużyteczne były dla większości mieszkańek Lowood, chyba że od czasu do czasu dostarczały garści ziół i kwiatów, składanych do trumny.

Ja tymczasem wraz z resztą uczennic zdrowych używałam w pełni piękności widoków o tej porze roku. Pozwalano nam, jak cygankom, błądzić po lesie, od rana do wieczora; robiłyśmy, co nam się podobało, chodziłyśmy, gdzie ochota niosła; lepiej też nas żywiono. Pan Brocklehurst wraz ze swą rodziną nigdy się teraz nie pokazywał w Lowood; w gospodarskie sprawy nie wglądano. Skwaszona gospodyni odeszła, wypędził ją strach przed zarazą; następczyni jej, nieprzywykła do miejscowego systemu, gospodarowała stosunkowo hojniej. Przytem mniej osób było do żywienia; chore niewiele mogły jeść; nasze śniadaniowe miseczki bywały pełniejsze. Gdy brakło czasu na przygotowanie prawidłowego obiadu, co zdarzało się często, dawała nam po dobrym kawałku zimnego pieroga, albo po grubej kromce chleba z serem; zabierałyśmy to do lasu, gdzie każda wybierała sobie miejsce dowolnie, i tam ucztowałyśmy wspaniale.

Ulubionem mojem miejscem był gładki, szeroki kamień biały i suchy, sterczący w samym środku strumienia, do którego dostać się można było jedynie brodząc przez wodę; czyniłam to bosą. Powierzchnia kamienia była dość szeroka, by wygodnie pomieścić mnie i drugą dziewczynkę, wybraną wówczas moją towarzyszkę, Marjanę Wilson. Była to bystra i spostrzegawcza osóbką, której towarzystwo lubiłam, poczęści dlatego, że była dowcipna i oryginalna, a poczęści, że była łatwa w obejściu. O parę lat starsza ode mnie, lepiej znała świat i umiała opowiedzieć mi wiele rzeczy, których ja słuchać lubiłam, zaspokajała moją ciekawość, a względem wad moich zachowywała się z pełną pobłażliwością, nigdy mnie nie hamując ani nie powstrzymując, cokolwiekbym mówiła. Miała dar opowiadania, ja skłonność do analizy — lubiła informować, ja lubiłam pytać; to też stosunek nasz układał się gładko, będąc dla nas obu obfitem źródłem rozrywki, jeśli nie poważniejszej korzyści.

A gdzie tymczasem była Helena Burns? Dlaczego tych miłych dni swobody nie spędzałam z nią razem? Czy zapomniałam o niej? czy też byłam tak niegodna, iż znudziłam się jej szlachetnem towarzystwem? Marjanna Wilson z pewnością mniej była warta, niż ona; umiała tylko opowiadać zajmujące historie i odwzajemniać się, jeżeli pozwalałam sobie na jakieś trafne, a czasem złośliwe uwagi. Helena, przeciwnie, potrafiła tych, którzy mieli szczęście z nią rozmawiać, wprowadzać w sferę o wiele wyższych pojęć.

To prawda. Wiedziałam to i czułam. Chociaż ułomne ze mnie stworzenie, choć wiele mam wad, a niewiele w sobie dobrego, to jednak nigdy nie zobojętniałam dla Heleny Burns, nigdy nie ostygłam w przywiązaniu do niej tak silnem, serdecznem, tak pełnem uznania. Jakżeby mogło być inaczej, skoro Helena zawsze i we wszystkich okolicznościach okazywała mi spokojną i wierną przyjaźń, której nigdy nie zamącił zły humor, nigdy nie zakłóciło rozdrażnienie? Ale Helena chorowała teraz; od paru tygodni oddzielono ją od nas, przenosząc do niewiadomego mi pokoju na górze. Powiedziano

mi, że niema jej w szpitalnej części domu z gorączkującymi choremi, gdyż chorobą jej są suchoty, nie tyfus; ja zaś w nieświadomości wyobrażałam sobie, że suchoty, to choroba łagodna, którą czas i starania uleczą niewątpliwie.

Utwierdziłam się w tem przekonaniu, ponieważ raz czy dwa razy zeszła nadół w bardzo ciepłe słoneczne popołudnie, a wtedy zaprowadziła ją panna Temple do ogrodu; mnie jednakże nie pozwolono wtedy pójść do niej i rozmawiać z nią; widziałam ją tylko z okna szkolnego pokoju i to niewyraźnie, gdyż była mocno pootulana i siedziała daleko, pod werandą.

Pewnego wieczora w początkach czerwca zostałam do późnej godziny z Marjanną w lesie; odłączyłyśmy się, jak zwykle, od innych i zawędrowałyśmy daleko, tak że nawet pobłądziłyśmy trochę. Wracałyśmy już po wjeźdźcu księżycu: konik, w którym poznałyśmy kuca doktora, stał uwiązany przy furtce ogrodu. Marjanna zauważyła, że musi być ktoś bardzo chory, skoro posłano po pana Bates o tak późnej porze. Weszła do domu, a ja pozostałam jeszcze na chwilę, chcąc zasadzić w ogródku garść roślin, wykopanych w lesie, gdyż bałam się, że zwiędną, jeżeli pozostawię je niezasadzone do rana. Skończywszy, nie śpieszyłam się zpowrotem: rosa padała, kwiaty pachniały tak słodko — taki miły był wieczór, pogodny, ciepły; rumiany jeszcze zachód zapowiadał na jutro taki sam piękny dzień; księżyc wschodził tak wspaniale. Rozglądałam się w tem wszystkim i cieszyłam się, jak cieszyć się może dziecko. Nagle zbudziła się we mnie myśl:

„Jak to smutno być chorą, leżeć w łóżku i wiedzieć, że się musi umrzeć. Ten świat jest piękny; strasznie byłoby zostać z niego odwołaną i pójść niewiadomo dokąd?”

I wtedy dusza moja zrobiła pierwszy poważny wysiłek ku zrozumieniu wpojonych w nią pojęć o niebie i piekle. I po raz pierwszy wzdrygnęła się, nie pojmując; i po raz pierwszy, spojrzawszy za siebie, przed siebie i na wszystkie strony, ujrzała dokoła tylko przepaść

niez głębia; odczuła tylko jeden punkt, na którym stała — terazniejszość; wszystko pozostałe była to tylko bezkształtna mgławica, pusta głębia; i zadrżała z lęku na myśl, że może się potknąć i zatonać w tym chaosie.

Podczas tych rozmyślań usłyszałam, że otwierają się drzwi frontowe; to pan Bates wychodził, a odprowadzała go pielęgniarka. Gdy już wsiadł na swego konika i odjechał, pielęgniarka chciała zamknąć drzwi, ale ja podbiegłam do niej.

— Jak się miewa Helenka Burns?

— Bardzo marnie — odpowiedziała.

— Czy to do niej pan Bates przyjeżdżał?

— Tak.

— I co powiedział o niej?

— Powiedział, że niedługo już będzie tu z nami.

To zdanie, gdybym je była posłyszała wczoraj, miałoby dla mnie ten sens, że Helenę mają odesłać do Northumberland, do jej rodzinnego domu. Nie byłabym podejrzewała, że to znaczy, iż ma umrzeć; ale teraz wiedziałam! Zrozumiałam jasno, że Helena dożywa ostatnich swych dni na tym świecie i że niebawem przejdzie w świat duchów. Wstrząsnęła mną groza, potem przejął mnie silny, bolesny żal, a wślad za tem pragnienie — k o n i e c z n o ś ć zobaczenia jej. Zapytałam, w którym pokoju leży Helenka.

— Leży w pokoju panny Temple — odpowiedziała pielęgniarka.

— Czy mogę tam pójść i pomówić z nią?

— O nie, dziecko! Nie sędzę; a teraz czas, żebyś wróciła do domu; jeszcze zachorujesz, zostając na dworze, kiedy rosa pada.

Pielęgniarka zamknęła drzwi frontowe; ja weszłam bocznem wejściem, prowadzącym do pokoju szkolnego; przyszłam w sam czas; była godzina dziewiąta i panna Miller kazała uczennicom iść spać.

Mogło to być ze dwie godziny później, prawdopodobnie blisko jedenastej, gdy nie mogąc usnąć, a wnosząc z ciszy w sypialni, że towarzyski moje spoczywają w śnie głębokim, wstałam pocichu i, zarzuciwszy suknię

na bieliznę, wysunęłam się boso z sypialni aby dostać się do pokoju panny Temple. Pokój ten był na wprost przeciwnym końcu domu, ale ja znałam do niego drogę; światło księżyca, wpadając tu i owdzie przez okna na korytarzach, ułatwiło mi odnalezienie jej. Zapach kamfory i kadzidła z octem ostrzegł mnie, że zbliżam się do pokoju chorych; minęłam drzwi jego szybko w obawie, by nie usłyszała mnie pielęgniarka, czuwająca tam przez całą noc. Lękałam się, by mnie nie odkryto i nie kazano wracać, bo przecież musiałam zobaczyć się z Helenką, musiałam uściskać ją, zanim umrze — pożegnać ją ostatnim pocałunkiem, zamienić z nią ostatnie słowa.

Zeszedłszy z jednych schodów, przebywszy na dole znaczną część domu, otworzywszy i zamknąwszy szczęśliwie bez hałasu dwoje drzwi, dotarłam do drugich schodów; wstąpiłam na nie, a wtedy znalazłam się wprost pokoju panny Temple. Światło przedzierało się przez dziurkę od klucza i spodem przed drzwiami; głęboka cisza zalegała dokoła. Zbliżywszy się dostrzegłam, że drzwi są lekko uchylone, prawdopodobnie, aby dopuścić trochę świeżego powietrza do dusznego pokoju, gdzie leżała chora. Bez zawahania, niecierpliwa, i śmiertelnym strachem drżąca — otworzyłam je i zajrzałam. Oczy moje szukały Heleny, a bały się ujrzeć śmierć.

Tuż obok łóżka panny Temple, nawpół zakryte białą jego kotarą, stało wąskie łóżeczko. Widziałam zarysy postaci pod kołdrą, ale twarz ukrywała kotara; pielęgniarka, z którą rozmawiałam w ogrodzie, siedziała w fotelu i spała; nieobjaśniona świeca ciemno paliła się na stole. Panny Temple nie było; dowiedziałam się później, że zawołano ją do chorej w ciężkiej malignie. Postąpiłam naprzód; stanęłam przy łóżeczku; już rękę wyciągałam do kotary, ale wolałam wpierw przemówić, zanim ją odsunę. Wciąż jeszcze się bałam, że zobaczę umarłą.

— Helenko! — szepnęłam cicho — czy nie śpisz?

Poruszyła się, odgarnęła kotarę, a wtedy ujrzałam twarz jej bladą, wymizerowaną, ale zupełnie spokojną: wydała mi się tak mało zmieniona, że lęk mój rozwiązał się odrazu.

— Czy to być może, że to ty, Joasiu? — zapytała miłym głosem.

„Och, pomyślałam, ona nie umrze, oni się mylą; przecież nie mogłaby tak mówić, ani tak wyglądać spokojnie, gdyby miała umierać!”

Nachyliłam się nad jej łóżeczkiem i ucałowałam ją: czoło jej było chłodne, policzki chłodne i wychudzone, podobnież i ręce; ale uśmiechała się po dawnemu.

— Dlaczego przyszłaś, Joasiu? Już minęła jedenasta; słyszałam, jak biła kilka minut temu.

— Przyszłam cię odwiedzić, Helenko; słyszałam, że jesteś bardzo chora, i czułam, że nie zasną, dopóki cię nie zobaczę.

— A więc przyszłaś mnie pożegnać; zdążyłaś, zdaje się, w samą porę.

— Czy ty dokąd wyjeżdżasz, Helenko? Czy może jedziesz do domu?

— Tak; do mojego prawdziwego domu — do mojego ostatniego domu.

— Nie, nie, Helenko! — przerwałam wzruszona. Lecz gdy usiłowałam opanować łzy, atak kaszlu ją pochwycił; nie obudziło to jednak pielęgniarki, i gdy kaszel minął, Helena leżała parę minut wyczerpana, a potem szepnęła:

— Joasiu, twoje nóżki bosc; połóż się przy mnie i nakryj się kołdrą.

Zrobiłam, jak chciała; otoczyła mnie ramieniem, a ja ułożyłam się tuż przy niej. Po długim milczeniu mówiła dalej wciąż szeptem:

— Jestem bardzo szczęśliwa, Joasiu; a jak się dowiesz, że umarłam, pamiętaj, żebyś się nie martwiła; nie ma się czem martwić. Wszyscy musimy kiedyś umrzeć, a choroba, która mnie zabiera nie jest bolesna; łagodnie postępuje i stopniowo. W duszy czuję spokój. Nie pozostawiam nikogo, ktoby mnie bardzo żałował; mam tylko ojca; ale on się niedawno ożenił, więc nie odczuje mej nieobecności. Umierając młodo uniknę wielkich cierpień. Nie miałam tych zdolności ani talentów, jakich potrzeba, żeby sobie dobrze torować drogę w świecie; błędziłam wciąż.

— Ale dokąd ty idziesz, Helenko? Czy ty to rozumiesz? Czy wiesz?

— Wierzę; mam wiarę; idę do Boga.

— Gdzie jest Bóg? I kto jest Bóg, Helenko?

— Mój Stwórca i twój, który nie unicestwi swojego stworzenia. Polegam całkowicie na Jego potędze i ufam najmocniej w Jego dobroć: liczę godziny, rychło nadejdzie ta wielka chwila, która mnie powróci do Niego, a Jego mnie objawi.

— Więc ty jesteś pewna, Helenko, że istnieje takie miejsce, niebo, i że dusze nasze dostaną się tam, gdy poumieramy?

— Jestem pewna, że jest taka kraina przyszłości; wierzę, że Bóg jest dobry; powierzam Mu nieśmiertelną część swoją bez żadnej obawy; Bóg jest moim ojcem; jest moim przyjacielem; ja Go kocham i wierzę, że i On mnie kocha.

— A czy ja się z tobą spotkam, Helenko, gdy umrę?

— Przydziesz do tej samej krainy szczęśliwości; przyjmie cię ten sam wszechpotężny, wspólny Ojciec, nie wątpię o tem, droga Joasiu.

Znowu zapytałam, ale tym razem w myśli jedynie: „Gdzie jest ta kraina?” I otoczyłam ramionami Helenkę, tuląc się do niej; droższą mi była, niż kiedykolwiek; „nie puszczę cię! nie pozwolę ci odejść!” myślałam; leżałam z twarzą ukrytą na jej ramieniu. A wtedy ona, jak najłagodniej, powiedziała:

— Jak mi dobrze i wygodnie! Ten ostatni atak kaszlu zmęczył mnie trochę; zdaje mi się, że będę mogła zasnąć; ale nie odchodź ode mnie Joasiu; miło mi czuć cię przy sobie.

— Zostanę z tobą, Helenko najdroższa! Nikt mnie stąd nie zabierze!

— Ciepło ci, kochanie?

— Tak.

— Dobranoc, Joasiu.

— Dobranoc, Helenko.

Pocałowałyśmy się i wkrótce zasnęłyśmy obie.

Gdy się obudziłam, był już dzień; obudził mnie niezwykły ruch; spojrzałam: byłam w czyichś objęciach; to pielęgniarzka niosła mnie przez korytarz zpowrotem do sypialni. Nikt się na mnie nie gniewał, że uciekłam z łóżka; o czem innym mieli myśleć. Nie dano mi wtedy żadnych wyjaśnień na moje liczne pytania, ale w jakieś dwa dni potem dowiedziałam się, że panna Temple wróciwszy o świcie do swego pokoju, zastała mnie, leżącą obok Helenki, z twarzą, opartą o jej ramię, z rękoma dookoła jej szyi. Ja spałam, a Helenka — nie żyła.

Grób jej znajduje się na cmentarzu w Brocklebridge: przez piętnaście lat po jej śmierci była to tylko darniowa mogiła, obecnie tablica z szarego marmuru oznacza to miejsce, a napis na tej tablicy głosi jej imię i słowo: *R e s u r g a m*^{*)}.

ROZDZIAŁ X.

Dotychczas opowiadałam szczegółowo wypadki swego dzieciństwa: pierwszemu dziesięcioleciu poświęciłam prawie tyleż rozdziałów. Jednakże to nie ma być dokładna autobiografia; chcę tylko wyławiać z pamięci to, co może wzbudzić pewne zainteresowanie; dlatego teraz okres ośmioletni pomnę prawie milczeniem; kilku wierszy tylko potrzeba, by utrzymać łączne ogniwo.

Dopełniwszy dzieła zniszczenia w Lowood, epidemia tyfusu wygasła narazie stopniowo; jednakże jej złośliwość i liczba ofiar zwróciła publiczną uwagę na szkołę. Zbadano powody tej klęski i wkrótce wyszły najaw różne fakty, które wzbudziły ogólne oburzenie. Niezdrowe położenie; ilość i jakość pożywienia dawanego dzieciom; niedobra, cuchnąca woda, używana do gotowania; nędzne ubranie uczennic i inne wady w urządzeniach mieszkaniowych — wszystko to odkryto, a odkrycie wywołało rezultat, przykry dla pana Brocklehurst, ale zbiawieny dla zakładu.

^{*)} Zmartwychwstanę.

Kilku ludzi bogatych i dobrej woli w hrabstwie subskrybowało większe sumy na postawienie odpowiedniejszego budynku i w lepszym położeniu, niż dotychczasowy. Ułożono nowy regulamin i wprowadzono ulepszenia w odżywianiu i w ubraniu dziewcząt; fundusze szkoły wziął w ręce komitet. Pan Brocklehurst, którego przez wzgląd na jego bogactwo i rodzinne stosunki nie można było pominąć, zatrzymał stanowisko skarbnika; dopomagali mu jednak w spełnianiu tych obowiązków panowie o szerszych poglądach, bardziej ludzkich uczuciach. Urząd inspektora dzielili z nim tacy, którzy umieli łączyć rozsądek ze ścisłością, wygodę z oszczędnością, współczucie z prawością. Szkoła w ten sposób ulepszona, stała się czasem prawdziwie pożytecznym, dużej wartości zakładem. Pozostałam w obrębie jej murów, po jej odrodzeniu, dalszych ośm lat, z tych sześć jako uczennica, a dwa jako nauczycielka; tak w jednym jak i w drugim charakterze mogę zaświadczyć o jej wartości i poziomie.

Przez te ośm lat pędziłam życie jednostajne; nie smutne jednakże, gdyż było pracowite. Miałam możliwość osiągnięcia wyższego wykształcenia; miałam zamiłowanie do niektórych przedmiotów, a pragnienie odznaczenia się we wszystkich. Wielką sprawiało mi przyjemność móc zadowolić nauczycielki, zwłaszcza te, które kochałam; to też korzystałam w pełni z otwartych mi źródeł wiedzy. Czasem zostałam pierwszą uczennicą pierwszej klasy, a potem powierzono mi stanowisko nauczycielki, na którym gorliwie pracowałam przez dwa lata. Wtedy jednakże nastąpiła zmiana.

Panna Temple przez cały czas pozostawała przełożoną szkoły; jej nauczaniu zawdzięczam największą część wiedzy, jej życzliwość i towarzystwo były stałą moją pomocą; ona zastępowała mi matkę, była moją nauczycielką, a wkońcu towarzyszką. W tym okresie jednak wyszła zamaż, za duchownego, najzaciejszego człowieka, prawie godnego takiej żony. — Wyjechała z mężem do odległego hrabstwa, i tym sposobem straciłam ją na zawsze.

Od dnia jej wyjazdu nie czułam się tą samą; Lowood przestał mi być domem jakoby rodzinnym. Przejęłam się szczerze indywidualnością panny Temple, a więc wzorowałam się na jej sposobie myślenia, opanowywałam swą impulsywność. Zdawało mi się, że już osiągnęłam równowagę charakteru. Obowiązkowość i porządek uważałam za najwyższe prawa; byłam spokojna i łagodna, a w oczach koleżanek uchodziłam nawet za osobę o silnym charakterze.

Jednakże los w postaci wielebnego pana Nasmith rozdzielił mnie od panny Temple. Widziałam ją wkrótce po ceremonii ślubnej, wsiadającą w sukni podróżnej do karetki pocztowej; widziałam karetkę podjeżdżającą pod wzgórek i niknącą za jego szczytem; a wtedy udałam się do swego pokoju i tam w samotności spędziłam większą część poobiedniej rekreacji, udzielonej uczennicom na cześć tej uroczystości.

Chodziłam po pokoju rozmyślając. Wyobrażałam sobie, że tylko straty mej żałuję i obmyślam, jakby ją sobie zastąpić; ale gdy w rozmyślaniach mych doszłam do końca, gdy dzień się skłonił ku wieczorowi, zaczęłam sobie uświadamiać, że tymczasem zaszła we mnie zasadnicza zmiana; że z duszy mej uszło to wszystko, co zapożyczyłam od panny Temple, a raczej, że zabrała ona ze sobą ten pogodny nastrój, jakim przy niej oddychałam, a ja pozostawiona wrodzonej mi naturze, zaczynam odczuwać budzenie się dawnych, właściwych mi wzruszeń. Nie znaczy to, że usunęła się pode mną jakaś podpora, ale było mi, jakgdyby zabrakło przyczyny: nie brakowało mi możliwości zachowania spokoju, ale niedostawało mi powodu i bodźca. Światem moim przez szereg lat było Lowood; żyłam w obrębie jego regulaminu i systemu; teraz wspomniałam, że rzeczywisty świat jest szeroki, i że otwiera on obszerne pole nadziei i obaw, wrażeń i podniety dla tych, którzy mają odwagę iść szukać rzeczywistej znajomości życia wpośród jego niebezpieczeństw.

Zbliżyłam się do okna, otworzyłam je i wyrztałam. Tu wznosiły się dwa skrzydła szkolnego budynku, tu leżał

ogród, tu była granica Lowood, — tam pagórkowaty horyzont. Oczy moje przesunęły się po tem co najbliższe i zatrzymały się na najdalszem, tj. na błękitnych szczytach; zapragnęłam je przebyć; wszystko w ich skalistym obrębie wydało mi się dziedziną więzienną. Śledziłam okiem białą drogę, wijącą się u stóp jednej góry i znikającą w wąwozie pomiędzy dwoma; jakże pragnęłam móc ją śledzić dalej! Przypomniałam sobie swoją podróż po tej drodze dyliżansem i przypominałam sobie, jak o zmroku zjeżdżałam z tego wzgórzka. Wiek upłynął od tego dnia, gdy po raz pierwszy ujrzałam Lowood i już odąd nie opuściłam go nigdy. Wakacje wszystkie spędzałam w szkole; pani Reed nigdy nie wezwała mnie do Gateshead; ani ona ani nikt z jej rodziny nigdy mnie nie odwiedził. Nie miałam żadnych stosunków ani listownych ani osobistych ze światem zewnętrznym, szkolne znałam jedynie reguły i obowiązki, szkolne zwyczaje i pojęcia, głosy, twarze i zdania, sympatje i antypatje. A teraz czułam, że to nie wystarcza. Raz po południu uświadomiłam sobie, że znużyła mnie rutyna tych ośmiu lat; westchnęłam za wolnością; pomodliłam się o wolność; wydało mi się, że wiatr rozwiewa to westchnienie i modlitwę moją. Wtedy skromniejsze zaniiosłam błaganie: poprostu o zmianę, o bodziec nowy! I to błaganie zdawało się rozpraszać gdzieś w przestrzeni. „Niechże mi chociaż będzie dana nowa służba!“ zawołałam prawie zrozpaczona.

Tu dzwonek, oznajmiający godzinę wieczerzy, wezwał mnie nadół.

Nie mogłam podjąć przerwanych rozmyślań aż do godziny rozejścia się na spoczynek; ale i wtedy jeszcze nauczycielka, która dzieliła ze mną pokój, nie pozwalała mi powrócić do przedmiotu, koło którego moje myśli krążyły, przedłużając bez końca zdawkową gawędę. Jakżeż pragnęłam, żeby ją sen uciszył! Zdawało mi się, że skoro tylko będę mogła powrócić do myśli, która zaświtała mi w głowie, gdy stała przy oknie, pomysł jaki szczęśliwy zrodzi się ku mojej pociesze.

Panna Gryce nareszcie chrapnęła; była to ciężka Walijka i dotychczas koncert jej nosowy dokuczał mi

zawsze. Tym razem z zadowoleniem posłyszałam pierwsze głębokie jego tony; „nie będzie mi przeszkadzała”, pomyślałam; i zaraz też przygaszone myśli me ożyły.

„Nowa służba! Słowa pełne treści!” — rozmyślałam. „Tak, nie brzmi to nader ponętnie; to nie tak, jak słowa: wolność, radość, używanie życia; prześlicznie brzmiące słowa, ale dla mnie puste to tylko i przelotne dźwięki — wsłuchiwać się w nie to prosta strata czasu. Ale służba! To coś zwykłego, rzeczywistego. Każdy może służyć. Ja tutaj służyłam przez ośm lat, teraz chcę służyć gdzie indziej. Czyż mi nie wolno? Czy to się nie da zrobić? Ależ tak, tak — to nie takie trudne zadanie; trzeba tylko wyteńczyć myśli i znaleźć sposób, by je osiągnąć.”

Siadłam w łóżku, by pobudzić głowę do energiczniejszego działania; noc była chłodna; otuliłam się w szal i znów pogrążyłam się w myślach.

„Czego pragnę? Innej posady, w innym domu, wśród innych twarzy, w innych warunkach. Pragnę tego, gdyż daremnie pragnęłabym czegoś lepszego. Jakim sposobem starają się ludzie o inną posadę? Sądzę, że zwracają się do przyjaciół i znajomych; ja ich nie mam. Ale jest wielu takich, którzy ich również nie mają i sami muszą się starać, sami sobie pomagać. I jak się oni biorą do tego?”

Nie wiedziałam: znikąd pomysłu. Mózg mój pracował z natężeniem; czułam, jak krew pulsuje mi w głowie i w skroniach, lecz z godzinę męczyłam się w daremnym chaosie, nie mogąc nic wynaleźć. Rozgoryczkowana próżnym wysiłkiem wstałam i przeszłam się po pokoju; odsłoniłam storę u okna, popatrzyłam na gwiazdy, ale poczuwszy chłód, powróciłam niebawem do łóżka.

Jakaś dobrotliwa wróżka widocznie pod moją nieobecność złożyła upragniony pomysł na poduszce, gdyż, zaledwie się położyłam, zupełnie spokojnie i naturalnie przyszło mi na myśl: „Ci, którzy szukają posady, podają ogłoszenie; musisz podać ogłoszenie w *Heraldzie*”.

„Ale jak? Nie wiem, jak się to ogłasza.”

Teraz już odpowiedź przyszła gładko i prędko:

„Musisz włożyć do koperty ogłoszenie i należne za nie pieniądze i kopertę zaadresować do wydawcy Herald'a; przy pierwszej sposobności musisz nadać na poczcie w Lowton. Musisz prosić o odpowiedź pod literami J. E. p o s t e r e s t a n t e w Lowton. Za jaki tydzień po wysłaniu listu dowiedz się, czy są odpowiedzi, i stosownie do tego działaj”.

Ten plan rozważyłam jeszcze dobrze, a upewniwszy się w myśli, że jest jasny i praktyczny, zadowolona usnęłam.

Skoro tylko dzień zaświtał, wstałam; ogłoszenie napisałam, zapieczętowałam i zaadresowałam, zanim jeszcze rozległ się dźwięk dzwonka budzącego szkołę. Ogłoszenie moje brzmiało:

„Młoda osoba, mająca wprawę w nauczaniu (czyż od dwóch lat nie byłam nauczycielką?) pragnie otrzymać posadę nauczycielki w domu prywatnym do dzieci poniżej lat czternastu (pomyślałam, że mając sama za ledwie ośmnaście, podejmować się prowadzenia dziewcząt, bliższych mi wiekiem, nie chciałabym). Może udzielać zwykłych przedmiotów, objętych programem dobrego angielskiego wykształcenia, wraz z językiem francuskim, rysunkami i muzyką”. (W owych czasach, czytelniku, ten na dziś już za szczupły katalog umiejętności był uważany za wcale obszerny.)

Adres: J. E. p o s t e r e s t a n t e , Lowton”.

Dokument ten, zamknięty w mojej szufladzie, przeczekał cały dzień; po herbacie poprosiłam nową przełożoną o pozwolenie pójścia do Lowton dla załatwienia kilku małych sprawunków; udzielono mi go chętnie, i poszłam; odległość wynosiła dwie mile; wieczór był wilgotny, dni jednakże jeszcze były długie; zaszłam do paru sklepów, wrzuciłam list na poczcie i powróciłam w rzęsisty deszcz, w ubraniu przemoczonym, ale z lekkiem sercem.

Następny tydzień wydał mi się długi; dobiegł nareszcie do końca, jak wszystko na świecie, i znowu ku schyłkowi miłego jesienno-go dnia znalazłam się pieszo na drodze ku Lowton. Malownicza to była droga, biegła

brzegiem strumienia i poprzez urocze zakręty doliny; tego dnia jednak więcej myślałam o tem, czy będą lub nie będzie listów w miasteczku, niż o piękności łąk i wody.

Za oficjalny powód niniejszej wędrowki podałam tym razem zamówienie pary trzewików; ten sprawunek przeto załatwiłam najpierw, poczem spokojną, czystą uliczką przeszłam od szewca na pocztę. Pocztmistrzynią była leciwa dama w rogowych okularach na nosie i w czarnych mitynkach.

— Czy są jakie listy dla J. E.? — zapytałam.

Pocztmistrzyni przyjrzała mi się przez okulary, a potem, otworzywszy szufladę, długo przepatrywała jej wartość, tak długo, że zaczynałam tracić nadzieję. Nareszcie, podniósłszy do oczu jakąś kopertę, trzymała ją w ten sposób z pięć minut może, aż wkońcu podała mi ją przez kontuar, z jeszcze jednym badawczem i nieufnem spojrzeniem. List był dla J. E.

— Czy ten jeden tylko? — zapytałam.

— Niema nic więcej — odpowiedziała.

Wsunęłam list do kieszeni i zawróciłam ku domowi. Nie mogłam listu teraz otworzyć; regulamin wymagał, bym była zpowrotem o ósmej, a już było wpół do ósmej.

Różne obowiązki czekały mnie po powrocie: musiałam siedzieć z dziewczętami w czasie godziny ich przygotowań; na mnie wypadła kolej odczytywania modlitw, dopilnowania, żeby się dziewczęta spać pokładły; potem jadłam wieczerzę z innymi nauczycielkami. Nawet po ostatecznem rozejściu się na noc miałam za towarzyszkę nieodstępną pannę Gryce; miałyśmy mały tylko kawałek świecy w lichtarzu i drżałam, że się wypali, zanim ona mówić przestanie. Na szczęście ciężka kolacja wywarła skutek usypiający; tym razem chrapała już, zanim ja zdążyłam się rozebrać. W lichtarzu był jeszcze kawałek świeczki; wyciągnęłam list; na pieczętce był odciśk litery F.; rozerwałam pieczętkę; list był niedługi.

„Jeżeli J. E., która podała ogłoszenie w czwartkowym numerze Heralda, posiada wspomniane warunki i jeżeli może podać zadowalające referencje o swym cha-

rakterze i uzdolnieniu, mogłabym jej ofiarować posadę nauczycielki do jednej uczennicy, małej dziewczynki poniżej lat dziesięciu; pensja wynosiłaby trzydzieści funtów rocznie. Proszę J. E. o przysłanie referencji, nazwiska, adresu i wszystkich szczegółów pod adresem: Pani Fairfax, Thornfield p. Millcote”.

Długo przyglądałam się listowi: pismo było staroświeckie i niepewne, jak pismo starszej kobiety. Byłam z tego rada; potajemny lęk mnie przejmował, ażebym, działając tak samodzielnie, nie zgłowała sobie jakiej nieprzyjemnej niespodzianki. Przedewszystkiem pragnęłam, ażeby wynikiem moich starań było coś przyzwoitego, coś właściwego, coś en règle. Udział starszej pani wydał mi się czynnikiem wcale dodatnim w interesie, który przedsięwzięłam. Pani Fairfax! Wyobraziłam ją sobie w czarnej sukni i czepeczku wdowim, zimną być może, ale nie niegrzeczną — taką, jaką być musi szanowna matrona angielska. Thornfield! to niewątpliwie nazwa jej domu; byłam pewna, że jest porządnie i ładnie urządzone, daremnie jednak próbowałam wyobrazić sobie jego wygląd. Millcote, w hrabstwie X.; sięgnęłam pamięcią do mapy Anglii; tak, tak — i to hrabstwo i to miasto leżało o siedmdziesiąt mil bliżej Londynu, niż to odległe hrabstwo, w którym obecnie przebywałam — to w moich oczach przemawiało za niemi korzystnie. Pragnęłam udać się gdzieś, gdzie wre życie i ruch; Millcote to duże miasto fabryczne nad brzegiem rzeki A.; wcale ruchliwe niewątpliwie; tem lepiej, zmiana będzie zupełna. Coprawda niebardzo przypadła mi do smaku myśl o wysokich kominach i chmurach dymu — „ale” — pomyślałam „Thornfield prawdopodobnie leży dosyć daleko od miasta”.

Tu świeczka się wypaliła i knot zagasł.

Nazajutrz musiałam nowe kroki przedsięwziąć; nie mogłam planów swoich dłużej ukrywać. Chcąc im zapewnić powodzenie, musiałam je wyjawić. Postarawszy się o posłuchanie u przełożonej podczas rekreacji południowej, powiedziałam jej, że mam widoki otrzymania posady z pensją dwa razy większą niż moja obecna

(w Lowood bowiem dostawałam tylko 15 funtów rocznie) i poprosiłam ją, ażeby sprawę moją przedstawiła panu Brocklehurst albo komu z panów komitetowych, a zarazem dowiedziała się, czy wolno mi powołać się na nich. Przełożona zgodziła się uprzejmie być moją pośredniczką w tej sprawie. Na drugi dzień przedstawiła rzecz panu Brocklehurst, który powiedział, że należy napisać do pani Reed, jako do mojej naturalnej opiekunki. W odpowiedzi na list, w tym interesie wysłany, pani Reed oświadczyła, że mogę „robić, co mi się podoba; oddawna zaprzestała mieszać się do spraw moich”. List ten obszedł kolejno wszystkich członków komitetu i nareszcie, po tej tak dla mnie nudnej zwłóce, otrzymałam formalne pozwolenie na poprawienie sobie warunków bytu; dodano przytem zapewnienie, że ponieważ w Lowood, jako nauczycielka i jako uczennica, zachowywałam się zawsze dobrze, otrzymam przeto świadectwo o charakterze i uzdolnieniach moich, podpisane przez inspektorów zakładu.

To świadectwo otrzymałam po miesiącu mniej więcej; posłałam kopję jego pani Fairfax i dostałam od niej odpowiedź, wyrażającą zadowolenie i oznaczającą mi termin objęcia obowiązków nauczycielki w jej domu za dwa tygodnie od daty listu.

Zająłam się teraz przygotowaniami: dwa tygodnie zbiegły szybko. Nieobfitą miałam garderobę, ale dla potrzeb moich wystarczającą; ostatniego dnia spakowałam walizkę — tę samą, którą przed ośmiu laty przywiozłam ze sobą z Gateshead.

Walizka była związana, karta na niej przybita. Za pół godziny woźnica miał po nią wstąpić i zabrać ją do Lowton, dokąd miałam się udać nazajutrz rano, bardzo wcześnie, by zdążyć na dyliżans. Wyszczotkowałam czarną wełnianą podróżną suknię, przygotowałam kapelusz, rękawiczki, zarękawek; przejrzałam wszystkie szufłady, czy czasem nie zostawiłam czego, a teraz, nie mając nic więcej do roboty, usiadłam, chcąc odpocząć. Nie mogłam jednak; chociaż cały dzień byłam na nogach, nie mogłam ani chwili spocząć; nazbyt byłam podniecona.

Dziś wieczorem jeden okres życia mojego dobiegał końca. Nowy miał się rozpocząć jutro — czyż podobna drzeć w przerwie? Musiałam czuwać gorączkowo, podczas gdy dokonywała się zmiana.

— Proszę pani — rzekła służąca, wchodząc na ganek, po którym snułam się, jak dusza pokutująca — jest ktoś na dole, kto się z panią chce zobaczyć.

„Woznica niezawodnie” — pomyślałam i zbiegłam ze schodów, nie pytając. Mijałam właśnie pokój bawialny nauczycielek, którego drzwi były uchylone, i zmierziałam w stronę kuchni, gdy ktoś z tego pokoju wybiegł...

— To ona, jestem pewna!... Poznałabym ją wszędzie! — zawołała osoba, która mnie zatrzymała i pochwyciła moją rękę.

Spojrzałam: miałam przed sobą kobietę, ubraną jak dobrze ubrana służąca, matronowatą, ale jeszcze młodą; bardzo przystojną, brunetkę o czarnych oczach, świeżej cerze i żywych rysach.

— No, proszę, kto ja jestem? — zapytała mnie głosem i z uśmiechem, które mi się wydały znajome. — Nie zapomniała mnie chyba panienka zupełnie, panno Joasiu?

W jednej chwili ścisnęłam ją już i całowałam z radością.

— Elżbietka! Elżbietka! Elżbietka! — tyle tylko mogłam wymówić; a ona, nawpół śmiejąc się a nawpół płacząc, razem ze mną weszła do bawialni. Przy kominku stał mały chłopaczek trzyletni w samodzielnym ubranku i majteczkach.

— To jest mój synek — przedstawiła Elżbietka odrazu.

— Więc wyszłaś za mąż, Elżbietko?

— Tak; już prawie pięć lat temu za Roberta Lieven, stangreta; i oprócz tego oto Bobusia mam małą córeczkę, której na chrzcie świętym dałam imię Joanna.

— I nie mieszkasz w Gateshead?

— Mieszkamy w portjerni: stary odźwierny odszedł.

— No i cóż tam u nich wszystkich słyhać? Opowiedz mi wszystko o nich, Elżbietko; ale przedewszystkiem usiądź, a ty, Bobusiu, przyjdź, wezmę cię na kolana, chcesz? — Ale Bobuś wolał przygarnąć się do matki.

— Niebardzo panienka wyrosła, panno Joasiu, ani też nie jest pani tęga — mówiła dalej pani Lieven. — Przypuszczam, że niezbyt dobrze karmiono panienkę w tej szkole; panna Eliza będzie o głowę wyższa od panienki, a panna Georgjana ze dwa razy tak szeroka w ramionach.

— Georgjana musi być ładna?

— Bardzo ładna. Przeszłej zimy pojechała z mamą do Londynu i tam wszyscy się nią zachwycali i jeden młody lord zakochał się w niej; ale rodzina jego sprzeciwiała się temu małżeństwu; no i... co panienka na to powie?... on i panna Georgjana postanowili się wykraść; ale odkryto ich i zatrzymano. To panna Eliza ich wykryła; ja myślę, że przez zazdrość; a teraz obie siostry żyją z sobą, jak pies z kotem; ciągle się kłóca.

— No dobrze, a co słyhać z Jankiem Reed?

— Ach, on się nie sprawuje tak dobrze, jakby sobie matka mogła życzyć. Poszedł do szkół, ale się obciął, tak to się, zdaje mi się, nazywa; a wtedy wujowie jego chcieli, żeby studjował prawo, by potem został adwokatem; ale to taki rozpuszczony młodzieniec, nigdy z niego nic porządnego nie zrobią, ja tak myślę.

— A jakżeż on wygląda?

— Jest bardzo wysoki; niektórzy mówią, że to przystojny młody człowiek; ale on ma grube wargi!

— A pani Reed?

— Pani jest tęga i na twarzy dobrze wygląda, ale myślę, że niebardzo lekko jej na duszy; postępowanie pana Jana nie może jej się podobać — on tyle pieniędzy wydaje.

— Czy to ona ciebie tu przysłała, Elżbietko?

— O nie! ale ja oddawna pragnęłam panienkę zobaczyć, a gdy posłyszałam, że był list od panienki i że się panienka przenosi w inne strony, pomyślałam, że się wyprawię i zobaczę ją, zanim mi zbyt daleko ucieknie.

— Boję się, żeś na mój widok doznała rozczarowania, Elżbietko! — Powiedziałam to ze śmiechem; zauważyłam, że spojrzenia Elżbietki, choć wyrażały uznanie, wcale nie wyrażały zachwytu.

— Nie, panno Joasiu, tego nie mogę powiedzieć; jest panienka dystygowana; wygląda jak prawdziwa dama i tego się właśnie po panience spodziewałam; pięknoscią, jako dziecko, panienka nie była.

Uśmiechnęłam się słysząc szczerą odpowiedź Elżbietki; czułam, że powiedziała prawdę, ale przyznaję, że ta prawda nie była mi zupełnie obojętna. Gdy panna ma lat ośmnaście, pragnęłaby się móc podobać, a przekonanie, że nie ma po temu warunków, bynajmniej przyjemności nie sprawia.

— Ale zato z pewnością jest panienka mądra — mówiła dalej Elżbietka tonem pocieszenia. — Co panienka umie? Umie panienka grać na fortepianie?

— Trochę.

W pokoju znajdował się fortepian; Elżbietka poszła i otworzyła go, a potem poprosiła mnie, żebym jej coś zagrała. Zagrałam dwa walce. Była zachwycona.

— Panny Reed nie umieją tak dobrze grać! — zawołała radośnie. — Ja zawsze mówiłam, że panienka przewyższy je uczonością. A rysować umie panienka?

— Oto jest jeden z moich obrazków, ten nad kominkiem.

Był to pejzażyk malowany wodnymi farbami, który ofiarowałam przełożonej na podziękowanie za jej uprzejme pośredniczenie w mojej sprawie. Kazała go oszklić i oprawić.

— Ależ to jest piękne, panno Joasiu! Takiego pięknego obrazka żaden z nauczycieli rysunków panien Reed nie potrafiłby namalować, a cóż dopiero one! Nie umywały się do panienki. A francuskiego uczyła się panienka?

— Tak, Elżbietko; umiem i czytać i mówić po francusku.

— A haftować na muslinie i na kanwie?

— Umiem.

— O, ależ z panienki to prawdziwa dama, panno Joasiu! Wiedziałam, że panienka na taką wyrośnie; znajdzie panienka daleko w życiu, czy tam krewni znać panienkę będą, czy nie będą. Ale o coś chciałam się panienki zapytać. Czy słyszała panienka kiedy coś o krewnych swoich ze strony ojca, nazwiskiem Eyre?

— Nigdy w życiu.

— Otóż panienka wie, że pani zawsze mówiła, że oni są biedni i że to hołota: może być, że są biedni; ale ja myślę, że to taka sama szlachta, jak rodzina Reed; bo niegdyś, będzie temu prawie siedm lat, niejaki pan Eyre przybył do Gateshead i chciał się widzieć z panienką. Pani powiedziała, że panienka jest w szkole o pięćdziesiąt mil stamtąd. Widocznie było, że sprawiło mu to zawód, gdyż, jak mówił, nie mógł się dłużej zatrzymać: wyjeżdżał w podróż do obcego kraju i okręt jego miał odplynąć z Londynu za dzień czy dwa dni. Wyglądał jak prawdziwy dżentelman, i zdaje mi się, że był to brat ojca panienki.

— Do jakiego kraju wybierał się, Elżbietko?

— To jakaś wyspa o tysiące mil stąd, gdzie wyrabiają wino; mówił mi kamerdyner.

— Może Madeira? — poddałam.

— Tak, tak właśnie — tak powiedział.

— A więc pojechał?

— Pojechał; zaledwie kilka minut zatrzymał się w domu; pani potraktowała go zgóry, a potem nazwała „marnym kupczykiem”. Mój Robert przypuszcza, że był kupcem winnym.

— Bardzo możliwe — odpowiedziałam. — Albo może agentem kupca winnego.

Rozmawiałyśmy z Elżbietką o dawnych czasach jeszcze z godzinę, poczem musiała się ze mną pożegnać; zobaczyłam ją jeszcze raz nazajutrz rano w Lowton, kiedy czekałam na dyliżans. Pożegnaliśmy się ostatecznie przed drzwiami hotelu i każda udała się w swoją drogę; ona poszła odszukać furmankę, która miała ją zabrać

zpowrotem do Gateshead, ja wsiadłam do dylizansu, mającego mnie powieźć ku nowym obowiązkom i nowemu życiu w nieznanym okolicach Millcote.

ROZDZIAŁ XI.

Nowy rozdział w powieści to coś takiego, jak nowa scena w sztuce teatralnej; a gdy teraz podnoszę kurtynę, wyobraź sobie czytelniku, że widzisz pokój w hotelu „Pod Królem Jerzym” w Millcote, z takim obiciem w duży deseń na ścianach, jakie bywają w pokojach hotelowych; z takim dywanem, z takimi meblami, z takimi ozdobami nad kominkiem i takimi sztychami, wśród których widzisz portret Jerzego III, księcia Walji i scenę śmierci Wolfe'a. Wszystko to widzisz przy świetle lampy olejnej, zwieszającej się od sufitu, i sutego ognia, przy którym siedzę w płaszczu i kapeluszu; zarękawek i parasol leżą na stole, a ja rozgrzewam zziębłe i ścięte członki, nasiąkłe chłodem po szesnastu godzinach podróży na ostrem paździenikowym powietrzu. Wyjechałam z Lowton o czwartej godzinie rano, a zegar ratuszowy w Millcote właśnie bije ósmą.

Chociaż siedzę tu względnie wygodnie, nie odczuwam zupełnego spokoju. Myślałam, gdy karetka pocztowa tutaj stanęła, że spotkam tu kogoś, co na mnie będzie czekał. Niespokojnie rozglądałam się, schodząc po drewnianych schodkach, które posługacz przystawił dla mojej wygody; spodziewałam się usłyszeć swoje nazwisko, zobaczyć jaki powóz, przysłany po mnie z Thornfield. Tymczasem nic podobnego nie było widać, a kelner zapytany, czy nie dowiadywał się kto o pannę Eyre, odpowiedział przecząco. To też nie miałam innego wyboru, jak prosić, by mnie zaprowadzono do prywatnego pokoju i tutaj oto czekam, przejęta różnymi wątpliwościami i obawą.

Bardzo dziwnego uczucia doznaje niedoświadczona młoda istota, gdy znajdzie się zupełnie sama na świecie, odcięta od wszelkich stosunków z ludźmi, niepewna

czy dotrze do portu, do którego zmierza, a świadoma, że wiele przeszkód nie pozwoli jej zawrócić do tego, który opuściła. Urok przygody osładza to wrażenie, duma się niem cieszy, ale zato lęk cień nań rzuca; we mnie lęk zapanował przemożnie, gdy minęło pół godziny, a samotności mej nic nie przerywało. Postanowiłam zadzwonić.

— Czy jest tu w sąsiedztwie miejscowość Thornfield? — zapytałam służącego, gdy stawił się na dzwonek.

— Thornfield? Nie wiem, proszę pani, zapytam przy bufecie.

Zniknął, ale wnet powrócił.

— Czy nazwisko pani panna Eyre? — zapytał.

— Tak jest.

— Jakiś człowiek czeka tu na panią.

Skoczyłam na równe nogi, pochwytiłam zarękawek i parasol i wybiegłam na korytarz. Przy otwartych drzwiach stał jakiś mężczyzna, a w niejasno oświetlonej ulicy dojrzałam jednokonny ekwipaż.

— To będzie zapewne багаż pani? — przemówił, zobaczywszy mnie i wskazując walizkę stojącą na korytarzu.

— Tak jest.

Wyniósł walizkę i umieścił ją na powoziku, poczem ja wsiadłam; zanim drzwiczki zatrzasnął zapytałam, jak daleko będzie do Thornfield.

— Będzie ze sześć mil.

— Jak długo potrwa nasza jazda?

— Może z półtorej godziny.

Zamknął drzwiczki, wsiadł na kozioł i ruszyliśmy. Jechaliśmy powoli, miałam dość czasu na rozmyślenia. Rada byłam, że nareszcie zbliżam się do celu podróży. Oparta w wygodnym, choć nieeleganckim powoziku, puściłam wodze dumaniu.

„Wyobrażam sobie — myślałam — sądząc po prostocie służącego i ekwipażu, że pani Fairfax nie musi być tak wielce świetną damą; tem lepiej; raz tylko w ży-

ciu mieszkałam w domu wielkich państwa i bardzo się wśród nich czułam nieszczęśliwa. Ciekawa jestem, czy mieszka sama z tą małą dziewczynką tylko; jeżeli tak i jeżeli jest dosyć miła, potrafię z pewnością żyć z nią dobrze; będę się o to starała; w tem tylko bieda, że chociaż się człowiek najusilniej stara, niezawsze mu się udaje. W Lowood, to prawda, postanowiłam być jak najlepszą, dotrzymałam postanowienia, i powiodło mi się zyskać sympatję i uznanie; ale pamiętam, że u pani Reed najlepsze chęci moje rozbiły się o szorstką i wzgardliwą odprawę. Oby Bóg dał, by pani Fairfax nie okazała się drugą panią Reed; a zresztą, gdyby nawet tak było, nic mnie nie zmusza pozostawać u niej! W najgorszym razie mogę zawsze podać nowe ogłoszenie. Ciekawa jestem, czy to jeszcze daleko?"

Spuściłam okno i wyrzałam; Millcote pozostało za nami; sądząc po ilości światła, miasto to było dość wielkie, o wiele większe niż Lowton. Przejeżdżaliśmy teraz, o ile mogłam dojrzeć, przez rodzaj pastwiska, wszędzie jednak widziało się rozsiane domostwa. Czułam, że znajduję się w okolicy odmiennej od Lowood, ludniejszej, mniej malowniczej — ruchliwszej, mniej romantycznej.

Droga była ciężka, noc mglista; woźnica mój pozwolił koniowi przez cały czas iść stępa i półtorej godziny przeciągnęło się bodaj do dwóch; nakoniec odwrócił się na kozle i powiedział:

— A teraz to już dojeżdżamy do Thornfield!

Wyrzałam znowu: mijaliśmy kościół; zobaczyłam niską przysadzistą wieżę, a zegar na niej wybijał właśnie kwadrans; zobaczyłam rząd gęstych światła na skłonie pagórka, oznaczający wieś czy osiedle. W dziesięć minut potem woźnica zsiadł z kozła i otworzył bramę na oścież; przejechaliśmy, a wrota zatrzasnęły się za nami. Posuwaliśmy się teraz powoli drogą zajazdową, aż podjechaliśmy przed długi front domu; światło świec błyszczało w jednym łukowem oknie; wszystkie inne były ciemne. Powozik zatrzymał się przed drzwiami frontowymi; otworzyła je służąca; wysiadłam i weszłam.

— Proszę panią tędy — rzekła dziewczyna. — Przeszłam za nią przez kwadratowy hall o wysokich drzwiach dookoła; wpuściła mnie do pokoju, mocno oświetlonego buchającym na kominku ogniem i świecą. Światło olśniło mnie narazie po ciemnościach, do jakich przez dwie godziny oczy moje nawykły; gdy jednak wzrok mi powrócił, miły obraz ukazał się moim oczom.

Zaciszny, mały pokój; stół przed wesołym ogniem na kominku; fotel o wysokim oparciu, staroświecki, a w nim siedząca najmilsza w świecie staruszka w wdowim czepczku, czarnej jedwabnej sukni i śnieżno białym muślinowym fartuszku; zupełnie taka, jak sobie wyobraziłam panią Fairfax, tylko mniej okazała i z pozoru łagodniejsza. Zajęta była robotą na drutach; duży kot poważnie siedział u jej nóg; niczego, jednym słowem, nie brakło ku wytworzeniu idealnego domowego nastroju. Jak na pierwsze kroki początkującej nauczycielki trudno by wymarzyć pomyslniejszą atmosferę; nie było tu przygniatającej wielkości, krępującej wyniosłości; zaledwie też weszłam, staruszka wstała i szybko a uprzejmie poszła ku mnie.

— Jak się droga pani miewa? Boję się, że pani nudną miała drogę; Jan jeździ tak wolno; musiała pani zziębnąć, niech się pani zbliży do ognia.

— Mam przyjemność mówić z panią Fairfax, nieprawdaż? — przemówiłam.

— Tak jest; niech pani siada.

Zaprowadziła mnie do własnego fotela, a potem zaczęła zdejmować ze mnie szal i rozwiązywać mi wstążki kapelusza; prosiłam ją, żeby sobie nie zadawała tyle trudu.

— O, to żaden trud, a pani ręce zapewne zgrabiałe z zimna. Lea, przyrządź trochę gorącego wina i podaj kilka kromek chleba z masłem i szynką; oto masz klucze od spiżarni.

I wyciągnąwszy z kieszeni prawdziwie gospodarski pęk kluczy, wręczyła je służącej.

— Niechże się pani zbliży do ognia — mówiła dalej. — Rzeczy swoje, moja droga, przywiozła pani zapewne teraz?

— Tak jest, proszę pani.

— Każę je wnieść do pani pokoju — rzekła i drobnym kroczkiem wyszła z pokoju.

„Traktuje mnie, jak gościa — pomyślałam; nie spodziewałam się takiego przyjęcia; spodziewałam się tylko chłodu i oficjalnej uprzejmości; co innego opowiadano mi o traktowaniu nauczycielek; ale nie trzeba cieszyć się za wcześnie”.

Pani Fairfax powróciła; usunęła ze stołu robotę swoją i dwie książki, robiąc miejsce dla tacy, którą teraz wniosła Lea; sama też podawała mi posiłek. Czułam się skrępowana taką uprzejmością, jakiej dotąd nigdy nie zaznałam, i to ze strony mojej pracodawczyni i zwierzchniczki; ponieważ jednak ona widocznie uważała, że to, co robi, jest w porządku, więc pomyślałam, że najlepiej grzeczności jej przyjmować spokojnie.

— Czy będę miała przyjemność dziś jeszcze zobaczyć pannę Fairfax? — zapytałam po zjedzeniu tego, czem mnie częstowała.

— Co pani powiedziała, moja droga? Jestem trochę przygłucha — odpowiedziała dobra pani, przysuwając ucho do moich ust.

Powtórzyłam pytanie moje wyraźniej.

— Pannę Fairfax? Ach, pani chce powiedzieć pannę Varens. Przyszła pani uczenniczka nazywa się Varens.

— Ach tak! więc to nie pani córeczka?

— Nie, ja nie mam dzieci.

Miałam ochotę dopytywać dalej, dowiedzieć się, czem jest dla niej mała Varens, ale przypomniałam sobie, że to niegrzecznie zadawać zbyt wiele pytań i że przecież dowiem się o tem zczasem.

— Taka jestem zadowolona — mówiła dalej, siadłszy naprzeciw mnie i biorąc kota na kolana — że pani przyjechała. Przyjemne teraz będzie życie w towarzystwie z panią. Naturalnie, przyjemnie jest tutaj zawsze,

bo Thornfield to piękny stary dwór, może trochę zaniedbany w ubiegłych latach, ale zawsze bardzo to godna siedziba. A jednak, pani rozumie, że zimą smutno, gdy się jest zupełnie samą, choćby w najlepszym mieszkaniu. Powiedziałam samą — prawda, że Lea to miła dziewczyna, a Jan i jego żona — ludzie bardzo przyzwyczajeni; ale, widzi pani, to tylko służba, i nie można rozmawiać z nimi jak z równymi sobie, — trzeba ich trzymać trochę zdaleka, żeby nie stracić na powadze. Minionej zimy (a była to bardzo surowa zima, jeśli pani pamięta; o ile śnieg nie padał, to lało i wiało) — minionej zimy od listopada do lutego, oprócz rzeźnika i listonosza, żywa dusza nie pokazała się tutaj. To też naprawdę wpadałam w melancholję, wieczór po wieczorze wysiadując tak sama; niekiedy wzywałam do siebie Leę, żeby mi poczytała trochę; ale zdaje mi się, że biednej dziewczynie niebardzo to smakowało, ten obowiązek był dla niej zbyt uciążliwy. Wiosną i latem to już człowiekowi różnie; słońce i długie dni tyle zmian przynoszą; a właśnie na początku tej jesieni mała Adelfka Varens przybyła tu z boną; dziecko odrazu ożywia cały dom; a teraz z panią będzie mi zupełnie wesoło!

Prawdziwie ciepłym uczuciem zabiło we mnie serce ku zacnej staruszce, gdy słuchała jej gawędzenia. Przynależałam się z krzesłem bliżej ku niej i powiedziałam, że serdecznie pragnę, ażeby znalazła we mnie towarzystwo tak miłe, jak to sobie obiecuje.

— Ale ja już pani dziś dłużej zatrzymywać nie będę — rzekła. — Dochodzi dwunasta, jechała pani cały dzień i musi być zmęczona. Jeżeli pani dobrze sobie nogi rozgrzała, to zaprowadzę panią do jej pokoju. Kazałam dla pani przygotować pokój obok mojego; to tylko pokoik, ale pomyślałam, że będzie go pani wolała niż który z wielkich frontowych; to prawda, że tam są meble piękniejsze, ale wielkie pokoje takie smutne i samotne, ja sama nigdy w nich nie sypiam.

Podziękowałam za życzliwość przy wyborze, a że istotnie zmęczyła mnie długa podróż, oświadczyłam, że gotowa jestem położyć się. Pani Fairfax wzięła świecę

i wyszła z pokoju, a ja wśladała za nią. Najpierw poszła przekonać się, czy drzwi od hallu zamknięte; wyciągnąwszy klucz z zamka, poprowadziła mnie na górę. Schody i poręcze były dębowe, okna nad schodami wysokie i zakratowane. Zarówno okna jak i długa galerja, na którą wychodziły drzwi sypialnych pokoi, robiły wrażenie jakiejś kościelnej a nie mieszkalnej budowli. Nawet chłód i powietrze jakby sklepień podziemnych panowało na schodach i na galerji, nasuwając niemiłe wrażenie pustki i samotności. To też rada byłam, gdy wszedłszy ostatecznie do mojego pokoju, przekonałam się, że jest mały i umeblowany w zwykłym, nowoczesnym stylu.

Gdy pani Fairfax powiedziała mi życzliwie dobranoc, zamknęłam drzwi i rozejrzałam się spokojnie dokoła. Wesoły wygląd mojego pokoiku zatarł we mnie niesamowite wrażenie ciemnych, obszernych schodów i długiej, zimnej galerji. Uprzytomniłam sobie, że po całej dobie fizycznego trudu i duchowego niepokoju znajduję się nareszcie w bezpiecznym porcie. Wdzięcznością wezbrało mi serce, uklęknęłam przy łóżku i zaniostałam dziękczynną modlitwę, nie zapominając błagać o dalszą pomoc i możliwość zasłużenia na tę dobroć, którą mi tak szczerze ofiarowano, zanim na nią zapracowałam. Posłanie moje było bez zarzutu, a w samotnym pokoju nie czały się strachy. Zmęczona i równocześnie zadowolona, zasnęłam niebawem mocno. Jasny był dzień, gdy się obudziła.

Tak wesołym wydał mi się pokój, gdy słońce zaświeciło przez niebieskie perkalowe firanki u okna ukazując ściany tapetowane i dywan na podłodze; tak się to różniło od prostych desek i wyplamionych tynków w Lowood, że na ten widok wpadłam w dobry humor. Zewnętrzne rzeczy mają wielki wpływ na młodych; pomyślałam, że jaśniejszy okres życia otwiera się przede mną, — okres, który będzie miał i kwiaty i przyjemności obok cierni i trudów. Wszystko we mnie, pobudzone zmianą otoczenia wobec nowego pola otwartego nadziejom, drgnęło nowem życiem. Nie wiem dokładnie, czego się spodziewałam, ale w każdym razie czegoś miłe-

go; może nie dzisiaj, nie za miesiąc, ale w nieokreślonej przyszłości.

Wstałam, ubrałam się starannie, chociaż jak najskromniej, gdyż w całej mojej garderobie nie miałam niczego, co by nie było jak najprościej uszyte; lubiłam jednak schludność i staranność w ubiorze. Nie leżało w mej naturze zaniedbywać powierzchowność, nie dbać o wrażenie; przeciwnie, pragnęłam zawsze wyglądać możliwie najlepiej i podobać się o tyle, o ile mogłam, nie będąc urodziwą. Żałowałam niekiedy, że nie jestem ładniejszą; pragnęłam niekiedy mieć żywszą cerę, prosty nos, drobne rumiane usta; odczuwałam to jako nieszczęście, że jestem taka mała i blada, że mam rysy tak nieregularne i wybitne; pragnęłam być wysoką, okazałą, pięknie rozwiniętą mieć figurę... I skąd się brały we mnie te pragnienia i żale? Trudnoby na to odpowiedzieć; ja sama wtedy nie umiałabym dać sobie na to jasnej odpowiedzi; a przecież był po temu powód, logiczny i naturalny. Bądź co bądź, gdy przyczesalam włosy bardzo gładko i włożyłam czarną sukienkę — która, choć skromna na modłę kwaków, miała przynajmniej tę zaletę, iż doskonale leżała, gdy przypięłam czysty biały kołnierzyk, pomyślałam, że wyglądam dosyć przyzwoicie, by móc się pokazać pani Fairfax, a mojej nowej uczennicy nie odstraszyć antypatycznym pozorem. Otworzyłam tedy okno, ułożyłam wszystko w porządku na toalecie i wyszłam.

Minawszy długą, matą zasłaną galerję, zesłam po śliskich dębowych stopniach i weszłam do hallu; tam zatrzymałam się chwilę; przyglądałam się obrazom na ścianach (jeden, pamiętam, przedstawiał marsowego mężczyznę w zbroi, a drugi damę w upudrowanej peruce i naszyjniku z pereł), brązowej lampie, zwieszającej się od sufitu, wielkiemu zegarowi, którego pudło było z kunsztownie rzeźbionego dębu i czarnego politurowanego hebanu. Wszystko wydawało mi się wielce okazałe i wszystko mi imponowało, bo też tak mało byłam przyzwyczajona do wszelkich wspaniałości! Drzwi hallu, do połowy szklane, były otwarte; stanęłam w progu. Piękny

był poranek jesienny; wczesne słońce świeciło pogodnie nad żółknącymi laskami i jeszcze zielonymi polami, wyszedłszy na trawnik, podniosłam wzrok i obejrzałam front domu. Dom był na trzy piętra wysoki, rozmiarami nie ogromnej, ale znacznej wielkości: dwór szlachecki, nie wielkopańska siedziba. Biegające dokoła dachu blanki nadawały mu wygląd malowniczy. Szary front jego odbijał od zielonego tła drzew, dźwigających mnóstwo gniazd wronich. Kraczące ich mieszkanki unosiły się teraz w powietrzu, przelatując ponad trawnikiem i ogrodem, by opaść na wielkiej łące poza niskim płotem, gdzie rząd potężnych starych drzew cierniowych, silnych, sękatych i szerokich jak dęby, odrazu wyjaśnił mi etymologię nazwy miejscowości¹⁾). Dalej widniały wzgórki; nie były one tak wyniosłe jak te, które otaczały Lowton, ani tak skaliste, i nie tworzyły takiej zapory odgraniczającej od żyjącego świata, lecz ciche, spokojne, jednak zamykające Thornfield w jakimś odosobnieniu, jakiego nie byłabym przypuszczała w pobliżu tak ruchliwej miejscowości jak Millcote. Małe osiedle, którego dachy wyglądały z pośród drzew, rozpostarło się na pochyłości jednego pagórka; kościół miejscowy wznosił się bliżej Thornfield; szczyt starej jego wieży sterczał nad kępą drzew pomiędzy domem a bramami.

Radowałam się jeszcze spokojnym widokiem i miłą świeżością powietrza; przysłuchiwałam się z przyjemnością krakaniu wron. Jeszcze oglądałam szeroki, siwy front domu, zastanawiając się nad tem, jaki to wielki dom dla samotnej jego mieszkanki, małej staruszki, pani Fairfax, gdy pani ta ukazała się we drzwiach.

— Co widzę. Już pani wyszła? — powiedziała. — Ranny ptaszek z pani.

Zbliżyłam się do niej; powitała mnie serdecznym pocałunkiem i uściskiem ręki.

— Jak się pani Thornfield podoba? — zapytała.

Powiedziałam jej, że podoba mi się bardzo.

¹⁾ *Thorn* — cierni; *Thornfield* — pole cierniowe.

— Tak — odpowiedziała — to ładna miejscowość; lękam się tylko, że zakradną się tu nieporządki, jeżeli pan Rochester nie zastanowi się i nie zamieszka tu na stałe, albo przynajmniej jeżeli częściej tu nie będzie zaglądał; wielkie domy i piękne ogrody wymagają obecności właściciela.

— Pan Rochester! Któż to jest? — zawołałam.

— Właściciel Thornfield — odpowiedziała spokojnie. — To pani nie wiedziała, że on się nazywa Rochester?

Naturalnie, że nie wiedziałam, nigdy o nim przedtem nie słyszałam; ale staruszka widocznie uważała istnienie jego jako fakt ogólnie wiadomy, o którym każdy instynktownie wiedzieć musi.

— A ja myślałam — powiedziałam dalej — że Thornfield należy do pani.

— Do mnie? Dziecko moje, co za pomysł! Ja tu jestem tylko gospodynią-zarządczynią. To prawda, że jestem w dalekiem pokrewieństwie z Rochesterami ze strony matki, a właściwie nietyłe ja, ile był mój mąż. Mój mąż był duchownym, plebanem w Hay, tej małej wiosce, tam na wzgórzu — a oto ten kościół blisko bram, to był jego kościół. Matka obecnego pana Rochesterera była z domu Fairfax, stryjeczno-stryjeczna siostra mojego męża; ale ja nic sobie nie robię z tego powinowactwa — i rzeczywiście jest ono dla mnie niczem; uważam się poprostu za zwykłą zarządczynię; mój chlebodawca jest zawsze grzeczny, a ja też niczego więcej nie wymagam.

— A ta mała dziewczynka, moja uczennica?

— To jest pupilka pana Rochesterera; polecił mi wyszukać dla niej nauczycielkę. Sądzę, że ją chce wychowywać tu, w kraju. A oto właśnie ona idzie z boną!

Tak więc wyjaśniła się zagadka; ta uprzejma, dobrotliwa maleńka wdowa nie była żadną wielką panią, była osobą zależną, tak jak i ja. Nic na tem w moich oczach nie straciła, przeciwnie, ucieszyło mnie to tylko. Równość pomiędzy nią a mną stawała się rzeczywistszą, nie wynikała z łaskawości tylko z jej strony; tem lepiej, będąc się czuła swobodniejsza na swoim stanowisku.

Gdy tak rozmyślałam, mała dziewczynka wyprzedzając towarzyszkę biegła ku nam przez trawnik. Przyjrzałam się mojej uczennicy, która, zdaje się, z początku mnie nie zauważyła. Było to dziecko jeszcze, może siedmio albo ośmioletnie, delikatnie zbudowane, z bladą o drobnych rysach twarzyczką. Obfite włosy opadały jej w lokach do pasa.

— Dzieńdobry, Adelko — przemówiła pani Fairfax. — Pójdź i przywitaj się z tą panią, która cię będzie uczyła, tak ażebyś wyrosła zczasem na mądrą kobietę.

Mała zbliżyła się.

— *C'est là ma gouvernante!* — rzekła, wskazując mnie palcem i zwracając się do bony; ta odpowiedziała:

— *Mais oui, certainement.*

— Czy to są cudzoziemki? — zapytałam, ze zdumieniem usłyszawszy język francuski.

— Bona jest cudzoziemką, a Adelka urodziła się na kontynencie, który dopiero przed kilku miesiącami opuściła. Gdy tu przybyła, nie umiała zupełnie mówić po angielsku; teraz mówi trochę; ja jej nie rozumiem, tak miesza angielski z francuskim, ale pani z pewnością potrafi dobrze ją zrozumieć.

Mnie, na szczęście, francuskiego uczyła Francuzka; a że starałam się zawsze jak najwięcej rozmawiać z panią Pierrot, że przytem przez siedm lat uczyłam się codziennie kawałka prozy francuskiej napamięć, pracowałam nad akcentem, naśladowując wymowę swej nauczycielki, więc też osiągnęłam pewien stopień biegłości i poprawności w tym języku i nie obawiałam się trudności w porozumiewaniu się z Adelką. Mała przybliżyła się do mnie i podała mi rękę, ja zaś prowadząc ją na śniadanie, powiedziałam zdań kilka w jej własnym języku; odpowiadała mi zrazu krótko, ale, gdy siadłyśmy do stołu, mała, przypatrzwszy mi się badawczo przez jakie dziesięć minut swemi wielkimi piwnymi oczami, zaczęła nagle szybko bardzo mówić:

— Ach! — zawołała po francusku — pani umie mówić moim językiem tak dobrze, jak pan Rochester! Mo-

gę rozmawiać z panią, tak jak z nim rozmawiam; i Sophie będzie mogła mówić do pani! jak ona się ucieszy! Nikt jej tutaj nie rozumie; pani Fairfax umie tylko po angielsku. Sophie — to moja bona; przybyła tu ze mną przez morze wielkim okrętem z kominem, który dymił, i jak jeszcze!... Ja chorowałam i Sophie także, a i pan Rochester chorował. Pan Rochester leżał na kanapie w ładnym pokoju, który nazywał się salonem, a Sophie i ja miałyśmy łóżeczka gdzie indziej. Ja o mało nie wypadłam ze swego, było takie, jak półeczka. A mademoiselle, jak się mademoiselle nazywa?

— Eyre, Joanna Eyre.

— *Aire?* Ba! nie umiem tego wymówić! No, i nasz okręt zatrzymał się rano, zanim jeszcze zupełnie jasny dzień nastał, przed wielkim miastem, gdzie były bardzo ciemne domy, a wszystkie zadymione; wcale nie takie, jak w ładnym, czystym mieście, skąd przybywałam; a pan Rochester przeniósł mnie na rękach przez deskę na ląd, a Sophie szła za nami; a potem wsiedliśmy wszyscy do powozu, który nas zawiózł do pięknego, wielkiego domu, większego niż ten i piękniejszego; taki dom nazywa się hotel. Tam pozostaliśmy prawie tydzień; ja i Sophie chodziłyśmy codziennie na spacer do wielkiego zielonego miejsca, pełnego drzew; to miejsce nazywają parkiem; i było tam oprócz mnie wiele innych dzieci i staw z pięknymi ptakami, które karmiłam okruszynami.

— Czy pani ją rozumie, choć ona tak prędko trzepie? — zapytała pani Fairfax.

Rozumiałam ją bardzo dobrze, gdyż byłam przyzwyczajona do szybkiej mowy madame Pierrot.

— Pragnęłabym — ciągnęła dalej pocziwa staruszka — żeby jej pani zadała parę pytań o jej rodziców; ciekawam, czy ich pamięta?

— Adelko — zapytałam — u kogo mieszkałaś wtedy, gdy byłaś w tem ładnym, czystym mieście, o którym mówiłaś?

— Dawno temu mieszkałam u mamy; ale mama poszła do nieba. Mama uczyła mnie tańczyć, śpiewać i mówić wierszyki. Wielu panów i wiele pań przychodziło

do mamy z wizytami, a ja wtedy tańczyłam przed nimi, albo siadywałam u nich na kolanach i śpiewałam im; ja to lubiłam. Czy mam pani zaśpiewać co teraz?

Skończyła śniadanie, więc pozwoliłam jej przedstawić próbkę swych umiejętności. Zsunęła się z krzesła, przysła do mnie i siadła mi na kolanach; potem, złożony rączki poważnie przed sobą, strząsnąwszy wtył loki i podniósłszy oczy do sufitu, zaczęła śpiewać arję z jakiejś opery. Była to skarga opuszczonej kobiety, która oplakuje zdradę swego kochanka, wzywa dumę na pomoc, a potem każe służebnej ubrać się w najpiękniejsze klejnoty i najbogatsze suknie i postanawia spotkać się z niewiernym wieczorem na balu, by mu okazać wesołością i zachowaniem, jak mało obeszła ją jego zdrada.

Temat wydał mi się dziwnie niedostosowany dla dziecka; przypuszczam jednak, że cała *pointe*'a leżała w tem właśnie, usłyszeć słowa miłości i zazdrości śpiewane usteczkami dziecka. Według mnie, był to pomysł w bardzo złym guście.

Adelka śpiewała wcale czysto i melodyjnie i z naiwnością swojego wieku. Skończywszy, zeskoczyła mi z kolan i powiedziała:

— A teraz, mademoiselle, powiem pani wierszyki!

Stała, jak należało, i zaczęła: „*La ligue des rats, iable de La Fontaine*“. Poczem zadeklamowała bajkę z przejściem, modulując głos, zwracając uwagę na interpunkcję i z odpowiednią gestykulacją, istotnie niezwykłą, jak na jej wiek; dowodziło to starannego wyuczenia.

— Czy to mama nauczyła cię tego wierszyka? — zapytałam.

— Tak, i to ona właśnie w ten sposób go mówiła: „*Qu'avez-vous donc? lui dit un de ces rats; parlez!*“ Każała mi rękę podnosić — o, tak — żebym sobie przypominała, że mam głos podnieść przy zapytaniu. A teraz czy mam pani zatańczyć?

— Nie, tymczasem dosyć. Lecz gdy mama twoja poszła do nieba, jak mówisz, u kogo potem mieszkałaś?

— U pani Frédéric i jej męża. Opiekowała się mną, ale to nie żadna moja krewna. Ja myślę, że ona

musi być biedna, gdyż nie miała tak ładnego domu, jak moja mama. Ale ja tam nie byłam długo. Pan Rochester zapytał mnie, czy chciałabym pojechać i mieszkać z nim w Anglii, a ja odpowiedziałam, że chciałabym, bo pana Rochestera znałam już przedtem, zanim znałam panią Frédéric, a on zawsze był dla mnie dobry i dawał mi ładne sukienki i zabawki; ale widzi pani, jak nie dotrzymał słowa! przywiózł mnie do Anglii, a teraz sam wyjechał i ja go nigdy nie widzę.

Po śniadaniu udałam się z Adelką do biblioteki, którą zdaje się, pan Rochester wyznaczył na pokój szkolny dla nas. Większość książek zamknięta była w oszklonych szafach. Jedna tylko szafa była otwarta, a zawierała wszystko, co mogłoby być potrzebne z dziedziny elementarnej nauki, oraz nieco tomów lekkiej literatury, poezji, biografij, podróży, kilka romansów i t. d. Prawdopodobnie p. Rochester uważał, że to jest wszystko, czego nauczycielka może potrzebować do własnej lektury; istotnie książki te zadowolily mnie narazie w zupełności; w porównaniu z tem, co niekiedy dorywczo mogłam zdobyć w Lowood, przedstawiały one dla mnie źródło rozrywki i wiadomości. W tym pokoju również znajdował się fortepian, zupełnie nowy o doskonałym tonie, sztalugi do malowania i para globusów.

Adela była uczennicą dostatecznie posłuszną, choć nieskłoną do pilności i uwagi. Nie była wdrożona do pracy systematycznej. Czułam, że byłoby nierozsądnie na początek przetrzymywać ją zbyt długo nad książką; to też opowiadałam jej dużo, zadałam jej trochę do nauki, a że zbliżało się południe, pozwoliłam jej powrócić do bony. Następnie obiecywałam sobie wyrysować parę małych szkiców na jej użytek.

Idąc na górę po swoją tekę i ołówki, usłyszałam wołającą ku mnie panią Fairfax:

— Zapewne pani ranne lekcje skończyła teraz!

Znajdowała się w pokoju, którego drzwi były otwarte; weszłam tam, gdy do mnie przemówiła. Był to duży, okazały pokój z orzechową boazerją ścian; meble i portjery utrzymane w kolorze purpurowym, dywan turecki

zdobił jego środek. Sufit bogato i artystycznie był rzeźbiony; piękny, choć trochę ciemny witraż dopełniał całości artystycznej tej sali. Pani Fairfax ocierała z kurzu piękne kryształowe naczynie, stojące na kredensie.

— Co za piękny pokój! — zawołałam, rozglądając się dokoła; gdyż nigdy jeszcze równie imponującego nie widziałam.

— Tak; to jest pokój jadalny. Właśnie otworzyłam okno, żeby wpuścić trochę powietrza i słońca, bo wszystko tak wilgotnieje w pokojach rzadko zamieszkałych; tam w salonie czuć wprost piwnicą.

Wskazała szeroką arkadę nawprost okna, zawieszoną, tak jak i okno, szkarłatną zasłoną, która była teraz rozchylona. Wstąpiwszy po dwóch szerokich stopniach i zajrzawszy do środka, mniemałam, że oglądam jakąś czarodziejską krainę. Był to tylko bardzo ładny salon, a tuż obok buduar, oba były wyłożone białym dywanem w girlandy barwnych kwiatów, oba o sufitach z śnieżną sztukaterją białych gron winnych i liści, co dawało bogaty kontrast z karmazynowym kolorem kuszetek i otoman. Nad białym marmurowym kominkiem błyszcząły ozdoby z czeskiego szkła w kolorze rubinów. Szerokie zwierciadła między oknami odbijały to połączenie barw ognia i śniegu.

— W jakim porządku pani te pokoje utrzymuje! — zawołałam. — Ani odrobiny kurzu, choć niema pokrowców, i gdyby nie ten ostry chłód, możnaby myśleć, że są w codziennem użyciu.

— Bo widzi pani, chociaż pan Rochester rzadko tutaj bywa, to te odwiedziny bywają zawsze nagłe i niespodziewane; zauważyłam, że go to drażni, gdy wszystko zastaje pozasłaniane, pozawijane i gdy za przybyciem zność musi ruch i zamęt urządzania, pomyślałam więc, że najlepiej trzymać pokoje w gotowości.

— Czy pan Rochester jest wymagającym i wybrednym?

— Nie powiedziałabym; ale ma swoje pańskie gusta i przyzwyczajenia i chciałby, żeby odpowiednio do tego kierować sprawami.

— Czy pani go lubi? Czy jest ogólnie lubiany?

— O tak; ta rodzina zawsze tu była szanowana. Prawie wszystka ziemia w tej okolicy, jak daleko pani okiem sięgnie, od czasów niepamiętnych należała do Rochesterów.

— No dobrze, ale nie mówiąc o jego ziemi, czy pani jego lubi? Czy jest lubiany sam przez się?

— Ja nie mam przyczyny nie lubić go, więc go lubię; a sądzę, że dzierżawcy jego uważają go za sprawiedliwego i hojnego: ale pan Rochester nigdy długo wpośród nich nie mieszkał.

— Tak, ale czy nie ma on jakichś swoich szczególnych właściwości? Słowem, jaki jest jego charakter?

— O! charakter pana Rochester'a jest bez zarzutu. Jest on może trochę dziwny: wiele podróżował, widział, sądzę, kawał świata. Myślę, że musi być mądry, ale ja z nim nigdy wiele nie rozmawiałam.

— W czym i o ile jest dziwny?

— Nie wiem, to niełatwo opisać; nic uderzającego, ale czuje się to, gdy do ciebie mówi; nie zawsze można być pewnym, czy żartuje, czy mówi serjo, czy jest kontent, czy przeciwnie; słowem trudno go do gruntu wyrozumieć, ja przynajmniej nie potrafię; ale to nie ma znaczenia, bo jest bardzo dobry pan i zwierzchnik.

Tyle tylko mogłam się dowiedzieć od pani Fairfax o jej i moim zwierzchniku. Niektórzy ludzie nie potrafią naszkicować charakteru, zauważyć i opisać wybitnych rysów czy to osób czy rzeczy; pocziwa kobieta widocznie należała do tej kategorii. Moje pytania wprowadzały ją w zakłopotanie, ale nie potrafiły nic z niej wyciągnąć. W jej oczach pan Rochester to był pan Rochester i koniec: szlachcic, właściciel ziemski — nic więcej; nie pytała i nie szukała dalej i dziwiła się widocznie, że ja pragnę posiąść dokładniejsze pojęcie o jego osobie.

Wychodząc z sali jadalnej, zaproponowała mi pokazanie reszty domu. Chodziłam więc za nią na górę i na dół, podziwiając wszystko po drodze, bo też wszystko było dobrze urządzone i ładne. Wielkie pokoje frontowe wydały mi się szczególnie wspaniałe, niektóre zaś na

trzeciem piętrze, chociaż i ciemne i niskie, interesujące były staroświeckim wyglądem. Meble, należące pierwiej do apartamentów z pierwszego i drugiego piętra, przenoszono tutaj w miarę jak się zmieniała moda. W niepewnym świetle, wpadającym przez wąskie okna, widziałam łoża z przed stu lat; dębowe albo orzechowe szafy o dziwnych rzeźbionych gałązkach palm i główkach cherubinów, przypominające kształty arki przymierza; rzędy czcigodnych krzeseł, wąskich o wysokich oparciach; jeszcze starsze taburety, na których poduszkowych siedzeniach znać było jeszcze ślady nawpół wytartych haftów, snutyh palcami, które już od dwóch pokoleń były prochem trumienym. Wszystkie te staroświeckie graty nadawały trzeciemu piętru Thornfield Hallu pozór jakiejś ojczyzny przeszłości — grobowca pamiątek. Miła mi była ta cisza, ten mrok, oryginalność tych zakątków — za dnia; bynajmniej jednak nie pragnęłabym spocząć nocą na którymś z tych szerokich, ciężkich łóżek; niektóre z nich zamykały się na drzwi dębowe; inne ociemniały stare angielskie kotary tkane, pokryte grubą robotą, przedstawiające obrazy dziwnych kwiatów, dziwniejszych ptaków i najdziwniejszych ludzkich istot, co wszystko wyglądało niesamowicie, zaiste, w bladym świetle księżycowym.

— Czy to służące sypiają w tych pokojach? — zapytałam.

— Nie; służba zajmuje szereg mniejszych pokoi w tyle domu; tutaj nikt nie sypia; możnaby prawie powiedzieć, że bdyby Thornfield Hall miało swojego ducha, tutaj byłaby jego siedziba.

— I ja tak myślę: zatem nie macie tu państwo żadnego ducha?

— Nie, ja nigdy o żadnym nie słyszałam — odpowiedziała, uśmiechając się, pani Fairfax.

— Ani żadnego podania o duchu? Żadnej legendy, żadnej historii o duchach?

— Chyba nie. A jednak słyszy się, że Rochesterowie był to swojego czasu ród gwałtowny i krewki, wcale nie spokojny; może właśnie dlatego śpią teraz w grobach tak cicho.

— Tak... „po życia gorączce cicho teraz śpią“, — szepnęłam. — A dokąd pani teraz idzie? — zapytałam, widząc, że rusza z miejsca.

— Idę wyrzec z górnego tarasu na dachu. Czy chce pani pójść ze mną i obejrzeć widok stamtąd?

Poszłam za nią, najpierw po bardzo wąskich schodach na strych, a stamtąd po drabinie i przez klapę podnoszoną na dach domu. Znalazłam się teraz na równym poziomie z kolonją wron, mogłam zaglądać do ich gniazd. Oparta o parapet i patrząc daleko wdół, widziałam zarysy ogrodu, leżące przede mną, jak mapa; widziałam jasny, aksamitny trawnik, otaczający zbliżoną szarą podstawę domu; pole, szerokie jak park, zasiane tu i owdzie starymi drzewami; las w złotobronzowych barwach, przecięty ścieżką, tak zarośniętą mchem zielonym, że była zieleńszą od drzew i liści; kościół przed bramami, drogę, łagodne wzgórki, wszystko to spoczywające w świetle jesienno słońca; widnokraj, objęty pogodnym, lazurowym niebem, perłowobiałymi obłoczkami zasnuty. Gdy zawróciwszy, schodziłam przez drzwi w dachu, zaledwie mogłam trafić na drabinkę; olśnionym moim oczom strych wydał się ciemny jak piwnica w porównaniu z błękitem nieba, z rozświetlonym laskiem, pastwiskiem i zielonymi wzgórkami, na które patrzyłam z rozkoszą.

Pani Fairfax zatrzymała się chwilę, zajęta zamykaniem drzwi w dachu; ja, potrosze poomacku, znalazłam wyjście z poddasza i zaczęłam spuszczać się po wąskich strychowych schodach. Stałam na chwilę w długim korytarzu, na który schody prowadziły; przegradzał on frontowe i tylne pokoje trzeciego piętra, był wąski, niski i ciemny, o jednym tylko małym okienku na najdalszym końcu; ze swemi dwoma rzędami małych czarnych drzwi pozamykanych sprawiał wrażenie korytarza w zamku jakiegoś Sinobrodego.

Gdy cicho ruszyłam dalej, uderzył o moje uszy odgłos, jakiego najmniej mogłam się spodziewać w miejscu tak spokojnym. Był to śmiech; śmiech dziwny, wyraźny, lecz niewesoły. Stałam; śmiech ustał, lecz tylko na chwilę; znów zabrzmiał — ale głośniejszy, gdyż za pierw-

szym razem, chociaż wyraźny, był bardzo cichy. Teraz przeszedł w hałaśliwy wybuch, który zdawał się budzić echa we wszystkich tych zamkniętych pokojach, jakkolwiek najwyraźniej płynął z jednego pokoju, którego drzwi mogłabym wskazać.

— Pani Fairfax! — zawołałam, gdyż usłyszałam, że schodzi ona po schodach. — Czy pani słyszała ten głośny śmiech? Kto to się śmieje?

— Któraś służąca zapewne — odpowiedziała. — Może Gracja Poole.

— Czy pani słyszała? — powtórzyłam pytanie.

— Owszem, wyraźnie słyszałam: ja ją często słyszę; szyje w jednym z tamtych pokoi. Czasami Lea jest z nią; często, gdy pracują razem, bywają hałaśliwe.

Śmiech znowu się powtórzył cichą gamą i zakończył się szczególniejszem mamrotaniem.

— Gracjo! — zawołała pani Fairfax.

Nie spodziewałam się, doprawdy, żeby jakaś Gracja odpowiedziała, tak tragiczny, tak nadnaturalny wydał mi się ten śmiech; i gdyby nie to, że było to samo południe, że ani pora dnia ani otoczenie nie sprzyjały zabobonnym nastrojom, byłabym się przelęknęła. Pokazało się wszakże, że byłam niemądra, dziwiąc się tak bardzo i snując niejasne przypuszczenia. Najbliższe drzwi otworzyły się i wyszła służąca — kobieta trzydziestoletnia, przysadzista, krępa, ruda, nieładna; trudnoby sobie obrazić zjawisko mniej romantyczne.

— Za wiele hałasu, Gracjo — upomniała pani Fairfax. — Pamiętaj, co zapowiedziane.

Gracja ukłoniła się milcząc i wróciła do pokoju.

— Jest to osoba, którą wzięliśmy do szycia i do pomocy Lei, pokojowej — mówiła dalej wdowa. — Nie jest ona zupełnie bez zarzutu pod pewnym względem, ale naogół niezłe się sprawia. Ale jakże tam dziś lekcje poszły z pani nową uczennicą?

Tym sposobem rozmowa, skierowana na Adelkę, trwała dopóty, dopóki nie znalazłyśmy się w jasnej i pogodnej strefie na dole. W hallu Adelka wybiegła na nasze spotkanie, wołając:

— *Mesdames, vous êtes servies!* — i dodała — *J'ai bien fait, moi!*

Istotnie obiad był gotów i czekał na nas w pokoju pani Fairfax.

ROZDZIAŁ XII.

Zapowiedź pogodnego bytowania, zaznaczona na wstępie spokojnem przyjęciem w Thornfield Hall, nie zawiodła mnie przy dłuższem zaznajomieniu się z miejscowością i jej mieszkańcami. Pani Fairfax okazała się taką, jaką się wydawała, kobietą równego usposobienia, dobrotliwą, średniego wykształcenia i przeciętnej inteligencji. Moja uczennica była dzieckiem żywym, rozpieszczano je i pobłażano mu, i dlatego bywała niekiedy kapryśna. Ponieważ została powierzona wyłącznie mojej opiece i żadne inne nierozsądne wpływy nie przeszkadzały mi w pracy nad nią, zapomniała wkrótce o małych wybrykach, stała się posłuszna i chętna do nauki. Nie miała wielkich zdolności ani wybitnych rysów charakteru, ani szczególnie rozwiniętych uczuć lub upodobań, coby ją wznosiło ponad poziom rówieśniczek; ale nie było też w niej żadnych usterek ani złych skłonności, któreby ją stawiały poniżej tego poziomu. Robiła odpowiednie postępy, miała dla mnie żywe, choć może nie nazbyt głębokie przywiązanie, a ja lubiłam ją dla jej prostoty, wesołego szczebiotu, chęci dogodzenia mi i dobrze nam było z sobą.

To, co mówię — nawiasem — wydać się może zbyt chłodnem określeniem osobom, głoszącym uroczyście teorie o anielskiej naturze dzieci i o obowiązku wychowawców odczuwania do dzieci bałwochwalczego przywiązania. Ja jednakże nie piszę dla schlebiania rodzicielskiemu egoizmowi lub z chęci wygłaszania obłudnych frazesów i nonsensów; poprostu mówię prawdę. Dbałam sumiennie o dobro Adelki, o jej postępy i lubiłam tę małą osóbkę; zupełnie tak samo, jak byłam wdzięczna pani Fairfax za jej dobroć, i w jej towarzystwie znajdowałam

przyjemność odpowiednią do spokojnego uznania jej dla mnie i umiarkowanej skali umysłu jej i charakteru.

Niech mnie zresztą zgani, kto zechce, gdy dodam jeszcze, że niekiedy, gdy poszłam przejść się sama po ogrodzie, gdy doszłam do bramy i wyrzłam na drogę, albo też, gdy Adelka bawiła się z boną, pani Fairfax smażyła galaretki, a ja, wyszedłszy na trzecie piętro, uniosłam klapę na strychu i wydostałam się na dach — że wtedy, patrząc wdał ponad pola i wzgórza na mglistą linię widnokregu, wdychałam za siłą wzroku, która-by sięgnęła poza te granice; za siłą wzroku, któraby dotarła do ruchliwego świata, do miast, pełnych życia, o których słyszałam wprawdzie, lecz nie widziałam nigdy, — że wtedy pragnęłam więcej poznać i doświadczyć, więcej mieć stosunków z ludźmi, zaznajomić się z większą różnaitością typów, niż tu mi to było dane. Ceniłam to, co było dobre w pani Fairfax i w Adelce, ale wierzyłam, że istnieją inne i żywsze rodzaje dobrego, a to, w co wierzyłam, pragnęłam zobaczyć.

Kto może mieć mi to za złe? Wielu, niezawodnie, i ci nazwą mnie malkotentką. Nie moja jednak była to wina. Niepokój wewnętrzny poruszał mnie, niekiedy sprawiając ból. Wtedy doznawałam ulgi, chodząc wzdłuż korytarza trzeciego piętra tam i zpowrotem, bezpiecznie w ciszy i samotności, i pozwalając oczom duszy pieścić się temi jasnemi wizjami, jakie się przed nimi jawiły: a liczne one były i promienne. Czułam ulgę, gdy serce biło mi radosnem tętnem, a najlepiej mnie koilo nadśluchiwanie snującej się w duszy nigdy nie kończącej się powieści, którą tworzyła moja wyobraźnia, ciągnąc ją bez przerwy; powieści, tętniącej wypadkami, życiem, ogniem, uczuciem — wszystkim, czego pragnęłam, a czego w rzeczywistości nie posiadałam.

Daremna rzecz mówić, że istoty ludzkie powinny zadowolac się spokojem: one potrzebują czynu, działania — a jeżeli znaleźć tego nie mogą, stwarzają to sobie. Miljony skazane są na cichszy los od mego, i miliony w milczeniu buntują się przeciwko swemu losowi. Nikt nie wie, ile buntów — prócz politycznych buntów — ferment-

tuje w tych tłumach, zaludniających świat. Kobiety uważa się naogół za bardzo spokojne, ale kobiety czują tak samo jak mężczyźni; potrzebują zużywać swoje zdolności, potrzebują pola dla swych wysiłków nie mniej, jak ich bracia; cierpią, gdy są zbyt skrępowane, cierpią w bezwzględnym zastoju zupełnie tak samo, jak cierpieliby mężczyźni; i ciasnotą grzeszą szczęśliwsi ich bliźni, jeżeli twierdzą, że powinny się ograniczyć do gotowania puddingów, robienia pończoch, grania na fortepianie i haftowania. Bezmyślnością jest potępiać je albo śmiać się z nich, jeżeli starają się więcej robić albo uczyć się więcej, niż zwyczaj orzekł, że dla ich płci wystarcza.

Chodząc tak w samotności, nie rzadko słyszałam śmiech Gracji Poole: ten sam wybuch, to samo ciche, powolne ha! ha!, które, słyszane po raz pierwszy, przejęło mnie dreszczem. Słyszałam także dziwaczne jej mamrotanie, — dziwniejsze nawet, niż jej śmiech. Były dni, gdy była zupełnie milcząca; ale w innych zupełnie nie mogłam zrozumieć wydawanych przez nią odgłosów. Niekiedy zdawało mi się ją widywać: wychodziła z pokoju z miednicą i talerzem albo z tacką w ręku, schodziła do kuchni i zaraz wracała zazwyczaj, niosąc dzbanek porteru. Widok jej działał zawsze jak tłumik na ciekawość, podnieconą jej głosowemi produkcjami: o ryśach grubych i tępych nie miała w sobie nic zajmującego. Próbowałam parę razy wciągnąć ją w rozmowę, ale była małomówna; krótka odpowiedź zazwyczaj udaremniała wszelkie usiłowania dalszej pogawędki.

Inni domownicy, mianowicie Jan i jego żona, Lea, pokojowa i Sophie, bona francuska, byli to wszystko ludzie przyzwoici, ale pod żadnym względem nie wybitni; z Sophie rozmawiałam po francusku i niekiedy dopytywałam ją o kraj rodzinny. Nie miała ona jednak daru opisywania ani opowiadania i dawała najczęściej odpowiedzi tak puste i mętne, że to raczej zniechęcało niż zachęcało do pytań.

Tymczasem upłynął październik, listopad i grudzień. Pewnego styczniowego popołudnia poprosiła mnie pani Fairfax o darowanie Adelce poobiednich lekcji z powodu

kataru, jakiego się nabawiła. Zgodziłam się chętnie, zwłaszcza gdy Adelka gorąco poparła tę prośbę, przypominając mi przez to, z jaką radością za lat dziecinnych witałam każdą trafiającą się rekreację. Był to piękny dzień, spokojny, chociaż bardzo zimny; zmęczona byłam, przesiadawszy w bibliotece całe długie przedpołudnie; pani Fairfax właśnie była napisała list, który czekał okazji na pocztę, więc włożyłam kapelusz i płaszcz i ofiarowałam się odnieść go do Hay; odległość, dwie milki, stanowiła miły spacer na zimowe popołudnie. Usadowiwszy Adelkę wygodnie na krzeselku przy kominku w saloniku pani Fairfax i podawszy do zabawy najlepszą lalkę woskową (którą zazwyczaj, zawiniętą w srebrny papier, trzymałam schowaną w szufladzie) oraz dla odmiany książkę z powiastkami, pocałowałam ją na pożegnanie i wyszłam.

Grunt był stwardniały, powietrze spokojne, droga samotna. Szłam szybko, dopóki się nie rozgrzałam, a wtedy zwolniłam kroku, by nacieszyć się i zastanowić nad przyjemnością, jaką mi dawała ta chwila i widok dokoła. Była godzina trzecia; zegar kościelny wybijał ją, gdy mijałam dzwonnice. Urok tej godziny leżał w bliskim zmierzchu, w nisko stojącym, blade promienie ślącym słońcu. Znajdowałam się o milę od Thornfield, na ścieżce, znanej latem z obfitości róż polnych, jesienią z orzechów i jarzyn, a nawet teraz posiadającej pewne kolorowe skarby w postaci głógów. Ale najmilszy czar zimowy polegał na zupełnej samotności i bezszelestnej ciszy. Powiew nie wydawał tu wcale odgłosu; nie było tu bowiem ani jednego krzaczka ostrokrzewu czy bluszczu, któryby mógł zaszemrać, a odarte z liści głogi i krzaki leszczyny ciche były jak te białe, zdeptane kamienie, któremi wysypany był środek ścieżki. Blisko i daleko, po obu stronach drogi widać było tylko pola, na których nie pasło się bydło, a małe, brunatne ptaszki, ruszające się niekiedy w bezlistnym żywopłocie, wyglądały jak rdzawe zeschnięte liście, co zapomniały opaść..

Dróżka ta szła pod górę przez całą drogę do Hay; doszedłszy do jej połowy, siadłam na przełazie, prowa-

dzącym stąd na pole. Ogarniając się szczelnie płaszczem i chroniąc ręce w zarękawek, nie czułam zimna, choć marzło porządnie; dowodziła tego szyba lodu, pokrywająca ścieżkę, na którą mała struga wody, obecnie zamarznęta, wylała była po raptownej odwilży parę dni temu. Z miejsca, gdzie siedziałam, mogłam patrzeć na Thornfield; szare, blankami uwieńczone mury dworu były głównym przedmiotem, rzucającym się w oczy w dolinie pode mną; lasy jego i drzewa z gniazdami wroniemi wznosiły się na tle zachodniego nieba. Patrzyłam, dopóki słońce nie zaszło za drzewa i czerwone i jasne nie zatoneło w nich. A wtedy spojrzałam na wschód.

Z poza szczytu wzgórzka nade mną wynurzał się wschodzący księżyc; jeszcze blady, jak chmurka, nabierał światłości z każdą chwilą i świecił nad Hay, które, w pół ukryte w drzewach, stało niebieskie dymy z nielicznych kominów; było jeszcze o milę odległe, ale w tej bezwzględnej ciszy mogłam dosłyszeć słabe odgłosy życia, stamtąd idące. Ucho moje chwyciło także szmery płynących potoków, w jakich dolinach, czy zagłębieniach nie wiedziałam sama, ale wiele było wzgórków poza Hay i niewątpliwie wiele strumieni w wąwozach pomiędzy nimi. W ciszy wieczornej słyszało się plusk najbliższych i szum dalekich strumieni.

Jakiś szorstki odgłos wpadł nagle między te delikatne pluskoty i szmery, równocześnie tak daleko i wyraźnie: głośny tupot, chrzęst metaliczny zgasił cichutkie szepty fal płynących, tak jak w obrazie potężna masa skały albo surowy zarys wielkiego dębu, ciemno i silnie zaznaczony na przednim planie, zacierając powietrzną odległość lazurowego wzgórzka, słonecznego widnokregu i zmieszanych chmur, gdzie barwa stapia się z barwą.

Kroki rozległy się na ścieżce: koń nadchodził; zakręty drogi jeszcze go ukrywały, ale przybliżał się. Miałam właśnie zejść z przełazu, ale ponieważ ścieżka była wąska, zostałam na miejscu, żeby mnie mógł minąć. Młoda byłam wówczas i rozmaite fantazje wesołe i ponure snuły mi się w głowie; wpośród innych żyły tam także wspomnienia bajek, opowiadanych niegdyś w dzieciństwie

poкою; tym, gdy wracały w pamięci, dojrzewająca młodość dodawała siły i wyrazistości, jakiej im wiek dziecinny udzielić nie potrafił. Gdy się ten koń przybliżał, a ja czekałam, rychło się ze zmierzchu wyłoni, przypomniały mi się niektóre opowiadania Elżbietki o duchu, imieniem Gytrash, który pod postacią konia, muła albo wielkiego psa straszył na pustych, samotnych drogach, a niekiedy nachodził spóźnionych podróżnych.

Bardzo już był blisko, ale jeszcze dla mnie niewidoczny; wtedy w dodatku do tupotu kopyt końskich usłyszałam szurgnięcie pod płótem i tuż blisko pod krzakami leszczyny przesunął mi się wielki pies, dzięki czarno-białemu zabarwieniu widoczny wśród drzew. Była to dokładnie jedna z postaci Elżbietki Gytrash — stworzenie do lwa podobne, długowłose, wielkogłowe. Minęło mnie jednak wcale spokojnie, nie zatrzymując się, by spojrzeć mi w twarz dziwnymi, nadpsiemimi oczami, jak się tego prawie spodziewałam. Szedł za nim koń — rosły wierzchowiec, a na nim siedział jeździec. Mężczyzna, ludzka istota, odrazu spłoszył czar. Nikt nigdy nie dosiadał grzbietu Gytrash, był zawsze sam; a duszki, o ile wiedziałam, choć mogły przyoblekać nie-me ciała zwierząt, nigdy nie szukały schronienia w popolitym kształcie ludzkim. Nie był to więc żaden Gytrash, tylko podróżny, który wybrał tędy krótszą drogę z Millcote. Przejechał, a ja poszłam dalej; parę kroków uszłam zaledwie, gdy musiałam się obejrzeć, usłyszawszy zgrzyt poślizgnięcia się, okrzyk „A cóż to u pioruna?” i odgłos upadku. Jeździec i konia ujrzałam teraz na ziemi; koń poślizgnął się na zlodowaciałej powierzchni ścieżki i wraz z jeźdźcem upadł. Pies zawrócił w podskokach, a widząc pana swego w tem położeniu i słysząc stękanie konia, rozszczękał się tak, że aż wzgórza odpowiadały mu echem. Zrazu węszył dokoła leżących, a potem podbiegł do mnie; nie mógł nic innego zrobić, wyraźnie wzywał mnie na pomoc. Usłuchałam go i zbliżyłam się do podróżnego, który tymczasem usiłował wydostać się z pod konia. Wysiłki jego tak były energiczne,

że pomyślałam, iż wielkiej sobie krzywdy widocznie nie zrobił; zapytałam go jednakże:

— Czy pan odniósł jakie obrażenia?

Zdaje mi się, że kłął pod nosem, choć nie jestem tego pewna; w każdym razie coś tam wymawiał, co mu przeszkodziło odpowiedzieć mi odrazu.

— Czy mogłabym może w czem pomóc? — zapytałam znowu.

— Niech pani stanie na boku — odpowiedział, podnosząc się najpierw na kolana, a potem na nogi. Usunęłam się; poczem zaczęło się dzwiganie, tupanie, chrzęst, nawoływanie przy wtórze takiego szczekania, że istotnie odstąpiłam o kilka kroków; nie mogłam się jednak zupełnie dać odpędzić, chcąc się wpieryw przekonąć, jak się to skończy. Rezultat ostatecznie wypadł szczęśliwie; koń stanął, pies na komendę: „Leżeć, Pilot!” uciszył się narreszcie. Teraz podróżny, nachyliwszy się, zaczął obmacywać stopę i nogę, jakgdyby badał, czy są całe; widocznie były bolesne za dotknięciem, gdyż przytrzymał się przełazu, skąd ja właśnie wstałam, i wreszcie usiadł.

Pragnęłam stać się użyteczną, więc przybliżywszy się, powiedziałam:

— Jeżeli pana coś boli i potrzebuje pan pomocy, mogę panu sprowadzić kogo albo z Thornfield Hall albo z Hay.

— Dziękuję; dam sobie radę; nie mam złamanych kości — to tylko zwichnięcie. — I znowu wstał i próbował nogi, ale przytem mimowoli wyrwało mu się: „Ach!”...

Światło dzienne niezupełnie jeszcze zaszło, a i księżyc świecił jasno; widziałam go teraz wyraźnie. Postać jego otulał płaszcz do konnej jazdy z futrzanym kołnierzem i stalową kłamrą; w ogólnych zarysach mogłam dojrzeć, że jest to mężczyzna średniego wzrostu i bardzo szeroki w piersiach. Ciemną miał twarz o surowych rysach i nasępionem czole; oczy jego i brwi ściągnięte miały w tej chwili wyraz rozdrażniony i gniewny; był nie pierwszej młodości, ale nie sięgał jeszcze średniego wieku; mógł liczyć ze trzydzieści pięć lat może. Nie bałam się go, i nawet niebardzo mnie onieśmielał. Gdyby

był przystojny, o bohaterskiej powierzchowności młodzieńcem, nie byłabym się odważyła stać tak przed nim, wypytywać go wbrew jego woli i ofiarowywać mu się z usługami nieproszona. Nie wiem, czy kiedy w życiu widziałam przystojnego młodzieńca, a nigdy w życiu z żadnym nie rozmawiałam. Miałam teoretyczne uznanie i respekt dla piękności, elegancji, wdzięku; gdybym jedna ujrzała te zalety, wcielone w postać męską, odczuwałabym instynktowo, że nie mogłyby one sympatyzować z niczem, co było we mnie, i unikałabym tak, jak się unika ognia, pioruna i wszystkiego, co świeci jasno, ale jest antypatyczne.

Gdyby nawet ten nieznajomy był się uśmiechnął i okazał mi dobry humor, gdy się do niego zwróciłam; gdyby ofiarowaną mu pomoc odrzucił był wesoło i z podziękowaniem, byłabym sobie poszła, nie odczuwając powołania do wznowionych dopytywań; jednakże wobec tego marsa, tej szorstkości podróznego czułam się swobodną; nie ruszyłam się z miejsca, gdy ręką dał mi znak, bym poszła, i oświadczyłam:

— Nie mogę pomyśleć o pozostawieniu tu pana o tak późnej godzinie na tej pustej drodze, dopóki nie zobaczę, że pan może wsiąść na konia.

Spojrzał na mnie, gdy to powiedziałam; dotychczas nie wiem, czy zwrócił oczy w moją stronę.

— Sądzę, że pani sama powinna być już w domu — rzekł — jeżeli ma pani dom tu gdzieś wpobliżu; gdzie pani mieszka?

— Tam na dole; ja się wcale nie boję być na polu, chociaż późno, skoro księżyc świeci; chętnie pobiegłabym do Hay, gdyby pan sobie życzył; idę tam nawet list wrzucić na pocztę.

— Mieszka pani tam na dole — czy pani ma na myśli ten dom z blankami? — tu wskazał Thornfield Hall, na które księżyc rzucał mgławce światło, rysując dom wyraźny i bładny, na tle lasu.

— Tak, właśnie.

— Czyj to jest dom?

— Pana Rochestera.

— Czy pani zna pana Rochester'a?

— Nie, nigdy go nie widziałam.

— A więc on tam nie mieszka?

— Nie.

— Czy może mi pani powiedzieć, gdzie on jest?

— Nie wiem.

— Pani nie jest służącą we dworze, rzecz prosta. Pani jest... — Przerwał i powiódł okiem po mojem ubraniu, które, jak zwykle, było nader proste: czarne wełniane okrycie, czarny filcowy kapelusz — panna służąca strojnziej byłaby ubrana! Widocznie nie mógł odgadnąć, kim jestem; dopomogłam mu.

— Jestem nauczycielką — oświadczyłam.

— Ach, nauczycielką! — powtórzył. — A niechżeż mnie licho, że też zapomniałem!.. Nauczycielka! — I znowu przypatrzył się mojemu ubraniu. Po chwili wstał z przełazu; twarz skurczyła mu się bólem, gdy próbował się poruszyć.

— Nie mogę prosić pani, by mi sprowadziła pomoc — rzekł — ale może pomoże mi pani sama trochę, jeżeli pani łaskawa.

— Jak najchętniej, proszę pana.

— Czy nie ma pani przy sobie parasola, któryby mi mógł posłużyć za łaskę?

— Nie mam, niestety.

— Niech pani spróbuje pochwycić cugle mojego konia i przyprowadzić go ku mnie: czy pani się nie boi?

Bałabym się dotknąć konia, gdybym była sama, ale gdy mi polecił, byłam gotowa posłuchać. Położyłam zarękawek na przełazie i zbliżyłam się do wysokiego rumaka; starałam się pochwycić uzdeczkę, ale koń, stworzenie uparte, nie pozwalał mi zbliżyć się do swojej głowy; próbowałam, próbowałam, ale nadaremnie; a przez cały ten czas śmiertelnie się bałam drepcących jego przednich nóg. Podróżny czekał i patrzył czas jakiś, aż się wkońcu roześmiał.

— Jak widzę — rzekł — góra nie da się sprowadzić do Mahometa, to też jedyne, co pani może zrobić, to do

pomóc Mahometowi, ażeby mógł iść do góry; muszę panią prosić, żeby pani tu przyszła.

Przyszłam.

— Niech pani wybaczy — mówił dalej — konieczność zmusza mnie do wystugiwania się panią.

Oparł ciężką rękę na mojem ramieniu i opierając się na mnie dość mocno, kulejąc doszedł do wierzchowca. Raz pochwyciwszy cugle, opanował go odrazu i wskoczył na siodło, wykrzywiając się przytem strasznie, gdyż uraziło to jego zwichniętą nogę.

— A teraz — powiedział, puszczając mocno zębami przygryzioną wargę — niech mi pani jeszcze tylko poda moją szpicrutę; leży ona tam, pod płótem.

Znalazłam ją i podałam.

— Dziękuję; a teraz niech się pani śpieszy z listem do Hay i wraca jak najprędzej.

Pod dotknięciem ostrogi koń drgnął, wspiał się i skoczył pędem — pies za nim. Zniknęli...

„Jak wrzосу gałązka, którą w pustem polu

Wiatr dziki wiryem unosi...”

Podniosłam zarękawek i poszłam dalej. Zdarzenie zaszło i minęło dla mnie. Był to wypadek bez żadnego znaczenia, bez romantycznego zakroju, bez niczego ciekawego poniekąd; a jednak wniósł coś nowego w tej jednej godzinie jednostajnego życia. Pomoc moja była potrzebna i zażądano jej ode mnie; tę pomoc dałam; byłam rada, że coś uczyniłam; choć pospolity i przemijający był ten czyn, był jednak działaniem, a mnie znużyło istnienie wyłącznie bierne. A także ta twarz nowa była czemś, jak nowy obraz w galerji pamięci; i niepodobna była do wszystkich tam wiszących: najpierw, bo była to twarz męska; a potem, gdyż była ciemna, silna i surowa. Miałam ją wciąż przed oczyma, dochodząc do Hay, wrzucając list na poczcie; widziałam ją przez cały czas, idąc szybko z góry nadół ku domowi. Doszedłszy do przełazu, zatrzymałam się na chwilę, rozejrzałam się dokoła i słuchałam, myśląc, coby to było, gdyby tętent kopyt końskich rozległ się znów na ścieżce, i jeździec w płaszczu, z psem newfunlandzkim, podobnym do Gytrashy, stanął

mi ponownie przed oczyma. Ujrzałam jednakże tylko płot i wierzbę o obciętych gałęziach, nieruchomo i prosto sterzącą w promieniach księżyca; doleciał mnie leciuchny szmer wiatru, błędzącego chwilami wśród drzew dokoła Thornfield; rzuciwszy okiem w kierunku tego szmeru, dostrzegłam światło w jednym oknie; to mi przypomniało, że już późno, więc przyspieszyłam kroku.

Bez ochoty wróciłam do Thornfield. Przejść jego próg to znaczyło dla mnie wracać do zastoju; przebyć milczący hall, wejść po ciemnych schodach do samotnego pokoiku, a potem spotkać się ze spokojną panią Fairfax i spędzić z nią długi wieczór zimowy, z nią jedną tylko — znaczyło to dla mnie zgasić zupełnie to lekkie podniecenie, które wzbudził we mnie spacer, — istotę moją skrępować zpowrotem niewidzialnymi więzami jednostajnego i nazbyt spokojnego istnienia — istnienia, którego nawet dobre strony bezpieczeństwa i dostatku przedstawiałam oceniać. Jakżeby dobrze się wtedy czuła, gdybym była rzucona w odmęt niepewności i wir walki życiowej, by wśród ciężkich i bolesnych przeżyć nauczyć się pragnąć tego spokoju, wśród którego teraz tęskniłam! Tak jest, tyle dobrego, ileby zrobił długi spacer człowiekowi, znużonemu nieruchomem siedzeniem w nazbyt wygodnym fotelu: i tak jak on zapragnąłby ruchu w swoich warunkach, tak ja go zapragnęłam w moich.

Zatrzymałam się przy bramie; zatrzymałam się na trawniku; tam i zpowrotem chodziłam po brukowanej ścieżce; okiennice szklanych drzwi były zamknięte, nie mogłam zajrzeć do wnętrza; i oczy moje i duszę moją odciągało coś od tej posępnej budowli — od tej szarej pustki, pełnej ciemnych celek, bo taką mi się teraz wydała — i ciągnęło do tego nieba, roztoczonego nade mną, niebieskiego oceanu bez plamy jednej chmurki. Księżyc sunął po nim uroczyście; tarcza jego, wypłynawszy z za wzgórz, zdawała się spoglądać coraz dalej i dalej i zmierzać ku zenitowi, czarnemu prawie w swojej otchłannej głębi, w niezmierzonej swej dali; za biegiem jego szły migotliwe gwiazdy, na które patrząc, czułam drżenie serca, że we krwi żył moich... Drobnostki przywołują nas na zie-

mię; w hallu wybił zegar; to wystarczyło; odwróciłam się od gwiazd i księżyca, otworzyłam boczne drzwi i weszłam.

Hall nie był ciemny, ani też oświetlony wysoko zawieszoną brązową lampą jedynie; inny ciepły blask zalewał go oraz dolne stopnie schodów dębowych. To rumiane światło płynęło z wielkiego jadalnego pokoju, którego podwoje były otwarte, ukazując wesoły ogień, oświetlający mile marmurowy kominek, purpurowe draperje i politurowane meble. Grono osób siedziało przed kominkiem. Zaledwie podchwyciłam okiem ten widok, zaledwie dosłyszałam wesołe zmieszane głosy, wśród których odróżniłam głos Adelki, gdy drzwi się zamknęły.

Pośpieszyłam do pokoju pani Fairfax; i tam palił się ogień, ale nie było ani świecy, ani pani Fairfax. Zamiast tego ujrzałam tam samego, siedzącego prosto na dywaniku i wpatzonego poważnie w płomień, wielkiego czarno-białego psa o długim włosie, podobnego do tego Gytrasha z drogi polnej. Tak był do niego podobny, że przystąpiłam bliżej i zawołałam: „Pilot!” Pies wstał, podszedł do mnie i obwąchał mnie. Poglaskałam go, a on poruszył wielkim ogonem. Niesamowitem jednak wydał mi się stworzeniem tak w samotności zwłaszcza, że nie wiedziałam, skąd się tu wziął. Zadzwoiłam, gdyż potrzebowałam świecy — chciałam się też dowiedzieć czegoś o tym gościu. Weszła Lea.

— Co to za pies, Leo?

— Przyszedł z panem.

— Z kim?

— Z naszym panem. Z panem Rochester; pan właśnie przyjechał.

— Rzeczywiście? A pani Fairfax jest z panem?

— Tak; i panna Adela także; są w jadalnym pokoju, a Jan pojechał po doktora, bo pan miał wypadek; koń jego upadł i pan ma nogę zwichniętą w kostce.

— Czy koń upadł na drodze do Hay?

— Tak, zjeżdżając z góry, poślizgnął się na zamrzniętej kałuży.

— Ach tak! Przynies mi świecę, proszę cię, Leo!

Lea przyniosła mi świecę; weszła z nią i pani Fairfax, która mi powtórzyła nowiny, dodając, że doktor Carter przyjechał i jest teraz u pana Rochestera. Następnie szybko wyszła, by zakrzętnąć się koło herbaty, a ja poszłam na górę złożyć rzeczy.

ROZDZIAŁ XIII.

Pan Rochester tego wieczora z rozkazu lekarza wczesnie się położył; ani też wczesnie nie wstał nazajutrz. Po zejściu nadół musiał się zająć interesami. Administrator jego i niektórzy dzierżawcy przybyli i czekali na rozmowę z nim.

Adelka i ja musiałyśmy teraz opróżnić bibliotekę; miała być codziennie potrzebna, jako pokój przyjęć. Zapalono ogień w jednym pokoju na górze, a ja zaniósłam tam nasze książki i urządziłam w nim przyszlą naszą szkołę. Zauważyłam przed południem, że Thornfield Hall było jak odmienione; już nie tak cicho było, jak w kościele, rozlegało się co godzina lub dwie pukanie do drzwi; rozbrzmiewał odgłos dzwonka; kroki także często przechodziły przez hall, nowe głosy o różnym tonie rozmawiały na dole; prąd zewnętrznego świata przepływał przez dom; dom miał swojego pana; i ja wolałam tę zmianę od monotonji ciszy.

Z Adelką niełatwo poszła dnia tego lekcja; nie mogła skupić uwagi: wciąż biegła do drzwi i wychylała się przez poręcz schodów, próbując dojrzeć pana Rochestera; to znowu wymyślała jakieś pozory, by zejść nadół, a jak ją posadzałam, by zaglądnąć do biblioteki, gdzie, wiedziałam, że jej nie potrzebowano. Gdy zaś rozgniewałam się trochę i kazałam jej cicho siedzieć, nie przestawała wciąż opowiadać o swoim „ami, monsieur Edouard Fairfax de Rochester” i snuć przypuszczeń, jakie przywiózł dla niej podarki, pokazało się bowiem, że poprzedniego dnia powiedział jej, iż, gdy przybędą rzeczy jego z Millcote, znajdzie się tam wśród nich pewna skrzynka, która ją powinna zainteresować.

— A to ma znaczyć — rzekła — że będzie tam wewnątrz prezent dla mnie, a może i dla pani, mademoiselle Monsieur mówił o pani: zapytał mnie, jak się nazywa moja nauczycielka i czy to nie jest mała osóbką, dosyć szczupłą i trochę bladą. Powiedziałam, że tak jest; gdyż to prawda, no, nie, mademoiselle?

Z uczenniczką jadłam obiad, jak zwykle, w pokoju pani Fairfax; popołudnie było wietrzne i śnieżne, spędziłyśmy je w szkolnym pokoju. O zmroku pozwoliłam Adelfce odłożyć książki i robotę i zbiegnąć nadół; po stosunkowej bowiem ciszy na dole, gdzie już dzwonek drzwi wchodowych przestał się odzywać, wносиłam, że pan Rochester musiał ukończyć zajęcia. Pozostawszy sama, zbliżyłam się do okna, nic jednakże stamtąd nie mogłam zobaczyć: zmrok i płatki lecącego śniegu przesłaniały wszystko, nawet krzaki na trawniku. Spuściłam storę i wróciłam do kominka.

Z żarzących węgla zaczęłam układać szkic, trochę podobny do obrazu, przedstawiającego, jak pamiętałam, zamek Heidelberski nad Renem, gdy weszła pani Fairfax i wejściem swoim zburzyła ognistą mozaikę, rozprasząc równocześnie ciężkie, niemiłe myśli, które zaczynały nACHodzić moją samotność.

— Pan Rochester byłby rad, gdyby pani z uczenniczką swoją zechciała wypić z nim herbatę dziś wieczorem w salonie — rzekła. — Tak bardzo był zajęty przez cały dzień, że nie mógł pierwej postarać się o zapoznanie się z panią.

— O której porze pan Rochester pija herbatę? — spytałam.

— O szóstej; pan Rochester na wsi pilnuje się wczesnych godzin. Ale pani powinnaby się przebrać; pójdę z panią i pomogę zapiąć suknię. Tu jest świeca.

— Czy to koniecznie powinnam się przebrać?

— Tak; to się należy; ja się zawsze przebieram na wieczór, gdy pan Rochester tu bawi.

Ta dodatkowa ceremonia wydała mi się trochę przesadna. Poszłam jednakże do pokoju i z pomocą pani Fairfax zmieniałam czarną wełnianą suknię na czarną je-

dwabną; była to jedyna lepsza, jaką posiadałam, z wyjątkiem jedwabnej jasno-popielatej; tę jednak wedle moich pojęć, wyniesionych z Lowood, uważałam za nazbyt piękną, by ją można nosić kiedy indziej niż przy pierwszorzędnym okazjach.

— Przydałaby się broszka — zauważyła pani Fairfax.

Przypięłam broszeczkę z perełką, którą mi panna Temple przy pożegnaniu ofiarowała na pamiątkę; poczem zeszyliśmy nadół. Nieprzyzwyczajonej do stykania się z obcymi, było mi trochę przykro stawić się na takie oficjalne zaproszenie przed panem Rochesterem. Puściłam panią Fairfax przodem, gdyśmy wchodziły do jadalni i trzymałam się w jej cieniu, gdy przechodziłyśmy przez pokój i przez arkadę, której kotara była teraz spuszczone, wstępowałyśmy do eleganckiego salonu poza nią.

Dwie zapalone świece woskowe stały na stole, i dwie nad kominkiem; pławiąc się w świetle i w gorącu wspianego ognia, leżał Pilot, Adelka klęczała tuż przy nim. Nawpół leżącego na kanapce ujrzałam pana Rochesterę, z nogą podpartą poduszką; pełne światło ognia padało mu na twarz. Poznałam podróżnego o szerokich, kručzych brwiach; kwadratowe jego czoło jeszcze się bardziej kwadratowem wydawało przy gładkiem uczesaniu czarnych włosów. Poznałam jego wybitny nos, raczej charakterystyczny, niż piękny, pełne nozdrza, świadczące o usposobieniu gwałtownem, jego strasznie surowe usta, brodę, szczękę — tak, to wszystko było bezwarunkowo strasznie surowe i groźne. Postawa jego, teraz gdy nie miał płaszcz na sobie, wydała mi się zupełnie odpowiednia do charakteru twarzy: barczysta i krępa, budowa jego była doskonała w atletycznym rozumieniu słowa — szeroka w piersiach, wąska w biodrach, jednakże nie była ani wysoka ani zgrabna.

Pan Rochester musiał dostrzec wejście pani Fairfax i moje; widocznie nie miał ochoty nas zauważyć, gdyż nie podniósł głowy, choć się zbliżyłyśmy.

— Oto panna Eyre, panie — rzekła pani Fairfax spokojnie, jak to ona zawsze. Ukłonił się, nie odrywając jeszcze oczu od grupy psa i dziecka.

— Proszę, niech panna Eyre usiądzie — rzekł; było coś w przymuszonym, sztywnym ukłonie, w niecierpliwym, choć ceremonjalnym tonie, co zdawało się wyrażać: „A cóż mi, u licha, do tego, czy panna Eyre tu jest, czy jej niema? W tej chwili nie mam ochoty mówić do niej.” Siadłam swobodnie; rozwiało się moje zakłopotanie. Przyjęcie, nacechowane skończoną uprzejmością, byłoby mnie prawdopodobnie zmieszało; nie umiałabym się odwzajemnić, odpowiedzieć z gracją i elegancją. Ale szorstki kaprys nie zobowiązywał mnie do niczego; przeciwnie, przyzwoity spokój wobec wybryku złego humoru dawał mi pewną wyższość. A przytem dziwaczność tego zachowania się miała w sobie coś — drażniącego: czekałam z zainteresowaniem, co on dalej zrobi.

Trwał dalej jak posąg, to jest ani nie mówił, ani się nie poruszył. Pani Fairfax widocznie uważała, że trzeba, ażeby ktoś był przyjemnym, i zaczęła gadać. Poczciwie, jak zwykle — i, jak zwykle, raczej zdawkowo — ubolewała nad nawałem interesów, które gnębiły go cały dzień; nad trudnością, jaką mu to musiało sprawiać, wobec tego bolesnego zwichnięcia; a potem zaczęła wychwalać jego cierpliwość i wytrzymałość, że wytrwał przez to wszystko.

— Pani, jabym się chętnie napił herbaty — to była jedyna odpowiedź, jaką otrzymała. Zadzwoniła czem prędzej, a gdy przyniesiono tacę, zaczęła szykować filiżanki, łyżeczki pilnie i śpiesznie. Adelka i ja podeszliśmy do stołu; ale pan domu nie opuścił swojej kuszетки.

— Czy będzie pani łaskawa podać filiżankę panu Rochesterowi? — zwróciła się do mnie pani Fairfax; — Ada mogłaby wylać herbatę! — Spełniłam jej życzenie. W chwili, gdy pan Rochester brał z mej ręki filiżankę, Adelka, uważając widocznie chwilę tę za odpowiednią do wstawienia się za mną, zawołała:

— Nieprawdaż, monsieur, że jest tam mały prezent dla mademoiselle Eyre w pana kufereczku?

— Któż mówi o prezentach? — odpowiedział mrukliwie. — Czy pani spodziewała się prezentu, panno Eyre? Czy pani przepada za prezentami? — i badawczo spojrzął mi w twarz oczami, które, jak zobaczyłam, były ciemne, gniewne i przenikliwe.

— Sama nie wiem — odpowiedziałam — brak mi w tem względzie doświadczenia: naogół uważają je za coś przyjemnego.

— Naogół uważają? Ale co pani o tem sądzi?

— Musiałabym się zastanowić, panie, zanimbym mogła dać odpowiedź, godną przyjęcia: na podarunek można się zapatrywać różnostronnie, nieprawdaż? a należałoby rozważyć wszystkie względy, zanimby się coś orzekło o jego istocie.

— Panno Eyre, pani nie jest tak prostoduszna, jak Adelka. Ona głośno woła o „cadeau“, jak tylko mnie zobaczy, pani kołuje i kluczy.

— Ponieważ mniej mam zaufania do własnych zasług niż Adelka. Ona może się powoływać na prawo dawnej znajomości, a także na prawo zwyczaju. Mówi, że pan miał zawsze zwyczaj obdarzać ją zabawkami; ja zaś, gdybym się miała na coś powoływać, doprawdy, byłabym w kłopotcie, ponieważ jestem panu obcą i nie uczyniłam nic takiego, coby mi dawało prawo do podziękowania.

— O niechże pani nie uderza w ton zbyt skromności! Przeegzaminowałam Adelkę i widzę, że pani bardzo starannie nią się zajęła; nie jest ona bardzo zdolna ani utalentowana, a jednak w krótkim czasie zrobiła duże postępy.

— Panie, teraz mi pan ofiarował „podarek“! jestem panu wdzięczna, dziękuję: to dla nauczyciela najbardziej upragniona nagroda — pochwała postępów ucznia.

— Hm! — mruknął pan Rochester i pił dalej herbatę w milczeniu.

— Przybliżcie się tu, do kominka, — powiedział gdy zabrano tacę, gdy pani Fairfax zasiadła do swojej ro-

boty, a Adelka oprowadzała mnie za rękę po pokoju, pokazując mi piękne książki i ozdobne drobiazgi na konsolach i szyfonierkach. Posłuchałyśmy oczywiście; Adelka była gotowa zakwaterować mi się na kolana, ale on jej kazał bawić się z Pilotem.

— Pani przebywa w moim domu od trzech miesięcy?

— Tak, panie.

— A przybyła pani...?

— Ze szkoły w Lowood w hrabstwie X.

— Ach! zakład dobroczynny. Jak długo była tam pani?

— Ośm lat.

— Ośm lat! musi pani znać twarde życie. Ja myślałem, że dosyć połowy tego czasu, by zniszczyć najsilniejszy organizm! Nic dziwnego, że pani wygląda potrosze, jak nie z tego świata. Zadawałem sobie pytanie, skąd pani wzięła taką twarz. Gdy mi się pani ukazała wczoraj wieczór na Hay Lane, przyszły mi nagle na myśl bajki o wrózkach i o krasnoludkach i prawie miałem ochotę zapytać, czy to pani urzekła mi konia: jeszcze teraz nie jestem pewien, jak to z tem jest. Kim są pani rodzice?

— Nie mam rodziców.

— I zapewne nigdy ich pani nie miała; czy pani ich pamięta?

— Nie.

— Tak też przypuszczałem. A więc czekała pani na swoich pobratymców, siedząc tam na przełazie?

— Na kogo, panie?

— Na tych ludków zielono ubranych; był to przecież odpowiedni dla nich wieczór księżycowy. Czy ja może przerwałem który z waszych tanecznych kręgów, że pani rozpostarła ten przeklęty lód na mojej ścieżce?

Potrząsnęłam głową.

— Wszystkie krasnoludki opuściły Anglię już sto lat temu — rzekłam, mówiąc równie poważnie jak on. — I nawet na drodze ku Hay, nawet na sąsiednich polach nie znalazłby pan śladu po nich. Sądzę, że już żaden księżyc, ani letni, ani jesienny, ani zimowy, nie oświeci więcej ich harców i tanów.

Pani Fairfax opuściła robotę na kolana, i podniosła brwi, dziwiąc się, co to za rozmowa.

— Ale proszę — podjął znowu pan Rochester — chociaż pani zapiera się rodziców, musi pani mieć przecież jakichś krewnych — wujów, stryjów, ciotki?

— Nie; nie znam żadnych.

— A rodzinny dom pani?

— Nie mam domu.

— Gdzie bracia pani i siostry mieszkają?

— Nie mam ani braci ani sióstr.

— Kto panią tutaj polecił?

— Podałam ogłoszenie w gazecie, a pani Fairfax odpowiedziała na moje ogłoszenie.

— Tak — wmieszała się dobra pani Fairfax, rozumiejąc teraz, na jakim gruncie stanęliśmy — i niema dnia, ażebym nie dziękowała Opatrzności, że tak pokierowała moim wyborem. Panna Eyre była nieocenioną towarzyszką dla mnie, pełną dobroci i staranności nauczycielką dla Adelki.

— Niech się pani nie trudzi wystawieniem jej świadectwa — odpowiedział pan Rochester — pochwały mnie nie skaptują: na własnym sądzie polegam. Ta osoba zaczęła od tego, że konia mego przyprawiła o upadek.

— Jakto, panie? — rzekła pani Fairfax.

— Jej zawdzięczam to zwichnięcie.

Wdowa, nie rozumiejąc, słuchała zdumiona.

— Panno Eyre, czy mieszkała pani kiedy w mieście?

— Nie, panie.

— Dużo pani bywała w towarzystwach?

— Jedyne moje towarzystwo były uczennice i nauczycielki w Lowood, a teraz mieszkańcy Thornfield.

— Czy dużo pani czytała?

— Tylko te książki, które przypadkiem wpadły mi w ręce; ale to nieliczne i niebardzo uczone.

— Prowadziła pani życie zakonnicy: niewątpliwie musi pani być należycie wyćwiczona w praktykach religijnych; Brocklehurst, który, jak rozumiem, jest dyrektorem Lowood, to duchowny, nieprawdaż?

— Tak, panie.

— A wy, dziewczęta, prawdopodobnie uwielbiałyście go, tak jak klasztor, pełen zakonnic, uwielbia swego kieroownika?

— O, nie!

— Bardzo jest pani chłodna! Nie! Jakto?! Nowicjuszka miałaby nie uwielbiać swego pasterza! To brzmi jak bluźnierstwo.

— Bardzo nie lubiłam pana Brocklehursta; i nie ja jedna tak czułam. To szorstki i ostry człowiek, zarazem pompatyczny i wtrącający się we wszystko; kazał nam włosy obciąć; i przez oszczędność dla nas kupował złe igły i nici, tak że prawie nie mogłyśmy niemi szyć.

— To była źle zrozumiana oszczędność — zauważyła pani Fairfax, która teraz znowu chwyciła nić naszej rozmowy.

— Głodził nas wtedy, gdy miał sam w ręku zarząd działem aprowizacyjnym, zanim komitet naznaczono, i zanudzał nas długimi kazaniami raz na tydzień, oraz codziennem wieczornem czytaniem z książek jego pióra, traktujących o nagłych śmierciach, o sądach, o piekle — a to nam potem ze strachu spać nie pozwalało.

— Ile pani lat liczyła, dostając się do Lowood?

— Około dziesięciu.

— I przebywała pani tam ośm lat, więc teraz ma pani ośmnaście?

Przytwardziłam.

— Arytmetyka, jak pani widzi, przydaje się na coś; bez jej pomocy nie mógłbym chyba pani wieku odgadnąć. Trudne to jest do oznaczenia, gdy rysy i wyraz takie są zmienne, jak u pani. A teraz, czego pani się nauczyła w Lowood? Czy umie pani grać?

— Trochę.

— Naturalnie: to zwykła odpowiedź. Niech pani pójdzie do biblioteki — chciałem powiedzieć: niech pani będzie łaskawa — (proszę mi darować mój ton rozkazujący; przywykłem do tego: nie mogę zmienić swych zwyczajów dla jednej nowej mieszkanki). — A zatem, niech pani pójdzie do biblioteki, weźmie ze sobą świecę, zostawi drzwi otwarte, siądzie do fortepianu i zagra co.

Poszłam, wedle tego, jak rozkazał.

— Dosyć! — zawołał po kilku minutach. — Gra pani trochę, to prawda; jak każda inna angielska pensjonarka; może raczej lepiej, niż niektóre, ale niedobrze.

Zamknęłam fortepian i powróciłam. Pan Rochester mówił dalej:

— Adelka pokazywała mi dziś rano kilka szkiców, które, twierdziła, że są pani dziełem. Nie wiem, czy je pani samodzielnie wykonała; prawdopodobnie nauczyciel pomagał pani?

— Ależ nie, naprawdę! — zawołałam.

— A! urażona duma. No dobrze, niechże mi pani przyniesie swoją tekę, jeżeli mi pani zaręczy, że jej zawartość jest dziełem pani; tylko niech pani nie daje słowa, jeśli pani nie jest pewna; ja umiem poznać się na poprawkach.

— Kiedy tak, to ja nic nie powiem, a pan niechaj sam sądzi.

Przyniosłam tekę z biblioteki.

— Proszę stół przysunąć — rzekł. Przysunęłam stół do kanapki; Adelka i pani Fairfax przysunęły się blisko, żeby także oglądać obrazki.

— Tylko się nie tłóczcie — rzekł pan Rochester — odbierajcie mi z ręki rysunki, gdy ja z nimi skończę, ale nie przysuwajcie waszych twarzy do mojej.

Powoli rozpatrywał każdy szkic i każde malowanie. Trzy odłożył osobno, resztę po obejrzeniu odsunął.

— Pani Fairfax to zabierze na tamten stół, niech pani to obejrzy z Adelką; a pani (tu spojrział na mnie) niech siada, gdzie siedziała, i odpowiada na moje pytania. Widzę, że wykonała to jedna ręka: czy to pani ręka?

— Moja.

— A kiedy pani znalazła czas na wykonanie tych rzeczy? To musiało zająć sporo czasu i niemało myśli.

— Zrobiłam to podczas dwóch ubiegłych wakacyj w Lowood, gdy nie miałam innego zajęcia.

— Skąd pani zaczerpnęła tematy?

— Z własnej głowy.

— Z tej głowy, którą widzę teraz na pani ramionach?

— Z tej samej.

— Czy ma ona w sobie jeszcze inne zapasy tego samego rodzaju?

— Myślę, że ma; spodziewam się, że może lepsze.

Rozpostarł obrazki przed sobą i znowu rozpatrywał je pokolei.

Były to trzy akwarele. Pierwsza przedstawiała chmury, nisko płynące, sine, toczące się nad wzburzonym morzem. Jeden promień światła uwypuklał przez pół zatopiony maszt, na którym siedział kormoran, wielki, czarny, o skrzydłach zbryzganych pianą; w dziobie trzymał złotą bransoletę, wysadzaną szlachetnymi kamieniami. Poniżej ptaka i poniżej masztu nurzało się w wodzie ciało topielicy.

Drugi obrazek przedstawiał na pierwszym planie tylko ciemny szczyt wzgórza z trawą i kilkoma liśćmi, jakby wietrzykiem poruszane. Poza niem i w górze rozpościerała się przestrzeń nieba, ciemno granatowego, jak o zmroku; na niebo wypływało popiersie postaci kobiecej, namalowane w barwach tak ciemnych i delikatnych, jak tylko je dobrać mogłam. Ciemne czoło wieńczyła gwiazda; rysy poniżej widoczne były jak przez warstwę mgły; oczy świeciły ciemne i tęskne; włosy cieniste spływały jak chmura bez promieni, szarpana burzą. Na szyi leżał słaby odbłask, jakgdyby światła księżycowego; ten sam odbłask dotykał smugi cienkich chmurek, z pomiędzy których wychylała się ta wizja Gwiazdy Wieczornej.

Trzeci obrazek ukazywał wierzchołek góry lodowej na tle polarnego zimowego nieba; zorza polarna słała krwawe światła swoje na dalekim widnokręgu. Na przednim planie olbrzymia głowa chyliła się ku górze lodowej i opierała się o nią. Dwie chude ręce, złączone poniżej czoła i dźwigające je, zasłaniały dolną część twarzy czarną zasłoną; czoło zupełnie bezkrwiste, białe jak kość, i oko puste, martwe, pozbawione wyrazu, oprócz wyrazu szklanej rozpacz — to jedno tylko było widoczne. Nad skroniami, wśród zwojów czarnej materji turbanu, świecił krąg białych płomieni, z plamami iskier żywszej barwy.

— Czy pani czuła się szczęśliwą, malując te obrazki?
— zapytał nagle pan Rochester.

— Pochłaniała mnie robota; tak, byłam szczęśliwa. Malowanie było jedną z moich największych przyjemności.

— To jeszcze niewiele mówi. Mało pani znała przyjemności, sądząc po tem, co pani sama opowiadała; ale wyobrażam sobie, że pani przebywała w jakiejś artystycznej krainie marzeń, mieszając i dobierając te dziwne kolory. Długo pani siadywała nad tem codziennie?

— Nie miałam nic innego do roboty, ponieważ to były wakacje, więc też siedziałam nad tem od rana do południa i od południa do wieczora; długość dni letnich sprzyjała mojej ochocie do roboty.

— I czuła się pani zadowolona z wyników swojej gorączkowej pracy?

— O, bynajmniej! Dręczył mnie kontrast pomiędzy pomysłem a wykonaniem; w każdym wypadku wyobraziłam sobie coś, czego nie potrafiłam osiągnąć.

— Niezupelnie: pochwyliła pani cień swojej myśli, być może, że nie więcej. Nie miała pani dosyć artystycznej umiejętności i wiedzy, żeby nadać jej pełne życie: ale rysunki są, jak na pensjonarkę, szczególniejsze. Pomysły pochodzą z krainy bajek. Te oczy w Gwieździe Wieczornej musiała pani widzieć we śnie. Jak mogła im pani nadać to jasne spojrzenie, chociaż one same nie są wcale jasne, gdyż księżyc powyżej gasi ich promienie. A jakie ma znaczenie ta ich uroczysta głębia? A kto panią nauczył malować wiatr? Jest silny wiatr tam na niebie i na tym szczycie wzgórką. Gdzie pani widziała Latmos? Bo to jest Latmos¹⁾). No! niech pani zabiera te rysunki!

Zaledwie zdążyłam zawiązać te tasiemki teki, gdy, spojrzawszy na zegarek, zawołał nagle:

— Dziewiąta godzina! Co pani robi, panno Eyre, żeby Adelkę tak długo przetrzymywać? Niech ją pani zaprowadzi spać.

¹⁾ Góra zapomnienia. Według mitologii greckiej Selene, opiekunka snu całowała na Latmos Endymiona, niby syna Zeusa.

Adelka poszła pocałować go, zanim wyszliśmy z pokoju; zniósł ten kares, ale widocznie nie zrobiło mu to większej przyjemności, niż zrobiłoby Pilotowi, a może nawet mniejszą.

— A teraz wszystkim wam mówię dobranoc — rzekł, ruchem ręki wskazując drzwi, jakgdyby na znak, że ma dosyć naszego towarzystwa i pragnie nas odprawić. Pani Fairfax złożyła swoją robotę, ja wzięłam tekę, ukłoniłyśmy się, otrzymałyśmy wzajemnie zimny ukłon i wyszłyśmy.

— Pani powiedziała, że pan Rochester nie jest dziwaczny, pani Fairfax — zauważyłam, gdy, położywszy spać Adelkę, przyszedłam do niej do jej pokoju.

— Czy pani uważa, że jest?

— Tak mi się wydaje; jest bardzo nierówny i nagły.

— Prawda: niewątpliwie musi się takim wydawać komuś obcemu, ale ja tak się przyzwyczaiłam do jego manieri, że nigdy o tem nie myślę; ale też, jeżeli ma jakie dziwactwo w swem usposobieniu, trzeba mu to wybaczyć.

— Dlaczego?

— Poczęści ponieważ to leży w jego naturze — a nikt z nas za swoją naturę nie odpowiada, a poczęści też dlatego, że ma niewątpliwie przykre myśli, które go dręczą i wpływają na nierówność jego humoru.

— Przykre myśli, dotyczące czego?

— Zmartwień rodzinnych przedewszystkiem.

— Ależ on nie ma rodziny.

— Teraz nie, ale miał... a przynajmniej krewnych. Stracił starszego brata kilka lat temu.

— Starszego brata?

— Tak. Obecny pan Rochester nie od bardzo dawna jest właścicielem tej majątności; dopiero od dziewięciu lat mniej więcej.

— Dziewięć lat to czas dosyć długi. Czy tak bardzo kochał tego brata, że dotychczas po jego stracie jest niepokieszony?

— No nie — może nie. Zdaje mi się, że były jakieś nieporozumienia między nimi. Pan Rowland Rochester nie

był zupełnie sprawiedliwy względem pana Edwarda i może źle uprzedził ojca przeciw niemu. Stary pan bardzo kochał pieniądze i dbał o to, by dobra rodzinne pozostały w jednym ręku. Nie chciał ich dzielić, a jednak chodziło mu o to, by i pan Edward był bogatym, dla podtrzymania znaczenia nazwiska. To też wkrótce po jego dojściu do pełnoletności poczyniono jakieś kroki — coś, co nie bardzo było ładne i co spowodowało wiele złego. Stary pan Rochester i pan Rowland wciągnęli pana Edwarda w jakieś bardzo przykre położenie, byle go uczynić bogatym; na czem to przykre położenie polegało, tego ja się nigdy dokładnie nie dowiedziałam; ale on nie mógł znieść tego, co miał do ścierpienia. Niechętnie przebacza; zerwał ze swoją rodziną i przez szereg lat prowadził bardzo niespokojne życie. Nie wiem, czy kiedy dłużej niż dwa tygodnie zrzędu przemieszkał w Thornfield od czasu, gdy śmierć brata bez testamentu uczyniła go panem tej majątności; i w istocie, nic dziwnego, że unika starego domu.

— Dlaczego miałby go unikać?

— Może mu się wydaje ponurym.

Odpowiedź była wymijająca. Byłabym wolała usłyszeć coś wyraźniejszego; ale pani Fairfax albo nie mogła, albo nie chciała dać mi szczegółowych objaśnień co do powodu i natury przejść pana Rochesterera. Twierdziła, że dla niej samej są one tajemnicą, i że to, co wiedziała, czerpała przeważnie z domysłów. W każdym razie pragnęła już nie dotykać tego przedmiotu; widząc to, odpowiednio się zachowałam.

ROZDZIAŁ XIV.

Przez kilka następnych dni niewiele widywałam pana Rochesterera. Rano bywał bardzo zajęty interesami, a po południu przyjeżdżali panowie z Millcote i z sąsiedztwa i niekiedy zostawali na obiedzie. Gdy owa zwichnięta noga o tyle wydobrzała, że mógł dosiadać konia, zaczął dość dużo wyjeżdżać; prawdopodobnie oddawał wizyty, gdyż zazwyczaj wracał późną nocą.

W owym czasie nawet po Adelkę rzadko posyłał, a cała moja z nim znajomość ograniczała się do przypadkowych spotkań w hallu, na schodach albo na galerji; wtedy albo mnie mijał dumnie i chłodno, skinąwszy zda-leka głową i musnąwszy mnie zimnem spojrzeniem, lub też niekiedy kłaniał się i uśmiechał dworsko i uprzejmie. Ta zmienność jego usposobienia nie obrażała mnie, ponieważ rozumiałam, że moja osoba nie gra w tem żadnej roli, że te zmiany nastroju wypływają z przyczyn, zupełnie ze mną nie związanych.

Pewnego dnia, gdy miał gości na obiedzie, przysłał po moją tekę; niewątpliwie chciał zaprezentować jej wartość: panowie, jak mnie pani Fairfax objaśniła, odjechali wcześniej, zdążając na jakieś publiczne zebranie w Millcote; ponieważ jednak wieczór był chłodny i wilgotny, pan Rochester nie pojechał z nimi. Wkrótce po ich wyjeździe zadzwonił. Poproszono Adelkę i mnie na dół. Wyszczotkowałam włosy Adelki, uporządkowałam na niej ubranie, przekonałam się, że w moim zwykłym, prostym i skromnym kwakerskim stroju niema nic do poprawienia, nie wykluczając zaplecionych w warkocze włosów — i zeszliśmy nadół. Adelka była zaciekawiona, czy *le petit coffre* przybył nareszcie, gdyż skutkiem jakiejś pomyłki dotychczas zalegał w drodze. Nadzieje jej zostały spełnione; oto, gdy wchodziłyśmy do jadalnego pokoju, stało tam kartonowe pudełko na stole. Adelka rozpoznała je instynktownie.

— *Ma boîte! ma boîte!* — zawołała, pędem zmierzając ku niemu.

— Tak, oto jest twoja *boîte* nareszcie; zabierz ją do kącika, ty, rodowita córko Paryża, i zabaw się wydobywaniem z niej wnętrzości — przemówił głęboki i raczej sarkastyczny głos pana Rochester, płynący z głębi olbrzymiego fotela przy kominku. — I pamiętaj — dodał — żebyś mnie nie nudziła szczegółami tego anatomicznego zabiegu; co robisz, rób w milczeniu: *tiens-toi tranquille, enfant; comprends-tu?*

Adelka nie potrzebowała tego upomnienia; już się była schroniła na kanapę ze swoim skarbem i pracowicie

rozwiązywała sznurek, przytrzymujący wieko. Usunąwszy je i podniósłszy owinięcie z cienkiej bibułki, zawołała tylko:

— *Oh ciel! Que c'est beau!* — i zastygła w podziw i zachwycie.

— Czy panna Eyre jest tutaj? — zapytał teraz pan domu, unosząc się w fotelu, by obejrzeć się na drzwi, przy których dotąd stałam.

— A! dobrze, niech się pani przybliży; niech pani tutaj usiądzie. — Przyciągnął fotelik do swojego. — Nie lubię gadulstwa dzieci — mówił dalej — jako stary kawaler nie znajduję nic miłego w ich trzepotaniu. Nieznośnie byłoby dla mnie spędzić cały wieczór w *tête-à-tête* z małym brzdącem. Niechże pani nie odsuwa tego fotelika, panno Eyre; niech pani usiądzie tu właśnie, gdzie go umieściłem — jeśli pani łaskawa, chciałem powiedzieć... Ach, te grzeczności... wciąż o nich zapominam. Ani też nie przepadam za prostodusznymi starszemi paniami. Nawiasem mówiąc, muszę pamiętać o mojej; nie wypada mi jej zaniedbywać; jest ona Fairfax, czy też zamężna za Fairfaxem, a zawsze to wspólna krew.

Zadzwoił i kazał poprosić panią Fairfax, która przybyła niebawem z koszyczkiem do roboty w rękę.

— Dobry wieczór pani; posłałem po panią, mając cel miłosierny na oku. Zakazałem Adelce mówić do mnie o prezentach, które otrzymała, a ona pęka od nawału hamowanych słów; niechże pani będzie tak dobra wysłuchać ją i odpowiadać jej — będzie to jeden z najlitościwszych uczynków, jakie pani kiedykolwiek spełniła.

Adelka istotnie, skoro tylko ujrzała panią Fairfax, zaciągnęła ją do siebie na kanapę i tam wytrząsnęła na jej kolana skarby ze swojej *boîte*, skarby porcelanowe, z kości słoniowej i wosku, sypiąc równocześnie objaśnieniami i zachwykami w łamanej angielszczyźnie.

— Teraz, kiedy spełniłem rolę dobrego gospodarza — ciągnął pan Rochester dalej — kiedy dałem gościom moim sposobność do zabawienia się ze sobą, powinno mi być wolno pomyśleć o własnej mojej przyjemności. Panno Eyre, niechże się pani wysunie trochę bardziej naprzód; zanadto wtyle siedzi pani; nie mogę pani widzieć

bez wykręcania się w tym wygodnym fotelu, a na to nie mam ochoty.

Zrobiłam, jak sobie życzył, choć byłabym wolała pozostać trochę w cieniu; jednakże pan Rochester jakoś tak poprostu rozkazywał, że zdawało się rzeczą naturalną posłusznie się do niego stosować.

Znajdowaliśmy się, jak już wspomniałam, w jadalni; świecznik, który zaświecono do obiadu, wypełniał pokój świąteczną jasnością; obfity ogień płonął czerwonym blaskiem; purpurowe portjery zwieszały się, bogate i sute u wysokiego okna i jeszcze wyższej arkady. Ciszę przerywało tylko przygłuszone gadanie Adelki (nie ośmieliła się mówić głośno), a w przerwach uderzanie zimowego deszczu o szybę.

Pan Rochester, siedzący w adamaszkim pokrytym fotelu, wyglądał inaczej niż gdy widziałam go pierwaj, nie tak surowo — o wiele mniej chmurnie. Uśmiech miał na ustach i oczy jego błyszczały; nie jestem pewna, czy nie na skutek wina, ale przypuszczam, że bardzo to być mogło. Słowem, był w swoim poobiednim usposobieniu — przystępniejszy, swobodniejszy, a zarazem bardziej sobie folgujący, niż w tym porannym, zimnym i sztywnym nastroju. Pomimo to, i tak dostatecznie groźnie wyglądał, oparty potężną głową o tył wyściełanego fotelu, gdy światło ognia padało na jego jak w granicie kute rysy i wielkie, ciemne oczy; miał bowiem wielkie, ciemne i bardzo piękne oczy, w których głębi jawiło się chwilami coś, co jeśli nie było błyskiem łagodności, to przynajmniej łagodność przywodziło na myśl.

Pan Rochester patrzył ze dwie minuty w ogień, a ja przez ten czas jemu się przyglądałam, gdy nagle, podniósłszy oczy, pochwycił moje, utkwione w jego twarzy spojrzenie.

— Pani mi się przygląda, panno Eyre — powiedział — czy pani uważa, że jestem przystojny?

Gdybym się była zastanowiła, byłabym mu na to odpowiedziała coś konwencjonalnego i nieokreślonego; jakoś jednakże odpowiedź wymknęła mi się, zanim się sama spostrzegłam:

— Nie, panie.

— A! słowo daję! w pani jest coś dziwnego — powiedział. — Wygląda pani jak mała muszka; skromna, spokojna, poważna i prosta, gdy pani tak siedzi z rączkami złożonemi i oczami najczęściej utkwionemi w dywan (o ile ich pani nie zatopi przenikliwie w mojej twarzy, jak przed chwilą); a gdy zadać pani pytanie, albo zrobić uwagę, na którą musi pani odpowiedzieć, bez ceremonji rąbie pani odpowiedź, jeżeli nie niegrzeczną, to co najmniej szorstką. Co pani przez to rozumie?

— Panie, dałam odpowiedź nazbyt prostą; bardzo pana przepraszam. Powinnam była odpowiedzieć, że to niełatwo dać nieprzemyślaną odpowiedź na zapytanie w kwestji powierzchowności; że gusta są przeważnie różne; i że piękność mało ma znaczenia — lub coś w tym rodzaju.

— Nic podobnego nie powinna była pani odpowiedzieć! Piękność małe ma znaczenie? Doprawdy! I tak pod pozorem zacierania spełnionej obrazy, pod pozorem ułaskiwania i ułagodzenia mnie, pakuje mi pani scyzoryk pod ucho! Niechżeż pani dalej mówi: co się pani we mnie nie podoba, proszę? Sądzę, że wszystkie członki moje i wszystkie rysy są takie, jak u innych ludzi?

— Panie Rochester, niech pan pozwoli, że odwołam pierwotną odpowiedź; nie chciałam dotknąć odpowiedzią — język mi się poślizgnął.

— Właśnie. I ja tak myślę, ale poniesie pani za to odpowiedzialność. Niech mnie pani krytykuje: czy moje czoło nie podoba się pani?

Odgarnął czarną falę włosów i odsłonił potężnie zakreślone inteligentne czoło, na którym wszakże widniał brak w miejscu, gdzie łagodna linja guzu dobrotliwości powinna się była znajdować.

— I cóż, łaskawa pani, czy jestem głupcem?

— O, to w żadnym razie! Ale powie pan może, że jestem niegrzeczną, jeżeli zapytam, czy jest pan filantropem?

— Masz tobie! Znowu ukłucie scyzorykiem, podczas kiedy udawała, że głaska mnie po głowie i to dlatego, że powiedziałem, iż nie lubię towarzystwa dzieci i starych kobiet (ale o tem nie wolno głośno mówić!) Nie, moja

panienko, ja nie jestem filantropem na szeroką skalę, ale mam sumienie — tu ukazał wypukłości, które mają świadczyć o tej właściwości, a które, na jego szczęście, dosyć były widoczne, nadając wybitną szerokość górnej części jego głowy. — A przytem, miałem niegdyś pewną wrodzoną miękkość serca. Gdy byłem w pani wieku, wcale uczuciowym byłem chłopcem; sprzyjałem pokrzywdzonym, opuszczonym i nieszczęśliwym. Ale odtąd rozmaicie los mną poniewierał: tak mnie nawet wygniótł swemi paluchami, że stałem się, pochlebiam sobie, twardy i giętki, jak piłka gumowa; jeszcze zawsze przenikliwy przez parę pozostałych szczelin i z jednym wrażliwym punkcikiem w samym środku. Tak, czy pozostaje mi wobec tego jeszcze jakakolwiek nadzieja?

— Jaka nadzieja, panie?

— Ostatecznego przeobrażenia się zpowrotem z gumy w żywe ciało?

— Stanowczo wypił za wiele wina — pomyślałam i nie wiedziałam co na to dziwne zapytanie odpowiedzieć: skądże ja mogłam wiedzieć, czy on może raz jeszcze się przeobrazić?

— Miała pani minkę bardzo zakłopotaną, chociaż pani nie jest ładną, tak jak ja nie jestem przystojnym, jednak z tym wyrazem zakłopotania jest pani do twarzy; a przytem jest ono pożądanę, gdyż odrywa te badawcze oczy pani od mojej fizjonomji, a zatrudnia je temi kwiatami na dywanie; więc niechże się pani dalej kłopotce i dziwi. Panienko, jestem dziś wieczór usposobiony towarzysko i mownie!

To oświadczywszy, wstał z fotelu i stanął, oparłszy się ramieniem o marmurowy gzyms kominka: w tej postawie postać jego, zarówno jak twarz, widziało się wyraźnie; tę niezwykłą szerokość w piersiach, nieledwie nieproporcjonalną w stosunku do wysokości. Jestem pewna, że większość ludzi nazwałaby go brzydkim; jednakże było tyle nieświadomej dumy w jego postaci, tyle swobody w obejściu, taki wyraz zupełnej obojętności na własny wygląd zewnętrzny, a wyniosłego polegania na wartości innych zalet, że wynagradzało to brak fizycznej urody i sprawiało, że patrząc na niego, musiało się podzielać

jego obojętność i w jakiś niewytłumaczony sposób wleżyć, że słusznie jest pewny siebie.

— Tak — powtórzył — jestem dziś wieczór usposobiony towarzysko i rozmownie i dlatego poprosiłem panią tutaj. Ogień i świecznik nie wystarczają mi jako towarzystwo, ani nawet Pilot, gdyż wszystko to nie umie gadać. Z Adelką już sprawa trochę lepiej stoi, chociaż także marnie; podobnież z panią Fairfax. Pani, jestem pewien, potrafiłaby mi dogodzić, gdyby tylko zechciała; zaciekała mnie pani pierwszego wieczora, gdy panią tu zaprosiłem. Odtąd prawie o pani zapomniałem; inne myśli wypędziły mi panią z głowy; ale dziś wieczór postanowiłem dać sobie swobodę; odegnąć to, co trapi, a przyzwać to, co miłe. Otóż sprawiłoby mi przyjemność wyciągnąć cośniemoż z pani, — dowiedzieć się czegoś więcej o pani — a więc niech pani mówi.

Zamiast mówić, uśmiechnęłam się — i niebardzo ulegle ani powolnie.

— Niech pani mówi! — nalegał.

— O czym mam mówić?

— O czym pani zechce. Zostawiam pani w zupełności wybór tematu i sposób jego traktowania.

Wobec tego siedziałam dalej, milcząc. „Jeżeli on myśli, że ja będę mówiła dla samego mówienia i popisowania się, to przekona się, że udał się pod fałszywym adresem” — pomyślałam.

— Pani milczy, panno Eyre.

Milczałam dalej. Nachylił trochę głowę ku mnie i jedno szybkie spojrzenie zatopił w moich oczach.

— Uparta? — powiedział — i dotknięta. Ach, nic dziwnego. Ja prośbę wyraziłem w sposób niemądry, nieledwie impertynencki. Panno Eyre, przepraszam panią. Fakt faktem, raz na zawsze, że ja pani nie chcę traktować, jak kogoś niższego od siebie: to jest (tu się poprawił) — że mam pretensję do takiej tylko wyższości jaką nadaje dwadzieścia lat różnicy wieku i całe sto lat więcej doświadczenia. To jest słuszne, *et j'y tiens*, jakby powiedziała Adelka; i na zasadzie tej wyższości, i tej też jedynie, pragnę, by pani pomówiła ze mną trochę i roze-

rwała mi myśli, które gorzknieją od kręcenia się dokoła jednego punktu, rdzewieją, jak stary gwóźdź.

Raczył dać wytłumaczenie, przeprosił — nie byłam nieczuła na jego dobrą wolę, nie chciałam się też taką wydawać.

— Chętnie przyczyniłabym się do rozerwania pana, o ilebym potrafiła — bardzo chętnie; ale nie mogę poruszać jakiegoś tematu, gdyż skądże mam wiedzieć, coby pana zainteresować mogło? Niech mi pan zadaje pytania — postaram się jak najchętniej odpowiadać na nie.

— A więc, przede wszystkim, czy zgadza się pani ze mną, że mam prawo mieć niekiedy wobec pani ton nieco rozkazujący, kategoriyczny, że mam prawo być może czasem wymagającym na podstawie powodów, które wymieniałem, a mianowicie, że mam lata, by być pani ojcem, i wiele doświadczyłem w życiu, mając do czynienia z wielu ludźmi i z wieloma narodami, przewędrowawszy z połowę kuli ziemskiej — podczas gdy pani żyła spokojnie wśród jednego typu ludzi i w jednym domu?

— Niech pan robi, jak się panu podoba.

— To nie jest odpowiedź; a raczej to odpowiedź bardzo drażniąca, ponieważ jest bardzo wymijająca. Niech pani odpowie wyraźnie.

— Nie sądzę, żeby pan miał prawo rozkazywać mi jedynie dlatego, że jest pan starszy ode mnie, albo że pan poznał więcej świata ode mnie; prawo do wyższości zależy od tego, jaki pan pożytek wyciągnął z czasu swojego i doświadczenia.

— Hm! Łatwo to powiedzieć! Ale ja się na to nie zgadzam, gdyż nie poparłoby to wcale mojej sprawy, ponieważ ja marnie, jeśli nie wprost źle, wyzyskałem tak jedno jak drugie. Pozostawiając więc już kwestję wyższości na boku, musi się pani jednak zgodzić na to, by od czasu do czasu przyjmować ode mnie rozkazy, nie czując się tonem rozkazującym dotknięta ani obrażona. Cóż, zgadza się pani?

Uśmiechnęłam się; pomyślałam w duchu, że pan Rochester jednak jest dziwnym — zdaje się zapominać, że płaci mi 30 funtów rocznie za prawo wydawania mi rozkazów.

— Uśmiech jest w porządku — rzekł, chwytając natychmiast wyraz przelotny. — Ale ja czekam na słowa.

— Pomyślałam, proszę pana, że bardzo niewielu zwierzchników zadawałoby sobie trud dopytywania, czy ich rozkazy dotyczą albo obrażają płatnych ich podwładnych.

— Płatnych podwładnych! Co! To pani jest moją płatną podwładną? Doprawdy? Ach tak, zapomniałem o pensji. Dobrze; a więc czy na tej pieniężnej podstawie pozwoli mi pani występować czasem w roli pana i zwierzchnika?

— Nie, panie, nie na tej podstawie, ale na tej, że pan zapomniał o niej i że dba pan o to, czy człowiek zależny czuje się dobrze w tej roli; na tej podstawie zgadzam się jak najchętniej.

— I nie weźmie mi pani za złe, jeżeli poniecham wielu konwencjonalnych form i frazesów, nie będzie pani dopatrywała w tem opuszczeniu ubliżającej impertynencji.

— O, z pewnością nie pomyłę się w tym względzie i braku formalistyki nie poczytam za ubliżenie i impertynencję; brak formalistyki lubię raczej — ubliżenia i impertynencji nie zniósłby żaden człowiek wolny, nawet za zapłatę.

— Głupstwo! Większość ludzi wolnych znieśie wszystko za zapłatę. To też niech pani za siebie tylko mówi, a nie wdaje się w uogólnienia co do rzeczy, o których pani nic a nic nie wie. Pomimo to w myśli ściskam dłoń pani z podziękowaniem za tę odpowiedź, choć nie zupełnie trafną — i to zarówno za treść odpowiedzi, jak i za ton jej wypowiedzenia; ton był otwarty i szczery; nie często się człowiek spotyka z takim tonem; nie, przeciwnie, afektacja, albo chłód, albo głupie, ordynarne niezrozumienie intencji bywają zwykłą nagrodą za szczerość. Nie wiem, czy trzy na trzy tysiące nauczycielek prosto z pensji odpowiedziałyby mi tak, jak pani przed chwilą. Ale ja nie chcę pani schlebiać; jeżeli jest pani inną, niż większość, to nie pani w tem zasługa. To dar wrodzony. A zresztą, może ja ostatecznie za prędko wnioskuje: o ty-

le, o ile ja panią dotąd znam, może pani nie lepsza od reszty; może pani mieć nieznośne wady, równoważące parę dobrych zalet.

„I pan może jest taki sam!” — pomyślałam. Wzrok mój zetknął się z jego wzrokiem w chwili, gdy ta myśl przebiegła mi przez głowę: odczytał ją widocznie z mojego spojrzenia, gdyż odpowiedział, jak gdybym ją była wypowiedziała słowami:

— Tak, tak, ma pani słuszość; ja wiele mam wad: wiem o tem i nie myślę się ich wypierać, zapewniam panią. Bóg widzi, że nie powinienem być nadto szczery względem drugich; mam przeszłość, mam szereg czynków i rodzaj życia za sobą, które — gdy je oglądam w pamięci, zniewalają mnie do przenoszenia szyderstwa i krytyki z bliźnich na samego siebie. Wszedłem, albo raczej (gdyż, jak inni błądzący, lubię składać winę na zły los i wrogie okoliczności) — albo raczej zostałem wepchnięty na złą drogę, gdy miałem lat dwadzieścia jeden i nigdy odtąd nie odnalazłem prostej drogi: mogłem być jednak być zupełnie innym; mogłem być być tak dobry, jak pani — mędrszy — prawie równie nieskalany. Zadzroszczę pani spokoju duszy, czystego sumienia, pamięci bez zmazy. Dziewczątko, pamięć bez zmazy, bez zatrutej plamy, to musi być skarb nieoceniony — niewyczerpane źródło czystego, odświeżającego pokrzepienia: czy tak nie jest?

— A jakąż była pamięć pańska, gdy pan miał lat ośmnaście, łaskawy panie?

— O, wtedy! czysta była, zdrowa: nie wdarła się w nią wtedy zepsuta woda, by zamienić ją w zgniłą kałużę. Byłem równy pani, gdy miałem lat ośmnaście, zupełnie równy pani. Natura chciała stworzyć ze mnie dobrego człowieka, panno Eyre, jednego z rodzaju tych lepszych, a widzi pani, że takim nie jestem. Pani chciałaby powiedzieć, że pani tego nie widzi — a przynajmniej pochlebiam sobie, że czytam to w pani oczach (a niechże pani strzeże swoich oczu, gdyż ja szybko chwytam ich mowę!). Wiec niechże pani uwierz moim słowom — nie

jestem żadnym niegodziwcem: tego niech pani nie przypuszcza, nie przypisuje mi jakichś takich szczytów złego; ale, szczerze w to wierzę, że wskutek raczej okoliczności niż skłonności wrodzonych, jestem zwykłym, pospolitym grzesznikiem, wytartym we wszelakich drobnych i marnych rozrywkach, jakeimi bogaci nicponie starają się życie zapełnić. Dziwi się pani, że się do tego przed nią przyznaję? Niechże pani wie o tem, że w biegu dalszego życia często stanie się pani mimowolną powiernicą tajemnic swoich znajomych: ludzie instynktownie odkrywać będą, tak jak ja to uczyniłem, że pani silną stroną nie jest mówienie o sobie, ale słuchanie, gdy inni o sobie mówią. Odczują też, że pani słucha bez złośliwej pogardy dla ich niedyskrecji, ale z jakimś wrodzonym współczuciem; niemniej pocieszajacem i zachęcającem przez to, że tak się nie narzuca i skąpe jest w objawach.

— Skąd pan to wie?... Jak pan to wszystko mógł odgadnąć?

— Wiem to dobrze; to też mówię dalej prawie tak swobodnie, jakgdybym spisywał myśli swoje w dzienniku. Mogłaby pani powiedzieć, że powinienem był być wyższym ponad okoliczności; tak, powinienem był — powinienem; ale, widzi pani, nie byłem. Gdy los mnie skrzywdził, nie miałem dosyć rozumu, by zachować zimną krew: rozpacz mnie ogarnęła, a potem zaczął się mój upadek. Teraz, gdy jakiś rozpustny dureń budzi wstręt we mnie marną rozwiązłością, nie mogę sobie pochlebiać, że jestem lepszy od niego; zmuszony jestem wyznać, że on i ja jesteśmy na jednym poziomie. Żałuję, że się nie oparłem — Bóg widzi, że żałuję! Niech się pani obawia wyrzutu sumienia, gdy pokusa zbłądzenia stanie przed panią, panno Eyre! Wyrzut sumienia to trucizna życia.

— Powiadają, że żal leczy.

— Nie leczy wyrzutu sumienia. Poprawa mogłaby być uleczeniem; a ja byłbym zdolny do poprawy — jeszczeby mi starczyło siły — gdyby — lecz nacóż się przyda myśleć o tem, gdy się jest skrępowanym, obciążonym, przeklętym tak, jak ja jestem? Zresztą, skoro szczęście zostało mi nieodwołalnie wzbronione, mam prawo wvsvsać

z życia przyjemność: i wysysać ją będę, mniejsza o to jakim kosztem...

— Ale wtedy upadnie pan jeszcze niżej.

— Być może; choć dlaczegóż miałbym upaść, gdybym mógł osiągnąć przyjemność słodką, świeżą? A mógłbym ją dostać tak słodką i świeżą, jak ten miód, który pszczoła zbiera na wrzosowisku.

— Pszczoła ukłuje — miód będzie miał posmak gorczy.

— Skąd pani wie?... Nigdy go pani nie kosztowała. Jak bardzo poważną, jak bardzo uroczystą ma pani minę, a tak nie zna pani tej sprawy, jak ta oto kamea (tu wziął do ręki kameę z gzymsu kominka). Nie wolno pani prawić kazań mnie, neofitko, coś jeszcze nie przeżyła przedsionka życia i absolutnie nie znasz jego tajemnic.

— Ja panu tylko przypominam własne jego słowa: powiedział pan, że błąd sprowadza wyrzut sumienia, a wyrzut sumienia nazwał pan trucizną życia.

— Ale któż teraz mówi o błędach? Nie zdaje mi się, by myśl, która mi teraz przebiegła przez głowę, miała być błędem. Sądzę, że było to raczej natchnienie niż pokusa: takie było pogodne, takie kojące — to wiem. Ot, wraca znowu! To nie żaden zły duch, zapewniam panią; a jeżeli, to przybrał szaty anioła światłości. Myślę, że trzeba mi wpuścić tak jasnego gościa, gdy szuka wejścia u drzwi mego serca.

— Niechaj mu pan nie ufa; to nie jest anioł prawdziwy.

— Jeszcze raz, skąd pani to wiedzieć może? Jakim instynktem rozróżnia pani rzekomo między upadłym serafem otchłani a posłem wiekuistego tronu? pomiędzy przewodnikiem a uwodzicielem?

— Sądziłam po twarzy pańskiej, która miała wyraz wzburzenia, gdy pan mówił, że myśl owa nawiedziła pana znowu. Jestem pewna, że narazi się pan na większe jeszcze cierpienia, jeśli jej pan posłucha.

— Bynajmniej — niesie ona wieść najmilszą w świecie; a zresztą, nie jest pani stróżem mojego sumienia,

więc niech się pani nie niepokoi. Pójdź, przyjdź do mnie, miły wędrowniku!

Powiedział to, jakgdyby mówił do jakiegoś zjawiska, jemu tylko widomego; poczem, złożywszy na piersiach ręce, przedtem wyciągnięte, zdawał się tulić w objęciu istotę niewidzialną.

— Oto — zwrócił się znowu do mnie — przyjąłem pielgrzyma, bóstwo przebrane, jak gotów jestem wierzyć. Już teraz czuję dobry wpływ jego; moje serce było dotychczas rodzajem kostnicy; odtąd będzie ołtarzem.

— Jeżeli mam prawdę powiedzieć, zupełnie pana nie rozumiem; nie mogę podtrzymać rozmowy, gdyż przechodzi ona moje pojęcie. Jedno tylko wiem: powiedział pan, że nie jest pan tak dobry, jakby pragnął być i że żałuje pan swych własnych uchybień; — jedno mogę zrozumieć: powiedział pan, że pamięć zbrukana to stała trucizna. Wydaje mi się, iż, gdyby pan szczerze usiłował, potrafiłby pan stać się godnym własnego uznania i że, gdyby od dziś dnia zaczął pan wytrwale udoskonalać myśli swe i czyny, uskładałby pan w niewiele lat zasób nowych i niezmazanych wspomnień, do których mógłby pan z przyjemnością powracać.

— Trafnie pomyślane, dobrze powiedziane, panno Eyre; to też ja w tej chwili energicznie brukuję drogę do piekieł.

— Jakto?

— Brukuję ją dobrymi chęciami, które, ufam, że trwałe będą, jak kamień. To pewna, że towarzystwo moje i dążenia moje inne będą niż dotychczas były.

— I lepsze?

— I lepsze — o tyle lepsze, jak czysty metal od nieczystej rudy. Pani zdaje się wątpić o mnie; ja o sobie nie wątpię: ja wiem, jaki mój cel, wiem, jakie są moje pobudki; i w tej chwili wydaję prawo, niezmiennie, jak prawo Medów i Persów, że jedno i drugie jest słuszne.

— Nie mogą być słuszne, panie, jeżeli potrzebują nowego statutu, któryby je legalizował.

— Są słuszne, panno Eyre, chociaż koniecznie potrzebują nowego statutu: niebывałe kombinacje okoliczności domagają się nowych, niebывałych reguł.

— Jest to twierdzenie niebezpieczne, panie, ponieważ odrazu się widzi, że może dać pole do nadużyć.

— Mądry sędziol tak też jest: ale ja przysięgam na moje domowe bogi, że jabym tego prawa nie nadużył.

— Człowiekiem pan jest i ułomnym.

— Jestem, to prawda; i pani również — cóż z tego?

— Ludzie ułomni nie powinni przywłaszczać sobie władzy, którą tylko od Boga powołanym i doskonałym powierzyć można bezpiecznie.

— Jakiej władzy?

— Władzy orzekania o jakiejś niezwyklej, nie sankcjonowanej drodze postępowania, że „słuszną jest”.

— „Słuszną jest” — o te słowa właśnie chodzi: pani je wyrzekła.

— Oby przeto była słuszną — odpowiedziałam, wstając, gdyż uważałam, że daremną rzeczą byłoby przedłużać dyskusję, dla mnie tak niejasną. Zdawałam sobie też sprawę, że charakteru mojego rozmówcy przeniknąć nie mogę, a przynajmniej nie mogę jeszcze narazie; odczuwałam przytem niepewność i nieokreślone niebezpieczeństwo.

— Dokąd pani idzie?

— Idę wyprawić Adelkę spać: już minęła godzina.

— Pani się mnie boi, ponieważ mówię jak sfinks.

— Mowa pańska jest zagadkowa, ale chociaż mnie to oszałamia, nie boję się przeciw.

— Boi się pani — pani miłość własna boi się kompromitacji.

— Pod tym względem, to prawda, czuję lęk — nie chciałabym powiedzieć czegoś niemądrego.

— A gdyby nawet powiedziała pani coś niemądrego, powiedziała by to pani tak poważnie i spokojnie, że ja, przez pomyłkę, wziąłbym to za coś mądrego. Czy pani się nigdy nie śmieje, panno Eyre? Niech się pani nie sili na odpowiedź — ja widzę, że pani się rzadko śmieje, ale potrafi pani śmiać się bardzo wesoło. Niech mi pani wierzy, nie jest pani z natury tak bardzo surową, tak jak ja nie jestem z natury człowiekiem zepsutym. Przymus, nabyty w Lowood, jeszcze się jakoś na pani trzyma, panuje nad wyrazem twarzy, tłumi głos pani, krępuje swobodę ruchów; pani się lęka w obecności mężczyzny, który

jest dla pani bratem — albo ojcem, albo zwierchnikiem, albo kimkolwiek bądź — uśmiechnąć się zbyt wesoło, mówić zbyt swobodnie, albo poruszać się zbyt prędko. Z czasem jednak chyba nauczy się pani być naturalną ze mną, tak jak dla mnie jest rzeczą niemożliwą być z panią konwencjonalnym; a wtedy i twarz pani i pani ruchy nabiorą więcej żywości i urozmaicenia, niż przy obecnem nieśmiałościem skrępowaniu. Widzę u pani chwilami spojrzenie ciekawego ptaszka, wyzierającego z poza gęstych prętów klatki: żwawy, niespokojny, rezolutny więzień tam siedzi; gdyby tylko był wolny, frunąłby pod obłoki. Więc koniecznie chce pani już iść?

— Panie, wybiła dziewiąta!

— Mniejsza z tem — niech pani chwilę poczeka: Adelka jeszcze nie gotowa. Moja pozycja plecami do ognia a twarzą do pokoju sprzyja obserwacjom. Rozmawiając z panią, przyglądałem się też chwilami Adelce (mam swoje powody, by uważać ją za ciekawe studjum — powody, które może... nie, które wyjawię pani kiedyś). Wyciągnęła ze swego pudła, z dziesięć minut temu, różową jedwabną sukienkę; zachwył rozpromienił jej twarz, gdy ją rozwijała. Kokieterja płynie w jej żyłach, zamienia jej mózg, sięga do szpiku kości. „Muszę ją przymierzyć! — zawołała — i to natychmiast.“ I wypadła z pokoju. Teraz jest ze swoją Sophie i stroi się; za parę minut powróci i wiem, co zobaczę: minjaturę Celine Varens, jak się ukazywała na deskach przy podniesieniu... Ale mniejsza z tem. Jednak w moje najczulsze uczucia uderzy teraz cios; takie mam przecucie; niechżeż się pani zatrzyma, by się przekonać, czy mam rację.

Po niedługiej chwili drobne nóżki Adelki zatupotały po podłodze hallu. Weszła przebrana, jak jej opiekun przepowiedział. Różowa atłasowa sukienka, bardzo krótka, ale ogromnie szeroka w obwodzie, zastąpiła brązową wełnianą, którą wpierw miała na sobie; wianuszek z pączków różanych wieńczył jej głowę; na nogach miała jedwabne pończochy i małe białe atłasowe sandały.

— *Est-ce que ma robe va bien?* — zawołała, wysuwając się naprzód. — *Et mes souliers? et mes bas? Tenez, je crois que je vais danser!*

I rozszerzając rączkami spódniczkę, krokiem tanecznym sunęła przez pokój; przed panem Rochester zawirowała lekko na palcach, a potem u jego stóp przyklękła na jedno kolano, wołając:

— *Monsieur, je vous remercie mille fois de votre bonté.*

Poczem powstawszy, dodała:

— *C'est comme cela que maman faisait, n'est-ce pas, monsieur?*

— Zupełnie tak! — brzmiała odpowiedź. — I „*comme cela*” wyprowadzała angielskie złoto z mojej brytyjskiej kieszeni. Zielony ja wtedy byłem, oj, zielony, panno Eyre! Wiosenna świeżość była wtedy we mnie taka, jaka dzisiaj jest w pani! Wiosna moja minęła, ale zostawiła mi w ręku ten francuski kwiatek, którego, w pewnych nastrojach, najchętniejbym się pozbył. Nie ceniąc już łodygi, na której zakwitł, a którą tylko złotym proszkiem można było hodować, niezupełnie lubię ten kwiatek, zwłaszcza gdy wygląda tak sztucznie, jak właśnie w tej chwili. Utrzymuję to dziecko i wychowuję je raczej na rzymskokatolickiej zasadzie zadosyćuczynienia za liczne grzechy, wielkie i małe, zapomocą jednego dobrego uczynku. Wszystko to kiedyś wytłumaczę. Dobranoc.

ROZDZIAŁ XV.

Pan Rochester przy innej kiedyś sposobności wytłumaczył mi to. Raz po południu przypadkiem spotkał się ze mną i z Adelką w ogrodzie; a gdy mała bawiła się w olantem i dokazywała z Pilotem, zaproponował mi, bym się z nim przeszła po długiej alei bukowej, skąd można było mieć Adelkę na oku.

Powiedział mi wtedy, że Adelka była córką francuskiej baletnicy operowej Celiny Varens, dla której niegdyś pałał gorącym afektem, *une grande passion*, jak się wyraził. Ten afekt Celina, wedle swoich zapewnień, podzielała z większym jeszcze zapałem. Wierzył, że, chociaż brzydki, był jej bożyszczem, wierzył, że ona prze-

nosi jego budowę atlety nad wytworność Apollina belwe-derskiego.

— I, panno Eyre, tak mi schlebiały te względy gal-lijskiej sylfidy, że zainstalowałem ją w pałacyku, spra-wiłem jej całe urządzenie, służbę, powóz, kaszmiry, dia-menty, koronki i t. d. Słowem, zacząłem się rujnować w sposób przyjęty, jak każdy inny zakochany żółtodziób. Jakgdyby mnie nie stać było na oryginalność, zamiast wy-tknąć sobie inną drogę, wiodącą do hańby i zepsucia, kro-czyłem starym, utartym szlakiem z głupią dokładnością, byle nie zboczyć o cal z ubitego toru. Spotkał mnie — tak jak na to zasługiwałem — los wszystkich innych za-kochanych głuptasów. Zaszedłszy przypadkiem pewnego wieczora, gdy mnie się Celina nie spodziewała, nie zasta-łem jej w domu. Wieczór był ciepły, a że byłem zmę-czony chodzeniem po Paryżu, więc usiadłem w jej bu-duarze, szczęśliwy, że mogę oddychać powietrzem, uświę-conem niedawną jej obecnością. — Nie — ja przesa-dzam; ja nigdy nie myślałem, by była w niej jakaś uświę-cająca cnota; trąciła ona raczej wonią pastylki perfumo-wanej, niż świętości. Powietrze, przesycone zapachem kwiatów i perfum, zaczynało mnie dusić, więc otworzy-łem okno i wyszedłem na balkon. Świecił księżyc, świe-ciły również lampy gazowe, było cicho i pogodnie. Na balkonie stał fotel; siadłem i wyjąłem cygaro — jeśli pani pozwoli, to teraz jedno wypalę.

Tu pan Rochester zrobił przerwę; wyjął i zapalił cy-garo i wypuściwszy kilka kłębów wonnego dymu w mroź-ne, bezsłoneczne powietrze, mówił dalej:

— Ja i cukierki lubiłem w owych czasach, panno Eyre, i właśnie kolejno chrupałem czekoladki i paliłem cygaro, przyglądając się ekwipażom, przejeżdżającym przez modne ulice ku pobliskiej operze, gdy w eleganc-kim, krytym powozie, zaprzężonym w parę pięknych an-gielskich koni, rozpoznałem *la voiture*, którą ofiarowa-łem był Celinie. Powóz zatrzymał się, jak się tego spo-dziewałem, przed bramą pałacyku; moja flama (to właś-nie jest odpowiednie nazwanie dla takiej operowej ko-chanki) wysiadła. Chociaż otulona w płaszcz — zupeł-nie niepotrzebnie, nawiasem, w tak ciepły czerwcowy

wieczór — poznałem ją odrazu po maleńkiej nóżce, widocznej z pod sukni, gdy zeskakiwała ze stopnia powozu. Wychylając się z balkonu, miałem właśnie szepnąć „*Mon ange!*” — tonem, naturalnie, dosłyszalnym jedynie dla ucha miłości, gdy druga jakaś postać wyskoczyła z powozu wśląd za nią — postać również w płaszczu otulona; jednakże ta noga zabrzączała ostrogą o trotuar, i głowa w męskim kapeluszu przesunęła się pod sklepioną bramą pałacyku.

Pani, panno Eyre, nigdy nie odczuła zazdrości, nieprawdaż? Naturalnie, że nie; nie potrzebuję pani pytać; ponieważ pani nigdy nie zaznała, co to miłość. Obydwa te uczucia pozna pani jeszcze z doświadczenia; dusza pani śpi; musi przyjść jeszcze ten wstrząs, który ją obudzi. Pani sobie wyobraża, że całe życie popłynie tak spokojnie, jak dotychczas młodość pani. Płynąc przed siebie z zamkniętymi oczyma i zatkniętymi uszami, ani pani nie widzi skał podwodnych, ani nie słyszy rozbijających się o ich podstawę bałwanów. Ale ja pani mówię — i niech pani zapamięta moje słowa — dojdzie pani kiedyś do skalistego przejścia w kanale, gdzie cały życia strumień rozbija się w wirach i zamęcie, w łoskocie i pianie — i albo ostre skały rozbiją panią na atomy, albo jakaś potężna fala dźwignie ją i uniesie spokojniejszym prądem — jak mnie w tej chwili.

Lubię taki dzień; lubię to niebo stalowe; lubię surowość i ciszę tego zmrożonego świata. Miłe mi Thornfield, jego staroświeckość, ustronność, drzewa stare, pełne gniazd wronich, i ciernie, i szara fasada domu i rzędy ciemnych okien, odbijających to metalowe niebo. A jednak jakże długo nienawidziłem samej myśli o niem, stroniłem od niego, jak od siedliska zarazy! Jak ja dotychczas nienawidzę...

Zgrzytnął zębami i zamilkł; wstrzymał kroki i tupnął o stwardniałą ziemię, — jakgdyby jakaś myśl nienawistna chwyciła go w kleszcze i trzymała tak, że nie mógł ruszyć z miejsca.

Wracaliśmy aleją, gdy w ten sposób stanął; dom był przed nami. Podnosząc oczy do jego blanków, rzucił ponad nie spojrzenie, jakiego nigdy przedtem ani potem

nie widziałam. Ból, wstyd, gniew, zniecierpliwienie, wstręt, nienawiść zdawały się staczać walkę w wielkich rozszerzonych żrenicach pod kruczemi brwiami. Dziko zmagwały się te porywy, walcząc, który będzie górą.., atoli inne uczucie powstało i odniosło triumf: coś, co było twarde i sceptyczne — samowolne i zdecydowane: uśmierzyło jego wzburzenie i stężałością powlokło mu twarz; mówił dalej:

— Gdy milczałem, panno Eyre, toczyłem spór z moim losem. Stał tam pod tym bukiem, w postaci wiedzy, jak jedna z tych, które ukazały się Makbetowi na wrzosowisku w Forres. „Miłe ci jest Thornfield?” rzekła, podnosząc palec; a wtedy wypisała w powietrzu przestrożę, która płomiennymi zgłoskami przebiegła wzdłuż frontu domu, pomiędzy górnym a dolnym rzędem okien. „Niech ci będzie miłe, jeżeli zdołasz! Niech ci będzie miłe, jeśli się odważysz!” „Będzie mi miłe”, odpowiedziałem; „odważę się je lubić!”

I — dodał z uporem — dotrzymam słowa; przełamie przeszkody na drodze do szczęścia, na drodze do dobroci... tak, do dobroci. Pragnę być lepszym człowiekiem, niż dotychczas byłem, niż jestem; a jak lewjatan Hioba złamał dzidę, strzałę i napierśnik zbroi, tak ja zapory, które inni mienią z żelaza i spiżu, zmiażdżę jak słomę i zmurszałe drewno!

Adelka przebiegła mu drogę z wolantem.

— Idź sobie! — krzyknął ostro — trzymaj się zdaleka, dziecko, albo wracaj do domu, do Sophie!

Ponieważ szedł dalej w milczeniu, odważyłam się przywołać go do punktu, skąd tak nagle zoczył.

— Czy zeszedł pan z balkonu z chwilą, kiedy panna Varens weszła?

Lękałam się trochę, że się obruszy na to tak może nie wporę zadane pytanie; on tymczasem, jakgdyby się budził z chmurnego zamyślenia, zwrócił ku mnie oczy i rozpogodził czoło.

— Ach, zapomniałem o Celinie! Więc będę mówił dalej. Gdy ujrzałem moją nadobną przyjaciółkę, wchodzącą w towarzystwie kawalera, stary wąż zazdrości wpił się w serce. To dziwne! — zawołał, nagle odbiegając od

rzeczy. — To dziwne, że ja panią obieram za powierniczkę tego wszystkiego. A najdziwniejsze, że pani słucha mnie spokojnie, jakby to było najzwyczajszą rzeczą w świecie, że mężczyzna taki, jak ja, opowiada historję o swoich operowych kochankach takiej, jak pani, młodej, niedoświadczonej dziewczynie! Ale ja już raz o tem wspomniałem; pani, ze swoją powagą, względnością i ostrożnością, stworzona jest do odbierania zwierzeń. Zresztą wiem, z jaką duszą przestaje moja dusza; wiem, że to dusza, której nie chwyta się zaraza; to szczególniejsza dusza: jedyna w swoim rodzaju. Na szczęście ja nie zamierzam jej skrzywdzić — a gdybym nawet zamierzał, ona nie przejęłaby nic złego ode mnie. Im więcej przeto rozmawiamy ze sobą, tem lepiej: bo gdy ja nie mogę duszy jej zwarzyć, pani moją duszę odświeża i rzeźwi.

To powiedziawszy, po chwili namysłu opowiadał dalej:

— Pozostałem na balkonie. „Niewątpliwie przyjdą do jej buduaru — pomyślałem — niechże sobie przygotują zasadzkę.“ Wsunąwszy rękę przez otwarte drzwi, zaciągnąłem na nie portjerę, pozostawiając tylko szparę, przez którą mogłem prowadzić obserwacje; następnie przytknąłem drzwi, nie domykając ich zupełnie, tak, ażeby szept zaklęć miłosnych mógł mnie dochodzić; wtedy powróciłem do fotelu, a w chwili, gdy usiadłem, weszli oboje. Czem prędzej okiem przywarłem do szpary. Weszła pokojówka Celiny, zaświeciła lampę, postawiła ją na stole i wyszła. Tym sposobem jasno mogłem widzieć tę parę; oboje pozdejmowali płaszcze i oto stała tam „la Varens“, strojna, w atłasach i klejnotach — moich darach oczywiście — a obok niej jej towarzysz w oficerskim mundurze. Poznałem w nim odrazu pewnego wicehrabiego, znałogowanego idjotę; spotykałem go niekiedy w towarzystwie, nawet znieawidziłbym go nie potrafił, tak bezwzględnie nim pogardzałem. Zaledwie go poznałem, poczułem, że zazdrość kąsać mnie przestaje, gdyż równocześnie miłość moja dla Celiny zgasła. Kobieta, która mogła mnie zdradzać z takim rywalem, nie była warta, by się o nią ubiegać; zasługiwała jedynie na wzgardę — mniei iednakże niż ja, który się jej dałem oszukać.

Tamci dwoje zaczęli rozmawiać; rozmowa ich przyniosła mi ulgę ostateczną: płytka, bezduszna, interesowna, bez serca i bez sensu, mogła raczej znużyć niż do wściekłości doprowadzić słuchacza. Mój bilet wizytowy leżał na stole; to dało powód do rozmowy o mnie. Żadne z nich nie potrafiło obrobić mnie rzetelnie — brakło im energii czy dowcipu; ale obmawiali mnie tak ordynarnie, jak tylko umieli, na swój małostkowy sposób. Celina zwłaszcza rozwodziła się z predylekcją nad brakami w mojej powierzchowności, które nazywała kalectwem... A trzeba wiedzieć, że było w jej zwyczaju wpadać w gorące zachwyty nad moją „*beauté mâle*“, jak się wyrażała; w czym różniła się stanowczo od pani, która mi powiedziała, nie obwijając w bawełnę, za drugim widzeniem, że nie uważa mnie za przystojnego. Ten kontrast uderzył mnie wtedy i...

W tej chwili Adelka podbiegła znowu.

— *Monsieur*, Jan właśnie przyszedł powiedzieć, że jest pan administrator i pragnie się z panem zobaczyć.

— Ach! w takim razie muszę kończyć. Otworzywszy drzwi, wszedłem pomiędzy nich; zwolniłem Celinę z mojej opieki; zapowiedziałem, że ma opróżnić pałacyk; ofiarowałem jej sakiewkę na natychmiastowe potrzeby; nie zważałem na krzyki, łzy, prośby, zapewnienia, histeryczne ataki; z panem wicehrabią umówiłem się o spotkanie w lasku Bulońskim. Nazajutrz rano miałem przyjemność zmierzenia się z nim; wpakowałem kulkę w jedno z jego cienkich, chudych ramion, — i już myślałem, że skończyłem z całą tą paczką. Na nieszczęście jednak Celina na pół roku przedtem obdarzyła mnie tą dziewczynką, Adelką, twierdząc, że to moja córka; i może nią jest, chociaż nie widzę dowodów takiego brzydkiego ojcostwa, wypisanych na jej twarzy; Pilot jest podobniejszy do mnie, niż ona. W kilka lat po zerwaniu kobieta ta porzuciła dziecko i uciekła do Włoch z jakimś muzykiem czy śpiewakiem. Nie uznawałem naturalnego prawa Adelki do mojej opieki i nie uznaję go i teraz, gdyż nie jestem jej ojcem; jednakże słysząc, że jest w zupełnej biedzie, wyciągnąłem biedactwo z brudu i błota wielkowiejskiego i przeflancowałem ją tutaj, żeby sobie rosła czwsto na

zdrowym gruncie angielskiego wiejskiego ogrodu. Pani Fairfax wyszukała panią na jej wychowawczynię. Ale teraz, skoro pani wie, że to nieprawy potomek francuskiej baletnicy, może pani inaczej spojrzeć na swoje stanowisko i swoją wychowanekę; może przyjdzie pani którego dnia do mnie z oznajmieniem, że znalazła pani inne miejsce i poprosi mię, bym się obejrzał za inną nauczycielką... No co?

— Nie, Adelka nie jest odpowiedzialna ani za błędy matki ani za pańskie; nie mam powodu źle o niej myśleć; a teraz, gdy wiem, że nie ma rodziców, gdyż matka ją opuściła, pan się jej wypiera — będzie mi jeszcze bliższa, niż poprzednio. Jakże mogłabym przenosić rozpieszczone dziecko bogatej rodziny, niecierpiące swojej nauczycielki, jak czegoś nieznośnego, nad samotną małą sierotką, garnącą się do mnie, jak do przyjaciółki?

— Ach, więc w tem świetle pani rzecz widzi! No, dobrze, ale ja teraz muszę wracać do domu; i pani także niech wraca. Ściemnia się.

Jednakże pozostałam jeszcze kilka minut dłużej z Adelką i Pilotem; goniłam się z nią, zagrałam z nią partję wolanta. Wróciwszy do domu, rozebrawszy ją z paltocika i kapelusza, wzięłam ją na kolana i tak pozwoliłam jej siedzieć z godzinę i pleść, co jej się żywnie podobało; nie karciałam jej nawet, gdy sobie trochę za wiele pozwalała, do czego była skłonna, gdy się na nią zbytnio nie zwracało uwagi; przebijała w niej płytkość charakteru, odziedziczona prawdopodobnie po matce, a tak niezgodna z duchowością angielską. Jednakże Adelka miała swoje zalety, które gotowa byłam uznać jak najszczerzej. Szukałam w jej twarzy i w rysach podobieństwa do pana Rochestera, ale nie odnalazłam żadnego: żaden rys, żaden odcień wyrazu nie wykazywał pokrewieństwa. Żal mi jej było: gdyby tylko można było dowieść, że jest do niego podobna, ceniliby ją sobie więcej.

Dopiero po udaniu się na noc do swojego pokoju rozważyłam dokładnie to, co mi pan Rochester opowiedział. Wedle jego własnego wyznania, w treści tego przeżycia nie było prawdopodobnie nic tak dalece nadzwyczajnego: romans bogatego Anglika z francuską tancerką, jej zdra-

da, były to, niewątpliwie, w życiu towarzyskiem rzeczy dość częste; jednakże było coś stanowczo niezwykłego w paroksyzmie wzruszenia, jaki go nagle ogarnął w chwili, gdy okazywał zadowolenie ze swego obecnego nastroju; gdy mówił o uroku, jaki zaczął odnajdywać w starym domu i jego otoczeniu. Dziwiąc się, rozmyślałam nad tem zajściem; stopniowo jednak, nie mogąc go sobie narazie wytłumaczyć, przeszłam myślą do rozważania stosunku zwierzchnika mojego do mnie. Zwierzenia wydały mi się hołdem, złożonym mojej dyskrecji: jako taki je przyjął, i jako taki cenił. Zachowanie się jego względem mnie, teraz od kilku tygodni, stało się równiejsze i jednostajniejsze, niż początkowo. Nigdy już nie miałam wrażenia, że mu zawadzam; nie nachodziły go nastroje mrozącej wyniosłości. Jeśli mnie spotkał niespodziewanie, spotkaniu widocznie bywał rad; miał zawsze słówko, a niekiedy uśmiech dla mnie; gdy przychodziłam, przyzwana formalnem zaproszeniem, zaszczycał mnie taką serdecznością przyjęcia, że czułam, iż rzeczywiście posiadam umiejętność rozerwania go i że te wieczorne pogawędy przynoszą istotnie jemu przyjemność, a mnie korzyść.

Ja, co prawda, mało stosunkowo mówiłam, ale lubiłam niezmiernie słuchać, gdy on mówił. Pan Rochester był z natury mowny; lubił przed oczami, nie znającemi świata, roztaczać jego widoki i dzieje (nie widoki zepsucia ani grzeszne dzieje, ale te, które ciekawe były ze względu na wielką widownię, na znamionującą je szczególniejszą dla mnie nowość). Ja zaś doznawałam żywej rozkoszy, przyjmując nowe myśli, które mi poddawał, wyobrażając sobie nowe obrazy, jakie kreślił, idąc myślą wślad za nim przez nowe odkrywane mi światy, nigdy nie przestraszona ani nie zmieszana najlżejszą niewłaściwą aluzją.

Łatwość jego obejścia uwolniła mnie od przykrego skrępowania; przyjacielska szczerłość, równie właściwa, jak serdeczna, z którą mnie traktował, pociągała mnie ku niemu. Miałam niekiedy wrażenie, jakoby raczej był krewnym moim, niż zwierzchnikiem: jednakże miewał nie-

kiedy ton rozkazujący; ja tego jednak nie brałam do serca; wiedziałam, że takie to już jego obejście.

Tak zadowolona i szczęśliwa poczułam się, gdy to nowe zainteresowanie przybyło mi w życiu, że przestałam tęsknić za towarzystwem ludzi; mój los dotąd, jak obrączka cieniutkiego księżycyca na nowiu, zdawał się rosnać, poszerzać; pustki istnienia wypełniły się; fizycznie poprawiło się moje zdrowie; przytyłam, nabrałam sił.

I czy pan Rochester był teraz brzydki w moich oczach? Nie; wdzięczność i wiele innych związanych z nią wrażeń miłych i pogodnych, uczyniły mi twarz jego ulubionym dla oczu widokiem; obecność jego w pokoju rozgrzewała lepiej, niż najsutszy ogień. Nie zapomniałam mimo to o jego wadach i zapomnieć o nich nie mogłam, gdyż często je przede mną odkrywał. Był dumny, sarkastyczny, szorstki dla wszystkiego, co niższe; w cichości serca wiedziałam, że jego wielką dobroć względem mnie równoważyła niesprawiedliwa surowość względem wielu innych. Humor miał kapryśny; i to bez powodów. Nieraz, gdy przychodziłam, wezwana, by mu czytać, zastawałam go w bibliotece samego, z głową opartą na złożonych rękach; a wtedy, gdy podnosił oczy, na twarzy jego zalegała ciężka, ponura, nieledwie złośliwa chmura. Wierzyłam jednak, że jego złe humory, szorstkość i dawniejsze wybryki niemoralne (mówię d a w n i e j s z e, gdyż obecnie, zdaje się, już w nie nie wpadał) pochodziły z jakichś okrutnych powikłań losu. Wierzyłam, że był z natury człowiekiem o lepszych dążnościach, wyższych zasadach, czystszych zamiłowaniach niż te, które okoliczności w nim rozwinęły, wychowanie wszczepiło, czy też los wzmagił. Myślałam, że są w nim doskonałe pierwiastki, choć narazie nadpsute, zwiłkane. Nie mogę zaprzeczyć, że martwiłam się jego zmartwieniem, czemkolwiekby ono było, i że wielebym za to była dała, by móc mu ulgę przynieść.

Chociaż już teraz zgasiłam świecę i położyłam się do łóżka, nie mogłam usnąć; wciąż myślałam o wyrazie jego twarzy, gdy zatrzymał się w alei i powiedział, że los jego stanął przed nim i zaprzeczył mu szczęścia w Thornfield.

— Dlaczego? — zadawałam sobie pytanie. — Co go od tego domu odstręcza? Czy znowu opuści go wkrótce? Pani Fairfax mówiła, że rzadko pozostaje tutaj dłużej niż dwa tygodnie zrzędu, a teraz już ośm tygodni tu bawi. Jeżeli wyjedzie, jakżeż smutna nastąpi tu zmiana! Przypuśćmy, że byłby nieobecny przez wiosnę, lato i jesień, jak bezradosnem wyda się światło słońca i piękne dni pogody.

Sama nie wiem, czy zasnęłam, czy nie zasnęłam po tych rozmyślaniach; tyle wiem, że zerwałam się zupełnie trzeźwa, usłyszawszy nieokreślony jakiś pomruk, dziwny i posępny, rozlegający się, wydało mi się, tuż nade mną. Żałowałam, że zgasła świeca; noc była strasznie ciemna; ogarnęło mnie przygnębienie. Podniosłam się i siadłam w łóżku, nasłuchując. Odgłos ów ucichł.

Staralam się znów zasnąć; jednakże serce biło we mnie niespokojnie: pierzchnął mój spokój wewnętrzny. Zegar w hallu wybił drugą. Właśnie w tej chwili wydało mi się, że drzwi mojego pokoju coś dotknęło, jakgdyby palce czyjeś przesunęły się po desce, szukając drogi wzdłuż ciemnego korytarza. „Kto tam?” zapytałam. Nie było odpowiedzi. Zimny strach przejął mnie dreszczem.

Nagle przypomniałam sobie, że mógłby to być Pilot, który, o ile drzwi od kuchni bywały przypadkiem otwarte, wymykał się niekiedy i podchodził przed próg drzwi pana Rochester'a; nieraz go tam rano leżącego widywałam. Ta myśl uspokoiła mnie nieco; położyłam się. Cisza koi nerwy, a że nieprzerwany spokój panował teraz w całym domu, zaczęłam odczuwać senność na nowo. Nie było mi jednak sądzone spać tej nocy. Zaledwie sen zaczął kleić mi powieki, pierzchnął, spłoszony krew w żyłach ścinającym odgłosem.

A był nim śmiech jakiś szatański — półgłęboki, przytłumiony i głęboki, dochodzący, zdawałoby się, z pod samych drzwi mojego pokoju. Łóżko moje głowami stało tuż przy drzwiach, tak że w pierwszej chwili pomyślałam, iż ta szatańsko śmiejąca się zjawa stoi obok mojego posłania, albo raczej czai się przy mojej poduszce. Wstałam jednak rozejrzałam się; niczego dojrzeć nie mogłam. Gdy się wciąż jeszcze rozglądałam, niesamowity dźwięk

powtórzył się; teraz wiedziałam, że płynie on z za drzwi. Odruchowo najpierw zerwałam się i zasunęłam rygiel, a potem znów zawołałam: „Kto tam jest?”

Coś odezwało się jakimś gardłowym głosem i jęknęło. Niebawem usłyszałam, że kroki oddalają się wzdłuż galerji ku schodom trzeciego piętra; w ostatnich czasach zaprawiono tam drzwi, by móc to piętro zamykać, usłyszałam otwieranie i zamykanie tych drzwi i zaległa cisza.

„Czyżby to była Gracja Poole? I czyżby ona była opętana przez djabła?” — pomyślałam. Nie mogłam już dłużej wytrzymać w samotności; chciałam pójść do pani Fairfax. Spiesznie narzuciłam na siebie suknię i szal, odsunęłam rygiel i drżącą ręką otworzyłam drzwi. Tuż za drzwiami na chodniku galerji stał lichtarz z palącą się świecą. Zdziwiła mnie ta okoliczność; więcej jednak jeszcze zdumiałam, spostrzegłszy, że powietrze jest zupełnie ciemne, jakgdyby pełne dymu; i rozglądając się w prawo i w lewo, by dojść, skąd płyną te błękitne kłęby, poczułam silną woń spalenizny.

Coś lekko skrzypnęło; skrzypnęły drzwi otwarte, a były to drzwi pokoju pana Rochestera; to stamtąd dym kłębami się wydierał. Już nie myślałam o pani Fairfax; już nie myślałam o Gracji Poole ani o śmiechu: w jednej chwili byłam w pokoju. Ogniste języki tańczyły dokoła posłania; kotara nad łóżkiem stała w płomieniach. Otoczony żarem i dymem, pan Rochester leżał bez ruchu, głęboko uspiony.

— Wstawać, panie, wstawać! — wołałam. Potrząsnęłam nim, ale on tylko mruknął coś i odwrócił się; dym go odurzył. Nie było chwili do stracenia — już nawet prześcieradła zaczynały się palić. Skoczyłam po jego miednicę i dzbanek, na szczęście miednica była obszerna, a dzbanek głęboki — jedno i drugie pełne wody. Dźwignęłam je, oblałam łóżko i śpiącego, pobiegłam do mojego pokoju, przyniosłam stamtąd dzbanek z wodą, zlałam posłanie raz jeszcze i z Bożą pomocą udało mi się zgasić płomienie, które już je pożerały.

„Syk gaszonego żywiołu, łoskot tłuczącego się dzbanka, który wyslizgnał mi się z rąk, a nadewszystko zimna kąpiel, której nie pożałowałam, obudziły wreszcie pana

Rochestera. Chociaż ciemno było, wiedziałam, że już nie śpi, ponieważ słyszałam, jak jakieś dziwne przekleństwa miotał, poczuwszy, że leży w kałuży wody.

— Czy to potop? — wołał.

— Nie, panie — odpowiedziałam — ale był tu pożar; niech pan wstaje, proszę; jest pan przemoczony do nitki; przyniosę panu świecę.

— W imię wszystkich elfów w chrześcijańskim świecie, czy to Joanna Eyre? — zapytał. — Co pani ze mną zrobiła, czarownico mała? Kto jest w pokoju prócz pani? Czy pani chciała mnie utopić?

— Przyniosę panu świecę; i na miłość boską, niechże pan wstaje. Tu ktoś uknuł zamach na życie pańskie, musi pan prędko zbadać kto to, i co jest w tem...

— No! otóż i wstałem; ale broń Boże, niechże pani jeszcze świecy nie przynosi; niech pani poczeka parę minut, aż włożę na siebie suche ubranie, jeżeli znajdę coś suchego... o, tak... oto mój szlafrok. A teraz niech pani biegnie!

Pobiegłam; przyniosłam świecę, która wciąż jeszcze stała na korytarzu. Wziął mi ją z ręki, podniósł, obejrzał łóżko, całe szerniałe i osmolone, z przemokłą pościelą; dywan koło łóżka pływał we wodzie.

— Co to jest? Kto to zrobił? — zapytał.

Opowiedziałam mu w krótkości o wszystkim, co zaśzło: o tym dziwnym śmiechu, który posłyszałam na korytarzu, o krokach, zdążających na trzecie piętro; o dymie i woni spalenizny, która zaprowadziła mnie do jego pokoju; o tem, co tutaj zastałam i o tem, jak wylałam na niego wodę, którą miałam pod ręką.

Słuchał bardzo poważnie; twarz jego podczas mego opowiadania wyrażała więcej smutku niż zdziwienia; nie zaraz przemówił, chociaż skończyłam.

— Czy mam poprosić panią Fairfax? — zapytałam.

— Panią Fairfax? Nie, pocóż u licha, chciałyby ją pani wołać? Cóż ona pomoże? Niech sobie śpi spokojnie.

— W takim razie pójdę po Leę, obudzę Jana i jego żonę.

— Wcale nie; niech się pani nie rusza. Ma pani na sobie szal. Jeżeli pani nie dosyć ciepło, może pani wło-

żyć ten tam mój płaszcz; niech się pani w niego otuli i usiądzie w fotelu: tak, włożę go na panią. A teraz niech pani na tym stołku oprze nogi, żeby ich nie zamoczyć. Opuszczę panią na kilka minut. Świecę zabiorę. Niech pani tu siedzi, dopóki nie wrócę — i niech pani zachowuje się cichutko. Ja muszę zejść na drugie piętro. Niechże się pani nie rusza, proszę pamiętać, i niech pani nikogo nie woła!

Poszedł; patrzyłam na oddalające się światło. Przeszedł przez galerję bardzo cicho, jak najciszej otworzył drzwi na schodach i zamknął je za sobą, a wtedy ostatni promień światła zagasł. Pozostałam w zupełnej ciemności. Nasłuchiwałam jakiegoś odgłosu, ale nic nie było słyhać. Trwało to bardzo długo. Zaczęło mnie opanowywać zmęczenie; zimno mi było pomimo płaszcza; a potem nie rozumiałam, poco mam czekać, skoro i tak nie mam budzić domu. Już miałam narazić się na niezadowolenie i odejść wbrew rozkazowi pana Rochestera, gdy światło znowu mignęło na ścianie korytarza i usłyszałam kroki na chodniku. „Myślę, że to on, a nie co gorszego” — przebiegło mi przez głowę.

Pan Rochester wszedł, blady i bardzo zasęponiony.

— Wykryłem wszystko — powiedział, stawiając świecę na umywalni. — Tak jest, jak przypuszczałem.

— Ale jak? — zapytałam.

Nie odpowiedział, stał z założonymi rękoma, patrząc w ziemię. Wkońcu po kilku minutach zapytał jakimś szczególniejszym tonem:

— Nie pamiętam.., czy pani mówiła, że widziała coś, otworzywszy drzwi swego pokoju?

— Nie, panie, zobaczyłam tylko lichtarz na podłodze.

— Ale słyszała pani jakiś śmiech niesamowity? Ten śmiech słyszała już pani kiedyś, czy coś podobnego?

— Tak panie: jest tam kobieta, która tutaj szyje, nazywa się Gracja Poole — to ona się w ten sposób śmieje. To dziwna osoba.

— Ot właśnie. Gracja Poole... zgadła pani. Ona jest, jak się pani wyraziła, dziwna... bardzo. No dobrze, ja się nad tem zastanowię. Tymczasem rad jestem, że pani jedyna, oprócz mnie, zna dokładnie szczegóły zajścia dzi-

siejszej nocy. Pani nie jest gadatliwa głuptasińska: niech pani nic o tem nie mówi. Ja już jakoś wytłumaczę to, co się tutaj stało (tu wskazał łóżko). A teraz niech pani wraca do swojego pokoju. Ja bardzo dobrze spędzę resztę nocy na kanapie w bibliotece. Już dochodzi czwarta: za dwie godziny służba będzie na nogach.

— A więc dobranoc panu — rzekłam, zabierając się do odejścia.

Wydał się zadziwiony — bardzo niekonsekwentnie, co prawda, gdyż sam co dopiero powiedział, że mam już pójść.

— Co! — zawołał — opuszcza mnie już pani, i to w ten sposób?

— Pan powiedział, że mogę już odejść.

— Ale nie bez pożegnania; nie bez paru słów podziękowania i wdzięczności z mojej strony, słowem, nie w ten nagły, oschły sposób. Pani mi przecież ocaliła życie!... wyrwała mnie pani okropnej, mąk pełnej śmierci! i tak pani przechodzi koło mnie, jakgdybyśmy sobie byli zupełnie obcy! Przynajmniej rękę niech mi pani poda!

Wyciągnął rękę; podałam mu swoją; ujął ją najpierw jedną, potem obu dłońmi.

— Ocaliła mi pani życie: błogo mi, że winien jestem pani dług tak niezmierny. Więcej powiedzieć nie mogę. Nie ścieriałbym nikogo w roli wierzyciela za takie dobrodziejstwo: ale pani — to co innego... Mnie pani dobrodziejstwa nie ciężą, panno Joanko.

Umilkł; patrzył na mnie; słowa, prawie widoczne, drżały mu na wargach, ale głos ich nie wypowiedział.

— Jeszcze raz dobranoc panu — rzekłam. — Niema żadnego długu, dobrodziejstwa, ciężaru, wdzięczności w tym wypadku.

— Ja wiedziałem — mówił dalej — że kiedyś, w jakiś sposób dobro przez panią, panno Joanno, na mnie spłynie;... wyczytałem to w twoich oczach, gdy po raz pierwszy cię ujrzałem. Ich wyraz i uśmiech nie... (tu znowu urwał)... nie (mówił dalej szybko) nie nadaremnie tak błogo wzruszył samą głęb mojego serca. Ludzie mówią o wrodzonych sympatjach; słyszałem też o duchach do-

brych: są ziarna prawdy w najfantastyczniejszych bajkach. Moja umiłowana wybawicielko, dobranoc!

Dziwna energia była w jego głosie, dziwny ogień w jego spojrzeniu.

— Cieszę się, iż tak się przypadkiem zdarzyło, że właśnie nie spałam — odparłam i znów chciałam odejść.

— Co? Chce pani iść koniecznie?

— Zimno mi, panie.

— Zimno? Tak... i stoisz w kałuży wody! Idź więc, panno Joanko, idź!

Ale wciąż jeszcze trzymał moją rękę, a ja nie mogłam jej uwolnić. Przyszedł mi na myśl fortel.

— Zdaje mi się, że słyszę, że pani Fairfax się rusza — powiedziałam.

— A więc odejdz... dobranoc! — wypuścił moją rękę, a ja poszłam do siebie.

Położyłam się zpowrotem, ale nie było mowy o śnie. Dopóki dzień nie zaświtał, kołysałam się na niespokojnym morzu, gdzie bałwany troski toczyły się pod zwierzchnią pianą radości. Zdawało mi się chwilami, że poza dzikim odmętem wód widzę brzeg rozkoszny. Raz po raz też rzeźki powiew, wzbudzony nadzieją, niósł triumfalnie ducha mego ku przystani: nie mogłam jej jednak dosięgnąć, nawet wyobraźnią — przeciwny wiatr wiał od lądu i stale mnie odpychał. Rozum opierał się szaleństwu; zdrowy sąd walczył z żarem uczucia. Nazbyt rozgrzowana, żeby zasnąć, wstałam, jak tylko dzień zaświtał.

ROZDZIAŁ XVI.

I pragnęłam i lękałam się zarazem zobaczyć pana Rochester'a nazajutrz po tej bezsennej nocy. Pragnęłam głos jego znów usłyszeć, ale lękałam się spotkać się z jego oczami. Podczas rannych lekcji każdej chwili spodziewałam się, że przyjdzie; nieczęsto zaglądał do naszego szkolnego pokoju, ale niekiedy wstępował tam na parę minut, a tego dnia miałam wrażenie, że z pewnością przyjdzie.

Tymczasem ranek minął, jak zwykle; nic nie przeważało zwykłego biegu nauki Adelki — tylko zaraz po śniadaniu usłyszałam ruch w stronie pokoju pana Rochester, głos pani Fairfax i Lei i kucharki — t. j. żony Jana, a nawet ruchliwy głos samego Jana. Rozlegały się okrzyki: „Co za szczęście, że pan się nie spalił w łóżku!” „Jak to zawsze niebezpiecznie trzymać świecę zapaloną w nocy!” „Jak to dobrze, że nie stracił przytomności i pamiętał o dzbanku z wodą!” „Dziwię się, że nikogo nie obudził!” „Miejmy nadzieję, że się nie przeziębził, śpiąc na kanapie w biblijotece!” i t. p.

Po różnych gawędach przyszły odgłosy szorowania, wycierania i porządkowania, a gdy schodziłam nadół na obiad, zobaczyłam przez otwarte drzwi, że wszystko już wróciło do porządku; łóżko jedynie pozbawione było zasłony. Lea stała przy oknie, czyszcząc szyby, okopcone dymem. Miałam ochotę zagadnąć ją, gdyż byłam ciekawa, jak pan Rochester wytłumaczył całą sprawę; zbliżywszy się jednak, ujrzałam drugą osobę w pokoju — kobietę, siedzącą w krześle przy łóżku i przyszywającą kółka do świeżej zasłony. Kobieta tą ku mojemu zdumieniu była Gracja Poole.

Siedziała tam, spokojna i milcząca jak zwykle w brązowej wełnianej sukni, kraciastym fartuchu, białej chusteczce i czepku. Pilnie była zajęta swoją robotą, i ta widocznie pochłaniała wszystkie jej myśli; ani na czole ani na pospolitej jej twarzy nie było znać bladej ani zgnębienia, jakie spodziewałam się ujrzeć na twarzy kobiety, która popełniła zamach morderczy i którą upatrzona jej ofiara odszukała kilka godzin temu w jej jaskini (tak przynajmniej sądziłam) i wyrzucała jej zamierzoną zbrodnię. Zdumiałam — osłupiałam. Spojrzała na mnie, podczas gdy ja wciąż na nią patrzyłam: nie drgnęła, nie zmieniła się na twarzy, nic nie zdradzało wzruszenia, świadomości winy, czy też obawy odkrycia. Powiedziała „dzieńdobry pani”, flegmatycznie, krótko, jak zawsze, wzięła nowe kółko i nitkę i szła dalej.

„Wystawię ją na próbę — pomyślałam — taka skrytość i czelność przechodzi pojęcie!”

— Dzieńdobry, Gracjo! — powiedziałam. — Czy się tutaj co stało? Zdawało mi się, że słyszałam, że wszyscy razem rozmawialiście tu przed chwilą.

— To tylko pan czytał w łóżku wczoraj w nocy; zasnął, nie zgasiwszy świecy i zasłona się zapaliła; na szczęście jednak obudził się, zanim się pościel i drzewo zajęło i udało mu się wodą z dzbanka zagasić płomień.

— Dziwna sprawa! — rzekłam pocichu, a potem, wpatrując się w nią, dodałam: — Czy pan Rochester nikogo nie obudził? Czy nikt nie słyszał ruchu w jego pokoju?

Podniosła znowu wzrok na mnie, ale tym razem jak-gdyby błysk czujności był w jej oczach. Zdawało mi się, że bada mnie ostrożnie; po chwili odpowiedziała:

— Służące tak daleko śpią, pani wie, trudno, żeby usłyszały. Pokoje pani Fairfax i pani najbliższe są pokojowi pana; ale pani Fairfax powiada, że nic nie słyszała; ludzie starsi miewają mocny sen. — Przerwała, a potem dodała, niby to obojętnie, ale z naciskiem i tonem znaczącym. — Ale pani jest młoda i przypuszczam, że pani ma sen lekki; może pani słyszała jaki hałas?

— Tak jest, słyszałam — odparłam, zniżając głos, tak ażeby mnie Lea, wycierająca jeszcze szyby, nie dosłyszała — i początkowo myślałam, że to Pilot; ale Pilot nie potrafi się śmiać; a ja jestem pewna, że słyszałam śmiech i to bardzo dziwny śmiech.

Wzięła nową nitkę, nawoskowała ją starannie, pewną ręką nawlokła igłę, poczem zauważyła z zupełnym spokojem:

— Trudno przypuszczać, proszę pani, żeby to pan się śmiał, skoro był w takim niebezpieczeństwie; musiało się pani śnić.

— Nie śniło mi się — odpowiedziałam trochę porywczo, gdyż podrażnił mnie bezczelny jej spokój. Znowu popatrzyła na mnie temi samemi badawczemi, tającemi coś oczyma.

— Czy pani powiedziała panu, że słyszała ten śmiech? — zapytała.

— Nie miałam sposobności rozmawiać z panem dziś rano.

Zdawało mi się, że mnie podpytuje, licząc na to, że mimowoli zdradzę się z jakąś wiadomością. Przyszło mi na myśl, że gdyby odkryła, iż ja wiem o jej winie, a choćby ją o nią posądzam, że wtedy wywarłaby na mnie jakąś złośliwą zemstę; to też pomyślałam, że należy się strzec.

— Przeciwnie — odpowiedziałam — zaryglowałam drzwi mojego pokoju.

— A więc nie zamyka pani codziennie drzwi swoich na zasuwkę, zanim się pani położy?

„Djablica! ona chce poznać moje zwyczaje, by odpowiednio plany swe układać!“ Oburzenie znowu przeważało względy przezorności; odpowiedziałam jej ostro:

— Dotychczas nieraz zaniedbywałam zasunąć rygiel; nie sądziłam, by to było potrzebne. Nie wiedziałam, że w Thornfield można się obawiać jakichś niebezpieczeństw albo zamachów; ale odtąd (te słowa wymówiłam z naciśkiem) — będę pilnie dbała, by się dobrze zabezpieczyć, zanim się odważę spocząć.

— I bardzo mądrze pani zrobi — odpowiedziała. — Ta okolica jest tak spokojna, jak rzadko która, i od czasu, jak dom stoi, nigdy nie słyszałam, żeby tu na dwór napadali złodzieje albo włamywacze, choć jest tam sreber za setki funtów w schowanku, jak wszystkim wiadomo. I, widzi pani, jak na tak wielki dom, bardzo tu mało jest służby, ponieważ pan nigdy tu dłużej nie mieszkał, a nawet kiedy przyjeżdża, będąc kawalerem, niewiele usługi potrzebuje; ale ja zawsze myślę, że lepiej jest przesadzić, niż nie dosadzić; łatwo jest drzwi zamknąć, a nigdy nie zawadzi odgrodzić się zasuniętym rygłem od jakiegokolwiek przypadku. Wielu ludzi, proszę pani, spuszcza się ze wszystkim na Opatrzność; ale ja zawsze powiem, że strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Tu zakończyła swoją przemowę — długą, jak na nią, i wypowiedzianą ze skromną miną prawdziwej kwakierki. Stałam jeszcze, wprost oniemiała wobec jej zadziwiającego panowania nad sobą i nieprzeniknionej obłudy, gdy weszła kucharka.

— Pani Poole — zwróciła się do Gracji — obiad dla służących będzie zaraz gotów; czy pani zejdzie nadół?

— Nie; niech pani tylko postawi na tacce mój kufel porteru i kawałek pudyngu, a ja sobie to sama zaniosę na górę.

— A mięsa kawałek życzy pani sobie?

— Na jeden kęs i odrobinę sera, to wszystko.

— A sago?

— Mniejsza o nie teraz; zajdę nadół przed herbatą; przyrządę to sama.

Wtedy kucharka zwróciła się do mnie, oznajmiając, że pani Fairfax na mnie czeka; wobec tego poszłam.

Opowiadanie pani Fairfax o spaleniu się zasłony puszczając mimo uszu, głowę moją zaprzętał zagadkowy charakter Gracji Poole i niezrozumiały dla mnie problem jej stanowiska w Thornfield. Nie mogłam pojąć, dlaczego zaraz rano nie oddano jej do aresztu, albo co najmniej nie wydalono ze służby. Przecież pan Rochester tak jakby wyjawiał w nocy przekonanie, że to ona jest zbrodniarką; jakąż tajemnicza przyczyna wzbraniała mu ją zaskarżyć. Dlaczego i mnie zobowiązał do tajemnicy? Dziwne to było: odważny, mściwy i dumny pan zdawał się być pod władzą jednej z najniższych podwładnych; tak dalece pod jej władzą, że chociaż targnęła się na jego życie, nie śmiał jej otwarcie obwinić o zamach, a tem mniej ją za to ukarać.

Gdyby Gracja była młoda i ładna, miałabym pokusę pomyśleć, że jakieś czulsze względy niż przezorność i obawa przemawiają tutaj na jej korzyść; trudno jednakże było myśl tę dopuścić, pamiętając, jak skąpo obdarzona była od natury. „A jednak — rozmyślałam — była ona niegdyś młoda; młoda równocześnie z młodym wtedy jej panem: pani Fairfax powiedziała mi kiedyś, że ona już od wielu lat przebywa w tym domu. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek mogła być ładna — ale, czy ja wiem? Może w braku powabów zewnętrznych posiadała oryginalność i siłę charakteru... Pan Rochester lubi typy zdecydowane i ekscentryczne. Gracja w każdym razie jest ekscentryczna. I cóż, jeżeli dawniejszy kaprys (wybryk zupełnie możliwy przy takiej jak jego naturze nagłej i upartej) oddał go pod władzę, a ona teraz na postępowanie jego wywiera wpływ tajemny, rezultat dawnego błędu,

wpływ, którego on nie śmie lekceważyć, a z pod którego otrząsnąć się nie może? Gdy w przypuszczeniach doszłam do tego punktu, stanęła mi nagle w myśli jak żywa kwadratowa, płaska figura pani Poole, jej nieładna, sucha, nawet ordynarna twarz, tak, że powiedziałam sobie: „Nie! to niemożliwe! Moje przypuszczenie nie może być trafne! A jednak, — podszepnął mi głos tajemniczy, ten który do nas z głębi serca mówi — i ty nie jesteś piękną, a może się panu Rochester podobać; w każdym razie nieraz czułaś, jakgdyby tak było. A ostatniej nocy, przypomnij sobie jego słowa, przypomnij sobie jego wzrok, przypomnij sobie jego głos!”

Dobrze pamiętałam wszystko; mowa, spojrzenia, ton — wszystko to w tej chwili odżyło. Byłam właśnie w pokoju szkolnym; Adelka rysowała; nachyliłam się nad nią, by poprowadzić jej ołówkę. Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Co pani jest, mademoiselle? — zapytała. — Palce pani drżą jak liść, a policzki ma pani czerwone; ależ tak, czerwone, jak wiśnia!

— Gorąco mi się zrobiło, Adelko, od tego nachylenia!

Rysowała dalej, a ja dalej rozmyślałam.

Czem prędzej wypędziłam z myśli szkaradne przypuszczenie, obciążające Grację Poole; wstrętne mi było. Porównywałam się z nią i doszłam do wniosku, że jesteśmy wielce różne. Elżbietka Lieven powiedziała, że jestem prawdziwą damą — i prawdę powiedziała — była we mnie wrodzona dystynkcja. A teraz wyglądałam o wiele lepiej niż wtedy, kiedy mnie Elżbietka widziała; przytyłam, więcej miałam rumieńca, więcej życia, ożywienia, ponieważ jaśniejsze miałam nadzieje, więcej głębokiej radości.

„Wieczór nadchodzi — pomyślałam, popatrzwszy w okno — nie słyszałam dziś ani głosu, ani kroków pana Rochester w domu; ale z pewnością zobaczę go, nim noc zapadnie; bałam się spotkania rano; teraz go pragnę, gdyż oczekiwanie, dotychczas zawiedzione, zamieniło się w niecierpliwość.”

Gdy już zmrok zapadł zupełnie, a Adelka poszła do dziecinnego pokoju zabawić się z boną, pragnienie zoba-

czenia pana Rochesterera spotęgowało się jeszcze we mnie. Nasłuchiwałam, czy nie odezwie się dzwonek na dole; nasłuchiwałam, czy Lea nie nadejdzie z wezwaniem do mnie; chwilami wydawało mi się, że słyszę kroki jego samego i wtedy patrzyłam na drzwi, oczekując, że się otworzą i że on w nich stanie. Drzwi nie otwierały się, ciemność tylko wpływała oknem. Jednakże nie było jeszcze późno; szósta zaledwie, a przecież nieraz bywałam proszona o siódmej, nawet o ósmej. Przecież nie spotka mnie chyba zupełny zawód dziś właśnie, dziś kiedy mam mu tyle do powiedzenia! Pragnęłam wznowić temat Gracji Poole i usłyszeć, co by mi odpowiedział; zamierałam zapytać go poprostu, czy wierzy w to, że to ona istotnie urządziła ten ohydny zamach ubiegłej nocy, a jeżeli tak, dlaczego niegodziwość jej zataja? Nie dbałam o to, że może rozgniewać go moja ciekawość; znałam przyjemność gniewania go i uspokajania z kolei; lubiłam to nadewszystko, a nieomylny instynkt chronił mnie zawsze od przeciągnięcia struny. Na prowokację nigdy się nie ważyłam, a w ostatecznym momencie lubiłam przekonywać się o własnej zręczności. Zachowując wszelkie formy uszanowania, właściwego mojemu stanowisku, umiałam staczać z nim utarczki słowne swobodnie i bez obawy; to dogadzało tak jemu jak i mnie.

Nareszcie schody zaskrzypiały pod czyjemiś krokami. Ukazała się Lea, ale jedynie poto, by mi oznajmić, że herbata czeka w pokoju pani Fairfax. Tam przeto poszłam, rada, że nareszcie mogę zejść nadół, gdyż wyobrażałam sobie, że to mnie zbliżało do obecności pana Rochesterera.

— Musi być pani spragniona herbaty — zaczęła zająca staruszka, gdy weszłam. — Tak mało jadła pani na obiad. Lękam się, czy pani nie jest niezdrowa dzisiaj: taka pani rozpalona, jakby pani miała gorączkę.

— O, zdrowa jestem zupełnie! Nigdy nie czułam się lepiej.

— To niechże pani tego dowiedzie dobrym apetytem! Czy nie nalałaby pani imbryka, a ja tymczasem przerobię do końca ten drut?

Dokończywszy, wstała i poszła spuścić roletę, do-tychczas nie spuszczoną, przypuszczam, że dla wyzyskania światła, chociaż już teraz zmrok zgęstniał i było zupełnie ciemno.

— Pogodną noc dzisiaj mamy — rzekła, wyjrzawszy przez szybę — chociaż nie świecą gwiazdy. Pan Rochester naogół miał dobry dzień do podróży.

— Do podróży?... Czy pan Rochester gdzieś wyjechał? Nie wiedziałam, że go niema w domu.

— O, wyjechał zaraz po śniadaniu! Pojechał do Leas, majątku pana Eshton, dziesięć mil za Millcote. Zdaje mi się, że tam jest duży zjazd gości: lord Ingrame, sir George Lynn, pułkownik Dent i inni.

— Czy pani spodziewa się dziś wieczór powrotu pana Rochester?

— Nie, ani też jutro; myślałam, że prawdopodobnie zabawi tam z tydzień, albo i dłużej. Gdy ten modny, wyższy świat zbierze się razem, otacza ich taka elegancja i wygoda, tak sobie uprzyjemniają czas rozrywkami i zabawą, że nie spieszą im rozłączać się. Panowie zwłaszcza bywają często bardzo pożądanymi przy takich okazjach. A pan Rochester jest tak utalentowany i ożywiony w towarzystwie, że musi być chyba ulubieńcem wszystkich. Panie za nim przepadają, choć powie pani może, że powierzchowność ma niezbyt piękną; jednakże ja myślę, że jego wykształcenie i zalety towarzyskie, a może też bogactwo i dobra krew wynagradzają pewne niedostatki urody.

— Czy są tam panie w Leas?

— Jest pani Eshton i jej trzy córki — bardzo eleganckie panienki; i są tam córki baroneta Ingram, Blanka i Marja, podobno bardzo piękne osoby; ja nawet właściwie widziałam Blankę, sześć czy siedem lat temu, gdy była ośmnastoletnią dziewczyną. Przyjechała tu na wielką zabawę, którą w święta Bożego Narodzenia wydawał pan Rochester. Gdyby pani widziała wtedy jadalnię, jak bogato była przystrojona, jak jarząco oświetlona! Zdaje mi się, że było tam wtedy z pięćdziesiąt osób, panów i pań — wszyscy z najpierwszych rodzin hrabstwa — a pannę Ingram uważano za królową wieczoru.

— Widziała ją pani, mówi pani? Jakże ona wyglądała?

— Tak jest, widziałam ją. Drzwi jadalni były naścież otwarte; a że to było Boże Narodzenie, pozwolono służbie zgromadzić się w hallu i słuchać, jak panie śpiewają i grają. Pan Rochester chciał, żebym weszła, więc siadłam w spokojnym kąciку i przyglądałam się towarzystwu. Nigdy nie widziałam świetniejszego obrazu: panie były wspaniale poubierane; większość — zwłaszcza młodsze były ładne; ale panna Ingram była niewątpliwie królową.

— Jakże ona wyglądała?

— Wysoka, piękna figura, spadziste ramiona; długa, pełna wdzięku szyja: cera śniada, matowa, gładka; szlachetne rysy; oczy może podobne do oczu pana Rochester: wielkie i czarne, a tak błyszczące, jak jej klejnoty. A potem tak śliczne miała włosy; kruczo czarne i tak korzystnie uczesane: korona z grubych warkoczy ztyłu, a z przodu długie, lśniące loki. Ubrana była biało; jasnożółta szarfa obejmowała jedno jej ramię, przechodziła skroś piersi i przywiązana była z boku w pasie, spadając długimi, frendzlą obszytymi końcami poniżej kolan. Miała też we włosach kwiat jasnożółty; stanowiło to dobry kontrast z kruczemi lokami.

— Zapewne bardzo ją podziwiano?

— Tak, istotnie: a nie tylko dla jej urody, ale i dla jej talentów. Była jedną z tych pań, które śpiewały: któryś z panów akompanjował na fortepianie. Z panem Rochesterem śpiewała duet.

— Z panem Rochesterem? Nie wiedziałam, że on śpiewa!

— O! pan Rochester ma piękny głos basowy i jest nadzwyczaj muzykalny.

— A panna Ingram jaki ma rodzaj głosu?

— Bardzo bogaty i silny: ślicznie śpiewała; rozkoszą było ją słyszeć; a potem grała. Ja się nie znam na muzyce, ale pan Rochester się zna, a słyszałam, jak mówił, że wykonanie było wybitnie dobre.

— I ta piękna i utalentowana panna jeszcze nie wyszła zamąż?

— Zdaje się, że nie. Przypuszczam, że ani ona ani jej siostra nie mają wielkiego majątku. Majątki starego lorda Ingram objęte były przeważnie majoratem i najstarszy syn prawie wszystko dostał.

— Ale ja się dziwię, że który z bogatej szlachty nie upodobał jej sobie; naprzykład pan Rochester. Przecież jest on bogaty, nieprawdaż?

— O tak! Ale widzi pani, zachodzi tutaj znaczna różnica wieku; pan Rochester ma prawie czterdzieści lat, a ona zaledwie dwadzieścia pięć.

— Cóż stąd? Nierówniejsze małżeństwa zawierają ludzie codziennie.

— To prawda; jednak ja sobie nie wyobrażam, żeby pan Rochester myślał o czemś podobnym. Ale pani nic nie je; zaledwie pokosztowała pani cośkolwiek, prócz herbaty.

— Istotnie; zanadto pić mi się chce, żebym mogła jeść. Czy mogę panią poprosić o jeszcze jedną filiżankę.

Chciałam powrócić do możliwości związku pomiędzy panem Rochesterem a piękną Blanką, jednakże weszła Adelka, i rozmowa potoczyła się innym torem.

Znalazłszy się sama, we własnym pokoju, zastanowiłam się nad tem, czego się dowiedziałam. Zajrzałam w głąb serca, zbadalam myśli swe i uczucia, i te, które błąkały się, rozbujały, po bezdrożach wyobraźni, usiłowałam pewną ręką zapędzić zpowrotem pod bezpieczny schron zdrowego rozsądku.

Stawiona przed własny trybunał, gdy pamięć wskazała przyczyny, budzące nadzieje, pragnienia, uczucia, jakie nosiłam w sercu od ostatniej nocy, gdy wytłumaczyła ogólny stan duszy, jakiemu folgowałam od ostatnich prawie dwóch tygodni — gdy rozum, wystąpiwszy, złożył spokojnie, po swojemu, zeznania proste, nieubarwione, wykazujące, jak odrzucałam to, co rzeczywiste, a chłonełam chciwie to, co wymarzone — wydałam na siebie sąd taki:

Nie było na świecie głupszej istoty od Joanny Eyre; nie było na świecie niedorzeczniejszej idjotki, karmiącej się słodkimi kłamstwami, połykającej truciznę, jakgdyby to był nektar.

„Ciebie — mówiłam sobie — miałby wyróżnić pan Rochester? Ty miałabyś posiadać dar podobania mu się? Ty mogłabyś mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie? Daj pokój! Mierzi mnie twoja głupota! I ty znajdowałaś przyjemność w pewnych objawach przychylności — dwuznacznych objawach, gdy darzy niemi mężczyzna wyższego rodu, światowiec, osobę zależną od siebie i niedoświadczoną. Jakżeś ty śmiała, biedna, niemądra ofiaro!... Czyż nawet własny interes nie mógł cię nauczyć rozumu? Powtarzałaś dziś rano krótką scenę ubiegłej nocy?... Zakryj twarz i wstydź się! Powiedział coś na pochwałę twoich oczu, czy tak? Ślepe szczenię! Otwórz oczy i spójrz na twój własny przeklęty nierozum! Niedobrze, gdy kobieta słucha pochlebstw zwierchnika, który nie może mieć zamiaru pojęcia jej za żonę; a szaleństwo popełnia kobieta, pozwalająca, by w sercu jej rozpałała się miłość tajemna, która nieodwzajemniona i nieznana, pochłonie jej życie, a odkryta i odwzajemniona, musi ją jak błędny ognik zaprowadzić na bagniste pustkowie, skąd niema powrotu.

Usłysz przeto, Joanno, wyrok: jutro postawisz przed sobą zwierciadło i wyrysujesz kredkami własny portret, wiernie, nie łagodząc żadnego błędu; nie opuścisz ani jednej ostrej linji, nie wygładzisz ani odrobiny brzydkiej nieforemności; podpiszesz pod tem: „Portret nauczycielki, bez stosunków, biednej i brzydkiej.”

Następnie weź płytkę najgładszej słońskiej kości — masz właśnie taką, przygotowaną w pudle rysunkowem; weź paletę, zmieszaj najświeższe, najpiękniejsze, najjaśniejsze farby, wybierz najdelikatniejsze pendzelki; narysuj najpiękniejszą twarz, jaką sobie możesz wyobrazić; wymaluj ją w najsztubtelniejszych odcieniach i najłagodniejszych barwach, odpowiednio do opisu, jakiego ci o Blance Ingram dostarczyła pani Fairfax; a nie zapomnij o kruczonych lokach, o oczach wschodniego typu... Co to! chciałabyś wzorować oczy na oczach pana Rochester! Do porządku! Bez mazgajstwa!... bez czułościowości!... precz z żalami. Uznaję tylko rozum i stanowczość! Przypomnij sobie dostojne a harmonijne rysy, grecką szyję i biust; uwidocznij odkryte, okrągłe, śnieżno białe ramię i delikatną rękę; nie opuść ani pierścienia z brylantami,

lekką koronkę i lśniący atłas, wdzięczną szarfę i złotą różę. Nazwij ten portret: „Blanka, dystygowana panna wysokiego rodu”.

Ilekcio w przyszłości zdarzyłoby ci się mieć złudzenie, że pan Rochester tobie sprzyja, wydobać obydwie te portrety i porównaj je. A potem powiedz: „pan Rochester mógłby prawdopodobnie pozyskać miłość tej szlachetnej damy, gdyby chciał się o nią starać; czy to możebne, żeby mógł choćby pomyśleć o tej ubogiej i nic nie znaczącej plebejuszce?”

Zrobię to — postanowiłam: a powziąwszy ten zamiar, uspokoiłam się i zasnęłam.

Dotrzymałam słowa. Godzina czy też dwie wystarczyły mi na naszkicowanie własnego portretu kredkami; a w mniej niż dwa tygodnie ukończyłam miniaturową przypuszczalną Blankę Ingram. Piękna to była twarz na tym idealnym portrecie, a gdy ją porównałam z rzeczywistym, kredkowym, kontrast uderzył znamiennie. Ta praca przyniosła mi pożytek: zajęła mi głowę i ręce, dodała mocy i stałości nowym poczuciom, które pragnęłam utrwalić w sercu.

Przyszedł niebawem czas, gdy mogłam powinszować sobie zdrowej nauzki, narzuconej uczuciom moim i w ten sposób w karby ujętym. Dzięki temu potrafiłam znieść pewne wydarzenia z przyzwoitym spokojem, na co, gdybym była nieprzygotowana, prawdopodobnie nie byłabym się zdobyła, nawet zewnątrz.

ROZDZIAŁ XVII.

Minął tydzień, ale od pana Rochester'a nie było wiadomości; dziesięć dni minęło, a on jeszcze nie wracał. Pani Fairfax powiedziała, że wcaleby się nie zdziwiła, gdyby z Leas pojechał prosto do Londynu, a stamtąd na kontynent i nie ukazał się w Thornfield aż po roku; nieraz już wyjeżdżał nagle i niespodziewanie. Słyszając to, zaczęłam odczuwać dziwny chłód i ściskanie w sercu. Pozwoliłam sobie rzeczywiście doznać nieznośnego uczucia zawodu. Jednakże oprzytomniawszy, wspomniałam zasa-

dy i przywołałam uczucia swe do porządku. I aż dziw, jak przezwyciężyłam chwilowe zachwianie się, jak wyper-swadowałam sobie, że nie mam powodu interesować się żywiej sprawami pana Rochester'a. I nie dlatego uniżałam się w niewolniczym poczuciu niższości: przeciwnie po-wiedziałam sobie tylko:

„Nic cię nie łączy z właścicielem Thornfield, prócz tej pensji, którą ci wypłaca za nauczanie dziewczynki, oraz wdzięczności za pełne szacunku i uprzejmości traktowa-nie, do którego masz prawo, o ile spełniasz obowiązek. Bądź pewna, że to jedyny łącznik między nim a tobą, który on na serjo uznaje. To też nie obieraj sobie pana Rochester'a za przedmiot najśłodszych uczuć, uniesień, mąk i tam dalej. On nie jest z twojej sfery; trzymaj się swojej własnej i nie zlewaj miłości całego serca, duszy i siły na kogoś, kto tego daru nie pragnie i tyłkoby nim pogardził.”

Spokojnie prowadziłam dalej zajęcia; niekiedy snuły mi się po głowie mgliste przypuszczenia, czyby nie dobrze było opuścić Thornfield. Mimowoli układałam ogłoszenia i zastanowiłam się nad możliwością uzyskania nowych po-sad. Tych myśli nie uważałam za potrzebne hamować; mogły sobie kielkować, by zczasem przynieść owoc.

Pan Rochester już zgórą dwa tygodnie był nieobecny, gdy poczta przyniosła pani Fairfax list.

— To od pana — powiedziała, spojrzawszy na adres. — Teraz zapewne dowiemy się, czy mamy się spo-dziewać jego powrotu, czy też nie.

A podczas gdy ona, złamawszy pieczęć, przeglądała pismo, ja w dalszym ciągu piłam kawę; była gorąca i temu przypisywałam, że mnie tak strasznie twarz zaczęła pa-lić; ale dlaczego ręka mi drżała, tak że mimowoli roz-lałam połowę, nad tem wolałam się nie zastanawiać.

— No, ja czasami myślę, że u nas jest zanadto spo-kojnie; ale teraz gotowo być dość rojno i gwarno; przez jakiś krótki czas przynajmniej — rzekła pani Fairfax, wciąż jeszcze przed okularami list trzymając.

Zanim pozwoliłam sobie zapytać o wyjaśnienie, za-więzałam tasiemki od fartuszka Adelki, przypadkiem roz-wiązane, poczem dolawszy jej mleka i podawszy jeszcze jedną bułeczkę, powiedziałam odniechcienia:

— Pan Rochester zapewne jeszcze nie wróci tak prędko?

— Owszem, wraca — pisze że za trzy dni: to znaczy w czwartek; i w dodatku nie sam. Już sama nie wiem, ilu tych eleganckich gości z Leas ma przybyć wraz z nim; każe mi przygotować wszystkie najlepsze gościnne pokoje i wyporządkować bibliotekę i salony; i mam się postarać o więcej pomocniczek kuchennych z hotelu w Millcote i skąd będę mogła; a panie przywiozą swoje panny służące, panowie zaś swoich służących — tak, że będziemy tego mieli pełen dom.

To powiedziawszy, pani Fairfax przełknęła szybko śniadanie i pośpieszyła odrazu zabrać się do dzieła.

Trzy dni następne były bardzo pracowite. Sądziłam zawsze, że wszystkie pokoje w Thornfield są doskonale czyste i dobrze urządzone, pokazało się jednak, że się myliłam. Trzy kobiety przybrano do pomocy i, ani przedtem, ani potem nie widziałam nigdy takiego szorowania, szcrotkowania, mycia, trzepania dywanów, zdejmowania i zawieszania obrazów, czyszczenia zwierciadeł i świeczników, palenia w gościnnych pokojach, wietrzenia pościeli. Adelka jak szalona biegała wśród tego wszystkiego; przygotowania na zjazd gości i nadzieja ich przybycia przyparowały ją wprost w ekstazę. Chciała, żeby bona przejrziała wszystkie jej „*toilettes*“, jak nazywała swoje sukienki, odświeżyła te, które były „*passées*“, przewietrzyła i odprasowała nowe. Ona sama wierciła się tylko i kręciła po frontowych pokojach, wskakiwała na łóżka i zeskakiwała z nich, kładła się na materacach i na stosach poduszek, nagromadzonych przed buchającym na kominkach ogniem. Od lekcyj została zwolniona; pani Fairfax zagarnęła mnie sobie do pomocy tak, że cały dzień byłam w spiżarni i kuchni, pomagając (a może przeszkadzając) jej i kucharce; uczyłam się przyrządzać leguminy i ciastka serowe i ciasto francuskie, oczyszczać zwierzynę i garnirować półmiski z deserem.

Przybycia towarzystwa spodziewano się w czwartek po południu na obiad o szóstej. W tym poprzedzającym zjazd okresie nie miałam czasu zajmować się urojeniami, i zdaje mi się, że byłam równie czynna i wesola, jak

wszyscy, z wyjątkiem Adelki. Pomimo to wesołość moja tłumilo niekiedy coś nagle, i pomimo mej woli spychało mnie zpowrotem w sferę wątpliwości, domysłów i ciemnych przypuszczeń. A działo się to, ile razy ujrzałam drzwi na schodach do trzeciego piętra (w ostatnich czasach stale zamykane) otwierające się powoli i przepuszczające Grację Poole w gładkim czepeczku, białym fartuchu i chusteczce; gdy widziałam, jak sunie wzdłuż korytarza spokojnym krokiem, tłumionym miękkimi pantoflami — jak zagląda do przewróconych „do góry nogami” pokoi gościnnych, może tylko, by rzucić słówko porządkującej kobiecie, jak należy do glancu doprowadzić kratę przed kominkiem, wyczyścić gzyms marmurowy nad nim, albo wywabić płamę z obicia na ścianie. W ten sposób schodziła do kuchni raz na dzień, zjadała obiad, wypalała fajeczkę przy ogniu i wracała, niosąc sobie na pociechę kufel porteru do swej posępnej, górnej siedziby. Z dwudziestu czterech godzin jedną tylko spędzała w towarzystwie reszty służby; resztę czasu pędziła żywot w jakimś niskim, dębowym pokoju trzeciego piętra, siedząc tam i szyjąc — i prawdopodobnie śmiejąc się sama do siebie niesamowicie — osamotniona jak więzień w celi.

Najdziwniejszą rzeczą — była ta, że nikt w domu, prócz mnie, nie zwracał uwagi na jej zwyczaje, nie zdawał się im dziwić; nikt nie zastanawiał się nad jej stanowiskiem ani nad jej zajęciami: nikt nie litował się nad jej samotnością i odosobnieniem. Raz, coprawda, usłyszałam część rozmowy pomiędzy Leą a jedną z kobiet najętych, rozmowy, dotyczącej Gracji. Lea coś powiedziała, czego nie dosłyszałam, a wtedy kobieta zapytała:

— Dobrą pensję musi dostawać, wyobrażam sobie?

— Tak — odpowiedziała Lea. — Radabym taką dostawać; to nie znaczy, żebym się na moją skarżyła... tu niema skąpstwa w Thornfield; ale moja pensja to nawet nie piąta część tego, co dostaje pani Poole. To też ona odkłada; co kwartał chodzi do banku w Millcote. Nie dziwiłabym się, gdyby już uzbierała dosyć, by móc się niezależnie utrzymać, gdyby miała ochotę odejść. Jednakże myślę, że przyzwyczaiła się do miejsca, a przytem

nie ma jeszcze lat czterdziestu, a silna jest i zdolna do wszystkiego. Zawczasie jeszcze dla niej porzucać pracę.

— To zręczna osoba, taką się przynajmniej wydaje — zauważyła kobieta.

— Ach!... ona się dobrze rozumie na tem, co ma do roboty — niktby tego lepiej nie potrafił — odpowiedziała Lea znacząco. — I niekażdy też umiałby ją zastąpić... za wszystkie te pieniądze, które bierze.

— O, co to, to z pewnością! — brzmiała odpowiedź. — Ciekawa jestem, czy pan...

Kobieta chciała dalej mówić; ale tu Lea odwróciła się, spostrzegła mnie i natychmiast trąciła towarzyszkę.

— Czy ona nie wie? — dosłyszałam szept.

Lea potrząsnęła głową i rozmowa się urwała. Wrozumiałam z tego jedynie, że w Thornfield jest jakaś tajemnica i że od udziału w tej tajemnicy jestem rozmyślnie wykluczona.

Nadszedł czwartek; wszelką robotę ukończono poprzedniego wieczora. Porozkładano dywany, pozawieszano zasłony przy łózkach, rozłożono śnieżno-białe kapy, urządzono stoliki toaletowe, meble powycierano, kwiatów nałożono do wazonów. Pokoje gościnne i salony nabrały takiej jasności i świeżości, jaką tylko rękami ludzi osiągnąć było można. I hall także wyczyszczono, a wielki rzeźbiony zegar, zarówno jak stopnie i balaski schodów, błyszczał, wypolerowany jak szkło; w jadalnym pokoju kredens jaśniał od sreber, a w salonie i buduarze egzotyczne kwiaty poustawiano wszędzie.

Godziny poobiednie upływały; pani Fairfax włożyła swoją najlepszą czarną, atłasową szatę, rękawiczki i przypięła złoty zegarek, w jej bowiem roli leżało przyjmować towarzystwo, prowadzić panie do ich pokoi i t. d. I Adelka także chciała się wystroić, chociaż przypuszczałam, że małą ma szansę być przedstawioną gościom, tego dnia przynajmniej. Jednakże, chcąc jej dogodzić, pozwoliłam, by ją Sophie ubrała w krótką, sutą muślinową sukienkę. Ja zaś nie potrzebowałam się przebierać; nie będę przecież wezwana do opuszczenia szkolnego pokoju, mojego sanktuarjum; gdyż mojem sanktuarjum stał się teraz ten

pokój; „bardzo miłem schronieniem w okresie zawieruchy.“

Łagodny to był, pogodny wiosenny dzień — jeden z tych dni, które ku końcowi marca lub na początku kwietnia wstają jaśniejące nad ziemią, jako zwiastuny lata. Dzień ten chylił się teraz ku końcowi, lecz jeszcze i wieczór był ciepły, tak że siedziałam nad robotą w pokoju szkolnym przy otwartym oknie.

— Już późno — rzekła pani Fairfax, wchodząc ubrana w szeleszczące jedwabie. — Jestem zadowolona, że zadysonowałam obiad na siódmą, choć pan Rochester wspomniął o szóstej, bo już teraz jest po szóstej. Posłałam Jana, aby wyrzwał przez bramę, czy widać ich na drodze; stamtąd widzi się długi kawał drogi w kierunku Millcote.

Podeszła do okna.

— A otóż i oni! No i cóż, Janie — rzekła, wychylając się — czy są jakie wiadomości?

— Jada, proszę pani — odpowiedział. — Za dziesięć minut tu będą.

Adelka skoczyła do okna. Ja podążyłam za nią, stojąc z boku, tak, ażeby ukryta za firanką, móc widzieć sama nie widziana. Te dziesięć minut dłużyły mi się bardzo; nareszcie rozległ się turkot kół; czworo jeźdźców konnych galopowało ku podjazdowi, a za nimi jechały dwa otwarte powozy. Wiatrem unoszone woale i powiewające pióra wypełniały powozy; dwaj jeźdźcy byli to młodzi, eleganccy panowie, trzecim był pan Rochester na karym wierzchowcu Mesrour; Pilot w susach biegł przed nim. Przy boku pana Rochesterera jechała dama i oboje wyprzedzali całe towarzystwo. Karmazynowa amazonka damy sięgały prawie do ziemi, woal jej długi unosił się z wietrzykiem; mieszały się z jego przejrzystymi fałdami i przeświecały przez nie kruczo czarne loki.

— Panna Ingram! — zawołała pani Fairfax i pośpieszyła objąć swój posterunek na dole.

Kawalkada, sunąc wzdłuż zakrętu podjazdowej drogi, niebawem znikła mi za węglem domu; straciłam ich z oczu. Adelka teraz napierała się, chcąc zejść nadół; ale ja wzięłam ją na kolana i zapowiedziałam, że pod żadnym

pozorem nie wolno jej myśleć o pokazywaniu się paniom, ani teraz ani kiedy indziej, dopóki wyraźnie jej nie zawezwą: że pan Rochester bardzoby się gniewał. Wylała parę łez, usłyszawszy ten zakaz, ale gdy ja przybrałam bardzo poważną minę, zdecydowała się obetrzeć je wkońcu.

Wesoły gwar dolatywał teraz z hallu: głębokie tony panów i srebrzyste głosy pań mieszały się harmonijnie, a z pośród wszystkich wyróżniał się, choć nie głośny, ale dźwięczny organ mowy pana domu, witającego miłych gości. Po chwili na schodach rozległy się lekkie kroki i wnet na korytarzu, zabrzmiał wesoły, przytłumiony śmiech, otwierano i zamykano drzwi, a potem na czas pewien zapanowała cisza.

— *Elles changent de toilettes* — rzekła Adelka, która nasłuchując uważnie śledziła każdy ruch i westchnęła.

— *Chez maman* — ciągnęła dalej — gdy byli goście, ja za nimi chodziłam wszędzie, do salonu i do ich pokoi; często przypatrywałam się, jak panny służące ubierały i cesały swoje panie, i to było takie zajmujące! *Comme cela on apprend.*

— Musisz być głodna, Adelko?

— Ależ tak, *mademoiselle*: od pięciu czy sześciu godzin nic nie jadłyśmy.

— To dobrze; teraz gdy panie są w swoich pokojach, odważę się zejść nadół i zdobyć dla ciebie coś do zjedzenia.

Wysunęłam się ostrożnie ze swego schronienia i spuściłam się nadół tylnymi schodami, prowadzącymi prosto do kuchni. W tej dziedzinie buchał ogień, wrzał ruch; zupa i ryba już były na wydaniu, a kucharka chyliła się nad rozpaloną blachą zdenerwowana, rozczzerwieniona, jak-gdyby się sama wnet miała zapalić. W hallu dla służby, dwóch stangretów i trzech obcych służących stało lub siedziało dokoła ognia; panny służące musiały być zajęte przy swoich paniach; nowa służba, najęta w Millcote, krzątała się i kręciła wszędzie! Przesuwając się przez ten chaos, dotarłam wreszcie do podręcznej śpiżarki; tam zabrałam zimne kurczę, chleb, trochę ciastek, dwa talerze, nóż, wi-delec: z tym łupem pośpiesznie zawróciłam. Już byłam na

galerji i zamykałam drzwi tylne za sobą, gdy wzmożony gwar przestrzegł mnie, że panie zaczną ze swoich pokoi wychodzić. Nie mogłam dostać się do szkolnego pokoju bez minięcia niektórych drzwi i bez narażenia się, że mnie zobaczą z ładunkiem wiktuałów; to też zatrzymałam się w tamtym końcu, który nie miał okien i był ciemny; teraz zupełnie ciemny, gdyż słońce już zaszło i mrok zapadał.

Teraz z pokoju zaczęły się wynurzać jedna po drugiej; każda z nich wychodziła lekko i wesoło, błyszcząc w półmroku bogatym strojem. Przez chwilę stały, zgromadzone razem, na drugim końcu galerji, rozmawiając półgłosem z miłym ożywieniem; następnie zeszły ze schodów nieomal tak cicho, jak jasna mgła, co stacza się po skłonie pagórka. W zbiorowym wyglądzie wywarły na mnie wrażenie takiej arystokratycznej wytworności, jakiej dotychczas nie znałam.

Zastałam Adelkę wyglądającą z drzwi szkolnego pokoju, które szeroko otworzyła.

— Co za piękne panie! — zawołała po angielsku. — Och, jak jabym chciała do nich pójść! Czy pani myśli, że pan Rochester przyśle po nas, może później, po obiedzie?

— Nie, doprawdy, myślę, że nie; pan Rochester czem innym jest zajęty. Nie myśl już dziś o tych paniach; może zobaczysz je jutro; a tutaj masz obiad.

Była naprawdę głodna, więc kurczę i ciastka zajęły narazie jej uwagę. Dobrze się stało, że zdobyłam te prowizje, gdyż inaczej ona, ja i Sophie, której udzieliłam części naszego posiłku, byłybyśmy prawdopodobnie zostały bez obiadu; wszyscy na dole byli zbyt zajęci, żeby pamiętać o nas. Deser podano dopiero po dziewiątej, a jeszcze o dziesiątej wciąż tam i zpowrotem biegali lokaje, nosząc tace i filiżanki kawy. Pozwoliłam Adelce nie kłaść się znacznie dłużej, niż zwykle, gdyż oświadczyła, że nie mogłaby zasnąć, słysząc ciągłe otwieranie i zamykanie drzwi na dole i kręcących się ludzi. A przysięgam, dodała, mogłoby przyjść zaproszenie od pana Rochester, gdy ona już byłaby rozebrana; „*et alors quel dommage!*”

Opowiadałam jej różne historyjki, dopóki chciała słuchać; a potem dla odmiany wysłałam z nią na korytarz;

lampa w hallu była teraz zapalona, a mała przechyliwszy się przez balustradę śledziła, jak służba chodzi i wraca. Późniejszym wieczorem dźwięki muzyki popłynęły z salonu, dokąd przeniesiono fortepian. Siadłam z Adelką na górnym stopniu schodów, ażeby się przysłuchiwać. Po chwili czyjś głos zmieszał się z bogatemi tonami instrumentu, to jakaś pani śpiewała bardzo dźwięcznie. Po śpiewie solo nastąpił duet, a potem radosny gwar: szmer wesołej rozmowy wypełniał przerwy. Słuchałam długo: nagle złapałam się na tem, że ucho moje wyłącznie pracuje nad rozróżnieniem zmieszanych dźwięków i wyłowieniem z tego zamętu głosu pan Rochester'a; gdy zaś pochwytiło go niebawem, pracowało dalej nad składaniem w słowa dźwięków, niewyraźnych wskutek oddalenia...

Zegar wybił jedenastą. Spojrzałam na Adelkę, która głowę oparła o moje ramię; powieki jej ociężyły, to też wzięłam ją na ręce i zaniiosłam do łóżka. Dochodziła pierwsza, gdy panie i panowie powrócili do swoich pokoi.

Dzień następny był równie piękny jak poprzedni. Dzień ten poświęcono na wycieczkę do jakiejś pięknej miejscowości w sąsiedztwie. Towarzystwo wyruszyło wczesnie przed południem, jedni konno, inni powozami; przyglądałam się ich wyjazdowi i powrotowi. Panna Ingram jak poprzednio, pan Rochester galopował przy jej boku; oboje jechali trochę opodal od reszty. Pokazałam to pani Fairfax, stojącej obok mnie przy oknie.

— Mówiła pani, że nie jest prawdopodobne, ażeby ci państwo myśleli o pobraniu się — rzekłam. — A jednak widzi pani, że pan Rochester widocznie woli pannę Ingram od wszystkich innych panien.

— Tak, zdawałoby się; niewątpliwie podoba mu się ona.

— A on jej — dodałam. — Niech pani patrzy, jak pochyla głowę ku niemu, jakgdyby poufnie z nim rozmawiała; chciałabym twarz jej zobaczyć; jeszcze jej dotąd nie widziałam.

— Zobaczysz ją pani dziś wieczorem — odpowiedziała pani Fairfax. — Wspomniałam przypadkiem panu Rochesterowi, że Adelka tak bardzo pragnie być przedstawiona paniom. A on na to odpowiedział: „O! niechże przyjdzie

do salonu po obiedzie; i niech pani poprosi pannę Eyre, żeby jej towarzyszyła”.

— Tak; powiedział to z prostej grzeczności; nie potrzebuję tam iść, jestem pewna — odpowiedziałam.

— Niech pani pozwoli. Ja na to zauważyłam, że pani, nieprzywykłej do towarzystwa, zapewne nie będzie miło ukazać się przed tak wesołym gronem samych obcych ludzi. Wtedy odpowiedział prędko, jak to on: „Głupstwo! Jeżeli nie będzie chciała, niech jej pani powie, że ja sobie tego specjalnie życzę; a jeżeli się będzie opierała, niech pani powie, że przyjdę i sam ją sprowadzę.

— Nie narażę go na tyle trudu — odpowiedziałam. — Pójdę, skoro nie może być inaczej; ale nie sprawia mi to przyjemności. A pani czy tam będzie?

— Nie; wymówiłam się, i przyjął moją wymówkę. Powiem pani, jak trzeba zrobić, żeby uniknąć żenującego publicznego wejścia, co jest ze wszystkiego najmniej przyjemniejsze. Niech pani przyjdzie do salonu podczas gdy będzie jeszcze pusty, zanim panie odejdą od stołu; niech sobie pani wybierze jakiś spokojny kącik; nie potrzebuje pani pozostawać długo po przyjściu panów, chyba że pani będzie wolała zostać; niech tylko pan Rochester zobaczy, że pani jest, a potem może się pani wysunąć, nikt tego nie zauważy.

— Czy ci goście długo tutaj zostaną? Jak pani sądzi?

— Może ze dwa albo trzy tygodnie, z pewnością nie dłużej. Po wielkanocnej przerwie sir George Lynn, który świeżo został obrany posłem z okręgu Millcote, będzie musiał pojechać do miasta i objąć swój mandat. Przypuszczam, że pan Rochester będzie mu towarzyszył; dziwię się i tak, że przedłużył pobyt w Thornfield.

Z pewnem drżeniem spostrzegłam, że zbliża się godzina, w której wypadnie mi zjawić się z moją uczenniczką w salonie. Adelka w podnieceniu przeżyła cały dzień, dowiedziawszy się, że wieczorem ma być przedstawiona paniom. Otrzeźwiała dopiero, gdy bona zaczęła ją ubierać. Wtedy ważność tego procederu uspokoiła ją prędko, i gdy kędziory jej ułożono w długie loki, gdy przybrano ją w różową atlasową sukienkę, zawiązano długą szarfę i włożono koronkowe mitenki, przybrała minę poważną,

niczem sędzia. Nie trzeba jej było upominać, by nie zmieniła ubrania; gdy już była gotowa, usiadła cicho, wyprostowana, na swem małym krzeselku, starannie przedtem uniósłszy atlasową spódniczkę, żeby jej nie zagnieść, i zapewniała mnie, że nie ruszy się stamtąd, dopóki ja się nie ubiorę. Ja z tem załatwiłam się prędko; włożyłam najstrojniejszą suknię (srebrno-popielatą, sprawioną na ślub panny Temple, i odtąd nigdy nie noszoną), szybko przygładziłam włosy, przypięłam jedyną swoją ozdobę, broszkę z perełką, i byłam gotowa. Zeszliśmy nadół.

Na szczęście było tam drugie wejście do salonu oprócz wejścia przez jadalnię, gdzie wszyscy siedzieli przy stole. Zastałyśmy salon pusty; suty ogień palił się na marmurowym kominku, a świece woskowe świeciły jasno wśród wykwintnych kwiatów, zdobiących stoły. Karmazynowa zasłona zwieszała się u arkady. Choć draperja ta wątlą stanowiła przegrodę od zgromadzonego w przyległej jadalni towarzystwa, wszyscy rozmawiali tam tak przyciszonym głosem, że nic nie można było dosłyszeć, prócz przytłumionego szmeru.

Adelka wciąż jeszcze pod wpływem uroczystego nastroju usiadła, nic nie mówiąc, na podnóżku, który jej wskazałam. Ja sama schroniłam się w zagłębienie okna, siadłam tam i wzięwszy jakąś książkę z najbliższego stołu, próbowałam czytać. Adelka przyniosła sobie stołeczek do moich nóg; niebawem trąciła mnie w kolano.

— Czego chciałaś, Adelko?

— *Est-ce que je ne puis pas prendre une seule de ces fleurs magnifiques, mademoiselle? Seulement pour compléter ma toilette?*

— Za wiele myślisz o swojej „toilette“, Adelko; ale możesz dostać kwiatek.

I wyjąwszy różę z warkocza, przypięłam do jej paska. Westchnęła z niewymownem zadowoleniem, jakgdyby teraz czara jej szczęścia dobiegła pełni. Odwróciłam twarz, ażeby ukryć uśmiech, którego nie mogłam powstrzymać; było coś śmiesznego i przykrego zarazem w tem poważnem, wrodzonym przejęciu się sprawami stroju małej paryżanki.

Cichy odgłos wstawania od stołu dał się teraz słyszeć. Rozsunęto portjerę nad arkadą; poza nią ukazał się pokój jadalny z świecznikiem, siejącym blask na wspaniałą zastawę deserową z sreber i kryształu; grono pań stanęło pod arkadą; weszły, a portjera opadła za nimi.

Było ich tylko ośm, ale jakoś, gdy wchodziły gromadką, sprawiły na mnie wrażenie o wiele liczniejszego grona. Niektóre były bardzo wysokiego wzrostu; wiele z nich było ubranych biało, a wszystkie strojne były suto i szeroko, co zdawało się zwiększać ich postacie, jak otok mgły zwiększa księżyc. Wstałam i ukloniłam im się; jedna czy dwie pochyliły głowy w odклонie, inne tylko wypatrzyły się na mnie.

Rozproszyły się po pokoju, przypominając mi lekkością i kołysaniem ruchów stado białych, pierzastych ptaków. Niektóre rzuciły się w półleżącej pozycji na kanapy i niskie kuszetki; niektóre pochyliły się nad stołami, oglądając książki i kwiaty; reszta zgromadziła się dokoła kominka: wszystkie mówiły tonem niegłośnym, ale jasnym, który widocznie był im zwyczajnym. Dowiedziałam się później ich nazwisk, ale równie dobrze mogę je teraz wymienić.

Więc przedewszystkiem była tam pani Eshton z dwiema córkami. Była to widocznie ładna niegdyś kobieta; i teraz trzymała się dobrze. Z córek jej starsza, Amelja była raczej mała: naiwna, dziecięca z twarzy i obejścia, o zręcznej, ponętnej figurce; w białej muślinowej sukni z niebieską szarfą było jej bardzo ładnie. Druga, Ludwika, wyższa była i elegantszą miała postawę; twarz bardzo ładną, z tego rodzaju, który Francuzi nazywają *minois chiffonné*: obiedwie siostry miały cerę białości lilji.

Lady Lynn była wysoką i tęgą osobą około czterdziestki, trzymała się bardzo prosto, minę miała wyniosłą, bogato była ubrana w aksamitną suknię mieniającej barwy; ciemne jej włosy świeciły połyskiem pod cieniem błękitnego pióra, przepięte diademem z klejnotów.

Pani pułkownikowa Dent mniej była okazała, ale wydała mi się więcej dystyngowana. Figurę miała szczupłą, twarz bladą, miłą i jasne włosy. Jej czarna jedwabna

suknia, szarfa z bogatej, zagranicznej koronki i perły więcej mi się podobały, niż tęcza promienistość utytułowanej damy.

Jednakże trzy najwybitniejsze — poczęści może dlatego, że najwyższe postacie w tem gronie — były to: wdowa, lady Ingram oraz córki jej Blanka i Marja. Wszystkie trzy były najwyższego jak na kobiety wzrostu. Sama pani mogła mieć lat czterdzieści kilka do pięćdziesięciu; figura jej dotąd pozostała piękną, włosy (przy świetle świec przynajmniej) dotąd nie straciły czarnej barwy, zęby dochowały się doskonale. Większość ludzi nazwałaby ją wspaniałą kobietą, jak na jej wiek; i taką też była, niewątpliwie, pod względem fizycznym; ale zato bił z jej twarzy i z jej obejścia wyraz niemożliwej prawie do zniesienia pychy. Rysy miała rzymskie i podbródek, spływający w szyję, jak kolumna; to wszystko wydało mi się nietylko nadęte, ale nawet zorane dumą; na tej samej zasadzie broda wznosiła się wysoko, w pozycji prawie nienaturalnie wyprostowanej. Miała również ostre, o twardem wejrzeniu oczy. Przypomniało mi to panią Reed. Mówiąc, cedziła słowa; głos miała głęboki, o modulacjach bardzo pompatycznych, bardzo dogmatycznych, słowem nieznośnych. Karmazynowa aksamitna suknia i turban szalowy z jakiejś złotem przerabianej indyjskiej materji nadawały jej (sądzę, że sobie to wyobrażała) dostojność iście cesarską.

Blanka i Marja były jednakowego wzrostu — proste i wysokie jak topole. Marja była zbyt szczupła na swój wzrost, lecz Blanka miała budowę Diany. Przyglądałam jej się, naturalnie, z szczególniejszem zaciekawieniem. Najpierw pragnęłam się przekonać, czy powierzchowność jej zgadza się z opisem pani Fairfax; następnie, czy wogóle podobna jest do z głowy zaczerpniętej, fantazyjnej swej podobizny, przeze mnie wymalowanej; a wreszcie — muszę to powiedzieć — czy jest taka, jaka wedle mojego pojęcia, mogłaby się panu Rochesterowi podobać.

Co do samej postaci, to odpowiadała dokładnie zarówno mojemu portrecikowi, jak opisowi pani Fairfax. Piękny biust, spadziste ramiona, pełna gracji szyja, ciemne oczy i czarne loki, wszystko to było, ale jej twarz?

Jej twarz była odbiciem twarzy matki; młodzieńcza, żadną zmarszczką niedotknięta podobizna: to samo niskie czoło, te same rzymskie rysy, ta sama duma. Nie była to jednak duma nasepiona! Śmiała się wciąż; śmiech to był satyryczny i taki też był zwykły wyraz jej warg, dumnie wygiętych.

Powiadają, że genjusz jest zarozumiały. Ja nie wiem, czy panna Ingram była genjuszem, ale była zarozumiała, uderzająco zarozumiała, doprawdy. Zaczęła rozprawiać o botanice z miłą panią Dent; zdaje się, że pani Dent nie studjowała botaniki, chociaż, jak mówiła, lubiła kwiaty, „zwłaszcza polne i leśne”; panna Ingram, owszem, uczyła się jej i z jakąż miną zasypywała słuchaczkę katalogiem nazw! Spozstrzegłam odrazu, że ona, jak to mówi, chce w p a k o w a ć panią Dent, wyzyskując jej niewiadosć: to p a k o w a n i e może było sprytne, ale stanowczo nie było ani poczciwe, ani delikatne. Zagrała na fortepianie; wykonanie było świetne; śpiewała — głos miała piękny; z matką rozmawiała po francusku i mówiła biegle i dobrym akcentem.

Marja miała twarz łagodniejszą i otwartzą niż siostra; i rysy jej były łagodniejsze i cera o parę odcieni jaśniejsza (panna Blanka Ingram smagła była, jak Hiszpanka); ale Marji brakowało ożywienia; twarz była bez wyrazu, oczy bez blasku; nie miała nic do powiedzenia, a raz zajawszy miejsce, pozostawała tam nieruchoma, jak posąg w niszy. Obiedwie siostry ubrane były wyłącznie biało.

I czyż teraz wydało mi się, że na pannę Ingram mógłby paść wybór pana Rochestera? Nie wiedziałam, nie znałam gustu jego co do piękności kobiecej. Jeżeli lubił majestatyczność, Blanka była doskonałym typem majestatyczności; przytem była wykształcona, pełna życia. Większość mężczyzn musiałaby ją podziwiać, pomyślałam; a że i on ją podziwiał, zdawało mi się, że już miałam tego dowód; ażeby usunąć ostatni cień wątpliwości, pozostawało mi tylko jeszcze zobaczyć ich razem.

Nie przypuszczaj czasem, czytelniku, że Adelka przez cały ten czas siedziała bez ruchu na stołeczku u moich

nóg; nie; gdy panie weszły, wstała, podeszła ku nim, ukłoniła się z godnością i poważnie powiedziała:

— „*Bon jour, mesdames.*”

A wtedy panna Ingram spojrzała na nią drwiąco zgóry i zawołała:

— O, cóż to za laleczka?

Lady Lynn zauważyła:

— To zapewne pupilka pana Rochesterera — ta Francuzeczka, o której mówił.

Pani Dent dobrotliwie wzięła ją za rękę i pocałowała. Amelja i Ludwika Eshton zawołały równocześnie:

— Co to za miluchne dziecko!

I zaraz też zawołały ją do siebie na kanapę, gdzie teraz siedziała, wciśnięta pomiędzy niemi obiema, trzępiąc to po francusku, to łamaną angielszczyzną i zajmując sobą uwagę nietylko panien, ale pani Esthon i lady Lynn; zajmowano się nią, więc czuła się w siódmym niebie.

Nareszcie wniesiono kawę i poproszono panów. Siedzę w cieniu — jeżeli można mówić o cieniu w tym jasno oświetlonym salonie — firanka nawpół mnie zakrywa. I znowu odsłania się arkada — wchodzą. Panowie sprawiają wrażenie imponujące. Wszyscy ubrani czarno; są przeważnie wysocy, niektórzy młodzi. Henryk i Fryderyk Lynn — bardzo szykowni młodzieńcy, a pułkownik Dent — piękny oficer. Pan Eshton, sędzia, ma wygląd dystyngowany; włosy ma już zupełnie siwe, ale brwi i bokobrody jeszcze czarne, co nadaje jego twarzy charakter: „szlachetnego ojca” ze sceny. Lord Ingram, podobnie jak siostry, jest bardzo wysoki i, jak one, bardzo przystojny; ma jednakże, tak jak Marja, minę apatyczną i obojętną; zdaje się, że więcej celuje długością członków, niż żywością krwi i siłą mózgu.

A gdzie jest pan Rochester?

Wchodzi ostatni: nie patrzę na arkadę, ale widzę go wchodzącego. Staram się skupić uwagę na swoim szydełku, na oczkach sakiewki, którą robię — pragnę myśleć tylko o swojej robocie, widzieć tylko srebrne perełki i jedwabne nici, leżące na kolanach; tymczasem widzę dokładnie jego postać, i przemożnie narzuca mi się wspomnienie tej chwili, gdy go widziałam po raz ostatni: gdy, po wy-

świadczeniu mu tej, jak on to nazwał, tak bardzo ważnej przysługi, stałam przed nim, a on trzymał moją rękę i patrzył mi w twarz oczyma, mówiącemi o pełnem, o przepelnionem wzruszeniu sercu. Jak bliską jemu czułam się w owej chwili! Cóż się odtąd stało, że tak się zmienił jego do mnie i mój do niego stosunek? Gdyż teraz jakże dalecy i obcy sobie byliśmy! Tak bardzo obcy, że nawet się nie spodziewałam, żeby podszedł do mnie i przemówił. Nie zdziwiłam się, gdy nie spojrzawszy na mnie, siadł w drugim końcu salonu i zaczął rozmawiać z paniami.

Zaledwie spostrzegłam, że uwagę zwrócił na nie, że mogę patrzeć niezauważona — natychmiast wbrew woli podniosłam oczy na jego twarz; nie mogłam oczu opanować: biegły ku niemu i utkwily w nim. Patrzyłam i znajdowałam bolesną przyjemność w patrzeniu, przyjemność, jaką mógłby odczuwać ginący z pragnienia człowiek, który, wiedząc, że źródło, do którego się doczołgał, jest zatrute, nachyla się i pomimo wszystko pije napój boski.

Wielce prawdziwe jest powiedzenie, że „piękność leży w oku patrzącego”. Pozbawiona rumieńca, śniada twarz mojego zwierchnika, jego kwadratowe, potężne czoło, szerokie czarne brwi, głębokie oczy, wybitne rysy, stanowczo zarysowane, surowe usta — wszystko to świadczące o energii, stanowczości, woli — nie było pięknem, wedle wszelkich reguł; dla mnie jednak ta twarz była więcej, niż piękna; miała przykuwający urok, miała na mnie wpływ ujarzmiający. Nie chciałam go kochać; ciężko walczyłam, by wyplenić z serca ziarno kiełkującej miłości; a teraz, za pierwszym spojrzeniem na niego, ziarna te puszczają pędy silne i zielone! Brał moją miłość, nie patrząc nawet na mnie.

Porównywałam go z jego gośćmi. Czemże był dorodny wdzięk Lynnów, niedbała wykwintność lorda Ingram — nawet rycerska dystynkcja pułkownika Dent wobec jego samopoczucia wrodzonej wartości i swoistej mocy? Nie przemawiała do mnie ani ich powierzchowność, ani ich wyraz — chociaż, mogłam sobie wyobrazić, że oczom wielu patrzących wydawać się mogli sympatyczni, przystojni, imponujący nawet, pan Rochester zaś człowiekiem o surowych rysach i melancholijnym wyglądzie. Widziałam, jak

się uśmiechali, jak się śmiali — jakie to było czcze! Światło świec miało tyle w sobie duszy, co ich uśmiech, dźwięk dzwonka więcej znaczenia, niż ich śmiech. Widziałam, jak się pan Rochester uśmiechnął: surowe jego rysy złagodniały, oczy zabłyśły i zajaśniały mile, spojrzenie ich było badawcze i zarazem słodkie. Rozmawiał w tej chwili z Ludwiką i z Amelją Eshton. Zdziwiłam się, że nie zaniepokoiło ich to spojrzenie, które mnie wydało się tak przejmujące; myślałam, że spuszczą oczy, że rumieniec wybije im się na twarz, jednakże rada byłam widząc, że tak nic nie są wzruszone. „Nie jest on dla nich tem, czem jest dla mnie — pomyślałam. — Nie jest on w ich rodzaju. W moim raczej, sądzę... tak, jestem tego pewna... czuję się jemu pokrewną — rozumiem wymowę jego twarzy i ruchów! Chociaż sfera i majątek tak bardzo nas dziela, mam coś w mózgu i sercu, w krwi i nerwach, co łączy mnie z nim duchowo. Czy ja powiedziałam kilka dni temu, że nie mam z nim nic wspólnego prócz tej zapłaty, którą z rąk jego biorę? Czy zabroniłam sobie myśleć o nim w jakimkolwiek innym świetle, jak tylko jako o płacącym mi zwierchniku? Błuznierstwo przeciw naturze! Każde dobre szczere, silne uczucie mej duszy samorzutnie skupia się dokoła niego. Wiem, że muszę ukrywać swoje uczucia, zgnieść wszelką nadzieję; że muszę pamiętać, iż jestem dla niego prawie niczem. Bo jeżeli mówię, że jestem „z jego rodzaju“, to nie rozumiem przez to, iżbym miała jego moc oddziaływania, jego urok przyciągania; rozumiem tylko, że mam z nim pewne wspólne zamiłowania i pewne uczucia. Muszę więc powtarzać sobie wciąż, że jesteśmy rozdzieleni na wieki — a jednak, dopóki myśli, dopóki tchu w piersiach stanie, muszę go kochać“.

Roznoszono kawę. Panie, od chwili, gdy weszli panowie, ożywiły się, jak kanarki; potoczyła się rozmowa żwawa i wesoła. Pułkownik Dent i pan Eshton dysputują o polityce; żony ich przysłuchują się. Dwie dumne arystokratki, lady Lynn i lady Ingram, gawędzą ze sobą. Sir George Lynn — bardzo gruby, czerstwy wiejski obywatel, stoi przed ich kanapą z filiżanką w rękę, i raz po raz wtrąca słówko. Młody Fryderyk Lynn siadł obok Ma-

rji Ingram i pokazuje jej ilustracje w jakimś wspianiałym tomie: ona patrzy, uśmiecha się niekiedy, ale mówi niewiele. Wysoki, flegmatyczny lord Ingram opiera się złożonymi rękoma o tył fotela małej, żywej Amelji Eshton; ona podnosi na niego oczy i szczebioce, jak sroczka: widać, że woli jego od pana Rochester'a. Henryk Lynn zagarnął w posiadanie niskie siedzenie u stóp Ludwika; Adelka je z nim podziela: młodzieniec stara się rozmawiać z nią po francusku, a Ludwika śmieje się z jego błędów. Z kim Blanka poszuka sobie pary? Stoi samotna przy stole, schylona z gracją nad albumem. Zdaje się czekać, by ją poszukano; ale nie chce czekać zbyt długo; sama sobie wybiera towarzysza.

Pan Rochester, opuściwszy panny Eshton, stoi przy kominku równie samotnie, jak ona przy stole; Blanka staje naprzeciw niego po drugiej stronie kominka.

— Panie Rochester, ja myślałam, że pan nie lubi dzieci?

— Istotnie, nie lubię.

— A więc cóż pana skłoniło do obarczania się taką laleczką? (Tu wskazała Adelkę.) Gdzie ją pan wyszukał?

— Ja jej wcale nie szukałem; zrzuciono mi ją na barki.

— Trzeba ją było posłać do szkoły.

— Nie mogłem sobie na to pozwolić: szkoły są takie kosztowne!

— Jakto, zdaje mi się, że pan trzyma do niej guwernantkę: widziałam z nią jakąś osobę przed chwilą, czy poszła sobie? O nie! jest tam jeszcze za firanką, przy oknie. Pan jej płaci, naturalnie; to chyba nie kosztuje mniej, — więcej raczej, bo musi pan je obie w dodatku utrzymywać.

Lękałam się, czy mam powiedzieć, że spodziewałam się, iż ta wzmianka o mnie skieruje wzrok pana Rochester'a w moją stronę. Mimowoli zasunęłam się głębiej w cień. Ale on wcale nie odwrócił oczu.

— Nie zastanawiałem się nad tem — odpowiedział obojętnie, patrząc prosto przed siebie.

— Nie, wy mężczyźni nigdy nie zastanawiacie się nad kwestją oszczędności i zdrowego rozsądku. Chciałabym,

by pan usłyszał, co mama potrafi na temat guwernantek opowiedzieć. Marja i ja miałyśmy ich swojego czasu coś ze dwanaście; połowa były to nieznośne kreatury, a reszta — śmieszne, a wszystkie czupiradła — nieprawdaż, mammo?

— Czy do mnie mówisz, moja jedyna?

Panna, tak pieśczośliwie nazwana, powtórzyła pytanie z odpowiednim objaśnieniem.

— Moja najdroższa, nie mów mi o guwernantkach; samo to słowo działa mi na nerwy. Wycierpiałam męki z powodu ich nieumiejętności i grymasów. Bogu dziękuję, że skończyłam z nimi raz na zawsze!

Tu pani Dent nachyliła się ku nabożnej damie i szepnęła jej coś na ucho; przypuszczam, po odpowiedzi sądząc, że zwróciła jej uwagę, iż jedna z tej wyklinanej rasy jest tu obecna.

— *Tant pis!* To jej nie zaszkodzi! — odpowiedziała wspaniała dama. A potem ciszej, jednak zawsze dosyć głośno, tak że mogłam ją usłyszeć, dodała: — Ja ją zauważyłam; znam się na fizjonomjach, a na jej twarzy widzę wypisane wszystkie wady jej klasy.

— I jakie to mianowicie, zdaniem pani? — zapytał pan Rochester głośno.

— Powiem panu samemu do ucha — odpowiedziała, kiwając po trzykroć turbanem majestatycznie a znacząco.

— Ale moja ciekawość zwietrzeje; niech ją pani teraz nasyci.

— Niech się pan Blanki zapyta; ona jest bliżej pana, niż ja.

— O, niech go mama nie odsyła do mnie! Ja mam tylko jedno słowo do powiedzenia o całej tej rzeszy: to plaga. Nie twierdzę, że ja sama wiele od nich ucierpiałam, bo umiałam odwrócić karty. Co za figle Teodor i ja płataliśmy naszym pannom Wilson, paniom Grey i madame Joubert! Marja zawsze była zanadto śpiąca, by odważnie wziąć udział w jakimś spisku. Najlepsza zabawa była z madame Joubert; panna Wilson było to biedne, chorowite stworzenie, płacziwe i smutne, słowem nie warto było zniżać się nad nią; a pani Grey była gruboskórna i niewrażliwa; nie można jej było niczem dotknąć. Ale

biedna madame Joubert! Widzę jeszcze jej wściekłą pasję, gdy doprowadziliśmy ją do ostateczności, wylewając herbatę, krusząc chleb z masłem, rzucając książkami o sufit, wygrywając piekielne koncerty linją o stół, pogrzebaczem o popielnik przed piecem. Teodorze, czy pamiętasz te wesołe czasy?

— A jakże, a jakże — przeciągłą wymową odpowiedział lord Ingram. — Jakżebym nie miał pamiętać! A biedna stara krzyczała wtedy, okropnie kalecząc nasz język: „ach wy, niegodziwa dzieciska!” Wtedy my prawiśmy jej kazanie, że jest zarozumiała, chcąc nas uczyć takie mądrale, skoro sama jest ignorantką.

— Tak; a Tedo, przypomnij sobie, jak ja ci pomagałam prześladować twego guwernera, pana Vining o smętnej obliczu, „pastora w pączku”, jak go nazwaliśmy. On i panna Wilson pozwolili sobie na zakochanie się w sobie, tak się przynajmniej Tedowi i mnie wydawało; podchwytywaliśmy różne czułe spojrzenia i westchnienia, uważając je za dowody wzniesłego sentymentu, i możecie państwo uwierzyć, że otoczenie skorzystało wprędce z naszego odkrycia; użyliśmy tego za rodzaj lewaru do podważenia i wyrzucenia z domu tego, co nam ciążyło i zawadzało. Kochana mateczka, jak tylko zmiarkowała, co się święci, uznała, że to sprawa niemoralna — nieprawdaż, moja pani matko?

— Z pewnością, moja najmilsza. I miałam zupełną słuszość; możesz mi wierzyć: jest tysiąc powodów potemu, ażeby czułych stosunków między guwernantkami a guwernerami ani przez chwilę nie tolerować w domu dobrze prowadzonym; najpierw...

— Och, litości, mamol! Oszczędź nam wyliczania! *Au reste*, my wszyscy je znamy: niebezpieczeństwo złego przykładu dla niewinnej młodzieży; roztargnienie i skutkiem tego zaniedbywanie obowiązków przez osoby interesowane — wzajemny sojusz i poparcie; stąd płynąca pewność siebie, — zuchwałość — bunt i generalna klapa. Czy mam słuszość, baronowo Ingram na Ingram Parku?

— Moja lilijsko, masz słuszość teraz, tak jak zawsze.

— Zatem dosyć o tem; zmieńmy przedmiot rozmowy.

Amelja Eshton, czy nie słysząc tego powiedzenia, czy nie zważając na nie, dorzuciła łagodnym, dziecięcym głosem:

— I my z Ludwiką psociliśmy nauczycielce; ale to było takie dobre stworzenie, wszystko znosiła; nic jej nie mogło zniecierpliwic. Nigdy się na nas nie gniewała; prawda, Ludko?

— Nie, nigdy: mogliśmy robić, co nam się podobało; gospodarować na jej biurku i w jej koszyczku do roboty, przewracać wszystko do góry nogami w jej szufladach; a taka była dobra, że dawała nam wszystko, o co tylko poprosiliśmy.

— Przypuszczam, że teraz — rzekła panna Ingram, sarkastycznie krzywiąc usta — czeka nas wyciąg z pamiętników o wszelakich istniejących guwernantkach: żeby uniknąć tej klęski, wnoszę ponownie o podjęcie nowego tematu. Panie Rochester, czy pan popiera mój wniosek?

— Pani, ja popieram panią na tym punkcie, tak jak na wszystkich innych.

— Więc na swoją odpowiedzialność biorę ten wniosek. Signor Eduardo, czy jest pan dziś wieczór przy głosie?

— Donna Bianca, jeśli pani rozkaże, będę.

— Zatem, signor, do pana zwracam monarsze wezwanie, byś nastroił płuca, gdyż zapotrzebuję ich na swe królewskie usługi.

— Któżby nie chciał być Rizzim takiej boskiej Marji?

— Rizzim? nic mi po nim! — zawołała, i potrzęsnęła głową z wszystkimi lokami, zmierzając do fortepianu. — Mojem zdaniem grajek Dawid musiał być niemrawym chłopakiem; wolę czarnego Bothwella: w moich oczach mężczyzna jest niczem, jeżeli niema w nim trochę djabła. A niech sobie historia mówi co chce o Bothwellu, czuję, że był to właśnie ten rodzaj dzikiego, srogiego bandyty bohatera, którego bym zgodziła się obdarzyć swoją ręką.

— Słyszycie, panowie! Któryż z was jest najpodobniejszy do Bothwella? — zawołał pan Rochester.

— Sądziłbym, że przedewszystkiem pan — odpowiedział pułkownik Dent.

— Słowo daję, wdzięczny panu jestem — brzmiała odpowiedź.

Panna Ingram, która tymczasem z dumną gracją zasiadła przy fortepianie, szeroko roztaczając śnieżne fałdy sukni, zaczęła teraz jakieś świetne preludjum, rozmawiając równocześnie. Zdawało się, że tego wieczora dosiadła swego wysokiego konia; tak słowa jej, jak ton obliczone były na wzbudzenie nietylko podziwu, ale zdumienia słuchaczy; widocznie chciała ich olśnić świetnością i śmiałością.

— Och, jakże się brzydę dzisiaj młodzieżą! — zawołała, przebiegając pasażami po instrumencie. — Biedne, słabe stworzenia, niezdolne wyjść poza bramy ojcowskiego parku, a nawet tak daleko nie odważając się puścić bez pozwolenia i opieki mamusi! Istoty tak przejęte dbałością o swoje ładne twarzyczki, białe rączki, małe nóżki; jakgdyby mogło coś zależeć na urodzie u mężczyzny! Jakgdyby piękność nie była wyłącznym przywilejem kobiety — jej prawowitym posagiem i dziedzictwem! Przyznaję, że brzydka kobieta to plama na jasnej powierzchni świata. Ale panowie niech tylko dbają o siłę i męstwo: niechże sobie wezmą za dewizę: polowanie, strzelanie i walkę. Reszta nie warta grosza. Taką byłaby moja dewiza, gdybym ja była mężczyzną.

— Jeżeli wyjdę zamaż — mówiła dalej po pauzie, której nikt nie przerwał — postanawiam, że mąż mój nie będzie moim rywalem. Nie zniosę współzawodnictwa o tron; wymagać będę niepodzielnego hołdu: zachwytów swoich nie wolno mu dzielić pomiędzy mnie a kształt, który ujrzy w swoim zwierciadle. Panie Rochester, niech pan teraz śpiewa, będę panu akompanjowała.

— Do usług pani — odpowiedział.

— Tu oto jest pieśń Korsarza. Niech pan wie, że ja przepadam za korsarzami; i dlatego niech pan śpiewa z ogniem.

Rozkaz z ust panny Ingram zaprawiłby ogniem dzbanek mleka z wodą.

— Więc niechże się pan stara: jeżeli mi się śpiew pana nie spodoba, zawstydzę pana, pokazując, jak się takie rzeczy powinno śpiewać.

— Jest to obiecywanie nagrody za nieudolność: będę się teraz starał, żeby mi się nie udało.

— Niech się pan strzeżel! Jeśli pan będzie rozmyślał błędnie, obmyślę za to odpowiednią karę.

— Pani powinna być miłosierną, gdyż ma w swej mocy karę, której śmiertelny człowiek nie znieśie.

— Proszę wytłumaczyć! — rozkazała.

— Niech pani daruje: zbyt ciężka rzecz tłumaczyć; własne pani poczucie musi jej mówić, że jeden mars jej czoła równa się karze śmierci.

— Niech pan śpiewa! — powiedziała, i dotknawszy klawiszy, zaczęła akompanjament w tempie brawurowem.

„Teraz na mnie pora, mogę się wysunąć“, pomyślałam; ale tony, które teraz zabrzmiały, zatrzymały mnie. Pani Fairfax powiedziała, że pan Rochester ma piękny głos: i tak też było. Dźwięczny, potężny głos, w który wkładał uczucie i siłę, którym trafiał do serca, szczególniejsze budząc wrażenia. Czekałam dopóki ostatnie głębokie pełne wibracje nie przebrzmiały — dopóki tok rozmów, przerwanych na chwilę, nie popłynął znowu, a wtedy opuściłam zaciszny kącik i wymknęłam się bocznymi drzwiami, które na szczęście, znajdowały się blisko. Stamtąd wąski korytarzyk prowadził do hallu; przechodząc przez hall, spostrzegłam, że pantofel mój się rozwiązał; zatrzymałam się, by go związać i przyklękłam u stóp schodów. Usłyszałam, że otwierają się drzwi jadalni; jakiś pan wyszedł; podniósłszy się szybko, znalazłam się nawprost niego: był to pan Rochester.

— Jak się miewa panna Joanka? — przywitał mnie.

— Bardzo dobrze, dziękuję panu.

— Dlaczego nie podeszła i nie przemówiła do mnie w salonie?

Pomyślałam, że właśnie ja to pytanie mogłabym jemu zadać, ale nie chciałam sobie na to pozwolić. Odpowiedziałam:

— Nie chciałam panu przeszkadzać, pan wydawał się zajęty gośćmi.

— Co pani robiła podczas mej nieobecności?

— Nic szczególnego; uczyłam Adelkę jak zwykle.

— I pomizerniała pani; dużo pani bledsza, niż była przedtem — co od pierwszego spojrzenia spostrzegłem. Co pani dolega?

— Nic a nic, panie.

— Czy nie zaziębiła się panna Joanka owej nocy, kiedy to mnie nawpół zatopiła?

— Ani trochę.

— Niech pani wróci do salonu: za wcześnie pani ucieka.

— Jestem zmęczona, panie.

Popatrzył na mnie dłuższą chwilę.

— I trochę przygnębiona — powiedziała. — Skutkiem czego? Proszę mi powiedzieć!

— Ależ nic mi nie jest — nic. Nie jestem wcale przygnębiona.

— A ja twierdzę, że tak: tak bardzo przygnębiona, że jeszcze parę słów, a łzy puściłyby się z oczu.. już tam nawet są — błyszczą, płyną — a jedna kropelka zleciała z rzęsy i upadła na podłogę. Gdybym miał czas i nie bał się śmiertelnie jakiego plotkarza, sługi przechodzącego, dowiedziałbym się, co to wszystko ma znaczyć. No, dobrze, dziś ja już pannie Joance daruję. Ale niech pani wie, że tak długo, jak moi goście bawić tutaj będą, będę oczekiwał, by pani co wieczór ukazywała się w salonie; życzę sobie tego; niech pani tego nie zaniedbuje. A teraz proszę iść do siebie i przysłać bonę po Adelkę. Dobranoc, moja...

Przerwał, przygryzł usta i opuścił mnie nagle.

ROZDZIAŁ XVIII.

Wesołe teraz nastąpiły dni w Thornfield Hall. Ruch trwał od rana do nocy. Jakaż odmiana od tych pierwszych trzech miesięcy ciszy, jednostajności i samotności, które spędziłam pod tym dachem! Zdawało się, że wszelkie smutne uczucia wygnane zostały z tego domu, wszelkie posępne nastroje zapomniane. Nie można było teraz przejść galerji, niegdyś tak cichej, ani minąć pokoi fron-

towych, niegdyś tak pustych, żeby nie napotkać fertycznej panny służącej albo szykownego lokaja.

Kuchnia, kredens kamerdynera, hall służących, hall wchodowy, wszystkie te kąty tętniały życiem, a w salonach zapanowywała wtedy tylko pustka i cisza, gdy błękit nieba i blask słoneczny tej pogodnej wiosennej pory wywabiał towarzystwo do ogrodu. Nawet i wtedy, gdy popsuła się pogoda i deszcz nieprzerwanie kilka dni padał, nic nie zatruwało wesołości. Bawiono się tem zwawiej w pokoju, gdy przyszło przerwać zabawy na świeżem powietrzu.

Ciekawa byłam, co też będą robili, pierwszego wieczora, gdy zaczęto proponować zmianę programu zabawy; była mowa o „odgrywaniu szarad”, w niewiadomości swojej nie rozumiałam jednak, co to znaczy. Zawołano służbę, odsunięto stoły w jadalnym pokoju, światła umieszczono inaczej, krzesła ustawiono w półkole przed arkadą. Podczas gdy pan Rochester i inni panowie kierowali temi przygotowaniami, panie biegały na górę i nadół, zwoływały swoje służące. Proszono panią Fairfax o objaśnienie, jakie dom ma zasoby szali, ubrań, draperyj wszelkiego rodzaju. Przetrząsnięto szafy na trzeciem piętrze i zawartość ich — spódnice brokatowe, atlasowe kaftany, czarne stroje, kawałki koronek i t. d. i t. d. — całemi naręczami znosiły służące. Wybrawszy, co potrzebne, kazano resztę zanieść do buduaru w obrębie salonu.

Pan Rochester tymczasem zwołał znowu panie dookoła siebie i wybierał pomiędzy nimi niektóre do swojego kompletu. „Panna Ingram, naturalnie, do mnie należy” — powiedział, poczem wezwał jeszcze obie panny Eshton i panią Dent. Popatrzył na mnie; byłam przypadkiem blisko, gdyż zapinałam zatrask bransoletki pani Dent.

— Czy chce pani grać? — zapytał.

Potrząsnęłam głową. Nie nalegał, czego się trochę obawiałam; pozwolił mi wrócić spokojnie na zwykłe miejsce.

„Aktorzy” wycofali się teraz za zasłonę. Druga część towarzystwa z pułkownikiem Dent na czele zasiadła na ustawionych w półkole krzesłach. Pan Eshton, popatrzywszy na mnie, zaproponował widocznie, żeby mnie popro-

szo o przyłączenie się do nich; jednakże lady Ingram zaoponowała natychmiast.

— Nie — usłyszałam. — Ona mi wygląda na zanadto głupią, żeby móc brać udział w grze tego rodzaju.

Po niedługiej chwili odezwał się dzwonek i zastonę rozsunięto. Pod arkadą ukazała się barczysta postać sir George Lynna, udrapowanego w białe prześcieradło: przed nim, na stole, leżała otwarta wielka księga; obok niego stała Amelja Eshton, otulona w płaszcz pana Rochestera, z książką w ręku. Ktoś niewidziany potrząsnął wesoło dzwoneczkiem. Wtedy Adelka (która wyprosiła sobie, by mogła należeć do gry po stronie swego opiekuna) wyskoczyła naprzód, sypiąc dokoła kwiaty z koszyka, zawieszzonego na ręku. Wślad za nią ukazała się wspinała postać panny Ingram, ubranej biało, w długim woku na głowie i z wiankiem róż nad czołem; obok niej szedł pan Rochester. Oboje uklękli, podczas gdy pani Dent i Ludwika Eshton, również biało ubrana, stanęły za niemi. Nastąpiła teraz ceremonia, mimicznie odegrana, w której łatwo było odgadnąć pantomimę ślubu. Gdy się to skończyło, pułkownik Dent z towarzyszami naradzali się szeptem przez chwilę, poczem pułkownik Dent zawołał:

— *Bride*¹⁾. — Pan Rochester uklonił się i zastona zapadła.

Dość długo trzeba było czekać, zanim się znów rozsunięła. Gdy się zaś ponownie rozsunięła, ukazała scenę pracowniej przygotowaną, niż poprzednia. Salon, jak to już zaznaczyłam, wznosił się o dwa stopnie nad poziom jadalni; otóż na drugim stopniu, może z łokieć w głąb pokoju, ukazał się wielki marmurowy basen, w którym poznałam ozdobę oranżerji (stał tam zawsze, otoczony egzotyczną roślinnością i pływały w nim złote rybki), skąd z pewnym trudem musiano go przetransportować, gdyż wielki był i ciężki.

Na podłodze obok basenu siedział pan Rochester, przybrany w szale, w turbanie na głowie. Czarne jego oczy, ciemna cera i silne rysy odpowiadały doskonale

¹⁾ *Bride* — panna młoda.

kostjumowi: wyglądał jak prawdziwy wschodni emir. W tej chwili ukazała się panna Ingram, I ona także ubrana była w charakterze wschodnim: szkarłatną szarfę miała przewiazaną w pasie, haftowaną chustkę owiniętą dokoła głowy; piękne, kształtne jej ramiona były odkryte, jednym z nich, wzniesionem, podtrzymywała dzbanek, wdzięcznie postawiony na głowie. Tak postać jej, jak twarz, oraz ogólny wygląd nasuwały na myśl jakąś księżniczkę Izraela z czasów patryjarchalnych; i taką też postać niewątpliwie miała przedstawiać.

Nachyliła się nad basenem, jakgdyby dla napełnienia dzbana; dzban ten znowuź podniosła i ustawiła na głowie. Mężczyzna, siedzący przy studni, zdawał się teraz przemawiać do niej, prosił ją o coś. Ona opuściła dzban na rękę i dała mu się napić. Wtedy on z zanadru szaty dobył puzderko, otworzył je i ukazał wspaniałe bransolety i kolczyki; ona odegrała zdziwienie i podziw. Klęcząc, złożył te skarby u jej nóg; niedowierzanie i zachwyt wyraziły się w minach jej i gestach; obcy umieścił bransolety na jej ramionach, kolczyki w jej uszach.

Tak, Eleazar i Rebeka: brakowało tylko wielbłądów.

Odgadywacze skupili się znowu; widocznie nie mogli się pogodzić co do wyrazu czy sylaby, które ten obraz miał podsunąć. Pułkownik Dent w ich imieniu poprosił o „żywy obraz całości”; wobec tego zasłona znowu zapadła.

Za trzeciem jej rozsunięciem ukazała się tylko część salonu; resztę zakrywał parawan, zawieszony jakąś ciemną, ordynarną draperją. Marmurowy basen odsunięto; na jego miejscu stał prosty stół sosnowy i krzesło kuchenne; te przedmioty widziało się przy ciemnem świetle laski rogowej, gdyż wszystkie woskowe świece pogaszono.

W tem nędznem otoczeniu siedział mężczyzna z opartymi na kolanach zaciśniętymi rękoma, z oczyma, utkwionemi w ziemię. Poznałam pana Rochestera, chociaż usmolona cera, ubiór w nieporządku (surdut zwieszał się, ściągnięty z jednego ramienia, jakgdyby prawie zdarty z niego w walce), zuchwała i chmurnie zmarszczona twarz i roztargane włosy zmieniały go prawie do niepoznania.

Gdy się poruszył, zadźwięczał łańcuch; na rękach miał kajdany.

— Bridewell¹⁾ — zawołał pułkownik Dent i szarada była rozwiązana.

Potrwało dobrą chwilę, zanim „aktorzy” przebrali się i wrócili do jadalni. Pan Rochester prowadził pannę Ingram; prawiała mu komplementy, wychwalając jego grę.

— Czy pan wie — mówiła — że z tych trzech ról najwięcej mi się pan podobał w ostatniej? O, gdyby pan żył trochę wcześniej, jaki wspaniały dżentelman-rozbójnik na publicznych drogach byłby z pana!

— Czy wszystka sadza zmyta z mojej twarzy? — zapytał, zwracając twarz ku niej.

— Niestety! tak: a szkoda! Tak panu dobrze było, przy pańskiej cerze, w tem ucharakteryzowaniu na łotra!

— Więc podobałby się pani taki bohater awanturnik, rozbójnik?

— Po włoskim bandycie najmilszym typem byłby mi taki angielski bohater gościńca; przewyższyć mógłby go tylko wschodni pirat.

— Trudno, czemkolwiek jestem, proszę pamiętać, że pani jest moją żoną; godzinę temu w obecności wszystkich tych świadków zostaliśmy poślubieni. — Zaczęła się śmiać i zarumieniła się.

— A teraz, Dent, twoja kolej! — powiedział pan Rochester.

Gdy zaś pułkownik ze swoją paczką wyszedł, on z partnerami gry zajął opróżnione krzesła. Panna Ingram usiadła po jego prawej ręce, reszta zgadywaczy umieściła się po obu ich stronach.

Nie zważałam teraz na aktorów; uwagę moją pochłonęli widzowie. Oczy moje, poprzednio wpatrzone w arkadę, teraz nieodparcie pociągało półkole krzeseł. Jaką szaradę przedstawił pułkownik Dent ze swoimi, jakie wyrazy wybrali, jak zagrali, tego już nie pamiętam, ale wciąż mam przed oczami narady po każdej odegranej scenie; widzę, jak pan Rochester zwraca się do panny

¹⁾ *Bridewell* — nazwa londyńskiego więzienia. *Bride* — panna młoda; *well* — studnia, źródło.

Ingram, panna Ingram do niego; widzę, jak ona pochyla ku niemu głowę, że aż krucze jej loki nieledwie dotykają jego ramienia i muskają jego policzek; słyszę ich szepty, widzę zamieniane spojrzenia — i nawet uczucia, pobudzone tym widokiem stają mi w pamięci.

Powiedziałam już, że pokochałam pana Rochesterę; nie mogłam przestać kochać go teraz, poprostu tylko dlatego, że się przekonałam, iż przestał mnie widzieć, że mogłam całe godziny spędzać w jego obecności, a on na mnie nawet nie spojrział; że widziałam, że całą jego uwagę, wszystkie jego starania zagarnęła wielka dama, która, przechodząc unikała dotknięcia mnie krajem swojej szaty; która, jeśli kiedy ciemne i władcze jej oko spoczęło na mnie przypadkiem, odwracała je czempredzej, jak od przedmiotu niegodnego uwagi. Nie mogłam przestać go kochać, pomimo pewności, iż wkrótce poślubi tę kobietę właśnie, chociaż patrzyłam codziennie na jej dumną pewność o jego zamiarach i byłam stałym świadkiem jego starań o rękę panny Ingram, starań niedbałych w swoim rodzaju, gdyż raczej kazał się szukać, niż poszukiwał, ale starań zdobywczych przez swą dumę i niedbałość ujmujących.

Nie było w tych wszystkich okolicznościach niczego takiego, coby mogło ochłodzić miłość, wygnać ją z serca, choć wiele było powodów do rozpacz. I do zazdrości — pomyślisz, czytelniku. Ale ja nie byłam zazdrosna — a przynajmniej bywałam nią bardzo rzadko. Panna Ingram nie mogła budzić zazdrości, gdyż była z rodzaju kobiet zbyt poślednich. Daruj mi, czytelniku, ten pozorny paradoks; ale ja to, co mówię, mówię na serjo. Miała świetne pozory, ale nie była naturalna; była osobą piękną, wykształconą, błyskotliwą, ale umysł jej był ubogi, serce oschłe z natury; nic samorzutnie nie kwitło na tym gruncie; żaden niewymuszony, swoisty owoc nie radował świeżością. Nie była dobra, nie była oryginalna; powtarzała pięknie brzmiące frazesy z książek; nigdy nie miała własnego zdania. Uderzała w wysoki ton sentymentów; ale nie znała uczuć litości ani współczucia; nie było w niej ani czułości ani prawdy. Aż nazbyt często zdradzała się z tem, dając niewłaściwie folgę złośliwej anty-

patji względem Adelki; to odpychając ją z dodatkiem niemiłego epitetu, jeśli się do niej przypadkiem zbliżyła, to niekiedy nakazując jej wyjść za drzwi, a zawsze traktując ją zimno i kwaśno. Były jeszcze inne oczy, oprócz moich, które śledziły te objawy charakteru — śledziły je uważnie, bacznie, bystro. Tak jest; przyszedł mąż, pan Rochester sam wykonywał nad wybraną bezustanny nadzór; i ta to właśnie jego bystrość — ostrożność — ta doskonała, jasna świadomość wad, ten widoczny brak miłości w stosunku do niej, to właśnie było źródłem nieustannej mej męki.

Rozumiałam, że zamierza ożenić się z nią, może dla względów rodzinnych, może politycznych, ponieważ stanowisko jej i stosunki mu odpowiadały. Czułam, że nie dał jej miłości swojej i że ona nie ma danych potemu, by skarb ten u niego pozyskać. I to był punkt drażliwy, to podsycalo we mnie i karmiło gorączkę: że ona go nie może oczarować.

Gdyby była odrazu odniosła zwycięstwo, a on ugiął się i szczerze serce złożył u jej stóp, byłabym twarz zakryła, i (wyrażając się obrazowo) umarła dla nich. Gdyby panna Ingram była kobietą dobrą i szlachetną, obdarzoną gorącym uczuciem, siłą, dobrocią, rozumem, musiałabym stoczyć walkę śmiertelną z dwoma wrogami: zazdrością i rozpaczą. A potem, zdusiwszy własne serce, podziwiałabym ją, uznałabym jej doskonałość i byłabym spokojna na resztę życia. Ale tak, jak w istocie stały rzeczy, widzieć pannę Ingram wysilającą się na oczarowanie pana Rochester'a i wciąż chybiającą celu w nieświadomości, że chybia; widzieć, jak daremnie wyobraża sobie, że każdy pocisk trafia do celu i zaślepiona pyszni się powodzeniem, podczas gdy duma jej i zarozumiałość odpycha coraz dalej i dalej tego, którego pragnęła przyciągnąć — obserwowanie tego budziło trudne do opanowania podniecenie.

A to dlatego, że gdy ona chybiała, ja rozumiałam, jak mogłaby osiągnąć powodzenie. Strzały, które wciąż odbijały się od piersi pana Rochester'a i nieszkodliwe, padały u jego nóg, pewniejszą ręką wiedzione, mogłyby utkwic w jego dumnym sercu, wywołać miłość w surowem

jego oku, twarz sarkastyczną złagodzić, albo lepiej jeszcze, bez żadnej broni ciche odnieść zwycięstwo.

„Czemu ona nie może mieć więcej wpływu na niego, skoro ma szczęście tak blisko z nim przestawać?” — zadawałam sobie pytanie. „Z pewnością ona nie kocha go naprawdę, a przynajmniej nie kocha go prawdziwym uczuciem! Gdyby go kochała, nie potrzebowałaby się tych obfitych uśmiechów, ciskać tych bezustannych spojrzeń, zdobywać się na te sztuczne miny, te wdzięczące się bez końca pozy. Zdaje mi się, że poprostu siedząc spokojnie przy jego boku, mówiąc niewiele i mniej szafując spojrzeniami, mogłaby bardziej zbliżyć się do jego serca. Widziałam na jego twarzy wyraz, o, jakże różny od tej twardej oschłości, która osiada mu na twarzy teraz, gdy ona z takim ożywieniem go zaczepia; ale wtedy ten wyraz przychodził sam z siebie; nie wywoływały go uwodzające sztuki ani wyrachowane zabiegi. Należało tylko wysłuchać go, odpowiedzieć, jeżeli pytał, bez pretensji, przemówić do niego w razie potrzeby, bez minoderji — a wtedy wyraz ten pogłębiał się, nabierał dobrotliwości, serdeczności i ogrzewał, jak promień słoneczny. Jakże ona potrafi podobać mu się, gdy się pobiorą? Myślę, że nie potrafi; a jednak można to osiągnąć; i żona jego mogłaby, wierzę w to silnie, być najszczęśliwszą kobietą pod słońcem.”

Nie zganiłam dotąd ani jednym słowem powziętego przez pana Rochestera ożenku dla interesu i stosunków. Była to zrazu dla mnie przykra niespodzianka, gdy odkryłam, że taki jest jego zamiar; miałam go za człowieka, niezdolnego do rządzenia się w wyborze żony tak pospolitemi motywami. Im dłużej jednak zastanawiałam się nad stanowiskiem, wychowaniem i t. d. obu stron, tem mniej czułam się w prawie sądzić i ganić tak jego, jak pannę Ingram za to, że postępują w myśl pojęć i zasad, wpojonych w nich niewątpliwie od dzieciństwa. Cała ich klasa hołdowała tym zasadom; przypuszczałam przeto, że mają powody do cenięcia tych zasad, powody, których ja nie umiałam zgłębić. Zdawało mi się, że gdybym była mężczyzną na jego stanowisku, przygarnęłabym do serca tylko taką żonę, którą mogłabym kochać; a że to oczy-

wiecie zapewniałoby szczęście mężczyźnie, więc muszą być chyba jakieś powody, mnie nieznanne, które się ogólnemu postępowaniu w ten sposób sprzeciwiają; gdyby nie to, byłam pewna, że wszyscy postępowaliby tak, jak ja bym postąpiła.

Ale i pod innymi względami, nie tylko pod tym sta wałam się coraz pobłażliwsza dla mojego zwierzchnika. Zapominałam o wszystkich jego błędach, których się przedtem dopatrywałam tak bacznie. Dawniej starałam się badać wszystkie strony jego charakteru; brać złe razem z dobrem, i zważywszy jedno i drugie, osądzać sprawiedliwie. Teraz nie widziałam w nim nic złego. Nie raził mnie już jego sarkazm, nie obruszała szorstkość, widziałam w tem tylko właściwość, samym kontrastem podnoszącą jego zalety. A to coś nieokreślonego — czy był to ponury czy smutny, podstępny czy rozpaczny wyraz? — To coś, co jawiło się niekiedy w jego oku i znikało, zanim można było zmierzyć dziwną głębię, częściowo odsłoniętą; to coś, wobec czego lęk mnie ogarniał i drżenie, jakgdybym, chodząc wśród wzgórz wulkanicznych, poczuła nagle grunt, chwiejący się pod nogami i rozwierającą się przepaść; to coś od czasu do czasu i teraz widywałam — zawsze z bijącym sercem, lecz już nie zdrętwiała nerwowo. Zamiast pragnąć unikać, pragnęłam tylko móc odważyć się — odgadnąć. I myślałam, że szczęśliwa jest panna Ingram, gdyż będzie mogła niehawem patrzeć w tę przepaść dowoli, badać jej tajniki i ich istotę.

Podczas tych refleksyj o moim zwierzchniku i jego przyszłej żonie, kiedy ich jedynie widziałam, słyszałam jedynie ich rozmowę, reszta towarzystwa bawiła się doskonale. Lady Lynn i lady Ingram w dalszym ciągu konferowały na uroczystych sesjach, kiwając ku sobie turbanami, podnosząc cztery ręce w górę gestami zdziwienia, tajemniczości, grozy, odpowiednio do poruszanego tematu; wyglądały jak dwie olbrzymie lale. Łagodna pani Dent rozmawiała z poczciwą panią Eshton; te dwie obdarzyły mnie niekiedy grzecznem słówkiem lub miłym uśmiechem. Sir George Lynn, pułkownik Dent i pan Eshton rozprawiali o polityce, o sprawach miejscowych

w hrabstwie, albo o kwestjach prawnych. Lord Ingram flirtował z Ameliją Eshton; Ludwika grała i śpiewała z jednym z panów Lynn, a Marja Ingram słuchała spokojnie dworskich komplementów drugiego. Niekiedy wszyscy jakgdyby za wspólną zgodą zawieszali swoją grę na stronie i słuchali głównych aktorów; gdyż, ostatecznie, pan Rochester i związana z nim panna Ingram byli duszą, ożywiającą towarzystwo. Jeżeli pan Rochester na jaką godzinę opuścił pokój, wpośród jego gości odczuwało się wyraźną nudę; wracając, wnosił świeży bodziec ożywienia i rozmowy.

Brak jego ozywczego wpływu dał się specjalnie odczuć pewnego dnia, gdy interesy zawezwały go do Millcote, nie spodziewano go się zpowrotem aż późnym wieczorem. Po południu deszcz padał; skutkiem tego trzeba było odłożyć spacer do obozu Cyganów, rozłożonego od niedawna na pastwisku za wioseczką Hay. Niektórzy z panów poszli odwiedzić stajnie; młodszy z pannami grali w bilard w pokoju bilardowym. Dwie starsze damy, pani Lynn i Ingram pocieszały się spokojną partyjką w karty. Blanka Ingram, odrzuciwszy wzdorliwym milczeniem kilka prób pani Dent i pani Eshton wciągnięcia jej do rozmowy, najpierw półgłosem zanuciła parę sentymentalnych piosenek przy fortepianie, a potem, przyniosłszy sobie jakąś powieść z biblioteki, dumna i milcząca rzuciła się na kanapę, zdecydowana czytaniem zabić nudne godziny oczekiwania. W pokoju i w całym domu panowała cisza; tylko od czasu do czasu wesole głosy bilardzistów dolatywały zgóry.

Ściemniało. Zegar ostrzegał, że już czas ubierać się na obiad, gdy Adelka, która klęczała przy mnie w zagłębieniu okna, zawołała nagle:

— *Voilà monsieur Rochester, qui revient!*

Odwrociłam się, a panna Ingram zerwała się z kanapy i rzuciła się naprzód; i inni także podnieśli oczy, nasłuchując, równocześnie bowiem rozległ się turkot kół i pluskoczący tupot nóg końskich na mokrym żwirze. Zbliżał się powóz pocztowy.

— Co mu się stało, że w ten sposób wraca? — rzekła panna Ingram. — Siedział na Mesrourze (swoim karym

koni), wtedy gdy wyjeżdżał nieprawdaż? I Pilot był z nim; gdzie on podział te zwierzęta?

Mówiąc to, swoją wysoką postać i obfitą suknię tak przybliżyła do okna, że ja musiałam się wtył odchylić, aż mi w krzyżu zatrzeszczało; cała przejęta, nie zauważyła mnie zrazu, ale gdy mnie spostrzegła, wydeła usta i posunęła się do drugiej szyby. Powóz zatrzymał się; woźnica zadzwonił, a jakiś pan, ubrany po podróżnemu, wysiadł; nie był to jednak pan Rochester; był to wysoki, elegancko wyglądający mężczyzna, człowiek obcy.

— Ach, jakże to nieznośne! — zawołała panna Ingram. — Ty nudna smarkulo! — (zwracając się do Adelki) — kto cię posadził w oknie, ażebyś dawała fałszywe wiadomości? — i rzuciła na mnie gniewne spojrzenie, jakgdybym ja była coś winna.

Trochę rozmowy dolatywało z hallu i niebawem przybysz wszedł do salonu. Ukłonił się lady Ingram, uważając ją za najstarszą z pań obecnych.

— Zdaje mi się, że przybywam nie wporę, pani — rzekł — skoro mój przyjaciel Rochester jest nieobecny; odbyłem jednak bardzo długą podróż i sądzę, że na zasadzie starej i bliskiej znajomości mogę sobie pozwolić zatrzymać się tutaj aż do jego powrotu.

Zachowanie jego było ugrzecznione; akcent w mowie uderzył mnie jako trochę niezwykły — nie wprost cudzoziemski, a jednak niezupełnie angielski; wiekiem zdawał się bliski pana Rochester, mógł mieć od trzydziestu do czterdziestu lat; cerę miał niezwykle ciemną; był to przystojny mężczyzna, zwłaszcza na pierwszy rzut oka. Przy bliższem natomiast przyjrzeniu się zauważyłam, że było w jego twarzy coś nieuchwytnego, coś, co się nie mogło podobać. Rysy miał regularne, ale jakby zbyt mało skupione, oczy wielkie i dobrze narysowane, ale wyraz w nich jakby przygasły, jakby nieobecny, tak mnie się przynajmniej wydało.

Dzwonek, oznajmiający, że czas się ubierać, rozproszył towarzystwo. Dopiero po obiedzie zobaczyłam go znowu; widać było, że czuje się zupełnie swobodnie. Ale fizjonomia jego jeszcze mniej mi się teraz podobała, niż przedtem; uderzył mnie w jego wyrazie równocześnie

brak spokoju i martwota. Oko jego błąkało się, jakgdyby bez celu: to nadawało mu szczególniejszy wyraz, jakiego nigdy u nikogo nie widziałam. Jak na przystojnego i dobrotliwego, sądząc z pozoru człowieka, dziwnie mnie czemś raził: nie było mocy w tej gładkiej twarzy o pełnym owalu; nie było charakteru w tym orlim nosie i małych, wiśniowych ustach; nie było myśli na tem niskim, równem czole; nie było władnej woli w tem pustem, ciemnym oku.

Siedząc w kąciuku i patrząc na niego, oświetlonego pełnym światłem żyrandoli, płonących nad kominkiem — zajął był fotel tuż przy ogniu i wciąż się jeszcze przysuwał, jakgdyby mu zimno było — porównywałam go z panem Rochester. Myślę, (nie obrażając nikogo) że kontrast nie mógłby być większy między gładkim gąsiorzem a dzikim sokołem, pomiędzy łagodną owcą a stróżem jej, kudłatym psem o mądrym, bystrem oku.

Mówił o panu Rochesterze, jako o starym przyjacielu. Ciekawa musiała być ta ich przyjaźń: doskonałe zobrazowanie starego powiedzenia, że „krańce się stykają”.

Dwóch czy trzech panów siedziało obok niego, a ja chwytalam niekiedy urywki ich rozmowy. Z początku niewiele mogłam zrozumieć z tego, co słyszałam, gdyż rozmowa Ludwika Eshton i Marji Ingram, siedzących bliżej mnie, plątała się z fragmentami zdań mnie dochodzących. Te dwie panienki omawiały obcego gościa; obie nazywały go „pięknym mężczyzną”. Ludwika wyraziła się, że to „przemile stworzenie” i że go „uwielbia”, a Marja, jako na wzór tego, co uważa za ideał piękności, wskazywała jego „ładne małe usta i piękny nos”.

— A jakie on ma łagodne czoło! — zawołała Ludwika — takie gładkie... nie z tych marszczących się, nieregularnych, jakich nie znoszę; i takie spokojne oczy i uśmiech!

Wtedy ku mojej radości pan Henryk Lynn zawezwał obie panienki w inny kąt pokoju, gdzie umawiano się co do odłożonej wycieczki na pastwisko w Hay.

Teraz już mogłam skupić uwagę na rozmawiających przy kominku i zaraz też dosłyszałam, że nowoprzybyły

nazywa się Mason; a potem dowiedziałam się, że dopiero świeżo przybył do Anglii i że przybywa z jakiegoś gorącego kraju; to było niewątpliwie powodem, dlaczego tak ciemną miał cerę twarzy i garnął się do kominka, nie zdjawszy okrycia w pokoju. Za chwilę nazwy Jamaika, Kingston, Spanish Town objaśniły mnie, że Indie Zachodnie są miejscem jego zamieszkania; z niemałym też zdziwieniem zrozumiałam niebawem, że tam najpierw spotkał i poznał pana Rochesterą. Mówił, że przyjaciel jego nie znosił srogich upałów, huraganów i pór deszczowych tamtej strefy. Wiedziałam, że pan Rochester dużo podróżował; mówiła mi to pani Fairfax, ale ja myślałam, że wędrówki jego ograniczały się do kontynentu Europy; dotychczas nie słyszałam żadnej wzmianki o odwiedzaniu dalszych stron świata.

Rozważałam w myśli to wszystko, gdy zdarzenie, cokolwiek niespodziewane, przerwało wątek moich dumań. Pan Mason, który trząsł się z zimna, gdy ktoś drzwi otworzył, poprosił, by węgla dołożyć do ognia, jakkolwiek gorejące żużle płonęły czerwienią i żarem. Służący, przyniosłszy węgiel — zatrzymał się wychodząc, przy krześle pana Eshton i powiedział mu coś pocichu, z czego dosłyszałam tylko słowa „stara kobieta” — „uprzykrzona”.

— Powiedz jej, że każę ją wsadzić do kozy, jeżeli się nie wyniesie — odpowiedział sędzia.

— Nie... zaczekaj! — przerwał pułkownik Dent. — Nie każ jej odprawiać, Eshton! Możemy z tego skorzystać; lepiej poradźmy się pań. — I głośno mówił dalej: — Łaskawe panie, mówiłyście, że macie zamiar pójść na pastwisko w Hay, ażeby zwiedzić obóz cygański; a oto właśnie Sam powiada, że w tej chwili jest w hallu służących stara Cyganka, która prosi, żeby ją wprowadzić przed „szlachetne towarzystwo”, bo chciałaby wróżyć. Czy macie ochotę ją zobaczyć?

— Przecież z pewnością, pułkowniku, — zawołała lady Ingram — nie zechce pan popierać takiego nędznego oszustwa? Odprawcie ją natychmiast!

— Ale ja jej nie mogę wyperswadować, żeby się wyniosła — odpowiedział służący — i nikogo też ze

służby nie słucha: pani Fairfax teraz tam przyszła i błaga ją, żeby sobie poszła; ale Cyganicha zasiadła na krześle pod piecem i dowodzi, że nic jej stamtąd nie ruszy, dopóki nie otrzyma pozwolenia i nie zobaczy się z państwem.

— Czego ona chce? — zapytała pani Eshton.

— „Chce wróżyć państwu“, powiada; i zaklina się, że musi wróżyć i wróżyć będzie.

— Jak ona wygląda? — zapytały obie panny Eshton równocześnie.

— Szkaradnie brzydka baba, panienko; prawie tak czarna, jak murzynka.

— A więc prawdziwa czarownica! — zawołał Fryderyk Lynn. — Dajcie ją tu, naturalnie! Dajcie ją tu!

— Ależ tak! — dorzucił jego brat. — Coby to była za szkoda stracić taką okazję ubawienia się!

— Moi kochani chłopcy, co wam w głowie? — zawołała pani Lynn.

— Ja nie mogę w żaden sposób pozwolić na taki nierozsądny krok! — oświadczyła lady Ingram.

— Przepraszam, ale może mama pozwoli — rozległ się wyniosły głos Blanki z taburetu przy fortepianie, gdzie dotąd siedziała milcząca, przeglądając różne nuty. Jestem ciekawa usłyszeć coś o swoich losach w przyszłości, to też, Samie, sprowadź tę starą czarownicę.

— Moja ukochana Blanko, pamiętaj...

— Tak, tak... pamiętam wszystko, co mama chce; i muszę mieć swoją wolę... śpiesz się, Samie!

— Tak!... tak!... tak!... — zawołałi wszyscy młodzi, panny i panowie. — Niechaj przyjdzie... to będzie świetna zabawa!

Służący jeszcze się wahał.

— Ona tak ordynarnie wygląda — zauważył.

— Idź! — krzyknęła panna Ingram i służący poszedł.

Podniecenie natychmiast ogarnęło całe towarzystwo: wrzała batalja żarcików i przekomarzań, gdy Sam powrócił.

— Ona tak nie chce przyjść — oznajmił. — Powiada, że nie jest powołana do tego, żeby się prezentowa

przed „pospolitą gromadą” (tak się wyraziła). Chce, żeby ją wprowadził do osobnego pokoju, a wtedy, mówi, niech ci, co chcą, abym im wróżyła, przychodzą pojedynczo pokolei.

— Więc teraz widzisz, moja królewska Blanko — zaczęła lady Ingram — że ona sobie za wiele pozwala. Bądźże rozsądna, moje anielskie dziecko... i...

— Zaprowadź ją do biblijoteki, samo się rozumie — przerwało „anielskie dziecko”. — I ja też nie jestem powołana do słuchania jej wobec „pospolitej gromady”: chce ją mieć sama tylko, dla siebie. Czy pali się ogień w biblijotece?

— Tak, proszę pani... ale ona wygląda na taką...

— Przestań pleść, głowo zakuta! i rób, co ci każę!

Znowu Sam zniknął; i zaciekawienie, podniecenie, oczekiwanie wzrosło do najwyższej potęgi.

— Jest już gotowa — oznajmił, wchodząc, służący. — Chciałaby wiedzieć, kto będzie jej pierwszym gościem.

— Sądzę, że lepiej, bym ja wpierw jej się przypatrzył, zanim która z pań do niej pójdzie — powiedział pułkownik Dent.

— Powiedz jej, Samie, że jeden pan przyjdzie.

Sam poszedł i wrócił.

— Ona powiada, proszę pana, że panów mieć nie chce, że niech się nie trudzą i nie przychodzą do niej; ani też — dodał, z trudem powstrzymując śmiech — nie chce widzieć starszych pań... tylko młode i... niezamężne.

— A, do licha! Baba ma dobry gust! — zawołał Henryk Lynn.

Panna Ingram podniosła się uroczyście.

— Ja pierwsza pójdę! — oświadczyła tonem, który byłby odpowiednim dla wodza na straconym posterunku, rzucającego się w nierówną walkę na czele garstki ludzi.

— O moja najlepsza! O, moja najdroższa! Stój!... zastanów się! — wołała jej matka; ale Blanka przesunęła się obok niej w dumnym milczeniu, wyszła przez drzwi, które dla niej pułkownik Dent trzymał otwarte, i usłyszeliśmy, że wchodzi do biblijoteki.

Stosunkowa cisza zapanowała teraz. Lady Ingram uważała, że sytuacja wymaga załamania rąk, co też uczy-

niła. Panna Marja oświadczyła, iż czuje, że nigdy się nie odważy. Amelja i Ludwika Eshton chichotały zcicha i miały minki trochę wystraszone.

Minuty upływały bardzo powoli: doliczono piętnastu, zanim się drzwi biblioteki znowu otwały. Panna Ingram wróciła do nas przez arkadę.

Czy będzie się śmiała? Czy poczyta to wszystko za żart? Wszystkie oczy pobiegły ku niej spojrzeniem żywego zaciekawienia, a ona wszystkim tym oczom odpowiedziała wzrokiem odpychającym i zimnym; nie wydawała się ani podniecona ani wesoła: sztywnym krokiem poszła na swoje miejsce i zajęła je w milczeniu.

— No i cóż, Blanko? — zapytał lord Ingram.

— Co ona ci powiedziała, siostrze? — spytała Marja.

— Co o tem myśleć? Jak się czujesz? Czy to prawdziwa wróżka? — dopytywały panny Eshton.

— Powoli, powoli, moi kochani — odpowiedziała panna Ingram — pozwólcież mi odetchnąć. Doprawdy, waszą ciekawość i łatwowierność nietrudno pobudzić. Moznaby pomyśleć, sądząc po znaczeniu, jakie wy wszyscy, nie wyłączając mojej drogiej mamy, przywiązujecie do tej sprawy, że wy stanowczo wierzycie, iż my tu mamy w domu prawdziwą czarownicę, z prawdziwym rogatym djabełem w stosunkach stojącą. Ja bo tylko widziałam Cyganicę włóczęgę; odbyła na moją intencję zwykłe, oklepane praktyki chiromanckie i to mi powiedziała, co tacy ludzie zwykle mówią. Mojej zachciance stało się zadość; a teraz myślę, że pan Eshton dobrzeby zrobił, gdyby, tak jak groził, zamknął jutro staruszkę do kozy.

Panna Ingram wzięła książkę do ręki, zagłębiła się w fotelu i w ten sposób ucięła wszelką dalszą rozmowę. Przyglądałam jej się prawie przez pół godziny; przez cały ten czas ani razu nie obróciła stronicy, a twarz jej z każdą chwilą chmurzyła się bardziej, przybierając wyraz niezadowolenia, skwaszenia i zawodu. Z tego przedłużającego się nastroju chmurnego milczenia wносиłam, że ona sama, chociaż głosiła obojętność, niepotrzebną wagę przywiązywała do czegoś, co jej powiedziano.

Tymczasem Marja Ingram, Amelja i Ludwika Esh-ton oświadczyły, że nie mają odwagi pójść każda z osobna, a jednak wszystkie pójść pragnęły. Rozpoczęto tedy negocjacje przez ambasadora Sama; po dłuższej krętaninie tam i zpowrotem, od czego Sama musiały rozboleć nogi, surowa Sybilla z wielką trudnością zgodziła się wkońcu, by panny wszystkie trzy razem ją odwiedziły.

Ich wizyta nie odbyła się tak cicho, jak wizyta panny Ingram: dolatywał nas z biblioteki to śmiech histeryczny, to lekkie okrzyki, a po jakich dwudziestu minutach usłyszeliśmy otwieranie drzwi, i panny biegnąc pędem przez hall, wszystkie trzy wpadły do salonu, jakgdyby od zmysłów odchodzące, półprzytomne ze strachu.

— Jestem pewna, że w niej jest coś niesamowitego! — wołały jedna przez drugą. — Takie nam rzeczy powiedziała! Wie o nas wszystko! — I padły, zadyszane, na foteliki, które im panowie podsuwali śpiesznie.

Gdy nalegano, prosząc o dalsze wyjaśnienia, panienki opowiedziały, że wróżka mówiła im o tem, co one mówiły i robiły, dziećmi jeszcze będąc; że opisywała książki i ozdoby, jakie miały w domu w buduarach: pamiątki, jakie od różnych krewnych dostały w upominku. Twierdziły, że nawet myśli ich odgadywała i że szepnęła każdej do ucha imię osoby, przez nią najwięcej na świecie lubionej i powiedziała im, czego sobie najgoręcej życzą.

Tutaj panowie zaczęli poważnie upraszać, by ich bliżej objaśniono co do tych dwóch ostatnich punktów; to natręctwo jednak przyniosło im tylko za całą odpowiedź rumieńce, wykrzykniki, drżenia i śmieszki. Matrony tymczasem szły na pomoc z solami, trzeźwiacemi, z wachlowaniem wachlarzami, raz poraz powtarzając, jak to źle, że panny nie posłuchały ich przestroóg zawczasu; a starsi panowie śmieli się z tego, młodszy zaś starali się usłużyć wzruszonym pięknościom.

Podczas całego tego zamieszania, podczas gdy wzrok mój i słuch pochłaniała rozgrywająca się przede mną scena, usłyszałam czyjeś chrząknięcie tuż blisko. Obejrzałam się; stał przy mnie Sam.

— Proszę pani, Cyganka mówi, że jest w pokoju jeszcze jedna panna, która dotąd u niej nie była, i zaklina się, że nie pójdzie, dopóki wszystkich nie zobaczy. Pomyślałam, że to zapewne o panią chodzi, bo zresztą niema nikogo. Co mam jej powiedzieć?

— O, pójdę, owszem, czemuby nie? — odpowiedziałam; i rada byłam z niespodziewanej możności zaspokojenia mocno pobudzonej ciekawości. Wysunęłam się z pokoju, niezauważona przez nikogo, gdyż całe towarzystwo skupiło się dokoła drżącego trio, i zamknęłam spokojnie drzwi za sobą.

— Jeżeli sobie pani życzy — rzekł Sam — będę na panią czekał w hallu; a jeżeliby ona panią przestraszyła, niech pani tylko zawoła, a wejdę.

— Nie, Samie, wracajcie do kuchni; ja się ani trochę nie boję.

I rzeczywiście nie bałam się; ale byłam mocno zaciekawiona i podniecona.

ROZDZIAŁ XIX.

Wszedłszy do biblioteki, ujrzałam Sybillę — (jeśli to była Sybilla?) — siedzącą spokojnie na fotelu przy kominku. Miała na sobie czerwony płaszcz i czarny kapeluszek cygański o szerokich krezach, spuszczonej na twarz, kształtem budki, pod przewiązaniem pasiastej chustki, zawiązanej pod brodą. Zgaszona świeca stała na stole. Cyganka chyliła się nad ogniem i przy świetle płomieni zdawała się czytać w małej czarnej książeczce, podobnej do modlitewnika; czytając, mruzczała półgłosem wyrazy, tak jak to czyni wiele starych kobiet. Nie zaraz przestała, chociaż weszłam; zdawało się, że chce doczytać do końca ustępu.

Stałam na dywaniku i grzałam sobie ręce, gdyż zziębłam w salonie. Czułam się teraz tak spokojna, jak zazwyczaj; w powierzchowności Cyganki nie było nic niepokojącego. Zamknęła książkę i powoli podniosła oczy; opuszczone krezy kapelusza częściowo zasłaniały jej twarz; mogłam jednakże dojrzeć, gdy ją podniosła,

że jest to twarz szczególniejsza. Cała była brunatna i czarna: kosmyki kołtuna sterczały z pod białej przewiązki, obejmującej jej podbródek i połowę policzków, czy raczej szczęk: spojrzenie śmiałe skierowała prosto na mnie.

— Tak więc, panienko, chcesz, żebym ci przyszłość wywróżyła? — przemówiła głosem równie stanowczym, jak jej spojrzenie, równie szorstkim jak jej rysy.

— Nie dbam o to, matko; możecie mówić, jeśli wam się podoba; ale ostrzegam was, że nie wierzę.

— Zuchwalstwo przemawia przez ciebie; spodziewałam się tego po tobie; słyszałam to w krokach twoich, gdy przechodziłaś przez próg.

— Czy tak? Macie, matko, bystre ucho.

— Tak jest; i bystre oko i bystry rozum.

— Tego wszystkiego potrzeba w waszym zawodzie.

— Prawda; zwłaszcza gdy ma się do czynienia z klientami takimi, jak ty. Dlaczego nie drżysz?

— Bo mi nie zimno.

— Dlaczego nie bledniesz?

— Bo nie jest mi niedobrze.

— Dlaczego nie chcesz radzić się mojej sztuki?

— Bo nie jestem niemądra.

Staruszka ukryła śmiech pod kapeluszem i bandażem, poczem wyciągnęła krótką czarną fajeczkę i zapaliwszy ją, zaciągnęła się dymem. Po pewnej chwili wyprostowała zgarbione plecy, wyjęła fajkę z ust i, wpa-trzona w ogień, powiedziała powoli:

— Jest ci zimno; jest ci niedobrze; i jesteś niemądra.

— Proszę mi tego dowieść — odpowiedziałam.

— Owszem, dowiodę, i to w kilku słowach. Jest ci zimno, ponieważ jesteś sama; żadne zetknięcie nie krzesze z ciebie tego ognia, który jest w tobie. Jest ci niedobrze, ponieważ najlepsze z uczuć, danych człowiekowi, najwyższe i najśodsze, trzyma się zdala od ciebie. Jesteś niemądra, ponieważ, jakkolwiek cierpisz, nie chcesz go przyzwać skinieniem, nie chcesz posunąć się krokiem tam, gdzie ono na ciebie czeka.

Przytknęła znowu do ust krótką fajeczkę i energicznie zaczęła palić.

— Moglibyście to samo powiedzieć, prawie każdej młodej kobiecie, żyjącej samotnie w zależności w wielkim domu.

— Mogłabym to powiedzieć, ale czy mówiąc to o każdej, powiedziałabym prawdę?

— O każdej, w tem co ja, położeniu.

— Tak, właśnie w tem rzecz; ale znajdź mi choć jedną, dokładnie w takim, jak twoje, położeniu.

— Łatwo byłoby znaleźć ich tysiące.

— Nie wiem, czy znalazłabyś mi choć jedną. Wiedz, że znajdujesz się w bardzo szczególnem położeniu: bardzo blisko szczęścia; tylko ci po nie sięgnąć. Materiały wszystkie są gotowe, jednym ruchem można je połączyć. Los nieco je oddalił; wystarczy zbliżyć je, a wyniknie szczęście.

— Nie rozumiem zagadek. Nigdy żadnej łamigłówni nie odgadłam w życiu.

— Jeśli chcesz, żebym mówiła wyraźniej, pokaż mi twoją dłoń. —

— Należy ją posrebrzyć?

— Naturalnie.

Dałam jej szylinga; włożyła go do starej stopy od pończochy, dobytej z kieszeni, obwiązała, schowała zpowrotem, poczem kazała mi wyciągnąć rękę. Usłuchałam. Przybliżyła twarz do mojej dłoni i przyglądała się, nie dotykając jej zgoła.

— Zbyt delikatna — rzekła. — Nie mogę niczego wyczytać z tego rodzaju dłoni; prawie pozbawiona linii; a zresztą, cóż znaleźć na dłoni? Los nie tam się pisze.

— Wierzę wam — powiedziałam.

— Nie — ciągnęła dalej — los pisze się na twarzy: na czole, dokoła oczu, w oczach samych, w linjach ust. Uklęknij i podnieś głowę.

— A! teraz przechodźcie do rzeczywistości — rzekłam, czyniąc co nakazała. — Zacznę teraz potrosze wam wierzyć.

Uklękłam o jakie pół łokcia od niej. Poruszyła ogień w piecu, tak że strumień światła trysnął z potraconych węgli: blask jednakże — tak jak ona siedziała — pograżył

tylko jej twarz w jeszcze głębszym cieniu, moją zato oświetlając.

— Ciekawa jestem, z jakimi uczuciami przyszedł tu dziś wieczór do mnie — przemówiła, popatrzwszy na mnie badawczo przez chwilę. — Ciekawa jestem, jakie myśli krążą w twojej głowie, gdy tam siedzisz godzinami wśród tych eleganckich ludzi, którzy ci się, jak obrazki w latarni magicznej, przesuwiają przed oczami — obcy ci, bez żadnej z tobą sympatycznej łączności, jakgdyby doprawdy cieniami tylko ludzi byli, a nie prawdziwymi.

-- Bywam często zmęczona, niekiedy śpiąca, ale nadto smutna.

— W takim razie musisz mieć jakąś tajemną nadzieję, która cię podtrzymuje i cieszy, szepcząc, szepcząc o przyszłości?

— O, nie! Co najwyżej mam nadzieję, że z zarobionych pieniędzy oszczędzę tyle, by kiedyś, w najętym przeze mnie domku własną otworzyć szkołę.

— Marny to karm dla ducha i niedostateczny: a siedząc tam pod oknem (jak widzisz, znam twoje zwyczaje)...

— Dowiedzieliście się od służących.

— Ach! Wyobrażasz sobie, że jesteś bardzo bystra. Zresztą, być może: prawdę mówiąc, mam ja jedną znajomą wśród służących, Grację Poole...

Usłyszawszy to imię, zerwałam się na równe nogi.

„Czy tak?... czy tak? — pomyślałam — więc jednak jest jakaś djabelska sztuka w tej całej sprawie!”

— Nie lękaj się — ciągnęła dalej dziwna istota — pani Poole to bardzo bezpieczna osoba; — dyskretna i spokojna; każdy może jej zaufać. Ale, jak mówiłam; siedząc tam pod oknem, czy o niczem nie myślisz, tylko o przyszłej szkole? Czy nikt cię nie interesuje z całego tego towarzystwa, siedzącego przed tobą na kanapach, fotelach i krzesłach? Czy niema tam żadnej twarzy, którąbyś badała? żadnej osoby, którąbyś śledziła z ciekawością przynajmniej?

— Lubię obserwować wszystkie twarze i wszystkie osoby.

— I nigdy nie wyróżniasz jednej z pomiędzy reszty — albo może dwóch?

— Owszem, często; gdy gesty albo spojrzenia jakiejś pary stają się wymowne: bawi mnie patrzeć na nich.

— Na co najchętniej lubisz patrzeć?

— O, nie mam wielkiego wyboru! Jeden naogół u nich temat — zaloty; i jedna i ta sama zapowiedź końcowej katastrofy — małżeństwo.

— A czy ty lubisz ten monotony temat?

— Osobiście nic mnie on nie obchodzi; niczem jest dla mnie.

— Niczem jest dla ciebie? Gdy panna, młoda i pełna życia i zdrowia, wybitnie piękna i obdarzona darami fortuny i stanowiska siedzi i uśmiecha się do oczu pewnego pana, którego ty...

— Którego ja... co?

— Którego ty znasz... i o którym dobrze może myślisz.

— Ja nie znam tych panów tutaj; nie wiem, czy z którym przemówiłam dwa słowa; co do tego, czy dobrze o nich myślę — to jednych uważam za szanownych, godnych, poważnych, starszych, a innych za młodych, szykownych, przystojnych i pełnych życia; ale to pewna, że mogą wszyscy przyjmować, czyje zechcą uśmiechy, dla mnie nie ma to żadnego znaczenia.

— Nie znasz tutejszych panów? Nie przemówiłaś z żadnym z nich dwóch słów? Czy możesz to powiedzieć o panu tego domu?

— Niema go w domu.

— Głęboka uwaga! Nader dowcipne igranie słowami! Pojechał dziś rano do Millcote i wróci dziś wieczór lub jutro; czy ta okoliczność wykreśla go z listy twoich znajomych — czy dlatego przestał on niejako istnieć?

— Nie; ale ja nie mogę zrozumieć, co ma wspólnego pan Rochester z tematem, który wprowadziliście.

— Mówiłam o paniach, uśmiechających się do panów; a ostatniemi czasy tyle uśmiechów wpłynęło do oczów pana Rochester, że te aż się przelewają, jak dwie przepelnione filiżanki: czy ty tego nie zauważyłaś?

- Pan Rochester ma prawo cieszyć się towarzystwem gości.
- Nikt mu nie zaprzecza tego prawa: ale czy nie zauważyłaś, że wśród wszystkich tutaj gawęd o małżeństwie, o nikim tak żywo i stale nie mówi się, jak o pannu Rochesterze?
- „Chêne ucho słuchacza podnieca język opowiadającego.”
- Powiedziałam to raczej do samej siebie, niż do Cyganek, której dziwna mowa, zachowanie się, głos, zdołały mnie tymczasem oszołomić, jakby rodzałem snu. Jedno po drugim padały z ust jej niespodziewane zdania, aż omo-tała mnie siecią tajemniczej jakiejś zagadkowości; nie pojmowałam, co za duch niewidzialny pilnował serca mojego, z dnia na dzień śledząc jego bicie, notując każde uderzenie tętna.
- Chêne ucho słuchacza! — powtórzyła — tak jest, pan Rochester godzinami przesiadywał z uchem nachylonem ku uroczym ustom, które z taką rozkoszą mówiły a mówiły! i pan Rochester tak chętnie przyjmował miode słówka i taki wdzięczny za nie się wydawał; czyś to zauważyła?
- Wdzięczny! Nie przypominam sobie, bym wdzięczność była odkryła w jego twarzy.
- Odkryła! A zatem zastanawiałaś się, badałaś, I coś odkryłaś, jeżeli nie wdzięczność?
- Nie odpowiedziałam.
- Widziałas miłość; nieprawdaż?... I patrząc w przyszłość, widziałas go zonatym, a jego żonę szczęśliwą?
- Hm!... Niezupelnie. Wasza wroźbiarska mądrość myli się niekiedy.
- A więc coś ty, u diabła, widziałas?
- Mniejsza z tem: przyszedłam tutaj, ażeby się pytać, a nie ażeby się spowiadać. Czy to wiadomo, że pan Rochester ma się ożenić?
- Tak jest; z piękną panną Ingram.
- Czy wkrótce?
- Sądząc z pozorów tak należy wnioskować; i z największą pewnością (choć ty w swem zuchwałstwie zdajesz się wątpić o tem) będzie z nich jak najszczęśliwsza para.

On musi kochać taką piękną, szlachetną, dowcipną, wykształconą kobietę; i ona prawdopodobnie kocha — a jeżeli nie jego osobę, to przynajmniej jego sakiewkę. Wiem, że uważa Rochesterą z jego dobrami za pierwszorzędną partję; chociaż (niech mi to Bóg przebaczy!) z godzinę temu powiedziałam jej w tej kwestji coś, wobec czego spoważniała dziwnie. Kąciki jej ust upadły na pół cala. Radziłabym jej czarnemu konkurentowi mieć się na baczności: jeśli się zjawi inny z dłuższym czy czystszyim wykazem dochodów — czeka go koszyk...

— Ależ, matko, ja nie przyszedłam tutaj słuchać wróżb przyszłości pana Rochesterą; przyszedłam dowiedzieć się czegoś o mojej własnej; a dotąd nic mi o tem nie powiedzieliście.

— Twój los w przyszłości jest jeszcze wątpliwy: badałam twoją twarz — jeden rys w niej przeczy drugiemu. Los odmierzył dla ciebie wielką miarę szczęścia: to wiem. Wiedziałam to, zanim tu przyszedłam dziś wieczór. Odłożył ją starannie po jednej stronie dla ciebie. Widziałam, jak to czynił. Od ciebie tylko zależy wyciągnąć rękę i wziąć, co ci przeznaczone: ale czy ty to uczynisz, oto zagadka do rozwiązania. Uklęknij jeszcze raz.

— Nie kaźcie mi klęczeć długo; ogień mnie piecze.

Uklękłam. Nie nachyliła się ku mnie, patrzyła tylko, oparta w fotelu. Zaczęła szeptać:

— Płomień tańczy w jej oku; oko błyszczący jak rosa; łagodne jest i pełne uczucia; uśmiecha się, słysząc mój żargon: wrażliwe jest; wrażenie za wrażeniem przemyka po czystej jego sferze; gdy przestaje się uśmiechać, jest smutne; bezwiedne znużenie ciąży na jego powiece; to oznacza melancholję, wypływającą z samotności. Odwraca się ode mnie; unika dalszego badania; zdaje się przeczyć drwiącem spojrzeniem prawdzie odkryć, które już zrobiłam — zdaje się przeczyć zarzutowi uczuciowości i smutku. Duma jego i rezerwa utwierdzają mnie tylko w mojem zdaniu. Oko jest przychylne.

Co do ust — usta lubią niekiedy śmiać się wesoło; skłonne są dzielić się wszystkim, co przez myśl przechodzi, choć sądzę, że milczałyby o niejednym, co do-

świadczą serce. Ruchliwe, wrażliwe, nie po to stworzone, by zaciskać się w wiecznym milczeniu samotności; to są usta, które powinny mówić wiele i uśmiechać się często, i ludzkie uczucia mieć za słuchacza. Ten rys także jest przychylny.

Jedyne go wroga pomyślnego wyniku widzę tylko w czole; a czoło to zdaje się mówić: „Potrafię żyć sama, jeżeli poczucie własnej godności i okoliczności zażądają tego ode mnie. Mam w głębi duszy skarb wrodzony, który potrafi utrzymać mnie przy życiu, gdyby wszelkie z zewnątrz płynące radości były mi wzbronione, lub ofiarowane jedynie za cenę, której zapłacić nie mogę.” Czoło oświadcza: „Rozum stoi pewno i dzierży cugle i nie pozwoli uczuciom ponosić i pędzić ku dzikim przepaściom. Niech sobie namiętności, pogańskie plemię, szaleją wściekle; niechaj pragnienia snują w wyobraźni ułudne mary: ale zdrowy sąd będzie miał zawsze i w każdym sporze ostatnie słowo i rozstrzygający głos w każdej decyzji. Może przyjdzie wichra, trzęsienie ziemi, pożar: ale ja zawsze słuchać będę wskazań tego cichego głosu, który tłumaczy rozkazy sumienia.”

Dobrze mówisz, szlachetne czoło; wola twoja zostanie uszanowana. Ułożyłem swoje plany — słusznymi je mienię — stosowałem się w nich do wymagań sumienia, do wskazań rozumu. Wiem, jak prędko zwiędłaby młodość, zmarniałby kwiat, gdyby czara ofiarowanego szczęścia kryła choć trochę mętów wstydu, choć najlżejszy posmak wyrzutu sumienia; i nie chcę poświęcenia, żalu, zatury, o nie! Pragnę ogrzać, nie zmrozić — zyskać wdzięczność, nie krwawe łzy... nie, nawet nie słone; żniwem mojem muszą być uśmiechy, słowa pieśzcotliwe, słodka... Dosyć. Zdaje mi się, że śnię w jakiejś rozkosznej gorączce. Pragnąłbym teraz przedłużyć tę chwilę w nieskończoność — ale nie śmiem. Dotychczas opanowywałem się całkowicie. Grałem swoją rolę tak, jak sobie przypisyłem, że ją zagram; grać dłużej byłoby może ponad moje siły. Niech pani powstanie, panno Eyre; niech mnie pani opuści; *e finita la commedia*.

Gdzie to ja byłem? Czy sen to, czy jawa? Czy może śniłem? Czy sen ten trwał jeszcze? Głos starej kobiety

zmienił się; jej akcent, jej gest, wszystko tak mi było znajome, jak własna twarz w zwierciedle. Wstałam. ale nie odeszłam. Spojrzałam; poprawiłam ogień i znowu spojrzełam: ale ona ściągnęła kapelusz i bandaż mocniej na twarz i znowu skinęła, że mam odejść. Płomień oświecił wyciągniętą rękę: rozbudzona teraz, goniąc za odkryciem, odrazu zauważyłam tę rękę. Nie była to wyschła starcza ręka, lecz zaokrąglona, giętka, o gładkich, kształtnych palcach; szeroki pierścień błysnął na małym palcu, a na tym pierścieniu poznałam szlachetny kamień, setki razy oglądany. I znowu spojrzełam na twarz; twarz ta już nie odwracała się ode mnie — przeciwnie, kapelusz i bandaż były zrzucone, głowa swobodna.

— I cóż, panno Joanko, czy poznaje mnie pani? — zapytał głos dobrze znajomy.

— Niech pan tylko zdejmie ten czerwony płaszcz, a wtedy...

— Ale sznurek zaplątał się na węzeł — pomóż mi.

— Niech go pan zerwie.

— Ot, co!... „Precz, wy pożyczane szaty!”

I pan Rochester ukazał się bez przebrania.

— Ależ, panie, co za dziki pomysł!

— Ale dobrze wykonany, co? nieprawdaż?

— Wobec pań musiał pan dobrze grać.

— A z tobą nie?

— Ze mną nie grał pan roli Cyganki.

— Jakaż więc rolę grałem? Czy własną?

— Nie; jakąś niewyraźną. Krótko mówiąc, myślę, że pan chciał ze mnie coś dostać — albo mnie naciągnąć; prawil pan niedorzeczności, żeby mnie na niedorzeczności wyciągnąć. To niekoniecznie ładnie, łaskawy panie.

— Przebaczasz mi to, panno Joanko?

— Nie wiem, dopóki się nad tem wszystkim nie zastanowię. Jeżeli, po namyśle, przekonam się, że nie naplotłam jakich wielkich głupstw, będę się starała przebaczyć panu; ale to nie było słusznie ze strony pana.

— Ach, zachowałeś się bardzo właściwie, bardzo ostrożnie, bardzo rozsądnie.

Zastanowiłam się i doszłam do przekonania, że ogółem biorąc, tak też i było. Pocieszyło mnie to; ale bo

też uważałam i byłam ostrożna od samego początku rozmowy. Podejrywałam jakąś maskaradę. Wiedziałam, że Cyganki i wróżbiarki nie wyrażają się w ten sposób, jak ta rzekoma stara baba; przytem zauważyłam, że mówi sztucznie zmienionym głosem i że starannie twarz ukrywa. Myśl moja jednakże krążyła dokoła Gracji Poole, tej żyjącej zagadki, tej tajemniczej dla mnie istoty. Nie pomyślałam nawet o panu Rochesterze.

— O czymże to panna Joanna дума? — zapytał. — Co oznacza ten poważny uśmiech?

— Zdziwienie i zadowolenie z siebie. Pozwala mi pan teraz usunąć się, nieprawdaż?

— Nie, jeszcze chwilę. Powiedz mi, co tam ludzie robią w salonie?

— Przypuszczam, że rozprawiają o Cygance.

— Usiądź! Powiedz mi, co o mnie mówili.

— Lepiej, żebym się już nie zatrzymywała; musi być blisko jedenastej. Ach, ale czy też pan wie, że obcy jakiś gość przybył tu podczas nieobecności pańskiej?

— Obcy gość!... nie; któż to być może? Ja nie oczekiwałem nikogo; czy odjechał?

— Nie; powiedział, że zna pana oddawna i że może sobie pozwolić zainstalować się tutaj aż do pańskiego powrotu.

— A niechże go lichol! Tak powiedział?! Czy podał swoje nazwisko?

— Jego nazwisko jest Mason, panie, a przybywa z Indyj Zachodnich; zdaje mi się, że z Spanish Town na Jamajce.

Pan Rochester stał przy mnie; ujął był moją rękę z zamiarem poprowadzenia mnie do krzesła. Gdym mówiła, ścisnął mi tę rękę konwulsyjnie; uśmiech na ustach jego zamarł, jakgdyby kurcz zatamował mu oddech.

— Mason!... Indje Zachodnie! — powiedział tonem natężonym, nastawionego na te jedyne słowa. — Mason... Zachodnie!... — powtórzył.

Trzy razy wymówił te słowa, błędąc coraz bardziej; było mi się, że traci przytomność.

— Czy panu słabo? — zapytałam.

— Panno Joanko, cios mnie dotknął; dotknął mnie cios, panno Joanko! — Zatoczył się.

— O, niech się pan na mnie wesprze!

— Panno Joanko, ofiarowałaś mi ramię swoje już raz; wesprę się na niem i teraz...

Podprowadziłam go do krzesła, prosił, żebym usiadła przy nim. Trzymając rękę moją w obu swoich, głośkał ją, patrząc na mnie równocześnie wzrokiem jakgdyby strwożonym i wielce strapionym.

— Moja mała przyjaciółko! — mówił — o, gdybym mógł znaleźć się gdzieś na jakiej spokojnej wyspie z tobą jedną tylko — a troska i niebezpieczeństwo i ohydne wspomnienia gdyby mogły być mi odjęte!

— Czy mogłabym być panu pomocną?... Życiebym oddała, by móc usłużyć panu.

— Panno Joanko, jeśli pomoc będzie mi potrzebna, zwrócę się do ciebie; to ci przyrzekam.

— Dziękuję! Niech mi pan powie, co mam zrobić... spróbuję przynajmniej zrobić, co pan każe.

— Tymczasem przynieś mi, panno Joanko, kieliszek wina z jadalni; będą tam teraz siedzieli przy kolacji; i powiedz mi, czy Mason jest z nimi i co robi.

Poszłam. Zastałam całe towarzystwo w jadalni przy kolacji; nie siedzieli przy stole — kolacja ustawiona była na kredensie; każdy brał, co mu się podobało i jedli, stojąc tu i tam grupkami, z talerzami i kieliszkami w rękę. Wszyscy wydawali się w doskonałym humorze; śmiano się i rozmawiano z ożywieniem. Pan Mason stał przed kominkiem, rozmawiając z pułkownikiem i z panią Dent i zdawał się równie wesół, jak wszyscy. Nalałam wina do kieliszka (widziałam, że panna Ingram patrzy na mnie, marszcząc czoło; uważała widać, że zanadto sobie pozwałam), i powróciłam do biblioteki.

Niezmierna bladeść pana Rochestera minęła, wyglądał znowu stanowczo i surowo. Wziął z mojej ręki kieliszek.

— Za twoje zdrowie, duchu pomocny! — powiedział. Połknął wino i oddał mi kieliszek. — Co oni tam robią, panno Joanko?

— Śmieją się i rozmawiają!

— Czy nie mają min poważnych i tajemniczych, jak-gdyby coś dziwnego usłyszeli?

— Bynajmniej: żartują, wesołość ich ponosi.

— A Mason?

— I on się śmiał.

— Gdyby wszyscy ci ludzie weszli tutaj gromadą i napluli na mnie, co byś ty zrobiła, panno Joanko?

— Wypędziłabym ich z pokoju, panie, gdybym mogła. Uśmiechnął się słabo.

— Ale gdybym ja poszedł do nich, a oni tylko popatrzyli na mnie chłodno, poszeptali między sobą drwiąco i zaczęli się wynosić pokolei, zostawiając mnie samego, co wtedy? Czy poszłabyś razem z nimi?

— Myślę, że chyba nie; milejby mi było pozostać z panem.

— Ażeby mnie pocieszać?

— Tak, panie, ażeby pana pocieszać, o ileby to było w mojej mocy.

— A gdyby oni za to, że trwasz przy mnie, obrzucili cię pogardą?

— Prawdopodobnie nicbym o tej ich pogardzie nie wiedziała; a gdyby nawet, nie dbałabym o nią wcale.

— Tak więc dla mnie potrafiłabyś stawić czoło ob-mowie?

— Potrafiłabym to uczynić dla każdego przyjaciela, któryby wart był, ażeby przy nim stała, tak jak z pewnością pan wart jest tego.

— Wróćże tam teraz do pokoju; podejdź spokojnie do pana Mason i szepnij mu do ucha, że Rochester wrócił i pragnie się z nim zobaczyć: przyprowadź go tutaj, a potem zostaw nas samych.

— Dobrze, panie.

Spełniłam jego rozkaz. Całe towarzystwo wytrzeszczało na mnie oczy, gdy szłam wśród nich prosto do miejsca, gdzie stał pan Mason; powtórzyłam mu, co miałam poleczone; wyszedł za mną z pokoju, wpuściłam go do biblioteki, a potem poszłam na górę.

O później godzinie, gdy już czas jakiś leżałam w łóżku, usłyszałam gości, wracających do swoich pokoi: rozróżniłam głos pana Rochester'a i usłyszałam, jak mówił:

— Tędy, proszę cię, tędy; ten jest twój pokój.

Mówił wesoło; swobodny ton głosu uspokoił mnie. Wkrótce zasnęłam.

ROZDZIAŁ XX.

Zapomniałam dnia tego zaciągnąć zasłonę koło łóżka, co zwykle czyniłam, a także spuścić storę u okna. To też, gdy księżyc w pełni posunął się tak daleko, że przez niezastłoniętą szybę oświecił moje posłanie, blask jego mnie obudził. Zbudzona w głębi nocy, otworzyłam oczy i popatrzyłam na twarz księżycy — srebrno-białą, jak kryształ czystą. Piękna była, lecz zbyt uroczyista: uniosłam się i wyciągnęłam rękę, chcąc zaciągnąć zasłonę.

Wielki Boże! Co za krzyk!

Noc — jej spokój — jej ciszę rozdarł dziki, ostry, przeraźliwy głos, wstrząsający domem od końca do końca.

Pulsa moje stanęły; serce bić przestało; wyciągnięta ręka zdrętwiała. Krzyk zamarł i nie powtórzył się więcej. W istocie, żadne stworzenie, któreby krzyk tak okropny wydało, nie mogłoby powtórzyć go prędko; żaden potężny kondor z gniazda swojego na szczytach Andów po tak przeraźliwym krzyku nie mógłby go powtórzyć, nie odpocząwszy przed nowym wysiłkiem.

Głos ten płynął z trzeciego piętra, gdyż dochodził z góry. I na górze też — tak, w pokoju tuż nad moim sufitem — posłyszałam teraz śmiertelną walkę: śmiertelną wydawała się, sądząc po hałasie; równocześnie nawpół zduszony głos zawołał po trzykroć zrzędu:

— Na pomoc! Na pomoc! Na pomoc!

— Czyż nikt nie pójdzie? — zawołałam; a wtedy, podczas gdy borykanie się i dziki tupot trwał dalej — doleciało mnie przez sufit i ściany wołanie:

— Rochester! Rochester! Na miłość boską, przyjdź!

Drzwi jakieś otworzyły się; ktoś biegł, ktoś pędził wzdłuż korytarza. Na podłodze nade mną usłyszałam inne czyjeś kroki i coś upadło. Teraz nastąpiła cisza.

Zarzuciłam na siebie ubranie, chociaż groza wstrząsała mnie dreszczem; wyszłam z pokoju. Wszyscy śpiący pobudzili się: okrzyki, szeptu przerażenia słychać było we wszystkich pokojach; odmykały się drzwi jedne za drugimi; to jedna osoba wyglądała, to znowu druga; korytarz się zapełnił. Panowie i panie, wszyscy powstawali. W zamieszaniu ze wszystkich stron rozległy się pytania: „Ach, co to jest?...” „Czy się komu co złego stało?...” „Co się stało?...” „Przynieś świecę!...” „Czy to pożar?...” „Czy to rozbójnicy?...” „Dokąd my ucieknijemy?...” Gdyby nie światło księżyca, byłiby wszyscy w zupełnej ciemności. Biegali tam i zpowrotem, skupili się w gromadę: ktoś kłął, ktoś się potykał i zataczał, zamęt był nieopisany.

— Gdzież u licha jest Rochester? — zawołał pułkownik Dent. — Nie widzę go w łóżku!

— Tutaj jestem! Tu! — odkrzyknięto mu w odpowiedzi. — Bądźcie wszyscy państwo spokojni; już idę.

Tu otworzyły się drzwi na końcu korytarza i ukazał się pan Rochester z świecą w rękę: wracał z trzeciego piętra. Jedna z pań podbiegła natychmiast ku niemu; chwyciła go za ramię: była to panna Ingram.

— Cóż to za straszny wypadek się zdarzył? — przemówiła. — Niech pan mówi. Niech pan nam najgorsze powie odrazu!

— Tylko niech mnie panie nie przewrócą albo nie uduszą — odpowiedział; gdyż teraz uczepliły się go obydwie panny Eshton, a dwie starsze damy w obszernych białych szlafrokach płynęły prosto na niego jak okręty z rozwiniętymi żaglami.

— Wszystko w porządku!... Wszystko w porządku! — wołał. — To poprostu scena z „Wiele hałasu o nic”. Panie, usunąć się, bo stanę się niebezpiecznym!

I niebezpiecznym się wydawał: czarne jego oczy cisnęły błyskawice. Opanowując się z wysiłkiem dodał:

— Jedna z służących miała zmoreń nocną; nic więcej. Jest to osoba wrażliwa, nerwowa; wydało jej się przez

sen, że widzi jakąś zjawę, czy coś podobnego, i ze strachu dostała nerwowego ataku. A teraz muszę prosić, żebyście państwo powrócili do sypialń, bo, dopóki w domu nie zapanuje spokój, nie można się nią należycie zająć. Panowie, bądźcie łaskawi dać paniom dobry przykład. Panno Ingram, jestem pewien, że pani okaże się wyższą ponad niemądre strachy. Amelko, Ludwiko, wracajcie do swych gniazdek, jak para posłusznych gołąbków. Mesdames (tu zwrócił się do dwóch matron), zaziębicie się, jak Bóg na niebie, jeżeli dłużej stać będziecie w tej zimnej galerji.

I tak, to łagodząc, to rozkazując, zdołał nakoniec zapędzić wszystkich do sypialń. Ja zaś, nie czekając na rozkaz, usunęłam się do swojej, niezauważona przez nikogo.

Nie miałam mimo to zamiaru kłaść się do łóżka; przeciwnie, ubrałam się starannie. Odgłosy, które mnie doszły po owym krzyku, i słowa wypowiedziane, słyszałam prawdopodobnie jedna tylko, gdyż płynęły one z pokoju położonego nad moim. Sądząc z nich jednak, byłam pewna, że nie sen służącej taką grozą wstrząsnął cały dom i że wyjaśnienie, podane przez pana Rochesterę, było prostym jego wymysłem dla uspokojenia gości. Ubrałam się przeto, ażeby w razie potrzeby być gotową. Ubrawszy się, siedziałam długi czas przy oknie, patrząc na cichy ogród i osrebrzone pola w oczekiwaniu sama nie wiedząc czego. Zdawało mi się, że jakieś zdarzenie musi nastąpić po tym dziwnym krzyku, tej walce i tem wołaniu.

Tymczasem nie: spokój powrócił; wszelki szept, wszelki ruch ustawał stopniowo i może w jaką godzinę później zapanowała w Thornfield Hall cisza jak na pustyni. Noc i sen objęły dom w posiadanie. Tymczasem i książę kłonił się już ku zachodowi. Zamiast siedzieć w chłodzie i w ciemności, pomyślałam, że raczej wyciągnę się ubrana na łóżku. Odeszłam od okna i jak najciszej przeszłam po dywanie; w chwili, gdy nachylałam się, by zdjąć trzewiki, ostrożna ręka cicho zapukała do drzwi.

— Czy jestem potrzebna? — zapytałam.

— Czy panna Joanna wstała? — zapytał głos, którego się spodziewałam, głos pana Rochesterę.

— Tak, panie.

— I ubrana?

— Tak jest.

— Więc proszę wyjść, ale spokojnie.

Usłuchałam. Pan Rochester stał na korytarzu, trzymając świecę.

— Jesteś mi potrzebna — rzekł — pójdz tędy; ale nie śpiesz się i nie rób hałasu.

Miałam na nogach cienkie pantofle, mogłam więc po chodniku korytarza stapać cicho jak kot. Pan Rochester szedł wzdłuż korytarza i po schodach, aż wkońcu zatrzymał się w niskim, ciemnym korytarzu nieszczęsnego trzeciego piętra; ja szłam za nim i stanęłam przy jego boku.

— Czy nie masz gąbki w swoim pokoju? — zapytał szeptem.

— Mam owszem.

— A sole... sole trzeźwiące?

— I te mam także.

— Więc wracaj i przynieś jedno i drugie.

Poszłam, zabrałam oba przedmioty i powróciłam. Pan Rochester czekał, trzymał w ręku klucz; zbliżywszy się do jednych z tych małych, czarnych drzwi, wsunął go w zamek; zatrzymał się jednak i znów zwrócił się do mnie:

— Czy nie robi ci się słabo na widok krwi?

— Sądzę, że nie; jednak nie byłam dotąd nigdy wystawiona na próbę.

Uczułam dreszcz, gdy to mówiłam; nie zrobiło mi się jednak ani zimno ani słabo.

— Pokaż mi rękę — rzekł — nie możemy ryzykować omdlenia.

Podaliśmy mu rękę.

— Ciepła i spokojna — zauważył.

Przekręcił klucz i otworzył drzwi.

Ujrzałam pokój, który, pamiętałam, że widziałam już przedtem, wtedy, kiedy pani Fairfax oprowadzała mnie po domu. Pokój zawieszony był makatami; w jednej części jednak makata była teraz odgarnięta i widać było drzwi, wtedy niewidoczne. Drzwi te były otwarte; światło świeciło w pokoju w głębi; słyszałam stamtąd płynący

jakiś chrapliwy pomruk, przypominający warczenie psa. Pan Rochester, postawiwszy świecę, powiedział do mnie: „Poczekaj chwilę”, poczem wszedł do wewnętrznego pokaju. Powitał go wybuch śmiechu — hałaśliwy zrazu, a kończący się tem, właściwem Gracji Poole, djabelskim ha! ha! A więc ona tam się znajdowała... Pan Rochester coś tam zarządził, nic nie mówiąc, chociaż słyszałam zwracający się do niego cichy głos; — wyszedł i zamknął drzwi za sobą.

— Przyjdź tutaj, panno Joanko! — zwrócił się teraz do mnie.

Przeszłam na drugą stronę wielkiego łóżka, które z zapuszczonemi firankami zasłaniało znaczną część pokaju. Fotel stał w głowach łóżka; w tym fotelu siedział mężczyzna, cały ubrany, z wyjątkiem ściągniętego surduta; siedział cichy, z głową wtył przechyloną, z zamkniętymi oczyma. Pan Rochester oświecił go świecą; poznałam w jego bladej, napozór martwej twarzy — obcego przybysza, pana Mason. Zauważyłam, że bielizna jego z jednego boku i na jednym ramieniu przesiąknięta była krwią.

— Potrzyмай mi świecę — rzekł pan Rochester.

Usłuchałam. Przyniósł z umywalni miednicę z wodą.

— I to mi przytrzymaj.

Zrobiłam, jak kazał. Wziął gąbkę, zanurzył ją w wodzie i zwilżył nią trupio bladą twarz; zażądał ode mnie buteleczki z solami i przytknął ją do nozdrzy zemdlonego. Pan Mason niebawem otworzył oczy; jęknął. Pan Rochester rozpiął koszulę rannego, którego barki i ramie było obandażowane; zebrał gąbką krew, kroplami szybko ściekającą.

— Czy jest bezpośrednio niebezpieczeństwo? — szepnął pan Mason.

— Cóż znowu! Nie — to proste zadrażnienie. Nie przerażaj się tak, człowieku: trzymaj się! Sprowadzę ci teraz chirurga, ja sam: do rana, mam nadzieję, będzie ci można stąd wywieźć. Panno Joanko — zwrócił się do mnie.

— Słucham.

— Będę cię musiał zostawić w tym pokoju z tym oto panem na godzinę, a może na dwie; będziesz zbierała gąbką krew, jeśli się znów pokaże, tak jak ja to czynię; gdyby mu się słabo robiło, podasz mu do ust tę szklanę z wodą, która tu na półce stoi, i sole podsuniesz mu pod nos. Nie mów do niego pod żadnym pozorem, a ty, Ryszardzie, naraziłbyś się na niebezpieczeństwo życia, gdybyś mówił do niej; jeżeli otworzysz usta albo poruszysz się, nie odpowiadam za następstwa.

Biedny człowiek znowu jęknął; zdawało się, że nie śmie się ruszyć; strach przed śmiercią czy przed czem innym, paraliżował go poprostu. Pan Rochester wsunął mi skrwawioną gąbkę do ręki, a popatrzawszy przez chwilę, jak jej używam, rzucił jeszcze te słowa: „Pamiętaj! żadnej rozmowy!” i wyszedł z pokoju. Dziwnego doznałam uczucia, gdy klucz zgrzytnął w zamku i zamarł odgłos oddalających się kroków.

Więc oto byłam tutaj, na trzecim piętrze, zamknięta w jednej z tych tajemnych celek; dokoła mnie noc; błądy i krwawy widok przed oczyma — a drzwiami za ledwie odgradzona ode mnie, morderczyni; tak, to było przerażające — resztę mogłam znieść, ale drżałam na myśl, że Gracja Poole może wypaść i rzucić się na mnie.

Muszę jednakże wytrwać na stanowisku. Muszę śledzić tę twarz widmową, te sine, milczące wargi, którym nie wolno się poruszyć — te oczy, to zamknięte, to otwierające się, to błędzące po pokoju, to utkwione we mnie, a zawsze powleczone tępotą grozy. Muszę raz po raz zanurzać rękę w miednicy skrwawionej wody i ocierać krew kapiącą. Muszę patrzeć na to, jak światło nieobjaśnionej świecy przygasa nad moją robotą; jak ciemniejszą cienie na haftowanej starożytnej makacie dokoła mnie, czarne pod zasłonami wielkiego starego łóżka, dziwnie drzące nad drzwiami wielkiej szafy naprzeciw, której front, podzielony na dwanaście pól, dźwigał grubo rzeźbione głowy dwunastu apostołów, gdy na szczycie ponad niemi wznosił się hebanowy krzyż z konającym Chrystusem.

I w miarę, jak przewalająca się ciemność, to znów błyski światła błakały się to tu, to tam, wyłaniał się z cienia to brodaty św. Łukasz o pochylonem czole, to św. Jan

o długich, falujących włosach, to znów jawiła się djabelska twarz Judasza, nabierała życia i zdawało się, że lada chwila przedzierzgnie się w oblicze arcyzdrajcy — samego szatana.

Wpółśród wszystkiego tego musiałam nietylko czuwać, ale nasłuchiwać; wytężyć słuch, czy nie usłyszę ruchów tej dzikiej bestji, czy też szatana, w owej przez drzwi sąsiedniej norze. Jednakże od chwili bytności pana Rochester'a jakby czar jakiś ją uciszył; przez całą noc usłyszałam jedynie trzy odgłosy w długich odstępach czasu: skrzypnięcie czyjegoś kroku, chwilowe wznowienie chrapiwego, psiego pomruku i głęboki ludzki jęk.

A wtedy własne myśli zaczęły mnie dręczyć. Jakaż to zbrodnia żyła tutaj, wcielona, w tym ustronnym domu, której ani wygnać, ani opanować nie mógł jego właściciel?... Jaka tajemnica, wybuchająca to ogniem, to krwią w późnych godzinach nocy? Cóż to za stworzenie było, co, ukryte w twarzy i postaci zwykłej kobiety, odzywało się raz głosem drwiącego demona, to znów krzykiem drapieżnego ptaka, szukającego padliny?

A ten człowiek, nad którym się pochylałam, ten zwykły, spokojny cudzoziemiec, co jego wplątało w tę sieć, pełną grozy? Dlaczego napadła go ta furja? Co mu kazało błąkać się po tej części domu o tak niezwykłej porze, kiedy powinien był we śnie spoczywać? Słyszałam, jak pan Rochester wskazywał mu pokój na dole — cóż go tu sprowadziło? A dlaczego teraz taki był uległy, chociaż doświadczył gwałtu czy też zdrady? Dlaczego tak spokojnie godził się na ukrycie, którego żądał pan Rochester? Ale dlaczego pan Rochester żądał tego ukrycia? Na gościa jego uczyniono zamach, niedawno na własne jego życie ohydnie nastawano, a on tak jedno, jak drugie, zasłaniał tajemnicą i puszczał w niepamięć. Zauważyłam poprzednio, że pan Mason ulegał panu Rochesterowi, że tegoż gwałtowna wola władała bezwzględnie biernością tamtego: upewniło mnie o tem tych parę słów, które zamienili. Widoczne było, że w dawniejszych ich stosunkach bierne usposobienie jednego było pod stałym wpływem czynnej energii drugiego; gdzież więc źródło tego przerażenia, z jakim pan Rochester usłyszał o przy-

byciu pana Masona? Dlaczego samo imię tej uległej osobistości, którą jak dziecko samem słowem mógł prowadzić, raziło go kilka godzin temu, jak grom?

O! nie mogłam zapomnieć wyrazu jego i bladeści, gdy szepnął: „Panno Joanko, dotknął mnie cios... cios mnie dotknął, panno Joanko!” Nie mogłam zapomnieć, jak drżała ta ręka, którą oparł na mojem ramieniu; a nie mogła to być drobna sprawa, skoro mogła tak pognać śmiałego ducha, tak wstrząsnąć potężną postacią Rochesterą.

„Kiedyż on wróci? Kiedyż on wróci?” — wołałam w głębi duszy, gdy noc tak się przeciągała, przeciągała, a mój krwawiący pacjent słabł, wzdychał i jęczał. A tu ani dzień nie nadchodził, ani pomoc nie przybywała. Już kilka razy przysuwałam szklanekę z wodą do zbieleńszych warg Masona, raz po raz podawałam mu trzeźwiące sole. Wysiłki jednak moje wydawały się bezskuteczne: czy to cierpienie fizyczne czy moralne, czy też utrata krwi sprawiła, czy wszystko to razem, dosyć, że siły jego wyczerpywały się prędko. Jęczał i wyglądał taki słaby, błędny i bezwładny, że obawiałam się, iż umiera; a nawet mówić do niego nie było mi wolno.

Świeca, wypalona do końca, zgasła nareszcie; ujrzałam wtedy smugi szarego światła po brzegach stopy: świeciło. Zaraz też usłyszałam szczenie Pilotą w odległej jego budzie na podwórzu; odżyła we mnie nadzieja. I niedaremna: w pięć minut, później zgrzyt klucza, lekkie skrzypnięcie drzwi zwiastowały mi kres mego czuwania. Nie mogło ono trwać więcej, niż dwie godziny, a jednak zdawało mi się, że okres kilku tygodni nie trwałby dłużej.

Pan Rochester wszedł do pokoju, a z nim chirurg, po którego pojechał.

— A teraz, Carter, śpiesz się — zwrócił się pan Rochester do chirurga. — Daję ci tylko pół godziny czasu na opatrzenie rany, założenie bandażu, sprowadzenie pacjenta nadół i wszystko.

— Czy jednak będzie go można ruszyć?

— Bezwątpienia; to nic poważnego; jest zdenerwowany, trzeba w nim podtrzymać ducha. Dalej, bierz się do roboty.

Pan Rochester odsunął ciężką portjerę, podniósł płócienną storę i wpuścił ile można dziennego światła. Zdziwiłam się i ucieszyłam, widząc, jak świt się posunął, jakie różowe pręgi zaczynają rozświecać wschód nieba. Następnie pan Rochester zbliżył się do Masona, którego już chirurg wziął w obroty.

— No i cóż, mój pocziwcze, jak się czujesz? — zapytał.

— Zamordowała mnie, lękam się — brzmiała słaba odpowiedź.

— Nic podobnego! Nie traćże odwagi! Od dziś za dwa tygodnie śladu po tem nie zostanie: straciłeś trochę krwi, to i wszystko. Carter, zapewnijże go, że niema niebezpieczeństwa.

— Mogę to sumiennie uczynić — powiedział Carter, który tymczasem rozwinął bandażę. — Tylko żałuję, że nie mogłem być tu trochę wcześniej: nie byłby tak bardzo krwawił... ale co to? Ciało na ramieniu jest rozszarpane, nietylko przecięte. To nie jest rana, zadana nożem: tu były zęby w robociel

— Ugryzła mnie — szepnął pacjent. — Szarpała mnie, jak tygrysica, gdy Rochester wydarł jej nóż.

— Nie powinienesz być ustępować; powinienesz być odrazu z nią walczyć — powiedział pan Rochester.

— Ale w tych warunkach cóż można było zrobić? — odparł Mason. — Ach, to było straszne! — dodał, wstrząsając się. — A ja się tego nie spodziewałem; taka się z początku wydawała spokojna!

— Przestrzegałem cię — odpowiedział jego przyjaciel; — mówiłem: strzeż się, gdy się do niej będziesz zbliżał. Zresztą mogłeś być zaczekać do jutra i pójść tam razem ze mną. To było proste szaleństwo urządzić te odwiedziny dziś w nocy, i to samemu.

— Myślałem, że będę mógł jakiś wpływ dobry wyrzeć.

— Myślałeś! Myślałeś! Doprawdy, gdy cię słucham tracę cierpliwość, z tem wszystkiem ucierpiałeś i jeszcze

pewnie dosyć będziesz cierpiał za to, żeś nie posłuchał mej rady, więc już nic więcej nie powiem. Carter... śpiesz się! śpiesz się! Słońce wszędzie niezadługo, a ja go muszę stąd wyprowadzić.

— Zaraz, panie; ramię już obandażowałam. Teraz muszę opatrzyć tę drugą ranę na przedramieniu: i tu, zdaje mi się, pracowały jej zęby.

— Ssała krew: powiedziała, że wyssie ze mnie serce — szepnęła Mason.

Widziałam, jak się pan Rochester wzdrygnął; dziwnie mocny wyraz wstrętu, obrzydzenia, nienawiści wykrzywił jego twarz; powiedział jednak tylko:

— No, bądźże cicho, Ryszardzie, i nie rób sobie nic z jej bredzenia; nie powtarzaj tego.

— Chciałbym zapomnieć — brzmiała odpowiedź.

— Zapomnisz, skoro raz kraj ten opuścisz; gdy wrócisz do Spanish Town, będziesz mógł o niej myśleć jak o umarłej i pochowanej — albo raczej, nie potrzebujesz wcale o niej myśleć.

— Niepodobieństwem będzie zapomnieć o tej nocy!

— Nie jest to żadne niepodobieństwo; zdobądźże się człowieku raz na trochę energii! Dwie godziny temu myślałeś, że już po tobie, a oto teraz żyjesz w najlepsze i rozmawiasz. Ot widzisz! Carter już prawie skończył swą robotę; teraz ja ciebie przywoicicie ogarnę. Panno Joanko (tu zwrócił się do mnie po raz pierwszy od powrotu) weź ten klucz: idź nadół do mojej sypialni, stamtąd prosto naprzód do mojej ubieralni: otwórz górną szufladę komody i wydobądź czystą koszulę i krawat; przynieś je tutaj, a spraw się zrzęcznie.

Poszłam; wedle jego wskazówek znalazłam wymienione rzeczy i powróciłam z niemi.

— A teraz, panno Joanko, — powiedział — przejdź na drugą stronę łóżka, podczas gdy ja go będę ubierał; ale nie wychodź z pokoju; możesz być jeszcze potrzebna.

Usunęłam się, tak jak rozkazał.

— Czy nikt się nie ruszał na dole, gdy tam schodziłaś, panno Joanko? — zapytał w tej chwili pan Rochester.

— Nie, panie, było wszędzie bardzo cicho.

— Gładko cię wyprowadzimy, Ryszardzie; i tak będzie lepiej, zarówno dla ciebie, jak dla tego tam nieszczęsnego stworzenia. Długo się o to starałem, by nie przyszło do publicznego odkrycia i nie chciałbym, żeby do tego dojść miało nakoniec. Proszę cię, Carter, pomóż mu włożyć kamizelkę. Gdzieś ty zostawił płaszcz futrzany? Nie możesz bez tego mili ujechać, ja wiem, w tym przeklętym zimnym klimacie. W twoim pokoju?... Panno Joanko, pobiegnij proszę, do pokoju pana Masona... sąsiedni z moim — i przynieś płaszcz, który tam zobaczysz.

Znowu pobiegłam i znowu wróciłam, niosąc ogromny płaszcz, podbity i obłożony futrem.

— A teraz, panno Joanko, mam nową posyłkę dla ciebie — powiedział mój niezmordowany zwierzchnik. — Musisz znów polecieć do mojego pokoju. Co za szczęście, że się suwasz na aksamitnych podeszwach. Pospolity posłaniec na nicby się w tym wypadku nie przydał. Musisz otworzyć środkową szufladę w moim stoliku toaletowym i wyjąć stamtąd małą buteleczkę i szklaneczkę, którą tam znajdziesz, ale żywo!

Poleciałam i przyniosłam żądane przedmioty.

— To dobrze! A teraz, doktorze, pozwolę sobie zadać lekarstwo ja sam, na moją własną odpowiedzialność. Dostałem ten kordjał w Rzymie, od włoskiego szarlatana-draba, któregoś ty kopnął. Nie można tego używać we wszelkich wypadkach, ale dobre jest w niektórych razach; tak jak teraz, na przykład. Panno Joanko, trochę wody!

Wyciągnął małą szklaneczkę, a ja napełniłam ją do połowy z karafki, stojącej na umywalni.

— Dosyć; a teraz zwilżyj brzeg buteleczki.

Zrobiłam to; odmierzył dwanaście kropel karmazynowego płynu i podał to Masonowi.

— Wypij, Ryszardzie; to ci na jaką godzinę doda otuchy, której ci potrzeba.

— Czy tylko mi to nie zaszkodzi?... czy to nie wywołuje zapalenia?

— Pijże! pij! pij!

Pan Mason usłuchał, ponieważ, oczywiście opierać się byłoby rzeczą daremną. Był już teraz ubrany, i blade, bez śladów krwi i zabrudzenia. Pan Rochester pozwolił mu posiedzieć trzy minuty po zażyciu lekarstwa, poczem ujął go pod ramię.

— Teraz jestem pewien, że potrafisz utrzymać się na nogach — rzekł. — Spróbuj.

Pacjent powstał.

— Carter, weź ty go pod drugie ramię. Bądź dobrej myśli, Ryszardzie; no ruszże się... tak... o, widzisz!

— Czuję się lepiej — zauważył pan Mason.

— Byłem tego pewien. A teraz, panno Joanko, idź. proszę, naprzód przed nami tylnymi schodami. Otwórz drzwi od bocznego korytarza i powiedz woźnicy pocztowego ekwipażu, którego zobaczysz na podwórzu — albo tuż za bramą, gdyż powiedziałem mu, żeby terkoczącymi kołami nie jechał po bruku — ażeby był gotów, że idziemy; ale, ale... panno Joanko, gdyby się tam kto kręcił, stań u stóp schodów i chrząknij.

Wybiło już tymczasem pół do szóstej i słońce wzejść miało za chwilę; w kuchni jednakże zastałam jeszcze ciemności i ciszę. Drzwi od bocznego korytarza były zaryglowane; otworzyłam je, jak mogłam, najciszej; wszędzie na podwórzu panował spokój, ale bramy były szeroko otwarte i stała tam karetka pocztowa z zaprzęgniętymi końmi i woźnicą na koźle. Zbliżyłam się i powiedziałam mu, że panowie już idą; skinął na to głową, ja zaś rozejrzałam się uważnie dokoła i nasłuchiwałam. Ciszka wczesnego ranka zalegała wszędzie; zasłony nad oknami pokoi służących były jeszcze zaciągnięte; małe ptaszki ćwierkały w kwiatami ubielonych drzewach sadu, których gałęzie, jak białe girlandy, przewieszały się przez mur, zamykający z jednej strony podwórze; konie powozowe tupały raz po raz w zamkniętych stajniach: nad wszystkim innem panowała cisza.

Teraz ukazali się panowie. Mason, podpierany z obu stron przez pana Rochester i chirurga, szedł stosunkowo swobodnie; pomogli mu wsiąść do karetki; Carter wsiadł za nim.

— Polecam go twojej opiece — powiedział pan Rochester do doktora. — Nie wypuść go z twęgo domu, dopóki zupełnie nie wydobrzeje; dojadę za dzień albo dwa dni przekonać się, jak on się miewa. Ryszardzie, jakże się czujesz?

— Świeże powietrze orzeźwia mnie, Edwardzie.

— Doktorze, zostaw okno po jego stronie otwarte; niema wiatru. Bywaj zdrów, Dicku!

— Edwardzie...

— Czego sobie życzysz?

— Daj jej dobrą opiekę; każ ją traktować jak najłagodniej i najczulej; każ ją... — tu przerwał i rozpląkał się.

— Robię wszystko, co mogę; robiłem to i będę robił — brzmiała odpowiedź; zamknął drzwiczki karetki i ekwipaż ruszył.

— Ale dałby Bóg, żeby się to wszystko raz mogło skończyć! — dodał pan Rochester, zamykając i utwierdzając ciężkie bramy podwórzowe.

Poczem ruszył roztargniony, wolnym krokiem ku drzwiom w murze, okalającym sad. Mniemając, że już mu jestem niepotrzebna, zamierzałam wrócić do domu, gdy znów usłyszałam wołanie: Panno Joanko! Otworzył drzwi i stał przy nich, czekając na mnie.

— Pójdźmy odetchnąć przez chwilę świeżością — rzekł. — Ten dom to poprostu więzienie; czy tego nie odczuwasz?

— Mnie się on wydaje wspaniałą rezydencją.

— Urok niedoświadczenia masz na oczach — powiedział; — widzisz ten dom przez zaczarowane szkła: nie potrafisz dopatrzeć, że poziłota to błoto, jedwabne draperje to pajęczyny; że marmur to ordynarny łupek, politurowane drzewo to nędzne heblowiny i chropawa kora. Ale tutaj (tu wskazał na liściaste otoczenie dokoła nas) — tu wszystko jest rzetelne, miłe i czyste.

Szedł wzdłuż ścieżki, po jednej stronie obsadzonej bukszpanem, jabłoniąmi, gruszkami i czereśniami, po drugiej obwiedzonej grządką różnych kwiatów, lewkonij, gwoździków, prymul, bratków, zmieszanych z polnemi różyczkami i różnemi wonnemi ziołami. Były tak świe-

że, jak tylko być mogły, po szeregu kwietniowych deszczyków i słonecznych prześwietleń w ten uroczy wiosenny poranek; słońce właśnie wypływało na zaróżowione od wschodu niebo, a promienie jego oświecały kwiatem i rosą osypane drzewa owocowe i cieniste ścieżki pod niemi.

— Panno Joanko, czy mam ci dać kwiatek?

Zerwał nawpół rozwiniętą różę, pierwszą na krzaku i podał mi.

— Dziękuję panu.

— Czy lubisz wschód słońca? To niebo z temi lekkiemi tam wysoko chmurkami, które z pewnością rozwieją się w miarę, jak dzień będzie się ogrzewał, to pogodne, wonne powietrze?

— O, bardzo.

— Dziwną noc spędziłaś, panno Joanko.

— Tak, panie.

— I pobladłaś od tego, czy bałaś się, gdym cię zostawił samą z Masonem?

— Bałam się, żeby kto nie wyszedł z tamtego pokoju w głębi.

— Ależ ja zamknąłem drzwi — klucz miałem w kieszeni: byłbym bardzo niedbałym pasterzem, gdybym był zostawił owieczkę — moją najmilszą owieczkę — niestrzeżoną, tak blisko jaskini wilka; byłaś zupełnie bezpieczna.

— Czy Gracja Poole będzie tu dalej mieszkała, panie?

— O, tak! nie zaprzataj sobie nią głowy, wygnaj tę sprawę z myśli.

— Jednakże zdaje mi się, że życiu pańskiemu grozi niebezpieczeństwo, dopóki ona tu pozostaje.

— Nie bój się, będą się strzegł.

— Czy niebezpieczeństwo, którego się pan wczoraj lękał, minęło do tego czasu?

— Nie mógłbym za to ręczyć, dopóki Mason nie opuści Anglii; a i wtedy nawet nie. Życie dla mnie, panno Joanko, to stać na skorupie krateru, która może pęknąć i każdej chwili wybuchnąć ogniem.

— Jednakże pan Mason wydaje się człowiekiem, którego łatwo prowadzić. Widocznie pan ma wielki wpływ na niego; on nigdy się panu nie sprzeciwi ani rozmyślnie nie skrzywdzi pana.

— O nie! Mason mi się nie sprzeciwi; ani też z wiedzą i wolą krzywdy mi nie wyrządzi — ale, bez złego zamiaru, mógłby w jednej chwili, jednym nieostrożnym słowem, pozbawić mnie, jeżeli nie życia, to szczęścia na zawsze.

— Niech mu pan powie, żeby był ostrożny, niech mu pan powie, czego się pan obawia i niech go pan nauczy, jak ma unikać niebezpieczeństwa.

Roześmiał się sarkastycznie, chwycił moją rękę i natychmiast odrzucił ją od siebie.

— Gdybym mógł to zrobić, ty naiwne stworzenie, gdzieżby było niebezpieczeństwo? Zniknęłoby odrazu. Odkąd znam Masona, wystarczy, bym mu powiedział „zrób to”, a on to natychmiast robi. Ale w tym wypadku ja mu nie mogę dawać rozkazów, nie mogę mu powiedzieć: „strzeż się, byś mi krzywdy nie wyrządził, Ryszardzie”, gdyż on w żaden sposób nie może wiedzieć, że mi się krzywdą stanie. Teraz wyglądasz zdziwiona, jak wobec zagadki; ale ja jeszcze dalej zagadkowo mówić będę. Jesteś moją przyjaciółką, wszak prawda?

— Lubię przysłużyć się panu i słuchać go we wszystkim, co słuszne.

— Tak, właśnie; ja widzę, że tak jest. Widzę szczerze zadowolenie w ruchach twych, w oczach, w twarzy, gdy mi pomagasz i dogadzasz, pracując dla mnie i ze mną we wszystkim, co, jak się tak charakterystycznie wyraziłaś, jest słuszne; bo gdybym zażądał od ciebie czegoś, cobyś uważała za niesłuszne, nie byłoby tego lekkonogiego biegania, tego zręcznego pośpiechu, tego zwawego spojrzenia i ożywionej cery. Przyjaciółka moja spojrzałaby wtedy na mnie, spokojna i blada i powiedziałaaby: „Nie, panie, to niemożliwe; ja tego zrobić nie mogę, ponieważ to jest niesłuszne”. I byłaby niewzruszoną, jak gwiazda stała. Tak, tak, i ty naszą władzę nade mną i mogłabyś mi krzywdę wyrządzić; ale ja nie śmiem ci pokazać miej-

sca, gdzie mogłabyś zadać ranę, gdyż, choć taka wierna i przyjacielska, przebiłabyś mnie odrazu.

— Jeżeli pana Masona nie ma pan powodu więcej się lękać, niż mnie, to zaiste, bezpieczeństwo pańskie jest zupełne.

— Bógby to dał, żeby tak było! Tutaj, panno Joanko, jest altanka; siądź.

Altankę stanowiło sklepienie zagłębienie w murze, oplecione bluszczem; wewnątrz było proste siedzenie. Pan Rochester zajął je, zostawiając dla mnie miejsce przy sobie; ja jednakże stałam.

— Usiądź — powtórzył. — Ławka jest dosyć długa, dość na niej miejsca dla dwojga. Nie lękasz się chyba usiąść obok mnie, co? Czy uważałabyś to za niesłuszne, panno Joanko?

Zamiast odpowiadać, usiadłam; czułam, że niemądrze byłoby odmawiać.

— A teraz, moja przyjaciółeczko, podczas gdy słońce spija rosę — podczas gdy wszystkie kwiaty w tym starym ogrodzie budzą się i rozwijają, ptaki piskłtom swoim znoszą śniadanie, a wczesne pszczoły zaczynają swoją dzienną pracę — przedłożę ci sprawę, którą postaraj się uważać za swoją własną. Przedewszystkiem jednak popatrz na mnie i powiedz, czy czujesz się swobodną, czy nie lękasz się, że błądzę, zatrzymując cię, albo że ty błądzisz, pozostając.

— Nie, panie; jestem swobodna i zadowolona.

— A więc, panno Joanko, wezwij na pomoc wyobraźnię. Wyobraź sobie, że już nie jesteś dziewczęciem dobrze wychowanym i opanowanym, ale rozpuszczonym chłopcem, którego rozpieszczano od dzieciństwa; wyobraź sobie siebie w dalekim obcym kraju; przypuść, że popełniasz tam wielki błąd, mniejsza o to jakiej natury i z jakich powodów, ale taki, którego następstwa musisz ponosić przez całe życie i który zatruwa całe twoje istnienie. Zwracam uwagę, że nie nazwałem jego zbrodnią; nie mówię tu o rozlewie krwi ani innym zawinionym czynie, który stawiałby sprawę w kolizji z prawem; wyraziłem się „błąd”. Rezultaty tego, coś uczyniła, stają się dla ciebie zczasem wprost nieznośne. Przedsięwzięsz środki,

by uzyskać ulgę: niezwykle środki, ale ani przeciwne prawu, ani nacechowane winą. Pomimo to jesteś nieszczęśliwą, gdyż nadzieja opuściła cię u samego wstępu do życia; słońce twe o południu uległo zaćmieniu i czujesz, że tak zostanie aż do zachodu. Gorzkie, nikczemne wspomnienia stały się jedynym pokarmem twojej pamięci. Tułasz się, to tu, to tam, szukając odpoczynku na obczyźnie, szczęścia w uciechach bezdusznych, zmysłowych uciechach, co oszałamiają myśl i mrożą uczucie. Z sercem znużonem i oschłą duszą wracasz do domu po latach dobrowolnego wygnania. Zawierasz nową znajomość — jak i gdzie, o to mniejsza; w tym nowym znajomym znajdujesz wiele dobrych i jasnych zalet, których napróżno szukałaś przez lat dwadzieścia, a takie świeże są one, takie zdrowe, bez plamy i bez skazy... Takie towarzystwo wskrzesza życie, odradza. Czujesz, że teraz wracają dni lepsze, podnioślejsze pragnienia, czystsze uczucia; pragniesz na nowo rozpocząć życie, spędzić pozostałe dni jego w sposób godniejszy istoty nieśmiertelnej. Dla osiągnięcia tego celu, czy masz prawo przeskoczyć zapórę zwyczajową — prostą konwencjonalną przeszkodę, której ani sumienie twoje nie uświęca, ani twój sąd nie uznaje?

Zamilkł, czekając na odpowiedź. I cóż ja mogłam odpowiedzieć? O, gdyby jaki dobry duch chciał mi podszepnąć trafną, zadowalającą odpowiedź! Daremne pragnienie! Wietrzyk zachodni szeptał w bluszczach dokoła mnie, ale żaden dobrotliwy Ariel nie przemówił do mnie jego tchnieniem; ptaki śpiewały wśród gałęzi, ale śpiew ich, chociaż słodki, nie kształtował się w wyrazy.

Tu znowu pan Rochester zadał pytanie.

— Czy taki błędzący grzesznik, ale teraz żalem zdjęty, pragnący spokoju, ma prawo, wbrew opinii świata, przywiązać do siebie na zawsze to miłe, wdzięczne, mądre stworzenie, zdobywając przez to własny spokój duszy i odrodzenie życia?

— Panie — odpowiedziałam — ani odpoczynek tułacza ani poprawa grzesznika nie powinny nigdy zależeć od istoty bliźniej. Ludzie umierają; filozofom często brakuje mądrości, chrześcijanom dobroci; jeżeli ktoś — kogo pan znał — cierpiał i błędził, niechaj spojrzy wyżej po-

nad swoich bliźnich, szukając tam siły ku poprawie i pociechy, kojącej cierpienie.

— Ale narzędzie — narzędzie! Bóg, który spełnia dzieło, wyznacza narzędzie. Ja sam — mówię ci to teraz bez obłonek — byłem człowiekiem wykolejonym, błądzącym, grzesznym, i wierzę, że ku uleczeniu swemu znalazłem narzędzie w...

Przerwał; ptaki śpiewały dalej, liście lekko szeleściły. Aż dziwno mi było, że nie przerwały śpiewów i szeptów, by pochwycić najbliższe słowo wyznania; ale długo musiałyby czekać, gdyż długo trwało milczenie. Nakoniec podniosłam oczy na milczącego towarzysza; on przenikliwie wpatrywał się we mnie.

— Przyjaciółeczko — przemówił zmienionym zupełnie tonem, podczas gdy i twarz jego przybrała inny wyraz, tracąc łagodność i powagę, a przyoblekając szorstkość i sarkazm — zauważyłaś moje tkliwe uczucia dla panny Ingram: czy nie sądzisz, że, gdybym się z nią ożenił, onaby mnie niesłychanie i skutecznie powiodła ku odrodzeniu?

Podniósł się szybko, poszedł sam aż na drugi koniec ścieżki, a wracając, nucił jakąś melodję.

— Panno Joanko, panno Joanko — rzekł, stając przede mną — strasznie pobladłaś wskutek tego czuwania; czy nie przeklinasz mnie za to, że ci zakłóciłem spokój?

— Miałabym pana przeklinać? Nie, panie.

— Więc podaj mi rękę na potwierdzenie tego. O, jak zimne paluszki! Ciepłejsze były, kiedy dotknąłem ich w nocy przed drzwiami tajemniczego pokoju. Panu Joanko, kiedy znów czuwać będziesz wraz ze mną?

— Kiedy będę mogła być pożyteczną, panie.

— Naprzykład w przeddzień mojego ślubu! Jestem pewien, że wtedy nie będę mógł spać. Czy przyrzekniesz mi, że posiedzisz ze mną i dotrzymasz mi towarzystwa? Do ciebie mogę mówić o mojej ślicznej; gdyż teraz ty ją widziałaś i znasz ją.

— Tak panie.

— Wyjątkowa piękność, nieprawdaż, panno Joanko?
— Tak panie.

— Okazała kobieta — prawdziwie okazała, panno Joanko: brunetka, wielka i pełna; włosy zupełnie takie, jak jej włosy, musiały mieć damy Kartaginy... Masz tobie! Oto Dent i Lynn zaszli do stajni! Wracaj przez ogród, przez tę furtkę.

Poszłam w jedną stronę, on poszedł w drugą i usłyszałam, jak na podwórzu mówił wesoło:

— Mason wstał najwcześniej z was wszystkich dziś rano; wyjechał przed wschodem słońca; ja wstałem o czwartej, żeby go pożegnać.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



10805/30









542403

Biblioteka Narodowa
Warszawa

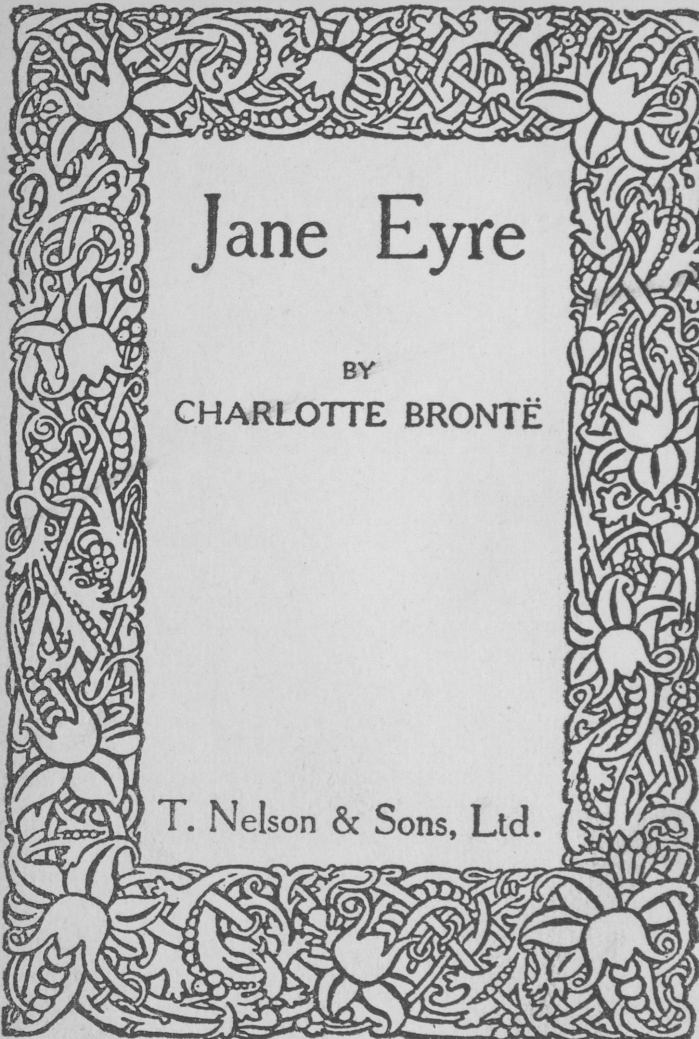


30001008704892



13

DZIWNE LOSY JANE EYRE



Jane Eyre

BY
CHARLOTTE BRONTË

T. Nelson & Sons, Ltd.

KAROLINA BRONTĚ

DZIWNE LOSY JANE EYRE

POWIEŚĆ

TOM II.

PRZEKŁAD TERESY ŚWIDERSKIEJ



NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAN — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN



I.542.403/2

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001008704908

TŁOCZONO W DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU
NA PAPIERZE Z WŁASNEJ FABRYKI PAPIERU „MALTA”.
WINIETA OKŁADKOWA MOLLY BUKOWSKIEJ WYKONANA
W ZAKŁADACH WŁASNYCH TECHNIKĄ OFSETOWĄ.

ROZDZIAŁ XXI.

Przeczcucia, sympatje i znaki są to trzy dziwne zjawiska, które razem tworzą tajemnicę, ale do tej ludzkość jeszcze nie znalazła klucza. Nigdy nie wyśmiewałam przeczuć, gdyż doświadczałam ich sama. Wierzę, że istnieją niezrozumiałe dla nas śmiertelników sympatje, jak na przykład sympatja między krewnymi, którzy albo wcale albo mało się znają. Istnienie takich uczuć stwierdza bodaj pochodzenie ich z jednego źródła. A znaki? Czyż możemy wiedzieć? Może to poprostu dowody wyższej sympatji dla człowieka?

Będąc jeszcze małą dziewczynką, może sześciolletnią, słyszałam, jak raz Elżbietka Lieven opowiadała Marcie Abbot, że śniła o małym dziecku, i że sen o dzieciach to nieomylny znak zmartwienia dla tego, co śni, albo dla jego krewnych. To wyjaśnienie byłoby mi może wyszło z pamięci, gdyby następujący zaraz potem wypadek nie był go utrwalił. Elżbietkę nazajutrz wezwano z domu do umierającej siostrzyczki.

W ostatnich czasach często przypominało mi się to opowiadanie i ten wypadek, przez cały bowiem poprzedni tydzień rzadko minęła noc, któraby mi nie przyniosła snu o małym dziecku; to piastowałam je na ręku, to kołysałam na kolanach, to przyglądałam się bawiącemu się stokrotkami na trawniku, to maczającemu rączki w bieżącej wodzie. Jednej nocy było to dziecko płaczące, innej znowu śmiejące się; raz tuliło się do mnie, kiedy indziej uciekało ode mnie; jakkolwiek jednak zdradzało humor, jakkolwiek był jego wygląd, przez siedm nocy zrzędu zjawiało się z chwilą, gdy wstępowałam w krainę snów.

Niemily był ten dziwny powrót jednego pojęcia, jednego obrazu, i czułam się zdenerwowana, gdy nadcho-

dziła godzina spoczynku. Z takiego snu o małym dziecku zbudziłam się owej nocy księżycowej, gdy usłyszałam ten straszny krzyk; po obiedzie zaś dnia następnego zawzwano mnie nadół, zawiadamiając, że w pokoju pani Fairfax jest ktoś, kto chce się ze mną widzieć. Przyszedłszy tam, ujrzałam czekającego na mnie człowieka, z pozoru służącego dworskiego: ubrany był w głęboką żałobę, a kapelusz, który trzymał w rękę, otoczony był krepą.

— Zapewne pani nie przypomina mnie sobie, panienko — zaczął, wstając, gdy weszłam — ale nazywam się Lieven; służyłem za stangreta u pani Reed, gdy pani była w Gateshead, ośm czy dziewięć lat temu, i dotychczas tam służę.

— O Robercie! jak się macie? Bardzo dobrze was pamiętam; pozwoliliście mi czasem przejechać się na karym kucyku panny Georgjany. A jakże się miewa Elżbietka? Wyście się z Elżbietką ożenili, nieprawdaż?

— Tak, panienko; moja żona ma się doskonale, dziękuję; dała mi jeszcze jedno malutkie ze dwa miesiące temu, troje teraz mamy — i zdrowi są oboje: matka i dziecko.

— A we dworze czy wszystko dobrze, Robercie?

— Bardzo mi żal, że nie mogę dać panience lepszych o państwu wiadomości: bardzo tam źle u nich teraz, wielkie mają zmartwienie.

— Przecież chyba nikt nie umarł? — rzekłam, spojrzawszy na jego czarne ubranie.

On także popatrzył na krepę dokoła swego kapelusza i odpowiedział:

— Pan Jan umarł, wczoraj minął tydzień, w mieszkaniu swoim w Londynie.

— Pan Jan?...

— Tak jest.

— I jakże matka jego to znosi?

— Bo, widzi panienska, to nie jest zwyczajne nieszczęście: on prowadził hulaszczcze życie; przez te ostatnie trzy lata puścił się na dziwne wybryki, a śmierć jego była skandalem.

— Słyszałam od Elżbietki, że nie prowadził się dobrze.

— Nie prowadził się dobrze! Nie mógł się gorzej prowadzić: stracił zdrowie i zrujnował majątek wśród najgorszych towarzyszy i najgorszych kobiet. Wpadł w długi i dostał się do więzienia. Matka uratowała go dwa razy, ale jak tylko znalazł się na wolności, wracał do dawnych towarzyszy i dawnych przyzwyczajzeń. Nie miał mocnego rozumu; łotry, wśród których żył, nabrały go, że to wszelkie pojęcie przechodzi. Ze trzy tygodnie temu przyjechał do Gateshead i chciał, żeby mu pani oddała wszystko. Pani odmówiła, i tak środki jej oddawna były uszczuplone z winy jego rozrzutności; to też wyjechał zpowrotem, a wkrótce przyszła wiadomość, że nie żyje. Jak umarł, Bóg to wie... Mówią ludzie, że sam sobie życie odebrał.

Milczałam; straszne to były wieści. Robert Lieven mówił dalej:

— Pani już od pewnego czasu szwankowała na zdrowiu; utyla bardzo, ale sił jej brakło, a strata pieniędzy i strach przed ubóstwem zupełnie ją podcinały. Wiadomość o śmierci pana Jana i o tem, jaką ta śmierć była, zbyt nagle ją doszła; to spowodowało atak paraliżu. Na trzy dni odjęło jej mowę, ale ostatniego wtorku było jej jakoby lepiej; zdawało się, że chce coś powiedzieć, i wciąż dawała znaki mojej żonie i coś bełkotała. Dopiero wczoraj zrozumiała Elżbietka, że pani wymawia imię panienki; nakoniec zrozumiała wyrazy: „Sprowadźcie Joannę... sprowadźcie Joannę Eyre, chcę z nią pomóc”. Elżbietka nie jest pewna, czy pani jest przy zdrowym rozumie i czy te słowa co znaczą, ale powtórzyła je pannom Reed i radziła, żeby posłać po panią. Panny odkładały to z początku, ale matka ich tak się zaczęła niepokoić i tyle razy powtarzała „Joanna, Joanna”, że zgodziły się wkońcu. Ja wczoraj wyjechałem z Gateshead; ale jeżeli panienka może być gotowa, radbym panią zabrać ze sobą jutro rano.

— Dobrze, Robercie, będę gotowa: zdaje mi się, że powinnam pojechać.

— I ja tak myślę, panienko. Elżbietka powiedziała, że jest pewna przyjazdu panienki; ale panienka zapewne będzie musiała poprosić o urlop, zanim będzie mogła wyjechać?

— Naturalnie, i zaraz też to uczynię.

I zaprowadziwszy go do hallu służących, poleciłam go opiece żony Jana i Janowi samemu, a sama poszłam poszukać pana Rochesterera.

Nie było go w dolnych pokojach; nie było go na podwórzu, w stajniach, w ogrodzie. Zapytałam panią Fairfax, czy go widziała; tak, zdawało jej się, że gra w bilard z panną Ingram. Pośpieszyłam przeto do pokoju bilardowego; dolatywał stamtąd stuk kul i gwar głosów; pan Rochester, panna Ingram, obiedwie panny Eshton i ich wielbiciele uczestniczyli w grze. Potrzebowałam zdobyć się na trochę odwagi, by przerwać tak interesującą partję; nie mogąc jednak odwlekać sprawy, przybliżyłam się do pana domu, stojącego obok panny Ingram. Gdy się przysuwałam, panna Ingram obróciła się i spojrzała na mnie z góry; oczy jej zdawały się pytać: „Co tu może chcieć to pełzające stworzenie?“, gdy zaś cichym głosem przemówiłam: „Panie Rochester...“ uczyniła ruch, jakby miała ochotę drzwi mi pokazać. Pamiętam, jak wyglądała w tej chwili, a wyglądała wdzięcznie i uderzająco ładnie: miała na sobie ranną toaletę z jasnoniebieskiej krepy, błękitny gazowy szalik owinięty dokoła głowy. Była wielce ożywiona grą, a podrażniona pycha nie zeszpeciła wyrazu dumnych jej rysów.

— Czy ta osoba ma do pana interes? — zapytała pana Rochesterera; a wtedy pan Rochester obejrzał się, chcąc się przekonać, kto to taki ta „osoba“. Po twarzy jego przemknął ciekawy wyraz, jeden z tych jego dziwnych, dwuznacznych wyrazów, odrzucił kij i wyszedł za mną z pokoju.

— No i cóż, panno Joanko? — zapytał, oparty plecami o drzwi szkolnego pokoju, które był zamknął za sobą.

— Jeżeli pan łaskaw, chciałabym prosić o urlop na wyjazd na tydzień, a może na dwa.

— POCO?... Dokąd chcesz jechać?

— Odwiedzić chorą osobę, która po mnie przysłała.

— Co za chorą osobę?... gdzie ona mieszka?

— W Gateshead, w hrabstwie X.

— W hrabstwie X? To sto mil stąd! Któż to być może, kto z takiej odległości przysłał po ludzi i każe się odwiedzać?

— Nazwisko jej Reed... to pani Reed.

— Reed z Gateshead? Był taki Reed z Gateshead, sędzia.

— To wdowa po nim, panie.

— A co ty, panno Joanko, masz z nią wspólnego? Skądże ją znasz?

— Pan Reed był moim wujem, bratem mojej matki.

— Doprawdy? Nigdy mi o tem nie mówiłaś; zawsze mówiłaś, że nie masz żadnych krewnych.

— Żadnych, którzyby się chcieli przyznać do mnie. Wuj Reed umarł, a wdowa po nim wyrzekła się mnie.

— Dlaczego?

— Ponieważ byłam biedna, byłam dla niej ciężarem i nie lubiła mnie.

— Ale Reed pozostawił dzieci? Musisz mieć kuzynów. Sir George Lynn mówił wczoraj o młodym Reed z Gateshead, jednym z najgorszych nicponiów w mieście, a Ingram wspominał o pannie Georgjanie Reed, również z Gateshead, wielce podziwianej piękności rok czy dwa lata temu w sezonie londyńskim.

— Jan Reed także już nie żyje, panie Rochester: zrujnował siebie i poczęści swoją rodzinę. Przypuszczają, że popełnił samobójstwo. Te wiadomości takie wrażenie wywarły na matce, że tknęła ją apopleksja.

— I cóż ty jej dobrego możesz zrobić? To nie ma sensu, panno Joanko! Nigdyby mi nie przyszło do głowy pędzić sto mil, ażeby odwiedzić starą kobietę, która może umrzeć, zanim do niej dojedziesz; a przytem, powiadasz, że się ciebie wyparła.

— Tak, ale to dawno temu i kiedy jej stosunki inaczej się układały; nie miałabym spokojnego sumienia, gdybym teraz nie spełniła jej życzenia.

- Jak długo chcesz tam zabawić?
- Jak będę mogła najkrócej.
- Przrzecz mi, że zabawisz tam tylko tydzień...
- Wolałabym nie dawać słowa, może musiałabym

je złamać.

— W każdym razie powrócisz, panno Joanko: pod żadnym pozorem nie dasz się u niej zatrzymać na stałe?

— O nie! Z pewnością powrócę, jeśli wszystko będzie dobrze.

— A kto z tobą pojedzie? Przecież nie pojedziesz sto mil sama?

— Nie, panie, przysłała po mnie swojego stangreta.

— Czy to człowiek godzien zaufania?

— O tak, od lat dziesięciu służy w tej rodzinie.

Pan Rochester rozmyślał chwilę.

— Kiedybyś chciała pojechać?

— Jutro wcześniej rano, panie.

— No dobrze; będzie panna Joanka potrzebowała pieniędzy; nie możesz puszczać się w podróż bez pieniędzy, a przypuszczam, że wiele ich nie masz: ja pannie Joance dotychczas nie płaciłem pensji. Ile też masz całego majątku, Joanko? — zapytał, uśmiechając się.

Wyciągnęłam sakiewkę; chuda była jej zawartość.

— Pięć szylingów, panie.

Wziął sakiewkę, wytrząsnął sobie cały skarb na dłoń i śmiał się, jakgdyby jego szczupłość go bawiła. Niebawem wyciągnął portfel.

— Weź to — rzekł, podając mi banknot.

Był to banknot pięćdziesięciofuntowy, a był mi wienien tylko piętnaście funtów. Powiedziałam mu, że nie mogę wydać reszty.

— Ja nie potrzebuję reszty; przecież wiesz. Bierz swoją pensję.

Nie chciałam przyjąć więcej, niż mi się należało. Zmarszczył się zrazu, ale wnet, jakgdyby sobie coś przypominał, powiedział:

— Słusznie! Słusznie! Lepiej ci teraz wszystkiego nie dawać: zostałaś tam może ze trzy miesiące, gdy-

byś miała całe pięćdziesiąt funtów. Oto masz dziesięć; czy to nie dosyć?

— Tak, panie, ale teraz winien mi pan jeszcze pięć.

— To wracaj po nie; masz u mnie czterdzieści funtów.

— Panie Rochester, może dobrze będzie, jeżeli wspomnę panu o jeszcze jednym interesie, skoro mam po temu sposobność.

— O interesie? Ciekaw jestem usłyszeć o jakim.

— Pan mi to tak jakby oznajmił, nieprawdaż, że niezadługo zamierza się pan ożenić?

— Prawda — i cóż stąd za wniosek?

— W tym wypadku, panie, Adelka powinna pójść do szkoły: pan z pewnością uzna tę konieczność.

— Ażeby ją usunąć z drogi mojej przyszłej żonie, która w przeciwnym razie przesłaby po niej bez dalszych ceremonij. Tak, niewątpliwie to myśl rozsądna. Adelka, jak mówisz, musi iść do szkoły, a panna Eyre, naturalnie, musi iść prosto — do diabła?

— Niekoniecznie, panie, ale muszę sobie poszukać posady gdzie indziej.

— Czas na to! — zawołał, zmieniając głos i wykrzywiając twarz zarazem dziwacznie i śmiesznie.

Popatrzył na mnie przez dobrą chwilę.

— I stara pani Reed i panny, jej córki, będą zapewne proszone o wyszukanie ci posady?

— Nie, panie, nie jestem z krewnemi w takich stosunkach, żeby mnie to upoważniało do proszenia ich o jakąś grzeczność, ale podam ogłoszenie.

— Wejdiesz prędzej na piramidy egipskie! — mruknął. — Żebyś mi się nie ważyła podawać ogłoszenia! Żałuję, że nie dałem ci tylko jednego suwerena, zamiast dziesięciu funtów. Oddaj mi dziewięć funtów, panno Joanko, ja ich potrzebuję.

— I ja również, panie — odpowiedziałam, chowając ręce z sakiewką za siebie. — Nie mogę się w żaden sposób obejść bez tych pieniędzy.

— Skąpe stworzonko! — rzekł — odmawia mi, gdy ja proszę o pieniądze! Daj mi pięć funtów, panno Joanko!

— Nie dam ani pięciu szylingów, panie, ani pięciu pensów nawet.

— Pozwól mi tylko spojrzeć na te pieniądze.

— Nie, panie; nie można panu ufać.

— Panno Joanko!

— Czego pan sobie życzy?

— Przrzecz mi coś.

— Przrzeknę panu wszystko, co sądzę, że będę mogła dotrzymać.

— Więc przrzecz mi, że nie podasz ogłoszenia i że mnie powierysz wyszukanie posady. Już ja ci ją znajdę.

— Chętnie to uczynię, jeżeli mi pan wzamian przrzeknie, że i ja i Adelka opuścimy dom, zanim żona pańska do niego wejdzie.

— Bardzo dobrze! bardzo dobrze! Na to mogę ci dać słowo. Więc zatem panna Joanka jedzie jutro?

— Tak, z samego rana.

— Czy zejdiesz do salonu po obiedzie?

— Nie, panie, muszę się przygotować do drogi.

— Więc musimy się pożegnać na czas pewien?

— Chyba tak, panie.

— I jakże to ludzie odprawiają taką pożegnalną ceremonję, panno Joanko? Naucz mnie, ja nie wiem dobrze.

— Mówią sobie „dowidzenia“, albo, jeżeli wołają, używają innego zwrotu.

— Więc powiedz.

— Dowidzenia, tymczasem.

— A co ja mam odpowiedzieć?

— To samo, jeśli pan zechce.

— Dowidzenia, tymczasem, panno Eyre; czy to już wszystko?

— Jakto?

— Wydaje mi się to skąpo, oschle i nie po przyjacielsku. Wolałbym jakoś inaczej; a gdyby tak coś dodać do tego rytuału? Gdyby, na przykład, dołączyć uścisk

dłoni; ale nie... toby mnie także nie zadowoliło. Więc ty mi tylko powiesz „dowidzenia“?

— To wystarczy, panie; tyleż życzliwości można zawrzeć w jednym serdecznym słowie, jak w wielu.

— Zapewne; ale to brzmi sucho i zimno... „Dowidzenia“...

„Jak długo on tu stać będzie, plecami drzwi podpierając? — zadawałam sobie pytanie — chciałabym zacząć pakowanie...” Tu odezwał się dzwonek obiadowy. Pan Rochester wyskoczył z pokoju nagle, ani słowa nie dodając; już go więcej tego dnia nie widziałam, a nazajutrz rano wyjechałam, zanim on wstał jeszcze.

Około piątej godziny po południu pierwszego maja stanęłam w Gateshead przed lożą portjera: wstąpiłam tam, zanim się udałam do dworu. Bardzo tam było czysto i ładnie; u okien wisały białe firaneczki; podłoga bez jednej plamy; przy piecu krata i galeryjka aż świeciły blaskiem, a ogień palił się jasno. Elżbietka siedziała przy ogniu, piastując swoje najmłodsze, a mały Robert z siostrzyczką bawili się spokojnie w kąciku.

— Chwała Bogu!... wiedziałam, że pani przyjedzie — zawołała pani Lieven, widząc mnie wchodzącą.

— Tak, Elżbietko — rzekłam, ucałowawszy ją — i mam nadzieję, że nie przybywam za późno. Jak się miewa pani Reed?... Przecież żyje, ufam?

— Żyje i przytomniejsza jest i spokojniejsza, niż poprzednio. Doktor mówi, że może się to jeszcze przeciągnąć z jaki tydzień albo dwa tygodnie, ale nie spodziewa się, żeby mogła ostatecznie wyzdrowieć.

— Czy wspominała mnie w ostatnich czasach?

— Jeszcze dziś rano mówiła o pani i wyrażała życzenie, żeby pani przyjechała, ale teraz śpi, a przynajmniej spała dziesięć minut temu, gdy zachodziłam do dworu. Pani pogrążona jest jakby w letargu prawie przez całe popołudnie, ale budzi się o szóstej albo siódmej. Czy zechce pani odpocząć tutaj z godzinę, a potem jabym poszła tam z panią?

W tej chwili wszedł Robert, i Elżbietka, ułożywszy śpiące dziecko w kołysce, poszła go powitać. Następnie

nalegała, bym zdjęła kapelusz i napiła się herbaty, gdy twierdziła, że jestem blada i zmęczona. Rada przyjąłam jej gościnność i pozwoliłam zdjąć z siebie płaszcz podróżny tak biernie, jak niegdyś, gdy dzieckiem będąc, dawałam jej się rozbierać.

Szybko odżyły we mnie wspomnienia dawnych czasów, gdym patrzyła, jak się Elżbietka krząta, jak ustawia na tacy najlepsze filiżanki, jak kraje chleb, przyrządza masło, przypieka grzanki, a wpośród tego wszystkiego to klapnie, to szturchnie małego Roberta albo Joasię, jak niegdyś bywało mnie. Elżbietka zachowała żywe usposobienie, podobnie jak dawną lekkość ruchów i dawną urodę.

Gdy już herbata była gotowa, chciałam przybliżyć się do stołu; Elżbietka jednak nie pozwoliła mi się ruszyć rozkazującym jak dawniej tonem. Oświadczyła, że mam siedzieć przy kominku, a ona mi wszystko poda; umieściła tedy przede mną mały okrągły stoliczek, na nim filiżankę i talerz z grzankami, zupełnie tak, jak to niegdyś w dzieciennym pokoju, gdy fetowała mnie niekiedy ściągniętym chyłkiem smakołykiem. Uśmiechałam się i byłam jej posłuszną, jak za dawnych czasów.

Elżbietka była ciekawa, czy czuję się dobrze w Thornfield Hall i jakiego rodzaju osobą jest pani; gdy jej zaś powiedziałam, że jest tam tylko pan, dopytywała, czy to miły dżentelman i czy ja go lubię. Powiedziałam jej, że to mężczyzna raczej brzydki, ale prawdziwy dżentelman; że traktuje mnie życzliwie i że jestem zadowolona. Następnie zaczęłam jej opisywać wesołe towarzystwo, które ostatnimi czasy bawiło w domu. Elżbietka słuchała tych szczegółów z zajęciem.

Na takiej rozmowie godzina szybko zesła. Elżbietka podała mi kapelusz i okrycie, i w jej towarzystwie udałam się do dworu. W jej to przecież towarzystwie prawie dziewięć lat temu szłam z dworu tą ścieżką, którą teraz szliśmy do dworu. W ciemny, mglisty, zimny poranek styczniowy opuściłam nieprzyjazny mi dach ze zropaczonem i rozgoryczonem sercem, czując się niejako wyrzutkiem i potępioną, szłam szukać tej chłodnej przy-

stani w Lowood, tego dalekiego i nieznanego celu. Ten sam nieprzyjazny dach wznosił się oto znów przede mną: przyszłość moja wciąż jeszcze była wątpliwa, a serce mnie bolało. Wciąż jeszcze czułam się niejako wędrowcem na ziemi; więcej jednak czułam ufności w sobie i własne siły, a mniej dojmującego strachu przed uciskiem. I również ta otwarta rana krzywd moich zagoiła się już teraz zupełnie i zarzewie nienawistnej urazy wygasło.

— Pójdzie pani najpierw do bawialni — oświadczyła Elżbietka, prowadząc mnie przez hall. — Młode panie tam będą.

W chwilę potem już byłam w tym pokoju. Każdy mebel w nim wyglądał tak samo, jak owego ranka, gdy mnie po raz pierwszy przedstawiono panu Brocklehurstowi, nawet zauważyłam przed kominkiem ten sam dywanik, na którym on stał. Na półkach z książkami wydało mi się, że widzę oba tomy Berwicka *Brytyjskich Ptaków* na dawnym miejscu na trzeciej półce, a tuż nad nimi *Podróże Gulliwera* i *Noce Arabskie*. Nie zmieniły się martwe przedmioty, lecz to, co żyło, zmieniło się nie do poznania.

Ujrzałam przed sobą dwie młode osoby; jedną bardzo wysoką, prawie tak wysoką, jak panna Ingram, bardzo chudą, o śniadej twarzy i surowym wyrazie. Było coś ascetycznego w jej wyglądzie, a wrażenie to zwiększała nadzwyczajna prostota jej gładkiej, czarnej, wełnianej sukni, krochmalnego płóciennego kołnierzyka, włosów, szczesanych ze skroni, i zakonnicza ozdoba, sznur hebanowych pereł z krzyżem. Byłam pewna, że to jest Eliza, chociaż mało podobieństwa do dawnej Elizy odnajdowałam w tej wydłużonej i bezbarwnej twarzy.

Drugą oczywiście była Georgjana, ale nie ta, jaką pamiętałam: wiotkie, subtelne, jedenastoletnie dziewczętko; teraz miałam przed oczyma rozkwitłą, bardzo pełną pannę, jasną, jak z wosku ulaną, o ładnych i regularnych rysach, omdlewających niebieskich oczach i wijących się blond włosach. Kolor jej sukni również był czarny, ale krój tak był różny od kroju sukni jej siostry — o tyle

sutszy i ozdobniejszy. Wyglądała modnie i stylowo, podczas gdy tamta wyglądała jak purytanka.

W każdej z sióstr odnalazłam po jednym rysie z matki — ale tylko po jednym. Chuda i blada starsza córka miała matki swojej twarde, piwne oczy; kwitnąca i rozkoszna młodsza miała jej zarys szczęki i brody, może nieco złagodzony, ale nadający jakąś trudną do opisanania twardość twarzy, skądinąd tak zmysłowej i pełnej.

Obiedwie, gdym się przybliżyła, powstały, żeby mnie przywitać; obiedwie, zwracając się do mnie, tytułowały mnie „panną Eyre”. Eliza powitanie swoje wygłosiła krótkim, urywanym tonem, bez uśmiechu, poczem zpowrotem usiadła, wpatrzyła się w ogień i zdawała się zapominać o mnie. Georgjana do swojego „jak się pani miewa?” dodała kilka zdawkowych frazesów o mojej podróży, o pogodzie i t. p., wypowiedzianych nieco przymusowo, przyczem z pod oka rzucała moc spojrzeń. Mierzyła mnie od stóp do głów, przenikając fałdy mego brązowego płaszcza i zatrzymując się na skromnem przybraniu mego kapelusza. Młode panny potrafią niesłychanie umiejętnie dać komuś do poznania, że uważają go za „byle kogo”, nie wymawiając tego wcale słowami. Pewnem lekceważeniem w spojrzeniu, chłodem obejścia, tonem odniechcenia wyrażają doskonale, co czują, nie popełniając wyraźnej niegrzeczności ni słowem ni czynem.

Wzgardliwy jednak uśmieszek, skryty czy otwarty, nie miał już teraz nade mną tej władzy, co niegdyś. Siedząc z kuzynkami, dziwiłam się sama, że tak swobodnie się czuję wobec zupełnego ignorowania mnie przez jedną, a napół sarkastycznej grzeczności drugiej. Eliza nie zadawała mi przykrości, Georgjana mnie nie wzruszała. Bo też o czem innem miałam do myślenia; w ubiegłych paru miesiącach wzbudziły się we mnie uczucia tak potężne, że one takich nie mogły we mnie wywołać; cierpienia i radości były o tyle żywsze i pełniejsze, niż wszystko, czem oddziaływać na mnie było w ich mocy, więc miny ich i tony pozostawiały mnie zupełnie obojętną.

— Jak się miewa pani Reed? — zapytałam niebawem, patrząc spokojnie na Georgjanę, która uważała za właściwe zachnąć się zlekka na to zapytanie, zadane wprost, jakby to było niespodziewanym zbytkiem poufałości z mej strony.

— Pani Reed? Ach! to znaczy mama; czuje się nadzwyczaj marnie; wątpię, czy pani będzie mogła zobaczyć ją dziś wieczorem.

— Gdyby pani zechciała — rzekłam — przejść na górę i powiedzieć matce, że przyjechałam, byłabym pani bardzo wdzięczna.

Georgjana nieledwie skoczyła i niebieskie oczy wytrzeszczyła na mnie szeroko.

— Wiem, że specjalnie życzyła sobie widzieć się ze mną — dodałam — a ja nie chciałabym ociągać się dłużej, niż koniecznie potrzeba, z wypełnieniem jej życzenia.

— Mama nie lubi, żeby jej przeszkadzano wieczorem — zauważyła Eliza.

Na to ja wstałam, chociaż nieproszona, spokojnie zdjęłam kapelusz i rękawiczki i powiedziałam, że pójdę odszukać Elżbietkę, która zapewne będzie w kuchni, i poproszę ją, żeby się dowiedziała, czy pani Reed chce mnie przyjąć dziś wieczorem, czy nie. Poszłam, i odnalazwszy Elżbietkę, wysłałam ją z tem zleceniem; następnie przedsięwzięłam dalsze kroki. Dotychczas było moim zwyczajem unikać w postępowaniu wszelkiego zuchwalstwa; rok temu, gdybym była doznała takiego przyjęcia, byłabym postanowiła zaraz nazajutrz rano opuścić Gateshead; teraz zrozumiałam, że czyniąc to, postąpiłabym niedorzecznie. Odbyłam tak daleką podróż, ażeby odwiedzić ciotkę, muszę więc pozostać u niej, dopóki nie doczekam albo poprawy jej zdrowia, albo — śmierci; z pychą czy głupotą jej córek nie mogę się liczyć, muszę się od nich uniezależnić. To też zwróciłam się do gospodyni; poprosiłam ją, żeby mi wskazała pokój; powiedziałam jej, że prawdopodobnie zabawię tu z tydzień albo ze dwa, i prosiłam, żeby kuferek mój zaniesiono do mego pokoju, dokąd też sama się udałam. Na schodach spotkałam się z Elżbietką.



— Pani nie śpi — rzekła. — Powiedziałam jej, że pani tu jest; pójdźmy i przekonajmy się, czy pozna panią.

Nie potrzeba mi było pokazywać drogi do dobrze znajomego pokoju; wszakże niegdyś tak często bywałam tu wzywana, by usłyszeć burę albo otrzymać karę. Wyprzedzałam Elżbietkę; cicho otworzyłam drzwi. Zastłonięta lampa stała na stole, gdyż już się ściemniało. Oto ujrzałam tam, jak dawniej, wielkie łóżko z kremowymi firankami, toaletę, fotel i podnózek, na którym setki razy kazano mi klękać, by przeproszać za winy niepopelnione. Obejrzałam się, szukając okiem pewnego znajomego mi kącika, jakgdybym się spodziewała, że ujrzę postrach dni dawnych: wiszącą tam różgę, gotową wyskoczyć, by oćwiczyć drzącą moją dłoń albo kurczący się ze strachu kark... Zbliżyłam się do łóżka; rozsunałam firankę i pochyliłam się nad wysoko usłanemi poduszkami.

Dobrze pamiętałam twarz pani Reed i chciwie szukałam znajomego obrazu. Jakże to szczęśliwie, że czas gasi mściwe pragnienia i ucisza podszepty wściekłości i wstrętu! Opuściłam tę kobietę w rozgoryczeniu i nienawiści, a wracałam teraz do niej bez innych wzruszeń oprócz litości nad wielkością jej cierpien i silnego pragnienia zapomnienia: przebaczenia krzywd wszelkich — pogodzenia się i przyjaznego uścisku ręki.

Dobrze znana mi twarz była oto przede mną: surowa, nieubłagana jak zawsze; to samo szczególniejsze oko, którego spojrzenia nic zmiękczyć nie mogło, wpatrywało się we mnie; ta sama nieco podniesiona, władcza, despotyczna brew ocieniała jej wzrok. Jakże często mierzyło mnie jej oko groźbą i nienawiścią! Jak odżywało wspomnienie strachów i strapień dziecka, gdy oglądałam teraz twarde rysy jej twarzy. A jednak nachyliłam się i pocałowałam ją; spojrzała na mnie.

— Czy to Joanna Eyre? — zapytała.

— Tak, to ja, ciotko. Jak się droga ciotka miewa?

Ślubowałam niegdyś, że już jej nigdy ciotką nie nazwę; pomyślałam, że to nie grzech poniechać tego ślubu i złamać go teraz. Palce moje ujęły jej rękę, leżącą na

kołdrze; gdyby była rękę moją uściśnęła życzliwie, byłabym w tej chwili doznała prawdziwej przyjemności. Ale niewrażliwe natury nieprędko łagodnieją, a wrodzona antypatja niełatwo daje się wykorzenić. Pani Reed usunęła rękę i raczej odwracając twarz ode mnie, zauważyła, że gorąco jest tej nocy. I znowu popatrzyła na mnie z tak lodowatym chłodem, że uczułam odrazu, iż zdanie jej o mnie i uczucia dla mnie niezmienione są i niezmiennie. Poznałam po jej kamiennych oczach, niedostępnych czułości, nie umiejących rozłajać we łzach, że postanowiła aż do końca uważać mnie za istotę z gruntu złą — ponieważ uwierzyć w dobroć u mnie nie sprawiłoby jej szlachetnej przyjemności, a tylko wzbudziłoby przykrość i zawstydzienie.

Zabolało mnie to, a potem rozgniewało; wkońcu obudziło się we mnie postanowienie zapanowania nad nią wbrew jej naturze i wbrew jej woli. Łzy cisnęły mi się do oczu, jak w latach dzieciństwa; powstrzymałam je. Przysunęłam sobie krzesło i siadłam w głowach łóżka; nachyliłam się nad poduszką.

— Ciotka posłała po mnie — powiedziałam — i otóż jestem; mam zamiar pozostać tu, aż się przekonam, że zdrowie ciotki się poprawia.

— Ach, naturalnie. Czy widziałaś się z mojami córkami?

— Owszem, widziałyśmy się.

— Dobrze; więc powiedz im, że życzę sobie, byś tu pozostała, dopóki nie będę mogła pomówić z tobą o pewnych rzeczach, na których mi zależy; dziś wieczorem już za późno i trudno mi je sobie przypomnieć. Ale było coś, co chciałam powiedzieć... niech się zastanowię...

Błędny wzrok i zmieniona wymowa świadczyły, jakiemu rozstrojowi uległ silny jej niegdyś organizm. Kręcąc się niespokojnie, poprawiała kołdrę na sobie. Łokieć mój, oparty o brzeg łóżka, przypadkiem ją przytrzymał; to ją odrazu zirytowało.

— Podnieś się! — rzekła — czemu mnie drażnisz, przytrzymując kołdrę? Czyś ty Joanna Eyre?

— Tak, ja jestem Joanna Eyre.

— Więcej kłopotu miałam z tem dzieckiem, niżby ktokolwiek uwierzył. Taki ciężar na mnie zwalić... i tyle utrapienia, co ona mi sprawiała codzień, co godzina, tem swoim niezrozumiałem usposobieniem i temi nagłemi wybuchami a bezustannem i nienaturalnem śledzeniem każdego mojego ruchu! Doprawdy, przecież ta dziewczyna przemawiała raz do mnie zupełnie jak warjotka albo jak sam szatan — żadne dziecko nigdy tak nie przemawiało i nie wyglądało, jak ona; rada byłam, kiedy jej się z domu pozbyłam. Co oni z nią zrobili w Lowood? Zaraza tam wybuchła i wiele uczennic zmarło; a ona nie umarła. Ale ja powiedziałam, że umarła — żałuję, że nie umarła!

— Dziwne życzenie, pani Reed; dlaczego jej pani tak nienawidzi?

— Nigdy nie lubiłam jej matki, gdyż była to jedyna siostra mojego męża i bardzo przez niego kochana. Gdy rodzina wypierała jej się z powodu jej mezaljansu, on się temu sprzeciwiał, a gdy przyszła wiadomość o jej śmierci, płakał jak głuptas. Uparł się posłać po dziecko, chociaż go błagałam, żeby je raczej oddał na mamki i płacił za jego utrzymanie. Znienawidziłam je od pierwszego wejrzenia — chorowite, piszczące, sklamrzące stworzenie! Kwiliło to w kołysce, jak noc długa, nie krzycząc zdrowo i głośno, jak każde inne dziecko, ale popiskując i pojękując... Reed litował się nad niem; nieraz je niańczył i roztkliwiał się nad niem więcej, niż kiedykolwiek nad własnymi dziećmi w tym wieku. Starał się usposobić moje dzieci przyjaźnie do tej małej żebraczki, ale kochaneczki nie mogły jej znieść, a on się gniewał na nie, gdy okazywały jej antypatję. W ostatniej chorobie kazał sobie wciąż dzieciaka przynosić do łóżka, a na godzinę przed śmiercią wymógł na mnie uroczyste przyrzeczenie, że będę chowała i zatrzymam to stworzenie. Równie chętnie dałabym sobie narzucić bębna nędzarki z domu pracy, ale on był słaby, słaby już z natury... Janek ani trochę nie podobny jest do ojca, i to mnie cieszy; Janek wdał się we mnie i w moich braci... Janek jest całkowity Gibson. Och, jakżeby

chciała, żeby przestał mnie dręczyć listami o pieniądze! Ja nie mam już pieniędzy... nic mu dać nie mogę: popadamy w biedę. Muszę odprawić połowę służby i zamknąć część domu... albo dom wynająć. Nigdy się na to nie potrafię zdobyć... ale jakże mamy dalej ciągnąć? Dwie trzecie moich dochodów idzie na opłacenie procentów od długów. Janek strasznie gra i zawsze przegrywa — biedny chłopak! Lichwiarze go napastują; Janek podupadł, zmarniał — wygląda okropnie — wstydzę się za niego, gdy go widzę!

Podniecała się coraz bardziej.

— Możebym ja lepiej teraz odeszła — zwróciłam się do Elżbietki, stojącej po drugiej stronie łóżka.

— Możeby było lepiej, panienko. Pani często w ten sposób mówi ku nocy — rano bywa spokojniejsza.

Podniosłam się.

— Nie odchodź! — zawołała pani Reed — ja jeszcze coś chciałam powiedzieć. Janek mi grozi... on ciągle mi grozi... swoją śmiercią albo moją; i często śni mi się, że go widzę na katafalku z wielką raną na szyi albo z twarzą opuchłą, zsiniałą. Przyszła na mnie ciężka godzina: straszne mam zmartwienie. Co mogę zrobić? Skąd mam wziąć pieniądze?

Elżbietka usiłowała teraz ją nakłonić do zażycia proszku nasennego; chora z trudem dała się namówić. Niebawem jednak uspokoiła się i zapadła w stan półseny. Wtedy wyszłam z pokoju.

Więcej niż dziesięć dni upłynęło, zanim przyszło znów między nami do rozmowy. Pani Reed w dalszym ciągu majaczyła albo zapadała w letarg, a lekarz zabraniał wszystkiego, coby w sposób przykry mogło ją podniecać. Ja tymczasem, jak mogłam, radziłam sobie z Georgjaną i Elizą. Bardzo były, co prawda, z początku zimne. Eliza potrafiła przesiedzieć pół dnia szyjąc, czytając lub pisząc, i nie odezwać się prawie wcale do mnie ani do siostry. Georgjana potrafiła godzinami droczyć się z kanarkiem bez uwagi na mnie. Ja jednak postanowiłam okazać, że nie potrzeba, żeby się mną ktoś zajmo-

wał albo mnie bawił; przywiozłam ze sobą materiały rysunkowe i te mi do zabicia czasu posłużyły.

Zaopatrzona w pudło z ołówkami i w kilka arkuszy papieru, siadałam opodal nich pod oknem i zajmowałam się szkicowaniem fantazyjnych winietek, przedstawiających jakieś sceny, które mi się przypadkowo kształtowały w kalejdoskopie wyobraźni: to kawałek morza między dwiema skałami, to wschodzący księżyc i okręt, przesuwający się przez jego tarczę, to łan trzciny i sitowia z wynurzającą się z pośród nich głową najady, uwiecznioną kwiatami lotosu, to znów krasnoludka, siedzącego w gnieździe ptasim pod gałęzią kwitnącego głogu.

Pewnego ranka zaczęłam szkicować twarz: co to za twarz będzie, sama nie wiedziałam. Wzięłam miękki czarny ołówek, zacięłam go na gruby koniec i zaczęłam pracować. Niebawem nakreśliłam na papierze szerokie i wypukłe czoło i kwadratowy niższy zarys twarzy. Pod takim czołem trzeba dać silnie zaznaczone, prosto biegnące brwi; a potem, naturalnie, wyraźnie określony nos o mostku prostym i pełnych nozdrzach; dalej usta, widomie ruchliwe, bynajmniej nie małe; następnie silną brodę, z wyraźną brózdą przez środek: oczywiście należało się tu jeszcze trochę czarnych bokobrodów i włosów, bujnie nastrzępionych nad skroniami, falujących nad czołem. A teraz oczy: pozostawiłam je na sam koniec, ponieważ wymagały jak najstaranniejszej pracy. Narysowałam wielkie; kształt nadałam im dobry, o rzęsach długich i ciemnych — o wielkich, błyszczących źrenicach. „Dobrze, a jednak niezupełnie! — pomyślałam, oceniając całość wrażenia — więcej im potrzeba siły i więcej życia.” To też pogłębiłam cienie, ażeby światło jaśniej zabłysły... kilka trafnych dotknięć ołówka pomyślnie dopełniło dzieła. I otóż miałam przed sobą twarz przyjaciela; cóż więc mogło mi to szkodzić, że te panny tyłem odwracają się ode mnie? Patrzyłam na mój obrazek; uśmiechałam się do tej żywej podobizny; byłam cała przejęta i zadowolona.

— Czy to portret kogoś znajomego? — zapytała Eliza, która przybliżyła się, niezauważona przeze mnie.

Odpowiedziałam, że to ot taka fantazyjna głowa i szybko rysunek wsunęłam pod inne papiery. Skłamałam, rzecz prosta: była to, w rzeczywistości, bardzo wierna podobizna pana Rochestera. Ale cóż to ją obchodziło albo kogokolwiek, oprócz mnie jednej? I Georgjana przysunęła się, żeby popatrzeć. Inne rysunki podobały jej się bardzo, ale o tym wyraziła się, że to „brzydki mężczyzna”. Im obu zaimponowała moja umiejętność. Ofiarowałam się naszkicować ich portreciki i obie kolejno pozowały mi do szkicu. Wtedy Georgjana wydobyła swój album. Obiecałam, że jej wymaluję do albumu obrazek akwarelą: to ją od razu wprawiło w dobry humor. Zaproponowała mi spacer po ogrodzie. Nie upłynęły dwie godziny, a już się toczyła poufna rozmowa: uszczęśliwiła mnie opisem świetnej zimy, spędzonej dwa sezony temu w Londynie, opisem podziwu, który tam wzbudzała — uprzejmości, jakich była celem; nie poskąpiła mi nawet wzmianek o utytułowanym wielbicielu, jakiego tam zdobyła. Po południu i wieczorem wzmianki te ulegały dopełnieniom. Wysłuchiwałam sprawozdania z różnych rozmów, różnych scen sentymentalnych: słowem, Georgjana dnia tego zaimprovizowała na mój benefis cały tom romansu z życia modnego świata. Zwierzenia takie powtarzały się odtąd codziennie: toczyły się zawsze dokoła tego samego tematu — jej, jej miłości i jej żalów. Rzecz dziwna, że ani razu nie wspomniała o chorobie matki, ani o śmierci brata, ani o obecnym posępnym stanie interesów rodziny. Duszę jej całą pochłaniały wspomnienia minionych zabaw i wesołości, oraz pragnienie dalszych w przyszłości rozrywek. W pokoju matki spędzała jedynie około pięciu minut dziennie.

Eliza zawsze jeszcze mówiła niewiele; widocznie nie miała czasu na rozmowę. Nigdy nie widziałam czynniejszej od niej osoby; jednakże trudnoby powiedzieć, co właściwie robiła, a raczej odkryć rezultat jej pracowitości. Zrywała się bardzo wcześnie. Nie wiem, czem się zajmowała przed śniadaniem, ale po śniadaniu dzieliła sobie czas na regularne odstępy, i każda godzina miała wyznaczone zadanie. Trzy razy dziennie wczytywała się

w książeczkę, która, jak się przekonałam, była liturgją anglikańską. Zapytałam ją raz, co ją tak bardzo w tej książeczce pociąga; odpowiedziała, że „Rubryka” czyli przepisy, dotyczące urządzenia nabożeństwa. Trzy godziny przeznaczala na haftowanie złotymi nićmi brzegów kwadratowego kawała karmazynowego sukna, tak wielkiego, że starczyłoby za dywan. Na moje zapytanie, do czego to ma służyć, odpowiedziała, że jest to nakrycie na ołtarz do nowego kościoła w pobliżu Gateshead. Dwie godziny poświęcała na pisanie dziennika; przez dwie pracowała samotnie w ogrodzie warzywnym, a jednej używała na regulowanie swoich rachunków. Robiła wrażenie, że nie potrzeba jej ani towarzystwa ani rozmowy. Sądzę, że była po swojemu szczęśliwa: ta rutyna wystarczała jej najzupełniej, a nic tak jej nie mogło dokuczyć, jak drobne wypadki, krzyżujące ten zegarkowy tryb życia.

Powiedziała mi pewnego wieczora, rozmowniej usposobiona, że zachowanie się Janka i zagrażająca całej rodzinie ruina były dla niej źródłem głębokiego strapienia, ale że już teraz uspokoiła się i doszła do postanowienia. Własny majątek postarała się zabezpieczyć; a po śmierci matki — jest zupełnie nieprawdopodobne, zauważyła spokojnie, by matka mogła wyzdrowieć, albo utrzymać się przy życiu czas dłuższy — miała zamiar wykonać plan dawno upragniony: poszukać schronienia, gdzieby nic nie mąciło punktualnych zwyczajów i gdzie bezpieczna zapora odgradzałaby ją od frywolnego świata. Zapytałam, czy towarzyszyłaby jej tam Georgjana.

„Oczywiście, że nie. Z Georgjaną nie miała nic wspólnego; tak było zawsze. Za nic w świecie nie obciążałaby się jej towarzystwem; Georgjana powinna pójść swoją drogą, a ona pójdzie swoją.”

Georgjana, o ile nie wylewała zwierzeń swych przede mną, spędzała czas przeważnie leżąc na kanapie, skarżąc się na nudy w domu i wzdychając raz po raz, by ciotka jej, pani Gibson, zaprosiła ją do miasta. „O tyle lepiej byłoby” — mawiała — „gdybym się mogła na miesiąc albo dwa miesiące usunąć z domu, aż będzie po wszystkim.” Nie pytałam jej, co rozumie przez to „aż

będzie po wszystkim” — ale sędzę, że miała na myśli spodziewany zgon matki i posępne ceremonje pogrzebowe. Eliza naogół nie zwracała uwagi na próżniacze niedołęstwo i utyskiwania siostry — raz wszakże, odłożywszy książeczkę rachunkową na bok i rozwijając swój haft, wycięła jej nagle taką reprimendę:

— Georgjano, próżniejsze i głupsze od ciebie stworzenie z pewnością nigdy nie chodziło po świecie. Nie powinnaś się była urodzić, gdyż nie umiesz spożytkować życia. Zamiast żyć dla samej siebie, w sobie i z sobą, jak każdy rozumny człowiek powinien, ty tylko szukasz, do czyjej siły mogłabyś swoją słabość przyczepić. A jeżeli nie znajdujesz nikogo, ktoby był gotów brać na siebie ciężar takiej istoty tłustej, słabej, pustej, do niczego — krzyczysz, że cię maltretują, zaniedbują, żeś nieszczęśliwa. Przytem życie musi być dla ciebie szeregiem ciągłych zmian i podniecających wrażeń, inaczej świat, wedle ciebie, to więzienie; chcesz, by cię podziwiano, by cię uwielbiano, by ci pochlebiano — potrzeba ci muzyki, tańca, towarzystwa, bez tego nudzisz się, tęsknisz, zamierasz. Czyż nie masz tyle rozumu, żeby obmyśleć sobie system, któryby cię uniezależnił od czyjejs pomocy, od czyjejs woli poza twoją własną? Weź jeden dzień; podziel go na części; każdej jego części wyznacz zadanie: nie pozostawiaj wolnych i niezajętych kwadransów, dziesięciu, pięciu minut — obejmij cały czas; każdą robotę zkolei wykonaj systematycznie, ściśle i dokładnie. Dzień ci upłynie, zanim się spostrzeżesz, że się zaczął, a nikomu nie będziesz zawdzięczała, że ci dopomógł przebyć choćby jedną zbędną chwilę. Nie potrzebowałaś szukać niczyjego towarzystwa, rozmowy, sympatji, względności; żyłaś, słowem tak, jak powinna żyć istota niezależna. Przyjmij moją radę: pierwszą i ostatnią, jaką ci daję; a wtedy nie będziesz potrzebowała ani mnie ani nikogo innego, cokolwiekby się stało. Nie chcesz? żyj dalej, jak dotąd, wiecznie czegoś pragnąc, utyskując i próżnując, a będziesz musiała znieść następstwa swej głupoty, choćby były najprzykrzejsze i trudne do zniesienia. I to ci mówię wyraźnie, słuchaj, gdyż, chociaż powtarzać tego nie będę,

stanowczo wedle tego postąpię: po śmierci naszej matki ja, co do ciebie, umyvam ręce; z chwilą gdy trumnę jej wyniosą do podziemi kościelnych, między tobą a mną nastąpi rozbrat, jakgdybyśmy się nigdy nie znały. Nie obrażaj sobie, że ponieważ przypadkiem urodziłyśmy się z tych samych rodziców, ja zniosę, byś ty się przyczepiła do mnie jakimś urojonem prawem. I to ci mogę powiedzieć: gdyby cała ludzkość, z wyjątkiem nas dwóch, została zniesiona ze świata, jeszczebym cię samą zostawiła w starym świecie, a sama podążyła ku nowemu.

Zamilkła.

— Niepotrzebnie trudziłaś się wygłaszaniem tej tyrady — odpowiedziała Georgjana. — Wszyscy wiedzą, że niema na całym świecie samolubniejszej od ciebie istoty bez serca; a ja wiem, jak ty mnie zazdrośnie nienawidzisz, miałam tego próbkę już przedtem w tym kawale, który mi urządziłaś w sprawie lorda Edwina Vere: nie mogłaś znieść, bym się wzniosła wyżej ponad ciebie, bym miała tytuł, bym była przyjmowana w kołach, gdzie tybys się nie śmiała pokazać; to też postąpiłaś jak szpieg i donosiciel i zrujnowałaś widoki moje na zawsze.

Tu Georgjana wyciągnęła chusteczkę i przez godzinę potem wycierała nos; Eliza zaś siedziała zimna, niewzruszona i pilnie zapracowana.

Było dżdżyste i wietrzne popołudnie. Georgjana, czytając romans, zasnęła na kanapie; Eliza poszła na jakieś świąteczne nabożeństwo w nowym kościele, gdyż w sprawach religji była surową formalistką: żadna niepogoda nie powstrzymywała jej od punktualnego spełniania dewocyjnych praktyk.

Pomyślałam, że dobrze pójść na górę i przekonać się, jak się miewa umierająca chora, która leżała tam, prawie opuszczona; nawet służące tylko niekiedy przypominały sobie o jej istnieniu; płatna pielęgniarza, mało dozorowana, wymykała się z pokoju, gdy tylko mogła. Elżbietka pozostała wierną; miała jednak własną rodzinę i tylko czasem przychodzić mogła do dworu. Nie zastałam, jak się tego spodziewałam, nikogo w pokoju chorej; pielęgn-

gniarki też nie było; chora leżała spokojnie, jak w le-targu; sina jej twarz zapadła w poduszki; ogień na ko-minku dogasał. Dołożyłam węgla, poprawiłam poślanie łóżka, popatrzyłam chwilę na tę, która teraz patrzeć na mnie nie mogła, a potem odeszłam do okna.

Deszcz bił silnie o szyby, wiatr gwałtownie dmuchał. „Tu oto leży — pomyślałam — ludzka istota, dla której niebawem walki ziemskich żywiołów niczem będą. Dokąd poleci ten duch, walczący teraz o wyzwolenie z cielesnej powłoki, gdy się nareszcie wyswobodzi?”

Rozmyślając nad wielką tajemnicą, wspomniałam o Helenie Burns, przypomniałam sobie jej przedśmiertne słowa, jej wiarę, jej teorię o równości dusz bezcielesnych. Wciąż jeszcze nasłuchiwałam w myśli jej dobrze pamiętnego mi głosu, wciąż jeszcze uprzytomniałam sobie jej blady, uduchowiony wygląd, jej wymizerowaną twarz i nieziemskie spojrzenie, gdy leżała spokojnie na śmiertelnem poślaniu i szeptała o swej tęsknocie do niebieskiego Ojca — gdy wtem słaby głos odezwał się z łóżka poza mną: „Kto tu jest?”

Wiedziałam, że pani Reed już od szeregu dni zaniemówiła. Czyżby wracała do życia? Podeszłam ku niej.

— To ja jestem, ciotko.

— Kto taki... ja? — odpowiedziała. — Kto ty jesteś? — I spojrzała na mnie zdziwiona i jakby przestraszona, ale wciąż jeszcze przytomna. — Ty mi jesteś zupełnie obca... gdzie Elżbietka?

— Elżbietka u siebie w domu, ciotko.

— Ciotko? — powtórzyła. — Kto mnie nazywa ciotką? Nie jesteś żadną z Gibsonów; a jednak ja ciebie znam — ta twarz... te oczy i czoło... to wszystko jest mi dobrze znajome; jesteś podobna... tak, jesteś podobna do Joanny Eyre!

Nie odpowiedziałam nic: bałam się wywołać wstrząsające wrażenie, gdybym oświadczyła, kim jestem.

— Tak — zaczęła chora znowu — lękam się, że to pomyłka: myśli mnie ludzą. Pragnęłam zobaczyć Joannę

Eyre i wyobrażałam sobie podobieństwo tam, gdzie go niema, zresztą przez ośm lat ona tak się musiała zmienić.

Teraz ja bardzo ostrożnie zapewniłam ją, że jestem właśnie tą osobą, za którą mnie brała i którą pragnęła zobaczyć, a widząc, że mnie rozumie i jest zupełnie przytomna, wytłumaczyłam, że Elżbietka wysłała po mnie męża do Thornfield.

— Wiem, że bardzo jestem chora — powiedziała po chwili. — Kilka minut temu chciałam się obrócić, ale widzę, że nie mam żadnej władzy w członkach. Może i lepiej, żebym zrzuciła ciężar z serca, zanim umrę; to, co sobie mało ważymy, dopóki zdrowie służy, cięży bardzo w takiej godzinie, jak obecna dla mnie. Czy jest tutaj pielęgniarka? albo czy jest tutaj w pokoju ktoś więcej oprócz ciebie?

Zapewniłam ją, że jesteśmy same.

— Otóż ja ciebie dwa razy skrzywdziłam; czego teraz żałuję. Raz, łamiąc obietnicę, daną mężowi, że wychowam cię, jak własne dziecko; po raz drugi... — tu przerwała. — Ostatecznie, to może nie ma wielkiego znaczenia — szepnęła sama do siebie. — A zresztą, może wyzdrowieję... a tak się przed nią upokarzać to rzecz przykra.

Usiłowała poruszyć się na łóżku, ale daremnie. Zmieniła się na twarzy; targnęło nią widocznie jakieś wewnętrzne poczucie, może zwiastun bliskiego końca.

— Ostatecznie muszę przejść przez to. Wieczność przede mną. Trzeba jej to powiedzieć... Idź do mojego biureczka, otwórz je i wyjmij list, który tam zobaczysz.

Posłuchałam jej wskazówki.

— Przeczytaj ten list — powiedziała.

List był krótki; brzmiał:

„Pani — Proszę o łaskawe przysłanie mi adresu mojej bratanki Joanny Eyre i o doniesienie mi, jak ona się miewa. Mam zamiar napisać do niej wkrótce i prosić, żeby przyjechała do mnie na Maderę. Opatrzność błogosławiła mojej pracy i pozwoliła zbierać majątek; a po-

nieważ jestem bezzenny i bezdzietny, pragnę adoptować bratanek za życia i uczynić ją spadkobierczynią mego majątku po śmierci.

Z wysokiem poważaniem

Jan Eyre, Madera."

Data była z przed trzech lat.

— Dlaczego ja się nigdy o tym liście nie dowiedziałam? — zapytałam.

— Ponieważ niecierpiałem cię zbyt silnie, by przyłożyć ręki do zapewnienia ci dobrobytu. Nie mogłam zapomnieć o twojem postąpieniu względem mnie, Joanno — o tej furji, z jaką niegdyś rzuciłaś się na mnie; o tym tonie, jakim oświadczyłaś, że nienawidzisz mnie, jak nikogo na świecie; nie mogłam zapomnieć tego niedzielnego spojrzenia i głosu, jakim twierdziłaś, że wstrętną ci jest sama myśl o mnie, i dowodziłaś, że obchodziłam się z tobą z bezlitosnem okrucieństwem. Nie mogłam zapomnieć własnych uczuć, gdy się tak zerwałaś i wylewałaś jad twojej duszy: bałam się wtedy i miałam wrażenie, jakgdyby zwierzę, które uderzyłam albo popchnęłam, spojrzało na mnie ludzkimi oczami i przeklinało mnie głosem ludzkim... Podaj mi trochę wody! Ach, śpiesz się!

— Droga ciotko — rzekłam, podając jej napój żądany — nie myśl już o tem wszystkiem, usuń te wspomnienia z duszy. Wybacz mi moje namiętne uniesienia: byłam dzieckiem wtedy; ośm, dziewięć lat minęło od tego czasu!

Nie zważała na to, co mówiłam; ale napiwszy się wody i odetchnawszy, mówiła dalej:

— Mówię ci, że nie mogłam tego zapomnieć. I zemściłam się: żeby ciebie stryj adoptował, żebyś ty miała dojść do wygod i dostatku, tego ścierpieć nie mogłam. Napisałam do niego; powiedziałam, iż żałuję, że spotka go zawód, ale że Joanna Eyre nie żyje: umarła na tyfus w Lowood. Teraz ty postąp, jak zechcesz; napisz, zaprzecz mojemu twierdzeniu, oskarż mnie o kłamstwo, jeśli ci się podoba. Urodziłaś się na moje udęczenie: ostatnie moje godziny zatruwa męka wspomnienia o czynie, którego, gdyby nie ty, nigdybym nie była popełniła.

— Gdyby tylko ciotka mogła już o tem nie myśleć, gdyby mogła odnieść się do mnie z dobrocią i przebaczeniem...

— Ty masz bardzo zły charakter — powiedziała — i taki, że go do dziś dnia nie mogę zrozumieć; jakim sposobem przez dziewięć lat mogłaś cierpliwie i spokojnie znosić surowe traktowanie, a potem w dziesiątym wybuchnąć tak wściekle i tak gwałtownie, tego nigdy nie zrozumieję.

— Mój charakter nie jest taki zły, jak ciotka sobie wyobraża: jestem gwałtowna, ale nie mściwa. Wiele razy, jako małe dziecko, tak pragnęłam kochać ciotkę, gdyby mi ciotka tylko była pozwoliła; a i teraz gorąco pragnę, byśmy się pogodziły. Niech mnie ciocia pocałuje.

Przybliżyłam twarz do jej ust; nie chciała jej dotknąć. Powiedziała, że jej duszno, gdy się nachylałam nad łóżkiem, i ponownie zażądała wody. Gdym ją znów położyła, gdyż uniosłam ją była i podtrzymawałam ramieniem, podczas gdy piła, ujęłam jej lodowatą i spoconą rękę; słabe palce jednakże cofnęły się przed mojem dotknięciem, a mgłą zachodzące oczy unikały mego wzroku.

— Niechże mnie ciotka, jak zechce, kocha czy nienawidzi — powiedziałam wreszcie — ja ciotce z serca przebaczam: niech Bóg jej przebaczy i powróci spokój.

Biedna, cierpiąca kobieta! za późno jej było zdobyć się na zmianę dotychczasowego myślenia i odczuwania: żyjąc, nienawidziła mnie zawsze, w godzinę śmierci nie umiała z tej nienawiści się otrząsnąć.

Weszła teraz pielęgniarka, a za nią Elżbietka. Pozostałam jeszcze godzinę w nadziei, że doczekam się jakiejś oznaki życzliwości. Próżna to była nadzieja. Chora szybko zapadała w odrętwienie; nie oprzytomniała więcej: o dwunastej w nocy skonała. Nie byłam obecna, by zamknąć jej oczy, nie była też obecna żadna z jej córek. Powiedziano nam nazajutrz rano, że już jest po wszystkim. Już ją tymczasem ubrano i wystawiono. Poszliśmy ją z Elizą odwiedzić. Georgjana, która uderzyła w głośny płacz, oświadczyła, że nie odważy się pójść. Oto leżała przed nami Sara Reed, silna i czynna niegdyś postać, te-

raz sztywna i spokojna: twarde jej oko kryła zimna powieka; na czole i wyrazistych rysach leżało jeszcze teraz piętno jej nieubłaganej duszy. Dziwnym i uroczystym przedmiotem były dla mnie te zwłoki. Patrzyłam na nie, przejęta posępnym smutkiem i przykrością: nie budziły żadnych uczuć łagodnych, rzewnych, litosnych, lub nadzieją osłodzonych, lecz jedynie drażniącą mękę na myśl o jej cierpieniach, nie o mojej stracie — i posępną grozę bez łez nad okropnością takiej śmierci.

Eliza spokojnie przypatrywała się matce. Po kilkunastuminutowem milczeniu zauważyła:

— Z jej organizmem można było dożyć późnej starości: życie jej skróciły zmartwienia.

A wtedy chwilowy skurcz przebiegł po ustach Elizy; gdy przeminał, odwróciła się i wyszła z pokoju, a ja za nią. Żadna z nas nie uroniła ani jednej łzy.

ROZDZIAŁ XXII.

Pan Rochester dał mi tylko tydzień urlopu, miesiąc jednak upłynął, nim opuściłam Gateshead. Pragnęłam wyjechać zaraz po pogrzebie, ale Georgjana błagała mnie, ażebym pozostała, dopóki nie wyjedzie do Londynu, dokąd nareszcie zaprosił ją wuj, pan Gibson, który był przyjechał, by zarządzić pogrzebem siostry i załatwić interesy rodziny. Georgjana twierdziła, że boi się pozostać sama z Elizą. Nie znajdowała u niej ani współczucia w przygnębieniu, ani uspokojenia w obawach, ani pomocy w przygotowaniach; ja zaś znosiłam, jak mogłam, jej małoduszne utyskiwania i egoistyczne lamenty i starannie szyłam dla niej i pakowałam jej ubrania. To prawda, że kiedy ja pracowałam, ona próżnowała; myślałam też w głębi duszy: „Gdybyśmy obie, kuzynko, musiały żyć zawsze razem, postawiłoby się sprawę zupełnie inaczej. Nie wzięłabym na siebie tej biernie uwzględniającej roli; wyznaczyłabym tobie dział pracy i zmusiłabym cię, byś ją spełniła, bo niktby tego za ciebie nie zrobił. Żądałabym także, byś nieco afektowanych, niezupełnie szczerych

skargę przemilczała. Jedyne dzięki temu, że nasz stosunek jest taki przypadkowy i krótkotrwały, że trafił na okres żałoby i smutku, jedynie dlatego zgadzam się na tyle cierpliwości i względności dla ciebie."

Nareszcie pożegnałam Georgjanę; ale teraz Eliza z kolei poprosiła mnie, bym się jeszcze tydzień zatrzymała. Planom swoim, mówiła, musi poświęcić cały czas i uwagę; zamierzała się udać w nieznaną świat i cały dzień pozostawała w swoim pokoju, zapełniając kufry, wypróżniając szuflady, paląc papiery i nie widując się z nikim. Prosiła mnie, bym dopilnowała domu, przyjmowała gości i odpowiadała na listy kondolencyjne.

Pewnego ranka oświadczyła mi, że wraca mi swobodę.

— Jestem ci wdzięczna, kuzynko — dodała — za twoje cenne usługi i dyskretne zachowanie się! Niemiała to różnica żyć z kimś takim jak ty, a nie z Georgjaną; ty zadanie swoje w życiu wypełniasz i nie ciężysz nikomu. Jutro — ciągnęła dalej — wyjeżdżam na kontynent. Zamieszkać w zakładzie religijnym w pobliżu Lille, tybyś to nazwała klasztorem; tam znajdę ciszę i spokój. Mam zamiar poświęcić pewien czas na przestudjowanie dogmatów rzymsko-katolickiego kościoła i na staranne zbadanie, jak działa ich system. Jeżeli się przekonam, że jest to system, jak potrosze przypuszczam, najlepiej obliczony na wprowadzenie regularności i porządku we wszelkie działania, wtedy przyjmę zasady kościoła rzymskiego i prawdopodobnie przywdzieję welon zakonny.

Nie wyraziłam ani zdziwienia wobec tego zamiaru, ani nie starałam się jej go odradzać. „To powołanie odpowie ci jak najdokładniej — pomyślałam — niechże ci przyniesie zadowolenie!”

Przy rozstaniu powiedziała:

— Żegnaj cię, kuzynko, Joanno Eyre; życzę ci wszystkiego dobrego; tobie nie brak rozsądku.

— I tobie go nie brak, kuzynko Elizo — odpowiedziałam — ale cały majątek, przypuszczam, po roku pochłonie ów zakład. Jednakże to nie moja sprawa, a jeżeli to tobie dogadza, to mnie mało to obchodzi.

— Masz słuszność — odpowiedziała. I przy tych słowach rozeszły się nasze drogi. Ponieważ nie będę już miała sposobności powracać ani do niej ani do jej siostry, mogę już tutaj napomknąć, że Georgjana zrobiła korzystną partję, wychodząc za bogatego, przeżytego światowca, i że Eliza istotnie przywdziała habit i jest dziś przełożoną klasztoru, w którym przebyła nowicjat i który wypozażyła swoim majątkiem.

Nie wiem, co czują ludzie, powracający do domu po dłuższej czy krótszej nieobecności, nigdy tego nie doświadczyłam. Wiedziałam, co czułam jako dziecko, gdy wracałam do Gateshead po długim spacerze i dostawałam burę, że wyglądam zziębnięta albo chmurna; a potem pamiętam, co czułam, gdy wracając z kościoła do Lowood, pragnęłam obfitego jedzenia i dobrego ognia i nigdy się z tem nie spotkałam. Żaden z owych powrotów nie był ani miły ani upragniony; żaden magnes nie przyciągał mnie do miejsca mego zamieszkania; magnes, którego siła przyciągania rosłaby w miarę zbliżania się do celu. Jaki będzie mój powrót do Thornfield, miałam się dopiero przekonać.

Podróż wydawała mi się nudna. Pięćdziesiąt mil jednego dnia, nocleg w hotelu; pięćdziesiąt mil drugiego dnia. Pierwszy dzień zeszedł mi na rozmyślanie o pani Reed i jej ostatnich chwilach; widziałam twarz jej zmienioną i bezbarwną, słyszałam jej głos dziwnie zmieniony. Przesuwał mi się we wspomnieniu dzień pogrzebu, trumna, karawan, czarny orszak dzierżawców i służby, niewielu krewnych, otwarta otchłań grobowa podziemi, milczący kościół, uroczyste nabożeństwo. A potem pomyślałam o Elizie i Georgjanie; jedną widziałam królową sali balowej, drugą mieszkanką celi zakonnej; zastanawiałam się nad odrębnością osób ich i charakterów. Wieczorne przybycie do wielkiego miasta X. rozwiąło te myśli; noc nadała im zupełnie inny kierunek; leżąc w łóżku hotelowem, przeszłam od wspomnień do przewidywań przyszłości.

Wracałam do Thornfield; lecz jak długo tam pozostanę? Niedługo, tego byłam pewna. Miałam list od pani Fairfax; towarzystwo we dworze rozjechało się; pan Ro-

chester wyjechał do Londynu przed trzema tygodniami, ale wtedy spodziewano się powrotu jego za dwa tygodnie. Pani Fairfax przypuszczała, że pojechał poczynić przygotowania do ślubu, ponieważ mówił o kupnie nowego powozu. Pisała, że projekt jego zaślubienia panny Ingram wciąż jeszcze wydaje jej się dziwny; że jednakże, sądząc po tem, co wszyscy mówią i co sama widziała, nie może dłużej wątpić o urzeczywistnieniu się jego zamiarów. „Byłabyś dziwnie upartym niedowiarkiem, gdybyś o tem po wątpiewała — pomyślałam. — Nie; teraz o tem nie wątpię.“

Teraz zadawałam sobie pytanie: „Dokąd się udam?“ Przez całą noc śniła mi się panna Ingram; nad ranem w żywym śnie ujrzałam ją, zamykającą przede mną bramy Thornfield i wskazującą mi palcem inną drogę. Obok zaś z założonemi na piersiach rękoma stał pan Rochester i śmiał się sarkastycznie, jak się zdawało, zarówno z niej, jak i ze mnie.

Nie oznaczyłam pani Fairfax dokładnie dnia swego powrotu, gdyż nie pragnęłam, by po mnie przysyłano konie do Millcote. Obiecywałam sobie przejść spokojnie pieszo ten kawałek drogi. Pozostawiwszy rzeczy pod opieką stróża hotelowego, puściłam się około szóstej wieczorem dobrze mi znajomą drogą do Thornfield; droga ta biegła przeważnie polami i obecnie mało była uczęszczana.

Nie był to bardzo jasny ani wspaniały wieczór letni, choć dosyć pogodny i łagodny. Kosiarze wzdłuż drogi zbierali siano, niebo zaś, chociaż nie wolne od chmur, zapowiadało pogodę; błękit jego, tam gdzie przeświecał, był czysty, a pasma obłoków lekkie były i płynęły wysoko. I zachód też był ciepły; nie chłodziła go mgła wilgotna, wyglądało, jakgdyby ogień tam się palił, jakgdyby płonął tam ołtarz za zasłoną marmurkowatych obłoczków, a z otworów świeciła czerwień złocista.

Z przyjemnością widziałam, że mi ubywa drogi, z taką przyjemnością, że raz przystanąłam, by się zapytać, co ta radość znaczy, i żeby sobie rozumnie przypomnieć, że nie do własnego powracam domu, nie do stałego miej-

sca pobytu, gdzie kochający przyjaciele wyglądają mnie i oczekują mojego powrotu. „Pani Fairfax z pewnością z uśmiechem spokojnie cię powita — powiedziałam sobie. — A mała Adelka będzie klaskać w ręce i skakać zobaczywszy ciebie; ale ty wiesz bardzo dobrze, że ty o kim innym myślisz i że ten ktoś nie myśli o tobie.”

Ale cóż jest upartsze od młodości? Cóż bardziej zaślepia od niedoświadczenia? Młodość i niedoświadczenie twierdziły, że dostateczną przyjemnością jest mieć szczęście znowu patrzeć na pana Rochesterę, choćby on na mnie nie patrzył, i dodawały: „Śpiesz się! śpiesz się! Bądź z nim, dopóki możesz; już niewiele dni, co najwyżej tygodni, a rozstaniesz się z nim na zawsze!” A wtedy zdusiłam nową, rodzącą się mękę — potworne uczucie, którego uznać w sobie ani hodować nie chciałam — i podążałam naprzód.

I w Thornfield koszone łąki, a raczej właśnie robotnicy, ukończywszy pracę, wracali do domu z grabiami na ramionach. Mam jeszcze jedno czy dwa pola do przejścia, a wtedy wejdę na drogę i dostanę się do bramy. Jak pełne róż są żywopłoty! Ale ja nie mam czasu na zrywanie kwiatów, śpieszno mi do domu. Minęłam wysoki krzak głogu, widzę wąski przełaz z kamiennymi schodkami; i widzę — pana Rochesterę, siedzącego tam z książką i ołówkiem w ręku; pisze.

Doprawdy, to przecież nie duch; a jednak czuję rozstrój nerwów i przez chwilę nie mogę się opanować. Co to ma znaczyć? Nie przypuszczałam, że tak drzeć będę, gdy go zobaczę, że stracę głos i możliwość poruszenia się w jego obecności. Zawrócę, skoro tylko odzyskam władzę nad ruchami; pocóż mam się okrywać śmiesznością? Znam inną drogę do domu. Ale cóż z tego, gdybym i dwadzieścia dróg znała? Wszakże on mnie już zobaczył...

— Witam! — woła i składa książkę i ołówek. — Więc powróciła panna Joanna! proszę bliżej, jeśli łaska!

Zdaje się, że się przybliżyłam, chociaż jak się to stało, nie wiem sama, tak sobie nie zdawałam sprawy z własnych ruchów i tylko o to dbałam, by wydać się spokojną, a przede wszystkim opanować twarz, która,

czułam, że buntuje się przeciw mej woli i dąży do wyrażenia tego, co ukryć chciałam. Ale mam przecież woalkę — jest spuszczone; jeszcze może mi się uda zachować, tak jak wypada, pozory spokoju.

— Więc to jest panna Joanna Eyre? Czy przybywasz z Millcote i to na piechotę? Tak... ot właśnie taka godna ciebie sztuczka: nie zażądać powozu, by z turkotem przez ulice i drogi przyjechać jak zwykły inny śmiertelnik, ale błąkać się w zmroku w sąsiedztwie twego domu, zupełnie jakgdybyś była snem albo cieniem. Cóżżeś, u licha, poczyniała, panno Joanko, ze sobą przez ten ostatni miesiąc?

— Byłam u ciotki, panie, która umarła.

— Godna panny Joanki odpowiedź! Dobrzy anieli, strzeżcie mnie! Ona przybywa z drugiego świata, stamtąd, gdzie mieszkają ludzie, którzy nie żyją, i mówi mi to, spotykając mnie samego w godzinie zmierzchu! Gdybym śmiał, dotknąłbym ciebie, by się przekonać, czyś z ciała, czyś cieniem, rusałko!.. ale równie dobrze mógłbym chcieć dotknąć błędnego ognika na bagnisku. Włóczęga! — dodał, przerwawszy na chwilę. — Opuścić mnie na cały miesiąc i zupełnie o mnie zapomnieć. Przysiągłbym, żeś zapomniała!

Wiedziałam, że przyjemność mi sprawi spotkanie z moim zwierchnikiem, jakkolwiek przyjemność, zatrutą obawą, że już niezadługo przestanie nim być, oraz świadomością, że jestem dla niego niczem; jednakże była zawsze w panu Rochesterze taka bogata moc uszczęśliwiania (ja to przynajmniej czułam), że już te okruchy, które rozsiewał dla przelotnych i obcych ptaków jak ja, stanowiły ucztę obfitą. Ostatnie jego słowa były dla mnie balsamem; czyż nie oznaczały, że zależy mu trochę na tem, bym go pamiętała? A o Thornfield mówił, jako i moim domu — o, gdybyż to był mój dom!

Pan Rochester nie ruszał się z przelazu, a ja nie śmiałam go prosić, żeby mnie przepuścił. Zapytałam go, czy nie był w Londynie.

— Owszem; ale to zapewne w jasnowidzeniu ktoś się o tem dowiedział.

— Pani Fairfax pisała mi o tem.

— I napisała także, poco pojechałem?

— O tak, panie! Wszyscy wiedzą, jaki pan tam miał interes.

— Musisz zobaczyć powóz, panno Joanko, i musisz mi powiedzieć, czy uważasz, że będzie się podobał pani Rochester i czy nie będzie wyglądała, jak królowa Boadicea, oparta o te purpurowe poduszki. Chciałbym, panno Joanko, żebym zewnątrz trochę więcej harmonizował z nią... Powiedz mi — jesteś przecież wróżką — czy nie możesz mi dać jakiego czarodziejskiego środka, napoju, cudownego ziała, czy czegoś w tym rodzaju, żeby ze mnie zrobić przystojnego mężczyznę?

— Na to magja nie ma środka, panie — odpowiedziałam dodając w myśli: „Kochające oczy posiadają ten czar; i dla takich oczu jesteś wystarczająco urodziwy, a surowość twej twarzy moc ma większą niż uroda”.

Pan Rochester odczytywał niekiedy niewypowiedane moje myśli z trafnością dla mnie niezrozumiałą; w tym wypadku pominął moją ustną odpowiedź, tylko uśmiechnął się do mnie takim, sobie właściwym uśmiechem, który się rzadko u niego pojawiał. Rzadko — w zwyczajnych okolicznościach. Była w tym uśmiechu cała słoneczność uczucia; ogarnął mnie nią teraz.

— Przejdź, panno Joasiu — rzekł, robiąc mi miejsce do przejścia przez przełaz — idź do domu i niech odpoczną twoje zdrożone nóżki u przyjacielskiego progu.

Pozostawało mi tylko usłuchać go w milczeniu; zbyteczną była dalsza rozmowa. W milczeniu przeszłam przez przełaz i zamierzałam opuścić go spokojnie. Coś mnie jednak powstrzymało, jakaś siła zniewoliła mnie stanąć i obejrzeć się. Powiedziałam — czy też uczucie, którego nie mogłam opanować, przemówiło mimo mej woli:

— Dziękuję panu, panie Rochester, za wielką dobroć. Dziwnie jestem rada, że wracam znowu do pana; a gdziekolwiek pan jest, tam jest mój dom, mój jedyny dom.

Oddaliłam się tak szybko, że nawet gdyby chciał, byłoby mu trudno mnie dogonić. Adelka, ujrzawszy mnie, poprostu oszalała z radości. Pani Fairfax przyjęła mnie

ze zwykłym przyjacielskim spokojem. Lea uśmiechnęła się, a nawet Sophie z radością powiedziała mi „*bon soir*”. Wszystko to było bardzo miłe; nic tak nie uszczęśliwia człowieka, jak poczucie, że się jest kochanym przez bliźnich i że obecnością swoją sprawia się im przyjemność.

Tego wieczora stanowczo odwróciłam oczy od przeszłości: zatkałam uszy, nie chcąc słyszeć głosu, który przypominał mi o bliskim rozstaniu i zbliżającym się cierpieniu. Po herbacie, gdy pani Fairfax zabrała się do swojej roboty, gdy ja zajęłam niskie siedzenie obok niej, a Adelka, klęcząc na dywanie, przygarnęła się do mnie, uczucie wzajemnego przywiązania otoczyło nas pierścieniem złotego spokoju. Modliłam się w duchu, by nas nic prędko nie rozłączyło; ale gdy na to niespodziewanie wszedł pan Rochester i, patrząc na nas, zdawał się znajdować przyjemność w widoku tak przyjacielskiego gronka, gdy powiedział, że teraz zapewne pani Fairfax będzie kontenta, mając zpowrotem adoptowaną córeczkę przy sobie, gdy dodał, że widzi, iż Adelka jest „*prête à croquer sa petite maman anglaise*”, zbudziła się we mnie wątpliwość nadzieja, że przecież może nawet po ślubie zatrzyma nas jakoś razem pod osłoną swojej opieki, niezupełnie wygnane z słonecznej jego obecności.

Dwa tygodnie spokoju nastąpiły po moim powrocie do Thornfield Hall. Nic się nie słyszało o małżeństwie pana i nie robiono żadnych przygotowań w tym celu. Prawie codziennie pytałam panią Fairfax, czy nie słyszała o jakiejś decyzji; odpowiadała stale przecząco. Raz powiedziała mi, że zapytała pana Rochester, kiedy zamysła przywieźć młodą panią do domu; ale on odpowiedział jej tylko żartem i spojrzeniem zagadkowym, tak że nie wiedziała, jak ma go rozumieć.

Jedna rzecz szczególnie mnie zadziwiła, a mianowicie to, że nikt z rodziny Ingram nie przyjeżdżał do Thornfield, ani też pan Rochester nie składał wizyt w Ingram Park. To prawda, że odległość wynosiła dwadzieścia mil, bo Ingram Park leżało na pograniczu innego hrabstwa. Ale czem była taka odległość dla gorąco zakochanego? Dla tak sprawnego i niezmordowanego jeźdźca, jak pan

Rochester, stanowiłoby to spacer przedpołudniowy. Budziła się we mnie nadzieja, do jakiej nie miałam prawa: a nuż małżeństwo zerwane? a nuż mylił się głos ogółu? a nuż rozmyśliła się jedna albo druga strona? Przyglądałam się twarzy pana Rochester, chcąc z niej wyczytać, czy smutny jest, czy gniewny? Nie pamiętam jednak takiego okresu, gdzieby twarz ta tak jednolicie wolną była od chmur wszelkich uczuć niedobrych. Jeżeli w chwilach, które wraz z moją uczenniczką z nim spędzaliśmy, zapadałam w przygnębienie, on stawał się nawet wesołym. Nigdy jeszcze tak często nie szukał mego towarzystwa; nigdy nie okazywał mi tyle dobroci — a ja, niestety! nigdy go jeszcze tak bardzo nie kochałam, jak teraz.

ROZDZIAŁ XXIII.

Wspaniałe wczesne lato zaświeciło nad Anglią: niebo tak czyste, słońce tak promienne, jak się je wtedy widziało w długim szeregu dni, rzadko kiedy nawet przez dzień jeden uszczęśliwia naszą falami otoczoną krainę. Było to tak, jakgdyby gromadka dni włoskich nadleciała z południa i niby stado wspaniałych przelotnych ptaków przysiadła odpocząć na skałach Albjonu. Zwieziono siano; pola dokoła Thornfield zieleńły się bujnie; drogi pobielwały, spieczone słońcem; drzewa pokrył ciemny liść w pełnym rozwoju; żywopłoty i lasy głęboką barwą listowia odbijały od słonecznego tonu skoszonych łąk.

Pewnego upalnego dnia Adelka, znużona zbieraniem przez pół dnia dzikich malin na drodze do Hay, poszła spać razem ze słońcem. Pilnowałam ją, dopóki nie usnęła, a potem wyszłam do ogrodu.

Była to najmilsza godzina z dwudziestu czterech godzin doby. „Dzień gorące ognie strwonił”, a chłodna rosa opadała na spragnione równiny i spieczone szczyty. Tam, gdzie słońce zaszło, wolne od przepychu climur — roztaczała się purpura, płonąc jak krwawy klejnot lub rozżarzony ogień na szczycie jednego wzgó-

rza i sięgając w coraz łagodniejszych tonach poprzez połowę nieba. Wschód miał też swój własny urok pięknego, głębokiego szafiru i własny skromny klejnot, wschodząca, pojedynczą gwiazdę; niebawem miał się poszczycić księżycem; ale tymczasem księżyc był jeszcze poniżej widnokregu.

Przechadzałam się czas jakiś po chodniku, gdy nagle delikatna, dobrze znajoma woń, woń cygara zaleciała mnie od jednego okna; zobaczyłam, że okno w bibliotece jest cokolwiek odchylone; wiedziałam, że stamtąd mogę być widziana, to też przeszłam do sadu. Żaden zakątek w ogrodzie nie był tak zaciszny, tak rajski, jak ten; pełen był drzew, pełen rozkwitłych kwiatów; z jednej strony bardzo wysoki mur odgradzał go od podwórza, z drugiej aleja bukowa osłaniała go od drogi. Na końcu znajdował się płot nad rowem, jedyna przegroda od pustych pól; wijąca się ścieżka, obsadzona krzewami, a kończąca się olbrzymim kasztanem z okalającą go dokoła ławeczką, prowadziła do płotu i rowu. Tutaj mogłam spacerować niewidziana. Wzruszona pięknem wieczoru, rosą padającą, ciszą, czułam, że w tym zakątku mogłabym przebywać wiecznie. Gdy jednak zaczęłam krążyć po kwiatowo-owocowej górnej części tego ogrodu, dokąd zwabiło mnie widoczniesze w tej wolniejszej przestrzeni światło księżyca, nagle wstrzymał moje kroki — nie odgłos żaden, nie widok — lecz znowuż zapach ostrzegawczy. Bez dziki, akacje, jaśmin, gwoźdźniki i róże oddawna już składały wieczorną ofiarę kadzidła; tego nowego zapachu nie wydaje ani krzew ani kwiat; jest to — znam je dobrze — jest to cygaro pana Rochester. Oglądałam się dokoła i słucham. Widzę drzewa, obarczone dojrzewającym owocem. Słyszę słowika, śpiewającego w pobliskim lasku; nie widać żadnej poruszającej się postaci, nie słychać przybliżających się kroków. Jednakże zapach staje się silniejszy; muszę uciekać. Zmierzam do furtki, prowadzącej w gąszcz krzewów, i widzę, że wchodzi pan Rochester. Chronię się do bluszczowej altanki. „Przecież — myślę sobie — on długo zatrzymywać się tu nie będzie; wróci nieba-

wem tam, skąd przyszedł, a jeśli będę siedziała cicho, nie zobaczy mnie chyba."

Ale nie — ten wieczór snąc zarówno jemu miły, jak i mnie, a ten staroświecki ogród taki ponętny. Przechadza się więc dalej, to podnosząc gałązki agrestu, by popatrzeć na obciążający je owoc wielki jak śliwki, to zrywając dojrziałą wiśnię pod murem, to nachylając się nad kępką kwiatów, by wchłonąć ich woń lub podziwiać kropelki rosy na płatkach. Wielka ćma brzęcząc przelatuje koło mnie; siada na roślinie u stóp pana Rochester'a; on widzi ją i schyla się, by ją dokładniej obejrzeć.

„Teraz plecami obrócony jest do mnie — pomyślałam — a przytem jest zajęty; może, idąc cicho, będę się mogła wymknąć niezauważona."

Stąpałam po trawie brzegiem ścieżki, by nie zdradził mnie chrząst kamyków: on stał wśród grządek o jakie dwa kroki od miejsca, któredy musiałam przechodzić; ćma widocznie zajmowała jego uwagę. „Przejdę bardzo dobrze" — myślałam. Gdy przekraczała cień jego, rzucony przez księżyc, odezwał się spokojnie, nie odwracając się wcale:

— Panno Joanko, pójdź, zobacz tę stworę.

Zachowywałam się tak cicho! — Przecież nie miał oczu w plecach; czyżby cień jego odczuł? Drgnęłam w pierwszej chwili, a potem przysunęłam się bliżej.

— Popatrz na jej skrzydła — rzekł — ona mi przypomina owad z Indyj Zachodnich; nie często widuje się w Anglii okazy tak wielkich i barwnych ciem nocnych; ot masz — poleciała!

Ćma odfrunęła. I ja zażenowana cofałam się także. Jednak pan Rochester poszedł za mną, a gdy doszliśmy do furtki, powiedział:

— Zawróćmy; to wstyd w tak piękną noc siedzieć w domu; z pewnością nikomu nie chce się iść spać, gdy w ten sposób zachód słońca schodzi się z wschodem księżycy.

Jest to jedną z moich wad, że chociaż język mój jest niekiedy dość skory do odpowiedzi, bywają zdarzenia, że gdy chodzi o znalezienie wymówki, haniebnie

mnie zawodzi. A trafia się to najczęściej w takich warunkach, gdzie łatwe słowo lub prawdopodobne upozorowanie wybawiłoby mnie z przykrej, kłopotliwej sytuacji. Nie miałam ochoty spacerować o tej godzinie sama z panem Rochesterem po tym cieniastym ogrodzie, nie mogłam jednak znaleźć powodu, dla którego bym go miała pożegnać. Szłam więc, ociągając się i szukając w myślach sposobu, jakby się tu wykręcić. On jednakże wydawał się taki spokojny i taki poważny, że zrobiło mi się wstyd mojego zmieszania; zło — jeżeli w tem było jakie zło — leżało widocznie we mnie tylko; jego umysł był tego nieświadomy i spokojny.

— Panno Joanko — zaczął znowu, gdy wszedłszy na ścieżkę wśród krzewów posuwaliśmy się w kierunku płotu nad rowem i kasztana. — Thornfield to miła miejscowość latem, nieprawdaż?

— O tak, panie.

— Musiałaś się do pewnego stopnia przywiązać do tego domu, mając poczucie piękna przyrody i dużo zmysłu przywiązywania się.

— To też przywiązałam się istotnie.

— I chociaż nie rozumiem, jak to być może, ale uważałam, że i do tego głupiutkiego dziecka, Adelki, przywiązałaś się także; a nawet bodaj do prostodusznej niewiasty, pani Fairfax, również?

— Tak, panie; każda na inny sposób, ale obiedwie są mi drogie.

— I żalby ci było rozstać się z niemi?

— O, żal.

— Szkoda! — powiedział; westchnął i zamilkł. — Taki to już bieg rzeczy na świecie — ciągnął zaraz dalej. — Zaledwie człowiek zadomowi się gdzieś, gdzie mu dobrze, odzywa się głos: wstawaj i idź dalej, gdyż godzina wypoczynku minęła.

— Czy ja muszę iść dalej? — zapytałam. — Czy muszę opuścić Thornfield?

— Ja myślę, że musisz, panno Joanko. Żal mi, panno Joasiu, ale myślę doprawdy, że musisz.

Był to cios, ale ja nie chciałem upaść pod tym ciosem.

— Dobrze, panie, będę gotowa i pójdę, skoro przyjdzie rozkaz wymarszu.

— Ten rozkaz przychodzi teraz, muszę go wydać dziś jeszcze.

— A więc pan się jednak żeni, panie Rochester?

— A wła-śnie. A o to chodzi. Z zwykłą swoją bystrością odgadła panna Joanka.

— Czy ma to prędko nastąpić?

— Bardzo prędko, moja... to jest, panno Eyre; i proszę przypomnieć sobie, panno Joanko, że kiedy pierwszy raz ode mnie czy od kogoś dowiedziałaś się, że mam zamiar na mój starokawalerski kark nałożyć świętą pętlę, wstąpić w święty stan małżeński, wziąć pannę Ingram w objęcia (jest co objąć, naprawdę, ale to nic nie ma do rzeczy... nie można mieć nigdy za wiele czegoś tak doskonałego, jak moja piękna Blanka); otóż, jak mówiłem... czy panna Joanka mnie słucha? Nie odwracaj głowy, nie oglądaj się za ćmami! To tylko była „wstęga wieczorna“, dziecko... ot, pofrunęła do domu! Otóż chciałem ci przypomnieć, że to ty pierwsza powiedziałaś do mnie, z taktem, który tak w tobie szanuję — z tą przezornością, roztropnością i skromnością, stosowną w twej odpowiedzialnej i zależnej sytuacji —, że na wypadek, gdybym się ożenił z panną Ingram, wy obie, ty i Adelka, powinnyście się stąd wynieść. Pomi- jam, że ta uwaga rzuca pewien obraźliwy cień na charakter mojej ukochanej. Istotnie, gdy już będziesz daleko, panno Joanko, będę się starał o tem zapomnieć; zapamiętam tylko mądrość tej rady, która dała mi wskazówkę postępowania. Adelka musi pójść do szkoły, a panna Eyre musi sobie poszukać innej posady.

— Tak, panie, podam natychmiast ogłoszenie; a tymczasem, myślę... — chciałam dodać: „że mogę pozostać tutaj, aż znajdę inny dach, pod który się schronię“, lecz urwałam, nie chcąc ryzykować długiego zdania, gdyż czułam, że niezupełnie panuję nad głosem.

— Za miesiąc mniej więcej, jak sądzę, będę już żo- natym — mówił dalej pan Rochester — a tymczasem

sam rozejrzę się za zajęciem i schronieniem dla ciebie, panno Joanko.

— Dziękuję panu; przykro mi, że sprawiam...

— Ach, niema za co przepraszać! Uważam, że jeżeli pracownica spełniała swój obowiązek tak dobrze, jak ty swój, ma prawo wymagać od pracodawcy pewnej pomocy, jeśli on ją dać może. Istotnie, już nawet sły-
szałem od mojej przyszej teściowej o posadzie, któraby
może była odpowiednią: chodzi mianowicie o podjęcie się
edukacji pięciu córek pani O'Gall w Bitternutt Lodge
w Connaught w Irlandji. Spodoba ci się Irlandja, sądzą;
powiadają, że ludzie tam tacy serdeczni.

— To bardzo daleko, panie.

— Cóż to szkodzi, dziewczyna tak rozsądna nie
może się obawiać podróży ani odległości.

— Nie podróży, ale odległości; a przytem... morze
odgradza...

— Od czego, panno Janko?

— No?

— ...od Anglji i od Thornfield i...

— ...od pana, panie Rochester,

Powiedziałam to prawie mimowoli, i również bez
udziału wolnej woli popłynęły moje łzy. Płakałam jed-
nak cicho, niedosłyszalnie, powstrzymywałam łkania.
Myśl o pani O'Gall i Bitternutt Lodge zmroziła we mnie
serce; jeszcze bardziej myśl o tych falach morskich,
które stanowić miały zaporę pomiędzy mną a moim
zwierzchnikiem, ale najbardziej bolesną była myśl o tym
szerszym oceanie — oceanie bogactwa, sfery, zwycza-
jów, oddzielającym mnie od tego, którego całą istotą
kochałam.

— To tak bardzo daleko — powtórzyłam.

— To prawda, istotnie; a gdy raz się dostaniesz do
Bitternutt w Irlandji, ja ciebie już nigdy nie zobaczę,
panno Joanko; tego jestem najpewniejszy. Nigdy nie
bywam w Irlandji, nie mam jakoś przekonania do tego
kraju. W dobrej żyliśmy przyjaźni, wszak prawda?

— Tak, panie.

— A gdy przyjaciele są w przededniu rozstania, lubią spędzić blisko przy sobie trochę pozostałego im czasu. Pójdź! Pogawędzimy o tej podróży i o tem rozstaniu spokojnie z jakie półgodzinki, podczas gdy tam na niebie gwiazdy zapalać się będą. Oto jest kasztan i ławeczka nad starami jego korzeniami. Posiedźmy tu w spokoju dziś wieczór, choćby nie było nam sądzone nigdy już zasiać razem.

Zmusił mnie, bym usiadła, i sam usiadł także.

— Daleka to droga do Irlandji, panno Joanko, i mnie żal wysyłać przyjaciółeczkę w tak męczącą podróż; skoro jednakże nie mogę nic lepszego uczynić, cóż na to poradzę? Czy masz ty ze mną coś wspólnego, jak myślisz, panno Joanko?

Nie mogłam się w tej chwili zdobyć na żadną odpowiedź: serce we mnie zamierało.

— Ponieważ — mówił dalej — ja niekiedy podlegam w stosunku do ciebie dziwnemu uczuciu, zwłaszcza gdy znajdujesz się blisko mnie, tak jak teraz: mam wrażenie, że gdzieś około moich lewych żeber mam umocowany sznur, silnym węzłem spojony z takimże sznurem, w takimże miejscu przytwierdzonym u ciebie. A jeżeli ten burzliwy kanał i przestrzeń tylu mil stanie pomiędzy nami, ten łączący sznur może przerwać się, może pęknąć; a wtedy, odczuwam to nerwowo, ja zacząłbym krwawić wewnątrz. A ty?... tybyś mnie zapomniała.

— O, co to, to nigdy, panie; pan wie... — nie mogłam mówić dalej.

— Panno Joanko, czy słyszysz, jak słowik tam śpiewa w lasku? Posłuchaj!

Słuchając, łkałam konwulsyjnie, gdyż już nie mogłam dłużej opanować uczuć; musiałam ulec. Dojmująca męka wstrząsała mną całą. Gdy przemówiłam, to jedynie poto, by wybuchnąć gwałtowną skargą, że wogóle na ten świat przyszłam, że wogóle Thornfield poznałam.

— Tak ci jest żal Thornfield porzucać?

Gwałtowność wzruszenia, pobudzona żalem i miłością, zbuntowała się we mnie, zażądała władzy, pełni lo-

tu, prawa do życia, wzniesienia się i zapanowania narzeczycie; tak, domagała się prawa głosu.

— Żal mi porzucać Thornfield; kocham Thornfield: kocham, gdyż tu żyłam życiem pełnym i błogiem — chwilowo przynajmniej. Nikt mnie deptał. Nikt nie zmuszał do zaskorupiania się w sobie. Nie pogrzebano mnie z niższemi duszami, nie wykluczono od przedstawiania z tem, co jasne, energiczne i wysokie. Żyłam z tem, co czcę, co nad wszystko przenoszę — rozmawiałam z oryginalnym, potężnym, bez wszelkiej ciasnoty duchem. Poznałam pana, panie Rochester; przerażenie i męka przejmują mnie na myśl, że koniecznie oderwać się muszę od pana na zawsze. Widzę konieczność mojego wyjazdu; a jest mi tak, jakgdybym patrzyła na konieczność śmierci.

— W czym widzisz tę konieczność? — zapytał nagle.

— W czym? Pan sam ją przede mną postawił.

— W jakiej postaci?

— W postaci panny Ingram; szlachetnej i pięknej kobiety — pańskiej narzeczonej.

— Mojej narzeczonej! Jakiej narzeczonej? Ja nie mam narzeczonej.

— Ale ją pan będzie miał.

— Tak jest; będę ją miał!... Będę! — zaciął zęby.

— Więc też ja muszę odejść; sam pan to powiedział.

— Nie, musisz pozostać! Przysięgam — i tej przyśięgi dotrzymam.

— A ja mówię panu, że muszę odejść! — zawołałam z uniesieniem. — Czy pan sobie wyobraża, że ja tu potrafię pozostać, stając się dla pana niczem? Czy pan mnie uważa za bezduszny automat, za maszynę bez czucia? Sądzi pan, że potrafiłabym znieść, gdyby mi mój kęs chleba wydzierano od ust i kroplę żywej wody wytrącano z czary? Ponieważ jestem biedna, nieznana, nieładna i mała, myśli pan, że i duszy we mnie niema, ani serca? O, jak się pan myli! mam duszę, jak i pan, i także serce! Nie zwracam się teraz do pana tak, jak-

by nakazywał zwyczaj czy konwenans światowy, ale jak wolny duch do wolnego ducha, tak jakgdybyśmy, przeszedłszy przez śmierć i przez grób, stali przed Bogiem równi, bo i równi przecież jesteście!

— Równi jesteście? — powtórzył pan Rochester. — O, tak — dodał, obejmując mnie ramionami, przygarniając do piersi i przyciskając usta do moich ust. — Tak, Joanko!

— Tak, panie — odpowiedziałam — a jednak nie tak; gdyż pan jest człowiek żonaty... czy tak jak żonaty, i to z kobietą niższą od pana, — z którą pan nie ma nic wspólnego, którą, nie wierzę, by pan kochał prawdziwie, gdyż widziałam i słyszałam, jak pan z niej drwił. Jabym wzgardziła takim związkiem; dlatego uważam się za lepszą od pana. Niech mnie pan puści!

— Dokąd chcesz iść, Joanko? Czy do Irlandji?

— Tak, do Irlandji. Wypowiedziałam to, co mam na sercu, a teraz mogę się udać gdziekolwiek.

— Joanko, uspokój się; nie wrywaj się tak, jak dziki, oszalały ptak, który łamie własne pióra, miotając się w sieci.

— Nie jestem ptakiem, żadna sieć mnie nie więzi; jestem wolną ludzką istotą o niezależnej woli, a ta wola posłuży mi do opuszczenia pana.

Jeszcze jednym wysiłkiem uwolniłam się z jego objęć i stałam przed nim wyprostowana.

— Niechże twoja wola decyduje o twoim losie — powiedział. — Ofiaruję ci rękę swoją, serce i udział we wszystkim, co posiadam.

— Gra pan farsę, z której ja się tylko śmieję.

— Proszę ciebie, byś spędziła życie przy moim boku, byś była drugim moim ja, moim najlepszym towarzyszem na ziemi.

— Do tej roli już pan uczynił wybór i musi przy nim pozostać.

— Joanko, ucisz się na chwilę; jesteś nadmiernie rozdrażniona; i ja także będę milczał.

Powiew wiatru przeleciał wzdłuż ścieżki, zatrząsał gałęzmi kasztana; odleciał precz, precz... w nieokreśloną

dal, gdzie zamarł. Śpiew słowika był wtenczas jedynym głosem, rozlegającym się o tej godzinie: słuchając go, rozplakałam się znowu. Pan Rochester siedział spokojnie, patrząc na mnie łagodnie i poważnie. Jakiś czas upłynął, zanim przemówił; nakoniec powiedział:

— Usiądź tu przy mnie, Joanko; wyłumaczymy sobie wszystko i zrozumiemy się wzajemnie.

— Ja już nigdy przy panu nie usiądę; oderwałam się i nie mogę powrócić.

— Ależ, Joanko, ja ciebie proszę, zechciej być moją żoną: ja tylko z tobą zamierzam się ożenić.

Milczałam; myślałam, że żartuje ze mnie.

— Przyjdź, Joanko, przyjdź tu bliżej.

— Narzeczona pańska stoi między nami.

Wstał i jednym krokiem był przy mnie.

— Tu jest moja narzeczona — rzekł, przyciskając mnie znów ku sobie — ponieważ tu jest człowiek mi równy, człowiek mi podobny. Joanko, chcesz być moją żoną?

Ja wciąż jeszcze nie odpowiadałam, wciąż jeszcze wrywałam się z jego objęcia, gdyż niedowierzałam mu nadal.

— Czy powątpiewasz o mnie, Joanko?

— Tak, panie.

— Nie wierzysz mi?

— Ani trochę.

— Czyż ja jestem kłamcą w twoich oczach? — zawołał namiętnie. — Ty, mała sceptyczko, ja ciebie muszę przekonać. Jakaż ja miłość odczuwam dla panny Ingram? Żadnej — i ty o tem wiesz. Jakaż miłość ma ona dla mnie? Żadnej — przekonałem się o tem. Postarałem się, by doszła ją pogłoska, że mój majątek nie wynosi nawet trzeciej części tego, co przypuszczają, a potem stawilem się przed nią, by stwierdzić rezultat; spotkało mnie oziębłe przyjęcie z jej strony i jej matki. Nie chciałbym, nie mógłbym ożenić się z panną Ingram. Ty... ty dziwne, ty prawie nieziemskie stworzenie! Ciebie kocham, jak własną duszę. Ciebie — biedną i nie-

znaną, małą i nieładną, bo taką jesteś, ciebie błagam, byś przyjęła mnie za męża.

— Jakto, mnie?! — zawołałam, zaczynając wierzyć w jego szczerłość wobec powagi, a zwłaszcza wobec jego niegrzeczności. — Mnie, która na całym świecie nie ma przyjaciela, prócz pana, jeśli pan nim jest; która nie ma ani jednego grosza poza tem, co pan mi płaci?

— Ty, Joanko, ty musisz być moją — zupełnie moją. Czy chcesz być moją? Odpowiedz, że chcesz, odpowiedz prędko!

— Panie Rochester, niech mi pan pozwoli popatrzeć w swoją twarz; niech się pan obróci do księżycyca.

— Dlaczego?

— Ponieważ chcę czytać myśli w pańskiej twarzy. Niech się pan obróci!

— Proszę! Nie będzie ona czytelniejszą, niż zgniecioną, zagryzmołoną kartka. Czytajże, tylko śpiesz się, bo ja cierpię.

Twarz jego była wielce wzburzona i bardzo mocno zarumieniona; przebiegały po niej silne skurcze i dziwne błyski miał w oczach.

— O Joanko! jak ty mnie męczysz! — zawołał. — Swojem badawczem, a jednak wiernem i szlachetnem spojrzaniem dręczysz mnie!

— Jak to być może! Jeśli pan jest szczerzy a propozycja jego uczciwa, ja przecież dla pana tylko wdzięczność czuć mogę i serdeczne oddanie, to przecież dręczyć nie może!

— Wdzięczność! — zawołał i dodał gwałtownie: — Joanko, przyjmij mnie prędko. Powiedz: Edwardzie — po imieniu mi powiedz: Edwardzie, będę twoją żoną.

— Czy pan serjo mówi? Czy pan mnie naprawdę kocha? Czy pan szczerze pragnie mieć mnie za żonę?

— Tak jest; a jeżeli dla upewnienia cię potrzeba ci przysięgi — tedy przysięgam ci.

— Jeśli tak, panie, będę pańską żoną...

— Żoneczko moja! Nazwij mnie: Edwardzie!

— Edwardzie drogi!

— Przyjdź do mnie... przyjdź do mnie, jedyna moja — powiedział, i dodał tonem głęboko wzruszonym, z twarzą przytuloną do mojej: — Daj mi szczęście, a będę dbał o twoje.

— Niech Bóg mi przebaczy! — dodał niebawem — a człowiek niech się do mnie nie wtrąca: moją jest i już jej nie oddam.

— Któżby się mógł wtrącać, panie? Ja nie mam krewnych, którzyby się do moich spraw mieszać mogli.

— Nie — i to właśnie najlepsze — odparł.

Gdybym mniej go kochała, byłby mi się akcent jego i ten wyraz triumfalnej radości wydał niesamowity. Siedząc jednak przy nim, obudzona z tej straszliwej zmory rozstania, czując, że raj mi się otwiera, myślałam tylko o tem szczęściu, którem się połam. On raz po raz zapytywał:

— Czy jesteś szczęśliwą, Joanko?

— O tak! — odpowiadałam za każdym razem.

Wtedy on szepnął:

— To odkupi!... to odkupi! Czyż nie znalazłem jej sierotę, bez przyjaciół, zmrożoną, niepocieszoną? Czyż nie będę jej strzegł, i miłował ją i pocieszał? Przecież miłość jest w sercu mojem, stałość w mych postanowieniach. To zadosyćczyni przed trybunałem Najwyższego. Wiem, że Stwórca mój zezwala na ten czyn. Nie dbam o sąd świata. Opinji ludzkiej stawię czoło.

Ale co się działo tej nocy? Księżyc jeszcze nie zaszedł, a nas objął cień zupełny; zaledwie mogłam dojrzeć twarz pana Rochester, chociaż tak blisko siedziałam. A co wyprawiał ten kasztan? Wił się, szumiał i jęczał, gdy wiatr hulał wzdłuż ścieżki i ogarniał nas potężnem tchnieniem.

— Musimy wracać — powiedział pan Rochester. — Nadchodzi burza. Mógłbym tak przesiedzieć z tobą, Joanko, aż do rana.

„I ja również z tobą” — pomyślałam. Byłabym to może nawet powiedziała, gdyby nie to, że sina, jaskrawa iskra wyskoczyła z chmury, na którą właśnie patrzyłam,

i że rozległ się trzask bliskiego pioruna; już przeto tylko olśnione oczy schowałam na ramieniu pana Rochester.

Lunał deszcz. Pan Rochester śpiesznie poprowadził mnie wzdłuż ścieżki, przez ogród i do domu; zanim jednakże przestąpiliśmy próg, byliśmy przemoczeni do nitki. Właśnie pan Rochester zdejmował ze mnie szal w sieni i wytrząsał wodę z rozpuszczonych moich włosów, gdy pani Fairfax wysunęła się z pokoju. Nie zauważyłam jej zrazu, nie zauważył też jej pan Rochester. Lampa paliła się w hallu. Zegar właśnie miał bić dwunastą.

— Śpiesz się zdjąć przemoczone ubranie — rzekł — a zanim pójdziesz, dobranoc ci — dobranoc, moje kochanie!

Ucałował mnie kilkakrotnie. Gdy podniosłam oczy, wysuwając się z jego objęcia, ujrzałam stojącą tuż obok wdowę, bladą, poważną i zdumioną. Uśmiechnęłam się tylko do niej i pobiegłam na górę. „Na wytłumaczenie musi jeszcze poczekać” — pomyślałam. A jednak, gdy dotarłam do swego pokoju, zrobiło mi się przykro, że ona, chociaż chwilowo, może źle zrozumieć to, co widziała. Radość jednakże zatarła wszelkie inne uczucia; i chociaż głośno dał wicher, choć blisko i potężnie huczały grzmoty, często i straszno błyskały pioruny, a ulewa lała strumienie przez dwie godziny trwającej burzy, nie doświadczałam strachu ani uczucia grozy. Pan Rochester trzy razy podchodził do moich drzwi i pytał, czy czuję się spokojną, a to było pociechą i dawało mi siłę zmóc obawę.

Rano, zanim jeszcze wstałam, Adelka wbiegła, by mi powiedzieć, że piorun tej nocy uderzył w wielki kasztan na końcu sadu i rozdarł go na dwoje.

ROZDZIAŁ XXIV.

Wstając i ubierając się, rozmyślałam nad tem, co się stało, i pytałam siebie, czy to wszystko sen. Nie mogłam być pewna rzeczywistości, dopóki bym znów nie zoba-

czyła pana Rochestera i z ust jego nie usłyszała wznionych słów miłości i zapewnienia.

Układając włosy, przypatrzyłam się swej twarzy w zwierciadle i przekonałam się, że już nie jest brzydka: promieniała nadzieją, zabarwiło ją ożywienie, oczy jaśniały nowym jakimś blaskiem. Niechętnie często patrzyłam na mojego zwierzchnika, w obawie, że mój wygląd nie może mu się podobać; ale teraz byłam pewna, że mogę śmiało wzniesć ku niemu twarz, gdyż jej wyraz nie ostudzi jego przywiązania. Wyjęłam z komody prostą, ale czystą i jasną letnią sukienkę i włożyłam ją; zdawało mi się, że nigdy w żadnej sukni tak dobrze mi nie było, ale bo też w tak szczęśliwem usposobieniu nie miałam na sobie żadnej.

Nie zdziwiło mnie to bynajmniej, gdy zbiegłszy na dół do hallu, ujrzałam, że słoneczny ranek czerwcowy nastąpił po nocnej burzy, i że przez otwarte szklane drzwi zalatuje świeży wonny wietrzyk. Natura musi być radosna, kiedym ja taka szczęśliwa. Ścieżką ku domowi szła żebraczka z chłopczykiem, oboje bladzi, obszarpani; pobiegłam ku nim i dałam im wszystkie pieniądze, jakie miałam przy sobie, jakieś trzy czy cztery szylingi: czy oni źli czy dobrzy, niechże się cieszą w to moje wielkie święto. Wrony krakały, śpiewały weselsze ptaki, ale nic nie dorównywało weselem rozradowanemu memu sercu.

Zaskoczyła mnie pani Fairfax, wyglądając z okna z twarzą smutną i mówiąc poważnie:

— Panno Eyre, czy pani nie przyjdzie na śniadanie?

Podczas śniadania spokojna była i chłodna: ja jednak wtedy nie mogłam wywieść jej z błędu. Musiałam czekać, aż pan Rochester da jej wyjaśnienia; poczekać też musiała i ona. Zjadłszy, pośpieszyłam na górę. Spotkałam Adelkę, wychodzącą ze szkolnego pokoju.

— Dokąd idziesz? Czas już zacząć lekcje.

— Pan Rochester kazał mi iść do dziecinnego pokoju.

— Gdzie jest pan Rochester?

— Tutaj — i wskazała drzwi szkolnego pokoju.

Weszłam: i oto on stał przede mną.

— Pójdź, powiedz mi dzieńdobry — rzekł.

Zbliżyłam się ochoczo, i teraz nie chłodne słowo, nie uścisk ręki nawet stał się moim udziałem, ale uścisk i pocałunek. Takie się to wydawało naturalne i tak słodka była miłość jego i pieszczota!

— Joanko, świetnie wyglądasz, taka uśmiechnięta i ładna, doprawdy ładna dziś rano — powiedział. — Czy to moja blada rusałeczka? Czy to moje ziarnko gorczyczne? To małe słoneczne dziewczątko z dołeczkami na twarzyczce, z różowemi usteczkami, jak atlas gładziuchnym kasztanowatym włosom i promiennymi orzechowemi oczami? (Miałam zielone oczy, czytelniku, ale trzeba mu darować pomyłkę: widocznie dzisiaj przedstawiało mu się niejedno w innych kolorach.)

— To jest Joanna Eyre, mój panie.

— A wkrótce Joanna Rochester — dodał. — Za cztery tygodnie, Joanko; nie później ani o dzień. Czy słyszysz?

Słyszałam i nie mogłam tego zupełnie objąć: kręciło mi się w głowie. Uczucie, wzbudzone we mnie tem oświadczeniem, było czemś silniejszym, niż sama radość — czemś, co wstrząsało i ogłuszało; był to nieledwie strach.

— Zarumieniłaś się, a teraz zbladłaś, Joanko: dla czego?

— Ponieważ nadał mi pan nowe imię: Joanna Rochester, a to wydaje się tak dziwne.

— Tak, pani Rochester — powtórzył. — Młoda pani Rochester, Fairfaxa Rochester a młoda żona.

— To nigdy stać się nie może, panie; to nie brzmi prawdopodobnie. Zupełne szczęście nigdy nie staje się udziałem ludzi na tym świecie. Czyż miałoby mi być sądzone inne przeznaczenie, niż reszcie mojego rodzaju? Wyobrazić sobie, żeby miał mnie spotkać los taki, to bajka — to sen na jawie.

— Który ja mogę urzeczywistnić i urzeczywistnię, zaczynając zaraz dzisiaj. Napisałem rano do mojego bankiera w Londynie, by wysłał mi pewne klejnoty,

które ma w przechowaniu, dziedzictwo dla pań na Thornfield. Za dzień lub dwa — mam nadzieję — będę ci je mógł wysypać na kolana, gdyż każdy przywilej, każdy hołd, którybym złożył u stóp córki para, gdybym się z nią żenił, będzie twoim.

— O paniel!... dajmy pokój klejnotom! Nie lubię słuchać, gdy się o nich mówi. Klejnoty dla Joanny Eyre — to brzmi tak nienaturalnie i dziwnie: ja wolę ich nie mieć.

— Sam ci kolję brylantową założę na szyi i diadem nad czołem — gdzie będzie odpowiedni: gdyż natura sama wycisnęła piętno szlachectwa na tem czole, Joanko; i zapnę ci bransolety dokoła tych delikatnych rączek i te drobne paluszki obciążę pierścionkami.

— Nie, panie, nie! Myśl o czem innym i mów o czem innym i w innym tonie. Nie przemawiaj do mnie, jak-gdybym była pięknoscią; jestem tylko skromną kwakierską nauczycielką.

— Jesteś pięknoscią w moich oczach, a pięknoscią wedle pragnień mego serca — delikatną i powiewną.

— Nikłą i nic nie znaczącą, chce pan powiedzieć. Pan śni — albo pan szydzi. Na miłość boską, niech się pan nie bawi w ironję!

— Sprawię, że i świat także uzna cię za pięknosc — ciągnął dalej, podczas gdy mnie istotnie nieswojo było z jego tonem, gdyż czułam, że albo sam się łudzi, albo mnie chce łudzić. — Ubiorę Joankę moją w atłasy i koronki i będzie nosiła róże we włosach; i nakryję ukochaną głowę beczennym welonem.

— A wtedy mnie pan nie pozna; i nie będę już wtedy twoją Joanną Eyre, lecz małpką w kurtce arlekina. Równie przykro byłoby mi widzieć pana w szychowem aktorskiem przebraniu, jak siebie w dworskiej toalecie; i nie nazywam pana ładnym, choć kocham pana tak serdecznie, o wiele za serdecznie, by panu pochlebiać. Niechaj mi pan nie pochlebia.

On jednakże ciągnął swoje dalej, nie zważając na moje prośby.

— Dziś jeszcze zawiozę cię powozem do Millcote i musisz sobie wybrać kilka sukien. Powiedziałem ci, że pobierzemy się za cztery tygodnie. Ślub odbędzie się cicho w tym oto kościele; a wtedy odrazu cię porwę do miasta. Po krótkim pobycie zawiozę mój skarb w strony bliższe słońca; ku francuskim winnicom, ku włoskim płaszczynom; i ona zobaczy, co jest sławnego w historii starożytnej i w nowszych dziejach; pokosztuje także życia miast; i nauczy się cenić siebie przez sprawiedliwe porównanie z innymi.

— Będę podróżowała? I z panem?

— Będziesz przebywała w Paryżu, Rzymie i Neapolu; we Florencji, Wenecji i Wiedniu: całą przestrzeń, którą ja przewędrowałem, ty przemierzysz swojemi krokami; gdzie ja wycisnąłem moje kopyto, tam i ty swoją nóżkę sylfa postawisz. Dziesięć lat temu przeleciałem przez Europę nawpół szalony; niesmak, nienawiść i wściekłość miałem za towarzyszy; teraz odwiedzę ją znów, uzdrowiony i oczyszczony, z prawdziwym aniołem za pocieszyciela.

Rozśmiała się, gdy to powiedział.

— Nie jestem aniołem — oświadczyłam — i nie będę aniołem, póki życia; będę tylko sobą. Panie Rochester, niech się pan po mnie nie spodziewa, ani niech pan ode mnie nie wymaga nic niebiańskiego, gdyż się pan tego nie doczeka, tak jak ja się tego nie doczekam po panu; i wcale się też tego nie spodziewam.

— A czego ty się po mnie spodziewasz?

— Przez bardzo krótki przeciąg czasu będzie pan może takim jak teraz — przez bardzo krótki przeciąg czasu. A potem pan ostygnie; a potem stanie się pan kapryśny; a potem będzie pan poważny i surowy, a ja będę miała dużo kłopotu, chcąc panu dogodzić. Gdy się pan jednak dobrze do mnie przyzwyczai, może mnie pan znów polubi, — polubi, mówię, nie p o k o c h a. Przypuszczam, że miłość pańska wypali się w sześć miesięcy, może prędzej. Czytałam w książkach, pisanych przez mężczyzn, że to najdalszy kres, do jakiego sięga zapał miłosny męża. Jednak pomimo wszystko, jako

przyjaciółka i towarzyska, mam nadzieję, że nigdy nie stanę się niemiłą mojemu drogiemu panu.

— Niemiłą! I polubić cię znowu! Ja myślę, że będę cię lubił, i lubił, i lubił, i będziesz mi musiała przyznać, że nietylko cię lubię, ale kocham — prawdziwie, gorąco, stale.

— Ale czy nie jest pan kapryśnym, panie drogi?

— Względem kobiet, które podobały mi się z twarzy jedynie, potrafię być djabełem wcielonym, gdy odkryję, że nie mają ani serca ani duszy i że czeka mnie z ich strony płaskość, pospolitość, a może głupota, ordynarność i zły humor; w stosunku jednak do kogoś, kto jasne ma oko i wymowny język, gorącą duszę i charakter, który się nagina, ale nie łamie — giętki zarazem i stały — w stosunku do kogoś takiego jestem zawsze tkliwy i wierny.

— Czy spotkał się pan kiedyś z takim charakterem? Czy kochał pan kiedy kogoś takiego?

— Kocham go teraz.

— Ale przede mną: czyż ja rzeczywiście odpowiadam pańskim trudnym wymaganiom?

— Nie spotkałem nigdy nikogo podobnego do ciebie. Joanko, ty mi się podobasz i ty nade mną panujesz — ulegasz napozór, a mnie tak miłe to poczucie twojej ustępliwości; a podczas gdy owijam dokoła palca delikatną nić jedwabną, słodki dreszcz płynie od niej i przenika mi wprost do serca. Jestem pod twoim wpływem — jestem zwyciężony; a wpływ to nad wyraz słodki, a porażka, której ulegam, ma w sobie urok czarowny, któremu nie dorównałby żaden triumf. Dlaczego się uśmiechasz, Joanko? Co znaczy ta niezrozumiała, tajemnicza minka?

— Myślałam, panie (proszę mi darować tę myśl mimowolną), myślałam o Herkulesie i o Samsonie i o ich uwodzicielkach...

— Myślałaś o tem, ty mała...

— Cicho, panie! Niebardzo to mądre było, co pan przed chwilą mówił, tak jak i tamci panowie niemądrze postępowali. Gdyby się jednakże byli poženili, pewną

surowością małżonków byliby wynagrodzili sobie uległość kochanków; i z panem, lękam się, że będzie to samo. Chciałabym wiedzieć, jakby mi pan odpowiedział za rok, gdybym poprosiła o łaskę, którą byłoby panu niedogodnie albo nieprzyjemnie udzielić.

— Poproś mnie o cokolwiek teraz, Joanko — choćby o jaką drobnostkę; pragnąłbym, żebyś mnie poprosiła...

— I owszem, chętnie poproszę; mam już gotową prośbę.

— Mów! Ale jeżeli będziesz patrzeć i uśmiechać się w ten sposób, ja gotów jestem zgóry przysiąc, że cię wysłucham, jak ostatni głupiec.

— Ależ bynajmniej, panie Rochester; ja proszę tylko o to: niech pan nie posyła po te klejnoty, niech pan nie wieńczy mnie różami; mógłby pan równie dobrze złotą koronką obszyć tę oto swoją prostą chustkę do nosa.

— Mógłbym równie dobrze „złocić czyste złoto”. Ja wiem. Prośbę twoją wysłuchano zatem — narazie. Cofnę zlecenie, wysłane mojemu bankierowi. Ale tyś mnie jeszcze o nic nie poprosiła; prosiłaś tylko, bym cofnął dar: prosz dalej.

— Dobrze więc, niech pan będzie tak dobry zaspokoić moją ciekawość, bardzo podrażnioną na pewnym punkcie.

— Co? Co? — podchwycił śpiesznie. Wyglądał zaniepokojony. — Ciekawość to rzecz niebezpieczna; dobrze, że nie ślubowałem zgodzić się na każdą prośbę...

— Ależ, panie, tu nic nie grozi, choćby się pan zgodził.

— Powiedz więc, czego sobie życzysz, Joanko; wołałbym jednak, żebyś zamiast dopytywać się może o jaką tajemnicę, zażądała ode mnie połowy mojego majątku.

— Ależ królu Ahaswerusie! Nacóż mi połowa twojego majątku? Czy pan myśli, że ja jestem żyd lichwiarz, szukający dobrej lokaty w ziemi? Wolę posiadać

całe pańskie zaufanie. Przecież nie odmówi mi pan zaufania, dawszy mi serce swoje?

— Bierz całe moje zaufanie, które jest warte brania, Joanko; ale na miłość boską nie pragnij niepotrzebnego ciężaru! Nie sięgaj po truciznę — i nie poddawaj mnie zbyt ciężkiej próbie.

— Dlaczego nie, panie drogi? Właśnie mi pan opowiadał, jak bardzo pan lubi być zwyciężonym, jak panu przyjemnie dać się przekonać. A gdybym tak skorzystała z tego wyznania, gdybym tak zaczęła naprzykrzać się i błagać — w razie potrzeby nawet dąsać się i płakać — poprostu dla wypróbowania swojej władzy?

— Spróbuj tylko. Żądaj za wiele, wymagaj, a skończy się zabawa.

— Czy doprawdy? O, jak pan prędko daje za wygraną! Jakże surowo wygląda pan teraz. Grube brwi zbiegły się razem, a na czole zalega coś, co w poezji nazwano „piorunową chmurą”. Czy taka będzie mina pańska po ślubie?

— Jeżeli taka będzie twoja mina po ślubie, to ja, jako chrześcijanin, odrzeknę się przestawania z jakąś taką wodnicą czy chochlikiem. Ale cóżeś to chciała wiedzieć, moje ty stworzonko? No, dalej... gadaj!

— Otóż to, teraz jest pan mniej, niż grzeczny; a ja o wiele wolę szorstkość od pochlebstwa. Wolę być stworzonkiem, aniżeli aniołem. Zapytać zaś chciałam o to: dlaczego tak się pan silił na wmówienie we mnie, że pan pragnie ożenić się z panną Ingram?

— Tylko tyle? Dzięki Bogu, że to nic gorszego! — Rozjaśniła mu się twarz, uśmiechnął się do mnie i pogładził mnie po głowie, jakgdyby rad, że jakieś niebezpieczeństwo zostało uchylone. — Sądzę, że mogę wyznać — mówił dalej — chociaż może trochę cię oburzę, Joanko, a ja widziałem, jakim żarem potrafisz wybuchnąć, gdy się oburzasz. Płonęłaś cała w ową chłodną noc księżycową wczoraj, gdy podniosłaś bunt przeciwko losowi i domagałaś się równości ze mną. Joasiu, ale nawiasem, to ty mi się oświadczyłaś!

— Wiem o tem, to prawda. Ale, jeżeli łaska, do rzeczy, mój panie... panna Ingram?

— No cóż, udawałem, że się staram o pannę Ingram, ponieważ chciałem cię tak szalenie rozkochać w sobie, jak sam się szalenie w tobie kochałem, a wiedziałem, że zazdrość będzie mi najlepszym sprzymierzeńcem w osiągnięciu tego celu.

— Doskonale! A oto jaki pan mały! Przecież to skandal — przecież to wstyd i hańba postępować w ten sposób. I nic się pan nie liczył z uczuciami panny Ingram?

— U niej wszelkie uczucia zastępuje pycha, a tę warto upokorzyć. Czy byłaś zazdrosną, Joanko?

— Mniejsza z tem, panie Rochester: co panu po tej wiadomości? Niech mi pan jeszcze raz szczerze odpowie. Czy pan myśli, że panna Ingram nie będzie cierpiała skutkiem pańskiej nieuczciwej kokieterji? Czy nie będzie się czuła opuszczona i porzucona?

— To niemożliwe!... przecież ci już powiedziałem, że przeciwnie, to ona mnie opuściła; myśl o mojem zadłużeniu ostudziła, a raczej zgasiła sentyment odrazu.

— Ciekawą pan uknuł intrygę. Boję się, że pańskie zasady w niektórych punktach może szwankują.

— Joanko, moje zasady nigdy nie były kształcone; być może, że wykoszlawiły się nieco z braku należytego kierunku.

— Jeszcze raz mówmy serjo. Czy ja mogę cieszyć się tem wielkiem szczęściem, jakie się stało moim udziałem, bez obawy, że ktoś inny cierpi tak gorzko, jak ja cierpiałam niedawno?

— Możesz, możesz, dziewczątko moje dobre; niema na świecie istoty, któraby mnie taką czystą miłością darzyła, jak ty, bo to słodkie przeświadczenie noszę w duszy: wiarę w twoje uczucia, Joanko.

Dotknęłam ustami ręki, która spoczywała na mojem ramieniu. Kochałam go bardzo — więcej, niż słowami odważyłabym się wypowiedzieć, więcej, niżby słowa zdołały wyrazić.

— Zażądaj jeszcze czegoś — rzekł po chwili. — To dla mnie największa przyjemność, gdy mnie prosisz, a ja ci ulegam.

Miałam znów gotową prośbę.

— Niech pan o swoich zamiarach powie pani Fairfax; ona mnie widziała z panem dziś w nocy w hallu i była zgorszona. Niech jej pan wszystko wytłumaczy, zanim się z nią znów zobaczę. Przykro mi, że taka dobra kobieta fałszywie mnie sądzi.

— Idź do swego pokoju i włoż kapelusz — odpowiedział. — Chcę, byś dziś rano towarzyszyła mi do Millcote; a gdy będziesz się przygotowywała do przejażdżki, ja staruszce wszystko wyjaśnię. Co ona sobie wyobraziła, Joanko?

— Myślę, że wyobraziła sobie, iż ja zapomniałam o mojem stanowisku a pan o swoim.

— Stanowisko! Stanowisko! Twoje stanowisko jest w mojem sercu, a biada tym, którzyby chcieli obrazić ciebie teraz czy kiedykolwiek. Idź.

Ubrałam się szybko; skoro zaś tylko usłyszałam, że pan Rochester wychodzi z saloniku pani Fairfax, pośpieszyłam tam czem prędzej. Staruszka czytała właśnie swój ranny ustęp Pisma św., naukę na ten dzień; biblja leżała przed nią otwarta, na niej jej okulary. O tem zajęciu, przerwanem wizytą pana Rochester, widocznie zapomniała; oczy jej, utkwione w pustą ścianę naprzeciw, wyrażały zdumienie spokojnej duszy, poruszonej niezwykłą wiadomością. Ujrzawszy mnie, obudziła się niejako: usiłowała uśmiechnąć się i nawet zdobyła się na kilka słów powinszowania; jednakże uśmiech zgasł, a zdanie niedokończone przerwała. Odłożyła okulary, zamknęła biblję i odsunęła fotel od stołu.

— Taka jestem zdziwiona — zaczęła — że sama nie wiem, co mam pani, panno Eyre, powiedzieć. Przecież chyba nie śniło mi się... Czyżby? Czasami zdarza mi się, że się zdrzemnę, gdy jestem sama i przywidują mi się rzeczy, które się wcale nie zdarzyły. Zdawało mi się nieraz, gdy się tak zdrzemnęłam, że mój kocha-

ny mąż, który umarł piętnaście lat temu, przyszedł i usiadł koło mnie, a nawet, że słyszałam, jak mówił do mnie po imieniu: Alicjo, tak jak za życia. A teraz, czy pani mi może powiedzieć, czy to istotnie prawda, że pan Rochester oświadczył się i chce się z panią żenić? Niech się pani ze mnie nie śmieje. Ale mnie się rzeczywiście zdawało, że on tu wszedł pięć minut temu i powiedział, że za miesiąc będzie pani jego żoną.

— Mnie to samo powiedział — odparłam.

— Naprawdę? I pani mu wierzy? I przyjęła go pani?

— Tak jest.

Spojrzała na mnie oszołomiona.

— Nigdybym tego nie przypuszczała. To dumny człowiek. Wszyscy Rochesterowie byli dumni; a jego ojciec przytem lubił pieniądze. I o nim także zawsze mówiono, że jest wyrachowany. Więc on zamierza ożenić się z panią?

— Tak mnie zapewnia.

Przyjrzała mi się od stóp do głów; wyczytałam z jej oczu, że nie znalazła w postaci mojej dostatecznego uroku na wytłumaczenie tej zagadki.

— To przechodzi moje pojęcie! — ciągnęła dalej. — Ale oczywiście musi być prawdą, skoro pani to mówi. Co z tego wyniknie, nie umiałabym powiedzieć; rzeczywiście nie wiem. Równość stanowiska i majątku bywa pożądana w takich wypadkach, a przytem zachodzi tutaj różnica wieku prawie dwudziestu lat... Pan Rochester mógłby nieledwie być ojcem pani.

— Nie, doprawdy, pani Fairfax! — zawołałam podrażniona — nic podobnego! Pan Rochester wcale na mego ojca nie wygląda! Nikt, ktoby nas razem widział, nie przypuściłby tego na chwilę. Pan Rochester wygląda tak młodo i jest taki młody, jak niejeden mężczyzna dwudziestopięcioletni.

— Czy on rzeczywiście z miłości chce się z panią żenić? — zapytała.

Tak mnie dotknęła swoim chłodem i wątpliwościami, że mi łzy stanęły w oczach.

— Bardzo mi żal, że pani przykreść sprawiam — ciągnęła dalej wdowa. — Ale pani taka młoda i tak mało zna mężczyzn, że chciałabym panią przestrzec. Stare to przysłowie, że „nie wszystko złoto, co się świeci“ — a w tym wypadku boję się, by się coś nie znalazło, co byłoby różne od tego, czego się spodziewamy.

— Dlaczego?... Czy ja taki potwór jestem? — rzekłam. — Czy to niemożliwe, żeby pan Rochester mógł mieć do mnie szczerę przywiązaną?

— Nie; pani jest bardzo miła i dużo pani wyładniała w ostatnich czasach, a pan Rochester z pewnością ma dla pani uczucie. Zawsze uważałam, że jest pani jakoś jego ulubienicą. Zdarzało się niekiedy, że dla dobra pani niepokoiły mnie trochę te pani okazywane względy i miałam ochotę przestrzec panią; było mi jednak niemiło nawet o możliwości czegoś złego napomknąć. Wiedziałam, że myśl taka dotknęłaby panią, możeby obraziła; a pani była tak taktowna, tak prawdziwie skromna i rozumna, że sądziłam, iż można pani zaufać, że się pani sama potrafi ochronić. Wczorajszej nocy — nie umiem pani powiedzieć, co przecierpiałam, szukając pani po całym domu i nie mogąc znaleźć, ani pana również; a potem, o dwunastej, widząc panią wracającą z nim razem...

— No, już mniejsza z tem — przerwałam niecierpliwie. — Dosyć, że wszystko jest w porządku.

— Spodziewam się, że wszystko wkońcu będzie w porządku — powiedziała. — Ale proszę mi wierzyć, ostrożność jest tu konieczna. Niech pani się stara trzymać pana Rochestera zdaleka; niech pani sobie, zarówno jak jemu, nie ufa. Panowie z jego sfery nie mają zwyczaju żenić się ze swemi nauczycielkami.

Zaczęło mnie to doprawdy irytować. Na szczęście wbiegła Adelka.

— Takbym chciała, takbym chciała pojechać do Millcote! Pan Rochester nie chce mnie wziąć, chociaż

jest tyle miejsca w tym nowym powozie. Niech go pani poprosi, żeby mnie zabrał, *mademoiselle!*

— Owszem, poproszę, Adelko!

I pobiegłam z nią, rada, że mogę pożegnać moją posępną mentorkę. Powóz był gotów, zajeżdżał właśnie przed front, a pan Rochester przechadzał się tam i zpowrotem po bruku, Pilot za nim.

— Adelka może mi towarzyszyć — nieprawdaż, panie?

— Powiedziałem jej, że nie. Nie potrzeba mi bębnow!... Chcę jechać tylko z panią.

— Niech ją pan zabierze, jeśli pan łaskaw, panie Rochester! Tak będzie lepiej.

— Nie będzie lepiej; będzie krępowała.

Apodyktycznie wyglądał, apodyktyczny był jego głos. Chłód przestrogi pani Fairfax i jej wątpliwości czułam jeszcze w sobie; niepewność zaciężyła nad moimi nadziejami. Opuszczało mnie poczucie władzy nad nim. Już byłam gotowa automatycznie posłuchać, nie upierając się dłużej; on jednak, pomagając mi wsiąść do powozu, spojrzął na moją twarz.

— Co się stało? — zapytał. — Cała słoneczność gdzieś się podziała. Czy rzeczywiście życzysz sobie, żeby ta mała pojechała? Czy sprawi ci to przykrość, jeżeli zostanie w domu?

— Wolałabym, żeby mogła pojechać.

— A więc lećże po kapelusze i wracaj piorunem! — krzyknął na Adelkę.

Mała popędziła, co sił.

— Ostatecznie jeden ranek z przeszkodami tak wiele nie znaczy — zauważył pan Rochester — skoro niebawem mam posiąść ciebie — twoje myśli, rozmowę, towarzystwo — na całe życie.

Adelka, umieszczona w powozie, zaczęła mnie całować, wyrażając w ten sposób wdzięczność za wstawienie: natychmiast została wpakowana w kącik po drugiej stronie pana Rochester. Wyzierała stamtąd ku mnie; taki srogi sąsiad zbyt był krępujący; do niego

gdy był w burzliwym humorze, nie śmiała się odzywać z swemi spostrzeżeniami ani pytać o objaśnienia.

— Niech jej pan pozwoli usiąść koło mnie — prosiłam. — Panu będzie może przeszkadzała, a tu, po tej stronie jest tyle miejsca!

Podał ją jak małego pieska.

— Wkrótce oddam ją do szkoły — rzekł, ale teraz się uśmiechał.

Adelka, słysząc to, zapytała, czy ma iść do szkoły „*sans mademoiselle*”.

— Tak — odpowiedział. — Absolutnie „*sans mademoiselle*”, gdyż ja wezmę mademoiselle na księżyc i tam poszukam jaskini w jednej z tych białych dolin pomiędzy szczytami wulkanów, i mademoiselle będzie tam mieszkać ze mną, i tylko ze mną.

— Nie będzie tam miała nic do jedzenia; pan ją zagłodzi — zauważyła Adelka.

— Będę dla niej zbierał mannę rankiem i nocą: równiny i stoki gór na księżycu białe są, Adelko, od manny.

— Będzie się chciała rozgrzać; z czego rozpali ogień?

— Ogień wybucha z gór księżycowych; gdy jej będzie zimno, zaniosę ją na jaki szczyt i położę nad brzegiem krateru.

— O, jak jej tam będzie źle, niewygodnie! A jej suknie przecież się zużyją; skądżeż weźmie nowe?

Pan Rochester udał zakłopotanie.

— Hm... — rzekł — cobyś ty zrobiła, Adelko? Łam sobie głowę i wymyśl. A cobyś powiedziała na suknię z białej i różowej chmurki, jak ci się zdaje? A z tęczy możnaby ładną szarfę wykroić.

— Mademoiselle daleko ładniejsza tak, jak jest — orzekła Adelka po chwili namysłu. — A zresztą znudziłyby się, gdyby miała mieszkać tylko z panem jednym na księżycu. Gdybym ja była na miejscu mademoiselle, nigdybym się nie zgodziła na pojechanie tam z panem.

— Ale ona się zgodziła; dała na to słowo.

— Ależ tam się dostać nie można; niema drogi na księżyc; jest tylko powietrze; a ani pan, ani mademoiselle nie umieją fruwać.

— Adelko, popatrz na to pole.

Byliśmy teraz poza bramami Thornfield, kołysząc się lekko na gładkiej drodze, na której po deszczu nie wznosił się kurz. Po obu jej stronach niskie żywopłoty i wysokie drzewa połyskiwały, zielone i odświeżone.

— Po tem polu, Adelko, przechadzałem się późno jednego wieczora ze dwa tygodnie temu — a był to ten wieczór, kiedyś ty mi pomagała zbierać siano na trawnikach w sadzie; a że byłem zmęczony grabieniem pokosów, siadłem odpocząć na przełazie w płocie; tam wyciągnąłem małą książeczkę i ołówkę i zacząłem coś pisać o nieszczęściu, jakie mnie spotkało dawno temu, i o tem, jak pragnę szczęścia w przyszłości: pisałem bardzo prędko, choć już światło dzienne gasło, gdy coś zaczęło zbliżać się ścieżką i stanęło o dwa kroki ode mnie. Popatrzyłem na to zjawisko. Było to maleńkie stworzonko, a miało welon z nitek babiego lata na głowie. Skinąłem, dając mu znak, by się przybliżyło — niebawem stanęło u moich kolan. Nie mówiłem do niego, ani ono do mnie nie mówiło słowami; ale czytałem w jego oczach i ono czytało w moich, i ta nasza rozmowa bez słów znaczyła:

„Że to wróżka i że przybywa z krainy Czarów; że przychodzi, aby mnie uszczęśliwić; że muszę z nią razem opuścić zwyczajny świat i udać się w miejsce samotne — takie jak księżyc, naprzykład — tu skinęła główką ku rogom księżycy wschodzącego nad Hayhill, i powiedziała mi o alabastrowej grocie i srebrnej dolinie, gdzie moglibyśmy zamieszkać. Powiedziałem, że chętniebym się tam udał, ale przypomniałem jej, tak jak i ty, że nie mam skrzydeł do latania. — O, to nic nie znaczy! — odpowiedziała wróżka. — Oto jest talizman, który usunie wszystkie trudności — i wyciągnęła ku mnie ładny złoty pierścionek. — Włóż go — rzekła — na czwarty palec mojej lewej ręki, a będę twoja, a ty będziesz mój; i porzucimy ziemię i swoje własne szczę-

ście znajdziemy tam. — I znowu skinęła ku księżycowi. Ten pierścionek, Adelko, jest w mojej kieszeni pod postacią złotego pieniądza; ale ja zamierzam wkrótce znowu go zamienić na pierścionek.

— Ale co to wszystko ma wspólnego z mademoiselle? Mnie wróżka nic nie obchodzi; pan mówił, że pan chce zabrać mademoiselle na księżyc?

— Mademoiselle — to wróżka — oświadczył tajemniczym szeptem.

Na to ja powiedziałam Adelce, żeby sobie nic nie robiła z jego żartów; ona też wykazała sceptycyzm iście francuski: nazwała pana Rochester'a *un vrai menteur* i zapewniła go, że ani trochę nie wierzy w jego *conte de fée*; dodała, że przedewszystkiem niema wróżek, a gdyby nawet były, z pewnością jemuby się nie pokazywały, nie ofiarowałyby mu pierścionków, ani nie chciały mieszkać z nim na księżycu.

Godzina, spędzona w Millcote, była dla mnie nieco męcząca. Pan Rochester zaprowadził mnie do sklepu z jedwabiami; tam kazał mi wybierać materiały na pół tuzina sukien. Czułam się w najwyższym stopniu nieswojo, prosiłam, żeby można odłożyć tę sprawę; lecz nie; chciał, by zaraz teraz ją załatwić. Błagając energicznym szeptem, zdołałam wytargować, że zamiast sześciu będą dwie, te jednak postanowił sam wybrać. Z niepokojem widziałam, że oko jego błądzi wśród jaskrawych kolorów; wybrał nareszcie jedwab pięknego ametystowego odcienia i wspaniały różowy atlas. Energicznym szeptem oświadczyłam mu wtedy, że niechże mi odrazu wybierze złotą suknię i srebrny kapelusz; ja i tak nigdy się nie odważę nosić tego, co on wybierze. Z nieskończoną trudnością, gdyż uparty był jak kozioł, wyperswadowałam mu, by tamto zamienił na czarny atlas i perłowo popielaty jedwab.

— Niechżeż będzie narazie — przystał — czasem i tak zobaczę cię barwną, jak ogród ukwiecony.

Rada byłam, gdy udało mi się wyciągnąć go ze sklepu z jedwabiami, a potem od złotnika. Im więcej dla mnie kupował, tem więcej paliła mnie twarz uczuciem

przykrości i poniżenia. Gdy już zpowrotem wsiedliśmy do powozu, a ja odetchnęłam, zgorączkowana i znużona, przypomniałam sobie to, o czem w pośpiesznym toku wypadków, smutnych i wesołych, zupełnie zapomniałam: list stryja mojego Jana Eyre do pani Reed i jego zamiar adoptowania mnie i zapisania mi majątku. „To doprawdy byłoby ulgą dla mnie — pomyślałam — posiadać choć maleńki mająteczek; nie potrafiłabym znieść tego, by mnie pan Rochester ubierał jak lalkę, albo żeby, jak na drugą Danae, złoty deszcz sypał się na mnie codziennie. Napiszę do Madery z chwilą, gdy wrócę do domu, doniosę stryjowi, że wychodzę zamaż i za kogo. Gdybym tylko miała nadzieję, że czasem przysporzę panu Rochesterowi majątku, łatwiej zniósłabym to, że on mnie utrzymywać będzie.” Pocieszona trochę tą myślą (zamiar swój zresztą spełniłam tegoż dnia), odważyłam się zetknąć znowu z wzrokiem pana mojego i ukochanego, który uporczywie szukał moich oczu, chociaż odwracałam twarz i spojrzenie. Uśmiechnął się i pomyślałam, że jego uśmiech jest taki, jakim mógłby sułtan w chwili miłostnego rozradowania obdarzyć niewolnicę, złotem i klejnotami przezeń obsypaną; ścisnęłam z całej siły rękę jego, szukającą mojej, i odsunęłam ją, zaczerwienioną od tego gwałtownego uścisku.

— Niech pan nie patrzy w ten sposób — rzekłam. — Jeżeli pan nie przestanie, nic innego nie włożę na siebie aż do ostatniej chwili, oprócz starych sukienek z Lo-wood; do ślubu pójdę w tej lila muślinowej; może pan sobie szlafrok zrobić z tego perłowego jedwabiu, a nieskończoną ilość kamizelek z czarnego atłasu!

Rozśmiał się i zatartł ręce.

— Och, warto ją widzieć i słyszeć! — zawołał. — Czyż nie jest ona oryginalna? Czy nie jest z niej filutka? Nie zamieniłbym tej jednej angielskiej dziewczyneczki za cały seraj sułtana, za wszystkie oczy gazeli, kształty hurysk!

Ta wschodnia aluzja nie podobała mi się znowu.

— Ja panu bynajmniej nie myślę seraju zastępować — powiedziałam. — Nie uważam siebie za coś rów-

noznacznego. Jeżeli się panu zachciewa czegoś w tym rodzaju, dalejże, niech pan co prędzej śpieszy do bazarów w Stambule i tam na zakupno licznych niewolnic zużyje te niepotrzebne pieniądze, których widocznie nie ma pan na co wydać.

— A co tymczasem panna Joanka będzie robiła, podczas gdy ja będę zakupywał tyle a tyle tonn mięsa i tyle a tyle czarnych oczu?

— Będę się przygotowywała na misjonarkę, by głosić wolność niewolnicom, mieszkankom pańskiego haremu między innemi. Każę się tam wpuścić i podniosę bunt; i pana, srogiego baszę, w mig skrępujemy własnymi rękami; a ja nie zgodzę się przeciąć pańskich więzów, dopóki pan nie podpisze ustawy tak liberalnej, jakiej dotąd nie podpisał żaden despota.

— Zgodziłbym się zdać na twoją łaskę, panno Joanko.

— A jabym się wcale nie okazała łaskawą, gdyby mnie pan błagał z takimi oczyma, jak teraz. Gdyby pan patrzył w ten sposób, byłabym pewna, że cokolwiekby pan podpisał pod przymusem, pierwszym pana czynem po uwolnieniu byłoby pogwałcić podpisane warunki.

— No i czegobyś ty, panno Joanko, chciała? Czuję, że będziesz mi chciała narzucić jakąś prywatną umowę ślubną niezależnie od ceremonji kościelnej. Będziesz chciała zastrzec sobie, jak widzę, jakieś specjalne warunki. Jakież to?

— Chcę tylko mieć poczucie swobody, panie; nie chcę, by mnie przygniatały mnogie zobowiązania. Czy pan pamięta, co mi pan mówił o Celinie Varens? o tych brylantach, kaszmirach, które jej pan dawał? Ja nie chcę być pańską angielską Celiną Varens. Będę w dalszym ciągu nauczycielką Adelki; tym sposobem zarobię na swoje utrzymanie i mieszkanie i na trzydzieści funtów rocznie prócz tego. Z tego będę sobie sprawiała ubranie, a pan mi nic nie będzie dawał, oprócz...

— No dobrze, ale oprócz czego?

— Oprócz uczucia; a jeżeli ja panu swoje dam wzamian, to dług będzie wyrównany.

— Przyznam się, że co do chłodnej arogancji i wrodzonej pychy nic równego nie widziałem — odpowiedział. Dojeżdżaliśmy teraz do Thornfield. — Czy miałabyś ochotę zjeść dziś ze mną obiad? — zapytał, gdy przejeżdżaliśmy bramy.

— Nie, dziękuję panu.

— A dlaczego „nie, dziękuję panu“, jeśli wolno zapytać?

— Nigdy z panem nie jadłam i nie widzę powodu, dlaczego bym miała teraz... dopóki...

— Dopóki co? Lubi panna Joanka niedokończone zdania.

— Dopóki nie będę mogła inaczej.

— Czy przypuszcza pani, że jadam jak smok albo jak dziki człowiek, że lęka się być moją towarzyszką przy stole?

— Żadnych przypuszczeń w tym kierunku nie snuję, panie Rochester, ale pragnę, ażeby wszystko pozostało tak, jak było przez ten miesiąc jeszcze.

— Porzucisz nauczycielską niewolę odrazu.

-- Bardzo pana przepraszam, ale nie zrobię tego. Będę dalej uczyła Adelkę, tak, jak dotąd. Będę panu schodziła z drogi przez cały dzień tak, jak się przyzwyczaiłam; może pan po mnie przysłać wieczorem, o ile będzie pan miał ochotę zobaczyć się ze mną, a wtedy ją przyjdę; ale o żadnej innej porze dnia.

— Tak mi się chce zapalić, panno Joanko, albo zażyć niuch tabaki wobec wszystkiego tego, „*pour me donner une contenance*“, jakby się wyraziła Adelka; ale, na nieszczęście, nie mam przy sobie ani cygarnicy ani tabakierki. Ale słuchaj — mówił szeptem. — Teraz to twój czas, mała tyranko, ale mój nadejdzie niebawem; a gdy raz dobrze cię uchwycę, będę trzymał i — mówiąc obrazowo — przywieszę cię na łańcuszku ot tak — tu dotknął łańcuszka od zegarka. — Tak, ty miłe maleństwo, będę cię nosił na piersiach, aby nie zgubić mojego klejnotu.

Powiedział to, pomagając mi wysiąść z powozu, a podczas gdy wysadzał Adelkę, ja weszłam do domu i pośpieszyłam na górę.

Wieczorem, jak było do przewidzenia, zaprosił mnie do siebie. Ja tymczasem obmyślałam już zajęcie dla niego, postanowiwszy nie spędzać całego czasu na rozmowie w cztery oczy. Pamiętałam piękny głos jego; wiedziałam, że lubi śpiewać; sama głosu nie miałam, grałam też, wedle wybrednych wymagań jego, nieświetnie, ale nadewszystko lubiłam słuchać dobrej muzyki. Za ledwie też zmrok zajrzał do okna gwiazdzistym szafirem, wstałam, otworzyłam fortepian i poprosiłam, żeby mi zaśpiewał jaką piosenkę. Bronił się trochę, ale ja nalegałam.

— Czy lubisz mój głos? — zapytał.

— Bardzo lubię. — Nie lubiłam schlebiać tej jego próżności; ale na ten raz, ze względów oportunistycznych, gotowa nawet byłam ją podniecać.

— W takim razie, Joanko, musisz mi akompanjować.

— Bardzo dobrze, drogi panie, spróbuję.

Istotnie spróbowałam, ale wnet usunął mnie z krzesła, nazywając „małym partaczem“. Zepchnąwszy mnie bez ceremonji na bok, czego właśnie chciałam, zajął moje miejsce i zaczął sam sobie akompanjować, umiał bowiem grać równie dobrze, jak śpiewać. Usunęłam się do zagłębienia pod oknem — i tam, patrząc na ciche drzewa i cieniem objęty ogród, słuchałam słodkiej melodji następujących zwrotek, śpiewanych miękkiem, głębokim głosem:

„Najszczęśliwsza miłość, co serce
Płomieniem swym rozpałała,
W krwi mojej każdej kropelce
Gorącym tętnem zabiła.

Każde jej przyjście — nadzieję,
Każde rozstanie — żal budzi;
Jeśli się spóźnia — boleję,
Nie przyjdzie? Lód serce studzi.

O wielkiem szczęściu marzyłem:
 Tak być — jak kocham — kochanym!
 Do tego celu dążyłem
 Z zapalem niepowstrzymanym.

Lecz wielka przestrzeń — bezdroże —
 Jej życie i moje dzieli,
 Tak niebezpieczna jak morze
 Z zieloną głębią topieli...

Dalsze strofki mówiły o przeszkodach zwalczonych,
 o grozie wyzywanych niebezpieczeństw; końcowe zaś
 brzmiały:

Najmilsza rączkę mi swoją
 W dłoń moją złożyła szczerze,
 Przynęła, że dołą jej z moją
 Mażeńskie zwiąże przymierze.

Przysięgła, pocałowaniem
 Stwierdziła przysięgi słowa,
 Że ze mną z całym oddaniem
 Życ i umierać gotowa.

Więc nie marzyłem daremnie,
 Bogaty plon życia dany —
 Gdyż ona kocha wzajemnie:
 Jak kocham, jestem kochany!

Skończywszy pieśń, wstał od fortepianu i szedł ku
 mnie; ujrzałam twarz jego płonąca, błyszczące sokole
 oczy, namiętą tkliwość w każdym rysie twarzy. Prze-
 lękałam się na chwilę, ale wnet nabrałam odwagi. Nie
 chciałam czulej sceny, nie chciałam demonstracyjnych
 wylewów uczucia — a przecież mi to groziło: należało
 przygotować broń jakąś odporną. Wyostrzyłam dowcip.
 Gdy zbliżył się do mnie, zapytałam cierpkawo:

— Kogoż to pan Rochester zamierza wziąć za
 żonę?

— To bardzo dziwne pytanie z ust mojej ukochanej Joanki!

— Doprawdy! A ja sądzę, że bardzo naturalne, a nawet konieczne. Mówił pan o swojej przyszłej żonie, jako umierającej z nim razem. Co znaczy taki pogański pomysł? Ja wcale nie mam zamiaru umierać z panem razem — proszę o tem wiedzieć.

— Ach, przecież ja tylko pragnę, ja tylko modłę się o to, byś ty mogła żyć razem ze mną! Śmierć nie dla takich, jak ty!

— Owszem, jest dla takich jak ja; mam równie dobre prawo umrzeć, gdy przyjdzie moja godzina, jak pan je ma; ale ja chcę doczekać swojej pory, nie mam zamiaru umierać, jak indyjska wdowa na stosie!

— Czy przebaczysz mi tę myśl egoistyczną, czy dowiedziesz przebaczenia pocałunkiem na zgodę?

— Nie; przepraszam, ale wolę nie.

Tu usłyszałam, że jestem „stworzonkiem bez serca“ i dowiedziałam się, że „inna kobieta zmiękłaby jak wosk, słysząc takie strofy, wyśpiewane na jej cześć“.

Zapewniłam go, że jestem z natury twarda, bardzo kanciasta i że sam się o tem nieraz przekona; i że prztem postanowiłam odkryć przed nim różne nierówności swojego charakteru, zanim upłyną najbliższe cztery tygodnie: powinien dokładnie wiedzieć, jaki zrobił interes, dopóki jeszcze czas wycofać się z niego.

— Czy uspokoisz się wreszcie, czy zaczniesz rozsądnie gadać?

— Uspokoić się mogę, jeśli pan sobie życzy, ale co do rozsądnego gadania, to pochlebiam sobie, że właśnie to czynię.

Kręcił się, sarkał, mruzczał. „Bardzo dobrze — pomyślałam — możesz się dąsać, możesz się niecierpliwic, ile ci się podoba; ale jestem pewna, że to najlepsza droga postępowania z tobą. Jesteś mi miły ponad wszelki wyraz, ale nie chcę wpaść w śmieszny sentymentalizm. A tą szpileczką gotowej odpowiedzi i ciebie powstrzy-

mam nad krawędzią przepaści; dopomoże mi też jej ostrze do zachowania między mną a tobą odległości, dla wspólnego naszego dobra pożądaney”.

Potrosze, potrosze doprowadziłam go do dość silnego rozdrażnienia; wtedy, gdy obrażony, poszedł w drugi koniec pokoju, wstałam i, powiedziawszy moim naturalnym, zwykłym, pełnym szacunku sposobem: „Życzę panu dobrej nocy” — wysunęłam się bocznemi drzwiami i poszłam do siebie.

Tego systemu, raz go spróbowałszy, trzymałam się odtąd przez cały czas naszego „nowicjatu”. Z najlepszym zresztą rezultatem. Mój pan, to prawda, bywał często kwaśny i chropawy, ale naogół, uważałam, że bynajmniej się nie nudzi i że, gdybym była uległa jak baranek, a czuła jak synogarlica, wzmacniałabym tylko jego despotyzm, ale mniejbym mu się podobała, mniej zadawałała jego rozsądek, a nawet jego smak.

W obecności innych osób byłam zawsze, tak jak dawniej, pełną uszanowania i spokojną; tylko w czasie wieczornych posiedzeń tak mu się sprzeciwiałam i dukałam. W dalszym ciągu kazał mnie zawsze prosić z chwilą, gdy zegar wybił siódmą; chociaż, gdy teraz stawałam przed nim, nie miał dla mnie tych miódowych słówek „kochanie moje”, „moja najmilsza”; dostawały mi się zamiast tego takie wyrazy, jak „impertynencka figura”, „złośliwy chochlik”, „odmieniec” i t. p. Zamiast pieśzczoł darzył mnie srogimi minami. Owszem, owszem, narazie stanowczo wołałam szorstkość od tkliwości. Widziałam, że w oczach pani Fairfax mam uznanie; jej obawy o mnie znikły; to mnie utwierdziło w przekonaniu, że postępuję słusznie. Pan Rochester skarżył się, że go zamęczam, i groził straszną zemstą w niedalekim czasie. Śmiałam się w duchu z jego grózb. „Potrafię trzymać cię w ręku teraz — rozmyślałam — nie wątpię, że potrafię i później; jeżeli zużyje się jeden sposób, trzeba będzie obmyśleć inny”.

Ale ostatecznie zadanie moje nie było łatwe; często byłabym wołała dogodzić mu, niż tak go dręczyć. Przy-

szyły mój mąż stawał się dla mnie całym światem; i więcej, niż światem: nieledwie nadzieją nieba. W owych dniach Boga nie widziałam poza jego stworzeniem, gdyż z niego zrobiłam sobie bożyszcze.

ROZDZIAŁ XXV.

Miesiąc narzeczeństwa upłynął: ostatnie jego godziny mijały. Nie można było powstrzymać dnia, który się zbliżał — dnia ślubu; wszystkie też przygotowania były ukończone. Ja przynajmniej nie miałam już nic do roboty: oto tam, w moim pokoju, stały wzdłuż ściany rzędem kuferki, spakowane, zamknięte, obwiązane; jutro o tej porze daleko już będą w drodze do Londynu; i ja również — albo raczej nie ja, ale pewna Joanna Rochester, osoba, której jeszcze nie znałam. Karty z adresem jeszcze tylko należało przybić; leżały te cztery kwadraciki w szufladzie. Pan Rochester sam wypisał adres: „Pani Rochester, Londyn, Hotel X” na każdej; nie mogłam się zdecydować na ich przytwierdzenie. Pani Rochester! Taka przecież nie istniała, miała się dopiero narodzić jutro, coś około ósmej rano; chciałam zaczekać, by się upewnić, czy przyszła na świat żywa, zanimbym jej przekazała tę całą własność. Dosyć już, że w owej szafie, naprzeciw mojej toaletki, ubranie, mające być jej ubraniem, wyrugowało już moją starą wełnianą sukienkę i słomiany kapelusz; gdyż nie do mnie przecież należał ten strój ślubny; ta perłowa suknia jedwabna i cienki, zwiewny welon... Zamknęłam szafę, by ukryć ten dziwny strój widmowy, gdyż o tej wieczornej godzinie — była to dziewiąta — w cieniu mojego pokoju błyszczał on istotnie poświatą jakiejś nieziemskiej zjawy. „Pozostawię cię w samotności, ty biały śnie — pomyślałam. — Taka się czuję rozgorączkowana: słyszę, że wiatr wieje; wyjdę, pragnę się odświeżyć jego tchnieniem”.

Nietylko pośpiech z przygotowaniami tak mnie rozgorączkował; nietylko przewidywanie wielkiej zmiany — nowego życia, które się miało jutro rozpocząć: obiedwie

te okoliczności miały niewątpliwie udział w wytworzeniu tego niespokojnego, podnieconego nastroju, jaki o tej późnej godzinie wypędzał mnie do ciemnego ogrodu; lecz była i trzecia przyczyna, silniej od tamtych oddziaływająca na mnie.

Trapiła mnie dziwna, niespokojna myśl. Zdarzyło się coś, czego nie mogłam zrozumieć; nikt o tem nie wiedział i nikt tego nie widział, prócz mnie. Zdarzyło się to minionej nocy. Pan Rochester owej nocy był nieobecny w domu; jeszcze i teraz nie wrócił; jakiś interes zawezwał go do małego majątku, złożonego z dwóch czy trzech ferm, który posiadał o trzydzieści mil stąd — interes, który musiał załatwić osobiście przed zamierzonym wyjazdem z Anglii. Czekałam teraz jego powrotu, pragnąc wywnętrzyć się przed nim i znaleźć u niego rozwiązanie dręczącej mnie zagadki. Poszłam do sadu; zapędził mnie w to stosunkowo zaciszne schronienie wiatr, który przez cały dzień dał od południa, nie przynosząc jednak ani kropli deszczu. Zamiast przycichnąć ku nocy, zdawało się, że zwiększa jeszcze pęd i pogłębia szum; drzewa chyliły się stale na jedną stronę, ledwie raz na godzinę prostując na chwilę gałęzie — tak bezustanny był pęd, naginający je ku północy. I chmury gnały od bieguna do bieguna szybko, jedne za drugimi wielkimi gromadami; owego lipcowego dnia nie ukazał się ani skrawek błękitu.

Nie bez pewnej dzikiej rozkoszy gnałam, pędzona wiatrem, topiąc troskę mojej duszy w bezmiernym strumieniu powietrznym, grzmiącym skroś przestworów. Przebiegłszy ścieżkę wśród krzewów, stanęłam przed ruiną kasztana; stał tam szerniały, rozdarty; pień, rozłupany przez środek, świecił straszną raną. Rozłupane połowy nie odłamały się od siebie, gdyż mocna podstawa i silne korzenie spajały je od spodu; jednakże wspólne życie uległo zniszczeniu; soki już krążyć nie mogły; wielkie konary po obu stronach były martwe, a wichury zimowe niewątpliwie zwałą je na ziemię; tymczasem jednak można było powiedzieć, że jeszcze tworzą jedno drzewo — ruinę wprawdzie, ale ruinę całkowitą.

Gdym na nie patrzyła, księżyc na jedną chwilę wyrzwał z za chmury. Krąg jego był krwawy, w połowie zamglony; zdawał się ciskać na mnie jakieś złowrogie spojrzenie i zaraz znów zasnuł się głęboką falą chmur. Wiatr ucichł na moment dokoła Thornfield, ale woddali nad lasami, nad wodami zawodził smętnym, ponurym jękiem. Smutno było go słuchać. Ruszyłam dalej.

Tu i tam błądziłam po sadzie; zbierałam jabłka, gęsto opadłe pod drzewami; potem zajęłam się przebieraniem dojrzałych od niedojrzałych, odniosłam je do domu i schowałam do spiżarni. Potem poszłam do biblioteki przekonać się, czy rozpalono ogień, gdyż — chociaż to było lato, wiedziałam, że w taki chmurny dzień pan Rochester rad powita przyjazny kominek. Owszem, ogień już się palił dobrze. Przysunęłam fotel przed kominek, przysunęłam stół, spuściłam storę, kazałam przynieść świece, gotowe do zapalenia. Coraz niespokojniejsza, po ukończeniu tych przygotowań nie mogłam usiedzieć na miejscu, ani nawet pozostać w domu. Mały stojący zegar w pokoju i stary zegar w hallu równocześnie wybiły dziesiątą.

— Jak późno się robi! — westchnęłam. — Pobiegnę ku bramom; księżyc ukazuje się chwilami, stamtąd widać duży kawał drogi. Może on już nadjeżdża; spotkawszy go, oszczędzę sobie kilka minut niespokojnego oczekiwania.

Wiatr szumiał głośno w wielkich drzewach, okalających bramy; ale droga, jak okiem sięgnąć na prawo i na lewo, była cicha i pusta; kiedy księżyc wyzierał, przemykały po niej cienie chmur, poza tem chwilami przedstawiała tylko długą, bladą linię, bez żadnej po niej poruszającej się plamki.

Niemądra łza zaćmiła mi oczy, gdy patrzyłam, łza zawodu i niecierpliwości; wytarłam ją, zawstydzona. Czekałam; księżyc zamknął się szczelnie w swojej komorze, zapuścił gęstą zasłonę chmur. Noc zapadała ciemna, deszcz, przygnany wichurą, zaczynał padać.

— Ach, żeby już przyjechał! Ach, żeby już przyjechał! — zawołałam, zdjęta jakimś nerwowym lękiem.

Spodziewałam się przyjazdu jego przed herbatą, a teraz już ciemno; cóż może go zatrzymywać? Czy spotkał go jaki wypadek? Przypomniałam sobie znowu wydarzenie ostatniej nocy. Wytłumaczyłam je sobie jako przestrożę, jako zapowiedź nieszczęścia. Zdjął mnie lęk, że nadzieje moje może są zbyt jasne, by mogły się urzeczywistnić; a tyle szczęścia zaznałam w ostatnich czasach, że pomyślałam, iż szczęście moje już dosięgło zenitu — i odtąd musi go ubywać...

„To trudno, ale ja nie mogę wracać do domu — pomyślałam — nie mogę zasiąść przy kominku, gdy on jest wystawiony na niepogodę; lepiej przemęczyć ciało, niż dręczyć się sercem; wyjdę na drogę.”

Ruszyłam z miejsca; szłam szybko, ale nie uszłam daleko; niebawem postyszałam tupot kopyt końskich; jeździec się zbliżał w pełnym galopie; pies biegł obok niego. Precz, złe przecucie! To on — siedzi na swoim Mesrourze, za nim zdąża Pilot. Zobaczył mnie, gdyż księżyc otworzył niebieskie okno wśród chmur i przepływał je jasny; zdjął kapelusz i powiewał nim nad głową. Pobiegłam na jego spotkanie.

— A widzisz! — zawołał, wyciągając rękę i przechylając się z siodła — nie możesz się obejść beze mnie, to widoczne. Stań na końcu mego buta i podaj mi obie ręce. Wsiadaj!

Usłuchałam; radość uczyniła mnie zwinną; wskoczyłam na siodło przed nim. Dostało mi się na powitanie serdeczne ucałowanie i trochę triumfujących przechwałek, które już, trudna rada, przełknęłam. Pohamował się w swem rozradowaniu, pytając:

— Ale czy się co stało, Joanko, żeś wyszła spotkać mnie o takiej godzinie? Czy stało się coś złego?

— Nie, ale myślałam, że pan już nigdy nie przyjedzie. Nie mogłam znieść czekania na pana w domu, zwłaszcza przy tym deszczu i wietrze.

— Deszcz i wiatr, doprawdy! Tak, ty ociekasz wodą, jak syrena; zaciągnij mój płaszcz dokoła siebie. Ale mnie się zdaje, że ty masz gorączkę, Joanko: i twarz

twoja i ręce pałają. Jeszcze raz cię pytam, czy się co stało?

— Teraz już nic; ani się nie boję, ani nie jestem nieszczęśliwa.

— Ale bałaś się? Ale byłaś nieszczęśliwa?

— Tak, trochę; ale o tem wszystkiem jednak opowiem panu potrosze — i zapewne ostatecznie wyśmieję mnie pan tylko.

— Wyśmieję się z ciebie serdecznie, niech tylko jutro przeminie; do tego czasu nie śmiem; nie mam zupełnej pewności. Tyżeś to, coś przez ten ubiegły miesiąc śliska była jak węgorz, a ciernista jak dzika różyczka? Nie mogłem cię palcem dotknąć, tak kłufaś; a teraz wydaje mi się, że zbłąkane jagniątko tulę w objęciach. Wysłaś z szopy, żeby odszukać swojego pastera, czy tak, Joanko?

— Tęskno mi było za panem; ale niech pan nie triumfuje. Otóż jesteśmy w Thornfield; niech mi pan zsiąść pomoże.

Postawił mnie na chodniku. Gdy Jan odebrał konia, a ja weszłam z nim do hallu, kazał mi prędko przebrać się w suche rzeczy i wrócić do niego do biblioteki. Jeszcze mnie zatrzymał, gdy zmierzałam ku schodom, i wymógł na mnie obietnicę, że niedługo zabawię; to też pośpieszyłam się; w pięć minut byłam zpowrotem. Zostałam go przy kolacji.

— Usiądź, Joanko, i dotrzymuj mi towarzystwa. Da Bóg, będzie to twoja ostatnia wieczerza przed odjazdem stąd na długo.

Usiadłam, ale powiedziałam, że jeść nie mogę.

— Czy dlatego, że cię czeka podróż, Joanko? Czy myśl o tem, że masz jechać do Londynu, tak ci odbiera apetyt?

— Ja dziś wieczorem, drogi panie, nie widzę jasno, co mnie czeka. Zaledwie wiem, jakie myśli mam w głowie. Wszystko w życiu wydaje mi się nierealne.

— Oprócz mnie: ja jestem dosyć realny; dotknij mnie!

— Pan więcej niż wszystko inne wydaje mi się jakąś zjawą: pan jest czystym snem!

Wyciągnął rękę, śmiejąc się.

— Czy to sen? — zapytał, wysuwając ją prosto przed moje oczy. Miał zaokrągloną, muskularną i silną rękę, jako też długie, silne ramię.

— Tak, chociaż jej dotykam, to sen — odpowiedziałam, odsuwając ją. — Czy pan już jeść więcej nie będzie?

— Nie, Joanko, skończyłem.

Zadzwoiłam i kazałam sprzątnąć tacę. Gdy pozostaliśmy znów sami, poprawiłam ogień i zajęłam niski stołeczek u kolan mojego pana.

— Już dochodzi północ — rzekłam.

— Tak; ale pamiętaj, Joanko, żeś mi przyrzekła czuwać ze mną w przeddzień ślubu.

— Tak, i dotrzymam przyrzeczenia; chętnie posiedzę jeszcze co najmniej z godzinę albo ze dwie; wcale nie mam ochoty kłaść się spać.

— Czy wszystkie przygotowania pokończyłaś?

— Wszystkie, panie,

— I ja z mojej strony również — powiedział. — Załatwiłem wszystko — i wyjedziemy z Thornfield jutro, w pół godziny po powrocie z kościoła.

— Bardzo dobrze, drogi panie,

— Z jakim nadzwyczajnym uśmiechem wypowiedziałaś te słowa „bardzo dobrze“, Joanko! Jak ci pałają rumieńce na każdym policzku! i jak dziwnie błyszczą oczy! Czy aby dobrze się czujesz?

— Chyba że tak.

— Chyba że tak! Co ci jest? Powiedz mi, co czujesz.

— Nie mogę, panie; żadne słowa nie potrafiłyby wyrazić mych uczuć. Pragnęłabym, ażeby ta godzina nie miała końca; kto wie, jaki los przynieść może następna.

— To chorobliwe przywidzenia, Joanko! Podnieciłaś się zbyt mocno albo przemęczyłaś!

— A pan, czy czuje się spokojny i szczęśliwy?

— Spokojny?... nie, ale szczęśliwy — do głębi serca.

Podniosłam ku niemu wzrok, chcąc wyczytać na jego twarzy oznaki szczęścia; zarumieniona była, pełna ognia.

— Miej ufność we mnie, Joanko — powiedział; — ulżyj duszy, jeżeli ją ciężar jaki przygniata, dzieląc go ze mną. Czego się obawiasz?... Czy że nie okażę się dobrym mężem?

— To nawet przez myśl mi nie przeszło.

— Czy może lękasz się tej nowej sfery, w jaką masz wejść?... Albo nowego życia, które cię czeka?

— Nie.

— Stawiasz mnie wobec zagadki, Joanko; twój wygląd i ton smutny, chociaż odważny, niepokoi mnie i przykrość mi sprawia. Pragnę wyjaśnienia.

— Więc niech pan słucha. Nie było pana w domu wczorajszej nocy.

— Tak, wiem; i wspominałaś przed chwilą, że coś się stało podczas mej nieobecności — prawdopodobnie nic ważnego; dość, że cię to zaniepokoiło. Niechże usłyszę, co to takiego. Czy pani Fairfax powiedziała coś może? Albo posłyszałaś jakieś plotki służących?... Może coś uraziło twoje drażliwe poczucie godności.

— Nie, panie.

Zaczęła bić dwunasta; zaczekałam, aż mały zegar wydzwonił ją srebrzyście, a wielki zegar ochryplym, wi-brującym tonem, a potem ciągnęłam dalej:

— Przez cały dzień wczorajszy byłam bardzo zajęta i bardzo szczęśliwa się czułam wśród tej ciągłej krzątaniny; wcale mnie bowiem nie przesładują, jak pan przypuszcza, lęki co do tej przyszłej sfery i t. p. Uważam za wielkie szczęście cieszyć się nadzieją pożycia z panem, ponieważ pana kocham. Nie, panie — niech mnie pan teraz nie pieści. Niech mi pan pozwoli mówić swobodnie. Wczoraj pełna byłam ufności w Opatrzność i wierzyłam, że wypadki układają się zarówno dla dobra pańskiego, jak i mojego. Był to piękny dzień, jeśli pan pamięta — spokojne powietrze, czyste niebo nie nasuwało ani cienia niepokoju o bezpieczeństwo i wygodę pana w podróży. Po herbacie przechadzałam się trochę po chodniku, myśląc o panu. Czułam pana, w myślach, tak

blisko siebie, że prawie mi nie brakowało istotnej pańskiej obecności. Myślałam o przyszłości, o twojem życiu, panie, o tyle wszechstronniejszym i ruchliwszem od mojego, jak głąb morza w porównaniu do strumyczka, który w nie wpada, do płytkiego łożyska jego wąskiego koryta. Dziwiłam się, dlaczego filozofowie nazywają ten świat dziką pustynią: dla mnie kwitł on jak róża. O zachodzie słońca oziębiło się, niebo powlokło się chmurami, wróciłam do domu. Sophie zawołała mnie na górę, ażebym obejrzała ślubną suknię, którą właśnie przyniesiono, a pod nią, w pudle, znalazłam dar pański — ten welon, który w swojej książęcej hojności kazał pan przysłać z Londynu, postanowiwszy widocznie, skoro nie chciałam klejnotów, zmusić mnie fortelem do przyjęcia czegoś równie kosztownego. Uśmiechnęłam się, rozwijając go, i układałam w myśli, jak żartować będę z pana, jego arystokratycznych gustów i chęci przebrania plebejskiej narzeczonej za damę wysokiego rodu. Myślałam o tem, że zaniosę nadół do pana welon z gładkiego tiulu, który sama przygotowałam, jako nakrycie mojej nisko urodzonej głowy, i że zapytam, czy to nie wystarcza dla kobiety, która nie może przynieść mężowi w posagu ani majątku, ani piękności, ani stosunków. Widziałam wyraźnie, jaką pan będzie miał minę; słyszałam pańskie gwałtowne republikańskie odpowiedzi i dumne twierdzenie, że nie potrzebuje pan ani majątku zwiększać, ani stanowiska swego podnosić przez ożenek dla pieniędzy albo dla tytułu.

— Jak ty mnie dobrze znasz, ty czarownico mała! — wtrącił pan Rochester. — Ale cóżeś znalazła w tym welonie oprócz haftów? Czy znalazłaś truciznę albo sztylet, że taką żalobną masz teraz minę?

— Nie, nie, mój panie; oprócz subtelności i bogactwa wyrobu znalazłam tam tylko pychę Fairfaxa Rochester; lecz to mnie nie przestraszyło — już oswoiłam się z tym demonem. Ale panie, ściemniło się, wiatr się zerwał, chociaż nie taki gwałtowny, jak dzisiaj — smutno, ponuro zawodził — daleko niesamowiciej. Zatęskniłam do pana. Weszłam do tego pokoju i widok pustego fo-

tela i kominka bez płonącego ognia wionął ku mnie chłodem. Położyłam się spać, ale czas jakiś nie mogłam zasnąć. Trapił mnie niepokój, nurtowało podniecenie. Wichura wzmagąła się, i zdawało mi się, że przygłusza jakiś inny, posępny głos. Czy ten głos płynął z domu, czy z zewnątrz, tego narazie nie mogłam rozróżnić, ale powracał, niewyraźny a jednak żałosny, ilekroć przycichał wiatr; nareszcie wytłumaczyłam sobie, że to gdzieś daleko pies wyje. Rada byłam, gdy wkońcu przestał. Gdy zasnęłam, prześladowała mnie dalej we śnie ciemna, wietrzna noc. W dalszym też ciągu tak pragnęłam być z panem, odczuwałam takie dziwne, żalosne wrażenie, że przegradza nas jakaś zapora. Śniło mi się z początku, że szłam wzdłuż zakrętów jakiejś nieznaney drogi, otaczała mnie ciemność zupełna, deszcz mnie smagał; krępował mnie ciężar, gdyż niosłam małe dziecko: bardzo małe stworzenie, za małe i za słabe, by mogło samo chodzić, a drżało ono w moich zziębniętych rękach i boleśnie kwiliło. Pomyślałam, że jest pan duży kawał drogi przede mną; to też natężyłam wszystkie siły, by pana dogonić; czyniłam daremne wysiłki, by wymówić imię pańskie i błagać, by pan się zatrzymał; jednakże skrzepowana byłam w ruchach, a głos mój zamierał bez słów; pan tymczasem, czułam to, usuwał się z każdą chwilą coraz dalej, coraz dalej...

— I te sny jeszcze teraz ciężą ci na sercu, Joanko, chociaż jestem tak blisko ciebie? Ty małe, nerwowe stworzenie! Zapomnij o przywidzeniach, myśl tylko o szczęściu, które jest na jawie. Powiadasz, że mnie kochasz, Joanko: tak — ja o tem nie zapomnę i ty temu nie możesz zaprzeczyć. Te słowa nie zamarły, niewypowiedziane, na twoich ustach. Słyszałem je, wyraźne, jasne, może odrobinę zbyt uroczyste, ale jak muzyka słodkie: „Uważam za wielkie szczęście cieszyć się nadzieją pożycia z panem, ponieważ pana kocham”. Więc ty mnie kochasz, Joanko? Powtórz mi to.

— Kocham, panie, kocham całym sercem.

— No tak, to dziwne — powiedział po paru minutach milczenia — ale to zdanie przeniknęło mnie bole-

śnie. Dlaczego? Chyba dlatego, że wymówiłaś je z taką powagą, z takim religijnym przejęciem, a wzrok twój, wzniesiony ku mnie, miał najgłębszy wyraz wiary, prawdy i oddania; to trochę tak, jakgdyby duch jakiś stanął przy mnie. Przybierz złośliwą minkę, Joanko, tak jak to ty umiesz; zdobądź się na taki przekorny, wyzywający uśmiezek; powiedz, że mnie niecierpisz, drażnij mnie, dokuczaj; rób, co chcesz, tylko mnie nie wzruszaj; wolałbym, byś mnie rozgniewała, niż nastrajała smutnie.

— Będę pana drażniła, będę panu dokuczała dosyta, niech tylko dokończę swego opowiadania; ale proszę mnie wysłuchać do końca.

— Myślałem, Joanko, żeś mi już wszystko opowiedziała. Myślałem, że źródłem twojej melancholji był sen. Potrząsnęłam głową.

— Jakto? Jest tam coś więcej? Ale ja nie uwierzę, żeby to było coś ważnego. Zgóry przestrzegam cię, że będę niedowiarkiem. Mów dalej.

Zaniepokojona jego mina, trochę lękliwa niecierpliwosc tonu zdziwiły mnie; mimo to mówiłam dalej.

— Śniło mi się potem, że Thornfield Hall było straszną ruiną, schroniskiem nietoperzy i sów. Śniło mi się, że z całego okazałego frontu pozostał tylko cienki mur, bardzo wysoki i wyglądający bardzo krucho. Błądziłam w noc księżycową po zarosłem trawą wnętrzu; tu potykałam się o marmurowy kominek, tam o odłamek spadłego gzymsu. Owinięta w szal, wciąż nosiłam to nieznanne małe dziecko; nie mogłam go nigdzie położyć, choć bolały mnie ramiona i chociaż ciężar jego opóźniał moje kroki, musiałam je piastować. W odległości, na drodze usłyszałam galop konia; byłam pewna, że to pan, a pan wyjeżdżał na wiele lat i do dalekiego kraju. Wdrapywałam się na cienki mur z szalonym, niebezpiecznym pośpiechem, pragnąc ze szczytu jeszcze dojrzeć pana na chwilę. Kamienie usuwały się z pod moich nóg, gałęzie bluszczu, których się chwytalam, urywały się, dziecko w przerażeniu ścisnęło mnie za szyję i prawie mnie dusiło; nakoniec wyostałam się na szczyt. Ujrza-

łam pana, jak plamkę na białej linii drogi, plamkę coraz mniejszą i mniejszą. Wiatr wiał tak silny, że nie mogłam mu się oprzeć; usiadłam na wąskim brzegu; uspokajałam na kolanach przestraszone dziecko; postać pana mignęła na zakręcie drogi; pochyliłam się naprzód, żeby ostatni raz go zobaczyć; mur zaczął się kruszyć; dziecko zsunęło mi się z kolan, straciłam równowagę, spadłam i obudziłam się.

— No, teraz, Joanko, to już chyba koniec.

— Koniec wstępu, panie; opowiadanie dopiero przyjdzie. Przy przebudzeniu błysk światła olśnił mi oczy. Pomyślałam: O, to już dzień! Omyliłam się jednak — było to tylko światło świecy. Przypuszczałam, że to Sophie weszła. Na toaletce stała świeca, a drzwi szafy, w której przed pójściem spać powiesiłam ślubną suknię i welon, były otwarte. Usłyszałam tam szelest i zapytałam: „Co tam Sophie robi?” Nikt mi nie odpowiedział; ale jakaś postać wysunęła się z za szafy, wzięła świecę, podniosła ją do góry i oglądała suknię, wiszącą na wieszadle. „Sophie! Sophie!” zawołałam znowu, i znowu zaległo milczenie. Siadłam na łóżku, pochyliłam się naprzód: najpierw ogarnęło mnie zdziwienie, potem oszołomienie, a wkońcu mróz przeszedł mi po kościach. Panie Rochester, to nie była Sophie, to nie była Lea, ani pani Fairfax; to nie była — nie, byłam tego i jestem dotąd pewna — to nie była nawet ta dziwna kobieta, Gra-cja Poole!

— Musiała to być jedna z nich — przerwał mój pan.

— Nie, panie, uroczyście pana zapewniam, że nie. Postaci, która teraz stała przede mną, nigdy dotąd nie widziałam w obrębie Thornfield Hall; wzrost, cały zarys, wszystko to było nowe dla mnie.

— Opisz ją, Joanko.

— Była to, panie, kobieta wysoka i tęga, z długimi, gęstymi, ciemnymi włosami, zwieszającymi jej się na plecy. Nie wiem, jakie miała ubranie na sobie; było to coś białego i prostego, ale czy to była suknia, prześcieradło czy koszula, nie wiem.

— Czy widziałaś jej twarz?

— Z początku nie. Ale po chwili wzięła mój welon z miejsca, gdzie wisiał, podniosła go w górę, patrzyła na niego długo, a potem zarzuciła go sobie na głowę i obróciła się do zwierciadła. W tej chwili zobaczyłam odbicie jej twarzy i jej rysów zupełnie dokładnie w ciemnym podłużnym zwierciadle!

— Jakież one były?

— Straszne i widmowe — o panie, ja nigdy nie widziałam podobnej twarzy! Była to twarz bez koloru... była to twarz dzika. Pragnęłabym zapomnieć o tych toczących się błędnie zaczerwienionych oczach, o tej okropnej sonej obrzmiałości rysów!

— Duchy, Joanko, zazwyczaj bywają blade.

— Ten, panie, był fioletowy; usta miał nabrzmiałe i ciemne; czoło zmarszczkami poryte; czarne brwi wysoko podniesione ponad krwią nabiegłymi oczami. Czy mam panu powiedzieć, jakie podobieństwo nasunęła mi ta twarz?

— Powiedz.

— Niemieckiego djabelskiego widma — upiorzycy.

— Ach!... I cóż ona zrobiła?

— Panie, zdjęła mój welon ze swej strasznej głowy, rozdarła go na dwie połowy, i rzuciwszy go na ziemię, deptała po nim.

— A potem?

— Odsunęła zasłonę okna i wyjrzała; może zobaczyła, że świt już bliski, gdyż, wzięwszy świecę, cofnęła się ku drzwiom. Tuż przy mojem łóżku postać ta stanęła; ogniste oczy wypatrzyły się na mnie, przybliżyła świecę tuż do mojej twarzy i zdmuchnęła ją przed moimi oczyma. Czułam, że ohydna jej twarz pochyła się nad moją i straciłam przytomność; po raz drugi w mojem życiu, tylko po raz drugi, straciłam przytomność z przerażenia.

— Kto był przy tobie, gdy odzyskałaś zmysły?

— Nikt panie, tylko jasny dzień. Wstałam, oblałam zimną wodą głowę i twarz, napiłam się zimnej wody; czu-

łam, że jakkolwiek osłabiona, nie jestem chora i postanowiłam, że nikomu nie powiem o tem zjawisku, tylko panu jednemu. A teraz proszę, niech mi pan powie, kto jest ta kobieta i co ona za jedna?

— To twój nadmiernie podnieconego mózgu, bądź pewna. Będę się musiał starannie opiekować tobą, mój skarbie; nerwy takie, jak twoje, nie znoszą szorstkiego dotknięcia.

— Panie, proszę mi wierzyć, tu nerwy moje nie zawiniły; to było coś realnego; ten fakt istotnie zaszedł.

— A twoje poprzednie sny czy także były realne? Czy Thornfield Hall jest ruiną? Czy rozłączają nas niezwykłe przeszkody? Czy ja ciebie opuszczam bez lzy, bez pocałunku, bez słowa?

— Dotychczas jeszcze nie.

— Czy zamierzam to uczynić? Ale już zaczął się dzień, który nierozzerwalnie ma nas związać; a gdy raz będziemy złączeni, nie powtórzą się te imaginacyjne strachy, na to ci daję słowo.

— Imaginacyjne strachy, panie! Pragnęłabym uwierzyć, że to tylko to; pragnęłabym tego więcej teraz, niż kiedykolwiek, skoro nawet pan wyjaśnić mi nie może tajemnicy tego okropnego gościa.

— A skoro ja tego uczynić nie mogę, Joanko, więc nie mogła to być rzecz realna.

— Ależ panie, gdy powiedziałam sobie to samo, wstawszy dziś rano, i gdy rozejrzałam się po pokoju, czerpiąc odwagę i pociechę z miłego wyglądu rzeczy znajomych w pełnym świetle dnia, tam — na podłodze ujrzałam to, co wyraźnie zadało kłam mojemu przypuszczeniu — ujrzałam welon, rozdarty od końca do końca na dwie połowy!

Czułam, że pan Rochester drgnął i zatrzęsł się; szybko chwycił mnie w objęcia.

— Bogu niech będą dzięki! — zawołał — że jeżeli coś złośliwego zbliżyło się do ciebie wczorajszej nocy, welon tylko na tem ucierpiał. Och, gdy pomyślę, co mogło się było zdarzyć!

Oddychał szybko i tak mnie silnie przyciskał do pier-
si, że tchu prawie nie mogłam złapać. Po paru minu-
tach milczenia mówił dalej, już pogodnie:

— Ja ci to, Joanko, wszystko wytłumaczę. To był półsen, pół-rzeczywistość. Pewna kobieta, nie wątpię o tem, weszła do twojego pokoju; a tą kobietą była — musiała być — Gracja Poole. Ty sama nazywasz ją dziwną istotą; po tem wszystkim, co o niej wiesz, masz prawo tak ją nazywać. Co ona mnie zrobiła? co zrobiła Masonowi? W stanie takiego półsnu pół-jawy zauważyłaś jej wejście i jej czynności. Ale tak jak byłaś zgorączkowana, prawie w malignie, przypisałaś jej wygląd djabelskiej zjawy, różny od jej prawdziwego wyglądu. Długie, rozczochrane włosy, obrzękła sina twarz, przesadnie wielki wzrost, to była złuda wyobraźni, to był wynik nocnej zmory; złośliwe podarcie welonu było rzeczywiste i to jest do niej podobne. Pojmuję, że chciałaś mnie zapytać, dlaczego taką kobietę trzymam w moim domu. W rok po naszym ślubie powiem ci to, ale nie teraz. Czy jesteś zadowolona, Joanko? Czy zgadzasz się na to moje rozwiązanie tajemnicy?

Zastanowiłam się, i rzeczywiście wydało mi się ono jedynem możliwem. Zadowolnić mnie ono nie zadowoliło, ale chcąc zrobić przyjemność mojemu panu, udałam, że owszem. Ulgę mi to jednakże przyniosło; to też odpowiedziałam mu zadowolonym uśmiechem. A ponieważ dawno już minęła pierwsza, zaczęłam się zabierać do odejścia.

— Czy Sophie śpi z Adelką w dzieciennym pokoju? — zapytał, gdy zapalałam świecę.

— Tak, panie.

— A w łóżeczku Adelki znajdzie się dość miejsca dla ciebie. Musisz się dzisiaj przespać z nią razem, Joanko; nie dziw, że cię zdenerwował wypadek, o którym mi opowiedziałaś, to też wolałbym, żebyś nie spała dziś sama. Przyrzecz mi, że pójdziesz do dzieciennego pokoju.

— Uczynię to z największą chęcią, panie drogi.

— I zamknij drzwi bezpiecznie ze środka. Obudź Sophie, gdy pójdziesz na górę, pod pozorem, że chcesz ją prosić, by cię jutro wcześniej obudziła, gdyż musisz być ubrana i zjeść śniadanie przed ósmą. A teraz już żadnych ponurych myśli... odpędź smutki i troski, Joasiu moja. Czy słyszysz, jak przycichł wiatr, jak łagodnie szmerze? i deszcz już nie bije w szyby. Spójrz — rzekł, podnosząc storę — jaka piękna noc.

I tak też było. Połowa nieba była zupełnie czysta: chmury, skupiając się teraz przed wiatrem, który zmienił się na zachodni, pomykały ku wschodowi w długich, osrebrzonych zwałach. Spokojnie świecił księżyc.

— No i cóż — powiedział pan Rochester, patrząc mi w oczy pytającym spojrzeniem. — Jakże się teraz czuje moja Joanka?

— Noc pogodna, panie, i ja również.

— I nie będziesz dziś śniła o rozłączeniu i zgryzotach, ale o szczęściu w miłości i radosnem połączeniu!

Ta przepowiednia do połowy się tylko ziściła; nie śniłam istotnie o smutkach, ale też nie o radości; gdyż wogóle nie spałam wcale. Z małą Adelką w objęciach, śledziłam sen dziecka — taki spokojny, beznamiętny, niewinny sen — i czekałam, rychło dzień nadejdzie. Trzeźwa, z pobudzonem w sobie życiem, skoro tylko słońce wstało, wstałam i ja. Pamiętam, że Adelka tuliła się do mnie, gdy ją opuszczałam; pamiętam, że ucałowałam ją, zdejmując rączki jej z mej szyi, i płakałam nad nią z dziwnem wzruszeniem, i uciekłam, lękając się, by łkanie moje nie przerwało zdrowego jej spoczynku. Wydała mi się symbolem minionego życia, a ten, na którego spotkanie miałam się teraz przystroić, ten z lękiem uwielbiany, uosabiał dla mnie nieznaną mi przyszłość.

ROZDZIAŁ XXVI.

Sophie przyszła ubrać mnie o siódmej: bardzo długo spełniała swoje zadanie; tak długo, że aż pan Rochester, zniecierpliwiony widąc tem zwlekaniem, przysłał

zapytać, dlaczego nie przychodzę. Przypinała mi właśnie broszkę do włosów welon (ten prosty tiulowy); jak mogłam najprędzej wymknęłam się z pod jej rąk.

— Niech pani zaczeka! — zawołała po francusku.
— Niech się pani przejrzy w lustrze! Ani razu pani nie spojrzała!

Zawróciłam przeto od drzwi: ujrzałam jakąś postać w strojnej sukni i welonie, tak niepodobną do mnie, że wydała mi się niemal obrazem kogoś obcego. „Joanko!” usłyszałam wołanie i pośpieszyłam nadół. U stóp schodów powitał mnie pan Rochester.

— Marudna! — rzekł — mnie tu pali się w głowie z niecierpliwości, a ty tak zwlekasz!

Zaprowadził mnie do jadalni, obejrzał mnie bystro od stóp do głów, oświadczył, że jestem „jasna jak lilja i nietylko dumą jego życia, ale radością jego oczu”, poczem zapowiedział mi, że daje mi tylko dziesięć minut na zjedzenie śniadania, i zadzwonił. Zjawił się jeden z później donajętej służby, lokaj.

— Czy Jan ma już powóz gotowy?

— Tak, proszę pana.

— A kuferki czy zniesione nadół?

— Właśnie w tej chwili je znoszą.

— Ty idź do kościoła: przekonaj się, czy pan Wood (pleban) i kościelny już tam są; wracaj i powiedz mi.

Kościół, jak czytelnikowi wiadomo, był tuż za bramami; służący niebawem powrócił.

— Pan Wood jest w zakrystji, proszę pana; ubiera się w komżę.

— A powóz?

— Jan zaprzęga konie.

— Nie będziemy go potrzebowali do kościoła, ale musi być gotów z chwilą, gdy powrócimy; wszystkie pudła i kuferki ułożone i przywiązane, a stangret na koźle.

— Słucham.

— Joanko, jesteś gotowa?

Wstałam. Nie było družbów ani druchen, nie było żadnych krewnych, nikogo, prócz pana Rochester'a i mnie.

Pani Fairfax stała w hallu, gdyśmy przechodzili. Byłabym chętnie do niej przemówiła, ale ręka moja była w żelaznym uścisku: ciągnął mnie krok, któremu ledwo zdołałam nadążyć, a widząc twarz pana Rochester, czułam, że nie zniesie pod żadnym pozorem ani sekundy opóźnienia. Nie wiem, czy kiedy inny pan młody wyglądał tak, jak on — taki skupiony w jednym zamiarze, tak groźnie zdecydowany, a przy stanowczości na czole z takimi płomieniami i błyskami w oczach.

Nie wiem, czy była pogoda czy słońce; idąc ścieżką, nie patrzyłam ani na niebo ani na ziemię; serce moje przeszło w oczy, a oczy moje tkwiły w nim. Chciałam ujrzeć tę rzecz niewidzialną, w której zdawał się topić spojrzenie nienawistne i groźne, odgadnąć te myśli, których sile przeciwstawiał wyzwanie i opór.

U furtki cmentarza kościelnego przystanął: spostrzegł, że jestem zupełnie bez tchu.

— O jakież ja jestem okrutny w miłości! — powiedział. — Zaczekaj chwilkę: oprzyj się o mnie, Joanko!

I teraz już mogę sobie przypomnieć widok starego domu Bożego, wznoszącego się przede mną, jakąś wroną, okrążającą jego wieżę, a w głębi rumiane niebo poranne. Pamiętam też trochę zielone mogiłki i nie zapomniałam o dwóch postaciach ludzi obcych, błądzących wśród tych zielonych wzgóreczków i odczytujących napisy na kilku omszonych kamieniach grobowych. Zauważyłam ich, ponieważ, zobaczywszy nas, poszli poza tylną ścianę kościoła, skąd, byłam pewna, że bocznem wejściem wejdą do kościoła i będą świadkami ceremonji. Pan Rochester ich nie spostrzegł; poważnie wpatrywał się w moją twarz, z której widocznie krew chwilowo uciekła, gdyż czułam pot na czole, chłód ust i policzków. Gdy niebawem przyszedł do siebie, poszedł ze mną z wolna ścieżką ku wejściu.

Weszliśmy do cichej, skromnej świątyni; kapłan czekał w białej komży przy niskim ołtarzu, obok niego kościelny. Cicho było naokół; dwa cienie tylko poruszały się w odległym kącie. Przypuszczenie moje było trafne:

dwaj obcy wsunęli się przed nami, i teraz, plecami do nas odwrócenii, stali przed grobową niszą Rochesterów i przez barjerkę przyglądali się staremu marmurowemu grobowcowi, gdzie anioł klęczący strzegł szczątków Damera de Rochester, poległego pod Marston Moor w wojnie domowej, i Elżbiety, jego żony.

Uklękliśmy przed ołtarzem. Słyszac ostrożne kroki za sobą, spojrzałam przez ramię: jeden z obcych panów zbliżał się ku ołtarzowi. Zaczął się obrządek ślubny. Kapłan odczytał wytłumaczenie związku małżeńskiego, poczem, postąpiwszy jeszcze krok naprzód, nachylił się lekko ku panu Rochesterowi i ciągnął dalej:

„Żądam tego i kładę na sumienie wam obojgu (tak jak odpowiadać będziecie w dzień strasznego sądu, gdy tajemnice serc wszelkich będą odkryte), ażebyście, jeżeli które z was wie o przeszkodzie, dla której nie możecie być prawnie małżeństwem związani, teraz to wyznali; gdyż tego bądźcie pewni, że ci, którzy połączyli się inaczej, niż Słowo Boże dozwala, nie są połączeni przez Boga, ani też małżeństwo ich nie jest prawowite.”

Zatrzymał się, wedle zwyczaju. Czyż pauzę po tem zdaniu przerywa kiedykolwiek odpowiedź? Czyż choćby raz na sto lat? To też duchowny, który oczu nie oderwał od książki i zatrzymał się tylko na chwilę, już wyciągał rękę ku panu Rochesterowi, już otwierał usta, by wypowiedzieć pytanie: „Czy masz wolną i nieprzymuszoną wolę pojąć tę kobietę za małżonkę?” — gdy głos wyraźny odezwał się z pobliza:

— Małżeństwo zawarte być nie może: oświadczam, że istnieje przeszkoda.

Kapłan podniósł wzrok na mówiącego i stał niemy; kościelny również; pan Rochester zachwiał się, jakgdyby ziemia zatrzęsła mu się pod stopami; stanawszy mocniej i nie odwracając głowy ani oczu, powiedział:

— Proszę ciągnąć dalej.

Głębokie milczenie zapadło, gdy wymówił te słowa głębokim, lecz cichym tonem. Po chwili pan Wood przemówił:

— Nie mogę ciągnąć dalej, dopóki pierwaj nie zbadam tego oświadczenia i nie przekonam się, czy to prawda, czy fałsz.

— Małżeństwo nie może dojść do skutku — odezwał się głos za nami. — Mam możność udowodnić to, co twierdzą: istnieje tu przeszkoda niepokonalna.

Pan Rochester słyszał, ale nie zważał na to, co słyszy. Stał uparty, sztywny, bez ruchu, rękę tylko swoją pochwycił. Ach, jakież gorący, jakież silny był to uścisk! jak blade, stanowcze, szerokie czoło jego wyglądało w tej chwili jakby z marmuru wykute! Jak jego oczy błyszczały przytomne i czujne wciąż, a jednak jakby oszalałe w głębi!

Widać było, że pan Wood nie wiedział, co ma począć.

— Jakiegoż rodzaju jest ta przeszkoda? — zapytał. — Może da się ona obejść... może jako wytłumaczyć?

— Wątpię — brzmiała odpowiedź. — Nazwałem ją „niepokonalną”, a mówię na pewnej podstawie.

Mówca wysunął się naprzód i oparł o galeryjkę. Ciągnął dalej, wymawiając każde słowo wyraźnie, spokojnie, dobitnie, chociaż nie głośno:

— Przeszkoda poprostu polega na tem, że zachodzi tu poprzednie małżeństwo. Pan Rochester ma żonę, w danej chwili żyjącą.

Wszystkie nerwy na dźwięk tych cicho wymówionych słów szarpnęły się we mnie, jak nigdy nie szarpnęły nie mi huk pioruna; mróz ani ogień nigdy tak gwałtownie na bieg krwi mej nie podziały. Opanowywałam się jednakże; nie groziło mi omdlenie. Spojrzałam na pana Rochesterą; wywołałam jego spojrzenie. Cała twarz jego była jak bezbarwna skała: w oczach lśniła iskra i taił się piorun. Nie zaprzeczał niczemu — zdawało się, że wyzywa świat cały. Bez słów, bez uśmiechu, jakgdyby nie rozpoznawał we mnie ludzkiej istoty, objął mnie tylko w pół ramieniem i przykuł do swego boku.

— Kto pan jesteś? — zapytał obcego.

— Nazywam się Briggs, jestem notariuszem z Londynu.

— I chce mi pan narzucić żonę?

— Chcę panu przypomnieć o istnieniu pańskiej małżonki, którą prawo uznaje, choć pan jej nie uznaje.

— Zechciej mi pan udzielić bliższych szczegółów, jakie jej imię, rodzina, jej miejsce zamieszkania.

— Oczywiście.

Pan Briggs wydobyl papier z kieszeni i przeczytał urzędowym, uosowym głosem:

„Twierdzą i mogę przedstawić na to dowody, że 20 października roku — (tu była data o piętnaście lat wcześniejsza) Edward Fairfax Rochester z Thornfield Hall w hrabstwie X i z Ferndean Manor w hrabstwie N. w Anglii pojął za żonę siostrę moją, Bertę Antoninę Mason, córkę Jonasza Mason, kupca, i Antoniny, jego żony, kreolki, w kościele N. w Spanish Town, na Maderze. Akt ślubny wniesiony został do ksiąg kościelnych tegoż kościoła, kopja jego jest obecnie w mojem posiadaniu.

Podpis: *Ryszard Mason.*

— To — o ile to jest dokument autentyczny — może dowodzić, że byłem ożeniony, ale nie dowodzi, że kobieta, wymieniona tam, jako moja żona, żyje dotychczas.

— Żyła trzy miesiące temu — odpowiedział prawnik.

— Skąd panu o tem wiadomo?

— Mam na to świadka, którego świadectwu nawet pan chyba nie zaprzeczy.

— Proszę, niech go pan przedstawi — albo ruszaj pan do diabła!

— Najpierw go przedstawię — jest tutaj obecny. Panie Mason, bądź pan łaskaw przyjsć tu bliżej.

Pan Rochester na dźwięk tego imienia zaciął zęby; przebiegł po nim jakiś konwulsyjny dreszcz; będąc tak blisko, tuż przy nim, odczułam ten wstrząs furji i rozpacz. Drugi z dwu obcych, który dotychczas pozostawał wtyle, teraz postąpił naprzód; blada twarz wychyli-

ła się z ponad ramienia prawnika — tak, to był on, Mason. Pan Rochester odwrócił się i przeszył go wzrokiem. Oczy jego, jak często wspominałam, były czarne; teraz w ich ponurej ciemni błyskały jakieś światła rdzawe, raczej krwawe. Twarz jego zarumieniła się, jakgdyby śniade policzki i blade czoło rozżarzyło się płomieniem ognia, od serca płynącego. Podniósł silne ramię i byłby uderzył Masona, byłby go rzucił na posadzkę kościoła i zabił może zapamiętałym ciosem, gdyby nie to, że Mason się cofnął, wydając słaby okrzyk: „O wielki Boże!” Pogarda ostudziła gniew pana Rochesterera, pasja jego zamarła, jak pod mrozącym powiewem, zapytał tylko:

— I cóż ty masz do powiedzenia?

Zbielałe wargi Masona wyszeptały jakąś niezrozumiałą odpowiedź.

— Djabli nadali, że też ty nie potrafisz odpowiedzieć wyraźnie. Jeszcze raz pytam, co ty masz do powiedzenia?

— Panie, panie, — przerwał duchowny — niech pan nie zapomina, że jest pan w świątyni! — Poczem, zwracając się do Masona, zapytał łagodnie: — Co panu o tem wiadomo? czy żona tego pana żyje, czy nie żyje?

— Odwagi — nalegał prawnik — niechże pan mówi!

— Żyje i mieszka teraz w Thornfield Hall — wyraźniej już wykrztusił Mason. — Widziałem ją tego roku w kwietniu. Jestem jej bratem.

— W Thornfield Hall! — wykrzyknął kapłan. — Ależ to niemożliwe: jestem starym mieszkańcem tych stron, mój panie, a nigdy nie słyszałem o żadnej pani Rochester w Thornfield Hall!

Widziałam, jaki posępny uśmiech wykrzywił usta pana Rochesterera, gdy mruknął:

— Nie, na Boga! Postarałem się o to, by nikt nie słyszał o tem, czy o niej pod tem nazwiskiem.

Zamyślił się, jakgdyby przez kilka minut sam ze sobą się naradzał; poczem powziąwszy postanowienie, wyjawiał je:

— Dosyć tego! niech wszystko wystrzela odrazu, jak kula z lufy! Panie Wood, proszę zamknąć książkę i zdejść

komzę; Janie Green — zwrócił się do kościelnego — wyjdźcie z kościoła, nie będzie dzisiaj ślubu.

Kościelny posłusznie wyszedł.

Pan Rochester mówił dalej śmiało, bez ogródek:

— Bigamja to brzydkie słowo... a ja jednak zamie-
rzałem popełnić bigamję; los jednakże mnie przechy-
trzył, czy też Opatrzność mnie powstrzymała, może to
ostatnie. W tej chwili nie o wiele lepszy od diabła;
i, jakby mi to mój tu obecny pasterz powiedział, zasłu-
guję niewątpliwie na najsurowszy sąd boży, może na og-
nie piekielne, na wiekuiste potępienie. Panowie, mój plan
zburzony: to, co ten prawnik i klient jego mówią, jest
prawdą: jestem żonaty, a kobieta, która została mi za-
ślubioną, żyje! Mówi pan, panie Wood, że nigdy pan
nie słyszał o żadnej pani Rochester tam we dworze, przy-
puszczam jednak, że nieraz dawał pan posłuch pogło-
skom o jakiejś tajemniczej warjatce, trzymanej tam pod
kluczem i strażą. Niektórzy szeptali panu, że to moja
przyrodnia siostra z nieprawego łoża, inni, że moja po-
rzucona kochanka. Otóż teraz oznajmiam panu, że ona
jest moją żoną, poślubioną przeze mnie piętnaście lat
temu — Bertą Mason, siostrą tego zucha, który teraz,
blady, drżący na całym ciele, pokazuje, jakie odważne
serce zdobić może mężczyznę. Nabierz otuchy, Dicku!...
nie bój się mnie!... tak, jakbym nie uderzył kobiety, tak-
bym nie uderzył i ciebie. Berta Mason jest obłąkana;
a pochodzi z obłąkańczej rodziny; idjoci i warjaci przez
trzy pokolenia. Matka jej, kreolka, była nietylko wa-
rjatką, ale i pijaczką, o czym się dowiedziałem już po ślu-
bie, gdyż przedtem oni milczeli o tych tajemnicach ro-
dzinnych. Berta, jako posłuszna córka, naśladowała swo-
ją rodzicielkę tak w jednym, jak w drugim. Uroczą mia-
łem towarzyszkę — czystą, mądrą, skromną: możecie sc-
bie wyobrazić, jaki szczęśliwy był ze mnie człowiek.
Jakie sceny bajeczne przeżyłem! Jakie niebiańskie mia-
łem życie, żebyście tylko wiedzieli! Ale ja wam nie po-
trzebuję dawać bliższych wyjaśnień. Panie Briggs, pa-
nie Wood, Ryszardzie — zapraszam was wszystkich,
przyjdźcie do mojego domu i odwiedźcie pacjentkę pani

Poole, a moją żonę! Zobaczycie, jakiego rodzaju istotę, oszukany, pojąłem w małżeństwo, i osądzicie, czy miałem prawo czy nie miałem zerwać taki związek i szukać współżycia z człowiekiem. To dziewczątko — ciągnął dalej, patrząc na mnie — tyle wiedziało, co i pan, panie Wood, o tej wstrętnej tajemnicy; myślała, że wszystko załatwiam prawnie, że wszystko jest w porządku. Nie śniło się jej, że może być wciągnięta w fikcyjny związek z nieszczęśliwcem, już związanym ze złą, obłąkaną i zbydlęconą istotą! Pójdźcie wszyscy, proszę, pójdźcie za mną!

Wciąż trzymając mnie silnie przy sobie, wyszedł z kościoła: trzej panowie poszli za nami. Przed frontowymi drzwiami dworu stał powóz.

— Zabierz powóz do wozowni, Janie — rozkazał pan Rochester chłodno. — Nie będzie dzisiaj potrzebny.

Gdyśmy weszli, pani Fairfax, Adelka, Sophie i Lea wystąpiły naprzeciw nas z powitaniem i życzeniami.

— Idźcie każda w swoją drogę! — krzyknął pan domu. — Co mi po waszych życzeniach? Komu potrzebne? Nie mnie! O piętnaście lat są spóźnione!

Przeszedł i zaczął wstępować na schody, wciąż trzymając moją rękę i wciąż dając tym panom znaki, by szli za nim, co oni też czynili. Wyszliśmy na pierwsze schody, przeszliśmy wzdłuż korytarza i stamtąd udaliśmy się na trzecie piętro. Niskie czarne drzwi, otworzone kluczem pana Rochester, wpuściły nas do obwieszonego makatami pokoju z wielkim łóżkiem i malowniczą szafą.

— Znasz to miejsce, Ryszardzie — zwrócił się pan domu do Masona — ona cię tutaj pogryzła i pchnęła nożem.

Podniósł zasłonę ze ściany, odkrywając drugie drzwi; te drzwi otworzył także. W pokoju bez okna, palił się ogień, osłonięty wysoką i silną kratą, i lampa, zawieszona u sufitu na łańcuchu. Gracja Poole nachyliła się nad ogniem, widocznie gotując coś w garnuszku. W głębokim cieniu, w najdalszym końcu pokoju, postać jakaś biegła tam i zpowrotem. Co to było, czy zwierzę,

czy ludzka istota, trudno było na pierwszy rzut oka rozpoznać: posuwało się to, zdaje się, na czworakach; parskano i mrucało, jak dziwne jakieś dzikie zwierzę. Jednakże ubrane było porządnie, a obfitość ciemnych, siwiejących włosów, rozczochranych jak grzywa, zakrywała głowę i twarz.

— Dzieńdobry, pani Poole! — przemówił pan Rochester. — Jak się pani miewa? i jak się miewa dzisiaj pani pupilka?

— Mamy się nie najgorzej, dziękuję panu — odpowiedziała Gracja, odstawiając ostrożnie garnuszek. — Trochę oburkliwa, ale nie „szalejąca”.

Dziki krzyk zadał kłam tej korzystnej ocenie. Ubrana hiena podniosła się i stała, wysoka, na tylnych łapach.

— Ach! panie, ona pana widzi! — zawołała Gracja — lepiej niechaj pan odejdzie.

— Tylko kilka chwil, Gracjo, musisz mi pozwolić na kilka chwil tylko.

— A więc niechże pan uważa... Na miłość boską, niechże pan uważa!

Warjotka ryknęła: odgarnęła z twarzy splecione włosy i patrzyła dziko na gości. Poznałam tę fioletową twarz, te obrzękłe rysy. Pani Poole zbliżyła się.

— Usuń się pani z drogi — rzekł pan Rochester, odpychając ją na bok — chyba ona teraz nie ma noża, a ja dobrze uważam.

— Nigdy się nie wie, co ona mieć może, panie; ona taka przebiegła; możność człowieka przechodzi zgłębienie jej chytryści.

— Możebyśmy już poszli — szepnął Mason.

— A idźże do djabła! — ofuknął go szwagier.

— Uważać! — krzyknęła Gracja.

Trzej panowie cofnęli się równocześnie. Pan Rochester rzucił mnie poza siebie; warjotka skoczyła i ze złością chwyciła go za gardło, przykładając zęby do jego policzka: zaczęła się walka, zmaganie. Była to wielka kobieta, wzrostem prawie dorównywająca mężowi, a przytem tęga: okazywała męską siłę w walce, parę razy omal że go nie zadusiła, mimo że on tak atletycznie

był mocny. Mógł być uwolnić się od niej jednym dobrze wymierzonym ciosem, ale nie chciał bić; chciał tylko pokonać ją siłą. Nakoniec opanował jej ręce; Gracja Poole podała mu sznur; skrępował ręce szalonej na plecach: z pomocą dłuższego sznura, który był pod ręką, przywiązał ją do krzesła. Wszystko to odbywało się wśród najdzikszych wrzasków i konwulsyjnych rzutów ciała obłąkanej. Pan Rochester, ukończywszy to zadanie, odwrócił się do widzów: popatrzył na nich z uśmiechem gorzkim i zrozpaczonym.

— Taką oto jest moja żona — powiedział. — Takim jest jedyny małżeński uścisk, jaki znać mi wolno... takie pieśczoćoty mają mnie cieszyć w wolnych chwilach! A tu oto jest to (tu rękę położył na mojem ramieniu), co pragnąłem zdobyć — ta młoda dziewczyna, która tak poważna i spokojna stoi u wrót piekła i przygląda się szatańskim harcom w skupieniu. Upragnioną mi była taka odmiana... Panie Wood, panie Briggs, popatrzcież, jaka różnica! Porównajcież te czyste oczy z tamtymi czerwonymi gałkami — tę twarz z tamtą maskarą — tę postać z tamtą bezkształtną masą ciała, a potem sądzcie mnie, kapłanie Ewangelji i stróżu prawa, i pamiętajcie, że jak będziecie sądzili, tak będziecie sądzeni! A teraz odejdźcie, proszę! Muszę zamknąć swój skarb.

Usunęliśmy się wszyscy. Pan Rochester pozostał jeszcze na chwilę, by wydać Gracji Poole jakieś polecenie. Adwokat przemówił do mnie, gdy schodziliśmy ze schodów:

— Pani łaskawa — rzekł — wolna jest od wszelkiego zarzutu; wuj pani ucieszy się, gdy się o tem dowie, o ile, naturalnie, jeszcze żyć będzie, gdy pan Mason powróci na Maderę.

— Mój wuj! Co pan wie o nim? Czy go pan zna?

— Pan Mason go zna. Pan Eyre przez kilka lat był korespondentem jego firmy w Funchalu. Gdy wuj pani otrzymał list z wiadomością o zamierzonym małżeństwie pani z panem Rochesterem, pan Mason przypadkiem był właśnie u niego. Pan Eyre wspomniał o tej

wiadomości, gdyż wiedział, że mój klient znał pana tego nazwiska. Pan Mason, zdziwiony i zmartwiony, jak pani może sobie wyobrazić, wyjawiał istotny stan rzeczy. Wuj pani (przykro mi, że muszę to powiedzieć) jest obłożnie chory. Zważywszy na istotę jego cierpienia — uwiad starczy już mocno posunięty, trudno się spodziewać, by się mógł jeszcze podźwignąć. Nie mógł zatem sam pośpieszyć do Anglii, by wypłatać panią z sieci, w jaką pani wpadła, ale błagał pana Masona, by nie tracąc czasu, poczynił odpowiednie kroki ku zapobieżeniu nieprawnemu małżeństwu. Odesłał go do mnie po pomoc. Spieszyłem się, jak tylko mogłem, i rad jestem, że się nie spóźniłem, jak i pani niewątpliwie. Gdybym nie był przekonany, że wuj pani umrze, zanimby pani zdążyła dostać się na Maderę, radziłbym pani towarzyszyć panu Masonowi w jego powrotnej drodze; w obecnym jednakże położeniu myślę, że lepiej, by pani pozostała w Anglii, dopóki nie otrzyma dalszych wiadomości albo od pana Eyre, albo o panu Eyre. — Czy czekamy tu jeszcze na co? — zwrócił się do pana Masona.

— Nie... nie, chodźmy już — odpowiedział tamten trwożliwie; i nie czekając na pożegnanie się z panem Rochesterem, wyszli obydwaj przez hall. Duchowny zatrzymał się jeszcze, by parę słów upomnienia czy nagany udzielić swemu dumnemu parafjaninowi; spełniwszy ten obowiązek, i on się pożegnał.

Słyszałam, że odchodzi, stojąc w nawpół otwartych drzwiach mojego pokoju. Wtedy zamknęłam drzwi, zasunęłam rygiel i zaczęłam — nie płakać, nie rozpaczać, na to zbyt jeszcze byłam spokojna, ale automatycznie zdejmować ślubną suknię i na jej miejsce przywdziewać weńnianą, którą myślałam wczoraj, że ostatni raz mam na sobie. A potem usiadłam. Czułam się słaba i zmęczona. Oparłam ramiona o stół i głowa mi na nie opadła. I teraz zaczęłam myśleć: dotychczas tylko słuchałam, patrzyłam, poruszałam się, chodziłam tu i tam, gdzie mnie prowadzono lub ciągnięto, widziałam wypadki następujące po wypadkach, jedno po drugim wyjaśnienie. Ale t e r a z zaczęłam m y ś l e ć.

Wypadki tego ranka miały przebieg wcale spokojny — z wyjątkiem jednej krótkiej sceny z obłąkaną: przejście w kościele nie było hałaśliwe; nie było wybuchu namiętności, głośnych sporów, kłótni, zuchwałych wyzywań, łez i łkań. Powiedziano kilka słów, zrobiono spokojnie zastrzeżenie ważności ślubu; padło kilka surowych, krótkich zapytań ze strony pana Rochester'a, dano odpowiedzi, wyjaśnienia, przedstawiono dowód; mój pan otwarcie uznał prawdę, poczem obejrzano żyjący dowód; ci, co przyszli, poszli sobie, a teraz było po wszystkim.

Byłam w moim własnym pokoju, jak zwykle — niby ta sama, bez widocznej zmiany. A jednak gdzież była Joanna Eyre wczorajsza? ... Gdzie było jej życie? ... Gdzie były jej nadzieje? ...

Joanna Eyre, wczoraj płonąca, pełna nadziei kobieta — panna młoda — dziś była znowu zziębniętym, samotnym dziewczęciem; życie jej było blade, smutne widoki na przyszłość. Mróz grudniowy przyszedł w pełni lata. Nadzieje moje wszystkie zamarły pod obuchem strasznego wyroku, takiego, jaki padł niegdyś na wszystkich pierworodnych w krainie Egiptu. Spojrzałam na swe najmilsze życzenia: leżały martwe, zimne, sine trupki, które już nigdy odżyć nie mogły. Spojrzałam na miłość moją: na to uczucie, własność mego pana, gdyż on je stworzył; drżało w mojem sercu, jak chore dziecko w zimnej kołysce. Choroba i męka niem wstrząsała; nie mogło szukać objęć pana Rochester'a, nie mogło zaczerpnąć ciepła z jego piersi. Ach, nigdy już nie będzie mogło do niego się zwrócić, gdyż wiara zawiodła, zaufanie znikło! Pan Rochester nie był już dla mnie tem, czem był pierwiej, gdyż nie był tem, za co go miałam. Nie chciałam przypisywać mu występku; nie chciałam powiedzieć, że mnie oszukał, ale pojęcie nieskazitelnej prawdy już się z wyobrażeniem o nim nie wiązało. Widziałam jasno, że z obecności jego muszę się usunąć. Kiedy — jak — dokąd — tego nie rozróżniałam narazie, ale on sam, nie wątpiłam o tem, będzie mnie śpiesznie chciał wydalić z Thornfield. Rzeczywistego przywiązania, zdaje się, nie mógł czuć dla mnie; był to tylko namiętny ka-

prys: ten został udaremniiony; teraz już nie będzie mnie pragnął... Bałabym się nawet spotkać z nim teraz; mój widok musiałby być mu przykry. O, jakież było moje zaślepienie! Jak niewłaściwie postępowałam!

Oczy miałam zakryte, zamknięte; falująca ciemność zdawała się mnie opływać, a zastanowienie wpadało prądem czarnym, zmaconym. Pozostawiona samej sobie, osłabła, do wysiłku niezdolna, wyobrażałam sobie, że leżam w wyschlęm łożysku wielkiej rzeki, że słyszę huczące w dalekich górach wody, że czuję, iż strumień nadpływa: nie miałam dość woli, by wstać, nie miałam siły uciekać. Leżałam bezsilna i pragnęłam umrzeć. Jedna myśl tylko jeszcze kołatała we mnie żywa — pamięć o Bogu. Ona zrodziła niewypowiedzianą słowami modlitwę; te słowa snuły się w ciemnicy mej duszy, jak coś, co powinnam była wyszeptać, choć do wyrażenia brakło mi energii.

„Nie bądź daleki ode mnie, gdyż utrapienie jest bliskie; nie mam nikogo ku pomocy.”

I niebezpieczeństwo było bliskie, a że nie zaniósłam modłów do nieba o odwrócenie go, przyszło; pełną, ciężką falą zalał mnie strumień. Cała świadomość mojego osieroconego życia, straconej miłości, zgaszonej nadziei, śmiertelnie ugodzonej wiary potężnie nade mną zawisła. Gorycz tej ciężkiej godziny nie da się wystowić: zaiste, „wody wpłynęły do mojej duszy; zagrzeźłam w głębokie błoto: grunt mi się z pod nóg usunął; dostałam się na głębinię; zalały mnie fale”.

ROZDZIAŁ XXVII.

O pewnej godzinie po południu podniosłam głowę, a widząc, że słońce na ścianie zaznacza bliski już zachód, zadałam sobie pytanie: „I co ja teraz pocznę?”

Jednakże odpowiedź, jaką myśl moja dała: „Opuść Thornfield natychmiast” — była tak nagła, tak straszna, że zatknęłam uszy. „Nie jestem żoną Edwarda Rochester, ale to jeszcze najmniejszy powód do żalu — mó-

wiłam sobie. — Zbudziłam się wprawdzie z najpiękniejszych snów i przekonałam się, że próżne są i puste i to jest okropne, ale potrafiłabym to znieść i opanować się; natomiast nieznośna jest myśl, że muszę go opuścić stanowczo, niezwłocznie, nieodwołalnie. Tego uczynić nie mogę.”

Ale wtedy głos w mojem wnętrzu powiedział mi, że mogę to uczynić, i przepowiedział, że to uczynię. Walczyłam z własnem postanowieniem: pragnęłam być słabą, by uniknąć nowych cierpień dotkliwych, które widziałam, że mnie czekają...

„A więc niech mnie ktoś stąd wyrwie! — wołałam w duszy. — Niechaj mi kto dopomoże!”

„Nie; sama się stąd oderwiesz, nikt ci nie dopomoże: sama wydrzesz sobie prawe oko, sama odetniesz sobie prawą rękę: serce twoje będzie ofiarą, a ty kapłanem, który ją przebijie.”

Wstałam nagle, przerażona samotnością, którą ten srogi sędzia nawiedzał, milczeniem, w jakim ten okropny głos rozbrzmiewał. Kręciło mi się w głowie, gdy powstałam. Jasne było, że osłabłam z podniecenia i czczości, nic bowiem dotąd w ustach nie miałam, nawet śniadania nie jadłam. I z dziwnie bolesnym skurczem serca pomyślałam teraz, że chociaż tak długo byłam tu zamknięta, nikt się nawet nie zapytał, jak się czuję, nikt mnie nie poprosił, żebym zeszła nadół; nawet mała Adelka nie zapukała do drzwi, nawet pani Fairfax mnie nie odwiedziła. „Przyjaciele zawsze zapominają o tych, których szczęście opuściło” — szepnęłam, odsuwając rygiel i wychodząc. Potknęłam się o jakąś przeszkodę; w głowie miałam zawrót, wzrok mi się mącił, nogi się pode mną chwiały. Nieprędko mogłam przyjść do siebie. Upadłam — ale nie na podłogę: chwyciło mnie wyciągnięte ramię. Podniosłam oczy — to pan Rochester mnie podtrzymywał, siedząc na krześle pod progiem mojego pokoju.

— Wychodzisz nareszcie — powiedział. — Ja od tak dawna czekam tu na ciebie i słucham: ale żadnego poruszenia nie usłyszałem, ani łkania: jeszcze pięć minut

tej śmiertelnej ciszy, a byłbym wyrwał zamek, jak włamywacz. Tak, więc ty mnie unikasz?... Zamykasz się i zamartwiasz się sama?! Wolałbym, byś przyszła i zasypała mnie gwałtownymi wyrzutami. Jesteś porywczą: spodziewałem się jakiejś sceny. Byłem przygotowany na gorący deszcz łez, tylko pragnąłem, byś wyplakała je na mojej piersi, a tymczasem przyjęła je nieczuła podłoga, albo twoja przemoczona chusteczka. Ale ja się myślę... tyś wcale nie płakała! Widzę wybladłą twarzyczkę i zagasłe oko, ale ani śladu łez. Czyżby więc twoje serce krwią płakało, Joanko?

— Joanko, ani słowa wymówki? Żadnego gorzkiego, ostrego słówka? Nic, coby zraniło uczucie, ukłuło dumę, nic? Siedzisz spokojnie, tak jak cię umieściłem, i patrzysz na mnie zmęczonym, biernym wzrokiem.

— Joanko, ja nigdy nie zamierzałem tak ciebie zranić. Gdyby człowiek, mający jedną tylko owieczkę, drogą mu jak własne dziecko, któreby jadło chleb jego, piło z jego czarki i na piersiach jego sypiało, gdyby człowiek ten przez jakąś pomyłkę zabił ją w jatkach — nie mógłby krwawej pomyłki swojej żałować bardziej, niż ja żałuję mojej. Czy ty mi kiedykolwiek przebacysz?

Ależ tak, ja mu przebaczyłam w tej chwili, ja mu przebaczyłam natychmiast. Taki głęboki żal widniał w jego oczach, taka prawdziwa litość drżała w jego głosie, taka męska energja przebijała w każdym słowie, a przytem taka niezmienna miłość płonęła w wyrazie twarzy i w każdym spojrzeniu, że przebaczyłam mu wszystko: jednakże nie słowami, nie zewnątrznie; tylko w głębi mego serca.

— Ty wiesz, że ze mnie łotr, Joanko? — zapytał po chwili smutno, dziwiąc się, przypuszczam, mojemu milczeniu i mojej bierności, płynącym raczej z osłabienia niż z rozmyślnej woli.

— Tak, panie.

— To powiedz mi to ostro, bez ogródek, nie oszczędzaj mnie!

— Nie mogę; jestem zmęczona i źle się czuję. Prosiłabym o trochę wody.

Zadrzał, westchnął głęboko, i wzięwszy mnie na rękę, zaniósł nadół. Zrazu nie wiedziałam, do którego zaniósł mnie pokoju, wszystko mi mgła zasłaniała przed oczyma. Niebawem jednak poczułam ożywcze ciepło ognia, gdyż choć to lato było, przejął mnie chłód lodowy w mym pokoju. Podał mi do ust wina; przełknęłam je i to mnie ożywiło; następnie zjadłam coś, co mi podał, i wkrótce przyszedł do siebie. Byłam w bibliotece, siedziałam w jego fotelu, on był tuż blisko... „Gdybym mogła skończyć teraz życie bez zbyt ostrego cierpienia, jakby to dobrze dla mnie było! — pomyślałam. — Nie potrzebowałabym zdobywać się na wysiłek zrywania więzów serdecznych, wiążących mnie z nim... Muszę go opuścić, jak się zdaje... Nie chciałabym go opuścić, nie mogę go opuścić.”

— Jak się teraz czujesz, Joanko?

— O wiele lepiej, panie; wkrótce będzie mi zupełnie dobrze.

— Napij się jeszcze wina, Joanko.

Posłuchałam; poczem on odstawił kieliszek na stół, stanął przede mną i popatrzył na mnie uważnie. Nagle obrócił się z bezsłownym okrzykiem jakiegoś namiętnego wzruszenia, poszedł szybkim krokiem na koniec pokoju i powrócił; nachylił się ku mnie, chcąc mnie pocałować; jednakże ja pamiętałam, że pieszczoty już teraz są zakazane. Odwróciłam twarz i twarz jego odsunęłam.

— Co!... Jako?... — zawołał żywo. — O, już wiem! Nie chcesz pocałować męża Bertę Mason? Uważasz, że moje uściski do kogo innego należą?

— W każdym razie ja do nich nie mam prawa, panie.

— Dlaczego, Joanko? Ja ci oszczędzę trudu długiego gadania; odpowiem za ciebie... Ponieważ ja już mam żonę, odpowiedziałabyś... Czy odgadłem?

— W istocie.

— Jeżeli tak myślisz, musisz mieć dziwne o mnie wyobrażenie. Musisz mnie uważać za rozpustnika, intryganta, za podłego niegodziwca, który udawał bezintere-

sowną miłość, ażeby cię wciągnąć w rozmyślnie nastawioną pułapkę, ażeby obedrzeć cię z honoru i z szacunku dla samej siebie... Co ty mi na to odpowiesz? Widzę, że nie możesz nic powiedzieć, bo najpierw, jesteś tak słaba, że z trudem oddychasz, powtóre, jeszcze nie przyzwyczaiłaś się obwiniać mnie i oczerniać, a przytem źródła łez są otwarte i gotowe wytrysnąć, gdybyś coś więcej mówiła. Ty zaś nie masz ochoty czynić wymówek i wyrzutów, robić scen. Myślisz nad tem, jak działać — mówienie uważasz za rzecz niepotrzebną. Ja ciebie znam, Joanko... to też mam się na baczności.

— Panie, ja nie chcę działać przeciwko panu... — odpowiedziałam, ale niepewny głos ostrzegł mnie, że należy przerwać zdanie.

— Nie w twojem rozumieniu słowa, ale w mojem, układasz plany na moją zgubę. Przecież powiedziałaś, że jestem człowiek żonaty — jako żonatego człowieka będziesz mnie unikała, trzymała się zdala ode mnie: oto przed chwilą odmówiłaś mi pocałunku. Zamierzasz stać się dla mnie zupełnie obcą: żyć pod tym dachem jako nauczycielka Adelki, słowem, jeżeli przyjacielskie uczucie pociągnie cię kiedy do mnie, powiesz sobie: „Ten człowiek o mało nie zrobił ze mnie swojej kochanki: muszę być względem niego zimna jak lód, jak skała”. I zimną i twardą jak lód, jak skała, staniesz się dla mnie.

Odchrząknęłam, starałam się opanować głos i odpowiedziałam:

— Wszystko się dla mnie zmieniło, panie — i ja muszę się zmienić, to niewątpliwe; a na to, by uniknąć ciągłych buntów uczucia i ciągłych walk z wspomnieniami jest tylko jedyna droga: Adelka, panie, musi dostać inną nauczycielkę.

— Ach, Adelka pójdzie do szkoły, to już postanowiłem; ani też nie myślę dręczyć cię ohydnymi wyobrażeniami i wspomnieniami Thornfield Hallu, tego przekłętą miejsca, tego ciasnego kamiennego piekła z tym żywym djabłem, gorszym od legjona złych duchów, które

sobie wyobrażamy. Joanko, ty tutaj nie pozostaniesz, ani ja również. Źle zrobiłem, że cię wogóle sprowadziłem do Thornfield Hallu, wiedząc, co tu pokutuje. Domownikom zaleciłem ukrywać przed tobą, zanim cię jeszcze poznałem, wszelką wiadomość, jakie przekleństwo ciąży nad tą miejscowością, poprostu dlatego, że obawiałem się, iż Adelka nigdy nie będzie mogła mieć nauczycielki, któż bowiem chciałby podzielać dach z taką mieszkanką? Moje plany nie pozwalały mi usunąć warjatki gdzie indziej, chociaż posiadam stary dom — Ferndean Manor — jeszcze ustronniejszy, jeszcze bardziej ukryty niż ten, gdzie mogłem być ją bezpiecznie umieścić. Powstrzymał mnie jednak skrupuł sumienia, że to miejscowość niezdrowo położona, w głębi lasów. Prawdopodobnie tamte wilgotne mury prędkoby mnie uwolniły od ciężaru jej istnienia; jednakże każdy niegodziwiec ma swój rodzaj niegodziwości, w moim nie leży skłonność do powolnego mordowania nawet tego, czego najbardziej nienawidzę.

Ukrywając jednakże przed tobą sąsiedztwo warjatki, postąpiłem, jak ktoś, kto nakrywszy dziecko płaszczem, położyłby je w cieniu trującego drzewa *upas*: poblizę tego szatana jest zatrute i zawsze było zatrute. Ale ja zamknę Thornfield Hall: zabiję gwoździami frontowe drzwi, deskami dolne okna, dam Gracji Poole dwieście funtów rocznie, żeby mieszkała tu z „moją żoną”, jak ty tę okropną nazywasz czarownicę; Gracja wiele zrobi dla pieniędzy, a będzie miała syna swego, który jest dozorcą w Zakładzie w Grimsby, dla towarzystwa i ku pomocy w razie ataków, gdy „mojej żonie” zachce się podpalać ludzi nocą w łóżkach, wbijać w nich noże, albo ciało im odgryzać od kości i t. p. . . .

— Panie — przerwałam mu — jest pan niemiłosierny dla tej nieszczęsnej kobiety: mówi pan o niej z nienawiścią — z mściwością i wstrętem. To okrutnie — przecież ona temu nie jest winna, że jest obłąkaną.

— Joanko, moje maleństwo kochane (tak cię będę nazywał, gdyż tem jesteś), ty sama nie wiesz, co mówisz; ty znowu mnie fałszywie sądzisz: ja nie dlatego

jej nienawidzę, że jest obłąkaną. Gdybyś ty była obłąkaną, czy myślisz, że jabym ciebie nienawidził?

— Myślę, że tak, panie.

— Więc mylisz się, nie znasz mnie wcale, nie wiesz, do jakiego rodzaju miłości jestem zdolny. Każdy atom twego ciała jest mi tak drogi, jak mój własny: w cierpieniu, w chorobie, zawsze byłby mi drogi. Umysł twój jest moim skarbem, a gdyby się zaćmił, skarbem moimby zawsze pozostał. Gdybyś szalała, krępowałaby cię moje ramiona, nie kaftan bezpieczeństwa, gdybyś rzuciła się na mnie tak dziko, jak owa kobieta dziś rano, przyjąłbym cię uściskiem przynajmniej równie miłującym, jak ubez władniającym. Nie cofałbym się przed tobą ze wstrętem, jak przed tamtą; w twoich spokojnych chwilach niktby nad tobą nie czuwał, niktby ciebie nie pielęgnował prócz mnie, a otaczałbym cię niewyczerpaną tkliwością, choćbyś mi się najlżejszym nie odplącała uśmiechem. Nigdybym w twoje oczy wpatrywać się nie przestawał, choćby mnie oczy te przestały poznawać... Ale czemuż tym torem myśli moje idą? Mówiłem o usunięciu ciebie z Thornfieldu. Wszystko, jak wiesz, przygotowane jest do natychmiastowego wyjazdu: jutro pojedziesz. Proszę cię tylko o zniesienie jednej jeszcze nocy pod tym dachem, Joanko; a potem pożegnamy nędze jego i strachy na zawsze! Mam miejsce, dokąd możemy się udać, a które będzie bezpiecznym zaciszem, schronieniem przed znieawidzonymi wspomnieniami, niepożądanem najściem ludzi, nawet przed fałszem i obmową.

— I niech pan zabierze Adelkę ze sobą — przerwałam — będzie pan miał z niej towarzyszkę.

— Co ty mówisz, Joanko? Powiedziałem ci, że poślę Adelkę do szkoły; i naco mi dziecko potrzebne do towarzystwa, i to nie moje własne dziecko, lecz tej francuskiej baletnicy? Dlaczego chcesz mi ją narzucić? Pytam, dlaczego przeznaczasz mi Adelkę za towarzyszkę?

— Mówił pan o usunięciu się w zacisze; a zacisze i samotność są nudne, za nudne dla pana.

— Samotność! samotność! — powtórzył zirytowany. — Widzę, że musi tu dojść do wyjaśnienia. Nie wiem,

w jaki sfinksowy wyraz układa się twarz twoja. Ty masz dzielić moją samotność. Rozumiesz?

Potrząsnęłam głową; trzeba było pewnej odwagi, widząc go tak podnieconym, zdobyć się choćby na ten niemy znak przeczenia. Tak jak chodził szybko po pokoju, tak stanął nagle, jak w ziemię wrosnięty. Popatrzył na mnie długo i wnikliwie; ja odwracałam oczy i starałam się wyglądać spokojnie i naturalnie.

— A ot i węzełek w Joanki charakterze — powiedział wkońcu spokojniej, niż się, z wyglądu jego sądząc, spodziewałam. — Nic jedwabna nawijała się dotąd dość gładko; ale ja zawsze wiedziałem, że przyjdzie supełek, a wtedy łam sobie głowę! A otóż i jest. Teraz tylko utrapienie, irytacja, przykrości bez końca! Bóg widzi! mam ochotę użyć cząsteczki siły Samsona i zerwać tę płataninę jak sznur!

Zaczął znowu chodzić, ale wkrótce przystanął, tym razem wprost przede mną.

— Joanko, czy posłuchasz rozsądnego słowa? — nachylił się nade mną i mówił mi wprost do ucha. — Bo jeżeli nie, będę musiał uciec się do przemocy!

Głos jego był ochrypliwy; wyglądał, jak człowiek, gotowy zerwać niezdolne więzy i rzucić się naoslep w nieobliczalność nadużycia. Widziałam, że jeszcze chwila, jeszcze jeden poryw uniesienia, a stracę nad nim władzę. Tylko ta chwila, ten jeden moment czasu pozostawał mi na opanowanie go i powstrzymanie: jeden ruch odpychający, ucieczka, strach — byłyby przypieczętowały moją i jego zgubę... Ale ja się nie bałam, nie bałam się ani trochę; miałam poczucie wewnętrznej mocy, możliwości wpływu i to mnie podtrzymywało. Ujęłam jego zacisniętą pięść, rozprostowałam skurczone palce i przemówiłam łagodnie, uspokajająco:

— Niech pan usiądzie; będę z panem rozmawiała, dopóki pan zechce; wysłucham wszystkiego, co pan ma mi powiedzieć, bez względu, czy słowa pańskie będą rozsądne lub nierozsądne.

Usiadł; nie odrazu jednakże mógł mówić. Walczyłam ze łzami już dosyć długo; z wielkim trudem dotąd je

powstrzymywałam, ponieważ wiedziałam, że przykrość mu sprawią. Teraz dałam im folgę, jeżeli go zabolą, to tem lepiej... — Rozplakałam się serdecznie.

Niebawem zaczął mnie poważnie prosić, bym się uspokoiła. Odpowiedziałam, że nie mogę, skoro jego taka pasja ponosi.

— Ależ ja się nie gniewam, Joanko, ja tylko kocham cię tak bardzo... a ty bladą twarzyczkę uzbroiłaś w taki stanowczy, lodowaty wyraz, że nie mogłem znieść tego. No, cicho już, cicho... i obetrzyj oczy.

Złagodzony głos jego dowodził, że się uspokoił; więc i ja stałam się spokojniejsza. Teraz usiłował oprzeć głowę na mojem ramieniu, ale ja na to nie pozwoliłam. Wtedy chciał mnie przyciągnąć do siebie, i temu się sprzeciwiałam.

— Joanko, Joanko! — powiedział z akcentem tak gorzkiego smutku, że dreszcz przebiegł wszystkie moje nerwy — więc ty mnie nie kochasz, Joanko? Więc ty ceniłaś tylko moje stanowisko i stanowisko mojej żony? A teraz, kiedy uważasz, że mężem twoim zostać nie mogę, cofasz się przed mojem dotknięciem, jakgdybym był małpą albo ropuchą!

Zabolały mnie te słowa, ale co mogłam zrobić, co mogłam powiedzieć? Powinnam była zapewne nic nie robić i nic nie mówić; dręczył mnie jednak wyrzut, że ranię jego uczucia, to też nie mogłam opanować pragnienia złagodzenia rany.

— Owszem, kocham pana — powiedziałam — kocham więcej, niż kiedykolwiek: ale nie mogę okazywać uczucia, nie mogę mu ulegać, i teraz po raz ostatni daję mu wyraz.

— Po raz ostatni, Joanko? Jakto? czy myślisz, że potrafisz żyć ze mną, widywać mnie codziennie, a jednak, jeżeli mnie nie przestaniesz kochać, być zawsze zimną i daleką?

— Nie, panie: jestem pewna, że tegobym nie potrafiła; i dlatego widzę, że jest jedna tylko droga: ale pan wpadnie w gniew, gdy ją wymienię.

— Ach, wymień ją! Jeżeli ja wpadam w pasję, ty zato umiesz płakać.

— Panie Rochester, ja muszę pana opuścić.

— Na jak długo, Joanko? Czy na pięć minut, żeby przyczesać włosy trochę potargane i obmyć twarz rozgąszczoną?

— Muszę opuścić Adelkę i Thornfield. Muszę się z panem rozłączyć na całe życie: muszę rozpocząć nowe istnienie wśród obcych twarzy i w nowych warunkach.

— Naturalnie: powiedziałem ci, że musisz. Pomijam to szaleństwo o rozłączeniu się ze mną. Masz na myśli zapewne, że musisz stać się częścią mnie. Co do nowego istnienia, to wszystko jest w porządku; będziesz jeszcze moją żoną: ja nie jestem żonaty. Będziesz panią Rochester — i w rzeczywistości i z imienia. Do ciebie jednej będę należał póki twego i mego życia. Zamieszkas w miejscowości, którą posiadam na południu Francji; jest to biała willa nad brzegiem morza Śródziemnego. Tam będziesz wiodła życie szczęśliwe, bezpieczne i tak bardzo niewinne. Nie lękaj się, nie chcę cię otumanić, nie chcę cię uczynić swoją kochanką. Dlaczego potrząsas głową? Joanko, bądźże rozsądna, gdyż doprawdy burza się we mnie zrywa!

Drżał mu głos, drżała mu ręka, rozszerzały się nozdrza, ogniem błyszczały oczy; pomimo to odważyłam się powiedzieć:

— Panie, żona pańska żyje; jest to fakt, który pan sam uznał dziś rano. Gdybym żyła z panem, tak jak pan tego pragnie, byłabym pańską kochanką; nazywać to inaczej, to wykręt i fałsz.

— Joanko, ja nie jestem człowiek spokojny — zapomniałaś o tem: nie jestem cierpliwy; nie jestem chłodny i beznamiętny. Przez litość nade mną i nad samą sobą dotknij mojego pulsu, przekonaj się, jak bije, i strzeż się!

Wyciągnął do mnie rękę; krew odpłynęła z twarzy jego i warg: powlekała je siność. Mnie rozpacz ogarnęła. Okrucieństwem było poruszać go tak do głębi oporem, którego nie znosił, a jednak niepodobna było ustąpić.

W tej ostateczności instynktownie westchnęłam o pomoc do Boga. „Panie Boże, dopomóż mi!” — szepnęłam mimowoli.

— Głupiec ze mnie! — zawołał nagle pan Rochester. — Mówię jej, że nie jestem żonaty, a nie tłumaczę, dlaczego. Zapominam, że ona nic nie wie o charakterze tej kobiety ani o okolicznościach, wśród jakich zawarłem ten przekłety związek. O, jestem pewien, że Joanka zgodzi się ze mną w zdaniu, skoro się dowie o wszystkim, co ja wiem! Złóż tylko rączkę twoją w moją dłoń, Joanko, ażebym czuł, tak jak widzę, że jesteś przy mnie, a w kilku słowach przedstawię ci rzeczywisty stan rzeczy. Czy możesz mnie posłuchać?

— O tak, panie; jeśli pan zechce, mogę słuchać godzinami.

— Ja tylko cię proszę o minuty. Joanko, czyś ty kiedy słyszała, że ja nie byłem najstarszym synem w rodzinie? że miałem brata, starszego od siebie?

— Przypominam sobie, że pani Fairfax mówiła mi to kiedyś.

— A czy ty kiedyś słyszałaś, że ojciec mój był skąpym i chciwym człowiekiem?

— Coś podobnego słyszałam także.

— Otóż, Joanko, ojciec mój postanowił utrzymać majątek w całości. Nie mógł znieść myśli podziału i dania mi części dóbr swoich; wszystko wedle jego woli miał dostać brat mój Rowland. Ale również nie mógł znieść myśli, żeby drugi syn jego był człowiekiem biednym. Trzeba było znaleźć dla mnie bogatą partję. Zawczasu oglądał się dla mnie za żoną. Pan Mason, plantator i kupiec z Indyj Zachodnich, był starym jego znajomym. Ojciec wiedział, że posiadłości ma wielkie, że to człowiek bogaty; zasięgał wiadomości. Dowiedział się, że pan Mason miał syna i córkę, dowiedział się od niego, że zamierza dać córce trzydzieści tysięcy funtów posagu; to wystarczyło. Gdy skończyłem szkoły, posłano mnie na Jamajkę, ażebym tam poślubił żonę, o którą się już dla mnie starano. Mój ojciec nic mi nie wspominał o jej pieniądzach, powiedział tylko, że w Spanish Town

słynie z piękności; i to nie było kłamstwem. Gdy ją poznałem, była to piękna kobieta w stylu Blanki Ingram: brunetka wysoka i majestatyczna. Pokazywano mi ją na zebraniach towarzyskich, wspaniale ubraną. Rzadko widywałem ją samą, bardzo mało na osobności z nią rozmawiałem. Pochlebiała mi, i dla mojej przyjemności hojnie roztaczała przede mną wdzięki swe i talenta. Wszyscy mężczyźni w jej otoczeniu zdawali się podziwiać ją, a mnie zazdrościć. Byłem olśniony, podniecony i pobudzony zmysłowo; a że byłem młody, naiwny i niedoświadczony, wyobraziłem sobie, że ją kocham. Jakiegoż szaleństwa nie popełni mężczyzna, gdy go pobudzi idjotyczna rywalizacja towarzyska, próżność, a zaślepi niedoświadczenie młodości! Krewni jej zachęcali mnie, współzawodnicy podniecali, ona mnie pociągała: małżeństwo zostało zawarte, zanim się obejrzałem. Och, nie mam dla siebie szacunku, gdy myślę o tym kroku!... męka wewnętrznej pogardy opanowuje mnie dziś jeszcze. Nie kochałem jej wcale, nie szanowałem jej wcale, nawet jej nie znałem. Nie wiedziałem, czy istnieje bodaj jedna zaleta w jej naturze: nie zauważyłem w niej ani skromności, ani dobroci, ani szczerości, ani subtelności duszy i obejścia — i ożeniłem się z nią — marna, ślepa zakuta głowa... bo tem byłem! Mniej byłbym zgrzeszył, gdybym był... ale niechaj nie zapominam, do kogo mówię...

Matki mojej żony nigdy nie widziałem; sądziłem, że nie żyje. Gdy upłynął miesiąc miodowy, dowiedziałem się prawdy. Ona żyła, lecz była warjatką, zamkniętą w domu obłąkanych. Był tam także młodszy brat, kompletny idjota, niemowa. Starszego, którego widziałś (a którego nie mogę objąć tą nienawiścią, jaką ogarniam całą tę rodzinę, gdyż w słabej swej duszy ma on pewne zadatki uczuciowe, interesując się stale nieszczęsną siostrą, a i do mnie przywiązany był jak pies) — starszego prawdopodobnie czeka ten sam los. Ojciec mój i mój brat Rowland wiedzieli o tem wszystkim, ale myśleli tylko o tych trzydziestu tysiącach funtów i przyłączyli się do spisku przeciw mnie.

Były to brzydkie odkrycia; jednakże z wyjątkiem oszukańczego zatajenia nie byłbym o nie robił wyrzutów mojej żonie, nawet gdy się przekonałem, że natura jej obcą jest mojej zupełnie, że jej gusta są dla mnie rażące, jej umysł pospolity, niski, ciasny, dziwnie nie nadający się do podniesienia wyżej, rozwinięcia nieco szerzej. Nawet gdy się przekonałem, że nie mogę z nią mile przepędzić jednego wieczora, jednej godziny dnia, że przyjacielska rozmowa nie może istnieć między nami, gdyż jakkolwiek przeze mnie poruszony temat ona natychmiast podejmowała w sposób ordynarny i pusty, przewrotny i głupi; nawet gdy przekonałem się, że nigdy nie będę posiadał spokojnego, dobrze prowadzonego domu, gdyż żadna służąca nie mogła znieść ciągłych jej gwałtownych a nierozsądnych wybuchów albo dokuczliwości jej bezsensowych a sprzecznych wymagań i rozkazów; nawet wtedy jeszcze powstrzymywałem się. Unikałem nagan, wyrzutów, sporów; starałem się żal mój przetrwać w tajemnicy; opanowywałem głęboko odczuwaną antypatję.

Joanko, nie będę cię zaprzętał wstrętami szczegółami. W kilku słowach wypowiem ci, co mam do powiedzenia. Cztery lata przeżyłem z tą kobietą; przed upływem tego czasu ciężko dała mi się we znaki; charakter jej dojrzał i rozwijał się z przerażającą szybkością; wstrętne nałogi rosły, a tak były silne, że tylko okrutną surowością można je było powstrzymać, a ja się do tego uciekać nie chciałem. Jak nikły był jej umysł, a jak olbrzymie złe skłonności! Jak straszne dla mnie następstwa tych skłonności! Berta Mason, nieodrodna córka niecnej matki, ściągnęła na mnie wszystkie ohydne i poniżające męki, jakim podlegać musi mężczyzna, związany z żoną zarazem niewstrzemięźliwą i nieczystą.

Brat mój w tym czasie umarł, a przy końcu czwartego roku umarł i mój ojciec także. Dość teraz byłem bogaty, a jednak, jak strasznie ubogi: istota najordynarniejsza, nieczysta, do dna zdeprawowana, związana była ze mną, a prawo i społeczeństwo uważało ją ze mną za jedno. A nie mogłem się od niej uwolnić żadnym praw-

nym sposobem, gdyż doktorzy odkryli teraz, że moja żona jest obłąkaną, jej nadużycia rozwinęły przedwcześnie zadatki choroby. Joanko, widzę, że ci przykrość sprawia moje opowiadanie; mienisz się na twarzy, czy mam odłożyć resztę do innego dnia?

— Nie, panie, niech pan kończy; mnie pana żal — mnie pana szczerze żal!...

— Litość, Joanko, to ze strony niektórych ludzi niepożądany i obraźliwy haracz, który ma się prawo odrzucić. Mówię o litości, właściwej sercom twardym i samolubnym, złożonej z egoistycznej przykrości na widok cierpienia i pogardy dla cierpiących. Ale nie taka jest twoja litość, Joanko; nie to uczucie maluje się w tej chwili na twojej twarzy, jaśnieje w oczach twoich, nie takim uczuciem bije serce twoje, drży ręka twoja w mojej. Twoja litość, kochanie moje, jest cierpiącą matką miłości... Przyjmuję ją, Joanko, niech i jej córka swobodnie przybywa, wyciągam ku niej ramiona.

— A teraz proszę, niech pan mówi dalej, co pan uczynił, gdy pan się dowiedział, że ona jest obłąkaną?

— Joanko, dochodziłem do ostatecznej rozpacz. W oczach świata honor mój przez nią niewątpliwie był splamiony; jednakże postanowiłem być czystym we własnych oczach; zerwałem wszelką łączność z jej zbrodniczym postępowaniem, wszelką styczność z upośledzoną jej umysłowością. Pomimo to ludzie wiązali jej nazwisko i osobę z mojem nazwiskiem i osobą. Widywałem ją i słyszałem codziennie, a przytem pamiętałem, że byłem niegdyś jej mężem, to wspomnienie było wtedy i jest dotąd niewypowiedzianie wstrętne dla mnie; przytem wiedziałem, że dopóki ona żyje, nie mogę poślubić innej, lepszej żony; a chociaż starsza ode mnie o pięć lat (jej rodzina i na punkcie jej wieku okłamała mnie także) — mogła żyć prawdopodobnie równie długo jak ja, będąc tak silną na ciele, jak była chorą na umyśle. W ten sposób, mając lat dwadzieścia sześć, byłem pozbawiony wszelkiej nadziei.

Pewnej nocy obudziły mnie jej krzyki (od czasu, gdy lekarz uznał ją za obłąkaną, była oczywiście pod za-

mknięciem). Była to ogniem dysząca noc — jedna z takich, jakie zwykły poprzedzać huragan w owym klimacie. Nie mogąc spać, wstałem i otworzyłem okno. Powietrze było jak opary siarki, nie mogłem nigdzie znaleźć odświeżenia. Moskity wpadały, brzęcząc, do pokoju. Morze, które stamtąd mogłem słyszeć, grzmiało głucho, jak trzęsienia ziemi, czarne chmury toczyły się nad niem; zachodzący księżyc zapadał w fale, wielki, czerwony, jak rozpalona kula armatnia — ostatnie krwawe spojrzenia rzucał na świat, drgający fermentem burzy. Byłem fizycznie pod wpływem atmosfery i widoku, a do uszu moich lały się przekleństwa, które warjatka wciąż wykrzykiwała; do przekleństw mieszała moje imię tonem takiej szatańskiej nienawiści, takim językiem!... żadna ulicznica nie miała nigdy wstrętniejszego słownika... Z odległości dwóch pokoi słyszałem każde słowo, cienkie ściany tamtejszego domu mało hamowały jej nieludzkie ryki.

„To życie — powiedziałem wkońcu — jest piekłem: piekielne jest to powietrze, piekielne te djabelskie głosy! Mam przecież prawo uwolnić się od tego. Cierpienia tego śmiertelnego istnienia opuszczą mnie wraz z tem ciałem, co obciąża moją duszę. Nie lękam się wiekuistego ognia; nie może być w przyszłości nic gorszego od mojej obecnej doli, wyrwę się, pójdę, powrócę do Boga!”

Mówiąc to, klęczałem i otwierałem walizkę, w której miałem parę nabitych pistoletów: zamierzałem się zastrzelić. Zamiar ten jednakże trwał tylko przez chwilę; byłem zdrow na umyśle, więc natężenie niewymownego bólu i rozpacz, powodującej to życzenie i ten zamiar, przesiliło się, ustąpiło miejsca rozwadze.

Świeży wiatr, płynący od strony Europy, przewiał nad oceanem i wpadł przez otwarte okno: wybuchła burza, deszcz lał, grzmiało, błyskało się. Po burzy odświeżyło się powietrze. Wtedy powziąłem postanowienie. Chodząc pod kapiącymi pomarańczowemi drzewami mego wilgotnego ogrodu, pośród zmoczonych granatów i ananasów, podczas gdy świt krajów tropikalnych za-

pałał się dokoła mnie, rozumowałem w ten sposób. Ale teraz słuchaj, Joanko, gdyż to prawdziwa Mądrość pocieszyła mnie w tej godzinie i wskazała właściwą drogę.

Łagodny wiatr od strony Europy wciąż jeszcze szmerzał wśród odświeżonych liści, a Atlantyk grzmiał, wolny, swobodny. Serce moje wyschłe, spieczone oddawna, rozszerzało się przy tym odgłosie, nabiegało żywą krwią, istota moja zatęskniła za odnowieniem, dusza zapragnęła źródła żywej wody. Odżywała we mnie nadzieja; czułem, że odrodzenie jest możliwe. Z pod kwiecistej arkady na końcu mojego ogrodu patrzyłem na morze, bardziej niebieskie od samego nieba: stary świat był tam, poza niem, a jasne widoki tak się przedstawiały:

„Idź, mówiła nadzieja — żyj znowu w Europie; tam nikt nie wie, jakie splamione nosisz imię, jakie brudne brzemię dźwigasz na sobie. Możesz zabrać warjatkę ze sobą do Anglii; zamknij ją z odpowiednią opieką i ostrożnością w Thornfield, a potem podróżuj sam, dokąd zechcesz, i zawrzyj dowolnie nowe związki. Ta kobieta, która tak nadużyła twojej cierpliwości, tak skalała twoje imię, tak splamiła twój honor, tak ci młodość zatrzymała, nie jest twoją żoną, ani ty nie jesteś jej mężem. Dbaj o to, ażeby się nią opiekowano starannie, tak jak tego jej stan wymaga, a uczynisz wszystko, czego Bóg i ludzkość mogą od ciebie wymagać. Kim ona jest, jaki jej stosunek do ciebie, niechaj to zapadnie w otchłani niepamięci; nie masz obowiązku wyjawiać tego żywej duszy. Umieść ją w bezpieczeństwie i wygodzie; ośłoń upadek jej tajemnicą i opuść ją.”

Wedle tego postąpiłem. Ojciec mój i brat nie uwiadomili znajomych o mojem małżeństwie; ja bowiem w najpierwszym liście, gdzie im donosiłem o jego spełnieniu, zaczynając już odczuwać przykre jego następstwa i z stosunków rodzinnych wnosić, jaka mnie ohydna czeka przyszłość — nagląco prosiłem, by utrzymali je w tajemnicy. Bardzo też prędko ojciec mój zawstydziłby się niecnem postępowaniem tej, którą mi wybrał, i nie uznał jej za synową. Nie pragnął więc rozgłaszać ożenku, równie gorliwie jak ja zapragnął go ukryć.

Do Anglii zatem ją zawiozłem; straszna była ta podróż z takim potworem na okręcie. Rad byłem, gdy nareszcie dostawiłem ją do Thornfield i bezpiecznie umieściłem w owym pokoju na trzecim piętrze, z którego tajnej przyległej komory uczyniła jaskinię dzikiego zwierza — celę szatana. Pewną trudność sprawiło mi wyszukanie dla niej dozorczyńni, gdyż trzeba było znaleźć osobę pewną i zaufaną. Jej szaleństwa bowiem mogły zdradzić moją tajemnicę; miewała przytem okresy przytomności, trwające dni, niekiedy tygodnie całe, które wypełniała wygadywaniem i pomstowaniem na mnie. Nareszcie umówiłem Grację Poole z zakładu w Grimsby. Ona i doktor Carter (ten, który owej nocy opatrywał rany Masona), to jedyne dwie osoby, którym zwierzyłem tajemnicę. Pani Fairfax, być może, coś podejrzewała, ale dokładnej znajomości faktów mieć nie mogła. Gracja, ogółem biorąc, okazała się dobrą dozorczynią, jakkolwiek z winy poczęści jej nałogu, z którego, zdaje się, nic wyleczyć jej nie może, a który wypływa z jej męczącego zawodu, czujność jej nieraz zawiodła. Obląkana jest zarazem chytra i złośliwa; nigdy nie omieszkała skorzystać z chwilowych uchybień dozorczyńni. Raz, wykradając nóż, którym zraniła brata, a dwa razy wykradając klucz od swojej celi i wychodząc z niej nocą. Za pierwszym razem dokonała próby spalenia mnie w łóżku; za drugim nastąpiły te okropne odwiedziny u ciebie. Błogosławię Opatrzność, która czuwała nad tobą, tak że szalona furję wylała na twój strój ślubny, który jej może nasunął niejasne wspomnienia własnego dnia ślubu, ale o tem, co mogło się być zdarzyć, ja nie mogę myśleć spokojnie. Gdy pomyślę, że ten potwór, który dziś rano rzucił mi się do gardła, siną i purpurową twarzą zawisł nad gniazdkiem mojej gołąbki, krew mi się w żyłach ścina...

— A co pan zrobił, gdy ją pan tam umieścił? — zapytałam, gdy przerwał. — Dokąd się pan udał?

— Co zrobiłem, Joanko? Zamieniłem się w błędny ognik. Dokąd się udałem? Na niespokojne wędrówki. Błądziłem po kontynencie, po wszystkich krajach Euro-

py. Miałem stałe pragnienie wyszukać i znaleźć kobietę dobrą i inteligentną, przeciwieństwo tej furji, pozostawionej w Thornfield...

— Ależ pan się nie mógł ożenić.

— Postanowiłem i byłem przekonany, że mogę i że powinienem. Nie miałem pierwotnie zamiaru oszukiwać, tak jak oszukałem ciebie. Zamierzałem opowiedzieć dzieje moje poprostu i szczerze postawić moją propozycję. Wydawało mi się to tak zupełnie słuszne, że wolno mi kochać i być kochanym, że ani wątpiłem, iż znajdzie się kobieta, chcąca i umiejąca zrozumieć moje położenie i przyjąć mnie, mimo ciężącego nade mną przekleństwa.

— No i cóż, panie?

— Gdy ty się dopytujesz, Joanko, ja zawsze muszę się uśmiechnąć. Otwierasz oczy szeroko, jak ciekawy ptaszek i przytem od czasu do czasu poruszasz się niespokojnie, jakgdyby odpowiedzi niedość prędko płynęły i jakbyś komuś chciała zajrzeć do dna serca. Zanim jednak będę mówił dalej, wytłumacz mi, co znaczy to twoje „no i cóż, panie?” To małe zdanie często jest na twoich ustach i nieraz wyciągnęło mnie na nieskończone gadanie, sam dobrze nie wiem, dlaczego.

— Rozumiem przez to: I co dalej? Jak pan postąpił? Co z tego wynikło?

— A właśnie! a co byś teraz chciała wiedzieć?

— Czy pan znalazł kogoś, kto się panu podobał? czy pan ją poprosił, żeby za pana wyszła? I co ona odpowiedziała?

— Mogę ci powiedzieć, że znalazłem kogoś, co mi się podobał, i że prosiłem ją, by za mnie wyszła. Ale co mi odpowiedziała, to dopiero będzie zapisane w księdze Losu. Przez dziesięć długich lat błądziłem po świecie, mieszkając to w jednej stolicy, to w drugiej; niekiedy w Petersburgu, częściej w Paryżu, czasami w Rzymie, Neapolu i Florencji. Mając dużo pieniędzy i stare nazwisko, mogłem sobie dobierać towarzystwo, żadne koła nie były przede mną zamknięte. Szukałem mojego ideału kobiety pośród dam angielskich, francuskich hrabia-

nek, włoskich signorin i niemieckich baronówien. Nie mogłem go znaleźć. Niekiedy, przelotną chwilę mniemałem, że chwytam spojrzenie, słyszę ton, widzę kształt, który mi zapowiada ziszczenie marzenia, ale rozczarowywałem się prędko. Nie wyobrażaj sobie, że poszukiwałem doskonałości. Pragnąłem tylko czegoś, coby mi odpowiadało — pragnąłem przeciwieństwa kreolki, a pragnienie moje było daremne. Pomiedzy niemi wszystkiemi nie znalazłem ani jednej, którą, gdybym był nawet najzupełniej wolny, znając ryzyko, okropność, cierpienia niedobrych związków, byłbym poprosił o rękę. Zawód mnie rozzuchwalił; próbowałem oszołomić się rozrywkami, nigdy jednak rozpustą. Rozpusty niecierpiałem i niecierpię. To była właściwość mojej Mesaliny: zakorzeniony wstręt do niej powstrzymywał mnie, nawet w przyjemnościach. Wszelkie używanie życia, któreby graniczyło z rozpasaniem, wydawało mi się zbliżeniem do niej i jej nałogów, to też go unikałem.

Nie mogłem jednak żyć sam; to też spróbowałem towarzystwa kochanek. Pierwsza, którą wybrałem, była Celina Varens — znowuż taki krok, za który we wspomnieniu człowiek sam sobą pogardza. Wiesz już, czem była i jak się mój stosunek z nią zakończył. Miała następczynię. Ale, Joanko, widzę po twojej twarzy, że wyrabiasz sobie o mnie w tej chwili wcale niekorzystne wyobrażenie. Uważasz mnie za łotrzyka bez serca i zasad — nieprawdaż?

— W istocie nie podoba mi się pan tak, jak kiedy indziej bywało. Czy nie wydawało się panu co najmniej rzeczą niesłuszną żyć w ten sposób najpierw z jedną kochanką, potem znów z drugą? Mówi pan o tem, jak o najzwyczajszej rzeczy.

— Bo tak się na to zapatrywałem. Ale to mi nie odpowiadało. Poniżający to był sposób życia, nigdybym do niego nie chciał wrócić. Najmować kochankę, to niewiele lepiej, niż kupować niewolnicę; obiedwie są często z natury, a zawsze z położenia swego niższe: a żyć poufale z niższymi poniża człowieka. Nie lubię teraz wspominać o czasach, które przeżyłem z Celiną i innemi.

Czułam prawdę tych słów i wysnułam wnioski, że gdybym kiedykolwiek mogła się tak dalece zapomnieć, i zapomnieć o tych naukach, jakie zawsze we mnie wpa- jano, by pod jakimkolwiek pozorem na mocy jakiegokol- wiek usprawiedliwienia, pod wpływem jakiej bądź pokusy — stać się następczynią tych biednych dziewcząt, on kie- dyś patrzyłby na mnie z tem samym uczuciem, jakie te- raz w myśli jego hańbiło ich pamięć. Nie wypowiedzia- łem tego przekonania, wystarczyło mi, że je odczułam.

— Joanko, dlaczego nie mówisz teraz: „No i cóż, panie?” Ja jeszcze nie skończyłem. Wyglądasz poważ- nie. Czytam naganę w twojej twarzy... Ale niechże przejdę do rzeczy. W styczniu tego roku, wolny od wszelkich kochanek, w szorstkiem, zgorzkniałem usposobieniu, wy- tworzonem przez to bezużyteczne, wędrowne, samotne ży- cie, zgryziony zawodem, skwaszony w stosunku do wszystkich ludzi, a zwłaszcza do kobiet (gdyż zacząłem uważać istnienie inteligentnej, wiernej, kochającej kobie- ty za puste marzenie), przyzwany interesami powróciłem do Anglii.

W mroźne zimowe popołudnie dojeżdżałem do Thornfield Hall. Znienawidzona miejscowość! Nie spodziewałem się tam spokoju ani przyjemności. Na prze- łązie w Hay Lane ujrzałem cichą małą figurkę, siedzącą tam samotnie. Minałem ją tak niedbale, jak obciętą wierzbę naprzeciw niej. Nie miałem przecucia, czem ona dla mnie się stanie, nic mi nie powiedziało, że to pani życia mojego, że to mój dobry duch czeka tam w skrom- nem przebraniu. Nie wiedziałem tego nawet wtedy, gdy, wobec upadku Mesroua, zbliżyła się i poważnie ofiaro- wała mi pomoc. Dziecinne, drobne stworzonko! To tak, jakgdyby sikorka przyskoczyła mi do nogi z propozycją, że poniesie mnie na swem małym skrzydełku. Byłem kwaśny; ale to stworzenie nie chciało odejść: stało przy mnie dziwnie wytrwale, a patrzyło i mówiło z jakąś wład- czą powagą. Muszę przyjąć pomoc i to z tej ręki: i po- moc mi dano.

Gdy raz dotknąłem tego wątłego ramienia, wstąpiło we mnie coś nowego, jakgdyby świeży sok żywotny

wpłynął w moje żyły. Dobrze mi było, że się dowiedziałem, iż ta istotka musi wrócić do mnie, że należy do tego mojego domu tam w dole, gdyż czułem szczególniejszy żal, że mi z pod ręki uchodzi i niknie za płotem. Słyszałem, jak wracałaś do domu tego wieczora, Joanko, choć ty zapewne nie domyśliłaś się, że ja myślę o tobie i wyglądam cię. Nazajutrz obserwowałem cię — sam niewidziany — przez pół godziny, kiedy bawiłaś się z Adelką na galerji. Była dnia tego śnieżycą, przypominam sobie, i wy nie mogłyście wyjść na spacer. Ja znajdowałem się w swoim pokoju; drzwi były otwarte; mogłem widzieć i mogłem słyszeć, co się działo. Adelka czegoś od ciebie chciała, lecz wydawało mi się, że myśli twoje zajęte są czem innym. A jednak byłaś bardzo cierpliwa dla niej, Joanko; mówiłaś do niej i zabawiałaś ją czas dłuższy. Gdy mała nareszcie odeszła, zapadłaś odrazu w głęboką zadumę; zaczęłaś się powoli przechadzać po galerji. Raz po raz, mijając któreś z okien, przystawałaś i patrzyłaś na śnieg prószący; przysłuchiwałaś się jękom wiatru i znowu zaczynałaś cicho stąpać i marzyć. Nie musiały to być ponure dumania, gdyż raz po raz zjawiał się w twoich oczach błysk wesela, twarz jaśniała łagodnem podnieceniem, nie świadczącym bynajmniej o gorzkich, pesymistycznych rozmyślaniach. Wyraz twój raczej mówił o słodkich marzeniach młodości, na chętnych skrzydłach szlakiem nadziei wzlatującej ku idealnemu niebu. Głos pani Fairfax, która w tej chwili w hallu wołała na służącą, zbudził cię, i jak ciekawie sama do siebie uśmiechnęłaś się, Joanko! Mądry to był uśmieszek, bardzo bystry, zdawało się, że żartował z własnego zamyślenia. Jakby mówił: „Moje wizje to rzecz bardzo piękna, ale nie wolno mi zapominać, że są zupełnie nierzeczywiste. Mam zaróżowione niebo i zielony, kwietny raj w głowie, ale doskonale widzę, że przede mną leży uciążliwa do przebycia droga i że dokoła mnie gromadzą się ciemne chmury, grożące nawałą”. Zbiegłaś nadół i poprosiłaś panią Fairfax o jakieś zajęcie; zdaje się, że chodziło o tygodniowe rachunki gospodarskie, czy

coś podobnego. Rozgniewałem się na ciebie, że mi z oczu schodzisz.

Niecierpliwie oczekiwałem wieczora, by móc cię nadół zaprosić. Podejrzywałem, że jest w tobie niezwykle jak dla mnie, zupełnie nowy charakter: pragnąłem zgłębić go i poznać lepiej. Weszłaś do pokoju z wyrazem nieśmiałości i niezależności równocześnie; skromniutko byłaś ubrana — podobnie, jak teraz. Wyciągnąłem cię na rozmowę; wkrótce przekonałem się, że pełna jesteś dziwnych przeciwieństw. Ubranie twoje i zachowanie się twoje krępowała jakaś reguła przepisowa; chwilami uderzała w tobie niepewność, a przy wrodzonej dystynkcji zupełnie nieobycie towarzyskie. Widać było, że bardzo się boisz przedstawić niekorzystnie, popełniając jakiś błąd, jakąś pomyłkę. Gdy się jednak zwracałem do ciebie, podnosiłaś ku mej twarzy oczy bystre, odważne, pełne ognia. Przenikliwość i moc była w każdym twym spojrzeniu; naciskana pytaniami, znajdowałaś zawsze gotowe, trafne odpowiedzi. Bardzo prędko oswoiłaś się ze mną: ja myślę, że odczuwałaś łącznik sympatji pomiędzy sobą a swoim surowym i chmurnym zwierchnikiem, Joanko, gdyż zadziwiająco prędko jakaś miła swoboda nadała spokój twemu zachowaniu. Mogłem sarkać, ile mi się podobało, nie okazywałaś wobec mego złego humoru ani zdziwienia, ani zaleźnienia, ani urazy, ani przykrości. Przyglądałaś mi się i niekiedy uśmiechałaś do mnie z tym pełnym prostoty i mądrości wdziękiem, jakiego nie umiem opisać. To, co widziałem, zadowalało mnie i zarazem dodawało mi bodźca. Podobały mi się zalety poznane w tobie, zapragnąłem poznać ich więcej. Jednakże dłuższy czas trzymałem cię zdaleka, rzadko szukałem twego towarzystwa. Byłem epikurejczykiem intelektualnym, pragnąłem przedłużyć przyjemność zawierania tej nowej, interesującej znajomości. Przytem czas jakiś prześladowała mnie obawa, że jeżeli kwiat ten będzie dotykał swobodnie, zwiędnie mi on przedwcześnie — słodki wdzięk świeżości utraci. Nie wiedziałem wtedy, że to nie kwiat przemijający, ale raczej promienna jego podobizna, wyrzeźbiona w trwałym klejnocie. Poza tem

chciałem się przekonać, czy ty mnie szukać będziesz, jeżeli ja cię będę unikał, lecz nie, nie szukałaś mnie. Siedziałaś cicho w pokoju szkolnym, a jeżeli trafem mnie spotkałaś, przemykałaś się szybko, z lekkim ukłonem w dowód uszanowania. Zwykłym twoim wyrazem w owe czasy, Joanko, był wyraz zamyślenia; nie smutku, ale też i nie wesołości, gdyż miałaś mało nadziei i żadna cię nie spotykała przyjemność. Byłem ciekaw, co myślisz o mnie i czy wogóle myślisz o mnie, i postanowiłem to zbadać.

Zacząłem znowu zwracać na ciebie uwagę. Było coś radosnego w twojem spojrzeniu, coś pogodnego w twojem zachowaniu, gdy rozmawiałaś. Przekonałem się, że masz usposobienie towarzyskie; to ten milczący pokój szkolny, to nuda twojego życia tak cię przygniatały. Pozwoliłem sobie na rozkosz okazania ci dobroci i uprzejmości; dobroć niebawem obudziła wzruszenie. Twarz twoja nabrała wyrazu słodczy, głos łagodności; lubiłem słyszeć imię swoje, wymawiane z akcentem radosnej wdzięczności. Cieszyłem się w owym czasie, Joanko, gdy ciebie spotkałem przypadkiem. Ciekawe było zaważanie się w twem obejściu: rzucałaś mi spojrzenie lekko zakłopotane, niepewne, trochę zaciekawione. Nie wiedziałaś, w jakim jestem humorze, czy będę odgrywał rolę zwierznika i będę surowy, czy też przyjaciela i będę dobrotliwy. Zanadto już wtedy byłaś mi drogą, bym często mógł odgrywać rolę zwierznika, gdy zaś wyciągałem rękę serdecznie, taki słoneczny rumieniec szczęścia oblewał twoją twarzyczkę, że z trudem powstrzymałem się od przyciśnięcia cię odrazu do serca.

— Niech pan już nie wspomina o tych czasach, panie — przerwałam, chyłkiem strącając kilka łez z oczu. Mowa jego była dla mnie męką; wiedziałam, co muszę uczynić — co muszę uczynić wprędce, a wszystkie te wspomnienia i wyjawiania uczuć utrudniały mi tylko zadanie na przyszłość.

— Przerwę je, Joanko — odpowiedział. — Czyż potrzeba zastanawiać się nad przeszłością, gdy terażniejszość o tyle pewniejsza, a przyszłość o tyle jaśniejsza?

Zadrżałam, słysząc to zaślepiające twierdzenie.

— Widzisz teraz, nieprawdaż, jak stoi sprawa? — ciągnął dalej. — Spędziwszy młodość i wiek męski poczęści w niewypowiedzianej niedoli, a poczęści w ponurej samotności, po raz pierwszy znalazłem przedmiot prawdziwej miłości — znalazłem ciebie. Ty jesteś mojem lepszym „ja”, ty jesteś moim dobrym aniołem. Silne uczucie przywiązuje mnie do ciebie. Uważam cię za dobrą, inteligentną, uroczą; gorące, poważne uczucie zrodziło się w mojem sercu. Ku tobie ono dąży, ciebie wciąga w głąb i w źródło mego życia. Istnienie moje wije się wkoło ciebie i, płonąc czystym, potężnym płomieniem, stapia ciebie i mnie w jedno.

Czując to i wiedząc, postanowiłem pojąć cię za żonę. Mówić mi, że już mam żonę, to puste drwiny: ty wiesz teraz, że miałem tylko ohydny demona. Żle zrobiłem, że próbowałem cię oszukać; ale lękałem się pewnego uporów, który masz w charakterze. Lękałem się uprzedzeń wpojonych od dzieciństwa; chciałem cię pojąć bezpiecznie, zanimbym zaryzykował zwierzenia. To było z mej strony tchórzostwem, powinienem był odwołać się do twej szlachetności i wspaniałomyślności odrazu, tak jak to czynię teraz, powinienem był odsłonić przed tobą wyraźnie życie moje, pełne męki, opisać ci głód i pragnienie wyższego, godniejszego istnienia, wykazać ci nie moje postanowienia, (to za słabe słowo), ale nieodpartą we mnie konieczność kochania wierne i dobrze, jeżeli będę nawzajem wiernie i dobrze kochany. Wtedy powinienem był prosić cię o przyjęcie mojego zobowiązania i o danie mi twojego. Joanko, daj mi je teraz!

Milczałam.

— Dlaczego milczysz, Joanko?

Szarpała mną męka nadludzka: jakgdyby kleszcze z rozpalonego żelaza ścisnęły we mnie wnętrze. Straszna chwila: pełna walki, czarna jak noc! Nigdy żadna żyjąca istota nie mogła pragnąć lepiej być kochaną, niż ja kochaną byłam, a tego, który mnie w ten sposób ko-

chał, ja poprostu ubóstwiałam. I oto muszę wyrzec się miłości i bożyszcza. Jedno straszne słowo obejmowało mój twardy obowiązek: „Uchodź!”

— Joanko, czy rozumiesz, czego ja chcę od ciebie? Tylko tej obietnicy: „Będę twoją, panie Rochester”.

— Panie Rochester, ja nie będę twoją.

Znowu długie milczenie.

— Joanko! — zaczął znowu tak łagodnie, że załamalam się w sobie pod uciskiem żalu, ale i lęku, gdyż cichy ten głos był jak dyszenie lwa, zrywającego się do skoku. — Joanko, czy zamierzasz iść w świat jedną drogą, a mnie każesz iść inną?

— Tak, panie.

— Joanko — mówił nachylając się ku mnie i obejmując mnie — czy i teraz tak myślisz?

— Tak, panie.

— A teraz? — łagodnie całując czoło moje i policzek.

— I teraz, panie — odpowiedziałam, wyzwalając się z uścisku szybko i zdecydowanie.

— O, Joanko, to boli! To... to jest niepoczciwie! Nie byłoby w tem nic złego, gdybyś mnie kochała!

— Ale postąpiłabym źle, słuchając pana.

Wyraz uniesienia przebiegł po jego twarzy; podniósł brwi, powstał, ale hamował się jeszcze. Zadrżałam, lęk mnie ogarnął, mimo to trwałam w postanowieniu.

— Jedną chwilę, Joanko! Spójrz na mój okropny los, gdy mnie opuścisz. Wszelkie szczęście opuści mnie wraz z tobą. Co mam uczynić? Dokąd się zwrócić po odrobinę nadziei?

— Niech pan uczyni to, co i ja: niech pan zaufa Bogu i samemu sobie. Niech pan uwierzy w niebo. Niech pan ma nadzieję, że tam się spotkamy.

— Więc nie chcesz ustąpić?

— Nie.

— Więc skazujesz mnie na życie w upodleniu i na śmierć przeklętego? — mówił coraz głośniejsze.

— Radzę panu żyć bezgrzesznie i życzyć panu umierać spokojnie.

— Więc wydzierasz mi miłość, wydzierasz mi niewinność? Rzucasz mnie na pastwę niskich namiętności?

— Panie Rochester, ja tego losu nie przeznaczam panu, tak, jak sama po niego nie sięgam. Urodziliśmy się na walkę i cierpienie, tak pan, jak i ja: to niech pan czyni. Zapomni pan o mnie, zanim ja zapomnę o panu.

— Kłamcę ze mnie czynisz, mówiąc tak, kalasz mój honor. Oświadczyłem, że nie mogę się zmienić, a ty w oczy mi mówisz, że się zmienię, i to wkrótce. A jakiej wykrętności sądu, jakiej przewrotności pojęć dowodzi twoje postępowanie! Czy lepiej doprowadzić bliźniego do rozpacz, czy przekroczyć marne ludzkie prawo, gdy nikomu się tem krzywdy nie czyni? Bo przecież ty nie masz krewnych ani znajomych, którychbyś obraziła, żyjąc ze mną?

To była prawda; gdy to mówił, własne moje sumienie, własny mój rozum zdradziły mnie, chcąc przełamać opór jemu stawiany. Głośno przemawiały, prawie tak głośno, jak samo uczucie; a to uczucie krzychało rozpacznie: „Wysłuchaj go! Pomyśl, jak on cierpi, pomyśl, jakie mu grozi niebezpieczeństwo — pomyśl, czem będzie jego życie, gdy zostanie sam; zważ, jak jest gwałtowny z natury, jakie nieobliczalne skutki pociąga rozpacz za sobą! Ach, pociesz go, ocal, ukochaj; powiedz mu, że go kochasz, że będziesz należeć do niego. Kto na całym świecie dba o ciebie? Komu krzywdę wyrządzisz tem, co uczynisz?”

A jednak niezwalczona brzmiała odpowiedź: „Ja sama dbam o siebie. Im samotniejsza jestem, im mniej będę miała przyjaciół i oparcia, tem bardziej strzec będę własnej godności. Trzymać się będę prawa, nadanego przez Boga, uznanego przez ludzi. Trzymać się będę zasad, przyjętych przeze mnie, gdym była zdrowa, a nie szalona, jak oto w tej chwili. Prawa i zasady nie są stworzone na okresy wolne od pokus, ale na takie wła-

śnie chwile, jak obecna, gdy ciało i dusza wznoszą się buntem przeciw ich surowości; są one surowe, lecz pogwałcone nie będą. Gdybym dla osobistych względów mogła je złamać, jakaż byłaby ich wartość? Mają wartość — zawsze w to wierzyłam. A jeżeli nie mogę uwierzyć w to teraz, to dlatego, że jestem chora, zupełnie chora: w żyłach moich płynie ogień, serce moje bije tak szybko, że nie zliczę jego uderzeń. Dawno powzięte przekonania, postanowienia, to jedyne, przy czem w tej godzinie stać mogę: na nich się opieram."

Tak myślałam, a pan Rochester z twarzy wyczytał myśli moje. Furja jego doszła do szczytu; zawładnęła nim na chwilę; przeszedł przez pokój, chwycił moją rękę i opasał mnie ramieniem. Pochłaniał mnie płonącym wzrokiem: fizycznie czułam się w tej chwili tak bezsilną, jak źdźbło słomy, wichrem porwane, ale duszę w sobie czułam niezachwianą, i to mi dawało pewność bezpieczeństwa. Dusza, na szczęście, ma swego tłumacza — często bezwiednego, ale zawsze wiernego — jest nim oko. Podniosłam oczy ku jego oczom; a kiedy patrzyłam w jego twarz rozpłomienioną, westchnęłam nimo-woli: uścisk jego był bolesny, a nadmiernie wyczerpane siły już mnie opuszczały.

— Nie widział świat — odezwał się, zgrzytnąwszy zębami — nie widział świat czegoś węższego, a bardziej niepodległego. Wiotką trzcina wydaje mi się w ręku! (tu potrząsnął mną). Mógłbym ją zgnać dwoma palcami: i cóż mi z tego, gdybym ją zgnać, złamał i skruszył? Z jej oka wyziera śmiała, mężna, wolna istota i stawia mi czoło nietylko odważnie, ale z surowym triumfem. Zdobyć dom mógłbym, ale mieszkanka uciekłaby do nieba, zanimbym posiadał jej siedzibę. A ciebie przecież, duchu wolny, ciebie, coś obdarzony wolą, energją i cnotą i czystością, ciebie ja pragnę: nietylko twej kruchej powłoki. Sam, gdybyś zechciał, mógłbyś zlecieć ku mnie i do serca się mego przytulić; chwytany wbrew twojej woli — unikniesz dotknięcia, jak zapach lotny, zanim wchłonę woń twoją. O, przyjdź, Joanko, przyjdź!

Mówiąc to, uwolnił mnie z żelaznego ujęcia i tylko patrzył na mnie. O wiele trudniej było oprzeć się temu spojrzeniu niż gwałtowności uścisku, a jednak przecież nie mogłam ulec. Obroniłam się przed jego pasją, muszę uciekać przed jego bólem; postąpiłam ku drzwiom.

— Odchodzisz, Joanko?

— Odchodzę, panie.

— Opuszczasz mnie?

— Tak.

— Nie chcesz przyjść? Nie chcesz być moją pocieszycielką, moją odkupicielką? Moja głęboka miłość, mój żal serdeczny, moje gorące błaganie, to wszystko niczem jest dla ciebie?

O, cóż za niewypowiedziany ból drżał w jego głosie! Jak ciężko było powtórzyć stanowczo: „Odchodzę”.

— Joanko!

— Panie Rochester!

— Odejdź zatem, zgadzam się; ale pamiętaj, że zostawiasz mnie tutaj w męce. Idź do twego pokoju, zastanów się nad wszystkim, co ci powiedziałem, i rzuć okiem, Joanko, na moje cierpienia, miej wzgląd na mnie.

Odwrócił się; padł twarzą na kanapę. „O, Joanko! nadziejo moja! — miłości moja — moje życie!” — w męce padały te słowa z ust jego. A potem usłyszałam głęboki, silny szloch.

Już byłam przy drzwiach; powróciłam jednak, powróciłam równie stanowczo, jak odchodziłam. Ukłękłam przy nim; odwróciłam twarz jego od poduszki ku sobie; ucałowałam ją; ręką przygładziłam mu włosy.

— Niech cię Bóg błogosławi, drogi mój panie! — powiedziałam. — Niech Bóg cię chroni od nieszczęścia i od złego, niech cię prowadzi, pociesza, nagrodzi za twoją dobroć dla mnie!

— Joanki miłość byłaby mi najlepszą nagrodą — odpowiedział — bez niej serce moje pęka. Ale Joanka da mi swoją miłość; tak, da mi ją — szlachetnie, wspaniałomyślnie!

Krew uderzyła mu do twarzy; ogniem błysnęły oczy; zerwał się jednym skokiem; wyciągnął ramiona, ale ja uniknęłam uścisku i odrazu wyszłam z pokoju.

„Bywaj zdrów!” krzychało we mnie serce, gdy go porzucałam. A rozpacz dodawała: „Żegnaj na zawszel!”

.

Nie przypuszczałam, że tej nocy spać będę. Jednakże zasnęłam, zaledwie głowę przyłożyłam do poduszki. Sen przeniósł mnie w lata mojego dzieciństwa: śniło mi się, że leżę w czerwonym pokoju w Gateshead; noc była ciemna, dziwny lęk ciążył mi na duszy. Światło, które niegdyś przyprawiło mnie o atak, teraz zdawało się posuwać w górę po ścianie i, drżące, zatrzymało się w środku ciemnego sufitu. Podniosłam głowę, żeby na nie patrzeć; dach rozwiął się, zamieniając się w chmury dalekie i mgliste; światełko było takie, jakiem księżyc mający za chwilę wypłynąć prześwieca przez mgłę. Czekałam, rychło wypłynie, czekałam z dziwnem przecuciem, jakgdybym jakieś słowa wyroczne miała wyczytać, wypisane na jego tarczy. Ukazał się wreszcie, ale nigdy jeszcze księżyc w ten sposób nie wydierał się z za chmury. Najpierw ręka czyjaś przedarła się i odgarnęła ciemną zasłonę obłoków; potem nie księżyc, ale biała postać ludzka zajaśniała na błękitnie, chyląc ku ziemi świetlane oblicze. Patrzyła, patrzyła na mnie. Przemawiała do mojego ducha: z niezmiernej dali płynął głos, lecz tak blisko szeptał w mojem sercu:

„Moja córko, uciekaj przed pokusą.”

„Matko, uczynię to” — odpowiedziałam.

Tak też powiedziałam, obudziwszy się z tego snu — widzenia. Noc jeszcze była, ale noce lipcowe są krótkie; zaraz po północy zaczyna świtać. „Nigdy nie dość wcześnie na zaczęcie tego, co mam dokonać” — pomyślałam. Wstałam; byłam ubrana, gdyż nie rozbierałam się wcale, zdjęłam była tylko trzewiki. Wiedziałam, gdzie znaleźć w szufladach trochę bielizny, bransoletkę, pierścioneł. Szukając tych rzeczy, natrafiłam na naszyjnik z pereł, który, zmuszona, przyjąłam od pana Rochestera kilka

dni temu. Nie zabrałam tego, nie było to moją własnością; należało do tej urojonej panny młodej, która rozwiła się w powietrzu jak mgła. Resztę rzeczy zawinęłam w paczkę; sakiewkę, zawierającą dwadzieścia szylingów (więcej nie posiadałam), włożyłam do kieszeni; zawiązałam słomiany kapelusz, zapięłam szal i wykradłam się cicho z pokoju.

— Bywaj zdrowa, dobra pani Fairfax! — szepnęłam, przemykając pod jej drzwiami. — Bywaj zdrowa, Adelko, moje kochanie! — rzekłam, patrząc na drzwi od dzieciennego pokoju. Nie mogłam nawet pomyśleć o wstąpieniu i uściskaniu małej. Musiałam wywieść w pole bystre ucho, bo czyż wiedziałam, czy nie nasłuchuje?

Byłabym przeszła bez zatrzymywania się obok drzwi pana Rochestera, ale serce moje nagle przestało bić przed tym progiem, tak, że musiałam przystanąć. Nie panował tam sen; słyszałam niespokojne kroki krążącego po pokoju i raz po raz powtarzające się jego westchnienia. Niebo tam było — chwilowe niebo dla mnie, gdybym tylko zechciała; trzeba mi tylko było wejść i powiedzieć:

„Panie Rochester, będę pana kochała i żyła z panem przez życie całe, aż do śmierci” — i kielich szczęścia dotknąłby ust moich. Pomyślałam o tem.

Ten dobry pan mój, który spać teraz nie może, niecierpliwie wyczekuje dnia. Przyśle po mnie rano, lecz mnie już nie będzie. Każe mnie szukać — napróżno. Poczuje, że jest opuszczony; że miłość jego odrzucona; będzie cierpiał; może w ostateczną wpadnie rozpacz... I o tem pomyślałam. Ręka moja sięgnęła ku klamce; cofnęłam ją i posunęłam się dalej.

Strapiona do głębi schodziłam: wiedziałam, co mam czynić, i spełniałam to automatycznie. Poszukałam klucza od drzwi bocznych w kuchni; poszukałam buteleczki z oliwą i piórka; nasmarowałam klucz i zamek. Wzięłam trochę wody, trochę chleba, gdyż może będę musiała iść daleko; a źleby było, gdyby mnie siły, mocno szarpnięte w ostatnich czasach, zawiodły. Wszystkiego dokonywałam jak najciszej. Otworzyłam drzwi, wyszłam, zamknę-

łam je za sobą. Mroczny świt zalegał podwórze. Wielkie bramy były na klucz zamknięte; ale furtka w jednej z nich była tylko zamknięta na klamkę. Tamtędy się wysunęłam; i teraz byłam poza obrębem Thornfieldu.

W odległości mili, poza polami, ciągnęła się droga w kierunku przeciwnym do Millcote; droga nieznaną, o której nie wiedziałam, dokąd prowadzi, i tam ruszyłam. Ani jednej myśli nie mogłam teraz poświęcić przeszłości ani przyszłości; przeszłość była tak niebiańsko słodka, tak śmiertelnie smutna, że wspomnianie jej podcinałoby we mnie odwagę, łamało energję. Przyszłość była to straszna pustka — coś, niby świat po potopie.

Mijałam pola, płoty i drogi do wschodu słońca i po wschodzie słońca. Zdaje mi się, że był to piękny letni poranek, w każdym razie wiem, że trzewiki moje wkrótce zwilgotniały od rosy. Nie patrzyłam jednak ani na wschodzące słońce, ani na uśmiechnięte niebo, ani na budzącą się naturę. Skazaniec, prowadzony na rusztowanie, nie myśli o kwiatach, które widzi po drodze, przed oczyma ma swój koniec i czekający go grób. A ja myślałam o tej tajemnej ucieczce, o bezdomnem tułaniu się i — och! z najwyższą męką myślałam o tem, co porzuciłam. Nie mogłam się myślom tym oprzeć. Widziałam go teraz — w jego pokoju — czekającego na wschód słońca i pełnego nadziei, że ja wkrótce przyjdę i powiem, że pozostanę z nim, że należeć będę do niego. Pragnęłam doń należeć; dyszałam chęcią powrotu: jeszcze nie było za późno; mogłam mu jeszcze oszczędzić gorzkiego bólu opuszczenia. Jeszcze dotąd ucieczki mojej, byłam tego pewna, nikt nie zauważył. Mogłam powrócić i stać się jego pocieszycielką, jego dumą; mogłam ochronić go od nieszczęścia, a może od zguby. Och, ta obawa że on teraz, opuszczony przeze mnie, zejść może z dobrej drogi, jakżeż mnie ona dręczyła!... Ptaki zaczynały śpiewać w kępach drzew i krzakach: ptaki wierne są towarzyszom swoim; ptaki są symbolem miłości. A czemże ja jestem? W tym serdecznym bólu, wśród tych gwałtownych wysiłków o zwycięstwo zasady, nienawidziłam samej siebie. Nie pocieszało mnie własne uznanie, ani na-

wet poczucie własnej godności. Skrzywdziłam, zraniłam, opuściłam pana mojego. We własnych oczach byłam sobie wstrętną.

A jednak nie mogłam zawrócić, krokiem jednym nie mogłam się cofnąć. Chyba sam Bóg mnie prowadził. Własną moją wolę, własne sumienie, namiętny żal podeptał i ubezwładnił. Płakałam rozpaczliwie, idąc w samotną drogę, szybko, szybko, jak w gorączce. Ogarnęła mnie słabość, upadłam: leżałam przez kilka minut na ziemi, przyciskając twarz do wilgotnej trawy. Trochę się lękałam, trochę miałam nadziei, że może tam umrę. Niebawem jednak podniosłam się. Zrazu posuwałam się naprzód na czworakach, wkrótce jednak wstałam, z gorączkowem, jak pierwej, postanowieniem dotarcia do drogi.

Gdy się tam wkońcu dostałam, zmuszona byłam usiąść pod płotem, ażeby wypocząć; siedząc tam, usłyszałam turkot kół i ujrzałam nadjeżdżający powóz. Wstałam i podniosłam rękę; powóz stanął. Zapytałam, dokąd jedzie; woźnica nazwał mi odległą miejscowość, gdzie byłam pewną, że pan Rochester nie ma znajomych. Spytałam, za jaką kwotę mógłby mnie tam zawieźć; powiedział mi, że za trzydzieści szylingów; odparłam, że mam tylko dwadzieścia; no dobrze, niech będzie, niechże to wystarczy. Pozwolił mi wejść do środka, gdyż wehikuł był pusty: wsiadłam, drzwiczki się zatrzasnęły i powóz się potoczył.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Dwa dni minęły. Jest letni wieczór. Woźnica wysadził mnie w miejscu, zwanem Whiteross; nie mógł zawieźć mnie dalej za pieniądze, które mu dałam, a ja już nie miałam ani szylinga. Powóz już tymczasem odjechał; jestem sama. W tej chwili spostrzegam, że zapomniałam paczki w powozie; trudno — jest tam i musi pozostać, tylko że teraz zostaję ogołoconą ze wszystkiego.

Whiteross to nie miasto, nawet nie osada; jest to tylko kamienny słup, osadzony w miejscu, gdzie schodzą

się cztery drogi; jest pobielony, zapewne, by był widoczny zdaleka i w ciemnościach. Cztery drogowskazy sterczą z jego szczytu; dobrze znane nazwy miast, na nich wypisane, wskazują mi, w jakim hrabstwie się znalazłam. Jest to jedno z północno-środkowych, faliste, przecięte górami. Widzę to. Wielkie przestrzenie wrzosem zarosłych pagórków są za mną i po obu moich bokach, faliste wzgórza wznoszą się daleko poza tą głęboką doliną leżącą u stóp moich. Zaludnienie musi tu być rzadkie; nie widzę też przechodniów na drogach. Te drogi ciągną się na wschód, zachód, północ i południe — białe, szerokie, puste. Wszystkie prowadzą przez wrzosowisko, a wrzosy, gęste i bujne, sięgają po same ich brzegi. Drogi są puste, jednak jakiś przypadkowy podróżny mógłby przechodzić tędy, a ja pragnę, by mnie żadne ludzkie oko nie widziało. Obcy mogliby się dziwić, co ja tu robię pod tym drogowskazem, stojąc widocznie bez celu, jak ktoś zbłąkany. Możeby mnie wypytywano, a to, cobym mogła odpowiedzieć, wydałoby się niewiarogodnym i podejrzanym. Nic mnie nie łączy ze społeczeństwem ludzkim, nikt o mnie dbać nie może, nikt mi życzliwości nie okaże. Pozostaje mi tylko wspólna matka-natura; na jej łonie poszukam wypoczynku...

Puściłam się prosto w gęstwinę wrzosów; po kolana brodziłam w zaroślach. Udałam się do kotliny, gdzie mchem porosły złom granitu stanowił pewną ochronę; usiadłam; złom granitu osłaniał mi głowę; nade mną roztaczało się niebo.

Pewien czas minął, zanim się i tutaj nawet uczułam spokojną. Lękałam się, że może w pobliżu pasie się bydło, — albo że jaki myśliwy albo kłusownik może mnie tu odkryć. Widząc jednak, że obawy moje były płonne, uspokojona głęboką ciszą chylącego się ku nocy wieczora, nabrałam otuchy. Odzyskałam zdolność myślenia.

Co ja mam począć? Dokąd się udać? Daleką drogę musiałyby przemierzyć znużone, drżące nogi moje, nim bym dotarła do zabudowań ludzkich; zimnego miłosierdzia musiałabym się dopraszać, zanimbym uzyskała dach nad głową: czy wysłucha kto, choć niechętnie, mojego

opowiadania, czy nie oddali od progu, nie zaspokoivszy moich potrzeb?

Dotknęłam ręką wrzosów: suche były i jeszcze ciepłe od upału dnia letniego; na czystym niebie migotała do-brotliwie gwiazda. Natura wydała mi się dobrą, życzliwą; jak dziecko do matki garnęłam się do niej serdecznie: ona mi na dzisiaj udzieli przytułku... Miałam jeszcze ka-wałeczek chleba, resztę z kromki, którą, przejeżdżając przez jakieś miasto w południe, kupiłam za pozostałego mi pensa, ostatnią monetę. Widziałam dojrzałe jagody, błyszczące jak czarne perły tu i owdzie wśród wrzosów; zebrałam ich garstkę i zjadłam z chlebem. Zaspokoiliam narazie głód dokuczliwy, chociaż się nie nasyciłam tą ucztą pustelnika. Skończywszy, zmówiłam wieczorne pa-cierze i ułożyłam się do snu.

Pod granitowym złomem wrzosy były bujne i wyso-kie, zatonełam w nich prawie w zupełności, a nakryta zło-żonym szalem, nie odczuwałam chłodu. Byłabym odpoczęła wygodnie i dobrze, gdyby ciężki smutek serca nie bronił mi zasnąć. A smutek ten skarżył się otwartą raną, wewnątrz krwawiącą; drżał łękiem o pana Rochester'a i o jego los; obżałowywał go żalostną litością; pragnął go nieustanną tęsknotą, a bezsilny, jak ptak o obu skrzydłach złamanych, trzepotał niemi w daremnych wysiłkach lece-nia ku niemu.

Udręczona tą męką, uklękłam. Noc nadeszła, wzeszły gwiazdy. Wiemy, że Bóg jest wszędzie, ale z pewnością nigdy tak nie czujemy Jego obecności, jak, gdy patrząc na niebo, gdzie w milczącym biegu toczą się Jego światy, widzimy jasno Jego nieskończoność, wszechmoc, wszędy-obecność. Klękłam, by pomodlić się za pana Rochester'a. Pewna byłam, że Bóg, gdy zechce, ocali swe stworzenie. Źródło Życia to zarazem Zbawiciel dusz. Pan Rochester był bezpieczny, gdyż był w ręku Boga... Uspokojona przy-tuliłam się znowu do łona ziemi i niebawem we śnie za-pomniałam o zgryzotach.

Ale nazajutrz rzeczywistość odsłoniła przede mną nagie oblicze. Już dawno ptaszki wyleciały z gniazdek, już dawno pszczoły uwijały się, zbierając miód z wrzo-

sów, zanim rosa obeschnie, gdy wstałam i rozejrzałam się dokoła.

Co za cichy, gorący, wspaniały dzień! Co za złota pustynię tworzyło pagórkowate wrzosowisko! Wszędzie jaśniał blask słoneczny! Zobaczyłam jaszczurkę, przebiegającą po kamieniu; zobaczyłam pszczołę, kręcącą się wśród słodkich jagód. Ach, jakbym pragnęła stać się pszczołą lub jaszczurką i znaleźć odpowiednie pożywienie i stałe schronienie tutaj! Ludzką istotą byłam jednakże, ludzkie miałam potrzeby: nie mogę zatrzymywać się tutaj, gdzie nic nie znajdę dla ich zaspokojenia. Wstałam, obejrzałam się raz jeszcze na miejsce mojego nocnego spoczynku i ruszyłam zpowrotem.

Wróciwszy do Whiteross, poszłam drogą, idącą w przeciwnym kierunku do biegu słońca, dopiekającego i stojącego już teraz wysoko. Szłam czas dłuższy, aż, gdy już myślałam, że narazie dosyć, że mam już prawo odpocząć po szalonym zmęczeniu, usłyszałam dźwięk kościelnego dzwonu.

Spojrzałam w stronę dolatującego głosu, i wśród wzgórz romantycznych, na których malowniczość już od godziny przestałam uważać, ujrzałam wioseczkę i wieżę kościelną. Cała dolina po mojej prawej ręce pełna była pastwisk, łąnow zbożowych i lasków; błyszczący strumień płynął kręto wśród rozmaitych odcieni zieleni. Usłyszawszy turkot kół na drodze przed sobą, ujrzałam ładowny wóz, toczący się ciężko pod górę, a niedaleko człowiek jakiś pędził dwie krowy. Ludzkie życie, ludzka praca były w pobliżu. Trzeba mi naprzód iść, walczyć o życie i podejmować trudy podobnie, jak czynią to inni.

Około drugiej po południu dotarłam do wioski. Na końcu uliczki znajdował się sklepik, gdzie w oknie wystawiono parę bochenków chleba. Zapragnęłam bocheneczka chleba. Posilona nim, kto wie, mogłabym odzyskać nieco energii; bez tego trudno będzie iść dalej. Pragnienie odzyskania trochę sił wróciło mi, skoro tylko znalazłam się wśród ludzi. Wstydziłabym się zemdlec z głodu. Czy nie miałam przy sobie czego, cobym mogła ofiarować zamian za jedną z tych bułek? Zastanowiłam się. Mia-

łam małą jedwabną chusteczkę, zawiązaną dokoła szyi, i miałam rękawiczki. Niebardzo wiedziałam, jak postępują ludzie, naciśnięci ostateczną potrzebą. Nie wiedziałam, czy który z tych przmiotów może być przyjęty; prawdopodobnie nie — ale trzeba spróbować.

Weszłam do sklepiku; była tam kobieta. Widząc przyzwoicie ubraną osobę grzecznie wysunęła się naprzód. „Czem można mi służyć?” Wstyd mnie ogarnął; nie śmiałam wymówić słów przygotowanych; nie śmiałam proponować przenoszonych rękawiczek, zgniecionej chusteczki i zresztą czułam, że to będzie nedorzecznie. Poprosiłam ją więc tylko, by mi pozwoliła usiąść na chwilę, gdyż jestem zmęczona. Zawiedziona w oczekiwaniu znalezienia we mnie klientki, chłodno zgodziła się na moją prośbę. Wskazała mi krzesło; opadłam na nie. Strasznie chciało mi się rozplakać; czując jednak, jak bardzo byłoby to nie w porę, gwałtem powstrzymałam łzy. Po chwili zapytałam jej, czy jest we wsi krawcowa.

— O tak, są dwie czy trzy. Tyle właśnie, ile potrzeba.

Zastanowiłam się. Bez żadnych środków, bez grosza — coś muszę zrobić. Ale co? Starać się o jaką robotę? Ale gdzie?

— Czy pani nie wie o jakim miejscu w sąsiedztwie, gdzieby potrzebowano służącej?

— Nie, nie wiem o żadnym.

— Czem się tu ludzie głównie zajmują? Co tu większość ludzi robi?

— Niektórzy pracują na roli; wielu pracuje w fabryce igieł i w odlewni pana Olivera.

— Czy pan Oliver zatrudnia także kobiety?

— Nie; to jest robota wyłącznie dla mężczyzn.

— A co tu robią kobiety?

— Nie wiem — odpowiedziała. — Jak się zdarzy; jedno to, drugie tamto. Biedni ludzie muszą sobie radzić, jak mogą.

Wydawała się znudzona moimi pytaniami. Przyszły jakieś sąsiadki, moje krzesło było widocznie potrzebne. Pożegnałam się.

Poszłam wzdłuż ulicy, przyglądając się po drodze wszystkim domom na prawo i na lewo, nie mogłam jednak wymyślić jakiegoś pozoru, by wejść do którego z nich. Błądziłam po wiosce, to idąc, to wracając, z dobrą godzinę. Mocno wyczerpana i już teraz zgłodniała wielce, zesłam na jakąś boczną drogę i siadłam pod płotem. Nim jednak upłynęło kilka minut, znowu byłam na nogach, i znowu czegoś szukałam — pomocy gdzieś, a choćby objaśnienia. Ładny mały domeczek stał na końcu drogi, w bardzo miłym, ślicznie kwitnącym ogródku. Przybliżyłam się i zapukałam. Łagodnie wyglądająca, czysto ubrana kobieta otworzyła drzwi. Takim głosem, na jaki zdobyć się mogło beznadziejne serce i omdlewające ciało — głosem cichym i drżącym — zapytałam, czy tu nie potrzeba służącej?

— Nie — odpowiedziała — my nie trzymamy służącej.

— Czy nie może mi pani powiedzieć, gdziebym tu mogła znaleźć zajęcie jakiegokolwiek rodzaju? — mówiłam dalej. — Jestem tu obca, nikogo nie znam. Potrzebuję roboty — wszystko jedno jakiej.

Nie było przecież jej rzeczą myśleć za mnie, albo szukać dla mnie miejsca: przytem, w jej oczach, jakże wątpliwą musiała się wydawać moja rola, osoba i opowieść. Potrząsnęła głową, mówiąc, że „przykro jej, że nie może mnie objaśnić” i bardzo delikatnie i grzecznie zamknęły się białe drzwi, ale zamknęły się przede mną. Gdyby trochę dłużej były otwarte, przypuszczam, że byłabym poprosiła o kawałek chleba; bo już do tej ostateczności dochodziłam.

Nie mogłam znieść powrotu do brudnej wioski, gdzie zresztą nie widziałam nadziei pomocy. Wolałabym była zboczyć do lasu nieopodal, i tam poszukać schronienia. Taka jednakże byłam słaba, strudzona, udęczona głodem, że sam instynkt kazał mi błąkać się dokoła siedzib ludzkich, gdzie jednak mogłabym znaleźć pożywienie. Zawsze jednakże odpędzała mnie od progu świadomość, że nie mam prawa wymagać, by ktoś się interesował moim losem. Tymczasem, gdy tak się błąkałam, jak bez-

pański, głodny pies, upływały godziny popołudniowe. Przechodząc przez jakieś pole, ujrzałam przed sobą wieżę kościelną: śpiesznie ku niej podążyłam. Blisko cmentarza, wpośrodku ogrodu stał dobrze zbudowany mały domek, niewątpliwie mieszkanie proboszcza. Przypomniałam, że obcy przybysze w miejscu, gdzie nie mają znajomych, a szukają zajęcia, zwracają się niekiedy do miejscowego duchownego po polecenie i pomoc. Przecież kapłan ma zadanie pomagać, przynajmniej radą tym, którzy pragną sami sobie pomóc. Zebrawszy odwagę i siły, dotarłam do tego domu i zapukałam do drzwi kuchennych. Otworzyła mi stara kobieta; zapytałam, czy to plebanja.

— Tak jest.

— Czy pleban w domu?

— Niema go.

— Czy wróci prędko?

— Nie, wyjechał z domu.

— Czy daleko?

— Niebardzo — może będą ze trzy mile stąd. Wezwano go, bo ojciec jego umarł nagle; jest obecnie w Marsh End i prawdopodobnie zostanie tam jeszcze ze dwa tygodnie.

— Czy jest pani jaka w domu?

— Nie; ja tylko jestem; a ja jestem gospodyni.

Jeszcze raz zdjęłam z szyi chusteczkę — jeszcze raz pomyślałam o bocheneczkach chleba w sklepiku... Powróciłam do wioski, odnalazłam sklepik i weszłam; a chociaż i inni byli tam obecni, odważyłam się zapytać:

— Czy zechce mi pani dać bocheneczek chleba za tę chusteczkę?

Spojrzała na mnie z wyraźną podejrzliwością.

— Nie, ja nigdy nie sprzedaję towarów w ten sposób.

Już prawie zrozpaczona poprosiłam chociaż o pół bocheneczka; odmówiła znowu:

— Jakże ja mogę wiedzieć, skąd pani wzięła tę chusteczkę? — rzekła.

— A przyjęłaby pani moje rękawiczki?

— Nie! co mi po nich?

Pod wieczór przechodziłam obok domu farmera; przed otwartymi drzwiami siedział gospodarz i spożywał kolację, złożoną z chleba i sera. Przystanęłam i powiedziałam:

— Czy nie dałby mi pan kawałka chleba, gdyż jestem bardzo głodna.

Spojrzał na mnie zdziwiony, ale nie odpowiadając, odkrajał grubą kromkę z bochenka i podał mi ją. Przypuszczam, że nie wziął mnie za żebraczkę, tylko za jakąś ekscentryczną osobę, której się uśmiechnął czarny jego chleb. Oddaliwszy się tak, żeby mnie nie mógł widzieć, usiadłam i zjadłam dar jego.

Nie mając nadziei znalezienia noclegu pod dachem, poszukałam go w lesie, o którym przedtem wspomniałam. Nędzną jednak noc spędziłam; spoczynek mój był przerywany; ziemia była wilgotna, powietrze zimne; przytem kilka razy przechodzili tamtędy ludzie, więc ja raz po raz szukałam innego miejsca; nie miałam zupełnie poczucia bezpieczeństwa i spokoju. Ku ranu deszcz się rozpadał; cały następny dzień był dżdżysty. Szukałam pracy i głodowałam jak poprzedniego dnia; raz tylko jeden nieco pożywienia dostałam do ust. Przed drzwiami jednej chaty ujrzałam małą dziewczynkę, mającą właśnie wyrzucić porcję zimnej owsianki do koryta świni.

— Czy nie dałabyś mi tego? — zapytałam.

Wytrzeszczyła na mnie oczy.

— Matko! — zawołała — tu jest kobieta, która prosi, żebym jej dała tę kaszę.

— Daj jej, jeżeli to żebraczka — odpowiedział głos z izby. — Wieprz tego nie potrzebuje.

Dziewczynka wytrząsnęła mi na rękę zgęstniałą masę, a ja pochłonięłam ją chciwie.

Dżdżysty mrok zapadał, gdy zatrzymałam się na samotnej ścieżce, wzdłuż której szłam już od godziny.

— Braknie mi już sił — mówiłam do siebie. — Czuję, że już nie zajdę daleko. Czyż znowu mam być wyrzutkiem bez dachu tej nocy? Chociaż taki deszcz pada, czyż będę zmuszona położyć się na zimnej, prze-

mokłej ziemi? Cóż mi innego pozostaje; bo któżby mnie przyjął? Ale to straszne będzie z tem uczuciem głodu, osłabienia, chłodu i z tą zupełną beznadziejnością. Najprawdopodobniej umrę, nim ranek nadejdzie. Dlaczegoż jednak nie mogę się pogodzić z tą myślą o śmierci? Czemu walczę o podtrzymanie tego życia bez wszelkiej wartości? Dlatego, że wiem, a przynajmniej sądzę, że pan Rochester żyje... a przytem umierać z głodu i zimna to los, przed którym wzdryga się natura. O Boże! podtrzymaj mnie! O Boże, prowadź mnie!

Błądziłam wzrokiem po ciemnym, zamglonym krajobrazie. Oddaliłam się już znacznie od wioski. Różnymi przejściami i ścieżynami dotarłam znowu do drogi, przerzynającej przestrzeń pagórkowatą.

„Tam raczej wolę umrzeć — pomyślałam — niż na ulicy lub na uczęszczanej drodze!” I zszedłszy z drogi na torfiastą łąkę, zaczęłam upatrywać jakiego zagłębienia, gdziebym się mogła ukryć spokojnie.

Jeszcze błądziło moje oko po odkrytej przestrzeni tego dzikiego widoku, gdy nagle w pewnym ciemnym punkcie, daleko wśród torfowisk i wzgórz zabłysło światło. „To błędny ogień”, pomyślałam w pierwszej chwili i czekałam, rychło zniknie. Paliło się jednak zupełnie spokojnie, nie posuwając się ani naprzód ani wtył. „Czy to może świeżo rozpalone ognisko?” — zadałam sobie pytanie. Czekałam, czy się nie powiększy, ale nie, ani się nie zwiększało ani nie zmniejszało. „To może być światło świecy w jakimś domu — domyślałam się — ale jeżeli tak, to ja nigdy do niego nie dotrę. Jest zbyt daleko; a nawet gdyby tuż było, co mi z tego przyjdzie? Zapukałabym do drzwi poto, by je przede mną zamknięto”.

I upadłam tam, gdzie stałam, i przyległam twarzą do ziemi. Leżałam czas jakiś: nocny wiatr szumiał nad wzgórzami i nade mną i zamierał, jęcząc w oddali; deszcz rozpadał się na nowo, przenikając mnie do żywego ciała. Zziębnięta, drżałam. Podniosłam się niebawem.

Światło świeciło ciągle, niejasno, ale stale, wskroś deszczu. Starłam się iść znowu: powoli, wyczerpana

wlokłam się ku niemu naprzelaj przez wielkie trzęsawisko, które zimą byłoby nie do przebycia, a i teraz, w pełni lata ugięło się mokre pod stopami. Tutaj dwukrotnie upadłam; podnosiłam się jednak za każdym razem i zbierałam siły. Światelko było moją ostateczną nadzieją; ku niemu dążyłam.

Przeszedłszy łąkę torfiastą, natrafiłam na biały ślad drogi czy ścieżki; prowadziła prosto do światelka, które teraz świeciło z poza kępy drzew, świerków, zdaje się, o ile mogłam w ciemności rozeznąć. Moja gwiazda przewodnia znikła, gdy się przybliżyłam, jakaś przeszkoda musiała mi ją zasłonić. Wyciągniętą ręką namacałam kamienie niskiego muru, na którym wznosiła się niby palisada; od wewnątrz był wysoki, kłujący żywopłot. Szukałam dalej; coś białego zabłysło przed mną; była to brama, a raczej furtka; gdy jej dotknęłam, poruszyła się na zawiasach, z każdej jej strony stał czarny krzak — ostrokrzew czy też cis.

Minąwszy furtkę i krzaki, ujrzałam przed sobą sylwetkę domu, czarną, niską, długawą, ale moje przewodnie światło nie świeciło nigdzie. Ciemność panowała wszędzie. Czyżby już mieszkańcy poszli na spoczynek? Szukając drzwi zawróciłam koło węgła — i oto zabłysło znowu przyjazne światelko z za szyby bardzo małego, zakratowanego okienka, nisko osadzonego nad ziemią. Bluszcz czy inny pnącz gęsto liśćmi osłaniał tę część muru, gdzie ono widniało. Otwór był tak osłonięty i wąski, że uważano za zbyteczne dać tu zasłonę lub okiennicę. To też nachyliwszy się i odgarnąwszy gałązki pnączy, mogłam zobaczyć dobrze całe wnętrze. Zobaczyłam izbę o czysto wyszorowanej, piaskiem posypanej podłodze, półkę orzechową z rzędem cynowych talerzy, odbijających blask i czerwień płonącego torfu. Zobaczyłam zegar, biały stół sosnowy, kilka krzesel. Świeca, której płomień był mojem światłem przewodniem, paliła się na stole; przy jej świetle starsza kobieta, o wyglądzie trochę pospolitym, ale niezmiernie czystą, robiła na drutach pończochę.

Zauważyłam to wszystko tylko pobieżnie, nie było w tem nic nadzwyczajnego. Więcej zajmującą grupę ujrzałam przed kominem, siedzącą w różowym blasku i ciepłe ogniska. Były to dwie młode, pełne wdzięku kobiety; jedna siedziała na niskim bujającym fotelu, druga niżej na stołeczku; obiedwie były w grubej żałobie, a czarny ten strój dziwnie podkreślał białosc ich szyi i twarzy; stary wyżeł potężną głowę opierał na kolanach jednej z dziewcząt, druga piastowała kota.

Dziwne wrażenie sprawiały takie dwie osoby w skromnej kuchni! Kim one były? Nie mogły to być córki tej starszej kobiety przy stole, wyglądała bowiem na wieśniaczkę, a młode panie cechowała wytworność i elegancja. Nigdzie nie widziałam takich twarzy, a jednak, gdy się im przyglądałam, odnosiłam wrażenie, że w każdym rysie są mi znajome. Nie mogę ich nazwać ładnymi — zbyt były blade i poważne, by je tak nazwać można — a gdy się schylały nad książkami, miały wyraz tak zamysłony i skupiony, że nieledwie surowy. Na stoliczku ustawionym pomiędzy nimi stała druga świeca i dwa grube tomy, do których zaglądały raz po raz, jak ktoś, kto tłumacząc, zagląda do słownika. Cisza tam panowała taka, jakgdyby wszystkie te postacie były cieniami, a izba, ogniem oświetlona, malowanym obrazem; w tej ciszy słyszałam trzask ognia, tykanie zegara gdzieś w ciemnym kącie, a nawet zdawało mi się, że słyszę, jak druty starej kobiety trącają o siebie. To też gdy głos przerwał to dziwne milczenie, usłyszałam go odrazu.

— Posłuchaj, Diano — odezwała się jedna z studjujących panien. — Franciszek i Daniel są razem nocą i Franciszek opowiada sen, który go przeraził — posłuchaj!

I cichym głosem przeczytała coś, z czego nie rozumiałam ani słowa; był to bowiem język wtedy mi nieznanymi: ani francuski ani łaciński. Czy to było po grecku czy po niemiecku — tego nie wiedziałam.

— To silne jest — rzekła, skończywszy. — Podoba mi się!

Druga panienska, która podniosła głowę, by słuchać, powtórzyła, patrząc w ogień, jeden wiersz z książki:

— „*Ich wäge die Gedanken in der Schale meines Zornes und die Werke mit dem Gewichte meines Grimmes*“ Wspaniałe! Ten jeden wiersz wart stu stronnic nadętej frazeologii.

Obiedwie znowu zamilkły.

— Czy jest gdzie taki kraj, gdzie gadają w ten sposób? — zapytała stara kobieta, podnosząc oczy z nad swojej pończochy.

— Jest, Hanno — o wiele większy kraj, niż Anglja, gdzie tylko tak mówią.

— Doprawdy, ja nie wiem, jak oni tam jedni drugich mogą zrozumieć; a gdyby która z was tam pojechała, z pewnością rozumiałaby, co oni mówią?

— Zapewne rozumiałybyśmy trochę, ale nie wszystko, gdyż nie jesteśmy tak uczone, jak wy myślicie, Hanno. Nie umiemy mówić po niemiecku i nie umiemy czytać bez pomocy słownika.

— I naco wam się to przyda?

— Chcemy uczyć kiedyś tego języka, a przynajmniej jego początków, wtedy zapłacą nam lepiej, niż teraz.

— Z pewnością. Ale już dajcie pokój nauce; dosyć zrobiliście jak na dziś wieczór.

— I ja tak myślę, bo jestem już zmęczona. A ty, Marjo?

— Śmiertelnie; ostatecznie ciężka to praca obkuwać się jakimś językiem bez nauczyciela, tylko ze słownikiem.

— Prawda, zwłaszcza tak trudnym językiem jak niemiecki. Ciekawa jestem, kiedy January powróci.

— Z pewnością już niezadługo; jest właśnie dziesiąta. Taki deszcz pada! Hanna będzie tak dobra zajrzeć do bawialnego i przekonać się, czy dobrze się tam pali.

Kobieta wstała, otworzyła drzwi, przez które niejasno dojrzałam korytarz: wkrótce usłyszałam poprawianie ognia w dalszym pokoju; zaraz też wróciła.

— Ach, dzieci! — powiedziała — teraz to mi tak ciężko wchodzić do tamtego pokoju; tak tam smutno z tym pustym fotelem, odstawionym do kąta!

Otarła oczy fartuchem; panienki, przedtem poważne, teraz posmutniały.

— Ale pan jest tam, gdzie mu lepiej — mówiła dalej Hanna — nie powinniśmy żałować, że go tu niema. A potem, nikomu nie można życzyć lepszej, spokojniejszej śmierci.

— Powiadacie, że nawet o nas nie wspomniał? — zapytała jedna z panien.

— Nie miał czasu, dziecko; w minutę skończył życie. Trochę niedomagał dzień pierwej, ale to nie było nic wielkiego; a gdy go pan January zapytał, czy nie chciałby, żeby po którą z was posłać, wyśmiał go poprostu. Na drugi dzień, a to właśnie dwa tygodnie temu, skarżył się, że mu znowu trochę cięży głowa, i poszedł spać — i już się więcej nie obudził; prawie sztywny już był, kiedy wasz brat wszedł do pokoju i tak go zastał. Ach, dzieci! to ostatni z tego starego rodu, bo wy i pan January jesteście innego rodzaju, niż tamci, którzy już odeszli. Wasza matka była do was podobna i też taka w książkach uczona. Ty, Marjo, jesteś jej żywy obraz, Diana podobniejsza jest do ojca.

Mnie one wydały się tak podobne, że nie rozumiałam, w czem stara służąca widziała różnicę. Obie miały jasną cerę i smukłe figury, obie miały twarze inteligentne i dystyngowane. Jedna, coprawda, miała włosy ciemniejsze i różnie się też czesały; Marja swoje jaśniejsze włosy dzieliła na środku i czesała gładko; ciemne włosy Diany opadały na kark gęstemi kędziorami. Zegar wybił dziesiątą.

— Czas na wieczerzę, nieprawdaż? — zauważyła Hanna — czas dla was i dla pana Januarego, jak przyjdzie.

I zabrała się do przygotowania wieczerzy. Panny wstały; widocznie zamierzały przejść do bawialnego. Ja do tej chwili tak pilnie im się przyglądałam, tak żywo zainteresowałam mnie ich wygląd i rozmowa, że przez pół zapomniałam o własnym nieszczęsnym położeniu, teraz objawiło mi się znowu, jeszcze rozpaczliwsze przez po-

równanie. Jaka niemożliwością wydało mi się wzruszenie mieszkanek tego domu moją niedolą, wzbudzenie w nich wiary w prawdę moich potrzeb i cierpień, skłonienie ich do udzielenia mi przytułku po długiej wędrówce! Szukając w ciemnościach drzwi i pukając do nich nieśmiało, nie miałam prawie żadnej nadziei. Hanna mi otworzyła.

— Czego tam potrzeba? — zapytała zdziwionym głosem, oglądając mnie przy świetle świecy, trzymanej w ręku.

— Czy mogłabym zobaczyć się z waszemi paniami? — zapytałam.

— Lepiej mnie powiedzieć, co jest do powiedzenia. Skąd to droga prowadzi?

— Jestem tutaj obca.

— Cóż za interes można mieć tu o tej godzinie?

— Pragnę noclegu w jakiej szopie albo gdziekolwiek i kawałka chleba do zjedzenia...

Podejrzliwość, to, czego się najwięcej obawiałam, odmalowała się na twarzy Hanny.

— Dam kawałek chleba — powiedziała po chwili — ale nie możemy przyjmować włóczęgów na nocleg.

— Proszę mi pozwolić pomówić z paniami!

— Nie; ani myślę. A cóż one dla was mogą zrobić? Nie powinniście się włóczyć o tej godzinie. To wygląda bardzo podejrzanie.

— Lecz dokąd ja pójde, gdy mnie odpędzicie? Co zrobię ze sobą?

— Oo, głowę daję, że dobrze wiecie, dokąd pójść i co zrobić ze sobą. Bylebyście tylko nic złego nie robili, w tem rzecz. Tu macie pensa; a teraz idźcie sobie.

— Pens mnie nie nakarmi, a ja nie mam siły iść dalej. Nie zamykajcie drzwi, proszę was.. o, nie zamykajcie, na miłość boską!

— Muszę, deszcz zacina do sieni...

— Powiedzcie waszym paniom. Pozwólcie mi się z niemi zobaczyć!

— Ani myślę. Nie jesteście tem, czem powinniście być, inaczej takbyście nie krzyczeli. Ruszajcie stąd.

— Ależ ja umrę, jeżeli mnie wypędzicie.

— Niema strachu. Wy tam musicie mieć jakieś złe zamiary, kiedy kręcicie się dokoła mieszkań ludzkich tak późno po nocy. Ale jeżeli macie tu gdzie blisko jakich kamratów, włamywaczy lub coś podobnego — możecie im powiedzieć, że nie jesteśmy tu w domu same kobiety; mamy pana, psy i strzelby.

Tu uczciwa, ale niewzruszona służąca zatrzasnęła drzwi i zasunęła rygiel.

To już był szczyt. Straszny ból, wybuch prawdziwej rozpacz, rozdarł mi serce. Padłam na mokre schodki przed drzwiami; jęczałam, załamywałam ręce, płakałam w ostatecznej męce. Och, to widmo śmierci! Och, ta ostatnia godzina, zbliżająca się z taką grozą! To osamotnienie — to wygnanie ze społeczeństwa bliźnich! Nietylko nadzieja mnie opuściła, ale i męstwo. Jednak usiłowałam odzyskać równowagę wewnętrzną.

— Mogę jedynie umrzeć — powiedziałam — ale wierzę w Boga. Będę się starała w milczeniu poddać Jego woli.

Te słowa nietylko pomyślałam, ale wymówiłam szepcąc, i postanowiłam do ostatka cierpieć w milczeniu.

— Wszyscy musimy umrzeć — odezwał się jakiś głos tuż przy mnie — ale nie wszyscy są skazani na powolny i przedwczesny koniec, jakiby panią spotkał, gdybyś tu zmarniała z głodu.

— Kto.., czy co to mówi? — zapytałam, przerażona niespodziewanym głosem, a niezdolna już wykrzesać nadziei pomocy.

Postać jakaś stała blisko, w ciemnościach nocy nie mogłam rozróżnić, co to za postać. Nowoprzybyły głośno i długo zapukał do drzwi.

— Czy to pan, panie January? — zawołała Hanna.

— Tak... tak! Otwierajcie prędko!

— Ależ pan musi być zmoczony i zziębnięty w taką szkaradną pogodę! Niech pan wchodzi, siostry się tam o pana niepokoją, a mnie się zdaje, że tu jacyś źli ludzie

się kręca. Była tu żebraczka... ależ doprawdy! Ona jeszcze nie poszła!... tutaj się oto położyła. Wstawajcie! Nie wstyd wam? Wyoście się, mówię wam!

— Cicho, Hanno, cicho! Ja mam coś do powiedzenia tej kobiecie. Wyście spełnili swój obowiązek, nie wpuszczając jej do domu, teraz pozwólcie mi spełnić mój i wpuścić ją. Byłem blisko i słyszałem, coście obie mówiły. Zdaje mi się, że to szczególniejszy wypadek, w każdym razie muszę to zbadać. Wstań, młoda kobieto, i wejdź, proszę, do domu.

Posłuchałam go z trudem. Za chwilę stałam w tej jasnej, czystej kuchni — przed kominem, trzęsąca się, omdlała prawie, zdając sobie sprawę, że muszę wyglądać jak widmo. Obiedwie panny, brat ich, pan January, i stara służąca, wszyscy mi się przyglądali.

— January, kto to? — usłyszałam pytanie.

— Nie wiem: zastałem ją przed progiem — brzmiała odpowiedź.

— Taka bardzo blada — zauważyła Hanna.

— Tak, blada jak śmierć — ktoś odpowiedział. — Gotowa upaść... trzeba, żeby usiadła.

Istotnie, kręciło mi się w głowie: zachwiałam się i padłam, ale padłam na podsunięte krzesło. Byłam jeszcze przytomna, chociaż właśnie narazie mówić nie mogłam wcale.

— Możeby ją trochę wody orzeźwiło? Hanno, dajcie trochę wody. Ależ biedaczka wychudzona jest doszczętu! Jaka szczupła i jaka bezkrwista!

— Poprostu cień... widmo!

— Czy ona jest chora czy tylko zagłodzona?

— Zdaje mi się, że tylko zagłodzona. Hanno, czy to mleko? Podajcie mi je i kawałek chleba.

Diana — poznałam ją po długich kędziorach, opadających na plecy, gdy się nade mną schyliła — ułamała kawałek chleba, umaczała w mleku i podała mi do ust. Twarz jej była blisko mojej; czytałam litość na tej twarzy, współczucie w przyspieszonym jej oddechu. Ta sa-

ma słodka litość brzmiała w jej prostych słowach, gdy powiedziała:

— Niech pani spróbuje zjeść to!

— Tak... niech pani spróbuje — powtórzyła za nią Marja łagodnie i ręka jej usunęła mój przemoczony kapelusz i podtrzymała mi głowę. Skosztowałam tego, co mi podawały; zrazu słabo, ale po chwili z chciwością jadłam.

— Nie za dużo na początek... nie pozwólcie — rzekł brat. — Chwilowo będzie miała dosyć.

I usunął kubek z mlekiem i talerz z chlebem.

— Jeszcze trochę, January... patrz, jaki wyraz chciwości mają jej oczy.

— Dosyć tymczasem, siostró. Przekonaj się, czy może mówić teraz — zapytaj ją, jak się nazywa.

Czułam, że już teraz mogę zdobyć się na słowa, więc też odpowiedziałam:

— Nazywam się Joanna Elliot. — W obawie przed odkryciem już przedtem postanowiłam przybrać obce imię.

— A gdzie pani mieszka? Gdzie ma pani przyjaciół, znajomych?

Milczałam.

— Czy możemy posłać po kogoś, pani znajomego? Potrzebałam głowy.

— Co nam pani może o sobie opowiedzieć?

Jakoś odrazu, z chwilą gdy przestąpiłam próg tego domu i zetknęłam się z jego mieszkańcami, przestałam czuć się wyrzutkiem, włączoną przez cały świat wzgardzoną. Przestałam czuć się żebraczką, poczułam się znowu sobą. Na pytanie zaś pana Januaryego, zbyt słaba, by móc na dłuższe opowiadanie się zdobyć, odpowiedziałam po krótkiej chwili:

— Panie, nie mogę panu dzisiaj bliższych szczegółów udzielić.

— Ależ w takim razie — odparł — czego się pani spodziewa? co ja dla pani mogę uczynić?

— Nic — odparłam. Siły moje starczyły tylko na krótkie odpowiedzi. Teraz Diana przemówiła:

— Czy pani przez to rozumie, że już daliśmy pani wszelką pomoc, jakiej pani potrzebuje? I że możemy wyprawić panią na pole w tę dżdżystą noc?

Spojrzałam na nią. Twarz jej była wyrazista, pełna charakteru i dobroci. Wstąpiła we mnie nagła odwaga. Odpowiadając uśmiechem na jej pełne współczucia spojrzenie, powiedziałam:

— Ja państwu ufam. Gdybym była bezpańskim, zbłąkanym psem, wiem, żebyście mnie nie odpędzili od ogniska dzisiejszej nocy; a tak jak jest, nie lękam się w istocie. Zróbcie ze mną i dla mnie, co chcecie; tylko nie żądajcie ode mnie, ażebym wiele mówiła... tchu mi brak... i skurcz mnie chwyta, gdy mówię.

Wszyscy troje popatrzeni na mnie i wszyscy troje milczeli.

— Hanno — przemówił wkońcu pan January — niech pani tutaj tymczasem siedzi i o nic jej nie pytajcie; za dziesięć minut dajcie jej resztę tego mleka i chleba. Marjo, Diano, przejdźmy do bawialnego, tam omówimy tę sprawę.

Wyszli. Wkrótce jedna z panien powróciła, nie wiem, która. Rodzaj miłego otumanienia ogarniał mnie, gdy tak siedziałam w błogiem ciepłe ognia. Dała półgłosem kilka wskazówek Hannie. Niezadługo, z pomocą służącej, zdołałam wejść na schody; ociekające wodą ubranie zdjęto ze mnie — niebawem znalazłam się w ciepłym, suchym łóżku. Dziękowałam Bogu — w niewypowiedzianem wyczerpaniu odczuwając przyływ wdzięcznej radości — i zasnęłam.

ROZDZIAŁ XXIX.

Mglista tylko pozostała mi pamięć o jakichś trzech dniach i nocach następnych. Przypominam sobie niektóre odczucia i wrażenia, myśleć jednakże logicznie nie mogłam, a do jakiegokolwiek czynu byłam wprost niezdolna. Wiedziałam, że jestem w małym pokoiku i że leżę w wąskim łóżeczku. Do tego łóżka byłam jakby

przyrośnięta, — leżałam na niem bez ruchu, jak kamień. Nie zważałam na bieg czasu, na przejścia od ranka do południa, od południa do wieczora. Spozstrzegałam, gdy ktoś wchodził do pokoju albo gdy wychodził; wiedziałam nawet, kto to taki; rozumiałam, co mówili, o ile mówiący stał blisko mnie; odpowiadać jednakże nie mogłam; otworzyć usta albo poruszyć się było dla mnie również niemożliwe. Hanna, służąca, była najczęstszym u mnie gościem. Jej przyjście zawsze niemile mnie dotykało. Miałam wrażenie, że jest mi nierada, że nie rozumie mnie ani moich warunków, że jest niechętnie do mnie uprzedzona. Diana i Marja zjawiały się u mnie w pokoju raz, czasem dwa razy dziennie. Szeptaly niekiedy do siebie tego rodzaju zdania:

— Jak to jednak dobrze, że wzięłyśmy ją do siebie.

— Tak; z pewnością znalezioneby ją nieżywą przed drzwiami, gdyby była tam całą noc pozostała. Ciekawa jestem, jakie przeszła koleje?

— Jakieś dziwnie ciężkie, wyobrażam sobie, biedna, wymizerowana, blada wędrowniczka!

— To nie jest, zdaje mi się, po jej sposobie mówienia sądząc, osoba bez wykształcenia; akcent ma zupełnie czysty; a i ubranie, które zdjęła, chociaż zabłocone i mokre, mało znoszone i z dobrego materiału.

— Szczególniejszą ma twarz; taka wychudzona i mizerna, a jednak raczej mi się podoba, przy zdrowiu zaś i ożywieniu, wyobrażam sobie, że fizjonomja jej musi być miła.

Nigdy w rozmowach ich nie usłyszałam ani słowa żalu, że mnie przyjęły tak gościnnie, ani słowa podejrzliwości, ani niechęci ku mnie. To mnie pocieszało.

Pan January zaszedł raz jeden; popatrzył na mnie i powiedział, że mój stan bezwładu wynika z reakcji po nadmiernem i długotrwałem przemęczeniu. Oświadczył, że nie potrzeba posyłać po doktora, że z pewnością sama natura najlepiej sobie poradzi. Powiedział, że każdy nerw został jakimś sposobem silnie nadwreżony i że cały system potrzebuje czas jakiś we śnie odpoczywać; choroby niema tu żadnej; wyobraża sobie, że szybko przyjdę do

siebie, skoro tylko wejść na drogę poprawy. Ten sąd wypowiedział spokojnym, cichym głosem, i dodał po chwili tonem człowieka, nieprzywykłego do obszernych objaśnień:

— Raczej niezwykła fizjonomia; niewątpliwie nie zdradza ani pospolitości, ani upadku.

— Wręcz przeciwnie — odpowiedziała Diana. — Prawdę powiedziawszy, January, serce mnie ciągnie do tego biedactwa. Ach, jakbym chciała, żebyśmy mogli na stałe nią się zająć!

— To mało prawdopodobne — odpowiedział. — Przekonasz się, że to panienka, która poróżniła się ze swoją rodziną i lekkomyślnie ją opuściła. Może nam się uda powrócić ją rodzinie, o ile nie jest uparta. Jednakże widzę na jej twarzy linje siły, które każą mi wątpić, czy jest do prowadzenia łatwą. — Stał, przyglądając mi się przez kilka minut, poczem dodał: — Wydaje się rozumną, ale ładna bynajmniej nie jest.

— Ona taka chora, January!

— Chora czy zdrowa zawsze będzie nieładna. Wdzięku i harmonji piękności zupełnie braknie tym rysom.

Trzeciego dnia poczułam się lepiej; czwartego mogłam już mówić, poruszać się, usiąść, obracać się na łóżku. Hanna przyniosła mi zupę z kaszki i trochę grzanek około godziny obiadowej, jak mi się wydało. Zjadłam z przyjemnością; jedzenie było dobre, nie miało gorączkowego smaku, jaki zatruchiwał mi wszystko, co dołąd przetykałam. Po odejściu Hanny poczułam się stonkowo silną; wstępowało we mnie życie; dosyć miałam spoczynku, budziła się we mnie chęć ruchu i czynu. Zapraęnęłam wstać; ale cóż mogłam włożyć na siebie? Wilgotne, zabłocone ubranie, w którym sypiałam na ziemi i upadałam w błoto? Wstyd mi było ukazać się moim dobrodziejom w takim stroju. Oszczędzono mi tego upokorzenia.

Na krzesle przy łóżku leżały wszystkie moje rzeczy czyste i suche. Czarna jedwabna sukienka wisiła na ścianie, oczyszczona z błota, odprasowana, wyglądała zu-

pełnie przyzwoicie. Nawet trzewiki i pończochy były wyczyszczone, możliwe do użycia. Była w pokoju woda i miednica, leżała szczotka i grzebień do włosów. Mimo osłabienia, odpoczywając co pięć minut, jako tako mogłam się ubrać. Ubranie wisiało na mnie luźno, gdyż mocno schudłam; zakryłam jednakże niedobory szalem, i teraz, czysta i wyglądająca przyzwoicie, bez plamy brudu, bez śladu nieporządku, którego tak nie znosiłam i który zdawał się tak mnie poniżać, zesłam powoli po kamiennych schodach, przy pomocy poręczy, na niski korytarz, skąd odrazu trafiłam do kuchni.

Kuchnia pełna była zapachu świeżego pieczywa i ciepła dobrego ognia. Hanna piekła chleb. Upředzenia, wiadomo, najtrudniej jest z serca wykorzeń. Hanna w istocie była zimna i sztywna z początku, później zaczęła trochę łagodnieć; a gdy ujrzała mnie wchodzącą, czystą i dobrze ubraną, uśmiechnęła się nawet.

— Co to, wstała pani? — rzekła. — Więc widać pani zdrowsza. Niech pani usiądzie na mojem krześle przy kominie, jeśli pani ma ochotę.

Wskazała mi bujające krzesło; usiadłam. Krzątała się, przyglądając mi się od czasu do czasu badawczo z pod oka. Wyjmując kilka bochenków z pieca, zwróciła się nagle ku mnie i zapytała bez ogródki:

— Czy pani kiedy już chodziła po żebraniu, zanim pani tutaj przysła?

Oburzyłam się w pierwszej chwili; ale przypomniawszy sobie, że doprawdy nie można się tu gniewać i że ja jej istotnie przedstawiłam się jako żebraczka, odpowiedziałam spokojnie, z pewnym naciskiem jednakże:

— Mylicie się, biorąc mnie za żebraczkę. Ja nie jestem żebraczką; tak jak ani wy ani wasze panienki żebraczkami nie jesteście.

— Ja tam nie rozumiem tego dobrze — powiedziała po chwili. — Pani to pewnie nie ma ani domu ani pieniędzy?

— Chociaż kto nie ma domu ani pieniędzy, to jeszcze niekoniecznie jest żebrakiem, tak jak wy to rozumiecie.

— Czy pani jest uczona na książkach? — zapytała niebawem.

— O tak, i bardzo.

— Ale pani nie była na pensji, w szkole?

— Owszem, byłam przez ośm lat.

Otworzyła oczy szeroko.

— A więc dlaczego się pani sama utrzymać nie może?

— Utrzymywałam się sama i mam nadzieję, że i nadal utrzymywać się będę. A co to macie robić z tym agrestem? — zapytałam, gdy wydobyła koszyczek z owocem.

— Ciastka z tem będą.

— Dajcie mi to; ja wam oczyszczę.

— Nie; ja nie chcę, żeby się pani męczyła.

— Ale ja muszę coś robić; proszę was, dajcie mi to! Zgodziła się, a nawet przyniosła mi czysty ręcznik, ażebym go rozpostarła na sukni, by jej, jak powiedziała, „nie powalać“.

— Pani nie była przyzwyczajona do roboty służących, ja to widzę po rękach pani — zauważyła. — Może pani była krawczynią?

— Nie, mylicie się. Ale teraz mniejsza z tem, czem ja byłam: nie łamcie sobie więcej głowy nade mną i lepiej powiedzcie mi, jak się nazywa ten dom, w którym jesteśmy.

— Niektórzy nazywają go Marsh End, a niektórzy Moor House.

— A ten pan, który tu mieszka, nazywa się January?

— Nie, pan January tutaj nie mieszka: jest tu tylko chwilowo. Mieszka we własnej parafji w Morton.

— W tej wiosce o parę mil stąd?

— Tak jest.

— A czem jest pan January?

— Jest duchownym.

Przypomniałam sobie odpowiedź starej gospodyni na plebanji, gdy chciałam się widzieć z proboszczem.

— Więc to tutaj mieszkał jego ojciec?

— Tak; starszy pan Rivers tu mieszkał; a także jego ojciec i dziadek i nawet pradziadek przed nim.

— Więc ten pan nazywa się January Rivers?

— Tak; January to jego chrzestne imię.

— A siostry jego to panny Diana i Marja Rivers?

— Tak jest.

— Ojciec ich nie żyje?

— Umarł trzy tygodnie temu na apopleksję.

— Matki nie mają?

— Pani już wiele lat temu umarła.

— A wy u tej rodziny jesteście już dawno?

— Jestem u nich od lat trzydziestu. Wyniańczyłam ich wszystko troje.

— To dowodzi, że musieliście być uczciwą i wierną służącą. Mówię wam to, chociaż byliście tak niegrzeczni, że nazwaliście mnie żebraczką.

Znowu popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

— Zdaje mi się — powiedziała — że mi się zupełnie w myślach pomieszało co do pani: ale tyle się oszustów kręci, że musi mi pani przebaczyć.

— I chociaż — mówiłam dalej nieco surowo — chcieliście odpędzić mnie od drzwi w noc taką, że psa nie bylibyście odpędzili.

— No tak, to było niepoczciwie: ale co człowiek może wiedzieć? Ja więcej myślałam o dzieciach niż o sobie. Biedaki! Toż przecie nie mają nikogo, ktoby o nie dbał, prócz mnie. Muszę czasami ostro się stawić.

Przez kilka minut milczałam poważnie.

— Nie musi pani za bardzo źle o mnie myśleć — zauważyła znowu.

— Ale ja myślę źle o was — powiedziałam. — I powiem wam, dlaczego: nietyle dlatego, że nie chcieliście mnie przygarnąć, albo że uważaliście mnie za oszustkę, ile dlatego, że przed chwilą zrobiliście mi rodzaj zarzutu z tego, że nie mam pieniędzy ani domu. Najlepsi ludzie nieraz bywali tak biedni, jak ja teraz; a jeżeli jesteście chrześcijanką, nie powinniście uważać biedy za zbrodnię.

— To prawda, że nie powinnam — powiedziała. — I pan January mi to mówi; ja widzę, że zawiniłam... ale

bo też zupełnie inne mam teraz pojęcie o pani, niż przedtem. Pani wygląda na osobę do gruntu porządną i przyzwoitą.

— No dobrze, już się na was nie gniewam. Podajcie mi rękę.

Złożyła swoją umączoną twardą rękę w mojej dłoni; serdeczny uśmiech rozjaśnił jej twarz i od tej chwili nastąpiła między nami przyjaźń.

Hanna oczywiście lubiła gawędzić. Podczas gdy ja przebierałam owoce, a ona zarabiała ciasto, opowiadała mi w dalszym ciągu rozmaite szczegóły o nieboszczyku panu, o pani i o „dzieciach“, jak nazywała troje młodych.

Stary pan Rivers, mówiła, był dosyć prostym człowiekiem, chociaż prawdziwym panem z bardzo starego rodu. Marsh End należało do Riversów, odkąd dom ten istniał, a ten dom liczył sobie, twierdziła, przeszło dwieście lat, chociaż wydawał się taki mały i skromny — ani go porównać z wspaniałym domem pana Olivera w Morton Vale. A jednak pamiętała ojca Billa Olivera, robotnika w fabryce igieł, podczas kiedy Riversowie byli szlachtą już za dawnych czasów Henryków, o czym się każdy może przekonać, jeżeli zechce zajrzeć do rejestrów w zakrystji kościoła w Morton. Przyznawała jednak, że stary pan był taki, jak inni ludzie, niewiele różny od innych, przepadał za polowaniem, gospodarką na roli i innymi wiejskimi zajęciami. Pani bo była inna. Bardzo wiele czytała, bardzo dużo pracowała w książkach; a „dzieci“ wdały się w matkę. Nikogo podobnego do nich niema w tych stronach, ani nigdy nie było; lubiło się to uczyć, wszystko troje, prawie zaledwie mówić zaczynało. Pan January, jak tylko podrośł, chciał iść do szkół i zostać kapłanem; a dziewczęta, jak tylko pokończyły szkoły, wzięły posady jako nauczycielki. Powiedziały jej bowiem, że ojciec ich przed kilku laty stracił dużo pieniędzy przez człowieka, któremu zaufał, a który zbankrutował, a ponieważ teraz nie jest tak bogatym, by dać im majątek, one muszą pracować na siebie. Już oddawna niewiele przebywały w domu, a teraz przybyły tylko na parę tygodni z powodu śmierci ojca. Ale one tak lubią

Marsh End i Morton i wszystkie te wrzosowiska i pagórki dokoła! Były w Londynie i w wielu innych wielkich miastach, ale zawsze mówią, że niema jak dom. A tacy zawsze byli grzeczni jedni dla drugich, nigdy się między sobą nie gniewali i nie kłócili. Hanna nie widziała nigdy tak zgodnej rodziny.

Skończywszy przebieraćć agrest, zapytałam, gdzie są w tej chwili obie panie i ich brat.

— Poszli do Morton na spacer; ale za pół godziny wrócą na herbatę.

W oznaczonym czasie wrócili rzeczywiście; weszli przez drzwi kuchenne. Pan January, zobaczywszy mnie, uklonił się tylko i przeszedł; obiedwie panny zatrzymały się. Marja w kilku słowach życzliwie i spokojnie wyraziła mi, jaką jej to sprawia przyjemność, że widzi mnie już tak silną, iż mogłam zejść nadół; Diana ujęła moją rękę, potrzęsając głową.

— Należało poczekać, aż ja pani zejść pozwolę — rzekła. — Jeszcze pani bardzo blada — i taka szczupła! Biedne dziecko... Biedne dziewczątko!

Diana miała głos, brzmiący w moich uszach jak gruchanie gołębiczy, oczy, których spojrzenie sprawiało mi najwyższą przyjemność. Cała jej twarz miała dla mnie wdzięk nieporównany. Marja miała fizjonomję równie inteligentną, rysy równie ładne; jednakże wyraz jej był powściągliwszy, a obejście, chociaż miłe, ale chłodniejsze. Diana patrzyła i przemawiała z pewną stanowczością, widać było, że to osoba, mająca zdecydowaną wolę. W mojej naturze leżało ulegać z przyjemnością wyższości, zaznaczanej w ten sposób, jak ona to czyniła, i uginać się, gdzie mi sumienie i poczucie własnej godności pozwalało, przed wolą czynniejszą.

— A przytem, co pani ma tu do roboty? — mówiła dalej. — To nie miejsce dla pani. My z Marją lubimy niekiedy siadywać w kuchni, ponieważ lubimy w domu swobodę i nie krępujemy się, ale pani jest gościem i miejsce pani w bawialnym pokoju.

— Mnie tutaj bardzo dobrze.

— Wcale nie; Hanna kręci się i osypuje panią mąką.

— A przytem tu ogień za gorący dla pani — wtrąciła Marja.

— Ależ tak — dorzuciła siostra. — No, dalej, proszę być posłuszną.

I wciąż trzymając mnie za rękę, przymusiła mnie do wstania i zaprowadziła do pokoju.

— Tu niech pani siedzi — rzekła, umieściwszy mnie na kanapie — podczas gdy my się rozbierzemy i przygctujemy herbatę. To także przywilej, z którego korzystamy w naszym domeczku pod wzgórzami, że same przyrządzamy jedzenie, gdy mamy na to ochotę, albo gdy Hanna piecze, porządkuje, pierze czy prasuje.

Zamknęła drzwi, pozostawiając mnie sam na sam z panem Januarem, siedzącym naprzeciw z książką czy gazetą w rękę. Przyjrzałam się najpierw bawialni, a potem jemu.

Bawialnia był to niewielki pokój, bardzo skromnie umeblowany, jednakże miły, gdyż czysty i schludny. Staroświeckie krzesła lśniły, a stół orzechowy błyszczał jak zwierciadło. Kilka dziwnych, starych portretów męzczyzn i kobiet dawnych czasów zdobiło ściany malowane; szafa o drzwiach oszklonych zawierała trochę książek i garnitur staroświeckiej porcelany. Nie było żadnych zbytecznych ozdób w tym pokoju, nie było ani jednego modnego mebla, oprócz dwóch szkatulek do roboty i damskiego sekretarzyka z różanego drzewa, stojącego na bocznym stoliku; wszystko tu — nie wyłączając dywanu i firanek — dowodziło, że jest staroświeckie, lecz i porządnie utrzymane.

Panu Januaremu, siedzącemu nieruchomo, nie odrywającemu oczu od kartek czytanej książki, nie otwierającemu ust zaciśniętych — nietrudno się było przypatrzeć. Gdyby był posągiem, a nie człowiekiem, nie mogłoby być łatwiej. Był młody — mógł mieć lat dwadzieścia ośm, do trzydziestu, wysoki, szczupły. Twarz jego przykuwała oko; była to twarz greckiego posągu, niezmiernie czysta w rysunku: zupełnie prosty, klasyczny nos, usta i broda Ateńczyka. Rzadko istotnie twarz Anglika tak bardzo

się zbliża do antycznego modelu. Nie dziw, że go raziła nieregularność moich rysów, skoro sam miał tak harmonijne. Oczy jego były wielkie, niebieskie, o ciemnych rzęsach; wysokie czoło, blade jak kość słoniowa, przysłaniały częściowo niedbale opadające pukle jasnych włosów.

A jednak ten, którego opisuję, wcale nie sprawiał wrażenia człowieka miłego, ustępliwego, wrażliwego, a choćby równego z natury. Chociaż siedział teraz w spokoju, było coś w zarysach jego nozdrzy, ust, czoła, co, o ile sądzić mogłam, świadczyło o niepokoju, czy twardości, czy też nadmiernej gorliwości w jego charakterze. Nie przemówił do mnie ani słowa, nawet nie spojrział na mnie, dopóki nie powróciły jego siostry. Diana wchodząc i wychodząc w trakcie przygotowywania herbaty, przyniosła mi ciastko.

— Niech pani to zje teraz — rzekła. — Musi pani być głodna. Hanna mówi, że od śniadania nic pani nie jadła, tylko trochę kaszki.

Nie odmówiłam, gdyż obudził się we mnie silny apetyt. Pan Rivers zamknął teraz książkę, zbliżył się do stołu i, usiadłszy, utkwiał pełne spojrzenie niebieskich oczu swoich we mnie. Patrzył teraz bezceremonjalnie, prosto, otwarcie, badawczo, co dowodziło, że nie przez nieśmiałość, ale rozmyślnie odwracał dotąd wzrok swój od gościa.

— Bardzo pani jest głodna — rzekł.

— To prawda, panie.

Miałam zawsze w zwyczaju krótko i prosto odpowiadać na krótkie powiedzenie i zapytanie.

— To dobrze dla pani, że mała gorączka przymuszała ją do wstrzemięźliwości przez trzy dni ostatnie; byłoby niebezpiecznie, gdyby pani była ulegała zaraz od początku nadmiernemu apetytowi. Teraz już może pani jeść, chociaż zawsze jeszcze z pewnem umiarkowaniem.

— Mam nadzieję, że nie będę długo jadła na koszt pański — odpowiedziałam niezręcznie i niegrzecznie.

— Zapewne — odpowiedział chłodno — skoro nam pani tylko wskaże, gdzie mieszka pani rodzina, będzie-

my mogli napisać do niej, a pani będzie mogła powrócić do domu.

— Tego, muszę panu otwarcie powiedzieć, nie będę mogła uczynić, gdyż absolutnie nie mam ani domu ani rodziny.

Wszyscy troje popatrzyli na mnie, ale bez nieufności; odczułam, że niema podejrzliwości w ich spojrzeniach, było w nich raczej zaciekawienie. Mówię to zwłaszcza o obu panienkach. Oczy Januarego, choć napozór takie jasne, były zagadkowe. Używał ich raczej za narzędzie do badania myśli drugich, niż za drogę do objawiania swoich własnych; to połączenie przenikliwości i skrytości raczej wprawiało w zakłopotanie, niż dodawało odwagi.

— Czy pani przez to rozumie — zapytał — że pani z ludźmi nie ma żadnych stosunków?

— Tak jest. Żaden węzeł nie łączy mnie z nikim w świecie; nie mam prawa żądać, by mnie jakikolwiek dom w Anglii przyjął pod swój dach.

— Bardzo dziwne położenie w pani wieku.

Tu spostrzegłam, że spojrzał na moje ręce, złożone na stole przede mną. Zdziwiłam się, czego tam szuka; słowa jego wyjaśniły mi to niebawem.

— Nie jest pani zamężna? Jest pani panną?

Diana rozśmiała się.

— Ależ, January, pani nie może mieć więcej niż siedmnaście, ośmnaście lat! — rzekła.

— Mam prawie dziewiętnaście — ale nie jestem zamężna. Nie.

Uczułam, że palący rumieniec występuje mi na twarz, gdyż wzmianka o małżeństwie obudziła gorzkie, niepokojące wspomnienia. Diana i Marja odwróciły wzrok od mojej zarumienionej twarzy, ale chłodniejszy i surowszy brat ich patrzył w dalszym ciągu, aż ból, który obudził, wycisnął mi łzy z oczu.

— Gdzie pani ostatnio mieszkała? — spytał teraz.

— Za wiele się pytasz, January — szepnęła Marja cicho.

Ale on przechylił się przez stół i domagał się odpowiedzi stanowczym i przeszywającym wzrokiem.

— Nazwa miejscowości, w której mieszkałam, i osób, z którymi przebywałam, jest moją tajemnicą — odpowiedziałam zwięźle.

— Którą, mojem zdaniem, ma pani prawo utrzymać, tak przed Januarem, jak przed kimkolwiek — zauważyła Diana.

— Jeżeli jednakże nic o pani nie będę wiedział, nie będę mógł pani pomóc — powiedział. — A pani przecież potrzebuje pomocy, nieprawdaż?

— Potrzebuję jej i pragnę, by ktoś poczciwy wskazał mi sposób uzyskania pracy, jaką umiałabym spełniać, a za którą wynagrodzenie dałoby mi chociaż najskromniejsze utrzymanie.

— Nie wiem, czy jestem takim kimś poczciwym, ale chętnie, o ile tylko będę mógł, dopomogę pani do osiągnięcia tak uczciwego celu. Przedewszystkiem więc niech mi pani powie, co pani dotąd czyniła i co pani potrafi.

Wypiłam już teraz herbatę. Wielce mnie pokrzepił ten napój; dodał nowego bodźca nerwom, tak że mogłam już teraz spokojnie przemawiać do tego przenikliwego, młodego sędziego.

— Panie Rivers — zaczęłam, zwracając się ku niemu i patrząc na niego, tak jak on na mnie, otwarcie i bez nieśmiałości — pan i siostry pańskie wyświadczyliście mi wielkie dobrodziejstwo, największe, jakie człowiek może wyświadczyć bliźniemu; wyratowaliście mnie od śmierci. To dobrodziejstwo daje wam nieograniczone prawo do mojej wdzięczności i, w pewnym stopniu, do mojego zaufania. Opowiem wam tyle, ile mogę, z dziejów przygarniętej przez was przybłądy... tyle, ile mogę opowiedzieć bez narażania własnego spokoju, własnego bezpieczeństwa moralnego i fizycznego, oraz bezpieczeństwa drugich.

Jestem sierotą, córką duchownego. Rodzice moi odumarli mnie maleńką. Wychowano mnie z łaski, kształcono w zakładzie dobroczynnym. Mogę nawet powiedzieć państwu nazwę tego zakładu, gdzie spędziłam sześć lat, jako uczennica, dwa jako nauczycielka: było to schroni-

sko dla sierot w Lowood — może pan o niem słyssał, panie Rivers? Wielebny Robert Brocklehurst jest jego skarbnikiem.

— O panu Brocklehurst słyssałem, a szkołę widziałem.

— Opuściłam Lowood prawie rok temu, ażeby zostać nauczycielką prywatną. Otrzymałam dobrą posadę i czułam się szczęśliwą. Miejscowość tę musiałam opuścić na cztery dni przed przybyciem tutaj. Powodu nie mogę i nie powinnam tłumaczyć; byłoby to niepotrzebne, niebezpieczne i brzmiałoby niewiarogodnie. Zarzut żaden na mnie nie spoczywa: jestem tak wolna od wszelkiej winy, jak którekolwiek z was trojga. Nieszczęśliwa jestem i nieszczęśliwą nie odrazu być przestanę, gdyż katastrofa, która wygnała mnie z domu, będącego dla mnie rajem, była szczególniejszej i strasznej natury. Układając ucieczkę, dbałam tylko o dwie rzeczy — o pośpiech i o tajemnicę; to też musiałam pozostawić wszystko, co posiadałam, z wyjątkiem małej paczki; tę w pośpiechu i strapieniu zapomniałam wyjąć z powozu, który dowiózł mnie do Whiteross. W te strony więc przybyłam, ogołocona ze wszystkiego. Dwie noce spałam pod gołym niebem i błąkałam się około dwóch dni, nie przestępując ludzkiego proggu: dwa razy tylko przez cały ten czas miałam cośkolwiek w ustach. A gdy z głodu, wyczerpania, rozpaczki już ostatnim prawie tchem goniłam, pan, panie Rivers, nie dał mi zginąć z głodu u drzwi swoich i dał mi ochronę pod swym dachem. Wiem o wszystkim, co pańskie siostry odtąd uczyniły dla mnie, gdyż nie byłam nieprzytomna mimo pozornego bezwładu, i winnam ich samorządtemu, szczeremu, serdecznemu współczuciu długi równie wielki, jak pańskiemu ewangelicznemu miłosierdziu.

— Nie daj jej więcej mówić, January — powiedziała Diana, gdy umilkłam. — Przecież to widać, że ją takie podniecenie kosztuje. Niech pani przejdzie na kanapę, panno Elliott, i niech pani wygodnie usiądzie.

Mimowoli drgnęłam, usłyszawszy swoje przybrane nazwisko, zapomniałam o niem. Pan Rivers, którego

uwadze nic widocznie ujść nie mogło, spostrzegł to odrazu.

— Pani powiedziała, że nazywa się Joanna Elliott? — zauważył.

— Tak powiedziałam; nazwisko to uważałam za właściwe przybrać chwilowo; ale nie jest ono mojem prawdziwem, i dlatego, gdy je słyszę, brzmi ono dla mnie dziwnie.

— Prawdziwego nazwiska swego nie chce pani podać?

— Nie; odkrycia obawiam się przedewszystkiem i unikam wszystkiego, coby do niego mogło doprowadzić.

— I ma pani słuszność, jestem tego pewna — wtrąciła Diana. — A teraz, bracie, zostaw ją chwilę w spokoju.

Jednakże January, pomyślawszy trochę, rozpoczął na nowo, spokojnie i dociekliwie, jak pierwiej:

— Pani nie chciałaby zależeć długo od naszej gościnności — pani pragnęłaby, ja to rozumiem, obejść się jak najprędzej bez współczucia moich siostr i, przedewszystkiem, bez mojego miłosierdzia (zupełnie rozumiem tę różnicę i nie mam jej za złe — jest słuszną): pani pragnęłaby uniezależnić się od nas?

— Tak, panie; to już powiedziałam. Niech mi pan wskaże, jak mam pracować albo jak mam szukać pracy: o to tylko teraz proszę; a wtedy niech mi pan pozwoli pójść do najskromniejszej choćby chaty; do tego czasu jednak niechaj mi pan pozwoli tutaj pozostać: boję się jeszcze jednej okropnej próby bezdomności i głodu.

— Ale naturalnie zostanie pani tutaj — rzekła Diana, kładąc białą dłoń na mojej głowie.

— Zostanie pani — powtórzyła Marja właściwym sobie tonem prostej szczerości.

— Moje siostry, jak pani widzi, znajdują przyjemność w zatrzymywaniu pani — powiedział pan January — tak jak znajdowałyby przyjemność w zatrzymaniu i pielęgnowaniu nawpół zmarłego ptaka, którego im wiatr zimowy przywiał do okna. Ja zaś skłonniejszy jestem dać pani możność samodzielnego utrzymywania się i o to będę się starał; jednakże, niech pani zauważy, obracam się w ciasnym zakresie. Jestem tylko plebanem biednej

parafji wiejskiej; pomoc moja może być bardzo skromna. A gdyby pani miała pogardzać szczupłym polem pracy, niech pani poszuka skuteczniejszej pomocy niż ta, którą ja ofiarować mogę.

— Przecież ona już powiedziała, że gotowa jest wziąć się do wszelkiej uczciwej roboty, jaką tylko spełniać p o t r a f i — odpowiedziała Diana za mnie. — A ty wiesz, January, że co do pomocników, to tutaj niema wyboru; zmuszona jest poprzestać na tak nieznośnym człowieku jak ty.

— Będę krawcową, robotnicą, służącą, piastunką, jeżeli nie mogę być czemś lepszym.

— Dobrze — odpowiedział pan January zupełnie chłodno. — Jeżeli tak pani myśli, przyrzekam, że pani dopomogę w swoim czasie i na swój sposób.

Zabrał się teraz zpowrotem do książki, którą czytał przed herbatą. Ja zaś usunęłam się wkrótce, gdyż mówiłam tak dużo i byłam na nogach tak długo, jak tylko obecne moje siły pozwalały.

ROZDZIAŁ XXX.

Im lepiej poznawałam mieszkanki Moor House, tem bardziej je lubiłam. Po kilku dniach dotyla odzyskałam zdrowie, że już nie potrzebowałam się pokładać, a nawet przejść się mogłam niekiedy. Mogłam z Dianą i Marją brać udział we wszystkich ich zajęciach, rozmawiać z niemi, ile zapragnęły, i pomagać im, w czem mi pozwoliły. Znajdowałam ożywczą przyjemność w tym stosunku — przyjemność pierwszy raz w życiu poznana, a polegającą na zgodzie pokrewnych upodobań, uczuć i zasad.

Lubiłam czytać to, co i one; co je cieszyło, sprawiało mi radość; co one uznawały, i ja szanowałam. Kochały wielce swój ustronny domek. I dla mnie mocny i stały urok posiadał ten szary, mały, staroświecki budynek o niskim dachu, zakratowanych oknach, omszałych ścianach, z aleją starych świerków, krzywo wyro-

stych pod naporem górskich wiatrów — z ogrodem, ciemnym od cisów i ostrokrzewów.

Lgnęły do purpurowych pagórków dokoła swego mieszkania, do głębokiej doliny, dokąd prowadziła od ich bramy kamienista ścieżka, wijąca się zrazu wśród paprocią zarosłych brzegów, a dalej wśród dzikich pastwisk, otoczonych polami wrzosowisk, gdzie pasły się stada szarych górskich owiec z jagniętami o omszonych pyszczkach. Do tych widoków lgnęły z gorącym przywiązaniem. Umiałam zrozumieć to uczucie i umiałam siłę jego i prawdę podzielać. Odczuwałam pociągający urok tej miejscowości — świąteczny nastrój jej osamotnienia: oczy moje rozkoszowały się linią wzniesień i zboczy, urozmaiconem zabarwieniem, jakie wzgórzom i wklęsłościom terenu nadawały mchy, dzikie dzwonki, ukwiecone łączki, jaskrawe wrzosy i łagodne tony skał granitowych. Te szczegóły były dla mnie tem samem, czem dla nich — czystymi i słodkimi źródłami przyjemności. Silny wicher i łagodny wietrzyk, posępny lub pogodny dzień, wschód i zachód słońca, światło księżycowe i chmurne noce — wszystko to miało dla mnie taki sam powab, jak i dla nich, takim samym napajało mnie czarem.

W domu zgadzałyśmy się równie dobrze. One obiedwie więcej miały wiadomości i więcej czytały ode mnie; ja jednakże gorliwie podążałam ścieżką wiedzy, którą one już przeszły przede mną. Pochłaniałam książki, które mi pożyczały, wieczorem zaś rozkoszą było przedyskutować z niemi to, co w ciągu dnia przeczytałam. Myśl trafiała do myśli, zdanie przystosowywało się do zdania, słowem, zgadzałyśmy się doskonale.

Przewodniczącą naszej dobranej trójki była Diana. Fizycznie przewyższała mnie o wiele; była ładna i silna. W swej werwie życiowej miała taką pełnię nieprzerwanego rozpędu, że budziło to mój podziw i przechodziło pojęcie. Ja mogłam mówić przez chwilę, gdy zapadał wieczór, ale skoro pierwszy wylew uczuć żywych u mnie przemijał, siadałam najchętniej na stołeczku u nóg Diany, kładłam głowę na jej kolanach i słuchałam kolejno

jej i Marji, podczas gdy zgłębiały do gruntu przedmiot, którego ja ledwo dotknęłam. Diana ofiarowała się uczyć mnie niemieckiego. Lubiłam uczyć się z nią; widziałam, że rola nauczycielki dogadza jej i odpowiada, jak mnie rola uczennicy. Natury nasze uzupełniały się: wzajemne przywiązanie, bardzo silne, było tego wynikiem. Siostry odkryły, że umiem rysować; natychmiast ołówki swe i pudła z farbami oddały mi do usług. Umiejętność moja, na tym jednym punkcie większa od ich umiejętności, zadziwiła je i zachwycała. Marja godzinami siadywała i przypatrywała mi się, a potem zapragnęła brać lekcje ode mnie; posłuszna, inteligentna, pilna była z niej uczennica. Przy takich zajęciach i miłym wzajemnym stosunku dnie mijały jak godziny, a tygodnie jak dni.

Zażyłość, która wytworzyła się tak naturalnie i prędko pomiędzy mną a Marją i Dianą, nie rozciągała się na ich brata. Jedną z przyczyn dalekiego stosunku między nami był dość rzadki pobyt jego w domu: wielką część czasu poświęcał, zdaje się, odwiedzaniu chorych i biednych wśród rozrzuconej ludności swojej parafji.

Nic nie mogło go powstrzymać od tych wycieczek duszpasterskich; w deszcz czy w pogodę, skoro tylko minęły godziny rannej jego pracy, brał kapelusz i w towarzystwie starego ojcowskiego wyżła Carla wyruszał spełniać tę misję miłości czy obowiązku, sama nie wiem, jak się na to zapatrywał. Niekiedy, w razie niepogody siostry starały się go zatrzymać. Odpowiadał wtedy z szczególniejszym uśmiechem, raczej uroczystym niż pogodnym:

— Gdyby trochę wiatru albo deszczu miało mnie od tych łatwych obowiązków powstrzymać, jakimże przygotowaniem byłoby takie lenistwo do mej przyszłości?

A wtedy Diana i Marja wzdychały tylko i zapadały w smutną zadumę.

Jednakże oprócz częstych nieobecności inna jeszcze przeszkoda stała na drodze do zaprzyjaźnienia się mojego z nim; pan January wydawał mi się zamkniętym, żyjącym w oderwaniu, pochmurnie zamyślonym

z usposobienia. Gorliwy w kapłańskich obowiązkach, nieskazitelny w życiu i obyczajach, nie cieszył się, zdawało się, tą duchową pogodą, tem wewnętrznem zadowoleniem, jakie powinno być nagrodą każdego szczerzego chrześcijańskiego działacza. Często z wieczora, siedząc przy oknie, z sekretarzykiem swoim i papierami przed sobą, przestawał czytać albo pisać i z brodą, opartą na ręku, zapadał w jakieś głębokie zamyślenie; myśli te były wzburzone i niespokojne, a poznać to było można po częstych błyskach i zmiennej grze światła w oczach.

Zdaje mi się przytem, że przyroda nie była dlań tym skarbcem rozkoszy, jakim była dla siostr jego. Raz jeden dał wyraz, raz jeden w mojej obecności, silnemu poczuciu surowego uroku wzgórz i wrodzonemu przywiązaniu do ciemnego dachu i siwych murów, które nazywał rodzinnym domem. Było jednakże więcej pęsnego smutku niż przyjemności w tonie, jakim uczucie to wyraził. Nigdy też nie błąkał się po wzgórzach, nigdy jej tam nie szukał, nigdy nie poił się u źródła tych tysiąca spokojnych radości, których one dostarczyć mogły.

Tak był zamknięty w sobie i małowówny, że sporo czasu upłynęło, zanim zdarzyła mi się sposobność zajrzenia mu do duszy. Pierwszy raz nabrałam pojęcia o głębinach jego ducha, gdy usłyszałam kazanie jego w kościele w Morton. Pragnęłabym opisać to kazanie, ale to przechodzi moje siły. Nie potrafię nawet oddać wiernie wrażenia, jakie na mnie sprawiło.

Zaczęło się spokojnie — i istotnie, o ile chodzi o wypowiedzenie i o skalę głosu, spokojne było ono do końca: poważnie odczuta, lecz ściśle powstrzymywana żarliwość tchnęła w wyraźnych akcentach, w nerwowym toku mowy. Ta rosła w siłę — zwięzła, ścisła, opanowana. Serce przejmowała, umysł zdumiewała potęga kaznodziei: ani na serce, ani na umysł jednakże nie działała łagodząco. Wszystko przenikała tam dziwna gorycz, brak pocieszającej dobroćliwości; surowe aluzje do doktryn kalwinistycznych — wybrani, predesty-

nacja, potępieni — były częste: a każda wzmianka o tych kwestjach brzmiała jak wyrok potępienia. Gdy skończył, zamiast czuć się lepszą, spokojniejszą, kazaniem jego oświeconą, odczułam tylko niewypowiedziany smutek. Zdawało mi się bowiem, nie wiem, czy i innym zarówno, że ten strumień wymowy wypływał z głębin, gdzie leżał na dnie mętny osad zawodu, gdzie kłębiły się niepokojące impulsy nienasyconych pragnień i burzliwych aspiracji. Byłam pewna, że January Rivers, człowiek czystego życia, sumienny, gorliwy, nie znalazł jeszcze tego bożego spokoju, wyższego nad wszelkie pojęcie, tak samo on go nie znalazł, pomyślałam, jak ja przy swoich ukrytych a dręczących żalach za rozbitem bożyszczem i straconym rajem — żalach, o których nie chciałam wspominać.

Tymczasem upłynął miesiąc. Diana i Marja miały niebawem opuścić Moor House i wrócić do nowego życia i otoczenia. Były nauczycielkami w wielkiem, modnem mieście południowej Anglii. Obie miały tam posady w rodzinach, których dumni członkowie widzieli w nich tylko skromne pracownice, i nie bacząc na wysoką ich wrodzoną wartość, cenili tylko nabyte ich umiejętności, tak jak cenili sztukę swego kucharza albo dobrego smaku panny służącej. Pan January nic mi dotąd nie powiedział o przyobiecanej zajęciu; naglącą jednakże stawała się dla mnie potrzeba znalezienia jakiegoś zawodu. Pewnego ranka, zostawszy na chwilę z nim sama w pokoju, przybliżyłam się do okna, gdzie pracował, i zamierałam przemówić. Sama dobrze nie wiedziałam, w jakie słowa ubrać pytanie, gdyż zawsze trudno jest przełamać lód, który opancerza tego rodzaju natury, gdy on sam wyprowadził mnie z kłopotu, pierwszy rozpoczynając rozmowę.

— Chce mnie pani o coś zapytać? — zagadnęła, podnosząc oczy.

— Tak; pragnęłabym się dowiedzieć, czy pan sły-
szał o jakim zajęciu, które mogłoby ja się mogła podjąć?

— Znalazłem, a raczej obmyśliłem coś dla pani już
trzy tygodnie temu; ale ponieważ widziałem, iż pani

jest użyteczną i zadowoloną tutaj, a siostry moje widocznie przywiązały się do pani i towarzystwo pani sprawia im niezwykłą przyjemność, uważałem za niewłaściwe płoszyć wzajemne wasze zadowolenie, dopóki bliski odjazd siostr z Marsh End pani pobyt tutaj unie możliwi.

— A siostry pańskie mają za trzy dni wyjechać?

— Tak; gdy one wyjadą, ja powrócę do plebanji w Morton: Hanna będzie mi towarzyszyła, a ten stary dom zamkniemy.

Czekałam chwilę w nadziei, że będzie mówił dalej. Zdawało się jednak, że w innym kierunku poszła jego uwaga; z spojrzenia jego poznałam, że już nie myśli o mnie ani o mojej sprawie. Musiałam przywołać go zpowrotem do tematu, który tak ważnym był dla mnie.

— Jakie jest to zajęcie, które pan ma na widoku dla mnie, panie Rivers? Mam nadzieję, że ta zwłoka nie zwiększyła trudności otrzymania go?

— Ach, nie; ponieważ jest to zajęcie, którego danie zależy jedynie ode mnie, a przyjęcie od pani.

Zatrzymał się znowu: wydało mi się, że nie ma ochoty mówić dalej. Zniecierpliwiłam się; jakieś niepokojne poruszenie, jakieś nieco natarczywe spojrzenie, utkwione w jego twarzy, dały mu to poczuć równie skutecznie jak słowa, a mniej kłopotliwie.

— Tak pani pilno usłyszeć! — rzekł. — Ale ja szczerze pani powiem, że nic korzystnego do zaproponowania pani nie mam. Przypominam pani swe wyraźne zastrzeżenie, iż jeżeli dopomogę pani, to potrosze tak jak ten ślepy, co wiódł kulawego. Jestem niezamożny; gdyż po zapłaceniu długów mego ojca całym pozostającym mi spadkiem będzie to podrujnowane domostwo, rząd krzywych świerków za domem i kawałek torfiastego gruntu z cisami i krzewami ostrokrzewiu z frontu. Jestem nieznan: Riversowie to stary ród, ale z trojga ostatnich jego potomków dwie wśród obcych na stanowiskach zależnych zarabiają na kawałek chleba, a trzeci uważa się za obcego w kraju rodzinnym, obcego nie tylko za życia, ale i po śmierci. Tak jest — i los swój uważa

za zaszczytny i wzdycha do dnia, gdy przyjdzie mu dźwignąć krzyż rozstania, krzyż rozerwania wszelkich węzłów cielesnych, gdy Głowa tego kościoła wojującego, do którego najpokorniejszych członków się zalicza, wyda mu rozkaz: „Wstań i pójdz za mną”.

January wypowiedział te słowa tak, jak wygłaszał kazania: głosem spokojnym, głębokim, bez rumieńca na twarzy, z błyszczącymi oczyma. Mówił dalej:

— Jako biedny i nieznany mogę pani ofiarować tylko stanowisko skromne, graniczące z biedą. Pani będzie je może uważała za poniżające, gdyż widzę teraz, że przywykła pani do wytworniejszego życia, do towarzysztwa ludzi wykształconych; ja jednakże uważam, że nie poniża człowieka żadna praca, zmierzająca do doskonalenia naszych bliźnich. Uważam, że im twardszy, im nieurodzajniejszy zagon, który chrześcijański oracz ma uprawiać, im szczuplejsza zapłata za jego trud, tem większy honor i zasługa. W tego rodzaju okolicznościach przypada mu rola pioniera, a pierwszymi pionierami ewangelji byli apostołowie, zaś wodzem ich Jezus, Odkupiciel, On sam.

— A więc — rzekłam, gdy znowu zamilkł — niech pan mówi, proszę.

Popatrzył na mnie, zanim znowu zaczął. Istotnie, zdawało się, że uważnie czyta w mojej twarzy, jakgdyby rysy i linje były literami na stronnicy. Wnioski, wysnute z tego badania, wyraził częściowo w następujących uwagach.

— Sądzę, że pani przyjmie posadę, którą pani ofiaruję — rzekł — i zatrzyma ją pani przez czas jakiś; nie na stałe jednakże, tak jak i ja nie mógłbym na stałe zatrzymać ciasnego i zacieśniającego — spokojnego na uboczu stanowiska — angielskiego wiejskiego proboszcza. W pani naturze bowiem jest przymieszka równie szkodliwa dla spokoju, jak w mojej, jakkolwiek jest ona innego rodzaju.

— Niech pan to wytłumaczy! — nalegałam, gdy znowu przerwał.

— Dobrze; i przekona się pani, jaka to marna propozycja, pospolita i krępująca. Ja długo w Morton nie

pozostanę, teraz, skoro ojciec mój nie żyje, jestem panem siebie. Opuszczę te strony prawdopodobnie w ciągu roku. Dopóki jednak tu jestem, zrobię, co tylko w mojej mocy dla podniesienia tej okolicy. Morton, gdy tutaj dwa lata temu przybyłem, nie miało szkoły; dzieci biedaków pozbawione były wszelkiej nauki. Założyłem szkołę dla chłopców, teraz zamierzam otworzyć drugą szkołę dla dziewcząt. Nająłem budynek na ten cel z chatką dwupokojową dla nauczycielki. Pensja jej wynosiłaby trzydziściu funtów rocznie. Mieszkanie jest już umeblowane, bardzo skromnie, ale dostatecznie, dzięki dobroci pewnej damy, panny Oliver, jedynej córki jedyne go bogatego człowieka w mojej parafji, pana Olivera, właściciela fabryki igieł i odlewni żelaza w dolinie. Ta sama osoba płaci za naukę i ubranie sieroty z domu pracy z warunkiem, że ta dziewczynka będzie pomagała nauczycielce w tych zajęciach około domu i szkoły, których nauczycielka ucząc, nie będzie miała czasu dokończyć sama. Czy chce pani być tą nauczycielką?

Zadał to pytanie pośpiesznie; widocznie spodziewał się przez pół, że z oburzeniem, a przynajmniej ze wzgardą odrzucę tę propozycję; nie znając wszystkich moich myśli i uczuć, chociaż odgadywał niektóre, nie wiedział, jak mi się wyda taki los. Istotnie, skromnie on się przedstawiał, ale dawał zaciszne, bezpieczne schronienie, a tego potrzebowałam. Wymagał twardej pracy, ale w porównaniu ze stanowiskiem nauczycielki w domu bogatych ludzi, dawał niezależność; tak się lękałam zależności u obcych, a tu nie groziło mi ani poniżenie, ani upokorzenie. Zdecydowałam się.

— Dziękuję panu za tę propozycję i przyjmuję ją z całą ochotą.

— Ale pani mnie rozumie? — powiedział. — To wiejska szkoła: pani uczennicami będą tylko biedne dziewczęta, dzieci chałupników, co najwyżej córki farmerów. Robienie na drutach, szycie, czytanie, pisanie, rachunki — oto wszystko, czego je pani będzie uczyła. Co pani robi ze swemi umiejętnościami? Co z całą dziedziną swojej duszy — uczuciami, upodobaniami?

— Schowam je, dopóki mi nie będą potrzebne. Zaczekają.

— A więc pani rozumie, czego się pani chce podjąć?

— Rozumiem.

Uśmiechał się teraz, i to nie gorzko ani nie smutno, ale pogodnie i z prawdziwym zadowoleniem.

— I kiedyż zamierza pani przystąpić do pracy?

— Przeniecę się tam jutro; a szkołę, jeśli pan sobie życzy, mogę otworzyć w przyszłym tygodniu.

— Bardzo dobrze; niech tak będzie.

Wstał i przeszedł przez pokój. Stanąwszy, popatrzył znów na mnie. Potrząsnął głową.

— Co się panu we mnie nie podoba, panie Rivers? — zapytałam.

— Pani nie zostanie długo w Morton: nie, nie!

— Dlaczego? Na jakiej podstawie pan to mówi?

— Czytam to w pani oczach; nie zapowiadają one utrzymania równej linii w życiu.

— Nie jestem ambitna.

Drgnął, usłyszawszy to słowo. Powtórzył:

— Nie. Co panią naprowadziło na myśl o ambicji? Kto jest ambitny? Ja wiem, że ja jestem ambitny; ale jakim sposobem pani to odkryła?

— Ja tylko o sobie mówiłam.

— No więc, jeżeli pani nie jest ambitna, jest pani... — przerwał.

— Jestem jaka?

— Chciałem powiedzieć namiętna, ale możeby pani źle zrozumiała to słowo i możeby panią dotknęło. Ja przez to rozumiem, że ludzkie uczucia i sympatje potężną nad panią mają władzę. Jestem pewien, że pani nie potrafiłaby być długo zadowoloną, spędzając wolne godziny w samotności, a godziny pracy na jednostajnym zajęciu, zupełnie bez podniety. Tak jak ja nie mogę być zadowolonym — dodał z naciskiem — żyjąc tu, zagrzebany w bagnach, zduszony górami — wbrew naturze mojej, od Boga mi danej — przy zdolnościach, jakimi mnie niebo obdarzyło, bezpożytecznie skrepowanych.

Słyszysz pani teraz, jak ja sam sobie przeczę. Ja, który zalecałem zadowolenie ze skromnego losu i pochwalałem nawet zawód rębaczów drzewa i wozowodów w służbie bożej, ja, wyświęcony kapłan boży, szaleję prawie w niepokojach. Trudno — skłonności i zasady trzeba jakimś sposobem pogodzić.

Wyszedł z pokoju. W tej jednej godzinie dowiedziałam się o nim więcej, niż przez cały miesiąc poprzedni, a jednak wciąż jeszcze był dla mnie zagadką.

Diana i Marja Rivers smutniały i cichły w miarę zbliżania się chwili pożegnania brata i domu. Starły się nie dać tego poznać po sobie, jednakże smutek, który zwalczały, był taki, że nie dał się ukryć ani przewyciężyć. Diana mi powiedziała, że będzie to inne rozstanie, niż wszystkie dotychczasowe. Prawdopodobnie, co się tyczy Januarego, będzie to rozstanie na lata, a może na życie całe.

— On poświęci wszystko dla dawno powziętego postanowienia — powiedziała — nawet rodzinne przywiązanie i silniejsze jeszcze uczucia. January wydaje się spokojny, Joasiu, ale on gorączkę kryje w sobie. Sądziłabyś, że jest łagodny, jednakże w niektórych sprawach nieubłagany jest jak śmierć; a najgorsze to, że sumienie nie pozwala mi odradzać mu tej surowej jego decyzji; rzeczywiście, ja ani na chwilę zarzutu mu z tego robić nie mogę. To jest słuszne, szlachetne, godne chrześcijanina, ale serce mi od tego pęka!

I z pięknych jej oczu polały się łzy. Marja pochyliła nisko głowę nad robotą.

— Nie mamy już ojca — szepnęła. — Wkrótce zabraknie nam i domu, i brata.

W tej chwili zaszedł wypadek, którym los jakby chciał stwierdzić powiedzenie, że „nieszczęście nigdy samo nie przychodzi“, i do zmartwienia ich dodać drażniącą przykreść zawiedzionej nadziei. January przechodził pod oknem, czytając list jakiś. Wszedł.

— Wuj Jan umarł — powiedział.

Znać było, że obie siostry tę wiadomość odczuły silnie, ale raczej jako bardzo ważną, niż zasmucającą.

— Umarł? — powtórzyła Diana.

— Tak, umarł.

Badawczy wzrok utkwiała w twarzy brata.

— No i co? — zapytała głosem cichym.

— No i co, Dianko? — odpowiedział nie tracąc marmurowego spokoju twarzy. — No i co? No i nic... Czytaj.

Rzucił jej list na kolana. Przejrzała go i podała Marji. Marja przeczytała go i oddała bratu. Wszyscy troje zamienili spojrzenia i wszyscy troje uśmiechnęli się niewesołym, zamyślonym uśmiechem.

— Amen! Jakoś mimo to przeżyjemy! — rzekła wkońcu Diana.

— W każdym razie nie będzie nam przez to gorzej, niż było dotychczas — zauważyła Marja.

— Tylko że silnie narzuca się myśli obraz tego, co by mogło być — rzekł pan Rivers — w trochę zbyt silnem przeciwieństwie do tego, co jest.

Złożył list, zamknął go w sekretarzyku i znowu wyszedł.

Przez kilka minut nikt nic mówił. Wkońcu Diana zwróciła się do mnie:

— Joasiu, dziwisz się nam zapewne i naszym tajemnicom — rzekła — i myślisz, że jesteśmy istotami bez serca, skoro nas tak mało wzrusza śmierć naszego wuja; ale myśmy go nigdy nie widzieli ani nie znali. Był to brat naszej matki. Ojciec nasz pokłócił się z nim dawno temu. Za jego to poradą ojciec zaryzykował większą część majątku w spekulacji, która go zrujnowała. Czynili sobie wzajemnie wyrzuty; rozeszli się w gniewie i nie pogodzili się nigdy. Wuj nasz zaangażował się potem w szczęśliwsze interesy i, jak się pokazuje, zebrał fortunę dwudziestu tysięcy funtów. Nie był nigdy żonaty i nie miał innych bliskich krewnych oprócz nas i jeszcze jednej osoby, w tym samym stopniu spokrewnionej, co i my. Ojciec mój zawsze miał nadzieję, że wuj wynagrodzi nam krzywdę, mimowolnym błędem wyrządzoną, i że zostawi nam majątek. Ten list uwiadamia nas, że zapisał wszystko co do grosza tej innej krewnej, z wyjątkiem

trzydziestu gwinei „do podziału między Januarego, Dianę i Marję Rivers na zakupno trzech żałobnych pierścionków”. Miał prawo, naturalnie, zrobić, jak mu się podobało; jednakże przygnębia na chwilę taka wiadomość. Marja i ja uważałyśmy się za bogate, posiadające po tysiąc funtów każda, a dla Januarego taka suma byłaby ceną, dając mu możność spełnienia wiele dobrego!

Po tem wyjaśnieniu nikt już o liście nie wspomniał. Nazajutrz opuściłam Marsh End i przeniosłam się do Morton. Następnego dnia Diana i Marja wyjechały, a po tygodniu pan Rivers i Hanna przenieśli się na plebanję. I tak stary dom opustoszał.

ROZDZIAŁ XXXI.

Mój dom zatem — gdy nareszcie znalazłam się u siebie w domu — jest to chata; mały pokój, kuchnia o bielonych ścianach i piaskiem wysypanej podłodze, zawierający skromne umeblowanie: cztery malowane krzesła, stół, zegar, mały kredens z paru talerzami i półmiskami i fajansowym serwisem do herbaty. Na górze pokój o tych samych rozmiarach co kuchnia, z białem sosnowem łóżkiem i komodą małą, a jednak za wielką, bym ją wypełnić mogła szczupłą garderobą, chociaż dobroć moich miłych i zacnych przyjaciółek powiększyła jej zapas tem, co potrzebne.

Nadszedł wieczór. Odprawiłam sierotkę, która służy mi za pomocnicę, zapłaciwszy jej pomarańczą. Siedzę sama przy kominku. Dziś rano szkołka wiejska została otwarta. Miałam dwadzieścia uczennic. Tylko trzy umieją czytać, żadna nie umie pisać ani rachować. Niektóre umieją robić na drutach, a kilka z nich trochę szyje. Mówią szerokim akcentem miejscowym. Narażenie mamy wzajemną trudność w rozumieniu się wobec tych odrębności naszego języka. Niektóre z dziewcząt są źle wychowane, surowe, trudne do prowadzenia i ciemne. Ale inne są posłuszne, chętne do nauki i miłe. Nie wolno mi zapomnieć, że te prosto ubrane wie-

śniaczki są z krwi i ciała równie dobre, jak potomkowie rodowej szlachty, i że zarodki wrodzonej doskonałości, kultury, inteligencji, delikatnych uczuć mogą równie dobrze istnieć w ich sercach jak w sercach wysoko urodzonych. Mam obowiązek rozwijać te zarodki, z pewnością da mi zadowolenie spełnianie tego zadania. Wiele uciechy nie obiecuję sobie z życia, które się przede mną otwiera; niewątpliwie jednak, gdy doprowadzę do ładu swoje myśli, gdy czynnie natęzę wszystkie władze tak, jak powinnam, będę miała tyle radości, ile potrzeba; by żyć z dnia na dzień.

Czy bardzo byłam uradowana, zadowolona podczas godzin; które spędziłam w tamtym pustym, skromnym szkolnym pokoju dziś rano i po południu? Nie chcąc samej siebie oszukiwać, muszę odpowiedzieć, że — nie. Było mi ciężko. Czułam się... idiotka ze mnie!... czułam się poniżoną. Zadawałam sobie pytanie, czy nie uczyniłam kroku, który mnie obniżał, zamiast mnie podnieść w skali społecznej sfery. Przerazałam się małodusznie niewiadomością, ubóstwem i prostactwem. Ale nie będę się zbytecznie potępiała za te uczucia. Wiem, że są godne nagany, a to już wielki krok naprzód; będę się starała je przezwyciężyć. Do jutra, mam nadzieję, zwalczę je częściowo; a za parę tygodni może zduszę je w sobie zupełnie. Za parę miesięcy, być może, widok postępów, zmiana moich uczennic na lepsze zamieni w radość mój dzisiejszy niesmak.

Tymczasem zadam sobie jedno jeszcze pytanie: Co lepiej? Czy gdybym była poddała się pokusie, uległa namiętności, bez wysiłków bolesnych, bez walki, gdybym się była uplątała w jedwabną sieć — zasnęła na kwiatach, zakrywających pułapkę, by obudzić się w południowym klimacie, wśród zbytków rozkosznej willi, jako kochanka pana Rochester'a, upojona jego miłością, gdyż onby mnie kochał, o tak... onby mnie bardzo kochał przez pewien czas. Kochał mnie — nikt mnie już nigdy tak kochać nie będzie. Nigdy już nie zaznam słodkiego hołdu, świadczonego piękności, młodości, wdzięk, gdyż nikt inny ich we mnie nie dopatrzy.

On mnie kochał i dumnym był ze mnie — nikt inny takim uczuciem mnie nie obdarzy... Ale gdzież to ja się błąkam, co mówię, a przede wszystkim, co czuję?... Zapytywałam siebie, czy lepiejby mi było być niewolnicą w raju lenistwa w Marsylii — rozgorączkowaną złudną szczęśliwością w jednej godzinie, a dławiącą się gorzkimi łzami żalu i wstydu w następnej, czy też być wiejską nauczycielką, wolną i uczciwą, w zdrowym zakątku górskim w samym sercu Anglii?

Tak, czuję teraz, że miałam słuszość, trwając przy zasadach i przy prawie, a odpychając, hamując podszepty chwilowego szaleństwa. Bóg mną pokierował, że dobrze wybrałam; opatrności Jego dziękuję za pomoc i za opiekę.

Doszedłszy w dumaniach do tego punktu, wstałam, otworzyłam drzwi i wyjrzałam. Słońce zachodziło. Ptaki śpiewały ostatnie piosenki, „powietrze było łagodne, rosa, niby balsam, opadała...”

Patrzyłam przed siebie i myślałam, że jestem szczęśliwa, ale oto ze zdziwieniem spostrzegłam niebawem, że płaczę... I co mi te łzy wyciskało? Ten los okrutny, który mnie od mojego pana oderwał; myśl o nim, że go już nigdy nie miałam zobaczyć; myśl o jego rozpaczy, o furji gniewu z powodu mojej ucieczki... może go to teraz ściąga z uczciwej drogi zbyt daleko, by ostateczny powrót był dlań możliwy... Na myśl o tem odwróciłam się od widoku cudnego wieczornego nieba, zakryłam oczy i oparłam głowę o kamienne obramienie drzwi; wkrótce jednak spojrzełam, gdyż posłyszałam ruch jakiś około furtki, zamykającej od strony łączki mały ogródek. To pies — stary Carlo, wyżeł pana Riversa, popychał furtkę nosem, a sam January opierał się o nią łokciami; brwi miał ściągnięte, spojrzenie jego poważne, nieledwie surowe, tkwiło we mnie. Poprosiłam go, by zechciał wejść.

— Nie, nie mogę się zatrzymywać; przyniosłem pani tylko małą paczkę, którą moje siostry pozostawiły dla pani. Zdaje mi się, że jest w niej pudło z farbami, ołówki i papier.

Zbliżyłam się, by paczkę odebrać; jakież pożądany był to dar! January badawczo przyglądał mi się — wydało mi się, że okiem surowem; ślady łez niewątpliwie były widoczne.

— Czy pierwszy dzień pracy wydał się pani cięższym, niż się pani spodziewała? — zapytał.

— O nie! Przeciwnie, myślę, że zczasem bardzo dobrze dam sobie radę z uczennicami.

— Ale może urządzenie pani — pani chatka — pani umeblowanie, może to zawiodło pani oczekiwania? Wszystkiego tego, coprawda, jest niewiele, ale...

Przerwałam mu:

— Moja chatka jest czysta i zaciszna; moje umeblowanie dostateczne i wygodne. Wszystko, co widziałam, napełnia mnie wdzięcznością, nie smutkiem. Nie jestem wcale taka niemądra, żeby żałować braku dywanu, kanapy albo srebrnych nakryć; a zresztą pięć tygodni temu nie miałam nic — byłam wyrzutkiem, żebraczką, włóczęgą; teraz mam znajomych, mam dom i zajęcie. Podziwiam dobroć Boga, szlachetność moich przyjaciół, szczęśliwość mojego losu. Nie smucę się i nie żałuję.

— Ale odczuwa pani osamotnienie i ciężko pani? Ten mały domek, przed którym pani stoi, ciemny jest i pusty.

— Zaledwie dotąd czas miałam zaznać poczucia spokoju, tem bardziej nie zdążyłam niecierpliwie się w poczuciu osamotnienia.

— Bardzo dobrze; mam nadzieję, że pani istotnie czuje to zadowolenie, o którym pani mówi; w każdym razie własny pani rozsądek pani powie, że jeszcze za wczesnie poddawać się chwiejnym lękom żony Lota. Co pani poza sobą zostawiła, zanim panią poznałem, tego oczywiście nie wiem. Ale radziłbym pani opierać się wszelkim pokusom oglądania się wstecz. Niech pani wytrwale pracuje w obecnym zawodzie przynajmniej kilka miesięcy.

— To też ja to właśnie zamierzam — odrzekłam. January mówił dalej:

— Ciężkie to zadanie opanowywać skłonności i odwracać prąd natury; ale wiem z doświadczenia, że można to osiągnąć. Bóg dał nam, w pewnej mierze, możliwość kształtowania naszego własnego losu; a gdy energia nasza zdaje się żądać pokarmu, którego otrzymać nie może — gdy wola nasza wyteża się ku ścieżce, którą nam iść nie dozwolono, nie potrzebujemy ani umierać z głodu, ani stać w miejscu z rozpaczą. Musimy tylko poszukać innego pokarmu dla ducha, równie silnego, jak ten zakazany, a może czystsze; i wyrąbać dla odważnej stopy drogę równie prostą i szeroką, jak ta, którą los nam zatamował, chociaż może nie tak gładką.

Rok temu ja sam byłem wielce nieszczęśliwy. Sądziłem bowiem, że popełniłem pomyłkę, obierając zawód kapłana; jednostajne obowiązki tego zawodu nużyły mnie śmiertelnie. Rwałem się ku czynniejszemu życiu świata, ku bardziej podniecającym trudom kariery literackiej, ku zawodowi artysty, pisarza, mówcy... tak jest, serce polityka, żołnierza, czciciela chwały, miłośnika sławy, żadnego władzy biło pod moją komzą wikarego. Zastanawiałem się, czułem się tak nieszczęśliwy, że pozostawało mi zmienić drogę życia lub umrzeć. Po okresie ciemności i walki padło światło, przyszła ulga; dla skrępowanego istnienia mojego otworzył się nagle widnokrąg nieogarniony — władze duszy mej otrzymały nakaz z nieba, że mają powstać, zebrać wszystkie siły, rozwinąć skrzydła i wstępować wzwyż. Bóg posłannictwo mi zlecił. By zanieść je daleko, by wypełnić je dobrze, wszystkiego potrzeba: zręczności i siły, odwagi i wymowy, najlepszych zalet żołnierza, statysty i mówcy, gdyż wszystko to się jednoczy w dobrym misjonarzu.

Postanowiłem zostać misjonarzem. Od tej chwili stan ducha mojego się odmienił; więzy rozluźniły się i opadły ze mnie, wyzwoliły mnie, pozostawiając tylko obolałość, którą czas jedynie uleczy. Ojciec mój co prawda sprzeciwiał się postanowieniu mojemu, jednakże od jego śmierci nie potrzebuję zwalczać oporu; jeszcze parę interesów załatwić, jeszcze znaleźć następcę na probostwo w Morton, jeszcze niektóre uczuciowe węzły

zerwać albo przeciąć, jeszcze ostatnią walkę stoczyć ze słabością ludzką, walkę, w której wiem, że zwyciężę, gdyż ślubowałem sobie, że chcę zwyciężyć, a opuszczam Europę i zdążam na Wschód.

Powiedział to właściwym sobie przyciszonym, ale dobitnym głosem. A gdy skończył, spojrział na zachodzące słońce, na które i ja patrzyłam. Oboje odwrócenii byliśmy plecami ku ścieżce, prowadzącej przez pole ku furtce. Nie słyszeliśmy żadnych kroków na zarosłej trawą ścieżce i szmer wody, płynącej w dolinie, był jedynym odgłosem w tem miejscu i o tej godzinie; to też nie dziw, że drgnęliśmy, gdy wesoły głos, dźwięczny jak srebrny dzwoneczek, zawołał:

— Dobrywieczór, panie Rivers. I dobrywieczór tobie, stary Carlo! Pański pies prędzej poznaje przyjaciół niż pan, łaskawy panie; nastawił uszy i kręcił ogonem, gdy jeszcze byłam na końcu pola, a pan jeszcze teraz stoi plecami do mnie odwrócony.

I prawda. Chociaż pan Rivers drgnął przy pierwszym dźwięku tego muzykalnego głosu, jakgdyby piorun rozdarł chmurę nad jego głową, stał wciąż jeszcze w tej samej pozycji, w jakiej go mówiąca zastała, z łokciem, opartym o furtkę, z twarzą, skierowaną ku zachodowi. Odwrócił się nakoniec, nie spiesząc się. A mnie się wydało, że zjawisko jakieś niezemskie stało obok niego. O trzy kroki od niego ujrzałam postać, białą ubraną, młodzieńczą, wdzięczną postać, pełną, ale piękną w linii; a gdy schylona dla popieszczenia Carla, podniosła głowę i odrzuciła długi welon, ukazała twarz doskonałej piękności. Doskonała piękność to silne słowo, a jednak go nie cofam, ani go nie zmieniam: tak delikatne rysy, jak je umiarkowany klimat Albjonu wytworzyć zdoła, tak czyste barwy róż i lilij, jak wilgotne jego wiatry i mgliste nieba wyhodować potrafią, usprawiedliwiały w tym wypadku to określenie. To młode dziewczę miało rysy regularne i delikatne, oczy wielkie, ciemne, ocienione długimi rzęsami, brew, jak malowaną, białe, gładkie czoło, usta świeże, rumiane, ślicznie zarysowane, dołeczek na brodzie i piękne, buj-

ne włosy; słowem, posiadała wszystkie uroki, które połączone tworzą ideał piękności. Z zachwytem patrzyłam na to śliczne stworzenie; podziwiałam ją z całego serca.

I cóż January Rivers myślał o tym ziemskim aniele? Zupełnie naturalnie zadałam sobie to pytanie, widząc, że zwraca się i patrzy na nią, i równie naturalnie poszukałam odpowiedzi na jego twarzy. On jednakże cofnął już wzrok od jej twarzy i patrzył na skromny krzaczek stokrotek, rosnących przy bramce.

— Śliczny wieczór, ale że też pani tak późno sama wyszła — powiedział, gniotąc nogą śnieżne główki zwinionych kwiatów.

— Ach, ja dopiero dziś po południu wróciłam z S. (tu wymieniła nazwę dużego miasta, odległego o jakieś dwadzieścia mil); Papa mi mówił, że pan już otworzył szkołę i że nowa nauczycielka już przybyła. To też po herbacie włożyłam kapelusz i przebiegłam przez dolinę, chcąc ją poznać. Czy to pani?

— Tak — odpowiedział January.

— Czy pani myśli, że będzie się pani podobało w Morton? — zapytała mnie z szczerą i naiwną prostotą tonu, miłą, choć dziecinną.

— Sądzę, że tak. Mam do tego wiele powodów.

— Czy uczennice są tak uważne, jak się pani spodziewała?

— Najzupełniej.

— Czy podoba się pani domek pani?

— Bardzo.

— Czy ładnie go umeblowałam?

— Doprawdy, bardzo ładnie.

— A czy dobrą pomocnicę wyszukałam dla pani, wybierając Alicję Wood?

— Dobrze pani wybrała. Jest pojętna i zręczna.

„To więc — pomyślałam — jest panna Oliver, bogata dziedziczka, uposażona, jak widać, zarówno od natury, jak i materjalnie! Co za szczęśliwa konstelacja planet świeciła nad jej kołyską!”

— Przybiegnę tu niekiedy i dopomogę pani uczyć — dodała. — Odwiedziny raz po raz będą dla mnie miłym urozmaiceniem; a ja tak lubię rozmaitość. Panie Rivers, tak się wesoło bawiłam podczas pobytu w S. Ubiegłej nocy, a raczej dziś rano, tańczyłam do drugiej — opowiadała, śmiejąc się. — Od czasu rozruchów zakwaterowano tam pułk wojska, a oficerowie, to najmiłsi w świecie ludzie; niech się schowają wobec nich nasi młodzi nożownicy i kupcy nożyczek.

Wydało mi się, że po ustach Januarego przebiegł przykry grymas i że usta te mocno się zacisnęły, gdy w dolnej części twarzy osiadła jakaś surowa zaciętość. Oderwał oczy od stokrotek i zwrócił je na nią. Poważne, badawcze, znaczące było to spojrzenie. Odpowiedziała na nie znowu śmiechem, a śmiech tak się dobrze stosował do jej młodości, jej dołeczków i oczu błyszczących!

Podczas gdy January stał milczący i poważny, ona znowu zaczęła pieścić Carla.

— Biedny Carlo mnie kocha — powiedziała. — On nie jest surowy, on nie jest zimny dla przyjaciół; a gdyby umiał mówić, nie milczałby z pewnością.

Gdy głaszcząc głowę psa, chyliła się z wrodzonym wdziękiem przed młodym i surowym jego panem, ujrzałam, że płomień zalewa twarz Januarego. Uroczysta powaga jego oczu roztopiła się w nagłym ogniu, oczy błysnęły przemożnym wzruszeniem. Tak zarumieniony i wzruszony dorównywał nieledwie jej urodzie prawdziwie męską pięknnością. Pierś jego podniosła się jednym głębokim westchnieniem, jakgdyby wielkie jego serce, znużone despotycznym uciskiem, odprężyło się wbrew woli i jednym potężnym uderzeniem zabiło ku swobodzie. Ale on je poskromił, zdaje mi się, tak jak śmiały jeździec poskromiłby ponoszącego rumaka. Nie odpowiedział ani słowem ani ruchem na mile robione sobie przy-mówki.

— Papa powiada, że pan nigdy teraz do nas nie zagłąda — ciągnęła panienka. — W Vale Hall stał się pan

zupełnie obcym. Papa jest sam dziś wieczorem i nieco słaby. Może mnie pan odprowadzi i odwiedzi papę?

— To nie jest odpowiednia godzina do składania wizyt panu Oliverowi — odpowiedział January.

— Nieodpowiednia godzina! Twierdzą, że przeciwnie. To właśnie godzina, kiedy papa najwięcej potrzebuje towarzystwa, bo fabryka staje, a on nie ma nic do roboty. No, panie Rivers, niechże pan przyjdzie! Dlaczego pan taki dziki i tak zachmurzony?

Milczenie jego po tem zapytaniu wypełniła własną odpowiedzią.

— Zapomniałam! — zawołała, potrząsając piękną główką, jakgdyby sama sobą zgorszona. — Taka jestem nieuważna i roztargniona! Niech mi pan wybaczy. Wyszło mi z pamięci, że to bardzo naturalne, iż pan nie ma ochoty do gawędzenia ze mną. Diana i Marja odjechały. Moor House jest zamknięty i pan taki osamotniony! Doprawdy, żal mi pana. Niech pan przyjdzie, niech pan odwiedzi papę!

— Nie dziś wieczór, panno Rozamundo, nie dziś wieczór.

Pan January mówił prawie jak automat; on sam tylko wiedział, co go kosztuje ta odmowa.

— Trudno, skoro pan taki uparty, będę musiała pana pożegnać, gdyż nie śmiem pozostać dłużej; rosa zaczyna padać. Dobranoc!

Wyciągnęła rękę. Zaledwie jej dotknął.

— Dobranoc! — powtórzył głosem cichym i dalekim jak echo.

Poszła, ale wnet powróciła.

— Czy pan zdrow? — zapytała.

Mogła śmiało zadać to pytanie, gdyż twarz jego była blada jak jej sukienka.

— Najzupełniej — odpowiedział — i ukloniwszy się, zawrócił od furtki.

Ona poszła w jedną stronę, on w drugą. Obejrzała się za nim dwa razy, lekko jak wróżka sunąc przez

pole; on, idąc krokiem pewnym naprzęłaj, nie odwrócił się ani razu.

Ten widok cudzego cierpienia i ofiary oderwał myśli moje od wyłącznego rozmyślania o własnym bólu. Diana Rivers, określając brata, nazwała go „nieubłagany jak śmierć”. I nie przesadziła.

ROZDZIAŁ XXXII.

Pracowałam w wiejskiej szkółce tak pilnie i wiernie, jak tylko mogłam. Była to naprawdę ciężka z początku robota. Jakiś czas upłynął, zanim, mimo wszelkich wysiłków, zrozumieć mogłam uczennice moje i ich natury. Zupełnie nie uczone, z nierozwiniętymi zdolnościami, wydawały mi się beznadziejnie tępe. Na pierwsze wrażenie wszystkie wydawały mi się jednakowo tępe. Wkrótce jednak przekonałam się, że się myłę. Gdyśmy się raz zapoznały, gdy raz przestały mi się dziwić — mnie, mojemu językowi, moim przepisom i moim sposobom — znalazłam, że niejedna z tych ociężałych, gapiących się prostaczek to wcale bystra dziewczyna. Okazało się, że wiele jest uprzejmych i miłych, a niektóre odznaczały się taką wrodzoną grzecznością, godnością i wybitnymi zdolnościami, że zjednywały moją dobrą wolę i podziw. Te niebawem zaczęły znajdować przyjemność w pracy, w pilnowaniu porządku, w regularnem uczeniu się i w zdobywaniu spokojnego i przyzwoitego ułożenia. Szybkość ich postępu w niektórych wypadkach była zadziwiająca, co mnie napełniało prawdziwą i radosną dumą. Przytem zaczęłam osobiście lubić niektóre z najlepszych dziewcząt, i one mnie polubiły. Miałam pomiędzy uczennicami kilka córek farmerów, dziewcząt wyrosniętych, prawie dorosłych. Te już umiały czytać, pisać, szyć i rachować; uczyłam je początków gramatyki, geografji, historii i delikatniejszych robót igłą. Pomiedzy niemi znalazłam wartościowe charaktery, kulturalne, spragnione wiedzy jednostki, z niemi niejedną miłą wieczór spędziłam w ich własnych domostwach.

Rodzice ich otaczali mnie względami. Czułam się dobrze w atmosferze ich prostej i szczerzej życzliwości, którą odplacałam uznaniem i szacunkiem.

Czułam, że staję się ulubienicą sąsiedztwa. Ile razy wyszłam, słyszałam ze wszystkich stron serdeczne pozdrowienia, witano mnie z przyjaznym uśmiechem. Życ wśród ogólnego uznania, choćby tylko ludzi prostych, to tyle, co „siedzieć w słońcu, słodko i spokojnie”; pogodne uczucia zakwitają w duszy pod temi promieniami. W tym okresie życia serce moje znacznie częściej wzbierało dziękczynieniem, niż upadało w zgnębieniu. A jednak, żeby wyznać całą prawdę, wśród tego spokoju i tej użytecznej działalności — po dniu, spędzonym na uczciwej pracy z uczennicami i wieczorze na rysowaniu lub samotnem czytaniu — dziwnych snów doświadczałam nocą. Były to sny różnobarwne, niespokojne, pełne wzlotów idealnych, podniecające, burzliwe sny, gdzie wśród scen niezwykłych, pełnych przygód, ryzykownych i romantycznych, wciąż spotykałam pana Rochesterą, zawsze w jakimś przełomowym momencie; a wtedy poczucie, że jestem w jego objęciach, że słyszę jego głos, że oczami tonę w jego oczach, że dotykam ręki jego i twarzy, kochając go, kochana przez niego — poczucie, że spędzę życie całe przy jego boku, odżywało z całą pierwotną siłą i pierwotnym ogniem. Wtedy budziłam się. Wracała mi pamięć, gdzie jestem i jaki mój los. Wtedy podnosiłam się na łóżku, drżąc i dygocąc, i wtedy cicha, ciemna noc była świadkiem spazmów rozpaczki i wybuchów żalu. Nazajutrz, punktualnie o dziewiątej rano otwierałam szkołę — spokojna, opanowana, gotowa podjąć wytrwale obowiązkiienne.

Rozamunda Oliver dotrzymała słowa; przychodziła mnie odwiedzać. Wstępowała do szkoły najczęściej w trakcie swej ranej przejażdżki. Podjeżdżała klusem przed drzwi na kucyku, za nią konno służący w liberji. Trudno sobie wyobrazić coś wdzięczniejszego, niż postać jej w purpurowej amazonce, w aksamitnej czarnej czapeczce, z pod której wymykały się długie kędziory. Wchodziła do wiejskiej izby i przesuwała się wśród

zachwyconych rzędów wiejskich dzieci. Zazwyczaj przybywała w tej godzinie, kiedy pan Rivers wykladał katechizm. Spojrzenie odwiedzającej raniło zapewne głęboko serce młodego pastora. Rodzaj instynktu ostrzegał go o jej wejściu, choć jej nie widział; a mimo, że wcale na drzwi nie patrzył, gdy ona się w nich ukazywała, na twarz jego wypływał rumieniec, a marmurowe napozór rysy, chociaż nie łagodniały, zmieniały się nie do poznania i samym spokojem silniej wyrażały powściągnany żar, niżby go zdradzić mogła gra muskułów twarzy i wymowa spojrzenia.

Oczywiście, młoda dziewczyna znała władzę swą nad nim; on istotnie nie ukrywał, bo ukryć nie mógł, co się z nim dzieje. Mimo zaparcia się chrześcijańskiego, gdy zbliżała się i przemawiała i uśmiechała się doń wesoło, zachęcająco, nawet miłośnie, ręka mu drżała, oczy płonęły. W smutnem i zdecydowanem spojrzeniu można było wyczytać te słowa: „Kocham cię i wiem, że mam łaskę w oczach twoich. To nie powątpiewanie o powodzeniu zamyka mi usta. Gdybym ci ofiarował serce, sądzę, że przyjąłabyś je. Ale to serce jest już złożone na świętym ołtarzu: ogień dokoła niego już rozłożony. Niebawem będzie ono już tylko ofiarą całopalną.”

A wtedy ona przybierała minę zawiedzionego dziecka; chmurka zamyślenia gasiła promienną jej żywotę; wycofywała prędko rękę z jego dłoni i odwracała się w przelotnym gniewie od jego widoku, tak bohater-skiego i tak męczeńskiego. January, niewątpliwie, byłby świat oddał, by pójść za nią, odwołać, zatrzymać ją, gdy w ten sposób odchodziła; ale nie chciał poświęcić dla niej nieba, ani dla rajy jej miłości wyrzec się jedynej nadziei, prawdziwego, wiekuistego Raju. Poza tem nie mógł zamknąć wszystkiego, co miał w swej naturze z wędrowca, marzyciela, poety, kapłana — w obrębie jednej jedynej pasji. Nie mógł i nie chciał wyrzec się rozległego pola walki misyjnej dla salonów i spokoju w Vale Hall. Dowiedziałam się o tem od niego samego, gdy kiedyś, pomimo powściągliwości, odważyłam się wtargnąć w jego zaufanie.

Panna Oliver odwiedzała mnie często w moim domu. Poznałam cały jej charakter, w którym nie było tajemnic ani udawania; była zalotna, ale nie bez serca; wymagająca, ale nie bezdusznie samolubna. Rozpieszczano ją od dzieciństwa, ale nie była tem doszczętnie popsuta. Była popędliwa, lecz pogodnego usposobienia, próżna (czyż to jej wina, skoro każde spojrzenie w zwierciadło ukazywało jej taki uroczy obrazek?), ale bez afektacji. Była szczodroblowa, wolna od pychy bogactwa; szczerą i naturalną; wystarczająco inteligentną; wesołą, pełną życia i niewiele myślącą. Słowem, była nader urocza, nawet w oczach chłodnego obserwatora jej własnej płci, takiego jak ja; jednakże głębiej nie interesowała, ani nie miała zalet wybitnych. Zupełnie różny rodzaj duszy od sióstr Januarego. Pomimo to lubiłam ją prawie tak, jak lubiłam Adelkę; z tym wyjątkiem, że w stosunku do dziecka, którego pilnujemy i uczymy, wywiązuje się bliższe przywiązanie, niż w stosunku do równie pociągającej osoby dorosłej.

Rozamunda Oliver upodobała mnie sobie. Powiedziała mi, że jestem podobna do pana Rivers, z tą jednakże różnicą, że „ani w dziesiątej części nie taka ładna, choć miła i wcale niebrzydka osóbką, a on to już po prostu anioł...“ Powiedziała mi, że jestem dobra, mądra, spokojna i stanowcza, tak jak i on; że jestem cudem natury jako wiejska nauczycielka, i że z pewnością, gdyby kto znał moją przeszłość, przekonałby się, że to musiał być jeden prześliczny romans.

Pewnego wieczora, gdy ze zwykłą swoją dziecinną ruchliwością i niewinną ciekawością gospodarowała w kredensie i w szufladzie stołowej mojej kuchenki, znalazła najpierw dwie francuskie książki, tom Szyllera, gramatykę i słownik niemiecki, a potem moje materiały rysunkowe i kilka szkiców, w tem ołówkiem rysowaną główkę mojej uczenniczki i różne widoczki z natury z doliny Morton i otaczających wzgórz. Zrazu zdumiała, potem przejął ją zachwyty.

— To pani rysowała? To pani umie po francusku i po niemiecku? O, jaka złota, jaka cudowna osóbką!

Pani lepiej rysuje niż mój nauczyciel we wzorowej szkole w S. Czy nie chciałaby pani naszkicować mojego portretu, żebym go mogła pokazać papie?

— Z przyjemnością — odpowiedziałam, czując dreszcz artystycznej radości na myśl rysowania z tak doskonałej modelki.

Miała wtedy na sobie ciemnoszafirową jedwabną suknię; ramiona jej i szyja były odsłonięte; jedyną ozdobą były kasztanowate włosy, wijące się na ramionach z całym swobodnym wdziękiem naturalnych kędziorów. Wzięłam kartkę pięknego papieru i narysowałam starannie kontury. Obiecywałam sobie przyjemność wykończenia portreciku kolorami, a ponieważ już późno się robiło, powiedziałam jej, że musi przyjść pozować mi innego dnia.

Panna Rozamunda tak mnie opisała przed ojcem, że pan Oliver sam przyszedł z nią razem następnego wieczora. Był to wysoki, w średnim wieku mężczyzna o grubych rysach, siwy; przy jego boku śliczna córka wyglądała, jak jasny kwiat obok omszałej wieżycy. Była to małomówna i może dumna osobistość, bardzo jednakże był dla mnie uprzejmy. Szkic portretu Rozamundy bardzo mu się podobał; powiedział mi, że muszę zrobić z tego skończony portret kolorami. Usilnie prosił, ażebym przyszła nazajutrz spędzić wieczór w Vale Hall.

Poszłam tam. Jak się przekonałam, była to obszerna, ładna rezydencja, świadcząca dowodnie o bogactwie właściciela. Rozamunda radowała się i cieszyła przez cały czas mojej bytności. Ojciec jej był uprzejmy i grzeczny, a gdy wdał się w rozmowę ze mną po herbacie, wyraził mi żywe uznanie za to, co zrobiłam dla szkoły w Morton; dodał jednak, że się lęka, sądząc po tem, co widzi i słyszy, że posada ta nie jest dość dobra dla mnie i że niebawem porzucę ją dla odpowiedniejszej.

— To prawda — zawołała Rozamunda — ona jest taka mądra, że mogłaby być nauczycielką w najlepszych rodzinach, papo.

Pomyślałam, że wolę być tu, gdzie jestem, niż w której z najpierwszych rodzin kraju. Pan Oliver wy-

rażał się o panu Rivers, o rodzinie Riversów — z wielkim szacunkiem. Mówił, że to bardzo stare nazwisko w tej okolicy; że przodkowie tego rodu byli bogaci; że całe Morton niegdyś należało do nich; że nawet teraz uważał, iż przedstawiciel tego rodu mógłby, gdyby chciał, zrobić świetną partję. Żałował szczerze, iż taki wzorowy i utalentowany młodzieniec postanowił opuścić kraj i udać się na misję, marnując cenne życie. Okazywało się przeto, że ojciec Rozamundy nie stawiałby przeszkód połączeniu jej z Januarym. Pan Oliver widocznie uważał, że dobre urodzenie, stare nazwisko i świątobliwy zawód młodego pastora wynagradzają niezamożność.

Było to piątego listopada, na ten dzień przypadało święto. Moja mała służąca, dopomógłszy mi do uporządkowania domu, poszła sobie, zadowolona z pensa, którego jej za tę pomoc ofiarowałam. Wszystko dokoła mnie jaśniało czystością — wyszorowana podłoga, świecąca krata przy kominku, dobrze wytarte krzesła. I ja się nieco przystroiłam i teraz miałam przed sobą wolne całe poobiedzie, które spędzić mogłam, jak chciałam.

Tłumaczenie kilku stron z niemieckiego zajęło mi godzinę czasu, następnie wyciągnęłam paletę i pendzle i zabrałam się do milszego, bo łatwiejszego zajęcia, do wykończania minjatury Rozamundy Oliver. Głowa była już ukończona: pozostawało jeszcze tło i draperja do wycieniowania — podkreślenie odrobiną karminu pełnych warg, dodanie tu i owdzie połysku puklom włosów, wzmocnienie rzęs cienistych pod niebieskawą powieką. Zatopiłam się w wykonywaniu tych subtelnych szczegółów, gdy usłyszałam naprzód silne stuknięcie, a potem drzwi otworzyły się i wszedł January Rivers.

— Wstąpiłem, aby się przekonać, jak pani spędza wolny dzień — przemówił. — Mam nadzieję, że nie na rozmyślaniu? Nie — to dobrze: rysując, nie będzie pani czuła samotności. Jak pani widzi, niedowierzam pani jeszcze, choć, jak dotychczas, dzielnie się pani sprawia. Przyniosłem pani na pociechę książkę.

Tu położył na stole dzieło świeżo wydane, poemat: jeden z tych genialnych utworów, któremi tak często

obdarzana bywała szczęśliwa publiczność owych czasów — czasów złotego wieku naszej literatury.

A gdy ja chciwie przeglądałam świetne karty *Marmiona*¹⁾, January nachylił się, by się przypatrzeć mojemu rysunkowi. Nagle drgnął i prostując się, odskoczył. Nie powiedział ani słówka. Spojrzałam nań: unikał mego wzroku. Dobrze znałam jego myśli, umiałam czytać w jego sercu; w tej chwili czułam się spokojniejsza i chłodniejsza od niego, czułam, że chwilowo góruję nad nim. Przyszła mi chęć przyniesienia mu trochę ulgi, o ile to byłoby możebne.

„Mimo mocy duchowej i panowania nad sobą — pomyślałam — on zbyt wiele bierze na siebie; zamyka w sobie każde uczucie, każdy odruch bolesny — nic nie wypowiada, niczego nie wyznaje, niczem się nie dzieli. Jestem pewna, że uspokoiłby się, gdyby pomówił trochę o tej ślicznej Rozamundzie, z którą, sądzi, że nie powinien się żenić: wyciągnę go na pogawędkę.“

— Niech pan weźmie krzesło i usiądzie — zaczęłam.

Ale on, jak zwykle, odpowiedział, że nie może zostać dłużej. „Bardzo dobrze — odpowiedziałam w myśli — stój, jeśli wolisz; ale ja cię jeszcze teraz nie puszcze, stanowczo nie puszcze: samotność jest co najmniej równie niedobra dla ciebie, jak dla mnie. Poszukam, czy nie odnajdę tajnej sprężynki twego zaufania i jakiejś szczeliny w tej twojej marmurowej piersi, szczeliny, przez którą mogłabym wpuścić kropelkę balsamu współczucia.“

— Czy ten portrecik podobny? — zapytałam wprost.

— Podobny? Do kogo podobny? Nie przypatrzyłem się dokładnie.

— Owszem, przypatrzył się pan.

Drgnął, gdy mu tak nagle i śmiało zaprzeczyłam; spojrzął na mnie zdziwiony.

„O, to jeszcze nic — pomyślałam. — Nie dam się zbić z tropu trochę sztywności twojej; gotowa jestem pójść jeszcze dalej.“

¹⁾ *Marmion* — poemat Waltera Scotta, wydany w r. 1808.

— Przypatrzył się pan dobrze i dokładnie — ciągnęłam dalej — ale nie mam nic przeciw temu, żeby pan się jeszcze raz przypatrzył.

Tu wstałam i wsunęłam mu portrecik do ręki.

— Bardzo dobrze wykonany obrazek — rzekł — bardzo łagodne, jasne tony; bardzo wdzięczny i czysty rysunek.

— Tak, tak, ja to wiem. Ale co mi pan powie o podobieństwie? Kogo to ma przedstawiać?

Opanowując pewne wahanie, odpowiedział:

— Pannę Oliver, zdaje mi się.

— Naturalnie. A teraz, żeby pana wynagrodzić za trafne odgadnięcie, obiecuję panu wymalować staranną i wierną kopję tego obrazka, o ile pan ją zechce przyjąć. Nie chciałabym bowiem tracić czasu i trudu na prezent, któryby w oczach pana był bez wartości.

Patrzył w dalszym ciągu na obrazek; im dłużej mu się przyglądał, tem silniej trzymał go w ręku, tem mocniej zdawał się go pragnąć.

— Jest podobieństwo! — szepnął — oko jest dobrze uchwycone; kolor, światło, wyraz są doskonałe. Uśmiecha się poprostu.

— Czyby to pana pocieszało czy raniło posiadać podobny obrazeczek? Niech mi pan to powie. Gdy pan będzie na Madagaskarze, albo w Kaplandji, albo w Indjach, czy byłoby to pociechą posiadać taką pamiątkę? A może jej widok przywodziłby wspomnienia, któreby tylko denerwowały i bolały?

Teraz ukradkiem podniósł oczy; spojrzął na mnie niezdecydowany, zmieszany; znowu zaczął patrzeć na obrazek.

— Chciałbym go posiadać, to pewna; inna rzecz, czyby to było słuszne i rozumne.

Odkąd się upewniłam, że Rozamunda rzeczywiście mu sprzyja, i że ojciec jej prawdopodobnie nie sprzeciwiałby się ich małżeństwu, mniej egzaltowana w moich poglądach od Januarego, silną w sercu czułam ochotę do popierania ich związku. Zdawało mi się, że jeżeliby January został właścicielem wielkiej fortuny pana Olivera,

mógłby przy jej pomocy zdziałać nie mniej dobrego, niż skazując siły swoje i wielkie zdolności na zmarnowanie pod słońcem tropikalnego klimatu. W tem przekonaniu odpowiedziałam teraz:

— O ile sądzić mogę, byłoby słuszniej i rozumniej, gdyby pan od razu sięgnął po sam oryginał.

On tymczasem już zdążył usiąść: położył obrazek na stole przed sobą i, oparłszy czoło na obu rękach, wpatrywał się w niego z miłością. Przekonywałam się, że nie był ani gniewny ani dotknięty moją śmiałością. Uważałam nawet, że to szczere poruszenie przedmiotu, który uważał za nietykalny, swobodne jego traktowanie — zaczynało sprawiać mu nową przyjemność, przynosić niespodziewaną ulgę. Ludzie zamknięci często istotnie więcej potrzebują szczerzego omówienia swoich uczuć i smutków, niż ludzie wylani. Najsurowszy napozór stoik jest ostatecznie człowiekiem; i wdzierając się śmiało i z dobrą wolą w milczącą taką duszę, wyrządza się jej niekiedy pierwszorzędną przysługę.

— Panna Rozamunda panu sprzyja, jestem tego pewna — powiedziałam, stojąc za jego krzesłem — a jej ojciec szanuje pana. Przytem jest to przemiłe dziewczątko — może trochę bezmyślne; ale pan miałby dość myśli za dwoje. Powinien pan się z nią ożenić.

— Czy sprzyja mi naprawdę? — zapytał.

— Z pewnością; nikogo tak nie lubi, jak pana. Mówi o panu ciągle: niema tematu, któryby wolała, albo któregooby dotykała tak często.

— Bardzo mi miło słyszeć to, co pani mówi — rzekł — bardzo. Proszę, niechże pani jeszcze mówi przez kwadrans... słucham panią.

I rzeczywiście wydobyl zegarek i położył na stole, by wymierzać czas.

— Ale nacóż ja mam mówić — odpowiedziałam — kiedy pan zapewne przygotowuje jakiś ciężki cios zaprzeczenia, albo kuje nowy łańcuch dla ujarznienia swego serca?

— Niech pani sobie takich przykrych rzeczy nie wyobraża. Niech pani sobie raczej wyobrazi, tak jak ja

sam to sobie wyobrażam, że ulegam, że opór we mnie topnieje, a miłość ziemską wzbiera w mej duszy jak świeżo otwarte źródło i zalewa błogą powodzią całe to pole, które tak starannie i z takim mozołem uprawilem i pracowicie obsiałem ziarnami dobrych intencji i pełnych umartwień zamiarów. A teraz zatopiła je słodka fala, młode kiełki zalane, rozkoszna trucizna je pożera; teraz widzę siebie w salonie w Vale Hall u stóp mojej młodej żony Rozamundy. Ona przemawia do mnie słodkim głosem, patrzy na mnie oczami, które zręczna ręka pani tak dobrze odtworzyła, uśmiecha się do mnie temi karminowemi wargami... Jest moją, jam jest jej — to obecne życie, ten przemijający świat mi wystarcza. Cicho... niech pani nic nie mówi... serce moje pełne jest rozkoszy... zmysły moje toną w zachwyceniu — niech czas oznaczony minie spokojnie...

Usłuchałam go. Zegarek tykał; on oddychał cicho i prędko; stałam milcząc. W ciszy upłynął kwadrans; January schował zegarek, położył obrazek na stole, wstał i stanął przed kominkiem.

— Otóż ten krótki okres czasu poświęciłem gorączkowej złudzie — powiedział. — Oparłem skroń o łono pokusy, kark mój dobrowolnie poddałem pod jej jarzmo, uwite z kwiatów; dotknąłem ustami jej kielicha. Skroń moją parzył żar niezdrowy, wąż jadowity skrył się pod kwiatami, wino gorzki miało posmak; jej obietnice są czcze — jej nadzieje fałszywe; rozumiem i wiem, że tak jest.

Patrzyłam na niego zdziwiona.

— To szczególne — mówił dalej — że chociaż kocham Rozamundę Oliver tak gorąco, całą siłą pierwszej miłości, równocześnie mam spokojną niezachwianą świadomość, że nie byłaby ona dobrą żoną dla mnie; że nie byłaby dobraną towarzyszką. Odkryłbym to po rocznem z nią pożyciu; po dwunastu miesiącach zachwytu i uniesienia nastąpiłoby całe życie rozczarowania i żalu. To wiem dobrze.

— Jakie to dziwne! — wtrąciłam mimowoli.

— Choć jest coś we mnie niezmiernie wrażliwego na jej urok — ciągnął dalej — niemniej głęboko odczuwam jej wady: są one tego rodzaju, że nie potrafiłaby brać serdecznego udziału w żadnych moich dążeniach i w niczem ze mną współpracować. Rozamunda, umiejąca cierpieć? Rozamunda pracownicą, kobietą-apostolem? Rozamunda żoną misjonarza? Nigdy!

— Ależ pan nie potrzebuje zostać misjonarzem. Mógłby pan porzucić ten zamiar.

— Porzucić! Jakto? miałbym porzucić powołanie? Moje wielkie dzieło! Mój fundament, założony na ziemi pod dom niebieski! Moje nadzieje, że będę zaliczony do grona tych, którzy wszystkie swoje ambicje zamknęli w tej jedynej chwalebnej, że pracować będą nad poprawą bliźnich, niosąc światło w krainy ciemnoty, zastępując wojnę pokojem, niewolę wolnością, zabobon religiją? Ja to miałbym porzucić? Ależ to mi jest droższe od własnej krwi w żyłach. Ku temu jedynie zmierzam, dla tego jedynie żyję.

Po dość długiej przerwie odezwałam się:

— A panna Oliver? Czy nic pana nie obchodzi jej zawód i cierpienie?

— Pannę Oliver stale otaczają konkurenci i pochlebcy: nie upłynie miesiąc, a obraz mój zatrze się w jej sercu. Zapomni o mnie i wyjdzie zamaż, prawdopodobnie za kogoś, kto ją o wiele lepiej uszczęśliwi, niżbym to ja uczynił.

— Chłodne to słowa; ale walka kosztuje pana. Mizernieje pan i chudnie.

— Nie. Jeżeli trochę chudnę, to z niepokoju o swoje widoki, dotąd nieustalone, o wyjazd stale opóźniany. Właśnie dziś rano otrzymałem wiadomość, że mój następca, którego przybycia już tak dawno oczekuję, nie może być gotów prędzej niż za trzy miesiące — a może się to przeciągnąć do sześciu.

— Pan drży i rumieni się, ile razy panna Oliver wchodzi do izby szkolnej.

Znowu wyraz zdziwienia przebiegł mu po twarzy. Nie wyobrażał sobie, żeby kobieta mogła w ten sposób mówić do mężczyzny.

— Pani jest oryginalna — powiedział — niekonwencjonalna i śmiała. Ma pani spojrzenie przenikliwe; niech mi jednak będzie wolno zapewnić panią, że pani poczęści źle tłumaczy moje wzruszenia. Pani uważa je za głębsze i potężniejsze, niż są w istocie. Obdarza mnie pani większym współczuciem, niż na to zasługuję. Gdy się rumienię, gdy drzę w obecności panny Oliver, wtedy ja sam nie lituję się nad sobą. Pogardzam własną słabością. Wiem, że jest niskiego poziomu: prosta gorączka zmysłów, nie żaden wstrząs duszy. Dusza moja niewzruszona jest, jak skała, silnie osadzona na dnie niespokojnego morza. Niech mnie pani zna takim, jakim jestem — zimnym, twardym człowiekiem.

Uśmiechnęłam się niedowierzająco.

— Zdobyła pani szturmem moje zaufanie — mówił dalej — teraz niech ono pani służy. Jestem poprostu, z pierwotnej mojej natury, gdy ją obnażyć z tej krwią okupionej szaty, jaką chrześcijaństwo osłania kalectwo człowieka, zimnym, twardym, ambitnym człowiekiem. Rodzinne przywiązanie tylko, jedyne ze wszystkich uczuć, ma nade mną stałą władzę. Rozum, nie serce, jest moim przewodnikiem; ambicja u mnie jest bezgraniczna: pragnienie wstępowania coraz wyżej, dokonywania więcej, niż inni, jest nienasycone. Szanuję wytrzymałość, pracowitość, talent, gdyż temi środkami ludzie osiągnęły wielkie cele i wstępują na wyniosłe wyżyny. Śledzę rozwój pani życia z zainteresowaniem, ponieważ widzę w pani okaz pilnej, porządnej, energicznej kobiety — nie dlatego, iżbym głęboko współczuł z tem, co pani przeszła, albo litował się nad tem, że pani cierpi jeszcze.

— Kreśli pan w swojej osobie poprostu wizerunek pogańskiego filozofa — rzekłam.

— Nie. Jest różnica pomiędzy mną a deistami: ja wierzę w Ewangelję. Chybiła pani w określeniu. Ja je-

stem nie pogańskim, lecz chrześcijańskim filozofem, wyznawcą wiary Chrystusa. Jako uczeń Jego, przyjmuję Jego czystą, miłosierną, dobroczynną naukę. Jestem jej obrońcą; zaprzysiągłem jej szereg. Tyle dla mnie uczyniła religja; przyrodzone pierwiastki obróciła ku najlepszym celom, oczyszczając i kształcąc naturę. Lecz wykorzenie natury nie mogła: jakoż i nie będzie ona wykorzeniona, „dopóki ten śmiertelny nieśmiertelności nie przyoblecze”.

Powiedziawszy to, wziął kapelusz, leżący obok mojej palety. Jeszcze raz popatrzył na portrecik.

— Ona jest śliczna! — szepnął. — Słusznie ją „róza świata” nazwano, doprawdy!

— I cóż? czy mam namalować drugi taki portrecik dla pana?

— Cui bono? Nie potrzeba.

Zaciągnął na portrecik ćwiartkę cienkiego papieru, na którym zwykła byłam opierać rękę przy malowaniu, ażeby kartonu nie zbrudzić. Co on nagle zobaczył na tym pustym papierze, niepodobna mi było odgadnąć; ale coś uderzyło jego oczy. Porwał raptownie ćwiartkę papieru, popatrzył na jej brzeg, potem rzucił na mnie spojrzenie, niewypowiedziane dziwne i zupełnie niezrozumiałe: spojrzenie, ogarniające bystro mnie całą, postać moją, twarz, ubranie; spojrzenie to przebiegło po mnie jak piorun szybkie i jasne. Otworzył usta, jakgdyby chciał mówić, ale powstrzymał niewymówione słowa.

— Co się stało? — zapytałam.

— Nic takiego — odpowiedział. A gdy kładł papier na swoje miejsce, widziałam, że oddarł z ręcznie wąską paseczkę od brzegu. Znikło to w jego rękawiczkę a wtedy, pośpiesznie skinąwszy mi głową, rzucił mi „do widzenia!” i wyszedł.

— No proszę! to doprawdy przechodzi pojęcie! — zawołałam.

Teraz z kolei ja obejrzałam papier; nic jednakże nie znalazłam, prócz kilku plam kolorowych, tam gdzie pró-

bowalam farby na pendzelku. Zastanawialam sie przez chwile nad ta zagadka, ale widzac, ze jej nie rozwiaze, pewna zreszta, ze nie ma wiekszego znaczenia, wygnalam ja z myśli i niebawem o niej zapomnialam.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Po odejściu Januarego śnieg zaczął padać; zamieć trwała całą noc. Nazajutrz ostry wiatr sprowadził nowe opady, o zmroku dolina była zawiana i prawie niemożliwa do przebycia. Zamknęłam okiennicę, założyłam chodniczek przed drzwiami, by śnieg nie mógł się pod niemi wciskać, poprawiłam ogień i, posłuchawszy z godzinę zduszonej furji wichru, zapaliłam świecę, wyciągnęłam Marmiona i zaczęłam czytać:

Dzień oświecił Norhamu wzgórek z zamkiem na szczycie,
Rzekę Tweed, co głęboki nurt swój toczy obficie

I gór Cheviot wyżynę skalistą.

Grube mury zamkowe i wieżycy obronna

I dokoła zamczyska wstęga wałów ochronna

Zajaśniały poświatą złocistą.

Tonąc w muzyce wiersza, zapomniałam wkrótce o burzy.

Usłyszałam jakiś hałas: to wiatr, pomyślałam, tak szarpie drzwiami. Ale nie; to January Rivers, nacisnąwszy klamkę, wyłaniał się z mroźnego huraganu, z wyjącej ciemnicy — i stał przede mną, wysoki, w zaśnieżonym płaszczu, biały jak góra lodowa. Zatrwożyłam się nieco, tak mało spodziewałam się tego wieczora jakiegoś gościa z zawianej doliny.

— Czy może jakie złe wiadomości? — zapytałam. — Czy się co stało?

— Nie. Jak bardzo łatwo pani się przestrasza — odpowiedział, zdejmując płaszcz i wieszając go przy drzwiach, ku którym zpowrotem nogą podsunął chodniczek. Tupiąc otrząsał śnieg z butów.

— Zabrudzę pani czystą podłogę — rzekł — lecz tym razem musi mi pani wybaczyć. — Przysunął się do

ognia. — Ciężką miałem przeprawę, aby się tu dostać, mogę panią zapewnić — mówił, grzejąc ręce nad płomieniem. — W jednym miejscu zapadłem do pasa; na szczęście śnieg jest jeszcze całkiem miękkim.

— Ale dlaczego pan przyszedł? — nie mogłam powstrzymać pytania.

— Niebardzo gościnne pytanie zadaje pani gościowi. Ale skoro pani pyta, odpowiem poprostu, że chciałem trochę z panią porozmawiać; zmęczyły mnie nieme książki i puste pokoje. Przytem od wczoraj doświadczam zaciekawienia osoby, która wysłuchawszy opowieści do połowy, niecierpliwie czeka dalszego ciągu.

Usiadł. Przypomniałam sobie dziwne jego zachowanie się wczorajsze i naprawdę zaczęłam się lękać, czy może umysł jego nie jest w zupełnym porządku. Jeżeli jednak był obłąkany, to był to obłęd wielce chłodny i spokojny. Nigdy nie widziałam takiego podobieństwa jego pięknej twarzy do rzeźby z marmuru, jak właśnie w tej chwili, gdy odgarniał zwilżone włosy, a blask płomienia igrał swobodnie po bladym jego czole i równie bladym i stroskanym obliczu. Czekałam, spodziewając się, że powie coś, coby mi mogła zrozumieć; on tymczasem podparł brodę ręką, a palcami zakrył usta: namyślał się. Uderzyło mnie to, że ręka jego była równie wychudzona jak twarz. Fala litości może nieproszona napłynęła mi do serca; pod jej wpływem powiedziałam:

— Chciałabym, ażeby Diana albo Marja mogła przyjechać i zamieszkać z panem. To źle, że pan jest tak zupełnie sam, a przytem pan się tak naraża i nie dba o swoje zdrowie.

— Wcale nie — odpowiedział. — Dbam o siebie w miarę. Jestem zdrów teraz. Co się pani we mnie nie podoba?

Powiedział to niedbale, z roztargnieniem i obojętnie, co mi dowiodło, że troskliwość moja, przynajmniej jego zdaniem, jest zbyteczna. Zamknęło mi to usta.

On tymczasem wciąż przesuwając palcem po górnej wardze, a wzrok jego sennie spoczywał na rozpalonym

ognisku. Uważając, że należy coś powiedzieć, zapytałam, czy nie wieje na niego od drzwi za jego plecami.

— Nie, nie! — odpowiedział krótko i nieco sucho.

„Dobrze — pomyślałam — jeżeli nie chcesz mówić, to możesz milczeć; zostawię cię w spokoju, wrócę do swej lektury.“

Niebawem January poruszył się; śledziłam jego ruchy. On jednak wyciągnął tylko portfel, dobył list jakiś, odczytał go w milczeniu, złożył, schował zpowrotem, i znowu popadł w zadumę. Niepodobna mi było czytać, mając taki żywy mebel przed sobą. Zniecierpliwiona nie mogłam usiedzieć spokojnie; choćbym się miała narazić na szorstką odprawę, muszę mówić.

— Czy Diana albo Marja pisały w ostatnich czasach?

— Nie, nie pisały od czasu tego listu, który pani pokazywałam tydzień temu.

— A czy nie zaszły jakie zmiany w zamiarach pańskich? Czy nie dostanie pan wezwania do opuszczenia Anglii wcześniej, niż się pan spodziewał?

— Niestety nie; taki szczęśliwy los nie stanie się moim udziałem.

Nic nie wskórawszy, zmieniłam temat. Postanowiłam mówić o szkole i o uczennicach.

— Matka Marysi Garret jest zdrowsza, Marysia przyszła do szkoły dziś rano; będę też miała od przyszłego tygodnia cztery nowe uczennice z odlewni, byłyby przyszły dzisiaj, gdyby nie ta śnieżycą.

— Doprawdy!

— Pan Oliver płaci za dwie.

— Płaci?

— Pan Oliver zamierza na Boże Narodzenie wyprawić dla całej szkoły poczęstunek.

— Wiem o tem.

— Czy to pan mu tę myśl podsunął?

— Nie.

— A więc kto?

— Przypuszczam, że jego córka.

— To na nią patrzy, ona taka poczciwa.

— To prawda.

Znowu nastąpiła pauza; zegar wybił ósmą. To jakby go obudziło; siadł prosto i zwrócił się do mnie.

— Niech pani odłoży na chwilę książkę, niech się pani przysunie trochę bliżej do ognia — rzekł.

Niezmiernie zdziwiona usłuchałam.

— Pół godziny temu — ciągnął dalej — mówiłem, że niecierpliwie czekam dalszego ciągu pewnej opowieści; po namyśle doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jeżeli ja będę opowiadał, a pani będzie słuchaczką. Zanim zacznę, muszę panią uprzedzić, że opowieść ta wyda się pani może potrosze znajomą; ale mniejsza z tem, znajoma czy nowa dla pani, w każdym razie jest krótka.

Dwadzieścia lat temu ubogi wikary, nie chodzi w tej chwili o jego nazwisko, zakochał się w córce bogacza. Ona, rozmiłowana w nim, poślubiła go wbrew woli rodziny, która skutkiem tego wyrzekła jej się natychmiast po ślubie. Zanim minęły dwa lata, młodzi małżonkowie zmarli oboje. Pochowano ich razem pod jednym grobowym kamieniem. (Widziałem ten grób na wielkim cmentarzu, okalającym ponurą, czarną od sadzy, starą katedrę przeludnionego przemysłowego miasta w hrabstwie X.) Pozostawili córkę. Dziecko to, zaraz po urodzeniu, Dobroczyńność przygarnęła do swojego łona — zimnego, jak te zasy py śnieżne, w których omal że nie zagrzałem dziś wieczór. Dobroczyńność zaniósła sierotę do domu jej bogatych krewnych ze strony matki; wychowywała ją wujenka, nazwiskiem (przechodzę teraz do nazwisk) Reed z Gateshead. Pani drgnęła, czy pani usłyszała jaki hałas? To może tylko szczur skrobie pod podłogą w sąsiedniej szkole: była to stodoła, zanim ją kazałem przerobić na szkołę, a w stodołach szczury lubią się trzymać... Pani Reed przez lat dziesięć chowała sierotę u siebie. Czy dziecku było tam dobrze czy źle, nie wiem, bo mi tego nie powiedziano, ale po upływie tego czasu przeniosła ją wujenka do miejscowości, dobrze pani znanej, gdyż mówię tu o szkole w Lowood, gdzie pani sama przebywała tak długo. Zdaje się, że tam sprawowała się

bardzo chwalebnie; z uczennicy została nauczycielką, tak samo zresztą, jak pani... istotnie, uderza mnie to, że tyle jest podobieństwa w jej dziejach z dziejami pani... Opuściła Lowood, żeby przyjąć miejsce nauczycielki; otóż tu znowu podobne wasze losy: podjęła się wychowania pupilki niejakiego pana Rochesterera.

— Panie Rivers!...

— Mogę odgadnąć pani uczucia — rzekł — ale niech je pani na chwilę opanuje; zaraz skończę; niech pani cierpliwie posłucha do końca. O charakterze pana Rochesterera nic nie wiem, wiem tylko ten jeden fakt: udał, iż ofiaruje uczciwe małżeństwo tej młodej dziewczynie, a ona dopiero przy ołtarzu odkryła, że on ma żonę żyjącą, chociaż warjatkę. Jak się następnie zachował, co mógł proponować, tu już tylko można snuć domysły. Gdy jednakże zaszedł wypadek, który z konieczności wywołał poszukiwanie nauczycielki, okazało się, że uciekła, a nikt nie umiał powiedzieć, kiedy, dokąd i jak. Opuściła Thornfield Hall nocą; wszelkie poszukiwania jej były nadaremne; okolicę przetrząśnięto na szerokiej przestrzeni; na żaden ślad wiadomości o niej nie można było natrafić. Tymczasem odnalezienie jej stało się ważnem i pilnem: podano ogłoszenia w pismach; ja sam otrzymałem list od niejakiego pana Briggsa, notariusza, list, podający mi te szczegóły, które właśnie opowiedziałem. Czy to nie dziwna opowieść?

— Jedno tylko niech mi pan powie — rzekłam — a skoro pan wie tyle, będzie pan z pewnością mógł mi to powiedzieć... co wiadomo o panu Rochesterze? Gdzie on jest? Co robi? Czy zdrów?

— Nie wiem nic o panu Rochesterze; w liście tyle tylko o nim wspomniano, że opowiada o swym oszukańczym i bezprawnym zamiarze ożenku. Niech pani raczej zapyta, jak się nazywa ta nauczycielka i jaki to ważny wypadek wymaga jej odszukania.

— Więc nikt się nie udawał do Thornfield Hall? Nikt się nie widział z panem Rochesterem?

— Przypuszczam, że nikt.

— Ale pisano do niego?

— Naturalnie.

— I co on odpisał? Kto ma jego listy?

— Pan Briggs mi donosi, że odpowiedź na swoje zapytania otrzymał nie od pana Rochester, ale od pewnej pani; list był podpisany: Alicja Fairfax.

Przejął mnie chłód, żal serce ścisnął; najgorsze moje obawy widocznie się sprawdzały: pan Rochester najprawdopodobniej opuścił Anglję i w rozpaczę przeniósł się gdzieś na kontynent. I czem zagłusza ciężkie cierpienia, jakiegoż upustu szuka tam dla silnych namiętności? Na to pytanie nie śmiałam sobie odpowiedzieć. O, mój biedny pan, niegdyś już prawie mój mąż, mój drogi Edward, tak go przecież często nazywałam!

— To musiał być niedobry człowiek — zauważył pan Rivers.

— Nie zna go pan, niech pan nie wypowiada sądu o nim — uniosłam się gorąco.

— Zgoda — odpowiedział spokojnie. — Coprawda, co innego mnie obchodzi, a nie ten pan; muszę opowiedzieć dokończyć. Skoro pani nie chce zapytać, jak się ta nauczycielka nazywa, muszę to pani sam powiedzieć. Niech pani zaczeka! mam tutaj to imię — zawsze najlepiej mieć ważne rzeczy wypisane czarno na białem.

I znowu z wolna wyciągnął portfel, otworzył go, przeszukał; z jednej przedziałki wyciągnął skrawek papieru, pośpiesznie oddarty: poznałam po plamach ultramaryny i karminu brzeżek arkusika, nakrywającego portret. Pan Rivers wstał, podsunął mi skrawek papieru przed oczy i wtedy wyczytałam, wypisane widocznie w jakiejś chwili roztargnienia mojem własnem pismem słowa „Joanna Eyre“.

— Briggs pisał do mnie o Joannie Eyre, ogłoszenia poszukują Joanny Eyre; ja znałam Joannę Elliott. Przyznaję, że miałem podejrzenia, ale dopiero wczoraj po obiedzie zamieniły się one w pewność. Pani przyznaje się do tego nazwiska i porzuca pani przybrane?

— Tak... tak; ale gdzie jest pan Briggs? Może on o panu Rochesterze wie coś więcej od pana!

— Briggs jest w Londynie. Wątpię, czy on wogóle wie cośkolwiek o panu Rochesterze; on się panem Rochesterem nie interesuje. A pani tymczasem zapomina o punktach ważnych, uganiając się za drobiazgami: pani nie pyta, dlaczego pan Briggs pani poszukuje, jaki mieć może interes do pani.

— No dobrze, czegoż on chce ode mnie?

— Chce panią tylko uwiadomić, że umarł stryj pani, pan Eyre z Madery; zostawił pani cały majątek i że pani jest teraz bogata; tylko tyle — nic więcej.

— Ja!... bogata?

— Tak jest... pani, bogata — prawdziwa dziedziczka.

Nastąpiło milczenie.

— Musi pani, oczywiście, dowieść swojej tożsamości — mówił po chwili dalej January. — Jest to krok, który nie przedstawia trudności, poczem może pani wejść w natychmiastowe posiadanie. Majątek pani umieszczony jest w papierach angielskich; Briggs ma testament i potrzebne dokumenty.

Otóż odwracała się nowa karta! Piękna to rzecz być przeniesioną jednym rzutem z nizin biedy na wyżyny bogactwa — ale nie odrazu człowiek to pojmuje i nie odrazu z tego korzysta.

A przytem słowa „zapis“, „spadek“ idą zawsze w parze ze słowami „śmierć“, „pogrzeb“... Stryj mój umarł, usłyszałam — jedyny mój krewny. Od chwili, gdy dowiedziałam się o jego istnieniu, stale cieszyłam się nadzieją, że kiedyś go zobaczę; teraz ta nadzieja rozwiąła się zupełnie. A pieniądze jego mnie się tylko dostawały; nie mnie i jakiejś radującej się rodzinie, lecz tylko mnie samej. Niewątpliwie był to hojny dar losu, a niezależność będzie rzeczą cudowną. Tak, to czułam, na tę myśl rośło mi serce.

— No, nareszcie rozchmurza się pani — powiedział pan Rivers. — Myślałem, że Meduza spojrzała na panią i zamieniła ją w kamień. A może teraz zapyta mnie pani, ile pani właściwie posiada?

— No, ileż właściwie posiadam?

— Ach, bagatelkę! Nie warto o tem wspominać... piszą, zdaje mi się, że dwadzieścia tysięcy funtów... ale cóż to jest?

— Dwadzieścia tysięcy funtów?

Oto nowy fakt zdumiewający, rachowałam na jakieś cztery, pięć tysięcy... Ta wiadomość, dosłownie, zatamowała mi oddech na chwilę: pan January (a nigdy nie słyszałam go śmiejącego się) śmiał się teraz.

— Doprawdy — rzekł — gdyby pani popełniła morderstwo, a jabym pani powiedział, że zbrodnia jej została odkryta, nie mogłaby pani mieć bardziej przerażonej miny.

— To wielka suma; czy pan nie sądzi, że zaszła tam jaka pomyłka?

— Niema żadnej pomyłki.

— Może pan źle cyfrę odczytał?

— Napisane jest literami, nie cyframi — dwadzieścia tysięcy.

Znowu uczułam się, jak ta osoba o przeciętnym apetycie, siadająca sama do uczy przy stole, zastawionym potrawami na sto osób. Pan Rivers wstał i włożył płaszcz.

— Gdyby nie taka okropna noc, przysłałbym tu Hannę, by pani dotrzymała towarzystwa. Wygląda pani tak nieszczęśliwie, że aż żal zostawiać panią samą. Ale Hanna, biedaczka! nie dałaby rady zaspom, tak jak ja: za krótkie ma nogi. A ja już muszę panią opuścić wraz z jej smutkami. Dobranoc!

Nacisnął klamkę: nagła myśl mnie uderzyła.

— Proszę, niech się pan jeszcze zatrzyma! — zawołałam.

— Bo co?

— Chciałabym wiedzieć, dlaczego pan Briggs pisał o mnie do pana właśnie. Chciałabym wiedzieć, skąd on pana zna i skąd mógł przypuścić, że pan, mieszkając w tak ustronnej miejscowości, może dopomóc w odszukaniu mnie?

— Ach, jestem duchownym — odpowiedział — a duchowni często bywają pytani o takie rzeczy.

Znowu brał za klamkę.

— Nie; to mnie nie przekonywa! — zawołałam; i rzeczywiście, w pośpiesznej i niczego nie wyjaśniającej odpowiedzi było coś, co zamiast zaspokoić moją ciekawość, jeszcze ją bardziej podniecało.

— To jakaś bardzo dziwna sprawa — dodałam — muszę się o tem czegoś więcej dowiedzieć.

— Kiedy indziej.

— Nie — dziś!... dziś!..

I gdy odwrócił się do drzwi, zagroziłam mu drogę. Wydawał się trochę zakłopotany.

— Ja pana stąd nie wypuszczę, dopóki mi pan wszystkiego nie powie — rzekłam.

— Wolałbym nie mówić o tem narazie.

— Powie pan wszystko! Musi pan mówić!

— Wolałbym, żeby to powiedziały pani Diana i Marja.

Oczywiście to wymawianie się doprowadziło zaciekawienie moje do szczytu. Musiałam usłyszeć całą prawdę i to niezwłocznie; powiedziałam mu to.

— Ależ ja pani mówiłem, że jestem człowiekiem twardym — wymawiał się. — Mnie niełatwo przekonać.

— A ja jestem twardą kobietą, mnie się niepodobna oprzeć.

— A przytem jestem zimny; żaden zapal mnie się nie ima.

— Zato ja jestem gorąca, a ogień rozpuszcza lód. Ten oto płomień stopił śnieg na pańskim płaszczu, tem samem woda spłynęła na podłogę, tak że ta podłoga wygląda teraz jak zdeptana ulica. Jeżeli pan chce, żebym panu wybaczyła zbrodnię zabrudzenia czystej podłogi mojej kuchenki, niech mi pan powie to, co pragnę wiedzieć.

— No, dobrze więc, ulegam — powiedział — ulegam pani wytrwałości: tak jak kamień ulega ciężarowi kropel wciąż kapiącej wody. Zresztą i tak kiedyś się

pani dowie — więc ostatecznie wszystko jedno, teraz czy później. Pani imię i nazwisko jest Joanna Eyre?

— Oczywiście; to jest ustalone.

— Może pani nie wie, że ja jestem pani imiennikiem?... że przy chrzcie otrzymałem imiona January Eyre Rivers?

— Nie, w istocie! Teraz sobie przypominam, że widziałam literę E przy pana nazwisku na książkach, mi pożyczonych, ale nigdy nie pytałam, jakie imię ona oznacza. Cóż stąd? Przecież...

Urwałam; nie śmiałam dać wiary, a tem mniej wypowiedzieć myśli, która mi się nagle zjawiała, ucieleśniła — i w jednej sekundzie stanęła, jako silne prawdopodobieństwo. Okoliczności się zbiegały, składały i porządkowały; łańcuch dotychczas nagromadzonych luźnych ogniw teraz wiązał się i prostował, każde ogniwo doskonale, związek zupełny. Wiedziałam instynktowo, jak sprawa stoi, zanim January przemówił:

— Moja matka była z domu Eyre; miała dwóch braci; jednego duchownego, który ożenił się z panną Joanną Reed z Gateshead, a drugiego Jana Eyre, kupca, zamieszkałego w Funchal na Maderze. Pan Briggs, notariusz pana Eyre, napisał do nas w sierpniu, donosząc nam o śmierci wuja i o tem, że wuj pozostawił swój majątek córce po bracie z pominięciem nas, z powodu nigdy niewybaczonego sporu pomiędzy nim a moim ojcem. A parę tygodni temu, donosząc, że sukcesorka zaginęła, zapytywał, czy czego o niej nie wiemy. Imię, napisane przypadkowo na skrawku papieru, dało mi możność odnalezienia jej. Resztę pani wie.

Znowu zabierał się do odejścia, ale ja plecami zastawiłam drzwi.

— Niech mi pan pozwoli mówić — rzekłam. — Niech przez chwilę odetchnę i zastanowię się.

Przerwałam — on stał przede mną z kapeluszem w rękę, dosyć spokojny. Zaczęłam znowu:

— Więc matka pańska była siostrą mojego ojca?

— Tak jest.

— Była zatem moją ciotką?

Skłonił się.

— Mój stryj Jan był pańskim wujem Janem? Pan, Diana i Marja jesteście dziećmi jego siostry, tak jak ja jestem dzieckiem jego brata?

— Niezaprzeczenie.

— Wy troje zatem jesteście mojem ciotecznem ro-
dzeństwem; połowa krwi naszej płynie z jednego źródła?

— Jesteśmy krewni; tak jest.

Przypatrzyłam mu się. Tak więc, zdawało się, odnalazłam brata; brata, z którego mogłam być dumna, brata, którego mogłam kochać; i dwie siostry, których zalety były takie, że nawet, gdy poznałam je jako zupełnie obce, powzięłam dla nich szczerę przywiązaną i podziw. O, jakież cudowne odkrycie dla biednej samotnicy! To naprawdę było bogactwo, bogactwo dla serca, kopalnia szczerých, czystých uczuć! To był błogostawiony dar niebios, jasny, żywy, uszczęśliwiający; niepodobny do ciężkiego daru złota — obfitego i pożądanego w swoim rodzaju, ale trzeźwiącego samym ciężarem. Klasnęłam w ręce z nagłej radości, pulsa we mnie zabiły silnie, drżałam cała.

— O, jakże się cieszę!... jak się cieszę! — zawołałam.

January uśmiechnął się.

— Czy nie mówiłem, że pani zaniedbuje rzeczy ważne, by uganiać się za drobnostkami? — zapytał. — Była pani spokojna, gdy pani oznajmiałem, że otrzymała pani majątek; a teraz rzecz bez znaczenia tak panią podnieca.

— Co też pan mówi! Może to nie mieć żadnego znaczenia dla pana. Pan ma siostry i nie dba o kuzynkę; ale ja nie miałam nikogo; a teraz troje krewnych, albo dwie kuzynki, jeśli pan nie chce dać się zaliczyć, przyszły mi nagle na świat, dorosłe. Jeszcze raz powtarzam: jak ja się cieszę!

Chodziłam szybko po pokoju. Nagle przystanąłam; tłoczyły się w mej głowie myśli, nabiegające prę-

dziej, niż mogłam je objąć, zrozumieć i uładzić: myśli o tem, co może, co powinno być i będzie — i to niezadługo. Tym, którzy mi ocalili życie, których dotychczas tylko kochałam, mogłam teraz wyświadczyć dobrodziejstwo. Dźwigali jarzmo, mogłam ich uwolnić; byli rozłączeni, mogłam ich połączyć: niezależność, dostatek, który mnie przypadł w udziale, mógł się stać także ich niezależnością, ich dostatkim. Czyż nie było nas czworo? Dwadzieścia tysięcy funtów równo podzielonych, dawało po pięć tysięcy aż nadto dla każdego; sprawiedliwości stałoby się zadość, wzajemne szczęście byłoby zapewnione. Teraz mi to bogactwo przestawało ciężać; teraz nie był to już spadek pieniężny jedynie — ale legat życia, nadziei, radości.

Jak wyglądałam, podczas gdy mnie te myśli brały szturmem w posiadanie, sama nie wiem. Zauważyłam jednak, że pan Rivers postawił za mną krzeselko i starał się delikatnie nakłonić mnie, bym usiadła. Prosił mnie także, bym się uspokoiła; odsunęłam jego rękę i chodziłam dalej.

— Niech pan napisze jutro do sióstr — rzekłam — i niech pan im powie, żeby natychmiast wracały do domu. Diana mówiła, że obie uważałyby się za bogate, mając każda po tysiąc funtów, to też mając po pięć tysięcy każda, będą doprawdy miały się dobrze.

— Niech mi pani powie, gdzie mogę dla pani zdobyć szklanek wody — powiedział January. — Pani musi doprawdy opanować się i uspokoić.

— Co tam! a jaki skutek wyrzuci ten spadek na panu? Czy zatrzyma to pana w Anglii i skłoni pana do ożenienia się z panną Oliver i czy osiadzie pan na miejscu, jak zwykły śmiertelnik?

— Pani mówi od rzeczy; w głowie się pani miesza. Ja zbyt nagle powiedziałem pani to wszystko; to panią wzruszyło i podnieciło ponad siły.

— Panie Rivers! ja już tracę cierpliwość. Mówię zupełnie rozumnie, to pan mnie nie rozumie, albo raczej udaje, że mnie nie rozumie!

— Może gdyby pani jaśniej rzecz wytłumaczyła, i ja lepiejbym zrozumiał.

— Wytłumaczyła! Co tu jest do tłumaczenia? Przecież pan musi rozumieć, że dwadzieścia tysięcy funtów, podzielonych równo pomiędzy siostrzeńca i trzy siostrzenice waszego wuja a mojego stryja, daje po pięć tysięcy każdemu? Czego ja zaś chcę, to żeby pan napisał do sióstr i doniósł im, jaki na nie spadł majątek.

— Na panią, chce pani powiedzieć.

— Ja już swój pogląd na rzecz wyjawiłam; nie potrafię go zmienić. Nie jestem brutalnie samolubna, ślepo niesprawiedliwa, ani szatańsko niewdzięczna. Przytem chcę mieć dom rodzinny i rodzinne związki. Lubię Moor House i będę mieszkała w Moor House; kocham Dianę i Marję i chcę się z nimi połączyć na życie. Uśmiecha mi się posiadanie pięciu tysięcy funtów, będzie dla mnie dobrodziejstwem mieć taką sumę. Natomiast dręczyłoby mnie i ciężałoby mi posiadanie dwudziestu tysięcy, które zresztą nigdy nie byłyby mojemi po sprawiedliwości, chociaż mogłyby być prawnie. Oddaję wam tedy to, co dla mnie jest absolutnie zbyteczne. Proszę mi się nie sprzeciwiać, proszę już o tem nie dyskutować; zgódźmy się pomiędzy sobą i zdecydujmy tę sprawę odrazu.

— Byłoby to działaniem pod pierwszym wrażeniem; pani potrzebuje dni całych, żeby rozważyć taką sprawę, zanim słowo pani będzie można uważać za wiążące.

— Ach! jeżeli pan tylko powątpiewa o mojej szczerości, to nie boli mnie o to głowa, ale pan uznaje słusność mojego zapatrywania?

— Pewną słusność uznaję; ale jest to przeciwne wszelkim zwyczajom. Zresztą cała ta fortuna jest prawnie pani własnością: wuj mój zdobył ją własną pracą, wolno mu było pozostawić ją, komu chciał; pozostawił ją pani. Ostatecznie słusność pozwala pani ją zatrzymać; może pani z czystym sumieniem uważać ją za bezspornie swoją.

— Dla mnie — odpowiedziałam — jest to sprawa zarówno uczucia, jak sumienia: ja muszę zaspokoić swoje uczucia; tak rzadko miałam po temu sposobność! Gdyby pan dowodził, sprzeciwiał się, męczył mnie przez rok, nie mogłabym wyrzec się cudownej przyjemności, która mi się uśmiechnęła, przyjemności odpłacenia wielkiego długu i pozyskania sobie przyjaciół na całe życie.

— Tak pani teraz myśli — odparł January — ponieważ pani nie wie jeszcze, co to znaczy posiadać, a więc i korzystać z bogactwa. Pani sobie nie wyobraża, jakie znaczenie nada pani posiadanie dwudziestu tysięcy, jakie miejsce w towarzystwie pozwoli to pani zajmować, jakie widoki to przed panią otworzy; pani nie może...

— A pan — przerwałam — pan nie może sobie wcale wyobrazić, jak ja tęskniłam za siostrzaną i braterską miłością. Ja nigdy nie miałam rodzinnego domu, nigdy nie miałam sióstr, ani braci. Muszę ich mieć, chcę ich mieć teraz: czy pan nie ma ochoty dopuścić mnie do tego, przyznać się do mnie?

— Joanno, będę twoim bratem, siostry moje będą ci siostrami, nie licząc na tę ofiarę z twych słusznych praw.

— Bratem? Tak; na odległość tysięcy mil! Siostrami? Tak; wysługującemi się obcym! Ja, bogata, dławiąca się złotem, na które nie zapracowałam, na które nie zasłużyłam! Wy, bez grosza! Znakomita równość i braterstwo! Ścisła łączność! Serdeczne przywiązanie!

— Ależ, Joanno, tęsknotę za węzłami rodzinnymi i szczęściem domowem możesz zaspokoić w inny sposób, niż w ten, który przewidujesz: możesz wyjść za mąż.

— To nonsens! Wyjść za mąż! Ja wcale nie pragnę wyjść za mąż! Ja nigdy nie wyjdę za mąż!

— Za wiele powiedziałaś; takie ryzykowne twierdzenie dowodzi, jak bardzo w tej chwili jesteś podniecona.

— Wcale za wiele nie powiedziałam: wiem, co czuję, i jak wstrętną jest dla mnie myśl o małżeństwie. Niktby się ze mną nie ożenił z miłości, a nie chcę być tylko przedmiotem pieniężnego targu. Zresztą nie nęcą mnie ludzie obcy, nie sympatyzujący ze mną, dalecy, różni mi naturą; potrzeba mi bliskich sobie i pokrewnych; takich, z którymi łączy mnie podobieństwo uczuć. Niech pan jeszcze raz powie, że chce mi być bratem. Gdy pan wymówił te słowa, czułam się zadowolona, szczęśliwa; niech pan je powtórzy, jeśli pan może, niech pan je powtórzy szczerze!

— Sądzę, że mogę. Wiem, że zawsze kochałem siostry, i wiem, na czym polega przywiązanie moje do nich — na uznaniu ich wartości i podziwie talentów. I ty masz zasady i duszę bogatą; w upodobaniach i przyzwyczajeniach podobna jesteś do Diany i do Marji; obecność twoja miła jest mi zawsze; w rozmowie z tobą już od pewnego czasu znalazłem zbawienną pociechę. Czuję, że łatwo i naturalnie mogę w sercu znaleźć miejsce dla ciebie, jako dla mojej trzeciej i najmłodszej siostry.

— Dziękuję: to mnie na dziś zadowala. A teraz lepiej, żebyś już poszedł, gdyż pozostając dłużej, możebyś mnie na nowo rozdrażnił nieufnym skrupułem.

— A szkoła, panno Eyre? Zapewne teraz trzeba będzie ją zamknąć?

— Nie. Zostanę tutaj, dopóki nie znajdzie się następczyni.

Uśmiechnął się z uznaniem: podaliśmy sobie ręce i pożegnał się.

Nie potrzebuję szczegółowo opowiadać, jakie jeszcze walki przyszło mi stoczyć, jakich argumentów musiałam używać, by sprawę spadku przeprowadzić tak, jak chciałam. Zadanie moje było bardzo trudne; ponieważ jednak postanowienie moje było niewzruszone, i krewni moi zrozumieli wkońcu, że ja nieodwołalnie chcę równego podziału, przeto wkońcu ustąpili o tyle, że zgodzili się całą sprawę poddać arbitrażowi. Na sędziów

obraliśmy pana Olivera i zdolnego prawnika; obaj zgodzili się na moje zdanie: wykonałam swoje plany, akta przewłaszczenia zostały spisane: January, Diana, Marja i ja, każde z nas posiadało teraz własność.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Tymczasem zbliżało się Boże Narodzenie: nadchodził okres ogólnych wakacyj. Zamknęłam szkołę w Morton, pamiętając, by nie zamykać jej pustą ręką. Powodzenie cudownie otwiera rękę, zarówno jak serce; a dać cośkolwiek, gdy się samemu otrzymało wiele, jest tylko daniem upustu niezwykłemu nagromadzeniu wrażeń. Oddawna z przyjemnością odczuwałam, że wiele wiejskich uczennic mnie lubi; przy rozstaniu potwierdziło się to moje wrażenie, okazywały bowiem przywiązanie wyraźnie i silnie. Sprawilo mi to głębokie zadowolenie, że rzeczywiście znalazłam miejsce w prostych ich sercach: przyrzekłam, że w przyszłości będę je co tydzień odwiedzała i dawała im w szkole co tydzień godzinę lekcji.

Pan Rivers nadszedł w chwili, gdy wypuściwszy dziewczęta — było ich obecnie sześćdziesiąt — i zamknawszy drzwi, stałam, zamieniając kilka słów specjalnego pożegnania z kilkoma najlepszymi uczennicami. Były to tak przyzwoite, uczciwe, skromne i dorzeczne dziewczęta, jakie tylko u brytyjskiego wiejskiego ludu można znaleźć. Bo też brytyjski wieśniak jest najlepiej wychowany, ułożony, najbardziej szanujący się z pośród równych sobie w Europie; widziałam później francuskie *paysannes*, niemieckie *Bäuerinnen*; najlepsze z nich wydały mi się ciemne, ordynarne i głupie w porównaniu z mojami dziewczętami z Morton.

— Czy uważasz, że otrzymałaś nagrodę za okres pracy? — zapytał January, gdy dziewczęta odeszły. — Czy poczucie, że spełniłaś coś istotnie dobrego w życiu twem i pokoleniu, sprawia ci przyjemność?

— Niewątpliwie.

— A trudziłaś się tylko kilka miesięcy! Czyż życie, poświęcone zadaniu uszlachetniania ludzkości nie byłoby dobrze spędzonym?

— Tak — odpowiedziałam — ale nie mogłabym zawsze w ten sposób ciągnąć dalej; potrzebuję rozwijać własne zdolności i cieszyć się nimi, a nietylko kształcić je u innych. Chcę się nimi teraz nacieszyć; nie odwołuję ani duszy mojej ani ciała do szkoły; skończyłam z nią i jestem w pełnym nastroju wakacyjnym.

Miał minę poważną.

— Co takiego? Jakaż to nowa gorliwość cię przejmuje? Co zamierzasz robić?

— Chcę być czynną: tak czynną, jak tylko można. A przedewszystkiem muszę cię prosić, byś uwolnił Hannę i wyszukał sobie jaką inną służącą.

— Czy jej potrzebujesz?

— Tak, chcę, żeby się ze mną do Morton House przeniosła. Diana i Marja za tydzień będą w domu, a ja chcę, ażeby na ich przybycie wszystko było uporządkowane.

— Rozumiem. Myślałem, że zamierzasz wyfrunąć na jakąś wycieczkę. Tak będzie lepiej: Hanna przyjdzie do ciebie.

— A więc powiedz jej, żeby była gotowa na jutro; tu oto jest klucz od szkoły; jutro rano oddam ci klucz od mojego domku.

Odebrał ode mnie klucz.

— Z wielką radością mi go oddajesz — rzekł. — Nie rozumiem dobrze, dlaczego ci tak lekko na sercu, ponieważ nie wiem, czem się teraz zamierzasz zająć. Jaki cel, jaką ambicję życiową masz przed sobą obecnie?

— Moim pierwszym celem będzie zabrać się do wielkich porządków (zechciej zrozumieć pełną siłę tego wyrażenia) — do wielkich porządków w Moor House od strychu do piwnic; moim następnym, przy pomocy wosku, terpentyny i rozmaitego sukna urządzić czyszczenie i tarcie, aż wszystko błyszczeć będzie; trzecim — ustawić, jak należy, każde krzesło, stół,

łóżko, ułożyć każdy dywan z matematyczną dokładnością; następnie chcę cię prawie zrujnować na węgiel i torf, ażeby dobrze opalić wszystkie pokoje; a wkońcu dwa dni ostatnie przed przyjazdem twych siostr poświęćmy z Hanną takiemu biciu jaj, wybieraniu rodzynków, tarciu korzeni, fabrykowaniu ciast świątecznych, przygotowywaniu materiałów na marcepany i innym kulinarnym rytuałom, o jakich słowa tylko słabe dać mogą pojęcie komuś takiemu, jak ty, niewtajemniczonemu. Słowem, wszystko ma być arcygotowe na przyjazd Diany i Marji przed czwartkiem; a moją ambicją jest przygotować im idealne wprost powitanie, gdy przybędą.

January uśmiechnął się lekko: mimo to był niezadowolony.

— Wszystko to bardzo dobre, jak na teraz — rzekł — ale na serjo, ufam, że gdy przeminie pierwszy pęd ożywienia, spojrzysz trochę wyżej ponad rodzinne czułości i gospodarskie uciechy.

— Najlepsze rzeczy w świecie! — przerwałam.

— Nie, Joanno, nie; ten świat nie jest miejscem używania; nie zapatruj się nań w ten sposób; ani też nie jest miejscem spoczynku; nie wpadaj w lenistwo.

— Przeciwnie, zamierzam być bardzo pracowitą.

— Joanno, wybaczam ci, jak na teraz: daję ci całe dwa miesiące na nieograniczone radowanie się swoim nowem stanowiskiem i na rozkoszowanie się urokiem tego późno odnalezionego pokrewieństwa. Ale potem mam nadzieję, że zaczniesz wyżej patrzeć, ponad Moor House i Morton i siostrzane towarzystwo i samolubny spokój i zmysłową wygodę kulturalnego dostatku. Mam nadzieję, że siła własnej energii zbudzi się znów w tobie i nie da ci spokoju.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

— January — rzekłam — mnie się zdaje, że ty jesteś trochę niepoczciwy, mówiąc w ten sposób. Mam ochotę czuć się szczęśliwa, jak królowa, a ty starasz się obudzić we mnie niepokój! I w jakim celu?

— Ażeby obrócić na pożytek talenty, powierzone od Boga twojej pieczy, z których z pewnością kiedyś za-

żąda ścisłego rachunku. Joanno, będę czuwał nad tobą bacznie i trwożnie — ostrzegam cię. Staraj się powściągać niepomierny zapał, z jakim rzucasz się w popolite przyjemności życia domowego. Nie czepiaj się tak uporczywie związków krwi; zachowaj wytrwałość i gorliwość dla okazji odpowiedniejszych; nie trwoń ich na poziome, przemijające cele. Czy słyszysz?

— Owszem; tak zupełnie, jakgdybyś mówił po grecku. Czuję, że mam odpowiednią przyczynę, by być szczęśliwą, i będę szczęśliwa. Dowidzenia!

Jakoż byłam szczęśliwa w Moor House i ciężko pracowałam z Hanną. Hanna była zachwycona, widząc, jak umiem żartować wśród zamieszania w domu, przewróconym do góry nogami — jak umiem szcztokować, okurzać, czyścić i gotować. I rzeczywiście, po jakichś dwóch dniach najgorszego zamętu, miło było stopniowo wyprowadzać porządek z chaosu, który stworzyliśmy same. Już poprzednio odbyłam podróż do S. po zakupno niektórych nowych mebli, mając od kuzynek *carte blanche* na zaprowadzenie zmian w domu. Zwyczajną bawialnię i pokoje sypialne pozostawiłam prawie tak, jak były, wiedząc, że Dianie i Marji więcej sprawi przyjemności, gdy zobaczą znowu stare, skromne stoły, krzesła i łóżka, niż jakieś eleganckie nowości. Coś nowego jednak było potrzeba, by powrót ich uświetnić. Ciemne ładne dywany i firanki, ustawienie pewnych, starannie wybranych sztuk starej porcelany i bronzów, nowe pokrycia mebli, lustra i toaletki na gotowalniach odpowiedziały temu celowi: pokoje wyglądały świeżo, lecz bez jaskrawości. Pewien nieużywany salonik i pokój sypialny umeblowałam całkiem na nowo, starym mahoniem z ponsowem obiciem: chodniki położyłam na korytarzach, dywaniki na schodach. Gdy wszystko było gotowe, pomyślałam, że Moor House jest tak doskonałym wzorem wesołej, skromnej elegancji nawewnątrz, jak był w tej porze szczytem zimowego ogołocenia i opustoszałej, smutnej pustki nazewnątrz.

Oczekiwany czwartek nadszedł nareszcie. Spodziewaliśmy się gości pod wieczór, i zanim mrok zapadł,

napaliliśmy na górze i na dole; kuchnia była w największym porządku, Hanna ubrana, ja również — wszystko było gotowe.

January przyszedł pierwszy. Prosiłam go, żeby się nie pokazywał w domu, dopóki wszystko nie będzie urządzone. I w istocie, sama myśl o zamęcie niemiłym a pospolitym wypłoszyła go skutecznie. Teraz zastał mnie w kuchni, pilnującej piekących się ciastek do herbaty. Zbliżywszy się do ogniska, zapytał, czy mam narzeczcie dosyć tej roboty pokojówki? Na to poprosiłam, by mi towarzyszył i obejrzał ogólny rezultat mojej pracy. Z pewnym trudem nakłoniłam go do obejścia domu. Ty le że zaglądał w drzwi, gdy je otwierałam; a gdy przeprowadziłam go po całym domu, na piętrze i na dole, powiedział, że musiałam sobie zadać dużo kłopotu i trudu, by tak wielkie zmiany poczynić w tak krótkim czasie; nie dodał jednakże ani słowa świadczącego, iż korzystna zmiana wyglądu jego domu sprawia mu przyjemność.

To milczenie uraziło mnie. Pomyślałam, że może poczynione zmiany zatarły pewne wspomnienia, które sobie ceniał. Zapytałam, czy tak jest istotnie, — a niewątpliwie zadałam to pytanie głosem nieco zniechęconym.

— Bynajmniej; uważałem przeciwnie, że dbałaś skrupulatnie o to, ażeby nic dawniejszego nie zmieniać; może nawet poświęciłaś na to więcej myśli, aniżeli było warto. Ile minut, naprzykład, zajęło ci zastanowienie się nad urządzeniem chociażby tego pokoju?... Ale... ale... czy nie możesz mi powiedzieć, gdzie jest...

Tu nazwał mi tytuł książki poszukiwanej; pokazałam mu tom ten na półce; wziął go, i cofnąwszy się do kąta pod oknem, zagłębił się w czytaniu.

Otóż przyznaję, że to mi się nie podobało. January był dobrym człowiekiem; zaczęłam jednak odczuwać, że powiedział prawdę, mówiąc, że jest twardym i zimnym. Ludzkie, miłe strony życia nie pociągały go wcale, spokojna radość dnia powszedniego nie miała dla niego po-

wabu. Żył dosłownie tylko aspiracjami do spraw wielkich to prawda, ale nigdy, pomyślałam, nie zazna spokoju, nigdy nie pochwali go u otoczenia. Patrząc na jego wysokie czoło, gładkie i blade, jak z białego kamienia, na jego piękne rysy, skupione przy czytaniu, zrozumiałam nagle, że dobrym mężem onby nie był, że ciężką byłaby dola jego żony. Zrozumiałam, jakgdyby w natchnieniu, istotę jego miłości do panny Oliver; przyznałam mu słuszność, że była to tylko miłość zmysłowa. Zrozumiałam, jak musi pogardzać sobą za wpływ, jaki ta miłość podniecająca nań wywiera; jak musi pragnąć zduszenia jej i zgaszenia; jak musi wątpić, czy ta miłość prowadzi do stałego jej szczęścia lub jego. Pojęłam, że był on z tego materiału, z którego natura wykuwa bohaterów — swoich prawodawców, statystów i zdobywców. Tacy bohaterowie są jak silny fundament, na którym opierać się mogą wielkie sprawy, ale przy domowym ognisku aż nazbyt często bywają zimną, zawadząjącą kolumną, chmurną i nie na swoim miejscu.

„Ten pokój bawialny to nie jego sfera — rozmyślałam. — Himalaje, gęszcze krainy Kafrów, nawet zarażone bagniska na wybrzeżu Gujany odpowiadałyby mu lepiej. Nie dziw, że unika spokoju życia domowego, bo to nie jego żywioł: w niem siły jego i talenty drzemią, nie mogą się rozwinąć i wykazać wartości. W walce i niebezpieczeństwie — tam gdzie trzeba odwagi, energii, męstwa — tam będzie przemawiał, tam będzie działał, jako przewodnik i zwierzchnik. Przy tem ognisku mniej on waży, niż dziecko. Ma słuszność, że wybrał karierę misjonarza, teraz go rozumiem.“

— Jada! jada! — zawołała Hanna, otwierając drzwi bawialni. W tej samej chwili stary Carlo zaszczekał radośnie. Wybiegłam. Ciemno już było, ale słyhać było turkot kół. Hanna nadeszła z latarnią. Powóz stanął przed furtką; naprzód jedna znajoma postać wysiadła, potem druga. W jednej chwili twarz wciskałam pod ich kapelusze, napotykając najpierw gładki policzek Marji, potem rozwiane loki Diany. One śmiały się, całowały mnie, całowały Hannę, pieściły Carla, który szalał z ra-

dości, dopytywały, czy wszystko dobrze, a gdy je zapewniłam, że jak najlepiej, pośpiesznie weszły do domu.

Zesztywniały od jazdy z Whiteross i zziębły na mroźnym nocnym powietrzu; jednakże miłe ich twarzyczki rozpromieniły się w błogiem świetle ognia. I gdy woźnica z Hanną wnosili kuferki, zapytały o Januarego. W tej chwili wyszedł z bawialni. Odrazu obie zarzuciły mu ręce na szyję. Złożył na twarzy każdej z nich po jednym spokojnym pocałunku, wypowiedział cicho parę słów powitania, stał przez chwilę, podczas gdy do niego mówiły, a potem, zauważywszy, że zapewne wkrótce przyjdą do bawialnego, cofnął się tam, niby do bezpiecznego schronienia.

Zaprowadziłam kuzynki na górę. Zachwycone były odnowieniem i przyozdobieniem swoich pokoi — nową portjerą, świeżemi dywanami, pięknymi porcelanowymi wazonami; nie skąpiły wyrazów zadowolenia i zachwytu. A mnie było przyjemnie czuć, że to, co urządziłam, odpowiadało dokładnie ich życzeniom i dodawało uroku radosnemu ich powrotowi do domu.

Miły był ten wieczór. Moje kuzynki, rozweselone, były tak rozmowne, tyle opowiadały, tyle robiły uwag, że ich ożywienie pokrywało małomówność Januarego. January szczerze był rad siostrom; ale ich radosnego zapału nie umiał podzielać. W chwili, kiedy zabawialiśmy się w najlepsze, było to może w godzinę po herbacie, rozległo się stukanie do drzwi. Hanna weszła, oznajmiając, że przyszedł biedny chłopak i prosi, żeby pan Rivers odwiedził jego matkę, „której się już niewiele należy”.

— Gdzie ona mieszka, Hanno?

— Prosto pod Whiteross Brow, prawie cztery mile stąd, przez całą drogę idzie się torfowiskami.

— Powiedzcie mu, że pójde.

— Z przeproszeniem, proszę pana, lepiejby pan nie szedł. To najgorsza droga, tak po nocy; niema tam żadnej ścieżki przez trzęsawisko. A potem, to taka zimna noc, wiatr taki ostry. Lepiejby pan powiedział, że pójdzie jutro rano.

Januاری tymczasem był już na korytarzu i nakładał płaszcz; nie wymawiając się, nie szemrząc, wyruszył w drogę. Była wtedy godzina dziewiąta; wrócił dopiero o północy. Wygłodzony, zmęczony był porządnie; ale minę miał pogodniejszą, niż gdy wychodził z domu. Spełnił obowiązek; dokonał wysiłku; poczuł własną siłę w czynie i w poskramianiu siebie i bardziej był sam ze sobą w zgodzie.

Zdaje mi się, że cały następny tydzień cierpliwość jego mocno wystawiał na próbę. Był to tydzień święteczny; nie przedsiębrałyśmy żadnej stałej roboty, lecz spędzałyśmy czas na wesołym próżniactwie. Powietrze wzgórz rodzinnych, swoboda własnego domu, poczucie dostatniego losu, wszystko to oddziaływało na humor Diany i Marji, jak kordjał, ożywczy; były wesołe od rana do południa i od południa do wieczora. Rozmawiały ustawicznie; a ich rozmowa dowcipna, treściwa, oryginalna miała dla mnie taki urok, że wolałam jej słuchać i brać w niej udział, niż robić cośkolwiek innego. Januاری nie wymawiał nam ożywienia, ale stronił od nas. Rzadko bywał w domu; parafja jego była rozległa, ludność rozproszona, zawsze znajdował więc zajęcie, odwiedzając chorych i biednych.

Pewnego ranka przy śniadaniu Diana, która czas jakiś siedziała zamysłona, zapytała brata, czy zamiary jego czasem nie uległy zmianie.

— Nie uległy i nie mogą ulec — odparł. I powiadomił nas, że wyjazd jego z Anglii był już teraz stanowczo oznaczony na rok następny.

— A Rozamunda Oliver? — zapytała Marja.

Słowa te widać wymknęły jej się mimowoli, gdyż za ledwie je wyrzekła, uczyniła gest, jakby je chciała odwołać. Januاری trzymał książkę w ręku — miał ten nieładny zwyczaj czytania przy jedzeniu — zamknął ją i podniósł czoły.

— Rozamunda Oliver — powiedział — wyjdzie wkrótce zamąż za pana Granby, jednego z najlepiej ustosunkowanych i szanowanych mieszkańców miasta S.,

wnuka i spadkobiercę sir Fryderyka Granby: wczoraj znalazł mi to jej ojciec.

Siostry popatrzyły na siebie i na mnie; wszystkie trzy spojrzaliśmy na niego: opanowany był i pogodny zupełnie.

— To małżeństwo musiało być pośpiesznie sklejone — zauważyła Diana. — Nie mogli się znać długo.

— Tylko dwa miesiące; poznali się w październiku, na balu w S. Gdzie jednak niema żadnych przeszkód, jak w tym wypadku, gdzie związek jest zewszeczmiar pożądanym, zwłoka jest niepotrzebna. Pobiorą się, gdy tylko dom w majątku, który im dziadek oddaje, na ich przyjęcie będzie odświeżony.

Gdy po raz pierwszy po tej wiadomości znalazłam się sam na sam z Januarym, miałam ochotę zapytać go, czy to wydarzenie sprawiło mu przykrość. Zdawało się jednak, że on mało potrzebuje współczucia, dlatego daleka od zaofiarowania mu go teraz, odczułam wstyd na wspomnienie tego, co kiedyś zaryzykowałam. Przytem wyszłam z wprawy w rozmawianiu z Januarym: zamarzył znów pod powłoką powściągliwości, a wobec tego i moja szczerość zamarzła. Nie dotrzymał przyrzeczenia, że będzie mnie traktował narówni z siostrami; stale zaznaczał drobne, ochładzające różnice między nami, co także nie przyczyniało się do większej serdeczności, słowem, teraz, kiedy byłam uznana jego krewniaczką i żyłam z nim pod jednym dachem, czułam, że o wiele dalsi sobie jesteśmy, niż gdy widział we mnie tylko nauczycielkę wiejską. Gdy sobie przypomiinałam, jakim dawniej obdarzał mnie zaufaniem, pojąć nie mogłam obecnego jego lodowatego chłodu.

To też niemało się zdziwiłam, gdy podniósłszy nagle głowę z ponad książki, przemówił do mnie:

— Jak widzisz, Joanno, walkę stoczyłem i odniosłem zwycięstwo.

Zaskoczona tem odezwaniem się, dopiero po chwili odparłam:

— Czy tylko jesteś pewien, że nie jesteś w położeniu tych zwycięzców, których triumfy kosztowały ich

zbyt wiele? Czy drugie takie zwycięstwo nie zgubiłoby ciebie?

— Myślę, że nie; a gdyby nawet, nie miałoby to wielkiego znaczenia. Zresztą nigdy już nie będę potrzebował walczyć po raz drugi. Wynik starcia jest rozstrzygający: droga przede mną wolna; dziękuję za to Bogu!

Rzekłszy to, powrócił do swoich papierów i pograżył się w milczeniu.

Skoro stopniowo zadowolenie nasze wzajemne (t. j. Diany, Marji i moje) przeszło w spokojniejszy nastrój i gdy powróciliśmy do dawnych zwyczajów i zajęć, January zaczął więcej przesiadywać w domu: siadywał w tym samym z nami pokoju, niekiedy całymi godzinami. Marja rysowała, Diana zatapiała się w czytaniu poważnych ksiąg (ku zdumieniu mojemu i przerażeniu), a ja kułam niemiecczyznę, on zaś zagłębiał się w jakieś tajemnicze studjum; uczył się jakiegoś wschodniego języka, który miał się okazać potrzebny na misjach.

Tak zajęty w swoim kąciku, wydawał się dosyć spokojny i pochłonięty pracą; jednakże te niebieskie oczy miały zwyczaj uciekać od cudzoziemskiej gramatyki i pomykać ku nam, a niekiedy przenikać nas z dziwnie wnikliwą obserwacją: schwywane, cofały się natychmiast, poczem od czasu do czasu powracały znowu badawcze. Dziwiłam się, nie rozumiejąc, co to znaczy; dziwiłam się też temu zadowoleniu, jakiego nigdy nie omieszkiwał okazać przy drobnej zresztą sposobności, mianowicie ilekroć wybierałam się na cotygodniowe odwiedziny szkoły w Morton. A jeszcze więcej zastanawiało mnie to, że gdy dzień był słotny, gdy śnieg padał albo deszcz, albo gdy dął silny wiatr, a siostry jego nalegały, bym nie wychodziła, żartował lekko z ich troskliwości i zachęcał mnie do spełnienia zadania bez względu na niepogodę.

— Joanna nie jest takim słabeuszem, jakiego wybyście z niej chciały zrobić — mawiał wtedy. — Zniesie wiatr górski, zniesie trochę deszczu, parę płatków śniegu, tak jak każde z nas. Ma organizm zdrowy i odpor-

niejszy na zmiany klimatu niż niejeden napozór silniejszy.

Gdy zaś wracałam, niekiedy bardzo zmęczona, zbita wiatrem, przemoczona, nigdy nie śmiałam się uskarżać, gdyż wiedziałam, że utyskiwanie go drażni; zawsze i wszędzie pochwalał męstwo i wytrzymałość, a słabość i miękkość potępiał.

Raz po obiedzie pozwolono mi jednakże zostać w domu, gdyż istotnie byłam zakatarzona. Siostry Januarya w mojem zastępstwie poszły do Morton, ja siedziałam i czytałam Szyllera; January mozolił się nad wschodnimi manuskryptami. Przechodząc od tłumaczenia do wypracowania, przypadkiem rzuciłam okiem w jego stronę; i oto znalazłam się w promieniu spojrzenia tych wiecznie badawczych niebieskich oczu. Od jak dawna przenikał mnie niemi nawylot, tego nie wiem: spojrzenie było tak bystre, a jednak tak zimne, że przez chwilę uczułam lęk zabobonny, jakgdybym siedziała w pokoju z czemś niesamowitem.

— Joanno, co ty robisz?

— Uczę się niemieckiego.

— Wolałbym, żebyś porzuciła niemieckie, a uczyła się hindustańskiego.

— Czy serjo to mówisz?

— Tak dalece serjo, że musisz mnie posłuchać; powiem ci, dlaczego.

Tu zaczął mi tłumaczyć, że sam obecnie uczy się języka hindustańskiego; lecz boi się, że w miarę postępów gotów zapomnieć początków. Otóż bardzoby mu było na rękę mieć uczennicę, z którą mógłby powtarzać początki i tym sposobem wbić je sobie dobrze w pamięć. Wahał się pewien czas w wyborze pomiędzy mną a siostrami; wkońcu wybrał mnie, ponieważ widział, że ja z nas trzech najdłużej przysiedzieć potrafię nad jakimś zadaniem. Czy zrobię mu tę łaskę? — pytał. Może to poświęcenie nie będzie długo trwało, gdyż teraz już tylko trzy miesiące pozostają do jego odjazdu...

January należał do ludzi, którym trudno odmówić. Czułam, że każdą przyjemność czy przykrość jemu wy-

rzadzoną głęboko i trwale zapisuje w pamięci. Zgodziłam się przeto. Diana dowiedziawszy się, że uczennica jej przeszła do jej brata, śmiała się — i obie z Marją przyznały, że January nigdyby ich do podobnego kroku nie zdołał nakłonić.

— Wiedziałem o tem zgóry — odpowiedział spokojnie.

Znalazłam w Januarym bardzo cierpliwego, względnego, ale wymagającego nauczyciela: wiele się po mnie spodziewał. Gdy zaś spełniłam jego oczekiwania, on na swój sposób nie szczędził mi wyrazów uznania. Stopniowo uzyskał pewien wpływ na mnie, pozbawiający mnie swobody ducha: jego pochwała i wyróżnienie krępowały silniej niż jego obojętność. Nie mogłam już teraz rozmawiać i śmiać się swobodnie w jego obecności, ponieważ jakieś nieznośne, narzucające się poczucie przypominało mi, że January nie lubi ożywienia (przynajmniej we mnie). Byłam tego tak świadoma, że on pochwała tylko nastroj poważny i zajęcia poważne, że nie potrafiłam, chociaż nawet chciałam, gdy on był obecny, zachować się inaczej; byłam jak urzeczona pod mrozącym jakimś urokiem. Gdy powiedział „idź”, odchodziłam, „przyjdź”, przychodziłam, „rób to”, robiłam natychmiast. Ale nie kochałam tej niewoli; nieraz wzdychałam, żałując, że stałam się przedmiotem jego uwagi.

Pewnego wieczora przy rozejściu się stałyśmy dookoła niego, mówiąc mu dobranoc. Pocałował każdą z sióstr, jak to miał w zwyczaju, i również, jak to miał w zwyczaju, podał mi rękę. Diana, będąc w owej chwili w żartobliwym nastroju, zawołała nagle:

— January! Nazwałeś Joasię swoją trzecią siostrą, ale nie traktujesz jej po bratersku: powinienes i ją całować!

I popchnęła mnie ku niemu. Pomyślałam, że Diana jest nieznośna, i zażenowałam się; January tymczasem pochylił głowę, grecka twarz jego znalazła się na poziomie mojej, oczy jego przenikliwie zapytały moich oczu — i pocałował mnie. Niema na świecie pocałunków marmurowych ani lodowatych, inaczej takbym

określiła pocałunek mojego kuzyna, duchownego; ale mogą być pocałunki próbne, a jego pocałunek był takim pocałunkiem próbnym. Pocałowawszy, popatrzył na mnie, ciekawy wrażenia. Wrażenie było niewielkie: jestem pewna, że wcale się nie zarumieniłam; może raczej pobladłam, gdyż w pocałunku tym odczułam niby pieczęć, przyłożoną do moich więzów. Odtąd January nigdy nie pomijał tej ceremonji, a powaga i spokój, z jakim ją przyjmowałam, zdawały się mieć pewien urok w jego oczach.

Ja zaś z dniem każdym coraz bardziej pragnęłam mu dogodzić. Ale też czułam coraz więcej, że dla tego celu muszę się zaprzecć połowy swej natury, zdusić połowę władz duszy, upodobania oderwać od pierwotnych skłonności i zmusić się do dążeń i zajęć, do których nie miałam wrodzonego powołania. January chciał mnie podciągnąć na wyżyny, niedosiężne dla mnie; męką było dla mnie podążanie do mety, którą mi wskazywał. Osiągnięcie jej było dla mnie takim niepodobieństwem, jak przekształcenie moich nieregularnych rysów na wzór jego klasycznych, albo nadanie moim zielonym oczom błękitnej barwy morza i uroczystego spojrzenia jego własnych.

Jednakże nietylko wpływ Januarego dręczył mnie obecnie. W ostatnich czasach nie było mi trudno być smutną: robak załagł się w sercu i wysysał u źródła wszelką mą radość; tym robakiem był niepokój i oczekiwanie.

Może kto pomyśli, że wpośród tych zmian miejsca i losu zapomniałam o panu Rochesterze? Ani na chwilę. Myśl o nim towarzyszyła mi stale, gdyż nie była to mgła, którą słońce mogło rozproszyć, ani rysunek na piasku, który burza zwiać mogła, ale imię, wyryte na trwałym marmurze. Gorące pragnienie dowiedzenia się, co się z nim stało, szło wślad za mną wszędzie; w Morton co wieczór ze szkoły wracałam do domku, ażeby o tem rozmyślać; a teraz w Moor House co wieczór zdążałam do sypialni, ażeby pogrążyć się w smutnych rozważaniach.

W toku mojej korespondencji z panem Briggsem zapytywałam, czy nie wie, gdzie obecnie pan Rochester może przebywać i czy jest zdrow; ale jak słusznie January przypuszczał, on o niczem, co dotyczyło pana Rochester, nie wiedział. Wtedy napisałam do pani Fairfax, błagając ją o wiadomości. Byłam pewna szybkiej odpowiedzi; zdziwiłam się, gdy minęły dwa tygodnie bez odpowiedzi, ale po upływie dwu miesięcy, gdy poczta codzienna nie przynosiła nic dla mnie, ogarnął mnie najżywszy niepokój.

Napisałam powtórnie, przypuszczając, że może pierwszy mój list zaginął. Znowu odżyła nadzieja i znowu się zawiodłam; nie doszedł mnie ani jeden wiersz, ani jedno słowo. Po półrocznem daremnym oczekiwaniu nadzieja moja zagasła i poczułam, że ogarniają mnie ciemności.

Piękna wiosna jaśniała dokoła mnie, ale ja się nią cieszyć nie mogłam. Zbliżało się lato; Diana starała się mnie rozweselić. Twierdziła, że źle wyglądam, i pragnęła zawieźć mnie nad morze. Temu sprzeciwiał się January; twierdził, że nie potrzebuję rozrywki, ale zajęcia, gdyż obecne moje życie zbyt jest bezcelowe, a mnie właśnie celu w życiu potrzeba. Przypuszczam, że chcąc ten brak zapełnić, przedłużył lekcje hindustańskiego i jeszcze usilniej wymagał gruntownego przygotowania, ja zaś, niemądra, ani nie pomyślałam o sprzeciwieniu się, poprostu nie mogłam mu się sprzeciwić!

Pewnego dnia przyszłam na naukę bardziej niż zwykle przygnębiona z powodu głęboko odczutego zawodu. Hanna powiedziała mi rano, że jest list dla mnie, jednakże gdy zesłam nadół, by go odebrać, prawie pewna, że to dawno oczekiwana wiadomość nadchodzi nareszcie, okazało się, że to tylko mało znaczący list w interesie od pana Briggsa. Gorzki zawód wycisnął mi kilka łez; a teraz, gdy siedziałam nad niewyraźnem, pełnem zakrętasów pismem hinduskiego pisarza, oczy moje znowu wezbrały łzami.

January wezwał mnie ku sobie i kazał mi czytać; starałam się posłuchać, ale głos mnie zawiódł: słowa

moje przeszły w łkanie. January i ja byliśmy sami tylko w bawialni. Diana ćwiczyła się w muzyce w saloniku, Marja pracowała w ogródku, gdyż dzień był piękny, majowy, jasny, słoneczny, lekko wietrzny. Towarzysz mój nie okazał zdziwienia na widok mojego wzruszenia, ani też nie zapytał mnie o powód; powiedział tylko:

— Poczekam kilka minut, Joanno, aż się uspokoisz.

Gdy ja jak najspieszniej opanowywałam ten szloch, on siedział cicho i cierpliwie, oparty o stół, i patrzył na mnie jak lekarz, obserwujący okiem uczonego spodziewany i zupełnie rozumiały przejaw choroby pacjenta. Zdusiwszy łkanie, otarłszy oczy i bąknąwszy coś o tem, że niezupełnie dobrze czuję się dziś rano, powróciłam do czytania. Udało mi się je dokończyć. January odłożył moje książki i swoje, zamknął sekretarzyk i powiedział:

— A teraz, Joanno, pójdziesz na przechadzkę, i to ze mną.

— Zawołam Dianę i Marję.

— Nie; mnie dziś rano tylko jednej towarzyszki potrzeba, a mianowicie ciebie. Ubierz się, wyjdź kuchennymi drzwiami, idź w górę przez dolinę: ja ciebie za chwilę dogonię.

Nie znam nic pośredniego; nigdy w życiu nie znałam pośredniej drogi w stosunkach ze stanowczemi, twardemi charakterami, przeciwnemi mojemu, — pomiędzy absolutną uległością a zdecydowanym buntem. Zawsze wiernie pilnowałam drogi uległości, dopóki z wulkaniczną nieledwie gwałtownością nie przerzucałam się w drugą ostateczność. Ponieważ w tych okolicznościach i w obecnym nastroju nic mnie nie skłaniało do buntu, więc zastosowałam się posłusznie do wskazówek Januarego i w dziesięć minut później kroczyłam obok niego dziką ścieżką wijącą się wśród doliny.

Wietrzyk powiewał z zachodu; płynął od wzgórz, niosąc słodką woń kwiatnych łąk; niebo było jasne, błękitne; potok wzdłuż wąwozu, zasilony wiosennymi deszczami, płynął obfity i czysty, zapożyczając złotych połysków od słońca, szafirowych barw od nieba. W mia-

rę jak posuwaliśmy się i opuszczali ścieżkę, zaczęliśmy stąpać po miękkiej murawie, delikatnej i szmaragdowo zielonej, usianej drobnym, białym kwiatkiem i tu i ówdzie gwiazdzistym żółtym; wzgórze tymczasem zupełnie nas otoczyły, gdyż wąż w górnej części skręcał w sam ich środek.

— Odpocznijmy tutaj — odezwał się January, gdy dotarliśmy do pierwszych skał, stojących na straży u przejścia, poza którem potok spadał kaskadą.

Usiadłam; January stał obok mnie. Wodził wzrokiem wzwyż wąwozu i wdół po dolinie; spojrzenie jego błądziło za biegiem strumienia i wracało, obejmując bezchmurne niebo, które ten strumień barwiło: zdjął kapelusz, pozwolił wietrzykowi zburzyć sobie włosy i musnąć czoło. Zdawało się, że się jednoczy z duchem tego ustronia: oczyma coś żegnał.

— Ujrę to znowu — rzekł głośno — w snach, gdy spać będę nad brzegiem Gangesu; i jeszcze znowu w odleglejszej godzinie, gdy inny sen nachodzić mnie będzie — nad brzegiem ciemniejszej rzeki!

Dziwne słowa, dziwna miłość! Surowego patrioty namiętna miłość ojczyzny! Siadł; przez pół godziny nie rozmawialiśmy wcale; poczem January znów zaczął:

— Joanno, za sześć tygodni wyruszam; zakupiłem miejsce na okręcie, odchodzącym do Indyj Wschodnich 20 czerwca.

— Bóg się będzie opiekował tobą — odpowiedziałam — gdyż Jego dzieło podejmiesz.

— Tak — odparł — w tem moja chwała i radość. Jestem sługą nieomylnego Pana. Nie wychodzę pod kierownictwem ludzkim, podległy niedoskonałym prawom i błędzącym rządóm moich ułomnych bliźnich; moim królem, moim prawodawcą moim wodzem jest Najdoskonalszy. Mnie się dziwnem wydaje, że otoczenie nie goreje pragnieniem zaciągnięcia się pod ten sam sztandar, uczestniczenia w tem samym przedsięwzięciu.

— Nie wszyscy mają twe siły, a byłoby szaleństwem, gdyby słabi chcieli maszerować w jednym rzędzie z silnymi.

— Ja nie mówię do słabych, ani też o nich nie myślę; przemawiam jedynie do tych, którzy są godni dzieła i zdołają je wykonać.

— Takich liczebnie jest niewiele, a odkryć ich niełatwo.

— Prawdę mówisz; ale gdy się ich odnajdzie, należy ich budzić — skłaniać i wzywać do wysiłku — wytłumaczyć im, czem są dary, które posiadają, i dlaczego zostały im dane. Należy uszom ich wieścić wezwanie niebieskie, ofiarowywać im z Bożego zlecenia miejsce w zastępie Jego wybranych.

— Jeżeli są istotnie powołani do tego zadania, czyż własne serca nie powiedzą im najpierw o tem?

— A co twoje serce ci mówi? — zapytał.

— Moje serce milczy, moje serce milczy — odpowiedziałam zaskoczona i drżąca.

— Więc ja muszę za nie przemówić — ciągnął dalej głos nieubłagany. — Joanno, udaj się ze mną do Indyj; udaj się ze mną, jako pomocnica moja i współpracowniczka.

Wąwóz i niebo zawirowały mi przed oczami; zachwiały się góry! Było mi, jakgdybym posłysziała wezwanie z nieba, jakgdyby jawił się poseł, jak ów w Macedonji, i wygłosił: „Przejdź do nas i dopomagaj nam!” Ale ja nie byłam apostołem, nie mogłam ujrzeć zesłańca, nie mogłam przyjąć jego wezwania.

— O, January! — zawołałam — miejże choć trochę litości!

Jednakże zwracałam się do człowieka, który, pełniąc to, co uważał za swą powinność, nie znał ani litości ani wyrzutu sumienia.

— Bóg i natura — ciągnął dalej — przeznaczyli ciebie na żonę misjonarza. Nie powierzchownych, fizycznych, ale duchowych udzielono ci darów. Jesteś stworzona do pracy, nie do miłości. Żoną misjonarza musisz być — i będziesz. Będziesz moją; ja ciebie biorę nie dla swej przyjemności, ale dla służby mojego Pana.

— Nie jestem do tego zdolna; nie mam powołania — odparłam.

Nie rozdrażniły go te pierwsze zarzuty, gdyż je przewidział. Istotnie, oparty plecami o głaz, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, twarzą spokojną, był przygotowany na długi i męczący opór i uzbroił się w cierpliwość, mającą mu służyć do końca. Widziałam jednak, że postanowił walczyć aż do zwycięstwa.

— Pokora, Joanno — mówił — to podstawa cnót chrześcijańskich. Słusznie mówisz, że nie jesteś zdolna do spełniania tego dzieła. Któż bo jest do tego zdolny? Albo kto, kiedykolwiek, prawdziwie powołany, uważał, że godny jest wezwania? Ja, na przykład, jestem tylko prochem i popiołem. Wraz z świętym Pawłem uważam się za największego z grzeszników; temu poczuciu własnej marności nie daję się jednak pognebić. Znam Wodza: wiem, że jest równie sprawiedliwy jak potężny; a skoro wybrał słabe narzędzie do spełnienia wielkiego zadania, z nieograniczonych bogactw swojej opatrności zasili skąpość środków do tego celu. Myśl tak jak ja, Joanno, ufaj, tak jak ja. Oprzyj się o Przedwieczną Skałę; nie wątpij, że udźwignie ona ciężar ludzkiej słabości.

— Ja nie rozumiem życia misjonarza; nigdy się nie zastanawiałam nad pracą misyjną.

— W tem z całą pokorą mogę ci dać potrzebną pomoc; mogę kierować twoją pracą każdej godziny; stać obok ciebie stale; pomagać ci w każdej chwili. To mógłbym czynić na początek; wkrótce (gdyż wiem, co ty potrafisz), byłabyś równie silną i umiejętną, jak ja sam, i nie potrzebowałabyś mojej pomocy.

— Ależ moja moc — czyż temu sprostą? Ja tego nie czuję. Na twój głos nic się we mnie nie budzi, nic się nie porusza. Nie zapala się dla mnie najniklejsze światło, nie przyśpiesza się tętno życia, nie odzywa się żaden głos doradczy ani krzepiący. O, chciałabym, żebyś zrozumiał, że dusza moja jest w tej chwili podobna do więzienia bez promyka światła, ze spętanym na dnie tego więzienia strachem — ze strachem, byś ty mnie nie przekonał, a ja żebym się nie podjęła tego, czego nie potrafię wykonać!

— Mam odpowiedź dla ciebie, posłuchaj. Obserwowałem cię od chwili, gdyśmy się poznali; obserwowałem cię bacznie przez dziesięć miesięcy. Doświadczałem cię w różny sposób: i co widziałem? o czym się przekonałem? W szkółce wiejskiej widziałem, że potrafisz spełniać dobrze, punktualnie, uczciwie, pracę nie odpowiadającą ani twym przyzwyczajeniom, ani skłonnościom. Widziałem, że spełniasz ją inteligentnie: trzymając w rękę władzę, umiałaś zjednywać serca. W spokojnem przyjęciu wieści o spadku po wuju znalazłem dowód, iż dusza twa wolna jest od chciwości; dobra materialne nie miały mocy nad tobą. W stanowczej gotowości podziału bogactw na cztery części, poznałem duszę, która podoba sobie w ogniu i radości ofiary. W powolności, z jaką na moje życzenie porzuciłaś studjum, interesujące ciebie, i zajęłaś się innem, ponieważ mnie ono interesowało; w niezmordowanej pilności, z jaką odtąd przy niem wytrwałaś, w niezachwianej energii i pogodnej cierpliwości, z jaką zwalczałaś jego trudności, widzę dopełnienie tych zalet, których poszukuję. Joanno, jesteś posłuszna, pilna, bezinteresowna, wierna, stała i odważna; bardzo łagodna i bohaterska: przestań sobie nie ufać — ja mogę ci zaufać bezwzględnie. Pomoc twoja jako przewodniczki szkół hinduskich, jako pomocniczki wśród kobiet hinduskich, będzie dla mnie nieoceniona.

Żelazne więzy zaciskały się dokoła mnie; przekonywanie działało powolnie, ale pewnie. Chociaż zamykałam oczy, te ostatnie jego słowa otwierały niejako drogę, która wydawała mi się zapartą. Zadanie moje, które wydawało się tak nieokreślone, tak beznadziejnie nieujęte, w miarę, jak mówił, pod jego władną ręką ustalało się i przybierało kształt konkretny. Poprosiłam, by mi dał kwadrans czasu do namysłu, zanimbym znów zaryzykowała odpowiedź.

— Bardzo chętnie — odpowiedział, i powstawszy, poszedł trochę dalej wzdłuż wąwozu, rzucił się na kępę wrzosów i tam pozostał w milczeniu.

„Mogę zrobić to, czego on chce ode mnie, muszę to przyznać — dumalam — to jest, o ile życia mi starczy. Ale ja czuję, że moje nie potrwa długo pod słońcem Indyj. I cóż? On o to nie dba: gdy przyjdzie mi umrzeć, on odda mnie z całą pogodą i świętością w ręce Boga, który mnie jemu powierzył. Przewiduję to jasno. Opuszczając Anglię, opuszczalabym ukochany, ale pusty kraj, pana Rochestera tam niema; a gdyby nawet był, czemże to jest, czem może być dla mnie? Ja teraz muszę żyć bez niego: niedorzecznością i słabością jest tak wegetować w oczekiwaniu jakiejś niemożliwej zmiany losów, któraby mnie z nim połączyła. Oczywiście, muszę szukać (jak słusznie January powiedział) innego zainteresowania w życiu zamiast tego, które utraciłam. A czyż zajęcie, które on mi teraz ofiarowuje, nie jest najchwalebniejszym, jakie człowiek może przyjąć, a Bóg mu wyznaczyć? Nie jestże ono dzięki trudom szlachetnym i wzniosłym rezultatom najodpowiedniejsze do wypełnienia pustki, jaką pozostawiły wydarte z serca uczucia i zniweczone nadzieje? Sądzę, że muszę powiedzieć „tak” — a jednak drzę. Niestety! Jeżeli pójdę z Januarym, zaprę się połowy siebie, jeżeli pójdę do Indyj, pójdę na śmierć przedwczesną. A czem wypełnię ten czas pomiędzy opuszczeniem Anglii dla Indyj, a Indyj dla grobu? O, ja dobrze wiem! I to ja także bardzo jasno widzę. Wyteżając się dla zadowolenia Januarygo aż do bólu, zadowolę go do kresu najdalszych jego oczekiwań. Jeżeli pójdę z nim, to ofiarę, której on wymaga, spełnię bezwzględnie. On mnie nigdy kochać nie będzie, ale będę miała jego uznanie; okażę mu energję, jakiej jeszcze nie widział, zasoby, jakich nie podejrzewa. Tak — ja potrafię pracować równie twardo, jak i on, i równie nie oszczędzając siebie.

Zgoda zatem na jego żądanie byłaby możliwa, gdyby nie jeden szczegół, jeden okropny szczegół... A to — że on żąda, bym została jego żoną, a serce małżonka nie byłoby dla mnie czulsze od tego ponurego olbrzyma, głazu, po którym tam w wąwozie stacza się strumień spieniony. On mnie ceni tak, jak żołnierz ceni dobry

oręż — i tyle. Gdybym nie miała mu być poślubiona, nie martwiłabym się tą nieczułością; ale czyż mogę mu pozwolić postąpić tak z wyrachowaniem — chłodno wykonać swoje zamierzenia — dopełnić ceremonjału zaślubin? Czyż mogę przyjąć od niego pierścień ślubny, znosić wszystkie formy miłości (którychby niewątpliwie skrupulatnie pilnował), i wiedzieć, że niema w tem wcale duszy? Czy mogłabym znieść świadomość, że każda pieśczoła, którąby mnie obdarzył, to poświęcenie dla zasady? Nie: takie męczeństwo byłoby potworne. Nie chcę się mu poddać. Jako jego siostra mogłabym mu towarzyszyć, lecz nie jako jego żona: powiem mu to teraz.

Obejrzałam się. January leżał, jak przedtem, jak przewrócona kolumna, z twarzą zwróconą ku mnie; oczy jego błyszczały, baczne i przenikliwe. Wstał i podszedł ku mnie.

— Jestem gotowa udać się do Indyj, jeżeli mogę udać się tam wolna.

— Twoja odpowiedź — rzekł — jest niewyraźna.

— Byłeś dotychczas moim przybranym bratem, — a ja twoją siostrą: pozostanmy w tym stosunku; lepiej będzie, jeżeli nie zawrzemy małżeństwa.

Potrząsnął głową.

— Przybrane rodzeństwo na nic się tu nie przyda. Gdybyś była moją prawdziwą siostrą, to co innego, zabralbym ciebie i nie szukałbym żony. Ale tak, jak jest, albo nasz związek musi być uświęcony i przypieczętowany małżeństwem, albo wogóle istnieć nie może; praktyczne względy stoją na przeszkodzie wszelkiemu innemu rozwiązaniu. Czy tego nie rozumiesz, Joanno? Zastanów się chwilę, twój zdrowy rozsądek niech ci wskaże drogę.

Zastanowiłam się; ale mój rozum wskazywał mi tylko fakt, że my się nie kochamy tak, jak mąż i żona kochać się powinni, że zatem nie powinniśmy się pobierać. Powiedziałam to.

— January — dodałam — ja ciebie uważam za brata, ty mnie za siostrę; pozostanmy takimi nadal.

— Nie możemy... nie możemy — odpowiedział krótko i stanowczo. — Powiedziałeś, że udasz się ze mną do Indyj: pamiętaj, żeś to przyrzekła.

— Warunkowo.

— No, dobrze, dobrze. Głównej sprawie — wyjazdowi ze mną z Anglii, współpracy ze mną w przyszłej działalności — nie sprzeciwiasz się. Już tak, jakgdybyś przyłożyła rękę do pług: zbyt jesteś stałą, ażeby ją cofnąć. Teraz powinnaś jeden tylko cel mieć na oku: jak można najlepiej spełnić dzieło, które przedsięwzięłaś. Staraj się uprościć skomplikowane swoje zainteresowania, uczucia, myśli, pragnienia i cele. Zatop wszelkie względy w jednym jedynym zamiarze: w zamiarze spełnienia ze skutkiem, z mocą — misji wielkiego twego Pana. Do tego potrzeba ci pomocnika; nie brata — to luźny węzeł, lecz męża. I ja też nie potrzebuję siostry; siostra mogłaby mi być kiedyś odebrana. Potrzebuję żony, tej jedynej pomocnicy, na którą mogę skutecznie wpływać w życiu i którą mogę bezwzględnie zatrzymać do śmierci.

Zadrżałam, gdy to mówił; czułam, jak wpływ jego przenika mnie aż do szpiku kości.

— Poszukaj żony gdzie indziej; poszukaj odpowiedniejszej.

— Chcesz pewnie powiedzieć: odpowiedniejszej do mojego celu, do mojego powołania. Jeszcze raz ci powtarzam, że to nie dla pozbawionego indywidualności człowieka z egoistycznymi zmysłami — szukam towarzyski; szukam jej dla misjonarza.

— Więc ja oddam misjonarzowi całą energję i siły — wszakże on tego tylko potrzebuje — ale nie siebie; byłoby to tylko dodawaniem łupiny do orzecha. Ta mu jest na nic: ja ją zatrzymuję.

— Nie możesz i nie powinnaś. Czy myślisz, że Bóg się zadowoli połową ofiary? Ja w sprawie Boga przemawiam: pod Jego sztandar ciebie zaciągam. Nie mogę przyjąć na rzecz Jego połowicznego poddaństwa: musi być całkowite.

— Ach, ja oddam Bogu serce — odpowiedziałam — które t o b i e jest niepotrzebne!

Nie przysięgłabym, czy nie było trochę utajonego sarkazmu i w tonie mego zdania i w uczuciu mu towarzyszącem. Milcząc dotychczas, bałam się Januarego, ponieważ go nie rozumiałam. Z czcią na niego patrzyłam, ponieważ utrzymywał mnie w niepewności. Ile w nim było świętego, ile zwykłego śmiertelnika, do tej pory nie wiedziałam. Ale teraz, w tej rozmowie, wyjaśniało się niejedno: składniki jego natury odsłaniały się w mych oczach. Ujrzałam jego ułomności; zrozumiałam je. Zrozumiałam, że siedząc oto na tej kępcie wrzosów wobec tej pięknej postaci, stojącej przede mną, siedzę u stóp człowieka, tak samo błędzącego, jak ja. Zasniona opadała, odsłaniając twardość jego i despotyzm. Odczuwszy w nim te właściwości, odczułam jego niedoskonałość i nabrałam odwagi. Byłam wobec równego sobie. Mogłam się z nim spierać i, jeśli bym to uważała za dobre, opierać się nawet.

January milczał po tem mojem ostatniem zdaniu. Odważyłam się spojrzeć nań. Oczy jego, zwrócone ku mnie, miały wyraz surowy, zdziwiony i badawczy, pytając jakby: „Czy ona pozwala sobie na sarkazm, i to sarkazm względem m n i e? Co to ma znaczyć?”

— Nie zapominajmy, że to sprawa poważna i uroczysta — powiedział po pewnej chwili. — Sprawa, o której nie wolno nam ani myśleć ani mówić lekkomyślnie, bo byłby to grzech. Ufam, Joanno, że ty serjo mówiłaś, oświadczwszy gotowość oddania serca swego Bogu; mnie tego tylko potrzeba. Jeżeli raz oderwiesz serce od człowieka, a oddasz je Stwórcy, rozszerzanie duchowego królestwa Pana na ziemi będzie twoją główną radością i twojem staraniem; będziesz odrazu gotowa uczynić wszystko, co cel ten może popierać. Zrozumiesz, jakiego bodźca tak twoim, jak moim wysiłkom doda nasz związek dusz i ciał w małżeństwie: jedyny związek, który losom i zamiarom istot ludzkich nadaje charakter trwałej wspólnoty; i pomijając wszelkie małoważne ka-

prysy — pospolite trudności i subtelności uczuciowe — wszelkie skrupuły co do stopnia, rodzaju, siły czy czułości, czysto osobistych skłonności — pośpieszysz za wrzeć związek ten odrazu.

— Tak sądzisz? — odpowiedziałam krótko.

I popatrzyłam na te rysy, piękne i harmonijne, ale groźne w cichej surowości; na czoło, władcze, ale nie otwarte; na oczy jasne, głębokie i przenikliwe, ale bez promyka łagodności; na wysoką, imponującą postać. I wyobraziłam sobie siebie w myśli, jako jego żonę. O! toby nigdy stać się nie mogło! Gdybym mogła być jego wikarym i towarzyszem, wszystko byłoby w porządku. W tej roli przepłynęłabym z nim oceany; pracowałabym w słoneczne upały Wschodu, na azjatyckich pustyniach; podziwiałabym, współubiegając się z nim, jego odwagę, ofiarność i męstwo; poddawałabym się spokojnie jego zwierzchnictwu; uśmiechałabym się bez złośliwości, widząc nieuleczalną jego ambicję; odróżniałabym chrześcijanina od człowieka, ceniąc pierwszego, chętnie przebacząc drugiemu. Często cierpiałabym, bezwątpienia, związana z nim tylko w tej roli: ciało moje ciężkie zapewne ugniatałoby jarzmo, ale serce i dusza byłyby swobodne. Żyłyby we mnie moje „ja” niezmrózone — żyłyby moje przyrodzone uczucia, nie zduszone niewolą, a ja do nich w godzinach samotności mogłabym się uciekać. Miałabym w duszy zakątki wyłącznie swoje własne, do których onby nigdy nie zajrzał, w których osłonie zakwitwałyby świeżo uczucia, nigdy surowością jego nie mrożone, nie deptane jego miarowym marszem wojownika. Ale jako jego żona — zawsze być przy jego boku — zawsze hamowana, zawsze powstrzymana — zmuszona tłumić stale żar natury, kazać mu palić się wewnątrz i nigdy nie wydać krzyku, chociażby więziony płomień trawił kolejno wnętrzości — nie, to byłoby nieznośne.

— January! — zawołałam, gdy do tego punktu doszłam w rozmyślaniach.

— I cóż? — odpowiedział lodowato.

— Powtarzam, że chętnie zgadzam się pójść z tobą, jako twoja towarzyszka-misjonarka, ale nie jako twoja żona; nie mogę cię poślubić i być częścią twoją.

— Musisz się stać częścią moją — odpowiedział uparcie. — Inaczej cała umowa jest na nic. Jakże ja, mężczyzna poniżej trzydziestki, mogę zabierać ze sobą do Indyj dziewczynę dziewiętnastoletnią, jeżeli nie jest mi ona poślubiona? Jakże możemy być zawsze razem, niekiedy w samotniach, niekiedy wśród dzikich plemion — nie będąc mężem i żoną?

— Bardzo dobrze — odparłam krótko — w takich okolicznościach równie dobrze, jakgdybym była prawdziwą twoją siostrą, albo mężczyzną i duchownym, tak jak ty sam.

— Wiadomo, że siostrą moją nie jesteś; nie mogę cię jako siostrę przedstawić; czyniąc to, ściągnąłbym na nas oboje ubliżające podejrzenia. A zresztą, chociaż masz tęgi umysł męski, ale serce masz kobiety.

— Co z tego? — twierdziłam trochę wzgardliwie. — Mam serce kobiety, ale nie w stosunku do ciebie; dla ciebie mam tylko lojalność kolegi; towarzysza broni szczerłość, wierność, braterstwo, jeśli chcesz; mam szacunek i uległość neofity, jako dla swego przewodnika kapłana. Poza tem nic więcej — nie obawiaj się.

— Tego mi potrzeba — rzekł, mówiąc do siebie — tego właśnie mi potrzeba. A przeszkody, które są na drodze, należy usunąć. Joanno, tybyś nie pożałowała, gdybyś za mnie wyszła, bądź pewna; my musimy się pobrać. Powtarzam to: niema innego wyjścia; a niewątpliwie dosyć miłości zrodzi się po ślubie, by nawet w twoich oczach związek ten usprawiedliwić.

— Pogardzam twojem pojmowaniem miłości — powiedziała, nie mogąc się powstrzymać — pogardzam twem sfałszowanym uczuciem; tak, January, i tobą pogardzam, gdy mi je ofiarowujesz.

Utkwił wzrok we mnie, zaciskając wargi. Czy był gniewny, czy zdziwiony, niełatwo to było poznać: on tak nadzwyczajnie umiał panować nad wyrazem twarzy...

— Nie spodziewałem się usłyszeć takiego zarzutu z ust twoich — rzekł. — Sądzę, że nie uczyniłem i nie

powiedziałem nic takiego, coby zasługiwało na pogardę.

Wzruszyła mnie łagodność jego tonu i wyraz wyniosłego spokoju.

— Wybacz mi te wyrazy, January; ale to własna twoja wina, że się uniosłam. Wprowadziłeś temat, co do którego różnimy się zasadniczo, temat, o którym nigdy nie powinniśmy dyskutować. Sam wyraz „miłość” jabłkiem niezgody jest między nami. Gdyby chodziło o nią w rzeczywistości, cobyśmy zrobili? Cobyśmy czuli? Mój drogi kuzynie, porzuć projekt małżeński, zapomnij o nim!

— Nie — odpowiedział — to dawno powzięty projekt, i jedyny, który wielkiemu dziełu mojemu zapewnić może powodzenie; ale ja już obecnie nie będę dłużej na ciebie nalegał. Jutro wyjeżdżam do Cambridge: mam tam wielu przyjaciół, których pragnąłbym pożegnać. Nieobecność moja potrwa dwa tygodnie — przez ten czas rozważ moją propozycję i nie zapominaj, że jeżeli ją odrzucisz, zaprzecz się nie mnie, ale Boga. Bóg ci przeze mnie otwiera zawód szlachetny; jako moja żona jedynie możesz objąć ten zawód. Jeżeli odmówisz i nie zechcesz być żoną moją, ograniczysz się na zawsze do ścieżki samolubnej wygody i bezdusznej ciemnicy. Drzyj, ażebyś wówczas nie była zaliczona pomiędzy tych, co się zaparli wiary, i gorsi są, niż niewierni!

Skończył. Odwracając się ode mnie, powiódł jeszcze raz okiem po rzece i wzgórzach... Ale tym razem zamknął uczucia we własnem sercu. Nie byłam godna, by je przede mną wypowiadał. Idąc obok niego ku domowi, czytałam jasno w zakamieniałem jego milczeniu, co czuł ku mnie: zawód surowej i despotycznej natury, która natopkała opór tam, gdzie liczyła na uległość, naganę chłodnego, nieugiętego sędziego, który odkrył w drugim uczucia i poglądy, jakich podzielać nie mógł; słowem jako człowiek byłby pragnął zmusić mnie do posłuszeństwa, a tylko jako szczery chrześcijanin znosił tak cierpliwie moją przewrotność i dawał mi tak długi czas do namysłu i do żalu.

Tego wieczora, pocałowawszy siostry, uważał za właściwe zapomnieć nawet ręki mi podać, milcząc wyszedł z pokoju. Chociaż go nie kochałam, ale miałam wiele przyjaźni dla niego — to rozmyślne pominięcie dotknęło mnie tak bardzo, że łzy stanęły mi w oczach.

— Widzę, że pokłóciliście się z Januarem podczas przechadzki — rzekła Diana. — Ale idź za nim, Joasiu; on się teraz zatrzymuje w korytarzu, spodziewając się, że wyjdiesz, on cię przeprosi.

Nie rządzą się dumą w takich okolicznościach: wolę mieć pogodę w sercu, niż nosić się godnie; wybiegłam za nim, stał u stóp schodów.

— Dobranoc, January — rzekłam.

— Dobranoc, Joanno — odpowiedział spokojnie.

— Więc podaj mi rękę — dodałam.

Jakiemże zimnem, luźnem dotknięciem ujął moje palce! Był głęboko urażony; serdeczność nie mogła go rozgrzać, ani łzy nie mogły go wzruszyć. O szczerem pogodzeniu się z nim nie było mowy — o ciepłym uśmiechu albo o dobrotliwym słowie. Chrześcijanin jednakże był cierpliwy i pogodny; a gdy go zapytałam, czy mi przebacza, odpowiedział, że nie ma w zwyczaju chować w pamięci urazy; że nie ma nic do przebaczenia, nie będąc obrażonym.

Poczem odszedł do swego pokoju. Byłabym wolała, żeby mnie uderzył.

ROZDZIAŁ XXXV.

January nie wyjechał nazajutrz do Cambridge, jak to zapowiedział. Opóźnił wyjazd o cały tydzień, a przez cały ten czas dawał mi uczuć, jaką ostrą karę komuś, kto go obraził, wymierzać potrafi człowiek dobry, ale surowy, sumienny, lecz nieubłagany. Bez jednego otwarcie nieprzyjaznego postępkę, bez jednego słowa nagany dawał mi do zrozumienia, że wypadłam poza obręb promieni jego łaski.

Nie twierdzą, że January tchnął duchem niechrześcijańskiej mściwości, że, gdyby był mógł, uczyniłby mi choć najlżejszą krzywdę. I z natury i w myśl zasad wyższy był ponad marne zadowolenie zemsty. Przebaczył mi powiedzenie, że pogardzam nim i jego miłością, ale nie zapomniał tych słów — i póki życia, nie miał ich nigdy zapomnieć.

Nie powstrzymywał się od rozmowy ze mną; wzywał mnie nawet, jak zwykle, co rano do wspólnej pracy; podejrzewam jednak, że grzeszny w nim człowiek — bez udziału czystego chrześcijanina — znajdował przyjemność, choć mówił i działał napozór jak zwykle, w usuwaniu z każdego słowa, z każdego gestu, tego życzliwego zainteresowania i uznania, które przedtem mowie jego i obejściu dodawało poważnego uroku. Wobec mnie, w istocie, przestał już być człowiekiem z krwi i kości, stał się posągami z kamienia. Oko jego było zimnym, świecącym, niebieskim klejnotem — język mówiącą maszyną — niczem więcej.

Wszystko to było dla mnie torturą — wyrafinowaną, powolną torturą. Podtrzymywało to we mnie tłumiony żar oburzenia i gryzący smutek; to wszystko trapiło mnie i wyczerpywało. Czułam, jak ten dobry człowiek, czysty jak woda w bezsłonecznym źródle, gdybym była żoną jego, mógłby mnie zabić wkrótce, bez dobytka jednej kropli krwi z żył moich, bez wzięcia na kryształowe sumienie najlżejszego cienia zbrodni. Czułam to zwłaszcza, gdy niekiedy próbowałam go przejednać. Moja dobra wola nie napotykała dobrej woli u niego. On nie cierpiał nad tem oddaleniem — nie tęsknił do zgody; a chociaż nie jeden raz stronnicę, nad którą schylaliśmy się oboje, skrapiały łzy moje, nie wywierały one na nim więcej wrażenia, niż gdyby serce jego doprawdy było z kamienia albo z metalu. Równocześnie, w stosunku do siostr, był trochę cieplejszy niż zwykle: jakgdyby w obawie, że sam chłód nie przekona mnie dostatecznie, iż jestem zupełnie wygnaną i wyklętą, dodawał dla podkreślenia tego siłą kontrastu. A czynił to, jestem przekonana, nie przez złośliwość, ale z zasady.

W przeddzień jego wyjazdu, zobaczywszy go przypadkiem przy zachodzie słońca w ogródku, wspomniawszy, że ten człowiek, choć tak obcy mi dzisiaj, ocalił mi przecież życie, wspomniawszy, że jesteśmy bliskimi krewnymi, poczułam chęć uczynienia ostatniej próby ku odzyskaniu jego przyjaźni. Wyszłam i zbliżyłam się doń, gdy stał oparty o furtkę ogrodową. Rzekłam bez wstępu:

— January, bardzo mnie martwi, że wciąż gniewasz się na mnie. Bądźmy przyjaciółmi!

— Ja sądzę, że jesteśmy przyjaciółmi — odpowiedział niewzruszony, nie przestając patrzeć na wschodzący księżyc.

— Nie, January, nie jesteśmy przyjaciółmi tak jak pierwiej. Ty sam wiesz.

— Nie jesteśmy? To źle. Ja nic złego ci nie życzę — życzę ci tylko dobrze.

— Wierzę, January, gdyż jestem pewna, że tybyś nie potrafił życzyć źle komukolwiek; ponieważ jednak jestem twoją krewną, pragnęłabym znaleźć u ciebie trochę więcej przywiązania, niż tylko ten rodzaj ogólnej miłości bliźniego, jaką obejmujesz ludzi zupełnie obcych.

— Oczywiście — odpowiedział. — Twoje życzenie jest rozumne, a ja jestem daleki od uważania cię za kogoś obcego.

Te słowa, wypowiedziane chłodno i spokojnie, dostatecznie przykrą zawierały odprawę. Gdybym posłuchała podszeptów dumy i gniewu, byłabym go natychmiast opuściła; jednakże w duszy mojej przemawiało coś silniej, niż te uczucia. Głęboką cześć miałam dla zasad i uzdolnień mojego kuzyna. Przyjaźń jego miała dla mnie wartość; utracić ją było dla mnie ciosem bolesnym. Nie chciałam tak prędko porzucać próby jej odzyskania.

— Czy my musimy rozstać się w ten sposób? Czyż, gdy się udasz do Indyj, pożegnasz mnie tak, jak dziś, bez życzliwego słowa?

Teraz odwrócił się od księżycy i spojrzał na mnie wprost.

— Gdy ja się udam do Indyj, Joanno, mamże ja ciebie pożegnać? Jakto! To ty się do Indyj nie zamierzasz udać?

— Powiedziałeś, że nie mogę, o ile nie zostanę twoją żoną.

— A ty nie chcesz zostać moją żoną? Trwasz przy tem postanowieniu?

— Nie, January, ja nie będę twoją żoną. Trwam przy tem postanowieniu.

— Jeszcze raz zapytuję, dlaczego ta odmowa? — spytał.

— Przedtem powiedziałam, że dlatego, ponieważ mnie nie kochasz; teraz odpowiem, iż dlatego, ponieważ mnie prawie nienawidzisz. Gdybym była twoją żoną, zabiłbyś mnie. Ty mnie teraz zabijasz.

Wargi jego i policzki zbladły — zupełnie zbieleły.

— Jabym ciebie zabił — ja ciebie zabijam? Słów takich nie wolno używać: są gwałtowne, niekobiece i nieprawdziwe. Świadczą o niefortunnym stanie duszy; godne są surowej nagany; byłyby nie do przebaczenia, gdyby nie to, że mamy obowiązek przebaczać bliźniemu do siedmdziesięciu siedmiu razy.

Taki więc był cały wynik. Gorąco pragnąc wymazać mu z duszy ślady poprzedniej obrazy, wycisnęłam na tej wrażliwej powierzchni piętno nowej, wypaliłam je gorącym żelazem.

— Teraz ty mnie naprawdę będziesz nienawidził — powiedziałam. — Daremnie usiłowałam cię przebłagać: widzę, że raz na zawsze zrobiłam sobie wroga.

Świeżą ranę zadały te słowa: tem głębszą, że dotknęły prawdy. Pobladłe wargi drgnęły chwilowym skurczem. Poznałam, jaki stalowy gniew wyostrzyłam. Serce się we mnie krajało.

— Najzupełniej fałszywie tłumaczysz moje słowa — przemówiłam, chwytając jego rękę. — Nie miałam zamiaru ani cię dotknąć ani ci przykrości sprawić... do prawdy nie miałam zamiaru!

Gorzko zaiste się uśmiechnął, szybko i stanowczo wysunął rękę z mojej.

— A teraz, przypuszczam, odwołujesz wogóle obietnicę udania się do Indyj? — przemówił po dość długiej pauzie.

— Owszem, udam się tam, jako twoja pomocnica — odpowiedziałam.

Nastało bardzo długie milczenie. Jaka tam w tej przerwie toczyła się walka w jego duszy pomiędzy naturą ludzką a Łaską, tego nie wiem; wiem tylko, że dziwne błyski migotały mu w oczach i dziwne cienie przelatywały po twarzy. Wkońcu przemówił:

— Już ci przedtem dowiodłem, jaki to nonsens, by niezamężna kobieta w twoim wieku chciała towarzyszyć zagranicę niezonatemu młodemu mężczyźnie. Wykazałem ci to w taki sposób, że, sądziłbym, powinnyby cię to powstrzymać od powracania do tego pomysłu. Żałuję, żeś to uczyniła, ze względu na ciebie...

Przerwałam mu. Dotykalna wymówka dodała mi odrazu odwagi.

— Bądźże rozsądny, January, zaczynasz mówić od rzeczy. Udajesz, że cię razi to, co powiedziałam. Ciebie to naprawdę nie razi, gdyż przy twojej wyższości umysłowej nie możesz być ani tak tępy ani tak zarozumiały, ażeby źle zrozumieć, co ja mam na myśli. Jeszcze raz powiem: będę twoim „wikarym”, jeżeli chcesz, ale nigdy nie będę twoją żoną.

Znowu pobladł, aż posiniał; ale tak jak przedtem doskonale wzburzenie opanował. Odpowiedział z naciśkiem, chociaż spokojnie:

— Kobiety wikary, nie będący moją żoną, nie odpowiadałby mi wcale. Ze mną zatem, jak się zdaje, nie możesz pojechać. Jeżeli jednak szczerze się ofiarowujesz, pomówię, będąc w mieście, z zonatym misjonarzem, którego żona potrzebuje pomocnicy. Twój własny majątek uniezależni cię od pomocy towarzystwa i w ten sposób może ci jeszcze być oszczędzony dyshonor złamania obietnicy i dezercji z szeregu, do którego zobowiązałaś się należeć.

Ale ja nigdy nie związałam się formalną obietnicą, ani zobowiązaniem, to też mowa Januarego tym razem była nazbyt twarda i despotyczna.

— Tu niema dyshonoru — odpowiedziałam — niema niedotrzymania obietnicy ani dezercji w tym wy-

padku. Nie jestem niczem a niczem zobowiązana jechać do Indyj, zwłaszcza z obcymi. Z tobą gotowabym była się narazić, ponieważ cię podziwiam, ufam ci i jako siostra cię kocham, lecz jestem przekonana, że kiedy i z kimkolwiek pojedę, nie żyłabym długo w tym klimacie.

— Ach! więc się boisz o siebie! — rzekł, ironicznie wykrzywiając wargi.

— To prawda. Bóg nie poto dał mi życie, ażebym je zmarnowała, a uczynić to, czego ty chcesz ode mnie, równałoby się, zaczynam sądzić, popełnieniu samobójstwa. Poza tem, zanimbym ostatecznie postanowiła opuścić Anglję, chcę się najpierw upewnić, czy nie mogę stać się pożyteczniejszą, pozostając w kraju, niż porzucając ojczyznę.

— Co przez to rozumiesz?

— Daremną byłoby rzeczą ci to tłumaczyć. Jest jednakże sprawa, co do której oddawna dręczą mnie przykre wątpliwości, tak że nigdzie udaćbym się nie mogła, dopóki bym ich jakim sposobem nie usunęła.

— Wiem, do czego serce twoje ciągnie i do czego lgnie. Uczucie, które hodujesz, jest nieprawe i nie-uświęcone. Oddawna powinnaś je była stłumić; a teraz powinnaś się rumienić, że o niem wspominasz. Masz na myśli pana Rochesterą?

Milczenie moje było wyznaniem prawdy.

— Czy chcesz odszukać pana Rochesterą?

— Muszę się dowiedzieć, co się z nim stało.

— Pozostaje mi więc tylko pamiętać o tobie w moich modlitwach i jak najusilniej błagać Boga za tobą, byś się istotnie nie stała jedną z odrzuconych. Zdawało mi się, że rozpoznałem w tobie jedną z wybranych. Ale Bóg widzi inaczej, a człowiek inaczej. Je g o wola niech się stanie.

Otworzył furtkę i ruszył w stronę wąwozu. Niebawem zniknął mi z oczu.

Za powrotem do bawialni zastałam Dianę, stojącą przy oknie i bardzo zamyśloną. Diana była o wiele wyższa ode mnie; oparła mi rękę na ramieniu i, nachyliwszy się, popatrzyła mi w twarz.

— Joasiu — powiedziała — wciąż teraz bywasz wzburzona i blada. Jestem pewna, że coś w tem jest. Powiedz mi, co tam knujecie z Januarym? Przyglądałam wam się teraz przez pół godziny; przebac mi, że byłam takim szpiegiem, ale już oddawna wyobrażam sobie Bóg wie co. January to dziwny człowiek...

Przerwała, ja milczałam; niebawem mówiła dalej:

— Ten mój brat, jestem pewna, musi mieć jakieś szczególniejsze zamiary względem ciebie; oddawna wyróżnia cię, zwraca na ciebie uwagę i interesuje się tobą, jak dotąd jeszcze nikim. W jakim celu? Chciałabym, żeby cię kochał. Czy on ciebie kocha, Joasiu?

Przyłożyłam chłodną jej dłoń do mego rozpalonego czoła.

— Nie, Dianko, ani odrobiny.

— Więc dlaczego tak wodzi za tobą oczami i tak często zostaje sam na sam z tobą i tak cię ciągle trzyma przy swoim boku? Marja i ja obiedwie wywnioskowałyśmy, że pragnąłby, ażebyś ty za niego wyszła.

— Istotnie prosił mnie, bym została jego żoną.

Diana klasnęła w ręce.

— Tego się właśnie spodziewałyśmy i o tem myślałyśmy. Więc wyjdiesz za niego, Joasiu, nieprawdaż? A wtedy on pozostanie w Anglii.

— Nic podobnego, Dianko; January dlatego jedynie czyni mi tę propozycję, że chciałby zyskać odpowiednią współpracownicę w trudach misjonarskich.

— Jakto! Chciałby cię zabrać do Indyj?

— A właśnie.

— Szaleństwo! — zawołała. — Jestem pewna, że nie wyżyłabyś tam dłużej nad trzy miesiące. Nie, nie pojedziesz tam; przecież się chyba nie zgodziłaś?

— Powiedziałam mu, że żoną jego być nie chcę...

— I tem go zapewne dotknęłaś? — podsunęła.

— Głęboko; obawiam się, że on nigdy mi nie przebaczy; jednakże ofiarowałam się towarzyszyć mu jako jego siostra.

— Popęłniłaś kapitalne głupstwo. Pomyśl, jakiego podjęłaś się zadania: bezustannego trudu tam, gdzie na-

wet silnych trud zabija, a ty jesteś słaba. January, ty go znasz, wymagałby od ciebie niemożliwości. Onby ci nie pozwał na odpoczynek mimo nieznośnych upałów, a zauważyłam niestety, że, czego on od ciebie zażąda, ty się silisz to spełnić. Dziwię się, że zdobyłaś się na odwagę odmówienia mu ręki. Czy go nie kochasz, Joasiu?

— Jako męża, nie.

— A jednak, on taki piękny mężczyzna.

— A ja taka brzydka; widzisz, Dianko, nie byłibyśmy dobrani.

— Ty, brzydka? Wcale nie. Jesteś zbyt ładna i dobra, by się dać żywcem usmażyć w Kalkucie.

I znowu zaczęła mnie poważnie zaklinać, bym porzuciła wszelką myśl wyruszenia z jej bratem.

— Będę musiała, istotnie, porzucić tę myśl — odpowiedziałam — bo gdy przed chwilą powtórzyłam, że gotowa jestem służyć mu za wikarego, okazał się zgorzszony moją nieprzyzwoitością. Dał mi do zrozumienia, że uważa, jakobym popełniła niewłaściwość, ofiarując się towarzyszyć mu niezamężna, tak jakgdybym od początku nie spodziewała się znaleźć w nim brata, i jakbym go za brata nie uważała.

— Dlaczego mówisz, Joasiu, że on ciebie nie kocha?

— Chciałabym, żebyś słyszała, co on sam o tem mówi. Wiele razy mi tłumaczył, że nie dla siebie, ale dla swojego zawodu szuka towarzyszk. Powiedział mi, że jestem stworzona do pracy, nie do miłości: co zresztą jest zapewne prawdą. Tylko że, mojem zdaniem, jeżeli nie jestem stworzona do miłości, to wynika z tego, że nie jestem stworzona do małżeństwa. Czy nie byłoby to dziwne, Dianko, być na całe życie przykutą do człowieka, któryby widział we mnie jedynie pożyteczne narzędzie?

— Byłoby to nienaturalne i nieznośne — mowy o tem być nie może!

— A przytem — ciągnęłam dalej — chociaż teraz mam dla niego tylko siostrzane uczucie, to jednak mogę sobie wyobrazić, że mogłabym, będąc zmuszona być jego żoną, powziąć ku niemu rodzaj miłości dziwnej, nie-

uchronnej i dręczącej, ponieważ on jest takim niezwykłym człowiekiem. W takim razie los mój stałby się niewypowiedzianie ciężki. Onby wcale nie pragnął, bym ja go kochała; a gdybym okazywała uczucie, dałby mi do poznania, że to rzecz zbyteczna, jemu niepotrzebna, we mnie niewłaściwa. Ja wiem, że on takby postępował.

— A jednak January to dobry człowiek — rzekła Diana. — On jest dobry i wielki: tylko, sam do wielkich celów zdążając, bezlitośnie zapomina o uczuciach i prawach ludzi małych. To też lepiej, by nikli schodzili mu z drogi, ażeby ich w rozpędzie nie zdeptał. Ale otóż wraca! Pożegnaj cię, Dianko.

I pośpieszyłam na górę, widząc, że January wchodzi do ogródka.

Musiałam się jednak spotkać z nim jeszcze przy kolacji. Wydawał się równie spokojny i zrównoważony jak zawsze. Myślałam, że nie zechce mówić do mnie, i pewna byłam, że projektowi małżeńskiemu dał już za wygrane. Ale w obu przypuszczeniach omyliłam się. Zwracał się do mnie tak, jak zawsze; tak jak zawsze przynajmniej w ostatnich czasach — z wyszukaną grzecznością. Wezwał niewątpliwie pomocy Ducha Świętego ku opanowaniu gniewu, który w nim wznieciłam, a teraz wierzył w swoje przebaczenie.

Na czytanie wieczorne przed modlitwami obrał dwudziesty pierwszy rozdział Objawienia. Zawsze było miło słuchać, gdy z ust jego padały słowa biblii; nigdy piękny głos jego nie brzmiał tak słodko i pełno — nigdy szlachetna prostota jego zachowania nie sprawiała takiego wrażenia, jak gdy wygłaszał wyroki Boże; dzisiaj głos ten przybrał ton jeszcze uroczywszy; January, siedząc wpośrodku rodzinnego kółka (majowy księżyc świecił przez niezastłonięte okna), pochylony nad wielką, starą księgą, odczytywał z kart jej wizję nowego nieba i nowej ziemi — obwieszczał, jako Bóg przyjdzie zamieszkać między ludźmi, obetrze łzy z ich oczu, zapowie, że już nie będzie ani śmierci, ani smutku, ani łez, ani bólu, gdyż wszystko, co było, minęło.

Następujące słowa dziwnie mnie przejęły, zwłaszcza gdy poznałam po lekkiej, nieokreślonej zmianie głosu, że wymawiając je, zwrócił wzrok na mnie:

„Ten, co wytrwa, odziedziczy wszystko; Ja będę jego Bogiem, a on moim synem będzie. Ale — tu czytał powoli, wyraźnie — lękliwi, niewierzący i t. d. znajdują swój udział w jeziorze, ogniem i siarką gorejącem, a to jest śmierć powtórna.“

Odtąd wiedziałam, jakiego losu January się dla mnie obawiał. Spokojny, opanowany triumf, zaprawiony tęskną powagą, brzmiał w zapowiedzi ostatnich wspinających wierszy tego rozdziału. Czytający wierzył, że imię jego już jest zapisane w księdze żywota Baranka, i tęsknił do tej godziny, która go wpuści do tej stolicy, do której królowie ziemi wnoszą chwałę swoją i zaszczyty; która nie potrzebuje słońca ani księżyca, gdyż chwała Boża ją oświecła, a Baranek jest jej jasnością.

W modlitwie po odczytaniu tego rozdziału skupiła się cała energia Januarego. Słuchając tej modlitwy, zrazu jej się dziwiłam; gdy trwała dalej i rosła w siłę, zaczęła mnie wzruszać; wkońcu napełniła mnie czcią. On tak szczerze czuł wielkość i dobroć swego zamierzenia; ci, co słuchali, jak się o powodzenie modlił, odczuwać je musieli również.

Po skończonej modlitwie pożegnałyśmy się z Januarem; miał wyjechać nazajutrz rano bardzo wcześnie. Diana i Marja, ucałowawszy go, wyszły z pokoju, stosując się, zdaje mi się, do podszeptniętego przez Januarego życzenia, ja podałam mu rękę i życzyłam dobrej drogi.

— Dziękuję ci, Joanno. Jak powiedziałem, powrócę z Cambridge za dwa tygodnie, ten okres czasu zatem pozostaje ci jeszcze do namysłu. Gdybym słuchał głosu dumy, już ani słowem nie wspomniałbym o małżeństwie z tobą. Ale ja słucham głosu obowiązku i stale mam na oku główny mój cel — czynić wszystko dla chwały Boga. Pan mój był cierpliwy i ja cierpliwy będę. Nie mogę wydać cię na zgubę, jak naczynie gniewu; żałuj, postanawiaj, póki czas jeszcze. Pamiętaj, że nakazano nam pra-

cować, póki dzień, że ostrzeżono nas, iż „nadejdzie noc, gdy człowiek pracować nie będzie”. Pamiętaj o losie bogacza, który za życia dostąpił wszystkiego, co dobre. Niech Bóg ci da siłę, ażebyś wybrała tę lepszą część, która ci odebrana nie będzie!

Wymawiając te ostatnie słowa, położył mi rękę na głowie. Mówił poważnie, łagodnie: spojrzenie jego nie było, to prawda, spojrzeniem kochanka, patrzącego na ukochaną, ale spojrzeniem pasterza, odwołującego zbłąkaną owieczkę, albo raczej anioła stróża, strzegącego duszy, za którą jest odpowiedzialny. Wszyscy ludzie wybitni, czy są uczuciowi czy nie, czy są zapaleńcami, idealistami lub despotami, o ile tylko są szczerzy, mają swoje chwile wzniosłości, a wtedy podbijają i panują. Poczułam uwielbienie i cześć dla Januarego, cześć tak silną, że porryw jej poniósł mnie odrazu tam, dokąd dotrzeć wzbraniałam się tak długo. Wzięła mnie pokusa zaprzestać z nim walki, rzucić się w strumień jego woli i jego istnienia i tam zatracić własny byt. Czułam, że nieomal tak zniewala mnie on teraz, jak niegdyś, w odmienny sposób opanowywał mnie inny. Byłam szalona, tak wtedy, jak w tej chwili. Ustąpić wtedy byłoby występkiem przeciw zasadom, ustąpić teraz — występkiem przeciw rozumowi. Tak, to widzę obecnie, gdy patrzę wstecz po upływie czasu; w owej chwili nie uświadamiałam sobie, że to szaleństwo.

Stałam bez ruchu pod dotknięciem ręki Januarego, jak pod dotknięciem wtajemniczającego mnie kapłana. Dotychczasowe odmowy były zapomniane, lęki przeciężone, zmaganie się spętane bezwładem... To, co niemożliwe — moje małżeństwo z Januarym — szybko stało się możliwością. Wszystko zmieniało się z gruntu nagłym przewrotem. Religja wołała, anieli wzywali — Bóg rozkazywał — życie zwijało się, jak zwitek papieru — otwierały się bramy śmierci, ukazując wieczność, zdawało się, że za bezpieczeństwo tam i szczęśliwość, wszystko, co tutaj, można było poświęcić w jednym momencie. Ciemny pokój pełen był wizyj...

— Czy mogłabyś się teraz zdecydować? — zapytał misjonarz.

Pytanie zadał tonem łagodnym, przyciągnął mnie ku sobie równie łagodnie. Och, ta łagodność! o ileż ona potężniejsza jest od siły! Mogłam się oprzeć gniewowi Januarego, stawałam się giętką, jak trzcina, pod wpływem jego dobroci. Pomimo to wiedziałam przez cały ten czas, że jeżeli ustąpię teraz, tem niemniej każe on mi kiedyś pożałować poprzednich moich buntów. Natury jego nie zmieniła jedna godzina uroczystej modlitwy: dała jej tylko wzniosłości.

— Mogłabym się zdecydować, gdybym tylko była pewna — odpowiedziałam. — Gdybym tylko była przekonana, że Bóg tego chce, bym za ciebie wyszła, mogłabym zaraz tutaj przyrzec, że zostanę twoją żoną... niechby potem co chce był!

— Moje modlitwy zostały wysłuchane! — zawołał January.

Przycisnął silniej ręką moją głowę, jakgdyby brał mnie na własność, otoczył mnie ramieniem, prawie jakgdyby mnie kochał (mówię prawie — znałam różnicę, gdyż czułam, co to jest, być kochaną; ale tak jak on wyrzuciłam teraz miłość poza nawias i miałam na myśli tylko obowiązek). Zmagałam się teraz z niejasnością wewnętrznego widzenia, które wciąż jeszcze przesłaniały chmury. Szczerze, głęboko, gorąco pragnęłam uczynić to, co było słuszne, i to tylko i jedynie. „Pokaż, pokaż mi drogę, o Paniel!” modliłam się w duszy. Byłam tak podniecona, jak nigdy jeszcze.

W całym domu panowała cisza, gdyż sądzę, że już wszyscy wtedy, z wyjątkiem Januarego i mnie, udali się byli na spoczynek. Jedyna świeca dogasała; pokój zalewała poświata księżycy. Serce moje biło silnie i szybko, słyszałam jego uderzenia. Nagle stanęło, a jakieś nieopisane uczucie przejęło je nawskroś, przebiegając równocześnie do głowy i kończyn. To uczucie nie było podobne do elektrycznego prądu, ale było równie silne, równie dziwne, równie niepokojące; podziało na moje zmysły w ten sposób, że najżywsza ich dotychczasowa

działalność wydawała się tylko bezwładem, z którego teraz zbudziły się, wyostrzone. Oko i ucho tężyło się w oczekiwaniu, podczas gdy całym ciałem wstrząsał dreszcz.

— Coś usłyszała? Co widzisz? — zapytał January.

Ja nic nie widziałam, ale usłyszałam gdzieś głos wołający:

— Joanko! Joanko! Joanko!

I więcej nic.

— O Boże! Co to jest? — wykrztusiłam.

Mogłam była zapytać: „Gdzie to jest?“, gdyż wołanie nie wychodziło z pokoju, ani z domu, ani z ogrodu; nie płynęło z powietrza, ani z pod ziemi, ani gdzieś zgóry. Usłyszałam je, ale gdzie i skąd, niesposób było wiedzieć. A był to głos ludzkiej istoty — znany, kochany, dobrze pamiętany głos Edwarda Fairfaxa Rochestera; mówił z bólem i żalem dziwnie tęskno i natarczywie.

— Przychodzę! — odkrzyknęłam. — Czekaj na mnie! O, przyjdę!

Skoczyłam ku drzwiom i wyrzałam na korytarz — był ciemny. Wybiegłam do ogrodu — był pusty.

— Gdzie jesteś? — zawołałam.

Wzgórki poza wąwozem odrzuciły słabem echem: „Gdzie jesteś?“ Nasłuchiwałam. Wiatr szeleścił cicho wśród świerków; wokół rozpościerała się pustka i stała cisza północna.

„Przec z zabobonną trwogą! — pomyślałam, gdyż czarny cis obok furtki wydał mi się ciemną postacią. — To nie szatańska złuda, to nie czary; to dzieło natury. Natura pobudzona nie cud działała, lecz najlepsze dzieło.“

Wyrwałam się Januaremu, który szedł za mną i chciał mnie zatrzymać. Teraz na mnie przyszła kolej wziąć górę. Oświadczyłam mu, że ma powstrzymać pytania i uwagi; prosiłam, żeby mnie opuścił, gdyż chcę i muszę być sama. Usłuchał odrazu. Kto ma energję, żeby dobrze rozkazywać, znajdzie zawsze posłuch niezawodny. Poszłam do swego pokoju; zamknęłam się tam; padłam na kolana i modliłam się po swojemu, nie tak jak January, ale skutecznie. Zdawało mi się, że przenikam bardzo

blisko Potężnego Ducha; dusza moja z wdzięcznością padła Mu do stóp. Wstałam po tej dziękczynnej modlitwie, uczyniłam postanowienie — i położyłam się — uspokojona, z duszą rozjaśnioną, pragnąc tylko, by dzień nastął prędko.

ROZDZIAŁ XXXVI.

Zajaśniał dzień. Wstałam o świcie. Krzątałam się ze dwie godziny, układając rzeczy w pokoju, w komodach, w szafie tak, jak pragnęłam je pozostawić na przeciąg niedługiej nieobecności. Wtem usłyszałam, że January wychodzi ze swego pokoju. Zatrzymał się pod moimi drzwiami; lękałam się, że zapuka, ale nie — tylko kawałek papieru podsunął pod drzwi. Podniosłam go i przeczytałam te słowa:

„Zbyt nagle opuściłaś mnie wczoraj wieczorem. Gdybyś była chwilę dłużej pozostała, byłabyś położyła rękę na krzyżu chrześcijanina i na anielskiej koronie. Będę oczekiwał wyraźnej od ciebie odpowiedzi, gdy powrócę za dwa tygodnie. Tymczasem módl się i czuwaj, ażebyś nie uległa pokusie. Ufam, że duch jest silny, ale ciało, jak widzę, jest mdłe. Będę się modlił za ciebie w każdej godzinie.

Twój

January.”

„Duch mój — odpowiedziałam w myśli — gotów jest uczynić, co słuszne; a ciało moje, mam nadzieję, dosyć jest silne, by spełnić wolę Nieba, gdy raz tę wolę dokładnie rozpozna. W każdym razie dosyć będzie silne, by szukać wyjścia z tej chmury wątpliwości i znaleźć jasną pewność.”

Działo się to pierwszego czerwca. Ranek był chmurny i chłodny; deszcz bębnił w szyby mojego okna. Słyszałam, że otwierają się drzwi frontowe i że January wychodzi. Spojrzawszy przez okno, zobaczyłam go idącego przez ogród i kroczącego poprzez zamglone wrzosowiska na drogę w kierunku Whiteross; tam miał wsiąść do dylizansu.

„Za kilka godzin i ja pójdę wślad za tobą, kuzynie — pomyślałam — i ja mam złapać dyliżans w Whiteross. I ja mam kogoś, kogo chciałabym zobaczyć, o kogo chciałabym się dowiedzieć, zanim wyjadę z kraju na zawsze.”

Dwóch godzin jeszcze brakło do śniadania. Chodziłam cicho po pokoju, rozważając zajście, które planom moim nadało obecny kierunek. Przypominałam sobie to wewnętrzne wrażenie, jakiego doświadczyłam, gdyż mogłam to sobie przypomnieć, choć było tak niewypowiedziane dziwne. Przypominałam sobie głos, który usłyszałam; znów zadawałam sobie pytanie, skąd płynął, i znów daremnie; zdawało mi się, że usłyszałam go w sobie, nie zaś z zewnątrz... Zadawałam sobie pytanie, czy to było poprostu nerwowe wrażenie, albo złudzenie. Nie mogłam tego pojąć ani w to uwierzyć: było to raczej podobne do natchnienia. Przedziwny wstrząs czucia przyszedł jak trzęsienie ziemi i zachwiał fundamentami więzienia, otworzył drzwi do celi duszy i zdjął z niej więzy; zbudził ją ze snu, a ona zerwała się drżąca, nasłuchująca, przerażona; wtedy zabrzmiało po trzykroć wołanie, odzywające się w zdumionem uchu, w sercu, w duchu — i duch ten bez trwogi i bez drżenia radował się, jakgdyby w radosnem uniesieniu, że dane mu było uczynić skuteczny wysiłek, niezależnie od grubej cielesnej powłoki.

„Zanim minie dni kilka — mówiłam, kończąc dumania — będę coś wiedziała o tym, którego głos zdawał się mnie wzywać. Listy były bezskuteczne, zastąpię je osobistem dochodzeniem.”

Przy śniadaniu oznajmiłam Dianie i Marji, że udaję się w podróż i będę co najmniej cztery dni nieobecna.

— Sama jedziesz, Joasiu? — zapytały.

— Tak; a to, żeby zobaczyć.. albo zasięgnąć wiadomości o przyjacielu, o którego od pewnego czasu jestem niespokojna.

Mogły mi były powiedzieć — co niewątpliwie pomyślały — że sądziły, iż nie mam innych przyjaciół prócz

nich, gdyż przecie często to mówiłam. Przy wrodzonej jednak delikatności powstrzymały się od wszelkich uwag; Diana jedynie zapytała mnie, czy czuję się dość dobrze, by móc się puszczać w drogę. Zauważyła, że jestem bardzo blada. Odpowiedziałam jej, że nic mi nie dolega, oprócz niepokoju, a ten mam nadzieję wkrótce zażegnać.

Opuściłam Moor House o trzeciej po południu, a zaraz po czwartej stanęłam w Whiteross, czekając tam na djeżdżącą dylizansu. W ciszy tych pustych dróg i samotnych wzgórz już zdaleka usłyszałam, że nadjeżdża. Ten sam to był dylizans, z którego, rok temu, wysiadłam pewnego letniego wieczora na tem samym miejscu — jakże zrozpaczona, beznadziejna, bez celu przed sobą! Na dany znak dylizans się zatrzymał. Wsiadłam — już teraz nie potrzebując wszystkiem, co posiadałam, opłacać jazdy. W drodze do Thornfield poczułam się niby gołąb pocztowy, powracający do domu.

Była to podróż, trwająca trzydzieści sześć godzin. Wyruszyłam z Whiteross we wtorek po południu, a wcześniej rano następnego czwartku dylizans stanął, by napoić konie przed przydrożną gospodą. Gospoda leżała w otoczeniu, którego zielone płoty i szerokie pola i pastwiska na niskich pagórkach (o jakże łagodnych zarysem i zielenią barwy w porównaniu do surowych wzgórz północno-środkowego kraju w Morton!) powitały mnie, jak rysy dobrze niegdyś znajomej twarzy. Tak, znałam charakter tego krajobrazu; byłam pewna, że jestem blisko celu.

— Jak daleko stąd do Thornfield Hall? — zapytałam stajennego.

— Idąc polami, okrążyło dwie milki, proszę pani.

„Więc to już koniec mojej podróży“, pomyślałam.

Wysiadłam, oddałam kuferek pod opiekę stajennego i zamierzałam pójść. Rozjaśniający się dzień oświecił znak gospody: „Pod godłem Rochesterów“. Serce zaabiło we mnie głośno: więc jestem już na ziemi mojego pana! I znowu serce stanęło; ścisnęła je myśl:

„On sam, twój pan, może znajduje się po drugiej stronie Kanału, co możesz wiedzieć? A zresztą, jeśli jest w Thornfield Hall, dokąd ty śpieszysz, kto jest tam przy nim? Warjatka, jego żona; i ty z nim nie masz nic wspólnego; nie śmiesz mówić do niego, ani szukać jego obecności. Daremnie się trudziłaś — lepiej nie zapuszczaj się dalej. Rozpytaj ludzi w gospodzie; oni ci powiedzą, co potrzeba: oni twoje wątpliwości odrazu rozproszą. Idź do tego tam człowieka i zapytaj, czy pan Rochester jest w domu.”

Myśl była rozsądna, a jednak nie mogłam się przymusić, aby jej posłuchać. Tak się obawiałam odpowiedzi, któraby mnie zdruzgotała rozpaczą... Przedłużać wątpliwość, to znaczyło przedłużać nadzieję. Pragnęłam choćby zobaczyć raz jeszcze znajome ściany... Tu oto był przede mną przełaz — tu były te same pola, przez które biegłam, oślepiła, głucha, oszalała, gnana przez rżnięcą furję, ścigającą mnie owego ranka, gdy uciekałam z Thornfield; zanim sama wiedziałam, co postanowiłam, już byłam prawie w połowie drogi. Jakże ja prędko zdążałam! Jak biegłam chwilami! Jak wyteżałam wzrok, by dojrzeć pierwszy zarys dobrze znajomych lasków! Z jakim uczuciem witałam pojedyncze znajome drzewa i przebłyski łąk i wzgórz pomiędzy nimi!

Nakoniec ukazały się laski; wronie gniazda zaczęły się gęsto; głośne krakanie przerwało ciszę poranną. Ogarnęła mnie przedziwna szczęśliwość: śpieszyłam naprzód. Jeszcze jedno pole, jeszcze jedna droga — a oto mury podwórza, tylne zabudowania i — drzewa z wronami gniazdami jeszcze mi zasłaniają sam dwór. „Naprzód rzucić muszę okiem na dom z frontu, bo tam blanki jego uderzą oko odrazu szlachetnem wrażeniem, bo tam będę mogła odróżnić okno mojego pana; może będzie stał w oknie?... On wczesnie wstaje: może teraz przechadza się po sadzie, albo po brukowanej drodze przed domem?... Gdybym tylko mogła zobaczyć!... przez chwilę tylko! Przecież nie oszalałam chyba do tego stopnia, żeby do niego polecieć? Nie wiem... nie jestem pewna. A gdyby nawet... co wtedy? Bóg z nim!... co wtedy?

Komuby się krzywda stała, gdybym raz jeszcze zaczerpnęła życia z jego spojrzenia? Ależ ja od zmysłów odchodzę; on może w tej chwili ogląda wschód słońca nad Pirenejami, albo na burzliwym morzu Południowem...”

Przekradłam się wzdłuż niższego muru pod sadem i zawróciłam na rogu; w tem miejscu znajdowała się brama, wychodząca na łąkę, między dwoma filarami, uwieńczonemi kamiennemi kulami. Z poza filaru mogłam spokojnie wyrzeć i objąć okiem pełny front domu. Wsunęłam głowę ostrożnie, pragnąc się przekonać, czy stopy w sypialniach już podniesione; blanki, okna, długi front — wszystko mogłam widzieć z tego ukrytego stanowiska.

Spojrzałam ukradkiem, a potem długo patrzyłam i patrzyłam... aż wypadłam z ukrycia i wybiegłam na łąkę; i nagle stanęłam przed frontem wielkiego budynku i długo, uporczywie weń się zapatrzyłam; z lękliwą radością słałam spojrzenie ku okazałemu domowi — ujrzałam szerniałą ruinę...

Zbyteczne, zaiste, było skradanie się za bramę!... zbyteczne zagłądanie, czy za kratą okien życie się nie rusza! Zbyteczne nasłuchiwanie, czy nie otwierają się drzwi — lub czyjeś kroki nie trzeszczą na żwirze albo na bruku! Łączka, ogród, wszystko było zdeptane i opustoszałe, portal wejściowy zionął pustką. Front domu był taki, jakim go niegdyś we śnie widziałam: murem, podobnym do skorupy, — wysoki i kruchy z pozoru, podziurawiony oknami bez szyb, ani dachu, ani blanków, ani kominów — wszystko to się zapadło.

I milczenie śmierci obejmowało całą tę samotnię. Nie dziw, że listy, wysyłane pod tym adresem do ludzi, nie przynosiły odpowiedzi; równie dobrze możnaby listy wysyłać do grobowych pieczar pod kościołem. Poczerniałe kamienie świadczyły, jakiemu losowi uległ dwór: zniszczył go pożar; lecz jakimże sposobem wzniecony? Co się wiąże z tem nieszczęściem? Jakież straty ono spowodowało oprócz zniszczenia w cegle, marmurze i drzewie? Czy pochłonęło jakie życie ludzkie, oprócz strat materialnych? A jeżeli tak — to czyje? Straszne

pytanie: nikogo tutaj nie było, ktoby mi na to mógł dać odpowiedź, — brakło nawet niemych świadków, milczących dowodów.

Chodząc dokoła skruszałych murów i po zniszczonym wnętrzu, przekonałam się, że katastrofa zaszła już dość dawno. Zimowe śniegi widocznie wpadały przez te puste arkady, zimowe deszcze przez te okienne dziury — gdyż wśród przemokłych kup gruzu pod tchnieniem wiosny wystrzeliły łodygi roślinne. Trawa i chwasty puszczały się tu i owdzie pomiędzy kamieniami i opalonymi belkami. Ale, ach! gdzież się tymczasem podziwał nieszczęsny właściciel tej ruiny? W jakim kraju? Czy zdrow, czy cały? Mimowoli wzrokiem pobiegłam ku szarej wieży kościoła za bramą i zadałam sobie pytanie: „A może dzieli już wraz z przodkami ich marmurowe schronienie?”

Jakąś odpowiedź na te pytania muszę znaleźć. Jedynie w gospodzie znaleźć ją mogę — i tam też niebawem powróciłam. Gospodarz sam przyniósł mi śniadanie do pokoju. Prosiłam, żeby zamknął drzwi i usiadł, gdyż kilka pytań miałam mu zadać. Gdy usłuchał, sama nie wiedziałam, od czego zacząć, tak strasznie bałam się usłyszeć złej nowiny. Gospodarz był w średnim wieku mężczyzną przyzwoitej powierzchowności.

— Pan zna Thornfield Hall oczywiście? — zdołałam wkońcu wykrztusić.

— Tak, proszę pani; mieszkałem tam niegdyś.

„Mieszkałeś? Nie za moich czasów — pomyślałam — jesteś mi obcy.”

— Byłem kamerdynerem nieboszczyka pana Rochester — dodał.

— Nieboszczyka! — drgnęłam. — Więc pan Rochester nie żyje?

— Ja mówię o ojcu obecnego właściciela, pana Edwarda — wyjaśnił.

Odetchnęłam; krew żywiej mi znów w żyłach popłynęła. Te słowa upewniły mnie, że pan Edward, mój pan Rochester (niech Bóg go ma w swojej opiece, gdziekolwiek się obraca!) żyje przynajmniej, słowem jest „obec-

nym właścicielem". Radosne słowa! Teraz już mogłam słuchać stosunkowo spokojnie wszystkiego tego, co jeszcze miałam usłyszeć. Skoro nie leży on w grobie, mogłabym znieść, pomyślałam, nawet wiadomość, że jest na drugiej półkuli.

— Czy pan Rochester mieszka obecnie w Thornfield Hall? — zapytałam, wiedząc, naturalnie, jaka będzie odpowiedź, ale odwlekając proste zapytanie o obecne jego miejsce pobytu.

— Nie, pani — o nie! Nikt tam teraz nie mieszka. Pani zapewne jest obca w tych stronach, inaczej byłaby pani słyszała, co się tu stało przeszłej jesieni... Thornfield Hall to zupełna ruina; spaliło się w samą porę żniw. Straszna katastrofa! Taka niezmierna moc cennych rzeczy zniszczona; zaledwie cośkolwiek mebli dało się uratować. Ogień wybuchnął w nocy, a zanim sikawki dojechały z Millcote, budynek cały stał w płomieniach. Straszny to był widok! Byłem jego świadkiem.

— W nocy! — szepnęłam. Tak, w Thornfield zawsze noc była porą fatalną. — Czy wiadomo, co wywołało pożar? — zapytałam.

— Zgadywali ludzie, proszę pani, zgadywali. Mogę nawet powiedzieć, że było to ponad wszelką wątpliwość stwierdzone. Może pani tego nie wie — tu przysunął się z krzesłem trochę bliżej do stołu i mówił cicho — że trzymano tam w domu pewną panią... taką niespełna... warjatkę, jednym słowem.

— Coś o tem słyszałam.

— Trzymano ją bardzo dokładnie zamkniętą, proszę pani; ludzie nawet przez szereg lat nie byli zupełnie pewni, że ona istnieje. Nikt jej nie widział; wiedziano tylko z pogłosek, że taka osoba jest we dworze; ale kto ona i co za jedna, trudno było odgadnąć. Mówiono, że pan Edward przywiózł ją z zagranicy, a niektórzy myśleli, że była jego kochanką. Ale dziwna rzecz stała się rok temu, bardzo dziwna rzecz.

Lękałam się, że przyjdzie mi teraz wysłuchiwać własnej mojej historii. Staralam się przywołać go do głównego faktu.

— Więc i cóż z tą panią?

— Ta pani — odpowiedział — okazało się, że była żoną pana Rochester! Odkrycie to nastąpiło w najdziwniejszy sposób. Była tam młoda panna we dworze, nauczycielka, w której się pan Rochester...

— Ale co do tego pożaru — podsunęłam.

— Zaraz do tego dochodzę, proszę pani... w której się pan Edward zakochał. Służące mówiły, że nigdy nie widziały kogoś tak zakochanego, jak on; jak cień snuł się za nią. Służące, które go śledziły, mówiły, że świata nie widział poza nią, bo zresztą nikt, oprócz niego, takiej w niej piękności nie widział. Była to mała, drobna osóбка, prawie jak dziecko. Ja sam nigdy jej nie widziałem, ale opowiadała mi o niej Lea, pokojówka. Lea ją bardzo lubiła. Pan Rochester miał około lat czterdziestu, a ta nauczycielka nawet nie całe dwadzieścia. Ale bo to, widzi pani, jak mężczyzna w jego wieku zakocha się w młodej dziewczynie, bywa niekiedy, jak urzeczony... No tak, i pan Rochester chciał się z nią ożenić.

— Tę część historii opowie mi pan później — przerywałam — teraz zależy mi przede wszystkim na dowiedzeniu się, z czego wyniknął pożar. Czy podejrzewano, że to ta warjatka, pani Rochester, przyłożyła rękę do tego?

— Odgadła pani, proszę pani; to rzecz zupełnie pewna, że to ona pożar wznieciła, nikt inny. Miała ona daną sobie do opieki kobietę, nazwiskiem Poole, bardzo umiejętną w swoim zawodzie osobę, i bardzo zresztą godną zaufania, tylko że miała jedną wadę — wadę zwykłą u wielu takich pielęgniarek i dozorczyń — miała stałe buteleczkę i czasem potrafiła łyknąć o parę kropel za wiele. Moznaby jej darować, gdyż ciężkie tam miała życie, aleć zawsze było to niebezpieczne, bo gdy pani Poole zasypiała mocno po napitku, warjatka, przebiegła jak czarownica, wykradała jej klucze z kieszeni, wychodziła z pokoju i snuła się po domu, wyrządzając złośliwe szkody, cokolwiek jej przyszło do głowy. Powiadają, że raz o mało nie spaliła męża swego w łóżku, ale ja o tem nic nie wiem. Tej nocy jednak najpierw zapaliła firanki

i portjery w pokoju obok swojego, a potem zeszła na niższe piętro i dostała się do pokoju, który był przedtem pokojem nauczycielki (zdawałoby się, że coś o tem wiedziała, jak sprawy stoją, i miała złość do niej) — i tam podpaliła łóżko; na szczęście nikt tam nie spał. Nauczycielka uciekła dwa miesiące pierwej; a chociaż pan Rochester poszukiwał jej, jak czegoś najdroższego sobie w świecie, nie mógł się o niej niczego dowiedzieć; zupełnie zdziczał, możnaby powiedzieć, że się wściekł, gdy go ten zawód spotkał: nigdy nie był człowiekiem powściągliwym, ale teraz, gdy ją utracił, stał się niebezpiecznym. A do tego chciał być zupełnie sam. Odesłał panią Fairfax, zarządczynię, do jej rodziny gdzieś daleko; ale zrobił to ładnie, gdyż wyznaczył jej dożywotnią pensję, a ona na to zasłużyła — to była bardzo dobra kobieta. Pannę Adelę, swoją wychowanicę, umieścił w szkole. Zerwał ze wszystkimi znajomymi, z całą okoliczną szlachtą i zamknął się jak pustelnik we dworze.

— Jakto! Więc nie wyjechał z Anglii?

— Miałby wyjechać z Anglii? Gdzieżby zaś! Nie chciał wychodzić za próg swego domu, chyba nocą: a wtedy to jak duch chodził i chodził po ogrodzie, po sadzie, zupełnie jakgdyby był zmysły postradał; bo, wedle mojego rozumienia, tak też i było; gdyż tak zważego, śmiałego, mądrego pana, jakim on był, zanim mu ta maleńka nauczycielka weszła w drogę, nie widziała pani chyba w życiu. W winie, kartach, w zakładach na wyścigach nie lubował się, jak to wielu czyni, i nie był znów tak bardzo piękny; ale miał rzadką, prawdziwie męską odwagę i wolę. Bo widzi pani, ja go znałem od małego chłopca; nieraz wzdychałem: bodajby w morzu byli utopili tę pannę Eyre, zanim przybyła do Thornfield Hall!

— Więc pan Rochester był w domu, gdy ten pożar wybuchł?

— Tak, owszem, był; i poszedł na strych, gdy wszystko gorzało na górze i na dole, i wyrzucił służące z łóżek i sam im pomógł zejść nadół, a potem wrócił, żeby warjatkę żonę wydobyć z jej celi. A wtedy zawo-

łano ku niemu, że ona jest na dachu, gdzie też stała, wymachując rękoma, nad blankami i wydając takie krzyki, że można ją było słyszeć o milę: ja sam ją słyszałem i widziałem na własne oczy. Była to wielka kobieta i miała długie, czarne włosy; na tle płomieni widać ją było, spływające jej na plecy. Byłem świadkiem, i wielu innych oprócz mnie również, jak pan Rochester przez drzwi w dachu wychodził na dach; słyszeliśmy, jak wołał: „Berto!” Widzieliśmy, jak zbliżał się do niej; a wtedy, proszę pani, ona wrzasnęła i padła z dachu na bruk.

— Nieżywa?

— Nieżywa! Tak, nieżywa jak te kamienie jej mózgiem i krwią umazane.

— Wielki Boże!

— Tak, pani, to było straszne!

Wzdrygnął się.

— A później? — dopytywałam.

— I cóż, proszę pani, później dom spalił się do fundamentów: pozostały tylko szczątki murów.

— Czy jeszcze kto więcej stracił tam życie?

— Nie, a może nawet byłoby lepiej...

— Nie rozumiem pana...

— Biedny pan Edward! — westchnął — czyż mogłem się kiedy spodziewać, że to zobaczę! Niektórzy mówią, że to sprawiedliwa kara za to, że ukrywał swoje pierwsze małżeństwo, a chciał pojąć drugą żonę, chociaż pierwsza żyła; ale ja go żałuję.

— Pan przecież powiedział, że pan Rochester żyje! — wykrzyknęłam.

— Tak, tak, on żyje; ale wielu myśli, że lepiejby było, gdyby nie żył.

— Dlaczego? jakto? — zdrętwiałam. — Gdzież on jest? — zapytałam — czy w Anglii?

— Tak... tak... w Anglii; z Anglii, myślę, wyjechać nie może — jest teraz z miejscem związany.

Cóż to była za męka! A ten człowiek przedłużał ją, jakby naumyślnie.

— Jest całkowicie ślepy — rzekł wkońcu. — Tak, pan Edward całkowicie zaniewidział.

Lękałam się jeszcze gorszej wieści. Lękałam się, że zmysły postradał. Zbierając siły, zapytałam, co spowodowało to nieszczęście.

— To wszystko z winy jego odwagi i, mógłby ktoś powiedzieć, poniekąd z winy jego dobroci, proszę pani: nie chciał opuścić domu, dopóki wszyscy przed nim nie wyszli. Gdy nakoniec schodził po wielkich schodach, kiedy już pani Rochester rzuciła się była z blanków, rozległ się wielki łoskot — wszystko się zapadło. Wyjęto go z pod gruzów żywego, ale srodze pokaleczonego: belka jedna upadła w ten sposób, że częściowo go osłaniała; jednakże jedno oko miał wybite, a jedną rękę tak zmiażdżoną, że pan Carter, chirurg, musiał ją odrazu amputować. Drugie oko zapalone: i na to oko zaniewidział. Jest teraz bezradny, doprawdy — niewidomy i kaleka.

— Gdzież jest pan Rochester? gdzie obecnie mieszka?

— W Ferndean, we dworze na fermie, którą posiada o trzydzieści mil stąd: jest to ustronna, smutna miejscowość.

— Kto jest tam przy nim?

— Stary Jan i jego żona; nie chciał mieć nikogo więcej. Powiadają, że jest do ostateczności zgębiony.

— Czy posiada pan jaki ekwipaż?

— Mamy tu powozik, proszę pani, bardzo porządny powozik.

— Niechże pan każe natychmiast zaprzęgać; a jeżeli pański pocztarek potrafi mnie dowieźć do Ferndean dziś jeszcze przed wieczorem, zapłacę panu i jemu dwa razy tyle, ile pan zwykle żąda za wynajem.

ROZDZIAŁ XXXVII.

Dwór w Ferndean był to budynek dość stary, średniej wielkości, bez architektonicznych pretensyj, głęboko ukryty w lesie. Słyszałam o nim dawniej. Pan Rochester często o nim mówił, a niekiedy tam jeździł. Ojciec jego

kupił ten majątek ze względu na obfitość zwierzyny w tych okolicach. Byłby wynajął dom, ale nie mógł nań znaleźć lokatora. Ferndean przeto pozostało niezamieszkałe i nieumeblowane, z wyjątkiem dwóch czy trzech pokoi, urządzonych dla wygody dziedzica, gdy tam przyjeżdżał na polowanie.

Do tego domu przyjechałam przed nocą. Ostatnią milkę przeszłam pieszo, odprawivszy powozik po zapłaconiu woźnicy przyobiecanej podwójnej zapłaty. Nawet z samego pobliża nie można jeszcze było dojrzeć dworku, tak gęsto otaczał go ponury las dokoła. Żelazna brama, osadzona na granitowych słupach, wskazywała wejście; przeszedłszy ją, znalazłam się odrazu w półcieniu gęstego szpaleru drzew. Zarośnięta trawą dróżka prowadziła brzegiem lasu wpośród omszałych i sękatych pni pod sklepieniem z gałęzi. Posuwałam się tą drogą, mając nadzieję, że wkrótce dotrę do mieszkania. Tymczasem droga ciągnęła się, wiła i skręcała coraz dalej: ani śladu domu mieszkalnego albo ogrodu.

Już myślałam, że obrałam zły kierunek i że zabłądziłam. Otaczał mnie zmrok i cień leśny. Obejrzałam się — innej drogi nie było: wszędzie tylko pnie, jak kolumny, gęste listowie — żadnego otwartego wyjścia.

Szłam dalej; nareszcie zaczęła się przede mną otwierać droga, gęstwina drzew nieco rzedła; po chwili ujrzałam sztachety, a potem dom, zaledwie przy tem słabem świetle dający się odróżnić od drzew, tak wilgotne i zielonawe były jego ściany. Wszedłszy przez bramkę, stanęłam w obrębie zamkniętego ogrodu, który las obejmował półkolem. Nie było tam kwiatów, nie było grządek — jedynie zwirowana szeroka ścieżka biegła dokoła trawnika, a wszystko to ciężką ramą otaczał las. Dom dwoma ostremi szczytami zwrócony był do frontu, okna zakratowane i wąskie, drzwi frontowe również wąskie, jeden stopień do nich prowadził. Całość robiła wrażenie, jak się właściciel gospody wyraził, „ustronnej, smutnej miejscowości”. Cicho tam było, jak w kościele w dniu powszednim. Deszcz, kapiący na liściach drzew, wydawał tam jedyny dosłyszalny odgłos.

— Czyż może być życie w tym domu? — zapytałam siebie

Ależ tak — usłyszałam jakiś ruch; otwierały się wąskie drzwi frontowe i ktoś widocznie zamierzał wyjść z domu.

Drzwi otwarły się z wolna; jakaś postać ukazała się w zmierzchu wieczornym i stanęła na stopniu: mężczyzna bez kapelusza; wyciągnął rękę, by się przekonać, czy pada. Choć ciemno było, poznałam go — tak, to był mój pan, Edward Fairfax Rochester — on, nie kto inny.

Wstrzymałam kroki, zatrzymałam prawie oddech i stałam, patrząc na niego — przyglądając mu się, sama niewidziana, i, niestety! niewidzialna dla niego. Było to nagłe spotkanie, ale takie, gdzie ból opanowywał radosne uniesienie. Bez trudu powstrzymałam okrzyk i odruch pośpieszenia ku niemu.

Postać jego miała ten sam silny, sprężysty zarys, co zawsze: trzymał się prosto, włosy jego, jak pierwej, były kruczo czarne i rysy nie zmienione; rok czasu, pomimo najcięższej zgryzoty, nie potrafił strawić jego atletycznej siły, ani podkopać potężnej pełni rozwoju. Ale w twarzy jego zobaczyłam zmianę; na tej twarzy malowała się rozpacz i ponura zaduma... i przyszedł mi na myśl jakiś skrzywdzony i spętany dziki zwierz albo ptak, do którego w milczącym jego bólu niebezpiecznie byłoby przystąpić. Orzeł w klatce o okrutnie oślepionych oczach mógłby tak wyglądać, jak ten ociemniały Samson.

Lecz nie obawiałam się go w tej dzikości ani na chwilę. Zgryzotę moją słodziła nadzieja, że wkrótce odważę się złożyć pocałunek na tem czole surowem i na tych ustach tak boleśnie zaciśniętych, ale jeszcze nie w tej chwili. Jeszcze teraz nie chciałam go zacząć.

Zeszedł ze stopnia i posuwał się wolno, niepewnie ku trawnikowi. Gdzież się podział ten śmiały krok jego? Przystanął, jakgdyby nie wiedział, w którą stronę się obrócić. Podniósł rękę i rozwarł nią powieki; spojrział, wysilając się, ku niebu i w kierunku drzew: widziałam, że dla niego wszystko było pustą ciemnicą. Wyciągnął prawą ręką (lewą okaleczałą trzymał ukrytą na

piersiach); zdawało się, że chce dotykaniem zbadać, co jest wkoło niego, wszędzie jednakże napotykał pustkę, gdyż drzewa odległe były o kilka łokci od niego. Zaprzestał daremnych prób, skrzyżował ręce na piersiach i stał spokojny i niemy na deszczu, który teraz obficie padał na odkrytą jego głowę. W tej chwili zjawił się skądś Jan i zbliżył się do niego.

— Czy mogę panu podać ramię? — zapytał. — Pada duży deszcz, czy nie wróciłby pan lepiej do domu?

— Zostaw mnie w spokoju — usłyszał za całą odpowiedź.

Jan odszedł, nie zauważywszy mnie. Pan Rochester próbował teraz chodzić, daremnie — wszystko było tak niepewne. Z trudem odnalazł drogę do domu, wszedł i zamknął drzwi za sobą.

Teraz przysunęłam się i zapukałam; otworzyła mi żona Jana.

— Marjo — powiedziałam — czy to wy?

Drgnęła, jakgdyby ujrzała ducha. Uspokoiliam ją. Na jej pośpieszne zapytanie: „Czy to naprawdę pani o tak późnej godzinie na tem pustkowiu?” ujęłam jej rękę, a potem poszłam za nią do kuchni, gdzie przy ogniu siedział Jan. Wytlumaczyłam im w kilku słowach, że słyszałam o wszystkim, co się stało, odkąd opuściłam Thornfield, i że przybyłam odwiedzić pana Rochester. Poprosiłam Jana, żeby poszedł na roгатkę, gdzie wysiadłam z dylizansu, i żeby mi przyniósł pozostawiony tam kuferek, a potem, zdejmując kapelusz i szal, zapytałam Marję, czy mogłabym tu we dworze znaleźć nocleg. Odpowiedziała, że chociaż z trudem, ale można to będzie urządzić. Wtedy oświadczyłam jej, że pozostaję. Właśnie w tej chwili odezwał się dzwonek z pokoju.

— Skoro tam idziecie — rzekłam — powiedzcie waszemu panu, że pewna osoba pragnie się z nim widzieć, ale nie podawajcie mojego imienia.

— Wątpię, czy pan będzie chciał panią przyjąć — odpowiedziała — odmawia wszystkim.

Gdy powróciła, zapytałam, co powiedział.

— Że ma pani wymienić nazwisko i w jakim chce mówić interesie — odpowiedziała, poczem nalała wody do szklanki, którą postawiła na tacy razem ze świecami.

— Czy pan dlatego dzwonił? — zapytałam.

— Tak jest; pan zawsze każe wnosić świece, gdy się ściemnia, chociaż nie widzi.

— Dajcie mi tackę; ja ją zaniosę.

Odebrałam od niej tackę; pokazała mi drzwi bawialnego pokoju. Tacka trzęsała mi się w rękę, woda się wylewała; serce biło głośno i szybko. Marja otworzyła drzwi i zamknęła je za mną.

Bawialnia miała wygląd ponury; resztką zaniedbanego ognia dopalała się na kominku; pochylonego nad tym ogniem, z głową, opartą o wysoki, staroświecki gzyms kominka ujrzałam niewidomego mieszkańca tego pokoju. Stary pies Pilot leżał na boku, odsunięty z drogi i skurczony, jakgdyby w obawie, że może być nieumyślnie nadeptnięty. Pilot nastawił uszy, gdy wchodziłam do pokoju, a potem zerwał się z radosnym skowytem i skoczył ku mnie, ledwie mi tacki nie wytrącił. Postawiłam tackę na stole, poklepałam go i powiedziałam cicho: „Leżeć!” Pan Rochester obejrzał się automatycznie, chcąc zobaczyć, co znaczy ten ruch, ponieważ jednak nic nie mógł zobaczyć, odwrócił się i westchnął.

— Podaj mi wodę, Marjo — rzekł.

Zbliżyłam się do niego z szklanką, już tylko do połowy napełnioną. Pilot szedł za mną wciąż podniecony.

— Co się to dzieje? — zapytał pan Rochester..

— Leżeć, Pilot! — powtórzyłam.

Pan Rochester wstrzymał rękę, niosącą wodę do ust, nad słuchując; ale wnet wypił i odstawił szklankę.

— To ty jesteś, Marjo, wszak prawda?

— Marja jest w kuchni... — odpowiedziałam.

Wyciągnął rękę ruchem szybkim, ale nie widząc, gdzie stoję, nie dotknął mnie.

— Kto to jest? Kto to jest? — zapytał, wyraźnie starając się zobaczyć temi niewidzącymi oczami, — daremny, żaloszny wysiłek. — Proszę odpowiedzieć! Proszę znów przemówić! — powiedział głośno i rozkazująco.

— Czy życzy pan sobie trochę więcej wody? Połowę tego, co było w szklance, wylałam — rzekłam.

— Kto to jest? Co to jest? Kto mówi?

— Pilot mnie poznał i Jan i Marja wiedzą, że tu jestem. Przybyłam tu dopiero dziś wieczór — odpowiedziałam.

— Wielki Boże!... co za złudzenie mnie nachodził! Co za słodkie szaleństwo mnie ogarnęło!

— Nie złudzenie... nie szaleństwo. Duch pański zbyt silny, by dać się omotać złudzeniu, zbyt zdrów, by ulec szaleństwu.

— A gdzie jest to, co mówi? Czy to tylko sam głos?... Ach, ja widzieć nie mogę, ale muszę dotknąć, inaczej serce we mnie bić przestanie i krew mózg zaleje. Czemkolwiek, kimkolwiek jesteś, daj mi się dotknąć, bo skonam!

Szukał wyciągniętą ręką. Ujęłam tę błakającą się rękę i uwięziłam ją w obu moich dłoniach.

— Jej własne paluszki! — zawołał — jej drobne, delikatne paluszki! A skoro tak, to musi być i ona sama!

Muskularna dłoń wyrwała się z pod mojej straży; chwycił ramię moje, moją szyję, objął mnie w pół, oplótł ramionami i przytulił mnie do siebie.

— Czy to Joanka? Co to jest? To jej kształt, to jej wzrost...

— A to jej głos — dodałam. — Jestem tutaj cała: i serce moje jest tutaj. Niechaj Bóg pana błogosławi! Jestem szczęśliwa, że jestem znowu przy panu.

— Joanna Eyre! Joanna Eyre! — powiedział tylko.

— Panie mój drogi — odpowiedziałam — ja jestem Joanna Eyre: odnalazłam pana, wróciłam do pana.

— Czy doprawdy? Czy w żywym ciele? Moja żyjąca Joanka?

— Pan mnie dotyka, pan mnie trzyma, i dosyć mocno przecież. Nie jestem zimna jak trup, bezcielesna jak powietrze, nieprawdaż?

— Moje żyjące kochanie! To z pewnością są jej członki, a to jej twarzyczka; a jednak to niepodobna, żeby mnie po tem wszystkiem, co przeszedłem, spoty-

kało takie szczęście. To sen. Taki sen, jaki nachodził mnie niekiedy nocą. Wtedy tuliłem ją znów do serca, tak jak oto teraz; całowałem ją — o, tak — i czułem, że ona mnie kocha, i wierzyłem, że mnie nie opuści...

— Ja już od tej chwili nigdy pana nie opuszczę!

— Nigdy mnie nie opuści, mówi zjawisko niebiańskie?... A przecież zawsze budziłem się i przekonywałem, że to była pusta złuda; i rozpacz odnajdowałem i opuszczenie. Posępne moje życie, samotne, beznadziejne, dusza spragniona nigdy nie zaznała napoju, ani głód serca — pokarmu. Miła, słodka senna zjawo, co tulisz się teraz w moich objęciach, i ty ulecisz, jak przed tobą wszystkie twoje siostry; ale ucałuj mnie, zanim pójdziesz, uściskaj mnie, Joanko.

Przycisnęłam usta do jego niegdyś pełnych blasku, dziś bezpromiennych oczu, — odgarnęłam mu włosy z czoła i to czoło ucałowałam także. Zdawał się nagle rozbudzać; chwyciło go poczucie rzeczywistości.

— Więc to ty... to istotnie ty jesteś, Joanko? Powróciłaś do mnie naprawdę?

— Powróciłam.

— Więc nie leżysz martwa w jakimś rowie, albo na dnie jakiegoś strumienia? Ani nie błąkasz się, zbiedzony wyrzutek, pomiędzy obcymi?

— Nie, panie! Jestem teraz niezależną kobietą.

— Niezależna! Co przez to rozumiesz, Joanko?

— Stryj mój na Maderze umarł i pozostawił mi pięć tysięcy funtów.

— Ach! to coś z dziedziny praktycznej... to jest coś rzeczywistego! — zawołał — toby mi się śnić nie mogło. A przytem ten jej głos szczególniejszy, taki ożywczy i przekorny, a zarazem słodki; ten głos krzepi zawiędłe moje serce i życie w niem budzi... Więc jakżeż to, Joanko! Jesteś teraz niezależną, bogatą kobietą?

— Zupełnie bogatą, mój panie. Jeżeli mi pan nie pozwoli mieszkać ze sobą, mogę sobie własny mój domek postawić tuż blisko pańskich drzwi i będzie pan mógł przychodzić i siadywać w moim saloniku, gdy pan wieczorem zapraśnie towarzystwa.

— Ależ skoro jesteś bogata, Joanko, masz teraz, niewątpliwie, przyjaciół, którzy się tobą zaopiekują i nie zniosą tego, ażebyś się poświęcała dla takiego ślepego kaleki jak ja.

— Ja już panu powiedziałam, że jestem niezależna i bogata: jestem panią siebie.

— I chcesz pozostać ze mną?

— Z pewnością — chyba, że pan mnie nie zechce. Będę pańską sąsiadką, pielęgniarką, gospodynią. Widzę, że pan samotny, będę pańską towarzyszką, będę panu czytała, chodziła z panem, siadywała z panem, usługiwała panu, będę pańskim okiem i pańską ręką. Nie smuć się tak, mój drogi panie; nie będziesz opuszczony, dopóki ja żyję.

Nie odpowiedział nic na to. Miał minę poważną, jakgdyby zamyśloną; otworzył usta, zdawało się, że chce coś powiedzieć — lecz znowu je zamknął. Zażenowałam się trochę. Może zbyt pośpiesznie przeskoczyłam konwenanse, a on, podobnie jak January, widział niewłaściwość w mojej nierozwadze? W istocie, propozycję czyniłam w tej myśli, w tej nadziei, że on pragnie mieć mnie za żonę i że mi to powie — że mi to powie odrazu. Ponieważ jednak żadnej na ten temat nie czynił wzmianki, tylko spochmurniał, przyszło mi nagle na myśl, że omyliłam się może, i że niemądrą w tej chwili odgrywam rolę. To też zaczęłam się łagodnie z jego objąć wysuwać, on jednakże przytulił mnie jeszcze mocniej.

— Nie... nie... Joanko, nie odchodź. Nie... Dotknąłem cię, słyszałem cię, odczułem szczęście, dzięki twej obecności, słodycz pociechy z ust twoich: nie mogę wyrzec się tych źródeł radości. We mnie tak mało pozostało, muszę posiadać ciebie. Choć ludzie śmiać się będą, nazwą to niedorzecznością, egoizmem, dla mnie to nic nie znaczy. Sama dusza moja wzywa ciebie, jeśli jej pragnień nie zaspokoisz, śmiertelnie się zemści na swej cielesnej powłoce.

— Dobrze, panie mój, ja zostanę z tobą: już to powiedziałam.

— Tak, ale mówiąc, że zostaniesz ze mną, może masz co innego na myśli, — a ja co innego. Ty może zdecydowałabyś się być koło mnie, usługiwać mi, czuwać nade mną, jak dobrotliwa pielęgniareczka, gdyż dobre masz serce i szlachetną naturę, i to cię skłania do poświęceń dla tych, nad którymi się litujesz — a mnie to niezawodnie powinnyby wystarczać. Ja zapewne powinienbym mieć teraz tylko ojcowskie uczucie dla ciebie, jak myślisz? No, powiedz mi...

— Będę myślała, co pan zechce; chętnie będę tylko pańską pielęgniarką, jeśli pan uważa, że tak będzie lepiej...

— Ale ty nie możesz zostać na zawsze moją pielęgniarką, Joanko; jesteś młoda — musisz kiedyś wyjść za mąż.

— Nie dbam o zamążpójście.

— Powinnaś dbać, Joanko; gdybym był tem, czem przedtem byłem, postarałbym się, abyś o to dbała... ale... taki ślepy pień!...

Znowu zapadł w posępną zadumę. Ja, przeciwnie, poweselałam i nabrałam świeżej otuchy. Jego słowa pozwoliły mi zrozumieć, w czym leżała trudność; a że to dla mnie nie było trudnością, więc i poprzednie moje zakłopotanie minęło. Uderzyłam w żywszą nutę w rozmowie.

— Czas już, żeby się ktoś zabrał do przywrócenia panu bardziej ludzkiego wyglądu — rzekłam, rozdzielając gęste jego i dawno niestrzyżone kędziory. — Widzę bowiem, że pan się przemienia w lwa, czy coś w tym rodzaju. I coś z Nabuchodonozora, pasącego się na łące, ma pan w sobie, to pewna. Włosy pańskie przypominają mi orle skrzydła, a czy pańskie paznokcie urosły, czy nie urosły, jak ptasie szpony, tego jeszcze nie zauważyłam.

— Na tej ręce nie mam ani dłoni, ani paznokci — rzekł, wyciągając ukrytą na piersi okaleczoną kończynę. — Czy to nie okropny widok? Powiedz, Joanko!

— Doprawdy, przykro na to patrzeć; i przykro widzieć oczy pańskie i tę bliznę z oparzenia na pańskim

czole, ale co najgorsze, to, że za to wszystko musiałoby się może aż za nadto pana kochać, rozpieszczać i psuć...

— Ja myślałem, że ciebie wstręt ogarnie, Joanko, gdy ujrysz moją rękę i te blizny na twarzy.

— Tak pan myślał? Niech mi pan tego nie mówi, bo będę panu musiała powiedzieć coś niemiłego o jego rozumie. A teraz niech mnie pan puści na chwilę, gdyż chciałabym ogień poprawić i kazać zamieść koło pieca. Czy pan mnie rozpozna, gdy dobry ogień się pali?

— Owszem; prawem okiem widzę żar, czerwoną mgłę.

— A świece pan widzi?

— Bardzo niewyraźnie, każda jest jak jasny obłoczek.

— A mnie czy pan może zobaczyć?

— Nie, wróżko moja, ale i tak jestem aż nazbyt szczęśliwy, że mogę słyszeć cię i dotknąć.

— Kiedy pan jada wieczerzę?

— Nie jadam jej wcale.

— Ale dzisiaj musi pan coś zjeść. Ja jestem głodna, i pan z pewnością również, tylko pan o tem nie myśli.

Przyzwawszy Marję, postarałam się prędko o uporządkowanie pokoju; przygotowałam mu też smaczny posiłek. Czułam się podniecona, łatwo i z przyjemnością rozmawiałam z nim w czasie wieczerzy i długo jeszcze potem. Nie potrzebowałam krępować się, hamować wesołości i ożywienia wobec niego; byłam z nim zupełnie swobodna, gdyż wiedziałam, że mu się podobam; wszystko, co mówiłam albo czyniłam, zdawało się pocieszać go i ożywiać. Rozkoszna świadomość! Życiem i światłem mnie to przenikało: w jego obecności żyłam całą pełnią; on również w mojej. Chociaż niewidomy, uśmiechał się, radość zaświtała na twarzy i wyraz jej złagodniał, nabrał ciepła.

Po kolacji zaczął mi zadawać mnóstwo pytań, mianowicie gdzie byłam, co robiłam, jakim sposobem go odnalazłam. Ja jednakże dawałam mu tylko częściową odpowiedź; za późno już było tego wieczora wchodzić w szczegóły. Nie chciałam zresztą dotykać żadnej głę-

biej brzmiającej struny, ani otwierać w sercu jego nowego źródła wzruszeń. Chwilowo jedynym moim celem było pokrzepić go i rozweselić. Ożywił się był i rozweselił, jak powiedziałam, ale jeszcze nie na stałe. Skoro tylko chwila milczenia przerywała rozmowę, zaczynał się niepokoić, dotykać mnie, a potem mówił:

— Joanko, czyś ty naprawdę ludzka istota? Czyś tego pewna?

— Sumiennie wierzę, że tak jest, panie.

— Jednak jakim sposobem, w ten smutny i ciemny wieczór, mogłaś się tak nagle pojawić przy mojem opuszczonem ognisku? Wyciągnąłem rękę, żeby odebrać szklankę wody od służącej, a podałaś mi szklankę ty; zapytałem o coś, spodziewając się, że odpowie mi żona Jana, a twój głos przemówił do mojego ucha.

— Bo zamiast Marji weszłam do pokoju z tacą.

— I ta godzina, którą teraz spędzam z tobą, jest jakaś zaczarowana. Nikt nie może wiedzieć, jakie straszne, ponure, beznadziejne życie pędziłem od długich miesięcy... Nic nie robiąc, nie spodziewając się niczego; nie rozróżniając dnia i nocy. Czułem tylko wrażenie zimna, gdy pozwoliłem, by ogień wygasł; głodu, gdy zapomniałem jeść; a przytem bezustanny smutek, a chwilami prawdziwy szal tęsknoty za moją Joanką. Tak jest: goręcej pragnąłem, by ona mi była zwrócona, niż utracony wzrok. I jak to być może, że Joanka jest ze mną i mówi, że mnie kocha? Czy mi nie zniknie tak nagle, jak się zjawiła? Lękam się, że jutro już jej nie odnajdę.

Zwykła, codzienna uwaga, wyrwywająca go z toku dręczących myśli, byłaby, tego byłam pewna, najlepszym sposobem uspokojenia go w tym stanie umysłu. Przesunęłam mu palcem po brwiach, a zauważywszy, że są spalone, zapowiedziałam, że użyję środka, od którego odrosną tak szerokie i czarne, jak były dawniej.

— Naco się przyda tak czy inaczej czynić mi dobrze, duchu dobroczynny, skoro w jakiejś niefortunnej chwili znowu mnie odejdiesz, znikniesz, jak cień, dokąd i jak, nie będę wiedział i już cię potem więcej nie odnajdę?

— Czy pan ma grzebyczek kieszonkowy przy sobie?

— Naco ci to, Joanko?

— Chciałabym przeczesać tę spletaną czarną grzywę. Przyglądając się panu zbliska, widzę, że pan strasznie wygląda. Mówi pan, że ja jestem wróżka, ale to pewna, że pan podobniejszy jest do wilkołaka.

— Czy bardzo jestem brzydki, Joanko?

— Bardzo: pan zawsze był brzydki, to wiadomo.

— Hm!... Złośliwość w tobie nie wygasła, gdziekolwiek przebywałaś.

— A jednak przebywałam z bardzo dobrymi ludźmi; z ludźmi lepszymi od pana, sto razy lepszymi; z ludźmi o pojęciach i poglądach, jakich pan nigdy w życiu nie wyznawał, tak szlachetnych i wzniosłych.

— Z kimże ty, u licha, przebywałaś?

— Jeżeli tak się pan będzie kręcił, wyrwę panu włosy z głowy, a wtedy może przestanie pan wątpić, że istnieje rzeczywistość.

— Z kim przebywałaś, Joanko?

— Już dziś wieczór pan tego ze mnie nie wyciągnie; musi pan poczekać do jutra; jeżeli przerwę opowieść do połowy tylko opowiedzianą, będzie to, pan wie, rodzajem zadatku, że ukazę się panu przy śniadaniu, ażeby ją dokończyć. Ale, ale... muszę pamiętać, ażeby nie zjawić się wtedy jedynie ze szklanką wody: muszę przynieść przynajmniej jedno jajko, nie mówiąc już o przysmażonej szynce.

— Ty drwiący odmieńcze z rodu wróżek, choć ludzie cię chowali! Od roku tak się nie czułem, jak teraz, dzięki tobie. Gdyby Saul mógł być mieć ciebie za swego Dawida, wypędzanie djabłów obyłoby się bez pomocy harfy.

— Dosyć! Już pan uczesany i wygląda przyzwoicie. Ale teraz pana pożegnaj; byłam w podróży przez trzy dni ostatnie i jestem zmęczona. Dobranoc.

— Jeszcze słówko, Joanko: czy tam tylko kobiety były w tym domu, gdzie przebywałaś?

Rozśmiałam się i uciekłam, i śmiałam się jeszcze, biegnąc po schodach.

— Doskonała myśl! — myślałam z radością. — Widzę, że przez pewien czas będę miała czem wypłacać melancholję.

Nazajutrz rano bardzo wczesnie słyszałam, że już wstał, rusza się i chodzi po pokojach. Jak tylko Marja zeszła, usłyszałam szereg pytań: „Czy jest tutaj panna Eyre?” a potem: „Który pokój jej daliście? Czy tylko suchy? Czy panna Eyre wstała? Idź i zapytaj, czy jej czego nie potrzeba i kiedy zajdzie nadół?”

Zeszłam, skoro tylko mogłam przypuszczać, że zanosi się na śniadanie. Wchodząc do pokoju cichutko, mogłam mu się przypatrzeć, zanim on spostrzegł moją obecność. Żałosny, doprawdy, był widok tego silnego ducha pod władzą cielesnego kalectwa. Siedział w fotelu — siedział cicho, ale nie spokojnie, oczekujący widocznie; wybitne rysy powlekał stały już teraz smutek. Twarz przypomniała mi lampę zgaszoną, czekająca, by ją ktoś znowu zapalił, ale niestety! on sam nie mógł już teraz zapalić światła ożywionego wyrazu: mógł to uczynić tylko ktoś drugi, od kogo zależał. Zamierzałam być wesołą i swobodną, lecz ta bezradność silnego mężczyzny wzruszyła mnie do głębi; mimo to zagadnęłam go, jak mogłam najżywiej:

— Jasny, słoneczny ranek mamy dzisiaj; deszcz ustał, wszystko tylko delikatnie lśni się jeszcze po nim: wkrótce zaprowadzę pana na przechadzkę.

Obudziłam światło: rozpromieniła mu się twarz.

— Ach, więc jesteś tutaj naprawdę, skowronku mój! Przyjdź do mnie. Nie uleciałaś — nie znikłaś? Godzinę temu słyszałem jednego z twoich krewniaczków — śpiewał wysoko nad lasem: ale w piosence jego nie było dla mnie muzyki, tak jak wschodzące słońce nie miało dla mnie promieni. Wszelka melodia świata, dla mnie, osiadła na języczku mojej Joanki (na szczęście nie jest on milczący z natury); promieniem słońca jest mi jej obecność.

Łzy poczułam w oczach, słysząc to przyznanie się do zależności. To tak, jakgdyby królewski orzeł, przy-

kuty łańcuszkiem do miejsca, musiał błagać wróbla, ażeby go karmił. Nie chciałam jednak być płacziwą; otarłam słone kropelki i zakrzętnęłam się koło śniadania.

Czas przed południem spędziliśmy przeważnie na świeżem powietrzu. Wyprowadziłam go z wilgotnego i dzikiego lasu i wyszliśmy na wesołe pola: opisywałam mu, jak wspaniale są zielone, jak deszcz odświeżył kwiaty i żywopłoty, jak przeczystym jest błękit nieba. Usadowiłam się tuż przy nim i pozwoliłam objąć się ramieniem. Pilot leżał obok nas; cisza panowała dookoła. Nagle mój pan, tuląc mnie w ramionach, wybuchnął:

— Okrutny, okrutny zbiegu! O, Joanko, co ja czułam, gdy spostrzegłam, że uciekłaś z Thornfield i gdy nie mogłam nigdzie cię odnaleźć; gdy, zbadawszy twój pokój, przekonałam się, że nie zabrałaś pieniędzy ani niczego, coby ci je mogło zastąpić! Naszyjnik z pereł, który ci ofiarowałam, leżał nietknięty w pudełku; kufarki pozostawiłaś zamknięte, sznurami związane, tak jak były przygotowane do poślubnej podróży. Zadawałam sobie pytanie, jak sobie da radę moje kochanie, tak ogołocone ze wszystkiego, bez grosza? I jakże dałaś sobie radę? Opowiedz mi teraz.

Tak zachęcona, zaczęłam mu zeszłoroczne przeżycia opowiadać. Złagodziłam znacznie wspomnienia owych trzech dni wędrówki i głodu; chciałam mu oszczędzić daremnej przykrości; a jednak to trochę, co mu opowiedziałam, zraniło wierne serce jego głębiej, niż sądziłam. Dowodził, że nie powinnam go była opuszczać bez żadnych środków do życia: powinnam mu była powiedzieć o swym zamiarze. Powinnam mu była zaufać; nigdy nie byłby mnie zmuszał, bym została jego kochanką. Choć tak gwałtownym wydawał się w swojej rozpacz, w istocie kochał mnie zanadto szczerze i czule, by chcieć być moim tyranem. Byłby mi oddał połowę swego majątku, nie żądając nawet pocałunku wzamian, bylebym nie odeszła sama w świat szeroki. Musiałam, był tego pewny, więcej przecierpieć, niż mu wyznaję...

— Już mniejsza z tem, co przecierpiałam, trwało to krótko.

I teraz zaczęłam mu opowiadać, jak zostałam przyjęta w Moor House, jak otrzymałam stanowisko nauczycielki i t. d., następnie, jak spadł na mnie majątek, jak odkryłam moich krewnych. Oczywiście imię Januarego Riversa zachodziło często w mojem opowiadaniu. Gdy skończyłam, pan Rochester to imię natychmiast podchwycił.

— Ten January zatem jest twoim kuzynem?

— Tak jest.

— Wspominałaś go często: czy ty go lubisz?

— To bardzo dobry człowiek, panie; nie mogłabym go nie lubić.

— Dobry człowiek. Czy to znaczy: że jest to przyzwoity i godny, pięćdziesięcioletni mężczyzna, czy też co innego?

— January, panie, ma dopiero dwadzieścia dziewięć lat.

— *Jeune encore*, jak mówią Francuzi. Czy to osoba niskiego wzrostu, flegmatyczna i brzydka? Osoba, której dobroć polega raczej na braku wyraźnych win, niż na dzielnem pełnieniu cnót?

— January jest niezmiernie czynny. Żyje tylko pragnieniem spełniania wielkich, wzniosłych czynów.

— Ale umysł jego? Prawdopodobnie raczej ograniczony? Ma dobre chęci, ale wzruszasz ramionami, gdy słuchasz, co mówi?

— January mało mówi, panie: a to, co mówi, jest zawsze trafne. Umysł ma wybitny, powiedziałabym, że nietyle wrażliwy, ile potężny.

— Jest to więc człowiek zdolny?

— Bardzo.

— I prawdziwie wykształcony?

— Nietylko wykształcony, ale głęboko uczoney.

— Ale jego maniery, zdaje mi się, że mówiłaś, iż jego maniery nie są w twoim guście, jest to pedant zarozumiały i trąci kaznodzieją?

— Nic nie mówiłam o jego manierach; ale musiałabym mieć bardzo zły smak, gdyby mi się nie podobały; jest dobrze wychowany, taktowny i spokojny.

— Zapomniałem, jak opisywałaś jego wygląd; jest to surowy wikary, duszący się w białym ciasnym kołnierzyku, chodzący jak na szrudłach, w butach o grubych podeszwach, co?

— January dobrze się ubiera. Jest to przystojny mężczyzna: wysoki, blondyn o niebieskich oczach i greckim profilu.

— (na boku) A niechaj go djabli!! (do mnie) Czy lubiłaś go, Joanko?

— Tak, panie, lubiłam go, ale już mnie pan przedtem o to pytał.

Spostrzegłam, naturalnie, co się święci. Zazdrość go opanowała i ukłuła, ale to było ukłucie zbawienne, gdyż wyrwało go z dręczących szpon melancholji. Nie chciałam przeto natychmiast odpędzać smoka.

— Możeby pani zechciała się odsunąć, panno Eyre — usłyszałam trochę niespodziewaną uwagę.

— Dlaczego, panie?

— Obraz, który pani w tej chwili nakreśliła, przedstawia kontrast trochę zanadto uderzający. Bardzo ładnie opisała pani urodziwego Apollina; w myśli widzi go pani — wysokiego, niebieskookiego, o jasnych włosach i o greckim profilu. A oczy pani spoczywają na Wulkanie, prawdziwym kowalu, śniadym, o szerokich barach i kalece w dodatku.

— Nigdy mi to na myśl nie przyszło, ale pan do prawdy jest raczej podobny do Wulkana.

— Więc proszę, niechże mnie pani opuści, ale zanim pani pójdzie (tu przytrzymał mnie silniejszym ujęciem, niż dotąd) — proszę mi łaskawie odpowiedzieć na parę pytań.

Umilkł.

— Na jakie pytania?

Teraz rozpoczął się egzamin.

— January dał ci posadę nauczycielki szkoły w Morton, zanim się dowiedział, że jesteś jego krewną?

— Tak, panie.

— Czy często go widywałaś? Czy odwiedzał szkołę niekiedy?

— Codziennie.

— Czy pochwalał twoje plany, Joanko? Wiem, że musiały być mądre, gdyż z ciebie takie zdolne stworzenie!

— Owszem, pochwalał je.

— Z pewnością odnajdywał w tobie wiele rzeczy, których się nie spodziewał znaleźć? Pod pewnemi względami jesteś niezwykle wykształcona.

— Nic o tem nie wiem.

— Mówiłaś, że miałaś mieszkanie obok szkoły: czy Rivers przychodził tam kiedy odwiedzić cię?

— Czasami.

— Wieczorem?

— Raz czy dwa razy.

Tu nastąpiło milczenie.

— Jak długo mieszkałaś z Januarym i jego siostrami po odkryciu, że istnieje pokrewieństwo między wami?

— Pięć miesięcy.

— Czy Rivers wiele czasu spędzał z rodziną ?

— Owszem; pokój bawialny służył za pokój do pracy tak dla niego, jak dla nas; on siedział pod oknem, a my przy stole.

— Czy dużo pracował?

— Bardzo dużo.

— Nad czem?

— Studjował język hindustański.

— A ty tymczasem co robiłaś?

— Z początku uczyłam się niemieckiego.

— Czy to on ciebie uczył?

— January nie umie po niemiecku.

— Czy niczego cię nie uczył?

— Owszem — trochę hindustańskiego.

— Rivers ciebie uczył hindustańskiego?

— Tak, panie.

— I swoje siostry także?

— Nie!

— Tylko ciebie?

— Tylko mnie.

— Czy prosiłaś go, żeby cię uczył?

— Nie.

— On sam chciał cię uczyć?

— Tak jest.

Znowu milczenie.

— Dlaczego chciał cię uczyć? Nacóż mógł się tobie przydać język hindustański?

— January pragnął zabrać mnie ze sobą do Indyj.

— Ach! oto dotarłem do jądra całej sprawy. Więc on chciał się z tobą ożenić?

— Prosił mnie, bym została jego żoną.

— To wymyślił, to bezczelny wymyślił, żeby mnie rozdrażnić.

— Bardzo pana przepraszam, ale to dosłowna prawda. Prosił mnie i tę prośbę powtarzał kilkakrotnie i z takim uporem, na jaki tylko pan potrafiłby się zdobyć.

— Panno Eyre, powtarzam, może mnie pani opuścić. Ileż razy mam pani to samo powtarzać? Dlaczego siedzi pani uporczywie przy mnie, kiedy ja pani powiedziałem, że ma pani się odsunąć?

— Dlatego, bo mi tu dobrze.

— Nie, Joanko, nie jest ci tutaj dobrze, gdyż serce twoje nie przebywa ze mną. Serce oddałaś kuzynowi swemu, Januaremu. Ach, do tej chwili myślałem, że Joasia jest w zupełności moją tylko! Wierzyłem, że mnie kocha, nawet wtedy, gdy mnie opuszczała, był to atom słodkości w kielichu goryczy. Choć tak długo byliśmy rozdzieleni, choć tak gorącemi łzami oblałem nasze rozstanie, nigdy nie przypuszczałem, że gdy ja ją oplakuję, ona kocha innego! Ale daremnie narzekać. Joanko, opuść mnie, odejdz i wyjdz za Riversa.

— Więc niech mnie pan odepchnie, gdyż nie opuszczę pana z własnej woli.

— Joanko, ja tak lubię ton twojego głosu, który zawsze budzi we mnie nadzieję, bo brzmi tak szczerze. Słyszając go, przenoszę się wstecz o rok. Zapominam, żeś nowy zadzierzgnęła węzeł. Ale nie chcę być głupcem. Idź...

— Dokąd mam iść, panie?

— W swoją drogę... z mężem, którego wybrałaś.

— A kto nim jest?

— Przecież wiesz — ten January Rivers.

— On nie jest moim mężem, i nigdy moim mężem nie będzie. On mnie nie kocha, ani ja jego nie kocham. On kocha (o ile potrafi kochać... ale inaczej, niż pan...) piękną, młodą pannę — Rozamunda jej na imię. Chciał się ze mną ożenić jedynie dlatego, ponieważ sądził, że byłabym odpowiednią na żonę dla misjonarza, czemby Rozamunda nie była. January dobry jest człowiek i wielki, ale surowy, a w stosunku do mnie zimny jak lodowiec. On niepodobny do pana: ja nie czuję się dobrze przy nim, obok niego, ani z nim. Nie ma dla mnie pobłażliwości, ani żadnych ciepłych uczuć. Nic go we mnie nie pociąga, nawet młodość moja. Widzi we mnie tylko kilka pożytecznych właściwości umysłu... Więc mamże pana opuścić i wracać do niego?

Zadrżałam mimowoli i instynktownie przygarnęłam się bliżej do mego ociemniałego ukochanego pana. Uśmiechnął się.

— Co mówisz, Joanko! Czy to prawda? Czy istotnie tak się mają sprawy między tobą a Riversem?

— Najistotniej, panie mój! O, nie potrzebujesz być zazdrosnym! Chciałam się z tobą odrobinę podrożyć, ażebyś się trochę otrząsnął ze smutku: myślałam, że gniew lepszym będzie od zgryzoty. Ale jeżeli pragniesz, bym cię kochała, gdybyś mógł pojąć, jak bardzo cię kocham, byłbyś dumny i zadowolony. Całe moje serce twoje jest, mój panie: do ciebie ono należy i z tobą pozostanie, gdyby nawet los wygnał mnie od ciebie na zawsze.

I znowu, gdy mnie całował, bolesne myśli zasępiły mu lica.

— Mój wzrok wygasły! Moje kalectwo... — szepnął z żalem.

Popieściłam go na pociechę. Wiedziałam, o czym myślał, i miałam ochotę przemówić za niego, ale nie śmiałam. Gdy odwrócił twarz na chwilę, ujrzałam łzę, spływającą z pod przywartej powieki i staczającą się po policzku. Serce moje wezbrało.

— Nie lepszy jestem od starego piorunem strzaskanego kasztanu w Thornfield — zauważył. — Jakież prawo miałyby tamta ruina prosić pnącz młody, by świeżością zakrył jej zniszczenie?

— Nie jesteś żadną ruiną, panie mój, nie jesteś drzewem, strzaskanem piorunem: młody jesteś i mocny. Rośliny rosnać będą dokoła ciebie, czy będziesz je o to prosił, czy nie, gdyż cieszyć się będą twoim dobroczynnym cieniem; a rosnać, ku tobie będą się chylić i dokoła ciebie oplatać, ponieważ siła twoja tak bezpieczne da im oparcie.

Uśmiechnął się znowu; widocznie pocieszały go moje słowa.

— Ty masz na myśli przyjaciół, Joanko? — zapytał.

— Tak, przyjaciół — odpowiedziałam, wahając się trochę; miałam bowiem na myśli więcej niż przyjaciół, ale nie wiedziałam, jakiego innego mam użyć słowa. On mi dopomógł.

— Ach, Joanko! Ale ja żony pragnę!

— Doprawdy, panie?

— Tak; czy to dla ciebie nowina?

— Naturalnie, nic pan o tem przedtem nie wspominał.

— Czy to niepożądana nowina?

— To zależy od okoliczności — od tego, kogo pan wybierze.

— Ty wybierz za mnie, Joanko. Zgodzę się na twoją decyzję.

— Niechże więc pan tę wybierze, która pana kocha najlepiej.

— To już wolę wybrać tę, którą ja najlepiej kocham. Joanko, chcesz być moją żoną?

— Chcę, panie.

— Żoną biednego ślepcy, którego będziesz musiała prowadzić za rękę?

— Tak, panie, chcę.

— Kaleki, o dwadzieścia lat starszego od ciebie, któremu będziesz musiała usługiwać?

— Tak, panie, chcę.

— Czy to prawda, Joanko?

— Najprawdziwsza prawda, panie.

— O moje kochanie! Niechaj cię Bóg błogosławi i niech ci wynagrodzi!

— Panie Rochester, jeżeli kiedykolwiek w życiu spełniłam dobry uczynek, miałam myśl dobrą, zmówiłam modlitwę szczerą i niewinną — zamiar powzięłam poczciwy, mam za to teraz nagrodę. Być twoją żoną, to dla mnie największe szczęście w życiu.

— Ponieważ miłujesz poświęcenie.

— Poświęcenie! Cóż poświęcam? Głód wzamian za pokarm, oczekiwanie — za zadowolenie. Mieć prawo objąć ramionami to, co cenię, przycisnąć usta do tego, co kocham, oprzeć się na tem, czemu ufam: czy to znaczy spełniać poświęcenie? Jeżeli tak, to zaiste miłuję poświęcenie.

— Ale trzeba będzie znosić moje kalectwa, Joanko, ciągle patrzeć na moje braki...

— Te dla mnie nie istnieją, panie mój. Kocham cię jeszcze bardziej teraz, kiedy mogę ci być rzeczywiście użyteczną, niż wtedy, kiedy dumny i niezależny gardziłeś wszelką inną rolą, oprócz roli dawcy i opiekuna.

— Ja dotychczas niecierpiałem pomocy, nie znośiłem, by mnie prowadzono; teraz czuję, że będzie inaczej. Nie lubiłem brać w rękę dłoni sługi, ale miło jest poczuć, że rękę moją otaczają drobne paluszki Joanki. Wolałem zupełną samotność, niż ciągłą obecność ludzi najemnych, ale miłe usługi Joanki będą źródłem ciągłej radości. Joanka mi się podoba, ale czy ja jej się podobam?

— O tak, panie, najzupełniej.

— Skoro tak jest, nie mamy na co czekać, musimy się pobrać natychmiast.

Wyglądał i mówił żwawo: budziła się w nim dawna gwałtowność.

— Musimy się połączyć bez zwłoki, Joanko; trzeba tylko wydostać licencję — a potem odbędzie się ślub.

— Panie Rochester, właśnie spostrzegłam, że słońce dobrze się już przechyliło z południa i Pilot już poszedł do domu na obiad. Niech mi pan pozwoli spojrzeć na swój zegarek.

— Przypnij go sobie do paska, Joanko, mnie on niepotrzebny.

— Dochodzi czwarta, panie. Nie czuje pan głodu?

— Pojutrze musi się odbyć nasz ślub, Joanko. Mniejsza teraz o piękne suknie i klejnoty, wszystko to nie warte grosza.

— Panie, słońce osuszyło kropelki deszczu. Wietrzyk ustał; zrobiło się gorąco.

— Czy wiesz, Joanko, że ja twój naszyjnik z perełek mam na szyi pod krawatem? Noszę go stale od dnia, gdy straciłem swój skarb jedyny, jako pamiątkę po tobie.

— Wrócimy do domu przez las, ta droga w cieniu będzie miłsza.

Snuł wątek myśli, nie zważając na mnie.

— Joanko! ty mnie zapewne uważasz za niereligijnego łotra: ale serce moje właśnie teraz wzbiera wdzięcznością ku dobrotliwemu Bogu. Bóg nie tak widzi jak człowiek, ale o wiele jaśniej; sądzi nie tak, jak człowiek, ale o wiele mądrzej. Źle postąpiłem, byłbym skalał mój niewinny kwiatek, winę tchnął na jego czystość; Wszechmogący mi go odebrał. Ja w zuchwałym buncie nieledwie przeklinałem boskie zrządzenie; zamiast poddać się wyrokowi, bluźniłem mu. Boska sprawiedliwość poszła swoim torem; spadły na mnie nieszczęścia: musiałem przejść blisko śmierci. Jego kary są potężne; a dotknęła mnie taka, która upokorzyła mnie raz na zawsze. Ty wiesz, jak dumny byłem z swej siły; czemuż jest ona teraz, gdy muszę ją zdawać na obce przewod-

nictwo, jak dziecko swoją słabość — rodzicom. W ostatnich czasach dopiero... w ostatnich czasach zacząłem widzieć i uznawać rękę bożą w mej niedoli. Zacząłem odczuwać wyrzut sumienia, żal — pragnienie pogodzenia się ze Stwórcą. Zacząłem modlić się niekiedy: bardzo to krótkie były modlitwy, ale bardzo szczerze.

Parę dni temu: mogę nawet porachować dni... przed czterema dniami, zeszłego poniedziałku w nocy, opanował mnie dziwny nastrój; żal zastąpił rozpacz, smutek — posępne zgnębienie. Oddawna miałem wrażenie, że skoro nigdzie odnaleźć cię nie mogę, więc musisz już nie żyć. Późno owej nocy — było to może między jedenastą a dwunastą — zanim się udałem na spoczynek, błagałem Boga, by jeżeli to zgadza się z Jego wolą, zabrał mnie wprędce z tego świata i dopuścił do tamtego, gdzie jeszcze mogłem mieć nadzieję połączenia się z Joanką.

Siedziałem w pokoju przy otwartem oknie: kołło mnie balsamiczne powietrze nocne. Chociaż nie mogłem widzieć gwiazd, niewyraźna, świetlista mgiełka zwiastowała mi obecność księżycy. Tęskniłem za tobą, Joanko! Och, jak tęskniłem za tobą, duszą i ciałem! Pytałem Boga w męce a pokorze, czy nie dość długo jestem opuszczony, smutkiem dotknięty, udręczony; czy nie zaznam nareszcie szczęścia i spokoju. Uznawałem, że zasłużyłem na wszystkie cierpienia, skarżyłem się, że już więcej znieść nie mogę, i nagle, mimowoli, cała treść życzeń serdecznych wydarła mi się z ust słowami: „Joanko! Joanko! Joanko!”

— Czy pan wymówił te słowa głośno?

— Tak, Joanko. Gdyby mnie kto był słyszał, pomyślałby, że zwarjowałem, z tak szaloną wymówiłem je energją.

— A działo się to w poniedziałek nocą, około północy?

— Tak; ale czas tutaj nic nie stanowi; to, co nastąpiło, jest najdziwniejsze. Pomyślisz, że jestem zaboronny — może trochę byłem i jestem przesądny; pomimo to jest to rzeczywista prawda — prawda w każdym razie, że słyszałem to, o czem opowiadam.

Otóż, gdy zawołałem: „Joanko! Joanko! Joanko!” odpowiedział mi głos — skąd pochodził, nie wiem, ale czyj był, poznałem — odpowiedział mi: „Przychodzę! Czekaj na mnie!” — a w chwilę potem z wiatrem doleciał mnie szept: „Gdzie jesteś?”

Powiem ci, o ile potrafię, jaką myśl, jaki obraz słowa te nasunęły mojej duszy. Jednakże trudno jest wyrazić to, co chciałbym powiedzieć. Ferndean, jak widzisz, zagrzebane jest w gęstym lesie, odgłosy zapadają się głucho, zamierają bez echa. To „Gdzie jesteś?” zdawało się być wymówione wpośród gór, gdyż słyszałem echo górskie, powtarzające te wyrazy. Chłodniejszy i świeższy wicher owiewał mi w tej chwili skronie: mogłem sobie wyobrazić, że w jakiejś dzikiej, samotnej okolicy Joanka i ja spotykamy się. W duchu wierzę, że musieliśmy się spotkać wtedy. Ty z pewnością byłaś w tej godzinie zagrożona w nieświadomym śnie, Joanko. Może to dusza twoja opuściła swoją siedzibę, by moją duszę pocieszyć; gdyż były to twoje słowa — jestem tego tak pewny, jak tego, że żyję.

Ja także w poniedziałek nocą, około północy, otrzymałam owo tajemnicze wezwanie; temi to właśnie słowami odpowiedziałam na nie. Wysłuchałam opowiadania pana Rochester'a, ale nie opowiedziałam nawzajem tego, co mnie spotkało. Ten zbieg rzeczy wydał mi się zbyt niepojęty, by go roztrząsać. Opowiadanie moje wywarłoby głębokie wrażenie na duszy słuchacza, a duszy tej, jeszcze naskutek cierpienia zbyt skłonnej do melancholji, nie służyłby głęboki cień nadprzyrodzonych możliwości. Zatrzymałam więc to, co wiedziałam, przy sobie, i rozważałam we własnym sercu.

— Nie możesz się przeto dziwić — mówił dalej mój pan — że, gdy zjawiłaś się przy mnie wczorajszego wieczora tak niespodziewanie, trudno mi było uwierzyć, że jesteś czemś więcej, niż głosem i zjawą, co rozplynie się w milczeniu i niebycie, jak ów północny szept i echo górskie. Teraz, dzięki Bogu! wiem, że jest inaczej. Tak, dziękuję Bogu!

Wstał, i z czcią zdjawszy kapelusz, chyląc ku ziemi niewidome oczy, stał w niemej modlitwie. Tylko ostatnie wyrazy wymówił dosłyszalnie:

— Dziękuję Stwórcy, Panu swemu, że sądząc mnie, nie zapomniał miłosierdzia. Pokornie błagam Jezusa Odkupiciela, by dał mi siłę do prowadzenia czystsze go niż dotychczas życia.

Poczem wyciągnął rękę, ażeby go mogła prowadzić. Ujęłam ją, przycisnęłam na chwilę do ust, a potem oparłam tę drogą rękę na swem ramieniu. Będąc o wiele niższą wzrostem od niego, mogłam mu służyć zarazem za podporę i za przewodnika. Weszliśmy do lasu i zawróciliśmy ku domowi.

ROZDZIAŁ XXXVIII.

Zakończenie.

Zostałam jego żoną. Cicho odbył się nasz ślub: on, ja, duchowny i kościelny — nikt więcej nie był obecny. Gdy wróciliśmy z kościoła do domu, poszłam do kuchni, gdzie Marja gotowała obiad, a Jan czyścił noże, i powiedziałam:

— Marjo, dziś rano odbył się ślub mój z panem Rochesterem.

Gospodyni i mąż jej byli oboje z rzędu tych przyzwoitych, flegmatycznych ludzi, którym bezpiecznie można udzielić zadziwiającej wiadomości, nie narażając się na przebicie uszu jakimś przeraźliwym wykrzyknikiem, by następnie ogłuchnąć od potoku wymownych dziwowań. Marja spojrzała na mnie, ale nie wytrzeszczyła oczu: łyżka, którą polewała parę piekących się na ogniu kurcząt, zawisła minutę w powietrzu, na równie długo Jan zawiesił czyszczenie noży. Jednakże Marja, schylając się znów nad rusztem, powiedziała tylko:

— Doprawdy, panienko? To niespodzianka!

Po chwili dodała:

— Widziałam, że panienka wychodziła z panem, ale nie wiedziałam, że państwo poszli do kościoła, żeby wziąć ślub.

I polewała dalej masłem kurczęta. Jan, gdy się ku niemu obróciłam, śmiał się cicho, ale od ucha do ucha.

— Mówiłem Marji, jak to będzie — rzekł — ja wiedziałem, co pan Edward (Jan był starym sługą i znał swego pana, gdy był jeszcze młodszym synem w domu, to też często go imieniem nazywał) — ja wiedziałem, co pan Edward zrobi. I byłem pewien, że długo czekać z tem nie będzie: i dobrze zrobił, podług mego zdania. Winszuję pani! — i wstawszy, ukłonił się grzecznie.

— Dziękuję wam, Janie. Pan Rochester polecił mi dać to wam i Marji.

Wsunęłam mu w rękę banknot pięciofuntowy i, nie czekając dłużej, wyszłam z kuchni. Nieco później, przechodząc obok drzwi tego sanktuarjum, posłyszałam te słowa:

— Ona z pewnością będzie lepsza dla niego, niż która z tych wielkich pań. A potem, chociaż nie jest jedną z najpiękniejszych, nie jest brzydka, i bardzo jest poczciwa; a w jego oczach była zawsze bardzo piękna, każdy mógł to widzieć.

Napisałam natychmiast do Moore House i do Cambridge, donosząc, co uczyniłam, i zarazem podając im obszernie motywy swego kroku. Diana i Marja pochwały krok mój bez zastrzeżeń. Diana oświadczyła, że zaczeka tylko, aż skończy się miesiąc miodowy, a wtedy przyjedzie mnie odwiedzić.

— Niechby lepiej na to nie czekała, Joanko — powiedział pan Rochester, gdy mu list jej przeczytałam — gdyż gotowa zbyt długo czekać; nasz miesiąc miodowy trwać będzie przez całe życie, promienie jego zgasną dopiero nad twoim grobem, albo nad moim!

Jak January przyjął tę wiadomość — nie wiem; nie odpowiedział mi na list, w którym mu ją przesłałam; dopiero w pół roku później napisał do mnie, nie wspominając jednakże imienia pana Rochester, ani o mojem zamążpójściu nie czyniąc wzmianki. List jego był

spokojny, i chociaż bardzo poważny, był życzliwy. Utrzymuje odtąd regularną, chociaż nie częstą korespondencję ze mną; spodziewa się, pisze, że jestem szczęśliwa, i ufa, że nie jestem z tych, którzy żyją w świecie bez Boga i dbają tylko o sprawy doczesne.

Co słyhać z małą Adelką? spytacie. Nie zapomniałam o niej. Wkrótce uzyskałam od pana Rochester'a pozwolenie na wyjazd i odwiedzenie jej w szkole, gdzie ją umieścił. Jej szalona radość na mój widok mocno mnie wzruszyła. Wyglądała blado i była szczupła; skarżyła się, że nie jest jej tam dobrze. Po zbadaniu okazało się, że regulamin w tym zakładzie nadmiernie jest surowy, kurs nauk, jak dla dziecka jej wieku, zbyt obszerny. Zabrałam ją ze sobą do domu. Zamierzałam być znowu jej nauczycielką, wkrótce jednak przekonałam się, że to jest niemożliwe. Czasu mego i starań ktoś inny teraz potrzebował: mój mąż pochłaniał je całkowicie. To też wyszukałam szkołę łagodniejszym prowadzoną systemem i niezbyt odległą, tak że mogłam Adelkę często odwiedzać i raz po raz zabierać do domu. Starałam się, by nigdy nie zbywało jej na niczem. Wkrótce zadomowiła się w nowej siedzibie, czuła się tam bardzo dobrze i robiła duże postępy w naukach. W miarę, jak się rozwijała, zdrowe angielskie wychowanie poprawiło w znacznej mierze jej francuskie właściwości, a po skończeniu szkoły znalazłam w niej miłą i oddaną towarzyszkę, uległą, pogodnego usposobienia i dobrych zasad. Wdzięcznem przywiązaniem do mnie i do moich odpłacała mi oddawna tę odrobinę dobroci, jaką jej kiedykolwiek mogłam wyświadczyć.

Moja opowieść zmierza do końca: jedno jeszcze słowo o mych przeżyciach małżeńskich, jeden krótki rzut oka na losy tych, których imiona najczęściej zachodziły w tem opowiadaniu, a odłożę pióro.

Jestem zamężna od lat dziesięciu. Wiem, co to znaczy żyć całkowicie dla tego i z tym, którego kocham nad wszystko w świecie. Uważam się za nieskończenie szczęśliwą, za szczęśliwą ponad wszelki wyraz, gdyż w całej pełni jestem życiem mojego małżonka, tak jak

on jest mojem. Nigdy kobieta żadna nie była bliższą ode mnie towarzyszowi swemu, nigdy bardziej kością jego kości i krwią krwi jego. Nigdy mnie nie nuży towarzystwo mojego Edwarda, ani jemu nie przykrzy się moje — tak jak nas nie nuży tętno serc naszych, bijących odrębnie w jego i w mojej piersi; to też jesteśmy ciągle razem. Być razem — to znaczy dla nas być zarazem wolnymi, jak w samotności, i wesołymi, jak w towarzystwie. Rozmawiamy, zdaje mi się, jak dzień długi; rozmowa jest dla nas tylko żywszą i głośniejszą formą myślenia. Ja całe zaufanie w nim pokładam, on nawzajem we mnie; jesteśmy doskonale dobrani charakterami, stąd wynika doskonała zgoda.

Pan Rochester pozostał niewidomy przez pierwsze dwa lata naszego pożycia. Może to zbliżyło nas tak bardzo, spoiło nas tak ściśle, bo wtedy ja byłam jego wzrokiem, tak jak dotąd jestem jego prawą ręką. Byłam dosłownie (tak jak mnie nazywał) źrenicą jego oka. Widział przyrodę, widział książki przeze mnie; ja zaś nigdy nie nużyłam się patrzeniem dla niego, ujmowaniem w słowa wrażeń pola, drzewa, miasta, rzeki, chmury, promienia słonecznego — krajobrazu przed nami, pogody — i udzielaniem dźwiękowo jego uchu tego, czego obrazowo okiem nie mógł wchłonąć. Nigdy też nie nużyło mnie czytanie ani prowadzenie, dokąd chciał, czynienie, czego sobie tylko życzył. I znajdowałam przyjemność w tem usługiwaniu pełną, głęboką, wcale nie smutną, ponieważ prosił o te usługi bez przykrego wstydu, bez bolesnego poczucia upokorzenia. Kochał mnie tak prawdziwie, że nigdy się nie zawahał korzystać z mojej pomocy; wiedział, że kocham go tak czule, iż dając mu tę pomoc, dogadzam własnym najmilszym pragnieniom.

Pewnego ranka przy końcu drugiego roku, gdy pisałam list pod jego dyktando, zbliżył się i nachylił nade mną, mówiąc:

— Czy ty masz jaką błyszczącą ozdobę dokoła szyi, Joanko?

Miałam złoty łańcuszek od zegarka; odpowiedziałam: — Tak.

— A czy masz na sobie bladoniebieską suknię?

Tak było. Powiedział mi wtedy, że już od pewnego czasu wydawało mu się, że ciemność, omraczająca jedno oko, zaczyna się robić mniej gęstą, a teraz upewnił się o tem.

Pojechaliśmy do Londynu. Poradził się wybitnego okulisty i do pewnego stopnia odzyskał wzrok na to jedno oko. Nie może obecnie widzieć bardzo dokładnie, nie może czytać wiele ani pisać, ale trafi wszędzie bez prowadzenia; niebo i ziemia nie są już pustką dla niego. Gdy mu pierwotnego podano, mógł rozpoznać, że chłopak odziedziczył jego własne oczy, takie, jakimi niegdyś były — wielkie, pełne blasku i czarne. Wtedy znowu w pełni serca uznał, że Bóg sprawiedliwość złągodził miłosierdziem.

Mój Edward i ja jesteśmy więc szczęśliwi; tem bardziej, że szczęściem się cieszą również ci, których najwięcej kochamy. Diana i Marja Rivers wyszły za mąż. Kolejno w ciągu roku przyjeżdżają nas odwiedzić, a my jeździmy w odwiedziny do nich. Diany mąż jest kapitanem marynarki, dzielnym oficerem i dobrym człowiekiem. Mąż Marji jest duchownym, przyjacielem szkolnym jej brata, z wykształcenia i zasad godzien rodziny, której został członkiem. Obydwaj, kapitan Fitzjames i pan Wharton kochają żony, wzajemnie przez nie kochani.

January Rivers opuścił Anglię; udał się do Indyj. Wszedł na drogę, którą sobie wybrał, i idzie nią dotąd. Odważniejszy, bardziej niezmordowany pionier nigdy nie borykał się wśród skał i niebezpieczeństw. Wytrwały, wierny i oddany, gorliwy, pełen energii i prawdy pracuje dla dobra swych bliźnich; oczyszcza trudną ich drogę ku doskonaleniu się; rąbie jak olbrzym uprzedzenia wiary i kasty, jakie ją zarastają. Jest, być może, surowy; jest może wymagający, jest może także ambitny. Ale surowość jego, to surowość rycerza chrześcijańskiego, który chroni orszak pielgrzymów od napaści szatana. Wymagający jest jako apostoł, który przemawia

tylko w imię Chrystusa: „...Kto chce do mnie należeć, niechaj się zaprze sam siebie, niechaj weźmie krzyż swój i pójdzie za mną”. Ambitny jest jako duch silny, pragnący stanąć w pierwszym rzędzie odkupionych, tych, co stoją bez winy przed tronem Bożym, uczestnicząc w ostatnich potężnych zwycięstwach Baranka, tych, co są powołani, wybrani i wierni.

January się nie ożenił; nie ożeni się już nigdy. Sam dotychczas podejmował trud, a trudowi temu bliski koniec; jasne słońce jego chyli się ku zachodowi. Ostatni list, który od niego otrzymałam, wycisnął mi z oczu łzy ludzkie, choć niebiańską radością nappełnił serce: wyrażał nadzieję pewnej nagrody, korony niebieskiej. Wiem, że obca ręka napisze do mnie wkrótce, donosząc, że dobry i wierny sługa poszedł wreszcie radować się u Pana. I dlaczegoż mam płakać? Lęk śmierci nie zakłóci ostatniej godziny Januarego; jasności duszy jego nie zamroczy chmura; z sercem niezłomnem, nadzieją, niezachwianą wiarą będzie umierał. Własne jego słowa mi to poręczają:

„Pan mój — pisze — ostrzegł mnie. Codziennie coraz wyraźniej oznajmia mi: Z pewnością przyjdę niebawem! — a ja co godzina z coraz większem utęsknieniem odpowiadam: Amen. O Panie Jezu, przybywaj!”

KONIEC.



EMIL BAUMANN
ZNAK NA DŁONI

Powieść. Cena zł 3.50

Powieść ciekawa jest nie tylko ze względu na swą fabułę, jej powikłanie i rozwiązanie, ale i z tego powodu, że autor dał w niej obraz odradzającej się wewnętrznie Francji, jej dążenie do zrzucenia z siebie płaszcza materializmu, Francji katolickiej, stojącej twardo przy wierze swych ojców. Przekład poprawny, co należy specjalnie podkreślić ze względu na mnożące się przekłady pełne językowych błędów.

Radjo — Warszawa

Baumann umie stwarzać sytuacje pełne dramatycznej ekspresji, umie walczyć o swą sprawę, umie pokazać walkę ludzi żywych, nie papierowych szablonów.

Przegląd Katolicki

ANNA KRANE
MAGNA PECCATRIX

Powieść. Cena zł 5.—

O tej co wielce umiłowała, o wielkiej grzesznicy i jeszcze większej pokutnicy Bożej, Marji Magdalenie, pisze pani Krane, sędziwa autorka niemiecka. Krytyka z pośród licznych utworów tej katolickiej autorki powieść o Marji Magdalenie ceni najwyżej. Istotnie, nie zbywa jej na walorach artystycznych.

Tęcza

W rzędzie powieści ewangelicznych „Magna peccatrix” siłą wyrazu akcji dramatycznej i nastroju zajmuje poczesne miejsce. Nadaje się do jak najszerszego rozpowszechnienia w sferze czytelników dojrzałych.

Słowo Pomorskie

302

10805/
90





542403

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001008704908